PRZEGLĄD

POWSZECHNY.

BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTÓREGO PANEM BÓG JEGO.
Ps. 143.

ROK JEDENASTY. — TOM XLI.

STYCZEŃ, LUTY, MARZEC.

1894.

KRAKÓW.
DRUK WŁ. L. ANCZYCA I SPÓŁKI,
pod zarządem Jana Gadowskiego.
1894.

DZISIEJSZE STOSUNKI W KRÓLESTWIE POLSKIEM [1].

Ostatnie kilka miesięcy przyniosły Królestwu znaczne zaostrzenie w nieznośnem i tak od lat trzydziestu położeniu. Prześladowanie to uwydatniło się szczególnie w zakresie religii i Kościoła i coraz bezwzględniejszej rusyfikacyi. Choć walka z Bogiem i Kościołem w wielu dziś państwach Zachodu była i jest jeszcze na porządku dziennym rządów przesiąkłych wolnomularstwem, ale tam przynajmniej opór i obronę umożebniają parlamenty, stowarzyszenia, wolne szkoły, prasa i t. d., słowem, cały podkład swobód cywilnych i obywatelskich; w Rosyi zaś przybiera ona specyficzne, przyrodzone znamiona owej *avitae fraudis*, przez Grzegorza XVI. carowi Mikołajowi wytkniętej, i brutalnej samowoli. I to wszystko dzieje się kiedy? Gdy Anglia naprawia wiekową krzywdę Irlandyi, nawet z uszczerbkiem własnego prawodawstwa i urządzeń; gdy w sąsiedniej Austryi życie i prawa narodowości polskiej uznane i uszanowane, coraz silniej łączą

[1] Po paru miesiącach usilnych starań, udało się nam zebrać trochę wiadomości i faktów z dziedziny spraw bieżących Królestwa Polskiego. Nie jest ten zbiór zupełnym, nie obejmuje wszystkiego, ograniczając się na razie do głośnej, lecz w całokształcie swym jeszcze nie przedstawionej sprawy kieleckiej, i do internatów rządowych przy szkołach średnich, które z początkiem tegorocznej jesieni zaczynają, niestety, wchodzić w życie w kilku miastach Królestwa. To jednak, co tu podajemy, usiłowała Redakcya *Przeglądu* wszelką dostępną drogą sprawdzić, i możemy z góry czytelników naszych zapewnić, że zawarte w artykule niniejszym fakta są najściślej z rzeczywistością zgodne. *Red.*

i skupiają Polaków około tronu; gdy w Prusach rząd i monarcha czynią niejakie na rzecz naszą ustępstwa i w reprezentacyi Księstwa zyskują niebezskuteczne dla siebie głosy; kiedy nawet w Turcyi taka Bułgarya np. chroni się pod opiekę Padyszacha. W Rosyi natomiast i dobre chęci panującego oraz najwyższych sfer rządzących nietylko żadnej ulgi nie przynoszą, ale wprost przeciwne zamiarom sprowadzają skutki, przekształcając się zwykle w drodze z Petersburga do Warszawy i naodwrót.

I tak, udało się nareszcie po długich staraniach władzy duchownej, a za usilnem wstawieniem się jen. Hurki, uzyskać pozwolenie, by proboszczowie i wikaryusze mogli udzielać nauki katechizmu w szkołach początkowych wiejskich. Cesarz Aleksander osobiście o tem uwiadomił bawiących w Petersburgu na konsekracyi biskupów. Z wykonaniem jednak tej woli monarszej ociągano się przeszło rok, a tymczasem kurator uniwersytetu warszawskiego, p. Apuchtin, porozumiawszy się z ministrem oświaty, rzecz całą z gruntu przerobił, i to co miało być spełnieniem najprostszego obowiązku, jaki ciąży na każdym rządzie dbałym o moralność przyszłych pokoleń, stało się nowym zamachem na swobodę i niesporne dotychczas, nawet pod rządem rosyjskim, prawa Kościoła katolickiego. Stało się zaś w następujący sposób.

Ponieważ dopuszczenie księży katolickich do nauki religii w szkołach początkowych Królestwa Polskiego było przewidziane w ukazie z dn. 30 sierpnia 1864 r., przeto nie zachodziła potrzeba wyrabiania nowego ukazu cesarskiego, lecz starczyło postanowienie Komitetu ministrów, wyjaśniające ów stary z przed lat trzydziestu ukaz i określające sposób, w jaki należy go stosować. Taką też nadano formę nowemu prawu. W dosłownym, z urzędowego oryginału, przekładzie brzmi ono jak następuje:

Wypis z dziennika Komitetu ministrów pod Nrem 687, w którym wyłuszczono Najwyżej zatwierdzone w dn. 16 marca 1892 postanowienie Komitetu o wykładaniu w szkołach początkowych warszawskiego okręgu naukowego katechizmu rzymsko-katolickiego wyznania.

W wytłumaczeniu przepisów o porządku obsadzania posad nauczycieli religii w gminnych i wiejskich szkołach katolickich gubernij Królestwa Polskiego postanowić:

I. Podania o obsadzenie posad nauczycieli religii w katolickich gminnych i wiejskich szkołach początkowych gubernij Królestwa Polskiego przez miejscowych duchownych parafialnych, które powinny wychodzić od miejscowych gmin, w porządku przewidzianym przez art. 54 Najwyższego ukazu z dn. 30 sierpnia 1864, będą załatwiane po poprzedniem, w każdym oddzielnym wypadku, porozumieniu zwierzchności szkolnej z miejscową władzą gubernialną. W razie różnicy zdań, sprawa będzie przedstawioną do ostatecznego rozstrzygnięcia warszawskiemu jenerał-gubernatorowi — i

II. wykład katechizmu wyznania rzymsko-katolickiego we wspomnianych w punkcie I. szkołach nie może być poruczany osobom należącym do innych wyznań.

Najjaśniejszy Pan w dn. 16 marca 1892 r. to postanowienie Komitetu Najwyżej zatwierdzić raczył.

Postanowienie to z dn. 16 marca 1892 r. składa się z dwóch części. Część druga, teoretycznie biorąc, posiada wielką doniosłość, gwarantuje bowiem, że odtąd naukę religii katolickiej w szkołach ludowych udzielać może tylko katolik. Dotychczas wykładali ją nauczyciele lub nauczycielki świeckie bez względu na wyznanie, i tam, gdzie ów nauczyciel lub nauczycielka byli prawosławnymi, wykład ten przybierał cechy „religii porównawczej“, co, jak łatwo spostrzedz, czyniło pożytek takiego wykładu najzupełniej wątpliwym, bo był on w stanie, nawet przy braku złej woli, wywołać w głowach dzieci wiejskich co najmniej chaos i zamieszanie. Pod tym względem nowe prawo, samo w sobie, przynosi korzyść i idzie tylko o to, by ta korzyść uwidoczniła się w praktyce i zastosowaniu.

Otóż, jak się to często zdarza w prawodawstwie rosyjskiem, cały pożytek art. II. obala art. I. tegoż postanowienia. Wykluczając bowiem innowierców od wykładu nauki religii w szkołach ludowych, dopuszczenie do niego księży tak warunkuje, że staje się ono wprost złudnem. Artykuł ten pozostawia w myśl ukazu z 1864 r. inicyatywę obsadzania posad nauczycieli religii w szkołach początkowych przez duchowieństwo parafialne katolickie, władzy gminnej (zebraniu gminnemu, ewentualnie wójtowi i ławnikom), i orzeka, że nominacya taka ma następować za porozumieniem zwierzchności szkolnej (gubernialnej dyrekcyi naukowej) z gubernatorem i że tylko w razie różnicy zdań, ostateczne rozstrzygnięcie należy do warszawskiego jenerał-gubernatora. Dana

więc jest państwu najzupełniejsza rękojmie co do „prawomyślności“ wykładających w szkołach księży, nominacya ich bowiem nie może inaczej nastąpić, jak tylko po porozumieniu się władzy szkolnej z władzą administracyjną, czyli po przeprowadzeniu najściślejszego śledztwa nad każdym z osobna proboszczem lub wikaryuszem za pośrednictwem zarówno organów szkolnych jak i administracyjnych, tj. naczelnika powiatu, naczelnika straży ziemskiej, żandarma powiatowego, gubernialnego i t. d. Nadto, gdyby zachodziła najmniejsza w opiniach tych rozlicznych władz różnica zdań, prawo ostatecznego rozstrzygnięcia pozostawia się w rękach jenerał-gubernatora, który ze swej strony ma możność przejrzenia lub wszczęcia na nowo całego nad danym księdzem śledztwa. Gdyby już nic innego, to samo to skomplikowanie sposobu obsadzania posad nauczycieli religii katolickiej w szkołach początkowych, wywołałoby, w najlepszym razie, niezmierne w wykonaniu rzeczonego prawa opóźnienie, takie bowiem śledztwa i zasięganie opinii o politycznem usposobieniu kandydata zajmowałyby bardzo dużo czasu, a wynik ich zależałby ostatecznie od dobrej lub złej woli jednego z powyższych organów. Lada uwaga niczem nie poparta, lada objekcya, nastręczona osobistą niechęcią lub uprzedzeniem, starczyłaby tu za niezbity dowód i stanowczą przeszkodę; z punktu zaś państwowego wszystko to jest zupełnie zbyteczne, skoro ów proboszcz lub wikaryusz, już przed objęciem swych obowiązków duchownych, przez podobną cenzurę rządową przeszedł, a jego „prawomyślność“ polityczna jest najściślej i stale przez najrozmaitsze stopnie władz administracyjnych kontrolowaną.

Jeśli więc zakulisowym autorom postanowienia szło o to, by zarządy gminne, zostające zresztą pod naciskiem naczelnika powiatu, i zgoła wszelkiej samodzielnej inicyatywy pozbawione, od wnoszenia podań odstręczyć, a księży od podejmowania się obowiązków nauczycieli religii w szkołach początkowych odstraszyć, sama ta manipulacya wystarczała. Nie poprzestano jednak na tem. Trzeba było nietylko dostęp do szkoły utrudnić, ale i pobyt w niej uczynić wprost nieznośnym i niemożliwym.

W tym celu, w połowie maja 1892 r., jenerał Hurko po-

wróciwszy do Warszawy z Petersburga, gdzie (uznać to należy raz jeszcze) gorąco nowego prawa bronił, czy z obawy przed p. Apuchtinem, czy też pod wpływem swego otoczenia — wydał okólnik do gubernatorów Królestwa, w którym obmyśla i zaleca cały szereg środków kontroli nad wykładającymi w szkołach ludowych księżmi.

O okólniku tym pisały już dzienniki w swoim czasie. Przypomnimy więc tylko, że jenerał-gubernator powołując się na postanowienie Komitetu ministrów, zwraca uwagę, iż właściwie cała odpowiedzialność odpowiedniego wyboru księży katolickich na nauczycieli religii spada na administracyę, że zatem gubernatorowie winni zawczasu zbierać najdokładniejsze o tych księżach, o ich „sprawowaniu się i kierunku“ wiadomości, że zatem powinni przez naczelników powiatu i naczelników straży ziemskiej najbaczniej czuwać nad „prowadzeniem się i usposobieniem“ księży parafialnych. Zaleca dalej okólnik nietylko gubernatorom, ale naczelnikom powiatów, komisarzom do spraw włościańskich i naczelnikom straży ziemskiej, by przy wizytacyach i objazdach służbowych odwiedzali szkoły wiejskie i gminne i za pomocą zadawanych uczniom pytań, w pogadankach i rozmowach starali się wywiedzieć i sprawdzić, czego i jak ksiądz uczy, i czy nie wywiera szkodliwego wpływu i t. d. Okólnik ten rozchwiał do reszty wszelkie złudzenia co do udziału księży w szkołach ludowych. Udział ten stawał się przy tak niesłychanej kontroli i trudnościach wprost bezcelowym, a narażał jedynie duchowieństwo na nowe prześladowania i szykany. To też tylko w dwóch czy trzech szkołach księża podjęli się wykładu religii, a i w tych wyjątkowych wypadkach prawosławny nauczyciel i nauczycielka siedzą pilnie na każdej lekcyi, skrzętnie notując co ksiądz dzieciom wykłada. Od ich dobrej woli i zrozumienia wykładu zależy zatem przyszłość i los księdza, a łatwo sobie wyobrazić jak go to czyni zależnym i w jakiem położeniu stawia, aby zrozumieć dlaczego podobne bohaterstwa nie znajdują i znaleść nie mogą naśladowców.

Uniemożliwiwszy w ten sposób praktyczne wykonanie woli monarszej, wyrażonej w postanowieniu Komitetu ministrów

z dn. 16 marca 1892 r., p. Apuchtin umyślił nadto w innej, groźniejszej jeszcze i samowolniejszej formie wyzyskać ją dla swych celów. I oto, mszcząc się na biskupach za podjętą wbrew niemu inicyatywę, w porozumieniu z ślepo sobie oddanym ministrem oświaty p. Deljanowem, postanowił rozpocząć walną przeciwko seminaryom duchownym kampanię. Jakoż od razu p. Apuchtin, komunikując podwładnym sobie władzom przytoczony powyżej wypis z dziennika Komitetu ministrów, dołączył doń następujący okólnik, który znów najściślej z urzędowego oryginału tłumaczymy:

O wykładaniu w szkołach początkowych warszawskiego okręgu naukowego katechizmu rzymsko-katolickiego wyznania przez duchownych tegoż wyznania.

Pan minister oświaty dn. 12 kwietnia 1892 r. pod N-rem 6574, raczył mi zakomunikować do właściwego zastosowania, przyłączony wypis z dziennika Komitetu ministrów za N-rem 687, w którym wyłuszczono Najwyżej zatwierdzone dn. 16 marca t. r. postanowienie Komitetu o wykładaniu w szkołach początkowych powierzonego mi okręgu katechizmu rzymsko-katolickiego wyznania, przez duchownych tegoż wyznania. Przytem Jego Ekscelencya nie uważał za zbyteczne zwrócić uwagę na to, że najściślejszy i stały nadzór nauczycielskiej działalności katolickich duchownych parafialnych nie może wydać szczególnie wydatnych i korzystnych następstw, *jeśli nadzór ten nie będzie miał miejsca przy początkowem przygotowywaniu młodych ludzi w seminaryach katolickich* do ich przyszłych działalności w charakterze sprawujących służbę w kościele katolickim. Z tego powodu sekretarz stanu hr. Deljanow raczył wyjaśnić, że na zasadzie art. 6 Najwyższego ukazu z dn. 30 sierpnia 1864 r. o dyrekcyach naukowych w Królestwie Polskiem, naczelnicy tych dyrekcyj są obowiązani, według prawa, zwiedzać zakłady naukowe, nie podlegające ministerstwu oświaty, i przedstawiać swe uwagi za pośrednictwem swej zwierzchności do rozpatrzenia władz, zarządzających temi zakładami; przyczem, jak to wyjaśnił b. Komitet urządzający dn. 22 lutego 1865 r. (Nr. 278), przytoczony powyżej przepis rozciąga się i do wszystkich, bez wyjątku, *zakładów naukowych zarządu duchownego.*

Przytem, będąc zdania, że istniejące prawa dają wyższym władzom naukowym szerokie pełnomocnictwo w nadzorze nad *seminaryami katolickiemi,* p. minister oświaty prosi mnie, bym zalecił naczelnikom dyrekcyj naukowych ścisłe wykonywanie przepisów art. 6-go ukazu 1864 r. co do *zwiedzania duchowno-naukowych zakładów rzymsko-katolickich* i składania o nich uwag odpowiednim władzom.

Donosi się o tem okręgowi dla kierownictwa i wykonania.

Tak brzmi ów sławny okólnik p. Apuchtina, który za jednym zamachem wydziera seminarya dyecezyalne z pod władzy

biskupów, a oddaje je pod bezpośredni zarząd dyrekcyj naukowych, czyli swój własny. Potworność tego zamiaru jest chyba jasną, staje się ona jednak jeszcze jaskrawszą, jeśli weźmiemy pod rozwagę motywa, na których, za inicyatywą p. Apuchtina, zniedołężniały hr. Deljanow oparł swe rozporządzenie.

Otóż powołane w okólniku postanowienie Komitetu urządzającego z 1865 r. nigdy nie weszło w życie, a natomiast w r. 1883 za ministeryum hr. Tołstoja nastąpiło tak nazwane przez rząd rosyjski *sagłaszeńje*, tj. porozumienie ze Stolicą Apostolską, mocą którego niezależne zawiadywanie seminaryów pozostało i nadal przy biskupach dyecezyalnych, a Papież zgodził się tylko na wprowadzenie do owych zakładów nauki języka rosyjskiego, z wyraźnem jednak zastrzeżeniem, że nauczyciel tego przedmiotu musi być wyznawcą religii katolickiej. Już wtedy powtórzyła się znana obłuda i fałsz rządu w wykonywaniu zobowiązań, uroczyście względem Stolicy Apostolskiej zaciągniętych; jak w r. 1846 ówczesny konkordat w Petersburgu obrzezano, tak i teraz wyskrobano z nowej umowy wyrazy, odnoszące się do nieodzowności wyznania katolickiego przyszłych nauczycieli języka rosyjskiego; na co biskupi, mając skądinąd oryginalny tekst porozumienia, natychmiast, ze wstydem pośredniczących gubernatorów, zwrócili uwagę.

Powyższy okólnik p. kuratora, przeciwny istniejącemu porządkowi rzeczy i najwyraźniejszym przepisom prawa kanonicznego i koncyliów, wszyscy biskupi Królestwa za niemożliwy do przyjęcia uznali, oświadczając to najpierw ustnie lub na piśmie jenerał-gubernatorowi, a następnie w urzędowych odezwach do ministra oświaty. Uczynili to każdy z osobna i w niejednym czasie, stosownie do tego, kiedy im ów okólnik urzędownie zakomunikowano. Jednakie w treści, odpowiedzi te różniły się tylko co do formy. Biskup lubelski w piśmie swem posunął się aż do wspomnienia o Unitach, co mu za tak straszną zbrodnię poczytano, że za karę dekret jenerał-gubernatora odjął tamtejszemu seminaryum, najuboższemu ze wszystkich w Królestwie, zasiłek rządowy w kwocie około 2000 rs. rocznie, wypłacany *notabene* ze skonfiskowanych przez rząd funduszów dawnego se-

minaryum podlaskiego w Janowie. Biskup kielecki, który rzadko bywa w Warszawie, odmowę swą uzasadnił w obszerniejszem do jen. Hurki przedstawieniu, silnie na nauce i prawach Kościoła opartem, w formie jednak i wyrażeniach najbardziej umiarkowanych. Mąż ten cichy, bardzo światły, gruntowny i wszechstronny teolog oraz kanonista, oddany wyłącznie obowiązkom pasterskim i wykładom w seminaryum, nie ściągał dotychczas na siebie żadnych oznak szczególnego władz rosyjskich niezadowolenia. Seminaryum kieleckie, tradycyjnie bardzo dobrze pod względem nauki i moralności prowadzone, wydaje wciąż duchowieństwo przykładne i należycie przysposobione, mimo, iż rekrutując się, niestety, przeważnie tylko z klas ubogich i włościańskich, musi dopełniać braki naukowe, jakie wstępujący ze szkół publicznych przynoszą. Lud tamtejszy pobożny i w bliższych nieraz z pograniczną Austryą zostający stosunkach, może lepiej widzieć i odczuwać różnice postępowania dwóch sąsiednich rządów wobec Kościoła i języka narodowego, o który dba bardzo.

Zdawałoby się więc, że nawet ze stanowiska rządu rosyjskiego były poważne ku temu powody, by z biskupem kieleckim i jego dyecezyanami roztropnie i wyrozumiale postąpić.

Stało się inaczej, i właśnie tego biskupa i tę dyecezyę wybrano na pierwszy ogień, gotując się do zamachu na seminaryum kieleckie. Na razie jenerał-gubernator, otrzymawszy piśmienną odmowę biskupów, odpowiedział im, że rozporządzenie kuratora musi być wykonane, a wszelkie sprzeciwienie się będzie uważane jako opór władzy rządowej.

Zastanawiającym jest jednak faktem, że od chwili odmownej odpowiedzi ks. biskupa, zaczyna się szereg podpalań w seminaryum kieleckiem. Jak w wiadomych zajściach z Tow. kredytowem ziemskiem zjawiła się podstawiona a przez władze rosyjskie wyzyskana osobistość p. Śnieżko-Błockiego, tak teraz występuje w Kielcach młody zbrodniarz, alumn Gawroński, którego władze rządowe otaczają opieką, używając bezwstydnie do przeprowadzenia ukutego z góry na seminaryum zamachu. Jedynem źródłem informacyj rządowych, zarzutów, oskarżeń i pod-

staw późniejszego śledztwa, stają się zeznania jawnego podpalacza, fizycznie i umysłowo rozstrojonego.

Paweł Gawroński, syn włościanina, młynarza Karola Gawrońskiego (właściwie Gawrona) i Maryanny z Łatów, urodził się w r. 1870 we wsi Bonowice, gminie Rokitno, w powiecie włoszczowskim. W r. 1886 wszedł do III. klasy gimnazyum kieleckiego, a że uczył się bardzo licho, ukończył klasę IV. zaledwie w r. 1890, w którym też wstąpił do seminaryum tamtejszego. Z powodu jednak stanu zdrowia, musiał się wypisać z szeregu alumnów i zostawał w domu rodzicielskim przez rok cały. Tylko na usilne błagania jego i rodziców przyjęto go powtórnie po wakacyach 1891 r. do seminaryum, w którem pozostawał odtąd aż do 26 stycznia 1893 r., tj. do chwili uwięzienia.

W zakładach naukowych, prowadzonych przez osoby duchowne, powtarza się, niestety, dość często, iż przez miękkość serca, dobrotliwość, zbytnią wyrozumiałość i liczenie się z możliwą poprawą, bywają przyjmowani i nie wydalani młodzi ludzie, którzy ze względu na instytucyę, na pracę i ducha wszystkich wychowańców, nigdyby w niej postać i pozostawać nie powinni. Tak było i z Gawrońskim. Nie odznaczał się on ani zdolnością, ani pracowitością, ani przymiotami, któreby go do powołania duchownego zalecały. Zimny, ponury, skryty, a za wszystkiem i wszystkimi ciekawie śledzący, zwracał uwagę kolegów tem, że przystępując do Komunii św. dziwnie wykrzywiał usta, co przypisywano odruchowi nerwowemu. W kuferku jego znalazł się list pisany do rodzonego brata, który jest podobno geometrą, a jak drudzy utrzymują, służy w policyi. W liście tym wyznaje Gawroński, że w nic nie wierzy, nawet w wieczność, a wszelkie ceremonie kościelne bawią go tylko, że ma charakter dziki i prosi brata, by nim nie gardził. Prócz tego w kajeciku, w którym zapisywał psychiczne nad sobą uwagi, znajduje się taki ustęp: „Jeśli się mi uda to co zamierzam, to droga moja usłana będzie kwiatami, w przeciwnym razie biada mi, biada!“ Znaleziono też między jego papierami listy cyfrowane, których dla braku klucza nie umiano odczytać, oraz plan seminaryum własnoręcznie przez Gawrońskiego czarnym ołów-

kiem nakreślony, z oznaczeniem czerwonym ołówkiem miejsc pożaru. Jak się później pokazało w śledztwie, Gawroński bawiąc na wakacyach u swego brata ciotecznego, ks. Rajskiego, wikaryusza w Włodawicach, ukradł mu z komody kilkanaście rubli.

Pożarów w seminaryum kieleckiem było aż pięć z rzędu. W listopadzie 1892 r. podłożono dwa razy ogień, ale, że w tym czasie rzemieślnicy pracowali w gmachu seminaryjskim, sądzono zrazu, że to który z nich przez nieostrożność ogień zaprószył. Zresztą oba te pożary prędko ugaszono. Trzeci z rzędu ogień wybuchł w nocy z pierwszego na drugi stycznia 1893 r. w czasie feryj Bożego Narodzenia, podczas gdy tylko 16 alumnów, a między nimi Gawroński, pozostało dla asysty. Tym razem szkody były ogromne; Gawroński zachowywał się, zdaniem kolegów, obojętnie i wyniósłszy na podwórze swój kuferek z rzeczami, siedział na nim spokojnie, przypatrując się szerzeniu płomieni. W dwa tygodnie później wybuchł w nocy czwarty ogień, podłożony na strychu, w kilku naraz miejscach. Ugaszono go jednak natychmiast. W parę dni potem władze zarządziły rewizyę seminaryum pod kierunkiem naczelnika żandarmów w powiatach kieleckim i włoszczowskim, Zimermana, oficera delegowanego z kancelaryi gubernatora Szkarłatowa, i policmajstra Kielc, Surkowa. Rewizya trwała od $11^1/_2$ rano do 9 wieczorem. Przerzucono mieszkanie regensa, ks. Sawickiego, lecz nic nie znaleziono. Natomiast u ks. wice-regensa, Trelka, zabrano następujące książki: 1) „Czy Jezuici zgubili Polskę?“ przez ks. St. Załęskiego, 2) „Historyę Kościoła polskiego“ ks. Bulińskiego, 3) „Życiorys biskupa Wnorowskiego“, 4) „Życiorys Bronisława Zaleskiego“, 5) *Marienpredigten*, po niemiecku, i 6) *Le souverain Pontife*, Ségura. U profesora seminaryum ks. Sławety znaleziono znów i zabrano stare, z XVII. wieku, „Kazania“ Wereszczyńskiego.

Wszystko to naprawdę, nawet ze stanowiska rządu rosyjskiego, bardzo niewinne książki, bo np. „Historya Kościoła polskiego“ ks. Bulińskiego, choć wydana w Krakowie, pisana jest w duchu nad miarę powściągliwym, gdyż autor był prałatem

w Królestwie i za panowania cesarza Mikołaja figurą arcyrządową i z tego powodu wówczas wielce niepopularną.

Oprócz tego zrewidowano kuferki i książki alumnów: Władysława Zielińskiego, Jana Czekaja, Ludwika Wojtysia i Adama Pochapińskiego. Tylko u Czekaja znaleziono kajet z czasów, gdy tenże chodził do gimnazyum w Częstochowie, a w nim przepisane ustępy z „Dziadów“ Mickiewicza, i kilka piosnek, jak: „Ne chody Hryciu na weczernyciu“, „Idzie Maciek, idzie“, „U nas inaczej“, „Grzmią pod Stoczkiem armaty“, „Hej flisacza dziatwo“, „Młody wojownik“ i t. d. U trzech innych alumnów nic nie znaleziono. I znowu połów, choć nie seminaryjnego pochodzenia, bardzo skromny, a nie ulega wątpliwości, że w każdym rządowym internacie w Rosyi, a zwłaszcza w każdem seminaryum prawosławnem, rewizya wykryłaby trochę mniej niewinne druki i stosunki, nietylko pod względem politycznym ale i obyczajowym.

Tymczasem dn. 26 stycznia b. r. około czwartej nad ranem wybuchł piąty z rzędu pożar. Tym razem ogień podłożono na chórku kościoła seminaryjskiego. Pożar szybko ugaszono, ale nazajutrz ks. Biskup polecił przeprowadzić najściślejszą rewizyę u wszystkich bez wyjątku alumnów. Dopiero ta rewizya i śledztwo zwróciły uwagę na Gawrońskiego, który zrazu wypierał się wszystkiego, ale następnie wezwany do ks. Biskupa, przyznał się do podpalania i do dwukrotnej denuncyacyi tak ks. regensa i ks. wice-regensa, jak i prof. Sławety. Szczersze i szersze wyznanie powstrzymał obecny przy tem przesłuchaniu urzędnik z biura gubernatora, który nie dopuścił, by badano Gawrońskiego o denuncyacyę, jak twierdził, politycznej natury. Ów urzędnik odwiózł natychmiast Gawrońskiego do domu poprawczego i umieścił w oddziale chorych, potwierdzając w ten sposób ogólne mniemanie, iż jest maniakiem.

W domu poprawczym, gdy mu nadzorca więzienia czynił wyrzuty, Gawroński odrzekł: „N i e p o t ę p i a j m n i e p a n, b o n i e w i e s z, k t o t e m u w i n i e n“. Przesłuchany na razie przez policmajstra Surkowa, a następnie kilkakrotnie, w więzieniu, przez prokuratora sądu okręgowego kieleckiego, Reznikowa, musiał Gawroński nie szczędzić podstępnych i obciążających zeznań,

bo łaskawie traktowany, budził nietajone u obu zadowolenie. Ponieważ współwięźniowie pogardzali nim wymawiając, że jeśli wielu z nich bieda do występku popchnęła, to on tylko do wdzięczności był obowiązany, przeto posadzono go w osobnej celi, a nadzorcę więzienia, katolika, zastąpiono prawosławnym.

Od tego ostatniego pożaru uspokoiło się na parę tygodni w seminaryum: egzamina półroczne odbyły się zwykłym trybem. Tymczasem dn. 9 (22) lutego przyszło od jenerał-gubernatora warszawskiego do ks. Biskupa polecenie, aby natychmiast uwolnił od obowiązków ks. regensa, ks. wice-regensa i ks. prof. Sławetę, alumna zaś Czekaja wydalił z seminaryum. W odezwie tej wyraża się jenerał-gubernator bardzo surowo o duchu panującym w seminaryum kieleckiem i stwierdza, że jeśli Gawroński podpalał, to dlatego, że był jeszcze niezepsuty i nie mógł znieść widoku zdrożnego kierunku, jaki widział w tym zakładzie. W odpowiedzi na to pismo, ks. Biskup wystąpił z prośbą o pozwolenie utrzymania rzeczonych księży do wakacyj, by przez ten czas mógł wyszukać odpowiednich zastępców, i doniósł zarazem, że alumn Czekaj został już usunięty.

Przez ten czas odbywały się wciąż badania szczegółowe Gawrońskiego w więzieniu, i snać materyał denuncyacyjny i informacyjny, przez niego dostarczony, był już tak obficie i skrzętnie nagromadzony, że naraz niespodziewanie o godz. 4 rano około 70 żandarmów i strażników, ściągniętych z obcych powiatów, otoczyło w dn. 13 marca seminaryum i zajęło mieszkania wszystkich profesorów, obstawiwszy szczelnie wszystkie wyjścia. Panuje powszechne przekonanie, że do ponownej rewizyi przyczynił się przeważnie gubernator kielecki, Iwaneńko, człowiek jawnie rozpustnego życia i znany łapownik, ale który dotychczas zachowywał się obojętnie, jak na pospolitego sybarytę przystało. Choć w złem ani w dobrem gorliwością nie grzeszył, ocknął się tym razem ze zwykłej gnuśności z powodów czysto osobistych. Zadarł on mianowicie ze swoim pomocnikiem, wice-gubernatorem Ozierowem, ożenionym z synowicą jen. Hurki; nieporozumienia doszły tak daleko, że p. Ozierowa przeniesiono do Piotrkowa, ale całe to zajście wywołało w warszawskim zamku

gromy na kieleckiego gubernatora. P. Iwaneńko uczuł się więc nagle zagrożonym na tak wygodnem i dostatniem stanowisku, i oto postanowił zaszachować plany swych wrogów, nagłym, błyszczącym objawem gorliwości. Więc jeszcze przed pierwszemi rewizyami złożył własnoręcznie nietylko napisany, ale i osobiście, w najściślejszej tajemnicy, nawet przed własnymi urzędnikami, wyekspedyowany raport, w którym odmalował w najczarniejszych barwach wychowanie kleryków w seminaryum, a następnie nalegał na potrzebę ponownej, najsurowszej rewizyi.

Tym razem już nie podpułkownik żandarmeryi, Zimerman, który z godnością i przyzwoitością dokonał poprzedniej rewizyi, ale sprowadzony *ad hoc* naczelnik żandarmeryi w powiatach lubelskim i janowskim, Uthof, zabrał się do dzieła. Dopomagał mu dobrze już zasłużony przy badaniu Gawrońskiego, prokurator Reznikow, a obaj odznaczyli się szczególniejszą brutalnością. Obsaczenie i rewizya seminaryum trwała pełne dwa tygodnie. Zabrano wszystkie listy prywatne, papiery, szkaplerze Serca Jezusowego i książeczki nabożeństwa tego dotyczące, rachunki sumienia, jakie alumni dla własnego użytku w notatnikach swych zapisywali; zadawano klerykom najnieprzyzwoitsze pytania, drwiąc z bezżeństwa księży a przedstawiając im przyjemności swobodniejszego życia. Ks. prof. Sławetę, człowieka świątobliwego i wzorowego kapłana, posądzano i badano z powodu liszaja, jaki ma na głowie, czy nie są to oznaki i następstwa brzydkiej choroby. Zabrano osobiste fundusze księży Gruszczyńskiego i Sławety, brewiarze, modlitewniki i inne książki, zupełnie obojętne, gdyż innych nie znaleziono, mimo najściślejszej rewizyi kaplicy, kościoła seminaryjskiego, zakrystyi, antepedyów i t. d. Szczególnie oburzano się na książeczki o nabożeństwie do Serca Jezusowego krakowskiego wydania, i na szkaplerze tegoż bractwa. Zdaje się, że właśnie przed tą drugą seryą rewizyj przewieziono z Kielc do cytadeli warszawskiej Gawrońskiego i tam go ponownie badano; faktem jest, że sprowadzono również do Warszawy jednego z alumnów, którego Gawroński jako świadka wskazał.

W ciągu trwania tych rewizyj zjeżdżał do Kielc naczelnik

korpusu żandarmów w Królestwie, jen. Brok, zaniepokojony tem, że poza jego plecami, bez poprzedniego o tem uwiadomienia, powołano do dalszych rewizyj z Lublina podwładnego mu kapitana Uthofa. Odwiedził on osobiście ks. Biskupa i zachowując w obejściu wszystkie formy dobrze wychowanego człowieka, nie taił skądinąd ubolewania, że kierunek wychowawczy w seminaryum jest patryotyczny, że uczą w niem historyi literatury polskiej i historyi narodu polskiego od morza do morza, że śpiewają pieśni patryotyczne. Prawdą zaś jest tylko, że historyę i literaturę polską wykładają nie jako oddzielne przedmioty, lecz jako część historyi wymowy i kaznodziejstwa w Polsce, i to na podstawie książek w Warszawie wydanych i przez cenzurę dozwolonych.

Wśród tych poszukiwań i badań przyszedł w nocy dnia 16 marca do bawiącego w Petersburgu jen. Hurki telegram, aby regensa, wice-regensa i ks. prof. Sławetę wysłać bezzwłocznie do klasztoru poreformackiego w Pińczowie. Wstrzymano jednak ich wyjazd na skutek odezwy prokuratora Reznikowa, który oświadczył piśmiennie ks. Biskupowi, iż obecność tych trzech księży w Kielcach jest na razie nieodzowną z powodu prowadzącego się śledztwa. W parę dni jednak później, w nocy 22 marca, wywieziono pod silnym konwojem żandarmów do cytadeli warszawskiej najpierw ks. profesorów: Kazimierza Bochnię, Stanisława Senkę i Franciszka Gruszczyńskiego, a dnia 23 marca w nocy, przy zachowaniu wobec rozgoryczonej do najwyższego stopnia ludności śmiesznych tajemnic, czterech innych księży: regensa, wice-regensa, ks. Sławetę i ks. Prawdę. O ile z zebranych wiadomości możemy wnosić, cały plan polegał na tem, żeby w seminaryum kieleckiem wywołać koniecznie zamieszki między alumnami i wyszukać ślady spisku. Dlatego właśnie wywieziono regensa i wszystkich profesorów w nadziei, że młodzież pozostawiona bez przełożonych będzie śmielszą w zeznaniach i obciąży swych zwierzchników; dlatego dokuczano tej młodzieży podczas rewizyi, nie dając alumnom przez trzy dni z rzędu ciepłej strawy; dlatego w refektarzu przy stole za alumnami stali zawsze strażnicy, kontrolujący, czy nie podają sobie kartek. Słowem,

był to cały szereg środków wyzywających, a gdy one chybiły, chwytano się takich błahostek, jak np. wmawiano w alumnów, że znaleziona na strychu chorągiew, którą się wywiesza na kościele podczas odpustu, jest sztandarem powstańczym. Naturalnie, że alumni nie chcieli tego potwierdzić, co nie przeszkodziło bynajmniej korespondentom do ruskich gazet twierdzić bezczelnie, że w seminaryum kieleckiem przechowywano chorągiew powstańczą.

Wreszcie dnia 23 marca st. st. (4 kwietnia) sprawdziły się głucho obiegające wieści o zamknięciu na mocy najwyższego ukazu seminaryum kieleckiego na lat cztery. Klerycy, którzy okażą się niewinnymi, mają otrzymać pozwolenie wstąpienia do innych seminaryów, co zresztą nie zaradzi złemu, bo seminarya w Królestwie są najgorzej uposażone i nie mają odpowiedniego pomieszczenia dla własnych alumnów. Tymczasem klerycy siedzą po wsiach u rodziców i nigdzie ruszyć się im nie wolno. Pomimo, iż przeszło pół roku upłynęło od uwięzienia owych siedmiu księży, wyrok na nich dotychczas nie zapadł. W dyecezyi zaś gospodaruje samowolnie oficer żandarmeryi Uthof i prokurator Reznikow. Rewizye po kościołach parafialnych i w dworach obywatelskich nie ustają, a nawet groby nie są spokojne. Tak np. w Łopusznie szukano w nich wymarzonej w fantazyi broni. Na księży za książeczki z nabożeństwem do Serca Jezusowego, za najniewinniejszy opis życia ś. p. ks. biskupa Wnorowskiego i t. p. drobnostki, wymierzają dyscyplinarne kary i grzywny. Stan ten zaniepokojenia wszystkich i bezmyślnego terroru księży trwa dotąd.

Ludność wiejska i katolicka miejska jest w całej gubernii kieleckiej do Kościoła i duchowieństwa swego bardzo przywiązana. Niegdyś znaczna część majątków tych okolic należała do biskupstwa krakowskiego, stanowiła uposażenia kapituły wawelskiej i rozmaitych zakonów, więc tradycyjnie, poza względami religijnemi, wywiązał się jeszcze stosunek, że tak powiemy, ekonomiczny, ściślejszy niż gdzieindziej, między księdzem a włościaninem, któremu, jak wiadomo, było w dobrach duchownych lżej i lepiej. Nadto Krakowiak z natury jest hardy i butny, zwłaszcza, gdy do żywiołów rolniczych przybyła teraz przymieszka robot-

ników fabrycznych i kopalnianych. Oryentuje się on prędzej od Podlasiaka i Mazura w położeniu, a w rzeczach religijnych więcej oświecony, przez blizkość granicy, zagląda często na odpusty i święta do Krakowa i innych miejsc pielgrzymek pobożnych. Dla niego np. takie nabożeństwo do Serca Jezusowego nie jest bynajmniej nowością, zna on je od stu lat przeszło i w głowie takiego włościanina nie pomieści się żadną miarą przekonanie, że fakt posiadania szkaplerza lub odmawiania modlitw, które on od swoich ojców i dziadów w spuściznie przejął, jest przestępstwem przeciw cesarzowi. Nie wytłumaczą mu tego ani p. Uthof, ani p. Reznikow, ani wszystkie potęgi razem. To też oburzenie na wiadomość o rewizyach i wywiezieniu siedmiu księży do Warszawy było niezmiernie silne, a wzmocniło się jeszcze bardziej, gdy rozeszła się wieść o zamknięciu seminaryum kieleckiego. Dla kilkudziesięciu rodzin alumnów był to cios już nietylko duchowny, ale poniekąd materyalny. Chłop polski oddaje chętnie synów Kościołowi, nie szczędząc nawet w danym razie ofiar pieniężnych, i wyzuje się nieraz z ostatniego, by doczekać się nareszcie owej najuroczystszej w swem życiu chwili, gdy swego „rodzonego“ ujrzy przy ołtarzu Pańskim. I oto cała karyera tych stu, wyłącznie niemal włościańskich i małomieszczańskich synów, zostaje nagle przerwaną; zwracają ich do domów, tworzą dobrowolnie w jednej gubernii sto ognisk rozgoryczenia, sto widomych znaków strasznej krzywdy i niesprawiedliwości, spadających, już nie na szlachcica, nie na „surdutowego“ pana, ale na tego włościanina, któremu wciąż przypominają dobrodziejstwa, jakiemi ich „cysarz“ obsypywał i obsypuje. Ze stanowiska zatem już nie ogólnych względów ludzkości, ale z punktu widzenia ściśle rosyjskiego, cała sprawa kielecka była jednym z tych kroków bezmyślnych i nieopatrznych, które w skutkach swych mogą przynieść i przyniosą niewątpliwie dla samego państwa i rządu fatalne następstwa.

To też niewiele brakowało, aby oburzenie ludności kieleckiej przybrało groźne objawy. Żeby nie usilne przedstawienia księży i uspokajające ich wpływy, lud gotów był do rozruchów, i nie bez wielkiej trudności zdołano mu wytłumaczyć, iż mate-

ryalnym oporem jeno pogorszy położenie i tak zewsząd zagrożonego Kościoła. Ale wypadki kieleckie ugruntowały ostatecznie w tym ludzie dawno już przezeń przeczuwane przekonanie, że rząd rosyjski dąży systematycznie do powolnej zagłady wiary katolickiej. Nietylko już w całem Kieleckiem, ale w Sandomierskiem, Lubelskiem, Podlaskiem obiega między włościanami podawana z ust do ust na odpustach i jarmarkach wieść, że niebawem ma być zaprowadzona „akcyza“ od chrztów i ślubów katolickich, tj. że tym tylko ksiądz będzie mógł dać ślub lub ochrzcić dziecko, którzy przyniosą „z powiatu“ kartkę, jako złożyli w kasie rządowej 25 rs. za „pozwoleństwo“, inaczej trzeba będzie iść do — popa. Kto tę wieść puścił — nie wiadomo, szerzy się ona jednak między ludnością włościańską lotem błyskawicy i wielce niedołężnymi byłyby organa policyjne rosyjskiego rządu, gdyby go o tej wersyi nie powiadomiły.

I znowu, nawet ze stanowiska rządu, wydziwić się trudno, że on, który widzieć musi wzmagające się wszędzie żywioły socyalnych nauk i knowań, szerzące się niezmiernie objawy społecznego zepsucia, zbrodni, gwałtów, kradzieży, zdziczenia obyczajów i powszechnej bezkarności — nie pojmuje, że religia i Kościół są w tym kraju najdzielniejszymi a może jedynymi obrońcami ładu, pokoju i bezpieczeństwa społecznego. W Królestwie duchowieństwo jest zgoła liczebnie niewystarczającem dla spełnienia swej zbawczej misyi. Zamknięcie seminaryum na lat cztery, to naprawdę pozbawienie dyecezyi przez lat blizko dziesięć przypływu nowych sił duchownych, trzeba będzie bowiem nowych lat pięciu na przygotowanie do święceń kapłańskich. Tymczasem już dziś umiera księży więcej niż ich przybywa. Warto przytem mieć na uwadze, że w Rosyi, skoro tylko rząd zamierza znieść jaką dyecezyę katolicką, rozpoczyna zawsze od zamykania seminaryów. Tak było w Janowie, Mohylowie i w Kamieńcu Podolskim. Niechybny to znak podobnego zamiaru. Nic więc dziwnego, że i w tym wypadku dopatrują się planu całkowitego z czasem zniesienia dyecezyi kieleckiej. Odchrześcijanienie społeczeństwa wszędzie gotować musi najopłakańsze następstwa, ale na Zachodzie są obok Kościoła rozmaite instytucye, które w wza-

jemnych stosunkach ludności po części ład i porządek materyalny wspierać i podtrzymywać mogą. Takiemi są dobre szkoły, sprężyste i światłe sądy, instytucye administracyjne i bezpieczeństwa publicznego rozumnie i czujnie strzegące, czynna i swobodna inicyatywa oraz działalność indywidualna we wszystkich kierunkach życia ekonomicznego, rozwój stowarzyszeń, zdrowe życie polityczne i wpływ takiejże opinii publicznej; słowem, możność czynienia dobrze. W Królestwie zgoła tego niema; szkoły początkowe żadne i jedynie ku rusyfikacyi skierowane, gimnazya i uniwersytet nad wyraz liche; bezkarność, brak liczebny w sądownictwie; niedostatek krzyczący więzień i domów poprawczych, dzięki któremu istnieją całe setki, jeśli nie tysiące, t. zw. „złodziei pobytowych“, których internują w pewnych miejscowościach, wydając wprost owe okolice na łup rozbojów i zarazy moralnej; ospałość, przekupstwo, rozstrój i niedołęstwo administracyi, a wreszcie brak zupełny owych powyżej wzmiankowanych czynników życia publicznego — nietylko nie podnoszą i nie dźwigają rozumu i moralności powszechnej, ale wciąż poziom ich obniżają. W takich warunkach osłabienie i pozbawienie najliczniejszej ludności wiejskiej nauki i wpływu Kościoła, jest niezawodnie samobójstwem społecznem i rządowem.

Jak dalece rząd ten, u siebie do samowoli w kościele i w stosunkach z urzędniczem duchowieństwem nawykły, nie ma pojęcia o charakterze kapłaństwa katolickiego, najlepszym dowodem Najwyżej dnia 17 kwietnia 1893 r. zatwierdzona uchwała Rady państwa, zmieniająca redakcyę artykułów 193 i 194 kod. karn. Uchwała ta dotyczy „zmian i uzupełnień prawa określającego odpowiedzialność duchownych obcych wyznań chrześcijańskich za dokonanie obrządków nad prawosławnym podług przepisów religii, którą ci duchowni wyznają“, a brzmi dosłownie jak następuje [1]:

1) Art. 193 kodeksu karn. wydanego w r. 1885, zredagować w sposób następujący:

Duchowni obcych wyznań chrześcijańskich, którzy przyjmą świadomie prawosławnego do Spowiedzi, Komunii lub namaszczenia Olejami,

[1] „Zbiór praw i postanowień rządowych“. Nr. 30 z kwietnia 1893 r.

podług obrządków religii, którą sami wyznają, ulegną: za pierwszym razem usunięciu z zajmowanego miejsca, na czas od 6-ciu miesięcy do 1-go roku, a za drugim razem pozbawieniu stanu duchownego. Przy dokonaniu tych obrządków nad prawosławnym, bez wiadomości o tem iż jest prawosławnym, ulegną surowej naganie, jako za nieoględność, niezgodną z powagą stanu duchownego.

2) Z art. 194 kodeksu karn., wydanego w r. 1885, wyrzucić słowa: „z oddaniem potem pod dozór policyi".

3) Część pierwszą oddziału II-go, rozdziału 2-go tegoż kodeksu karn., uzupełnić przepisem następującym:

Art. 194-ty: Duchowni innowierczych wyznań chrześcijańskich, którzy podług obrządków swojej religii dokonali nad prawosławnym konfirmacyi lub namaszczenia Olejami, albo innego obrządku duchownego, znamionującego przyjęcie do grona wyznawców chrześcijańskiego kościoła innowierczego, albo którzy pozwolą na ochrzczenie podług swoich obrządków dzieci prawosławnych, ulegną: usunięciu z miejsca, albo pozbawieniu stanu duchownego.

Powyższą uchwałę Rady państwa Najjaśniejszy Pan zatwierdzić raczył i wykonać rozkazał w dniu 17 (29) kwietnia 1893 roku.

Uchwała ta, od początku do końca, w każdej swej literze niezmiernie charakterystyczna, ma swą właściwą genezę nietyle w walce z Kościołem katolickim, jak raczej w szeregu środków, jakie przedsięwzięto przeciw pastorom protestanckim w prowincyach nadbałtyckich. Jak Królestwo Polskie posiada „opornych Unitów", tak kraje tamtejsze mają swych „opornych Łotyszów", którzy aczkolwiek siłą i podstępem „nawróceni" na prawosławie, pragną jednak pozostać przy swej dawnej wierze i spełniają obrządki religijne według wyznania ewangelicko-augsburskiego. Otóż kodeks, przewidując kary za udzielanie sakramentów przez duchownych „obcych wyznań", nie wymienił między obrządkami religijnemi protestanckiej konfirmacyi i pastorowie usiłowali nieraz bronić się tem opuszczeniem. Nie na wiele się im ta obrona przydawała i na nich także spadały kary pieniężne oraz administracyjne. Było tego jednak za mało gorliwcom prawosławnym, i oto niespełna przed rokiem zaczęły się pojawiać w *Mosk. Wiedomostiach* i *Nowoje Wremja* korespondencye, dowodzące, że trzeba koniecznie obostrzyć odpowiedzialność za tego rodzaju przestępstwa pastorów, „prześladujących prawosławie" w prowincyach nadbałtyckich. Jak zwykle podszczuwania korespondentów odniosły szybki skutek; i oto w drodze prawodawczej

zabrano się do dzieła. Że zaś redagowanie nowych praw w Rosyi ma swój tryb specyficzny, że zwłaszcza gdy idzie o tego rodzaju prawa wojownicze, bojowe, jak najszersze ich uogólnienie stanowi podstawę, zasadę, przeto rozciągnięto nowe „uzupełnienia“ do duchownych wszystkich „obcych“ wyznań chrześcijańskich, a zatem i do kapłanów katolickich. Zapomniano jednak przytem, że jeśli o „pozbawieniu stanu duchownego“ pastora może być jeszcze mowa, bo, jak wiadomo, u protestantów niema kapłaństwa, jeno nauczycielstwo, a władza duchowna pochodzi z wyboru gminy i nominacyi rządowej, to tenże sam rygor w zastosowaniu do księży katolickich, jest wprost nonsensem. Nie może bowiem odbierać państwo tego, czego nie dało, i nie może pozbawiać księży charakteru kapłańskiego, skoro ten charakter nie od niego pochodzi, lecz w porządku apostolskim przez Stolicę św. i biskupów spływa, co w zupełności uznaje także Kościół wschodni, a zatem i rząd rosyjski. Trudno przypuścić, aby z podobną uwagą nie spotkało się to nowe prawo w tak licznem jak Rada państwa zgromadzeniu; zdaje się jednak, że opozycya musiała być bardzo bierną i słabą, skoro o istnieniu jej nic się na zewnątrz nie przedostało i skoro cały projekt przeszedł niezmiernie szybko.

W ten sposób przybyła więc rządowi rosyjskiemu nowa przeciw duchowieństwu katolickiemu broń, a jeśli nie zdoła ona żadnego z księży pozbawić charakteru kapłańskiego, to natomiast otworzy jeszcze szersze pole do rozmaitych wyrafinowanych prześladowań i szykan. Dotychczas ksiądz, osadzony w klasztorze na pokucie lub deportowany w głąb Rosyi, nie miał prawa p u b l i c z n i e odprawiać nabożeństw, i, nawet w takiej np. międzynarodowej Odessie, wolno mu wychodzić z mszą św. tylko wczesnym rankiem i to z mszą cichą, bez towarzyszenia organów. Na celebrowanie wotywy lub sumy trzeba wyrabiać u policmajstra specyalne pozwolenie, a kazania są tej kategoryi księżom najsurowiej wzbronione. Pozostawały jednak spowiedzi, chrzty, śluby i pogrzeby. Otóż na zasadzie nowego prawa, ksiądz „pozbawiony stanu duchownego“, i za te sakramenta będzie policyjnie ścigany, zmienią go w parjasa, wytrącą mu z rąk

wszelkie pociechy religijne a zarazem i środki do życia. Łatwo pojąć, co to za broń straszna i do jakich nadużyć i tortur może dać sposobność.

I bez nowego prawa szykany przeciw duchowieństwu mnożyły się ustawicznie. I tak, przez czas jakiś w spokoju pozostawiona sprawa krzyżów przy drogach zaczyna znowu wchodzić na porządek dzienny, skutkiem osobistej gorliwości i chęci odznaczenia się niektórych naczelników powiatowych, lub naczelników straży ziemskiej. W powiecie łomżyńskim np., naczelnik samowolnie polecił wójtom gmin i sołtysom wyrębywać krzyże po drogach, pod pretekstem, iż grożą zawaleniem i mogą narazić podróżnych na niebezpieczeństwo; w powiecie garwolińskim naczelnik straży ziemskiej, p. Czuchajew, posunął się aż do tego, że gdy we wsi Rowy ani włościanie, ani czeladź dworska nie chciała krzyża wykopać, wezwał do tej roboty Żydów, ale i ci odmówili mu swej pomocy. Tenże sam p. Czuchajew, idącej do Częstochowy kompanii pątników odebrał krzyż, odwołując się na jakiś nieznany nikomu przepis, że z krzyżem po drogach publicznych chodzić nie wolno. Rozjątrzyło to ogromnie pątników (zwłaszcza, że ów odebrany krzyż zamknięto w więzieniu gminnem, gdzie się poniewiera rok przeszło), a nie odniosło żadnego skutku, gdyż włościanie w Częstochowie drugi krzyż za składkowe pieniądze kupili i, gdy im strażnicy ziemscy i ten chcieli odebrać, siłą go obronili i do kościoła przynieśli.

Musielibyśmy nadmiernie niniejszy przegląd rozszerzyć, chcąc wyliczyć wszystkie szykany, nadużycia i bezprawia, jakie się w ostatnich czasach w sferze interesów religijnych ciągle popełniały i popełniają. Samowola, dorywczość i, że tak powiem, jakaś junakerya żołdacka, rozwielmożniły się w gałęzi administracyi, spraw duchowieństwa dotyczącej. Wysyła się wciąż bez namysłu, bez dokładnego rozpoznania sprawy dziesiątki księży na wygnanie, na osadzenie w klasztorach, usuwa się ich od obowiązków, okłada karami pieniężnemi na prosty donos lub raport naczelnika, z powodów, albo z gruntu fałszywych lub tak błahych i drobnych, że w innych czasach i miejscach nie zwróconoby nawet na nie uwagi. Póki na czele wydziału spraw du-

chownych w biurze jenerał-gubernatora stał zmarły Kaczanowski, gorliwy Rosyanin prawosławny ale względnie spokojny i wytrawny, położenie było znośniejsze; ale przy dzisiejszym jego niedorosłym i niedojrzałym następcy, panu Naumowie, samowola i zacietrzewienie opanowały całą tę sferę spraw i interesów.

Skądinąd grozi duchowi religijnemu i wychowaniu młodzieży nowe, straszne niebezpieczeństwo. Właśnie z początkiem bieżącego roku szkolnego wejdą w życie owe zapowiedziane już od dawna internaty rządowe przy szkołach średnich, ukochany projekt p. Apuchtina, przeprowadzany od lat dwóch z wielką wytrwałością, mimo oporu (naturalnie finansowego tylko), z jakim się zrazu spotkał w Petersburgu. Wprawdzie w stolicy mimo nalegań i próśb kuratora warszawskiego, odmówiono dodatkowych kredytów na urządzenie w miastach Królestwa takich internatów, orzekając, iż każde gimnazyum powinno je budować własnemi środkami lub przy pomocy miejscowej; ale p. Apuchtin powoli i z tem sobie poradził. Dla jednych miast wyszukał specyalne fundusze szkolne i gubernialne, w innych, jak np. w Piotrkowie, zdołał ściągnąć od przemysłowców łódzkich kilkotysięczne na ten cel ofiary, i oto stanęły już internaty w Lublinie, Siedlcach, Kielcach, Piotrkowie, Częstochowie, Radomiu (w Warszawie buduje się już rok drugi na miejscu dawnego pałacu Staszyca), a z chwilą ich otwarcia wszystkie stancye prywatne, ostatniemi czasy i tak już bardzo ograniczone i szykanowane, ulegną zupełnemu zniesieniu; zaś uczniom gimnazyalnym wolno będzie stać tylko w internacie lub u rodziców i najbliższych krewnych (u babki lub dziadka, u brata lub siostry, u rodzonego stryja, wuja lub ciotki). Można sobie wyobrazić, jaki przewrót ogólny w stosunkach rodzinnych i wychowawczych wywoła zastosowanie tego nowego monopolu.

Wszelkie internaty są, zdaniem pedagogów, trudne do prowadzenia i na wiele narażają niedogodności. Tylko wyjątkowe poświęcenie i gorliwość przełożonych mogą jako tako te trudności pokonać. W Królestwie, w rękach pospolitych, grubych, nizkiego wykształcenia ludzi, ślepych wykonawców i narzędzi panującej idei państwowej, staną się one koszarami

zepsucia obyczajów i nieuctwa, wyzucia z wiary ojców a apostolstwa schyzmy i pozornej rusyfikacyi. Tego ostatniego charakteru p. Apuchtin bynajmniej się nie wypiera, i jego internaty będą bezwzględnie wyznaniowe, prawosławne, choć z konieczności dla katolickich uczniów przeznaczone. Znajdą się w nich popi i kaplice prawosławne, a do tych kaplic zapędzać się będzie młodzież katolicką pod rozmaitemi pretekstami i pozorami, i można być z góry pewnym, że odtąd zdobycie dobrego stopnia stanie się zależnem od gorliwości, z jaką katolicki wychowaniec internatu będzie uczęszczał na zabronione mu przez jego religię nabożeństwa schyzmatyckie.

Że w tych internatach ani mówić ani czytać po polsku nie będzie wolno, nie potrzebujemy wspominać. Opłata za stół, mieszkanie, wszelkie wygody i pomoc naukową będzie stosunkowo bardzo nizka, bo od 120 do 200 rs. rocznie, względnie do miejscowości. Nazywamy ją nizką w porównaniu do dzisiejszych zwykłych kosztów pensyi, przez ludzi zamożniejszych ponoszonych, które czynią od 400 do 1000 rs. rocznie. Ale dla bardzo wielu rodzin ubogich będzie i taka nawet opłata niedostępną. Chłopcy tych rodzin mieszczą się zwykle u małych urzędniczków, rzemieślników, wdów i t. d., powinowatych lub krewnych, gdzie za skromną opłatą pieniężną, często w naturze, w produktach uiszczaną, lub za korepetycye udzielane dzieciom, znajdują ciasny kącik i jaką taką strawę. Dla nich, dla ich rodziców wydatek 120—200 rs. rocznie jest wprost niemożliwy; zwłaszcza, że przybywa doń wpisowe, w porównaniu z austryackiem w czwórnasób większe, i równie znaczny koszt na książki. Dotychczas tej niedoli, tej nędzy szkolnej zaradzała inicyatywa prywatna, wspierano się wzajemnie w rodzinach, między przyjaciółmi, powinowatymi, znajomymi nawet; i kogo nie stać było na datek pieniężny, ten tulił, jak mógł, przy sobie biednego ucznia, jeśli nie zupełnie za darmo, to za cenę niemal illuzoryczną. Przy braku wszelkiej zorganizowanej pomocy dla biednych uczniów, przy najsroższym zakazie już nietylko stowarzyszeń, w całym świecie cywilizowanym dla podobnych celów istniejących, ale nawet utrudnieniu składek publicznie, za pośrednictwem dzienników,

na opłatę wpisów zbieranych, owe stancye prywatne były jedynym środkiem pomocy i ratunku, jedyną dziedziną, jaka pozostałą inicyatywie prywatnej. Co teraz ta cała kategorya młodzieży szkolnej, często najpracowitsza, pocznie? gdzie się podzieje? gdzie się po światło i naukę uda? Zgroza pomyśleć!

I czy takie bezprawie, taki gwałt krzyczący i hańbiący, posunie choć o krok rusyfikacyę kraju? Bynajmniej — wywoła tylko tem silniejszy w duszach opór; ci zaś, co upadną pod brzemieniem ucisku, nędzy i pokus, nie staną się zaprawdę ani prawosławnymi, ani Rosyanami, ale pójdą w objęcia bezwyznaniowości i ateizmu, rzucą się w socyalizm i nihilizm, zmienią się w *djèjatieli* rewolucyi kosmopolitycznej i społecznego przewrotu. Dużo już takich nurtuje obecnie w warstwach rzemieślniczych Warszawy, miast i zakładów fabrycznych Królestwa, dużo nawet i po wsiach do tych ognisk zbliżonych. Staną się oni z czasem ogromnym legionem, przed którym nie ostoi się żaden rząd, żaden kościół, żadne narodowe i prawdziwie ludzkie społeczeństwo. Mistrzami tych tłumów będą w rzeczy samej owi dzisiejsi bezsumienni wyzyskiwacze obecnego systemu.

Setki lat mijają, ale przyroda ludzi i rządu rosyjskiego w gruncie zostaje ta sama. Jak za cesarzowej Katarzyny Potemkin malował nad Dnieprem nieistniejące miasta, tak samo później i teraz nikt w głąb stosunków nie patrzy, lecz pragnie jedynie zadowolnić władzę pozorami, szyldami rzeczy, a nie ich treścią. Dojrzałe i zdrowe owoce wymagają rozumnego i wytrwałego pielęgnowania. W Królestwie dzieje się jeszcze tak, jak u ludzi dzikich, o których mówił Montesqieu: *le barbare coupe l'arbre pour avoir un fruit.* To też mnoży się robactwo, próchno i zgnilizna we wszystkiem, co tam Rosyanie poczynają, ale starej i zdrowej kniei nie zmogą. I dziś bez wszelkich złudzeń a ze stanowczą pewnością powiedzieć można, że ten lud, którego wszelkiemi środkami pozyskać chcieli, jest nietylko przeciw nim niezmiernie rozgoryczony, ale daleko zgodniejszy z dworem i w poczuciach swych bardziej polski, niż przed trzydziestu laty;

młodzież zaś, choć zbyt często naleciałościami socyalnemi i bezbożnemi zwichnięta, ale do gruntu duszy i serca antyrządowa.

Wogóle cechą znamienną dzisiejszych w Królestwie Polskiem i w całej Rosyi stosunków jest fakt, że najwyższe stanowiska bywają powierzane coraz wyłączniej sprytnym i rzutkim karyerowiczom, ludziom gwałtownym i bezwzględnym, nieposiadającym należytego doświadczenia, spokoju, wszechstronności, szerokości poglądu, światła i równowagi umysłowej, oraz charakteru, a umiejącym jedynie wyzyskiwać i podniecać szowinistyczne prądy dzisiejsze. Raz stworzona przez nich pochyłość porywa i pcha coraz dalej cały przyrząd państwowy w górze i na dole, w masach i w piśmiennictwie; i dzieje się coraz widoczniej to, co zawsze się wytwarza w takich położeniach, że fala raz wezbrana pędzi raczej sama tych ludzi, co ją wzbudzili, niż jest przez nich kierowaną. Przy tak samowładnym cesarzu, jakim był Mikołaj, stali ludzie tacy, jak Nesselrode, Kankrin, Panin, Kisielew, Benkendorff, Orłow, nawet Paskiewicz, zdolnościami, rozumem, doświadczeniem, a zwykle i wychowaniem wybitni. A jednak wiadomem było, że nie oni lecz ich monarcha rządzi. Dziś występują na widownię nie ludzie dojrzali, ale szczęśliwi i na przebój idący awanturnicy jednostronnej idei, nieraz nawet zdolni, ale bez temperamentu i szerokości poglądu prawdziwych mężów stanu. I kiedy przychodzi się zapytać, kto tem ogromnem państwem kieruje, otrzymujemy odpowiedź, że właśnie owi niedorośli ludzie: Wyszniegradzcy, Wittowie, Pobiedonoscewy i t. d.

Sto z górą milionów ludzi, na przestrzeniach blizko $2^1/_2$ razy większych od reszty Europy, trzymanych jest w kleszczach fanatycznej idei jednostajności i jednolitości państwowej, a tymczasem coraz bardziej idei tej urągać zaczynają górujące dziś na świecie względy i potrzeby ekonomiczne i do owego życia nieodzowne warunki. Podatki rosną ogromnie i gniotą nad miarę najniższe warstwy społeczne; długi wzmagają się, z każdym rokiem mnożą się wydatki na biurokracyę i wojsko; kredyt państwowy upada, a tymczasem głód śmiertelny trapi najpiękniejsze okolice. Wielka, prawie nieopodatkowana własność ziemska ginie lub leży odłogiem, a drobna upada pod następstwami wyjało-

wienia i nieznośnych ciężarów; przemysł, choć tak wyłącznie protegowany i cłami obwarowany, nietylko nie dotrzymuje kroku rozwojowi innych krajów, ale stosunkowo nie wzmaga się należycie i odpowiednio do czynionych dla niego ofiar; kapitały, choć nieliczne i to jeszcze w znaczniejszej części obce, leżą odłogiem lub jedynie w obrotach giełdowych, nieprodukcyjnie dla ogółu są zaprzątnięte, bo do prawdziwej przedsiębiorczości nikt nie ma zaufania, gdyż brak rękojmi bezpieczeństwa, stałości i opieki prawa. Kwestya włościańska dotąd naprawdę w guberniach rdzennie rosyjskich niezałatwiona i wciąż się odnawiająca; naród korny i posłuszny, dotychczas pod wiekową tradycyą *samodierżawja* spojony, ale nieposiadający zgoła prawdziwie zachowawczych, cywilizacyjnych żywiołów i punktów oparcia dla spokojnego a jednak postępowego bytu społecznego.

Z wyjątkiem armii i biurokracyi, warunki życia stają się dla wszystkich części składowych narodu coraz cięższemi i bardziej dolegliwemi; bieda i wzmagające się potrzeby ludności, która się tak szybko mnoży, naglą do szukania nowych dróg zarobku, do polepszenia i ustalenia istniejących, do zabezpieczenia tak własnej osoby, jak i owoców swej pracy, nareszcie do zastosowania jej zgodnie z warunkami miejscowemi. Te usiłowania i coraz natarczywsze poczucie ich konieczności, zaprzątają dziś miliony pracowników w najrozmaitszych sferach wytwórczej działalności, osiadłych na tych niezmiernych przestrzeniach, tak różnorodnych pod względem klimatu, natury ziemi i jej bogactw, gęstości zaludnienia i tegoż zaludnienia cywilizacyi, obyczaju, mowy, wiary i tradycyi. Tam każda z tych stref wymaga osobnego i szczególnego pielęgnowania, wżycia się w nią i zbadania, by budzącym się w nich potrzebom dać możność rozwoju, a przynajmniej istnienia. Tymczasem centralizacya bezmierna, szał jednostajności i jednolitości szerzą wszędzie martwotę, gnuśność, spaczenie i jałowość wszelkiego życia i samodzielnej odrębności, ciążąc jak skała na myśli i pracy samoistnej najróżnorodniejszych dzielnic geograficznych i narodowych.

To też łatwo przewidzieć, iż w nie bardzo odległym czasie niedomagania i choroby ekonomiczne całego imperium będą mu-

siały zwrócić bardzo poważną uwagę rządu, jeśli nie zechce się on spotkać z całym ciężarem trudności wewnętrznych i jeśli przeciągnięta już siła podatkowa większej części ludności nie ma ustać zupełnie. Potrzeby życiowe, konieczność swobody w rozwoju ekonomicznym, odezwą się najprzód i oddziaływać zaczną w kierunku odwrotnym od jednostronnego systemu, który wbrew naturze i historyi pominął wszystkie inne warunki państwowego społecznego bytu.

* * *

KSIĄDZ KAROL ANTONIEWICZ.

III.

Pierwsze dni w klasztorze.

Drogę do nowicyatu, opis starowiejskiego klasztoru, obraz pierwszych wrażeń, uczuć, myśli, które przesunęły się przez duszę Antoniewicza bezpośrednio przed i po przekroczeniu klasztornych progów, maluje on nam sam w rzewnych swych, niejednokrotnie tu już przytaczanych „Wspomnieniach życia zakonnego“[1]:

„Dziesięć lat minęło odtąd, gdym jednem mocnem, silnem postanowieniem rozbrat ze światem uczynił; te wszystkie związki najserdeczniejsze, które wiążą duszę z duszą, człowieka ze światem, śmierć zerwała. Musiałem zostać samotny na świecie; aby świat pożegnać, trzeba było, aby obumarła wiara w świat, by ożyła wiara w Boga, by zwiędła i uschła nadzieja na ziemi; nim na duchownej rozwinęła się niwie — trzeba było, aby ciasnem kołem groby mnie obtoczyły, abym sam z grobu zapomnienia o Bogu zmartwychwstał. Ale to zmartwychwstanie wśród krwawych, gorzkich odbyło się łez. Trzeba było, o Boże! nieskończonego miłosierdzia Twego, abym poznawszy Ciebie, rzucił się z duszą i ciałem, sercem i myślą w objęcie miłości Twojej. O Boże! jakże dziwne są drogi Opatrzności Twojej; jednych miłością, drugich boleścią pociągasz do siebie! Musiał paść na mnie cały ciężar

[1] *Dzwonek*, t. 1, r. 1850. Str. 48 np.

krzyża, abym szukał u Ciebie pomocy, musiał ten krzyż o ziemię mnie obalić, aby mnie nad ziemię podniósł! Dziesięć lat minęło, gdym Lwów opuściwszy, jechał do nowicyatu starowiejskiego! Wspomnienia tych dziesięciu lat są tak święte i jasne, z radością w nie patrzę, bo wszędzie, o Boże! widzę, uznaję, wielbię Twoją nad sobą opiekę...

„O jaka walka odbywała się podówczas w sercu, gdym świat ten żegnał! ale wśród boleści i żalu pokój Twój nie opuścił duszy mojej... Przez cały ciąg podróży mojej ze Lwowa do Starejwsi, łudzący głos świata szeptał do duszy, przez wszystkie zmysły ciała wdzierał się w głąb duszy, ale głos Boga silniej się odzywał: *Chodź i idź za mną!*[1] Świat wszystkie swoje urocze rozwijał przede mną obrazy, ale oko moje wszędzie widziało tego Zbawcę świata, krwią zbroczonego, pod ciężkiem upadającego krzyża drzewem. I widziałem tłumy ludzi, którzy się zabierali, tę krzyżową z Nim i za przewodnictwem Jego odbyć drogę! Ale wkrótce znużeni, depcąc po bolesnych zaprzenia siebie cierniach, upadać na umyśle i słabnieć poczęli. I świat ukazał jednym bryłę ziemi żółtej i zawołał: ‚Patrzcie, to złoto!‘ i rzucili się chciwie na tę zdobycz i odstąpili od wodza swego, a Jezus spojrzał na nich okiem politowania, wśród łez i krwi, jakoby mówił: ‚Zdradzasz mnie dla kawałka złota, a ja dla miłości twojej wydałem życie moje na ubóstwo i nędzę!‘ I pokazał świat drugim rozmaite błyskotki i herby i tytuły i ordery, i chciwie rzucili się za niemi, a za każdem odstępstwem coraz bardziej wzmagał się ciężar krzyża Jego, i spojrzał okiem zlitowania, i zdawał się mówić: ‚Zdradzasz mnie dla czczej, próżnej chwały, a ja, aby cię uczynić uczestnikiem chwały wiecznej, wydałem się na pośmiewisko i urąganie ludów, stawszy się jako robak a nie człowiek!‘ I okazał świat innym stoły zastawione i wszelkie życia wygody, i skwapliwie rzucili się do nich, i odstąpili wodza swego, a Jezus upadając pod krzyżem, westchnął na takie haniebne odstępstwo, które gotowało dla niego ocet i żółć. I okazał świat w ohydnych obrazach wszelkiego rodzaju rozpusty,

[1] Mateusz XIX. 21.

i tłumy ludzi rzuciły się w tę kałużę zbrodni i zepsucia, a Jezus wyciągnął ręce i nogi swoje, aby do krzyża go przybito, i z tego krzyża spojrzał boleśnie na świat, i z pięciu ran głos żałości i zlitowania się odezwał: *Ojcze, odpuść im, bo nie wiedzą co czynią!* I na ten głos aniołowie zapłakali w niebie, a potęgi piekielne wtórowały radosnym okrzykiem tym szydzącym i bluźniącym tłumom. Mała garstka odbyła z Jezusem drogę krzyżową; stanęło pod krzyżem Jego w miłości, w milczeniu i boleści, kilka niewiast i ten ulubiony uczeń, co przy ostatniej wieczerzy spoczywał na sercu Zbawiciela! Ten obraz stał mi ciągle przed oczyma i zawołałem w głębi duszy mojej: ‚O Jezu! Ty mnie wołasz, pójdę za Tobą, a chociaż od żalu pęknie serce moje, to pęknie u stóp krzyża Twego!'

„Dziesięć lat odtąd minęło, gdym tą uroczą, ponad brzegi Sanu, jechał okolicą! I dzień był tak jasny, pogodny, i tak jasno i pogodnie było w sercu mojem, walka ucichła, i pokój jakiś dziwny ogarnął marzącą duszę! ‚O teraz, teraz, mówiłem do Boga, świat mi już więcej nie będzie na przeszkodzie, abym Cię kochał tak jakem zawsze kochać Cię pragnął, Ciebie jedynie, wyłącznie, nad wszystko! Odtąd świat mi już nie będzie na przeszkodzie, aby wszystko co mam, czem jestem, poświęcił na usługę tych, którycheś tak nieskończoną ukochał miłością!' Przypatrując się tym chatkom wiejskim, porozrzucanym po dołach i wzgórzach, serce rosło z radości na tę myśl, że i ja kiedyś temu ludowi stać się mogę pociechą, pomocą i ulgą, i zapomniany od ludzi, stać się mogę pożytecznym dla kraju, i pracować, i w pracy siły, zdrowie łożyć, bez chwały, bez nagrody — ach, przeciwnie jeszcze!... Lecz czyż nie dość chwały, nagrody, pracować dla Boga i dla pożytku tych dusz, krwią Jego odkupionych?

„Przy wieczornem oświetleniu zachodzącego słońca, spuszczając się z wysokiej, stromej góry Domaradzkiej, na zakręcie gościńca, ujrzałem niespodzianie dwie wysokie wieże kościelne, które zaledwie się mignęły i znikły przed oczyma, gdyśmy w gęstwinę lasu wjechali!

— Jakie to wieże? — zapytałem pocztyliona.

— To wieże kościoła starowiejskiego — odrzekł obojętnym głosem.

„Zadrżało pomimowolnie serce moje, i łza z ócz się wysączyła. Więc tak mała już przestrzeń dzieli mnie od tego miejsca, w którem nowe ma się rozpocząć dla mnie życie. Kilka chwilek jeszcze, a między mną a światem taka roztworzy się przepaść! Nie mogłem ani mówić, ani myśleć, ani się modlić, patrzałem w to zachodzące słońce, które jutro już w murach klasztornych powitać miałem.

„Przy głośnych śmiechach i śpiewach powracał lud po dniowej pracy do domów swoich, ja sam nie wiedziałem, czy śmiać się, czy płakać miałem; lecz Tyś widział, o Boże! jak spokojne było serce moje i, mimo wiedzy i woli, ciągle Ci dzięki zanosiło, jako i dziś czyni i czynić będzie, pokąd w tych piersiach bić nie przestanie. Szybkim z górki na górkę powóz toczył się pędem, a trąbka pocztyliona wesołe w samotnej okolicy budziła echa. Zjechaliśmy na równinę, a wiejski gościniec, ocieniony pojedyńczemi drzewami, prosty, długi, szeroki, prowadził nas do Starejwsi. Schludne chatki po obu stronach gościńca, a na słomianych strzechach, jak w późnej jesiennej porze, próżne już gniazda bocianów, które w tych stronach licznemi gromadzą się stadami; na przyzbach i pod cieniem rozłożystych jabłoni i grusz z pożółkłym już liściem, siedzący gospodarze i gospodynie poważnym głosem i świętem pozdrowieniem: ‚Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus‘, witali przejeżdżającego. Gromadki dziatek trwożliwie z poza płotów i krzaków wyglądając, przysłuchiwały się trąbieniu pocztyliona, co niemałą w tej cichej, samotnej okolicy jest rzadkością. Figury i krzyże przy drodze objawiały blizkość klasztoru, o którego dachy wież blaszane łamały się już ostatnie gasnącego słońca promienie.

„Była to godzina około wpół do siódmej, dzwonek na ‚Anioł Pański‘ dzwonić począł; donośny, piękny dźwięk rozlegał się w prawo i w lewo, wszerz i wzdłuż po całej okolicy; a lud snujący się po drogach, jakby za uderzeniem różczki czarodziejskiej, pada na kolana i odkrywa głowę, i składa ręce, i modli się. Oddaje pokłon i cześć tej Królowej nieba i ziemi,

tej Pani i Matce Starowiejskiej, której obraz tylu łaskami i cudami po całym kraju i w pogranicznych słynie Węgrach. Stanął powóz przed przyboczną furtką klasztorną. Dwa potężne brytany, na kamiennym spokojnie wylegając się schodzie, jakby miłego nowego przybysza tego domu, powitały wysiadającego z powozu. Tętent koni i trąbka przywabiły do okien ciekawych, i niejedno tu i ówdzie otworzyło się okienko celi zakonnej. Stanąłem przy drzwiach tej furty, która wkrótce dla mnie otworzyć i zamknąć się miała na zawsze! Ta furtka jeszcze między światem a zakonem była ostatnią, jedyną przegrodą. Zadrżała ręka, serce gwałtowniej uderzyło, westchnąłem w głębi duszy: ‚Panie, przyjm ofiarę życia mego!" pociągnąłem za sznur; jak głos z innego świata, gdzieś w głębi korytarza, stłumionym, przeciągniętym głosem dzwonek się odezwał. W parę chwilek posłyszałem kroki ludzkie i brzęk kluczów. Skrzypiąc, powoli otworzyły się drzwi żelazem okute, a stary furtyan, wysłużony wachmistrz Kościuszkowski [1], z porąbaną głową... we dwoje zgięty starością, przerwał koronkę, aby mnie jak dawnego powitać brata, i wypytując się o różne podróży wypadki, prowadził długim korytarzem, ozdobionym portretami starych Jezuitów, między innymi Męcińskiego, męczennika japońskiego, Laterny, od Szwedów utopionego w morzu, i innych, do stancyi rektora.

„Klasztor nasz starowiejski był dawnym klasztorem Paulinów; górne piętro później dobudowane zostało. Długie sklepione korytarze ciągną się w kwadrat tego wspaniałego gmachu. Ciemno już było; lampy tylko słabe światło rzucały, o białe odbijając się mury; przez okna księżyc uroczym wkradał się promieniem. Stanęliśmy przed drzwiami pokoju rektora; zapukawszy, usłyszałem to słowo, tak mi odtąd miłe: *ingredere!* Wszedłem do tego pokoju, obcy do obcego, ale znalazłem ojca, który mnie przycisnął do serca swego z tą miłością, którą tylko Bóg może wlać w serca, co go kochają. Rektor tego domu [2] był to czło-

[1] Był to brat Ludwik Krasowski, białoruski szlachcic a żołnierz Kościuszkowski. Umarł w Starejwsi r. 1840. (*Dzwonek*, t. II., str. 60 np.).

[2] O. Józef Morelowski, urodzony 1777 r., wydał kilka utworów wierszem. Umarł r. 1845 w Starejwsi.

wiek pełen serca i rozumu; uprzejmy, łagodny, kochany w całej okolicy. Był on niegdyś kaznodzieją, i profesorem rosyjskiego języka w Petersburgu. Znał świat, znał Boga, znajomość świata czyniła go miłym ludziom, znajomość Boga pociągała ludzi do niego, umiał zabawiać i zbawiać. Rządził całym domem, jak ojciec dziećmi; wszyscy go kochali, szanowali; cały dom w jednę zamienił rodzinę.

„Mieszkaniem jego była jedna uboga celka napełniona książkami i papierami; przyboczny dość obszerny pokój służył na przyjęcie gości. Serce Jezusa i Maryi, obraz św. Ignacego w rycerskiej zbroi, zdobiły ściany. Ile ta celka słodkich dla mnie ma wspomnień! Bo co sobotę w późny wieczór przychodziłem tu oczyszczać sumienie moje, tu tyle błogich słyszałem słów pociechy, tu niejedna łza moja spłynęła, tu niejedno dobre uczyniłem postanowienie, tu pokój znalazło sumienie moje, nigdy z tego pokoiku bez rozrzewnienia i pociechy nie wyszedłem! Na cmentarzu starowiejskim spoczywają zwłoki jego; zakończył życie swoje, tak pełne zasług i pracy, życie anielskie, ale pamięć jego zawsze żyć będzie w sercu mojem; on długiem wśród świata pożyciem serce poranione zagoił, ale nigdy nie zranił. Świętość jego tak poznała i pojęła złość moją, ale nie na to, aby ją potępić, ale aby ją uleczyć! Jeśli nie zupełnie dopiął zamysłu swego, nie jego, ale moja wina!...

„Nie minęło kilka minut rozmowy, gdy ją dzwonek głośnem brzmieniem przerwał. Był to znak wieczerzy. Refektarz, była to sala obszerna, wokoło ławki i stoły ceratą pokryte; całe nakrycie dziwnie czyste i ubogie. Na ścianach piękne i duże malowidła, przedstawiające sceny z życia św. Ignacego; w pośrodku sali stół dla czytelnika. Przy dwóch stołach stanęli księża, dalej po prawej bracia, po lewej nowicyusze. Zaczęto błogosławienie stołu chórową modlitwą — wszyscyśmy miejsca zajęli. Cisza panowała w sali, lektor począł czytanie Pisma świętego, nowicyusze do stołu posługiwali. Mało mogłem jeść, widok taki był nowy dla mnie. Patrząc na te tak rozmaite twarze, chciałem wejrzyć w serca, ale w każdem jedna tylko myśl, jedno uczucie, Bóg i zbawienie; w każdem sercu pokój i swoboda! Różne na-

rody jakby w jeden stowarzyszyły się naród; widziałem Francuzów, Włochów, Polaków, Słowaków, Węgrów, Niemców.

— Któż jest ten staruszek — zapytałem — z tą siwą głową?

— To stary misyonarz, co przed 30-stu laty w Syberyi pracował; drugi zwiedzał Chiny; ten inny w Odessie około winnicy Pańskiej pracował; ów za wiarę w lizbońskich jęczał więzieniach. I tych wszystkich Bóg w ten jeden dom zebrał, w tę jedną bratnią gromadkę, a innych na ich miejsce wysłał pracowników. Bóg jednych powołuje, a drugich odwołuje, a każdy gotów na pierwsze skinienie wziąć kij pielgrzyma w rękę, i iść gdzie go Bóg woła. Taką różność Bóg tylko w jedność spoić może, i tyle woli w jednę związać wolę, nie w wolę ludzką, ale w wolę Boską!

„Nigdy świat tego pojąć nie wydoła, iż dopiąć można takiego zjednoczenia woli, bez naruszenia wolności indywidualnej, iż w najściślejszem posłuszeństwie można żyć wolnym. Bo świat sądzi, iż aby być wolnym, trzeba się wyłamać z pod woli Boskiej. Tu przeciwnie każdy nad tem pracuje, aby wolę swoją poddać pod wolę Boską, a że wola Boska jedna jest, więc i te wszystkie wole zgodne z wolą Boga, i między sobą, wolne zostają. Indywidualny rozwój charakteru bynajmniej na tem nie cierpi, tu tylko skłonnościom nie dozwalają rozwinąć się w złe, ale w dobre rozwinąć się nietylko mogą, ale muszą! I ta jedność i różność połączona, tak nad wyraz miłem czyni to życie zakonne! I patrząc tak wokoło siebie, zawołałem w duszy: ‚O Panie! jaki wstyd mój, widząc się tak niegodnym tych sług Twoich wiernych; oto ci pracą więcej jak wiekiem złamani, całe życie Tobie poświęcili; oto ci w całej niewinności serca przychodzą Ci uczynić ofiarę z życia swego — a ja, cóż Ci dać mogę? Tyle lat przeżyłem daleko od Ciebie, cierpiałem wiele, ale czy policzysz te cierpienia moje? Serce zwiędłe, myśl niespokojna, oto wszystko co Ci dać mogę; ale Ty niczem nie wzgardzisz, nic od siebie nie odtrącasz; późno powracam do Ciebie, aleś Ty sam mnie powołał; jeśli nic dla chwały Twojej uczynić nie wydołam, będę przynajmniej kochać i modlić się!‘

„W głębokiem milczeniu, po skończonej skromnej wieczerzy,

udaliśmy się wszyscy do kościoła. Ukląkłszy przed Przenajświętszym Sakramentem, chciałem się pomodlić, ale poznałem, że się nawet modlić nie umiem. Spojrzałem na ten ołtarz, bladą oświetlony lampą, a nad ołtarzem obraz cudowny Uśpienia Bogarodzicy, — Jej pod opiekę oddałem się. Bądź Ty odtąd matką moją; nie wyrzekam się tej com dotąd tem słodkiem nazywał imieniem, bom ją kochał, bo ją kocham, bo żebym jej nie kochał, tobym i Ciebie nie kochał, bo ona mnie nauczyła kochać Ciebie, ona pierwsza mówiła mi o Tobie, dziś mów Ty mi o niej. Dziś Ty mnie ucz, jak ją świętą mam kochać miłością. Byłem jej posłuszny, będę odtąd Tobie, mów zawsze do serca mego, czuwaj nade mną, broń mnie, strzeż mnie, nie opuszczaj mnie!

„Odprowadzono mnie do pokoju gościnnego na noc. Spać nie mogłem; te wszystkie obrazy i wzruszenia dnia całego nie dały mi wolnej chwilki do zastanowienia się nad sobą. Mówiłem nieraz w życiu do serca, aby milczało, mówiłem do myśli, ale i serce i myśl powstawały przeciwko mnie, a dziś Bóg przemówił do serca i do myśli, i serce i myśl uspokoił, dał oczom łzy, dał duszy pokój.

„Okna mego pokoju wychodziły na duży plac przed kościołem, ocieniony rzędami dzikich kasztanów, po prawej stronie kilka domków, które zdawały tulić się do murów klasztornych, jakby pod ich opiekę się oddając. W klasztorze wszystko już w głębokiem spoczywało milczeniu. Lampy po korytarzach pogaszone, w żadnem oknie światła nie było już widać, tylko kroki jeszcze tętniły braciszka, który z latarnią w ręku, głuchemi przechadzał się korytarzami, w każdą wglądając celkę, czy już światło zgaszone. Ale zewnątrz klasztoru jeszcze było pełno życia i ruchu; gościniec prowadzący do Brzozowa był zaludniony ludźmi z targu wracającymi, turkot wozów, rżenie koni, śpiew wieśniaków i głośne rozmowy i śmiechy, rozlegały się w okolicy.

„Życie zakonne i życie światowe, jakże są ostro od siebie odcięte; tu ciągły pokój wśród prac, tam ciągły niepokój wśród odpocznienia. W zakonie ciągła praca ciała, a pokój duszy — w świecie ciągły niepokój duszy wśród pokoju ciała! W świecie ubóstwo wśród dostatków, w zakonie dostatek wśród ubóstwa!

W świecie pożytek materyalny przeważa wszystko, w zakonie zbawienie własne i innych jest wszystkich działań pobudką! Świat żyje i pracuje i cierpi i kocha dla czasu, i w czasie — zakon żyje, pracuje, cierpi i kocha dla wieczności. W świecie Bóg jest niczem, w zakonie świat jest niczem!...

„I siedziałem w oknie otwartem i przypatrywałem się tym obrazom życia przy blasku księżyca, który jakby strumieniem światła oblewał białe mury klasztoru, i posrebrzał ciemne kasztanów liście. Pomału, pomału noc ciemniała, szmer ustawał, światełka w poblizkich domach gasnąć poczęły, tylko jeszcze po polach widać było płonące ognie stróżów pól i lasów. Wiejskie życie, którem tak kochał, stanęło mi żywo przed oczyma; — co tam w domu się dzieje? Ach! ja już nie mam domu mego, nie mam i jednej skiby ziemi, i jednego kłoska już moim nazwać nie mogę. O Boże! dzięki Ci za to; niczem jestem w oczach Twoich, i dlatego nic nie chcę posiadać. O! bylem mógł Ciebie posiadać, w Tobie znajdę wszystko. Domem moim niech będzie Serce Twoje i rany nóg i rąk Twoich, koroną kłosów niech będą ciernie korony Twojej. Nie pieniądz twardy, ale łzy moje będę liczyć, drogi pieniądz dla kupienia sobie odpuszczenia grzechów i licznych niewierności. Już nie ja odtąd będę się starał, w co się odziewać, czem się żywić będę. Ty sam o to się troszcz! Kochać Ciebie to moje zajęcie, to moje powołanie, to moja pociecha, to moja praca na wieki, a kochając Ciebie, kochać ludzi, których Tyś ukochał. Panie! rzuć zasłonę na przeszłość, bo tej przeszłości już umarły jestem. Ale nie! — nie czyń tego, bobyś rzucił zasłonę na miłosierdzie Twoje, i na wszystkie nieprawości moje! A ja chcę o nich pamiętać; miłosierdzie Twoje i złość moja niechaj mi nigdy z pamięci nie ustępuje, abym płakał na widok złości mojej, abym się cieszył na widok miłosierdzia Twego! Nie chcę zapomnieć na miłosierdzie Twoje, gdy myślę o grzechach moich, nie chcę pamiętać o grzechach moich, nie pomnąc razem o miłosierdziu Twojem.

„Ze starowiejskiej wieży kościelnej zegar północ wydzwonił; zabrzękła szyba, światło zagasło — usnąłem.

„Ranne dzwony przebudziły mnie. Gdzie jestem? było

pierwsze zapytanie. A te dzwony odpowiedziały: jesteś w domu Bożym, pod opieką Maryi, jesteś pod jednym dachem z Jezusem. Pamiętaj o tem! O! pamiętam i będę pamiętał. Daj mi łaskę do tego. Oddajęć, o Jezu, wolę, pamięć i myśl moją. Czyń z niemi co chcesz. Ja na wszystko odpowiem: *fiat* — niech się stanie!

„Na drugi dzień [1] po przyjeździe moim, oprowadził mnie rektor po całym domu. Na dole była kuchnia obszerna ze spiżarnią, refektarz, składy, apteka i kilka celek zamieszkałych przez braci zakonnych; na pierwszem piętrze kaplica domowa, biblioteka, sala rekreacyjna dla kleryków, i pomieszkania. Na drugiem piętrze był nowicyat. Jedna ogromna sala, *asceterium* nazwana, dwa pokoje sypialne, pokój dla chorych, dwa pokoje do robót ręcznych przeznaczone i kilka pokoi dla księży trzeciej probacyi [2]. Jakem przybył do Starejwsi, nowicyuszów zastałem braci i scholastyków 18, księży 17, braci co już wyszli z nowicyatu 8, razem liczba osób wynosiła 43, jednym ożywionych duchem, jedną tchnących miłością, z równą według zdolności i sił pracujących gorliwością. Ta cisza, jedność, ta równość i miłość wzajemna, ten porządek zewnętrzny, ten ład w najmniejszych drobiazgowych zajęciach, przemieniała ten dom w dom anielskiej radości i świętości. Wszystko, co się tu robiło, było napiętnowane jedną cechą miłości Boskiej. Wszystkie prace ręczne i umysłowe, będąc z sobą w harmonii, jednę wielką całość tworzyły. To ciagle powtarzane słowo: ‚Na większą chwałę Boga', nadawało zwrot wszystkim myślom, uczuciom i czynom. I ten braciszek, który obracał w kuchni pieczeń, i ten ksiądz, który z ambony kazał do ludu, i ten co w ogrodzie grzędy kopał, i ten co w konfesyonale z grzechów rozwiązywał, i ten, który stare łaty naprawiał, równie jak ten co nad staremi przesiadywał foliantami — ci wszyscy jedną byli oży-

[1] *Dzwonek*, „Wspomnienia" v. T. III, str. 51.

[2] „Trzecią probacyą" zwie się u Jezuitów powtórny nowicyat, który odbywają kapłani zakonni po ukończeniu wszelkich nauk, a przed złożeniem uroczystej profesyi. „Pierwsza probacya" przed przyobleczeniem sukni zakonnej trwa zazwyczaj kilkanaście dni; druga, czyli właściwy nowicyat, dwa lata; trzecia probacya rok.

wieni myślą, każdy składał, jakie mógł, zasługi swoje u stóp krzyża, a Bóg ważył nie uczynek, ale intencyę — i pytał nie jakim rozumem, ale jakiem sercem kto Boga kochał. Ten jeden cel wszystkich czynności i myśli, łączył i serce i myśli w jedność prawdziwą! Nigdzie nie znalazłem większej i miłości i roztropności w rządzeniu! Bo tu rozkazywanie było ciężarem — posłuszeństwo rozkoszą. Jednostajne urządzenie celek, jednostajny ubiór i jedzenie, wyzucie się z posiadania jakiejkolwiek rzeczy, to wszystko realizowało te marzenia równości dzisiejszych socyalistów! Ale zakonna równość jest uzasadniona na przepisach Ewangelii, jest to równość w obliczu Boga. Poznanie wyższości Boga i nikczemności człowieka, zbliża ludzi do Boga i łączy ich między sobą. Nie interes ale miłość, nie gwałt ale dobrowolna z siebie ofiara, taką równość i braterstwo ustalić może! Tam równości być nie może, gdzie niema posłuszeństwa — nie posłuszeństwa niewolniczego, ale posłuszeństwa synowskiego!...

„W pierwszych trzech dniach pobytu mego w Starejwsi odprawiłem tak zwane ćwiczenia duchowne św. Ignacego... Trzeciego dnia wieczór odprawiłem spowiedź powszechną i do rektora przywołany byłem; po krótkiej, pełnej rzewliwej miłości przemowie, oddał mi suknię zakonną, płaszcz, pas i koronkę. I wróciłem z tym drogim skarbem do mojej izdebki i spojrzałem na suknie moje świeckie, którem przez lat tyle nosił, aby je już złożyć na wieki. I to będzie ostatnie rozłączenie się ze światem. O gdybym mógł tak łatwo zrzucić z siebie te wszystkie myśli, uczucia, któremi świat chciał nibyto przystroić duszę, ale ją tylko zeszpecił, odarł tę szatę utkaną z wiary, nadziei i miłości a naczepiał świecących łachmanów próżnej chwały, oziębłości dla Boga a gorącości dla świata. O Panie! rzekłem, jutro stanę w tej sukni wobec Ciebie, przyjm mnie za sługę swego, bo widzisz, że mam dobre chęci — Tyś mnie powołał, i przyszedłem za głosem Twoim, porzuciłem wszystko c z e m j e s t e m, uczyń mnie ubogim, abyś mnie uczynił bogatym, weźmij mądrość świata, a daj mi mądrość krzyża. Oto mnie masz całego, rób ze mną co chcesz, ale naucz mnie kochać Ciebie!“...

* * *

Szesnastego września 1839 roku, nazajutrz po ukończeniu trzechdniowych rekolekcyj, przyoblókł Antoniewicz zakonną sutannę, zazwyczaj przez Jezuitów noszoną, i wprowadzony przez O. Morelowskiego do nowicyatu, rozpoczął przepisany regułą św. Ignacego czas dwuletniej próby. Starszy wiekiem, bogaty doświadczeniem, cierpieniami zahartowany, rozumiał nasz nowicyusz lepiej i dokładniej od wielu młodych swych towarzyszów, jak ważnemi na całe życie są i być muszą te pierwsze miesiące przepędzone w szczególniejszej służbie Bożej; jak drogim jest ten czas jedynie i wyłącznie Bogu i własnej duszy poświęcony; jak korzystać należy z tej szkoły duchownej, otwierającej bramę do wszystkich cnót chrześcijańskich, zakonnych; torującej drogę na szczyty najwyższej doskonałości. W nowicyacie, powiedział sobie, muszę zgnębić w sobie starego człowieka, a w nowego, na wzór Chrystusowy się przekształcić; muszę zostać Jezuitą, towarzyszem Jezusowym, w pełnem i właściwem tego słowa znaczeniu; a więc muszę przedewszystkiem poznać i pokochać niebieskiego mego Wodza, Chrystusa; poznać i umiłować Jego zasady, pragnienia, cele; bo tem samem poznam i rozmiłuję się w zasadach, celach i ideałach zakonu, do którego mię Bóg powołał, — dla których i w imię których mam odtąd pracować i walczyć.

Zasady te i ideały odsłoniły się zwłaszcza przed okiem Karola w silnem a przecudnem świetle, w czasie miesięcznych rekolekcyj, odprawionych niezadługo po wejściu do nowicyatu. Żal niemały, że z błogosławionych tych, brzemiennych w następstwa dni, nie pozostało nam ani jednego zapisku, dozwalającego bliżej wglądnąć, co wtedy w sercu Antoniewicza się działo, a raczej, co łaska Boża w niem działała. Późniejsze pisma, kazania, nauki przeniknięte duchem rekolekcyj, z nich niejednokrotnie bezpośrednio płynące; późniejsze życie ukształcone tak wiernie wedle normy podanej w „Ćwiczeniach duchownych“ św. Ignacego; okazują i dowodzą, że pełną dłonią ze skarbu tego czerpać musiał; że pilnie i pracowicie zakładać w nich musiał silne fundamenta życia duchownego. I dotąd kochał Jezusa całem sercem i wiernie służyć Mu pragnął; ale teraz do-

piero, w świętej samotności rekolekcyjnej, lepiej i dokładniej poznał Boskiego swego Mistrza; lepiej poznawszy, goręcej jeszcze Go umiłował, całem życiem, wszystkiemi myślami, uczuciami naśladować zapragnął. Pracować, cierpieć w ślady Jezusa, a tak dążyć do miłości, do złączenia się z Jezusem — to odtąd hasło, to *motto* życia wiernego Chrystusowego żołnierza; *motto* powtarzające się równie we wszystkich jego czynach, jak pieśniach:

Kiedy na krzyż Twój, o Jezu, poglądam,
Cierpieć i kochać to moje życzenie;
Cierpieć i kochać chcę, pragnę i żądam.
Gdzie krzyż, tam miłość, gdzie miłość — zbawienie [1].

Krzyża i teraz braknąć nie miało. Jak każdy, kto do służby Bożej szczerze przystępuje, tak i Antoniewicz spotkać się miał oko w oko z pokusą, przejść przez rozliczne trudności i doświadczenia, aby w ogniu tym zupełnie się oczyścić ze wszelkich niepotrzebnych naleciałości, a wzmocniony i zahartowany stał się pożytecznem narzędziem w ręku Bożem. „Ćwiczenia duchowne“ św. Ignacego przygotowały go już całym szeregiem Bożą mądrością natchnionych wskazówek i przestróg do tego peryodu duchownego życia; dały broń w rękę; nauczyły, jak walczyć, jak zwyciężać. Tak uzbrojony i przygotowany, oczekiwał Antoniewicz spokojnie nieprzyjacielskiego napadu; nie łudził się, jakoby ujść mógł walki i to ciężkiej i twardej, ale też pewny był, że — jak pięknie później kiedyś śpiewał — „kto na Bożej pomocy polega jedynie, dla tego boleść siłą się rozwinie“ [2].

Walkę tę sam nam szczerze i po prostu opisuje; — walkę toczoną zwłaszcza ze zbyt żywą fantazyą, co odciągając od pokornych nowicyackich zajęć, przywoływała na pamięć w tysiącznych barwnych obrazach dawne zajęcia, boleści, radości, a tem samem budziła żal za tem co minęło; niechęć do tego, czego

[1] „Wianek krzyżowy“. v.
[2] „Wianeczek majowy“. x.

Bóg w tej chwili się domagał; bojaźń przed tem, czego domagać się będzie, domagać się może:

„Przeszłość i przyszłość[1] zasyca serce nasze uczuciem przedwidzenia i powidzenia, nadzieją i wspomnieniem, a między tą przeszłością i przyszłością jest teraźniejszość, między wspomnieniem a nadzieją jest praca, trud i tęsknota, tęsknota za tem co było, tęsknota za tem co będzie! I cóż jest, o Boże! ta pamięć, która nie zna ani czasu, ani przestrzeni, którą w jednej godzinie lata przeżyjemy, w jednej sekundzie przestrzeń kilkuset mil przebiegniemy. Nikt jej powstrzymać, uwięzić, nikt zabić nie może, która czasami jest pociechą, czasami udręczeniem naszem...

„O jak często, żyjąc w tych murach starowiejskiego klasztoru, gdym w późny czuwał jeszcze wieczór, pomimo woli i wiedzy, myśl tę furtę opuszczała i lotem błyskawicy powracała w domowy zakątek, i skromna, strwożona, ukryta przypatrywała się nowemu życiu, które ten dom i ogród napełniało. Wszystko pomału się przekształcało, nowe uczucia, nowe wprowadziły zwyczaje. Szukałem tych, com kochał, na tych miejscach, gdziem tyle błogosławionych chwil przeżył, ale nie poznałem i miejsca i osób, nowe twarze, nowe myśli, nowe obyczaje. Nowe sługi krzątają się po podwórcu, nowe kwiaty kwitną na tych grzędach, i smutno było mi na sercu, i westchnąłem, a to westchnienie obiło się o ściany celki, i anioł stróż szepnął mi do ucha: ‚Pamiętaj gdzie jesteś!' — Pomimowolnie wymknęła się ta myśl z serca — potęgą woli kazałem jej wrócić, i zawstydzona z żalem i łzami wracała ta myśl i stanęła u furty serca, a miłość była serca tego stróżem. I wtedy to rzucałem się do nóg ukrzyżowanego Boga, prosząc Go, aby mi wszelką przebaczył słabość. O Jezu! jestem dzieckiem, zepsutem miłością świata, cierpienie siły mi odjęło, walczyć nie umiem, zwyciężyć nie zdołam; Ty mnie ratuj! — Poznałem świat, poznałem Ciebie, a jednak jeszcze nie oderwałem tak serca, abym niczego nie żądał, nie pragnął — tylko Ciebie. Przykuj myśl moją do krzyża, otocz ją cierniem, przebij serce moje, aby

[1] *Dzwonek.* „Wspomnienia życia zakonnego" v. T. III, str. 47 np.

obumarło śmiercią żywota! I po takich burzliwych chwilach, których świadkiem był tylko Bóg jeden, wracał pokój, wesołość i swoboda w duszę, i czułem całe szczęście moje, i nie miałem słów, ale łzy tylko, aby Bogu dziękować!...

„Pojmowałem[1] życia zakonnego szczęście, ale nie pojmowałem tego, iż to szczęście jest skutkiem długiej, ciężkiej i nieraz bardzo bolesnej walki. Bo łatwo opuścić wszystko co posiadamy, ale siebie opuścić, to najcięższe zadanie! Miłości własnej nie pozbędziem się, tylko w miarę, jak coraz bardziej postępujem w miłości Boga! Pokój wewnętrzny jest nagrodą wewnętrznej walki. O Boże! Ty jeden jesteś świadkiem tych walk, tych łez, tych boleści w samotnej celce zakonnej; Tyś jeden był świadkiem i zwycięstw i upadków moich. Chciałem Cię kochać, chciałem Cię kochać nad wszystko, a jednak były chwile — chwile, w których miłość świata gwałtownie powstawała, odradzała się w sercu mojem. Byłbym Cię za nic w świecie nie opuścił, a jednak tęskniłem za tem, com dla Ciebie opuścił. Widziałem siebie tak opuszczonym, zapomnianym od tych com tak kochał, i od których tak serdecznie byłem kochanym. Umarły przed śmiercią! — chęć życia obudzała się we mnie; a Ty, o Boże! nie byłeś jeszcze dostatecznym do wypełnienia serca mego, nie pojmowałem jeszcze tej miłości w Tobie i dla Ciebie, pragnąłem wyłącznej dla siebie miłości, miłości bez Ciebie. I jak głos węża zwodziciela syczały w uszach moich te głosy ludzkie — świetną, szczęśliwą wróżące mi przyszłość! I wkradło się zwątpienie w duszę moją: czy moje powołanie było prawdziwem powołaniem, czy w niem wytrwać wydołam? czy może, żyjąc na świecie, mógłbym był więcej i dla chwały Boskiej i dla dobra bliźnich i dla własnej uczynić duszy? — O Boże! jakaż była podówczas ślepota moja! nie poznawałem tego szczęścia mego, że mogę być niczem. Chciałem być czemś, chciałem własną pracować siłą i nie chciałem pozwolić, aby siła Twoja użyła mnie za narzędzie zlitowania Twego! — I cóż mogę większego dla chwały

[1] *Dzwonek.* „Wspomnienia“ IV. T. VI, str. 79 np.

Twojej uczynić, jak to, że Cię obrażać nie będę; jak to, że drugich od obrazy Twojej wstrzymam? a jakież większe szczęście, jak to: dla imienia Twego być wzgardzonym, dla miłości Twojej być prześladowanym?!

„I takie chwile w początkach życia mego zakonnego często się powtarzały, a ile w nich wycierpiałem, Ty jeden wiesz, boś Ty mnie jeden tylko pocieszał. O! ileż razy w późny wieczór siedząc w samotnej celce przechodziło serce przez te bolesne próby. Ciemno było już w całym klasztorze, ale ciemniej było w duszy mojej; głęboka wokoło panowała cisza, ale w duszy było tak gwarno. W takich to oschłości chwilach zdawało mi się, o Boże! żeś odstąpił ode mnie; cierpiałem, ale nie rozumiałem skąd to cierpienie pochodzi, suche były oczy, sucha była myśl, suche było serce. Chciałem myśleć, myśleć nie mogłem; chciałem płakać, płakać nie mogłem; chciałem kochać, kochać nie mogłem, i znękana dusza chciała się modlić, ale ciągle tylko te powtarzała słowa: ‚smutna jest dusza moja aż do śmierci'. Wtedy rzucałem się do nóg krucyfiksu i błagałem zlitowania Twego, i przepraszałem za niewierność moją, i Tyś mnie pocieszył i pokój wracał do serca, i jakby ze snu ciężkiego przebudzony, poznawałem całe szczęście moje i błogosławiłem Cię za nie.

„O Boże! dziś jak o tem myślę, nie mam słów do złożenia Ci podzięki mojej za te chwile walki i boleści, za te złote chwile życia mego w zakonie. One zbliżyły mnie do Ciebie, one uczyniły mnie mocnym, bo mi dały poznać słabość moją, bo mocą naszą jest poznanie słabości naszej, one utwierdziły mnie w powołaniu mojem, one obudziły to zamiłowanie do zakonu mego, one nauczyły mnie ufności do Ciebie, o Panie i Boże mój! — Cierpiałem, o Boże! w domu Twoim, ale cierpiałem w pokorze i w miłości; cierpienia w życiu zakonnem milsze są nad wszystkie radości w życiu światowem. Cierpienia na świecie zbliżyły mnie do zakonu, a cierpienia w zakonie zbliżyły mnie do Ciebie, o Boże! Lecz czemże są te przemijające chwile boleści w porównaniu z tem nieustającem weselem, które napełniało, przepełniało serce przez ten cały czas nowicyatu mego: każde

przebudzenie było chwilą radości na tę myśl: ‚Jestem w klasztorze!'"

Tak płynął szybko dzień po dniu, jeden do drugiego podobny; modlitwą, pracą wypełniony. Na modlitwę dużo było czasu w nowicyacie i mógł się jej tu Karol całem sercem bez przeszkody oddawać, nietylko wtedy gdy dzwonek wołał na ranne godzinne, na poobiednie półgodzinne rozmyślanie, lub na południowy i wieczorny rachunek sumienia; ale i przez dzień cały, spiesząc raz po raz do kaplicy na pobożne odwiedzenie Najśw. Sakramentu; łącząc i uświęcając podniesieniem myśli i serca do Boga przepisane nowicyuszom pokorne zajęcia i usługi: w kuchni, w refektarzu, w znanem już nam *asceterium*. Codziennie wykłady reguł zakonnych; publiczne i prywatne konferencye, najprzód z O. Morelowskim, następnie, począwszy od listopada 1840 r., z nowo zamianowanym rektorem i przewodnikiem starowiejskiego nowicyatu, O. Maciejem Czyhirem; długie, serdeczne rozmowy z paru starszymi Ojcami, którzy dawne zakonne tradycye z Białorusi przynieśli i w Galicyi zaszczepili, — dawały Antoniewiczowi coraz lepiej poznać ducha Towarzystwa Jezusowego, jego zwyczaje, środki, któremi rozszerzać ma chwałę Bożą, a jednocześnie wzniecały w jego sercu coraz rzewniejszą i silniejszą miłość, dla tej „drogiej matki", jak Karol nasz, idąc śladem dawnych, wielkich przodków, zwykł był zakon nazywać.

Prócz pokornych, wszystkim nowicyuszom wspólnych zajęć: usługiwania w kuchni, zamiatania obszernych kurytarzów, czyszczenia i mycia wszystkiego, co w całym klasztorze do czyszczenia i mycia się nadawało; na inne jeszcze, mniej zapewne upokarzające, ale niemniej nużące i nudne prace, trzeba było czas znaleść. O. Morelowski polecił Antoniewiczowi uczyć kilku młodych towarzyszów języka francuskiego; poruczył do przetłumaczenia na polskie kilka pobożnych, i do historyi zakonu odnoszących się dziełek. Parę z tych przekładów zaginęło w czasie zamieszek 1848 roku; parę innych dotąd w rękopisie spoczywa. Zachowały się: przełożona z francuskiego „Historya wygnania

Towarzystwa Jezusowego w Portugalii“ [1]; szereg rozmyślań, wyjętych z dwutomowego dzieła znanego francuskiego ascety, O. Klaudyusza Judde [2]; i przetłumaczony z łacińskiego manuskryptu nieznanego autora z XVIII. wieku: „Żywot wielkiego męczennika, Wielebnego Jędrzeja Boboli, Towarzystwa Jezusowego kapłana“ [3].

Czasami, zwłaszcza gdy wzywała go do tego jakaś kościelna lub zakonna uroczystość, przerywał nasz nowicyusz te nieco monotonne prace i chwytał po dawnemu za poetyczną lutnię. I znowu jak dawniej tak teraz, czego serce i dusza była pełną, to wylewało się z niej na zewnątrz w dźwięcznych wierszach; owszem, daleko teraz dźwięczniejszych i treścią bogatszych, bardziej do serca przemawiających i formą strojniejszych. Poeta nie miota się niespokojnie, nie rzuca wichrom i rzekom byronowskich skarg i żalów; jak całego siebie, tak swą wyobraźnię i wieszcze natchnienie oddał w usługi Panu swemu i Stwórcy, i u stóp Dawcy pokoju znalazł pokój, harmonię uczuć i myśli.

Prześliczne święta Bożego Narodzenia, spędzone w gronie zakonnych towarzyszów na pobożnych śpiewach przy żłóbku Jezusowym, natchnęły go całym szeregiem rzewnych kolęd na cześć nowonarodzonego Dzieciątka. Nowicyusze śpiewali te kolędy, skoro tylko wyszły z pod pióra Karola, przy dźwiękach sprowadzonego tymczasem ze Skwarzawy fortepianu; rozlegały się one niebawem przy odgłosie poważnych organów w staro-

[1] Jest to właściwie parę tylko rozdziałów z obszernego dzieła: *Documents historiques, critiques, apologétiques, concernants la Compagnie de Jésus.* Paris. Prunier editeur. 1830.

[2] *Rétraite spirituelle, appellée grande rétraite de trente jours...* Besançon. 1825. — Antoniewicz przełożył 24 rozmyślań.

[3] Żywot ten wydrukował w r. 1866 *Tygodnik katolicki* w Grodzisku, wnosząc mylnie z charakteru pisma, że ma przed sobą oryginalną pracę Antoniewicza. Następnie przedrukowało go „Wydawnictwo Apostolstwa Serca Jezusowego“ w książeczce p. t.: „Z pism O. Karola Antoniewicza T. J.“, ale z wyraźnem już zastrzeżeniem, że jest to tylko przekład, a nie utwór oryginalny. Istotnie czytając ten życiorys, noszący na sobie wszystkie ślady odznaczające pisarzów wieku zeszłego, a tak nadzwyczaj różny od wszelkich innych pism Antoniewicza, na chwilę nawet przypuścić niepodobna, aby on mógł być jego autorem.

wiejskim kościele, a stąd przedostały się do setek kościołów, kaplic, domów pobożnych, rozsypanych po Polsce całej. Nie naprożno czciciel świętej Dzieciny do Betleemu zapraszał i wzywał:

Do Betleemu pełni radości
Spieszmy powitać Jezusa małego,
Który dziś dla nas, o cudo miłości,
Zstąpił na ziemię z nieba wysokiego!...
Spieszmy się, spieszmy, bo Sam na nas woła,
On na to przyszedł, ażeby nas zbawił;
Otoczmy żłóbek Jego dokoła,
By nas swą ręką pobłogosławił!

W następnej kolędzie już do stajenki wszedł, przy żłóbku staje i wyrazami pełnemi czci i miłości maluje najwdzięczniejszy obraz, jaki świat kiedykolwiek widział: Maryę z Bożem Dzieciątkiem na rękach; odgadnąć usiłuje, co Matka do Syna mówiła:

W szopce przy żłóbku siedzi Marya,
I Jezusowi piosenkę śpiewa,
I święte ciałko w pieluszki obwija,
I rączki swemi ustami rozgrzewa.
„Ach! łzami zaszły oczęta Twoje,
Płaczesz Jezusie! dziecię me drogie!
Łzami się Twemi poi serce moje,
A ja Ci, biedna, nic pomódz nie mogę...
„Tron Twój rzuciłeś, jako słońce jasny,
Przed którym światy korzące się drżały;
I zamieniłeś na ten żłóbek ciasny,
W którym Sam zimnem drżysz przejęty cały"...
Świętą radością Marya ujęta,
Nad swego Syna żłóbkiem się nachyla,
A Jezus ku Niej wyciąga rączęta
I usteczkami Matce się przymila.
Marya czeka! Prędzej! pospieszajmy,
W Betleem Chrystus dziś się nam narodził!...

Z kolei, w dalszej kolędzie zwraca się poeta do św. Józefa i błaga z pokorą o przyczynę, o opiekę. Dobrze i miło przy żłóbku; lecz trzeba Jezusa dla Jezusa opuścić, i pożegnawszy Pana, do codziennych obowiązków wrócić. Ostatnia przeto w tym cyklu kolęda, najrzewniejsza bodaj ze wszystkich i najbardziej rozpowszechniona, żegna Boże Dziecię, żegna świętą Rodzinę:

dla siebie, dla kółka zakonnych braci, dla wszystkich do świętej stajenki cisnących się o błogosławieństwo prosi:

Usnąłeś Jezu na Maryi łonie
I my Cię także już pożegnamy,
Twojej się wszyscy oddając obronie,
Do pracy naszej wesoło wracamy.
Ciebie żegnamy, o Niepokalana
Panno, coś światu Jezusa wydała;
Tyś odtąd Matką nam, ukochana,
I Opiekunką naszą została.
Żegnamy Ciebie, starcze, co przy żłobie
Strzeżesz Maryi, Jezusa małego;
Święty Józefie, w każdej życia dobie
Chciejże być stróżem i serca naszego.
Sercem dziecięcem Jezu Cię żegnamy,
Byśmy się z Tobą dzisiaj dziećmi stali:
Choć się od żłóbka Twego oddalamy,
Daj, byśmy sercem przy Tobie zostali.

Święto Trzech Króli, i przypadające w kilkanaście dni później, szczególnie ważne i uroczyste dla każdego Jezuity święto Imienia Jezus, natchnęło Antoniewiczowi nowe pieśni, które na cześć Bożego Słowa „w górę się wzbiły, jako woń kadzideł". Kiedyindziej, klękając przed cudownym obrazem Starowiejskiej Matki Bożej, piękności Królowej niebieskiej opiewał, z pokorną modlitwą do niej się zwracał:

Ze starowiejskiej dzwon zadzwonił wieży
I wszystkich wiernych woła do pacierzy:
Przed Matki Boskiej obrazem klękajmy,
Duszę i ciało pod Jej straż oddajmy!

Nie ludziom, nie sławie, nie ziemskiej piękności, ale Maryi, ale niebieskiej Matce syn dobry lutnię swą pod nogi składa:

Lutnio ma wdzięczna, w dawnych wspomnień cieniu
Długoś milczała smutna, w zapomnieniu,
Już na twych strunach przyschły łzy gorące,
Zcichły radości dźwięki głośnobrzmiące...
Dzisiaj na nowo chwytam cię w swe dłonie,
Dzisiaj na nowo w twe struny zadzwonię;
A gdy miłością dusza roztajała,
Aby w twe struny swe czucia przelała,
Nie próżnych myśli widma rozgorzałe —

Maryo! Twoją chcę opiewać chwałę...
Serce i pieśni — oto skarby moje,
Składam Maryo, pod stopy Twoje!...
Być Twoim sługą — oto moja chwała.
Być więźniem Twoim — Maryo, me godło.
Być dzieckiem Twojem — oto szczęścia źródło!...

Najświętszej Pannie poświęcona również dłuższa balada p. t.: „Więzień". Sędziwy kapłan niesie pokój i przebaczenie zbrodniarzowi, jęczącemu w ciemnym lochu; wszystkich próbuje środków, aby skruszyć twarde jego serce i do Boga je zwrócić; nakoniec „Bogarodzicę wzywa ku pomocy", wołać każe nieszczęśliwemu: „Matko!" — i to słowo potężne dokonywa cudu nawrócenia.

Starym jezuickim zwyczajem, obchodzili nowicyusze imieniny swego rektora, witali zwiedzających klasztor dostojników duchownych śpiewem, muzyką, ułożonemi przez siebie wierszami. Oczywiście Antoniewiczowi, jako znanemu i uznanemu poecie, przypadała przy tego rodzaju uroczystościach i powitaniach pierwszorzędna rola. Składając imieniem całego nowicyatu szczere życzenia to O. Maciejowi Czyhirowi, to O. Józefowi Morelowskiemu, wznosił korne modły do Jezusa, do Maryi, za „postarzałym w ich służbie, śmiałym, wiernym wodzem". Ta sama nuta dźwięczy w wierszach ułożonych na cześć goszczącego przez dni parę w starowiejskim klasztorze, ormiańskiego arcybiskupa Stefanowicza, i biskupa przemyskiego Franciszka Zacharyasiewicza.

Już w pierwszym roku pobytu w Starejwsi ułożył nasz poeta pewną liczbę wierszy to pobożnych, to okolicznościowych; na dobre rozwinęła się poetyczna wena dopiero w drugim roku, kiedy przełożeni, przekonawszy się, jak gorliwy nowicyusz szybkie robi postępy w życiu duchownem, uwolnili go od wielu nowicyackich zajęć, a natomiast zalecili zająć się naukami, które zwolna przygotować go miały do teologicznych studyów, do kapłańskiego powołania. Na pierwszem miejscu należało przypomnieć sobie lepiej i gruntowniej się wyćwiczyć w niezbędnym dla księdza języku łacińskim; należało zapoznać się z zasadami wymowy kościelnej; ale obok łacińskich wypracowań, obok re-

torycznych prawideł, zostało i dla poetycznej muzy, muzy nietylko polskiej lecz i łacińskiej, dość poczesnego miejsca. Biedna muza krzywiła się wprawdzie z początku niemiłosiernie, kiedy miasto znanych sobie dobrze polskich i niemieckich rymów i rytmów, musiała borykać się z łacińskiemi „daktylami", „jambami" i „trocheami"; kiedy chcąc pierwszą z brzegu myśl wyrazić, długo i mozolnie polować musiała za odpowiedniemi wyrażeniami w przerażającej rozmiarami księdze, tak zwanym: *Gradus ad Parnassum;* — krzywiła się i niecierpliwiła, wszakże ostatecznie pokonała przeszkody, i choć z pewną oczywiście biedą, potykając się i kulejąc, pospieszać próbowała w ślady Horacyuszów i Sarbiewskich. Głównie chodziło tu naturalnie, jak profesorom, tak i uczniowi, nie tyle o samą poezyę, co o nabranie wprawy i giętkości w łacińskich wyrażeniach i zwrotach; pocił się nad niemi wespół z kolegami nasz poeta, musiał je nieraz, wedle własnego swego wyrażenia, „jak szkło kitować", a choć niełatwo mu było język i formę opanować, wrodzony talent wsuwał w nią nieraz treść prawdziwie piękną, podniosłą. Tak np. częste przechadzki na starowiejski cmentarz, gdzie długim szeregiem ciągnęły się groby dawnych białoruskich Jezuitów, i dochodzące jednocześnie z Białorusi bolesne wieści o gwałtownem oderwaniu dwóch milionów Unitów od katolickiego Kościoła, wyrwały mu z duszy pełną łez i szlachetnego oburzenia odę: *Coemeterium Staraviesense.* Idzie od grobu do grobu swych braci, maluje paru rysami straszną burzę, srożącą się w Rosyi przeciw łódce Piotrowej; straszne walki, które Kościół staczać tam musi; — i starych, doświadczonych rycerzów, zbyt długo snem śmierci spowitych, na pomoc wzywa:

Powstańcie z grobu, bo oto Nerona
Wracają lata; powstańcie do boju,
Czoło ozdobi z lauru korona
Po krwawym znoju![1].

[1] Surge! crudelis redeunt Neronis
Saecla, nec deerunt virides cadenti
Militi palmae, pretiumque fuso
Sanguine partum!

Nie same tylko pobożne, nie same żałosne dźwięki płynęły z pod strun poety[1]. W zakonnej ciszy, wśród modlitwy, pracy kojącej dawne rany; w otoczeniu wesołych i młodych towarzyszów, wracała powoli do serca pogoda; zaglądać doń od czasu do czasu zaczęła wesołość, tylu bolesnemi przejściami na zawsze zdawało się wygnana. „Dobrego mamy Pana", powtarzał za starymi Ojcami swego zakonu; nie mamy racyi się smucić. I owszem, do melancholii zawsze nieco skłonny, zazwyczaj dawniej nad wiek poważny, teraz i tutaj dopiero jak gdyby odmłodniał, z ochotą brał udział w zabawach i żartach o wiele, wogóle mówiąc, młodszych kolegów; bywało że i sam porządnie wymęczony zgłębianiem retorycznych prawideł, zastosowywaniem przepisów na wykuwanie wierszów łacińskich, pełną garścią żartów i dowcipów, wspólną wesołość podniecał. Raz dojrzał, jak olbrzymie stada kawek, toczyły między sobą nadpowietrzny bój, o zajęcie co najwygodniejszych stanowisk w licznych kryjówkach i dziurach, któremi wieże starowiejskiego kościoła gęsto były zasiane. Widok ten budzi w poecie satyryczno-humorystyczną wenę; chwyta za kawałek papieru i szybko kreśli plan wielkiej, bo na dwanaście ksiąg rozłożonej, żartobliwej epopei, mającej opiewać starowiejskie kawki i ich wiekopomne czyny. Mętna nieco tradycya dodaje, że prócz planu powstało i parę pieśni zamierzonego poematu; jakiemu pieśni te uległy losowi, czy przez samego swego twórcę zostały zniszczone, czy z biegiem czasu zapodziały się gdzieś i przepadły, tego już nam tradycya wyjaśnić nie umie. To pewna, że z kawkowej owej epopei nie pozostało ani śladu, ani jednego wiersza; jak nie pozostało z długiego, na natarczywe prośby towarzyszów, naprędce zaimprowizowanego wiersza o „nodze stolika". Różne, wesołe

[1] Speil w życiorysie swym wspomina o łacińskiej tragedyi *Sennacherib*, którą Antoniewicz ułożyć miał na imieniny rektora, O. Macieja Czyhira. Wzmianka ta polega na omyłce. Tragedya *Sennacherib*, łacińskim wierszem napisana, wyszła z pod pióra O. Józefa Carpani T. J., znanego i cenionego w swym czasie autora z zeszłego wieku; Antoniewicz brał jedynie udział w odegraniu tej sztuki przez kleryków starowiejskich w dzień imienin O. Czyhira.

i smutne koleje, jakie przechodzić musiał mały, jasionowy stolik, stojąc najprzód długie godziny we lwowskim składzie mebli, dostawszy się później do modnego paniczyka, do apteki, wreszcie do żydowskiej antykwarni — dostarczyły obfitego a ciekawego wątku do tej improwizacyi, która podobno zajmować miała dwa arkusze bitego pisma.

Szczęśliwszy los zachował od zatraty inną wesołą improwizacyę, opiewającą przygody i przyjemności podjętej wspólnie całodziennej wycieczki do poblizkiej wioski Orzechówki. Pięknie to położona wieś, wiankiem lasów i lesistych pagórków dokoła otoczona; miły w niej był i dobrze znany zakonnej młodzieży domek starego kowala Boronia, w którym rokrocznie, w dzień na majówkę przeznaczony, znajdowała po długim, nużącym spacerze, wypoczynek i pokrzepienie. Stary Boroń zwykł był witać przychodzących ułożonym przez siebie samego bardzo poczciwym, choć nie zawsze wszelkim wymaganiom sztuki odpowiadającym wierszem. I tym razem nie sprzeniewierzył się dawnej tradycyi, a kilku z obecnych nalegać zaczęło na Antoniewicza aby na wiersz wierszem odpowiedział.

— Spróbuję — odparł nie dając długo się prosić, i za chwilę już wśród wesołych śmiechów zgromadzonych, głosił wierszowany opis całej majówki, malował drogę do Boroniowego domu i gościnne w nim przyjęcie:

Hej majówka! — w Orzechówce
Stanęliśmy po wędrówce.
— Gdzie tu kowal stary mieszka?
„Ot Jegomość, gdzie ta ścieżka,
Ponad potok, dalej kładka,
A pod lasem jego chatka“...
Hej majówka! tu wesoło,
Wszystko śmieje się wokoło...
Wszyscy chętni, wszyscy radzi,
A gospodarz rej prowadzi:
Z ocienionej wąsem gęby
Puszcza gęste dymu kłęby:
To się kłania, to się śmieje,
Rozpowiada stare dzieje.
Wkoło zięcie, córki, wnuki,
Ciężko zliczyć wszystkie sztuki.

Tu pod piecem kotek mruczy,
Tam się cielę skakać uczy,
Warczy wierny pies z daleka,
Z pod strzechy wróbel ucieka,
A pod belką gdzieś u kąta,
Jaskółka się w gnieździe krząta.
Tu się człowiek i zabawi
I obmową nie zadławi.
Gdzie się człek weseli w Bogu
Tam djabeł stoi u progu,
Darmo swoje miny stroi,
Nic ci się tu nie okroi...
Na reduty, na pikniki,
Gdzie nadęci jak jędyki,
Wszyscy jak w parnej kąpieli,
Choćby radość udać chcieli
W kwaśnej twarzy — to nie mogą.
Gdzie się nudy płacą drogo,
Płaci serce i sumienie,
Płacą zdrowie i kieszenie —
Tam ty twoje wystaw rogi,
Tu dla ciebie same głogi...

Tak na kształceniu duszy, serca, umysłu; na modlitwie i pracy przerywanej i urozmaicanej godzinami niezbędnego dla duszy i dla ciała wytchnienia, upłynęły szybko — jak nigdy dotąd w życiu — dwa lata nowicyatu. Ciężki, łzawy ból, z którym Antoniewicz wchodził w progi starowiejskiego klasztoru, przekształcił się zwolna pod wpływem ściślejszego złączenia się z Bogiem, odwrócenia wzroku od ziemi, a zwrócenia go ku niebu i ku niebieskim pociechom — w ciche, spokojne poddanie się woli najlepszego Ojca i Pana. Pamięć, miłość dla drogich zmarłych pozostała głęboko w sercu, powiedziećby można, że głębiej jeszcze sięgające zapuściła w niem korzenie; ale pamięć ta i miłość do Boga skierowane, ze źródła miłości Bożej wyłącznie teraz płynące, nie odejmowały lecz dodawały sił do szczerej pracy na chwałę Bożą. Już teraz nie pytał się Antoniewicz: co mam robić, gdzie iść? — widział, i z dnia na dzień coraz jaśniej widział wytkniętą przed sobą drogę; widział, jak drogą tą iść, trzymając się ściśle zakonnych reguł i przepisów, i szedł mężnie za „gwiazdą swoją, powołaniem swojem“, wstecz

się nie oglądając, nie zważając na ciernie, które mu od czasu do czasu — jak każdemu pielgrzymowi Bożemu — pod nogami wyrastały. Jakżeby się miał cofać i zastanawiać, kiedy prowadziły go wzniosłe, w rekolekcyach zwłaszcza poznane i całem sercem ukochane ideały, w sercu gorzał jasny płomień gorliwości o chwałę Bożą, a na końcu drogi błyszczało słońce wiecznego szczęścia w wiecznem złączeniu ze swym Stwórcą i Wodzem?

W przeciągu tych dwóch szczęśliwych lat raz tylko opuścił nasz nowicyusz na dni kilkanaście Starąwieś, aby odwiedzić we Lwowie zapadającą na zdrowiu, tęskniącą do syna matkę. Kilka tygodni przed tą wycieczką otrzymał w Starejwsi tonsurę i cztery mniejsze święcenia, z rąk przeniesionego niedawno z tarnowskiej na przemyską stolicę biskupa, spowinowaconego ze sobą przez rodzinę matki, Franciszka Zacharyasiewicza. Dwunastego września 1841 r., ściśle w dwa lata po rozpoczęciu nowicyatu, inna, od dawna upragniona uroczystość przywiodła Antoniewicza do skromnego ołtarzyka w nowicyackiej kaplicy; w czasie Mszy św., odprawionej przez O. Czyhira, związał się przed Bogiem zakonnemi ślubami ubóstwa, czystości i wiecznego posłuszeństwa w Towarzystwie Jezusowem, wszystkim jego regułom i ustawom uroczyście się poddał i obiecał, że do śmierci wiernie i posłusznie w zakonie wytrwa. Na pewien, jak gdyby widomy znak i potwierdzenie przyrzeczeń, złożył przechowywany dotąd, jako drogą pamiątkę, ślubny swój pierścień u stóp łaskami słynącej statuetki N. Panny w kaplicznym ołtarzu i uprosił u rektora, że pierścień ten wprawić kazał w złotą koronę okalającą skroń Matki Bożej!

Piękny to był, szczęśliwy, ważny dzień dla Karola. W nim dopełnił Bogu ofiary z całego swego życia, wyzuł się dla Boga ze wszystkiego, co miał i mieć mógł: z majątku, ziemskich radości, z własnej swej woli; został sługą Bożym, zakonnikiem, Towarzyszem Jezusowym w całem i pełnem tego słowa znaczeniu!

Ks. Jan Badeni.

DRUGI WIECZÓR NAD LEMANEM.

Drugiego dnia wieczorem siedzieliśmy znowu na tej samej terasie, nad niebieskiem jeziorem. Brakowało tylko Siemionowa, który na ten wieczór zrobił wycieczkę do Noyon. Podczas obiadu każdy opowiadał, co pięknego w ciągu dnia widział i jakie miłe wrażenia zebrał.

Przy czarnej kawie, Bielski, który widocznie czegoś nie mógł strawić z wczorajszej dyskusyi, znowu ją nawiązał w te słowa:

— Ośmielam się przypomnieć państwu, co powiedział p. Leroy na końcu wczorajszej naszej rozmowy: że spór między wiarą a rozumem jeszcze wcale nie wyczerpany. W rzeczy samej zbyliśmy tę sprawę kilkoma pięknemi zdaniami; a to przecież wielki spór, który nietylko szarpał umysły, lecz zakrwawił dzieje ludzkości. Sokrates skazany na śmierć za bluźnienie bogom, ofiary Inkwizycyi katowane za to, że ważyły się tłumaczyć Biblię po swojemu, Giordano Bruno spalony za wolność myśli, Galileusz uwięziony za obronę ruchu ziemi... oto krwawe pomniki tej walki wzdłuż szlaków historyi. Że dziś niema nowych ofiar, to znak, że rozum już blizki jest odniesienia zupełnego zwycięstwa.

MISS WILSON.

Zdaje mi się, że p. Bielski trochę odmienił kwestyę wczoraj rozpoczętą. Mówiliśmy właściwie o sporze między rozumem a sercem.

DEVILLE.

Tak jest, mówiliśmy o sporze między rozumem a sercem w sprawie religii. Ale ponieważ zgodziliśmy się na to, że serce lgnie do religii, więc możemy już tę samą kwestyę sprowadzić do pytania: czy i rozum na religię przystaje, albo czy ją odpycha? — Jednakże odpowiedź, jaką na to pytanie daje p. Bielski, jest, mojem zdaniem, zupełnie poza przedmiotem. W wyliczonych smutnych wypadkach, do którychby długi dopisać można szereg, nie toczyła się istotnie walka między religią a rozumem, ale najczęściej między różnemi religiami. A właściwie toczył się spór między ludzkiemi przekonaniami, skądkolwiek one pochodziły, z rozumu czy z wiary czy z kaprysu, dla których poparcia człowiek zawsze był skłonny użyć siły, gdy ją posiadał. Tolerancya obcych przekonań jest właściwym kwiatem cywilizacyi naszego wieku. Dawniej ten tylko obce tolerował, kto nie miał własnych przekonań, albo nie miał siły do ich popierania. Każda religia ma w swej historyi plamy krwi — nie wyjąwszy, niestety, kalwinizmu w Genewie. Nie religie jednak, rozumie się, winować trzeba, ale ograniczenie i popędliwość spółczesnych ludzi. Religie dają im tylko silne przekonania — co jest dobrodziejstwem, a oni chcą te przekonania przemocą narzucić drugim — co jest szaleństwem.

KSIĄDZ.

Pozwolę sobie wtrącić uwagę, że kiedy pierwszy raz państwo rzymskie, już uchrześcijanione, użyło siły przeciw odszczepieńcom Donatystom, św. Augustyn zaprotestował, i jasno sformułował zasadę cywilnej tolerancyi, o której mówimy. Nawet w średnich wiekach, wśród tych surowych natur, zwierzchnicy Kościoła niejednokrotnie ganili gwałty i głosili zasadę, że nie godzi się siłą nawracać ani pogan ani Żydów. Nie powiedziałbym więc, że nasz wiek odkrył zasadę tolerancyi, ale to tylko, że ją lepiej w życie wprowadził, dzięki ogólnemu złagodzeniu obyczajów, wskutek powolnego dojrzewania pierwiastków cywilizacyj-

nych, które od początku w łonie chrystyanizmu tkwiły. I dziś jeszcze, niestety, jak panom wiadomo, ta zasada nie wszędzie jest przeprowadzona.

LEROY.

To pewna, że te wszystkie gwałty nic wspólnego nie mają z walką, istotnie duchową, między rozumem a religią. I to też prawda, że w historyi ta walka nie występuje na jaw, okrom jednostkowych wypadków, aż do końca średnich wieków. Ówcześni ludzie umieją jakoś podporządkować rozum wierze, i wyobrażają sobie, że oba te światła wzajemnie się potęgują. Ale w czasie Odrodzenia już pojawiają się tu i ówdzie symptomy niezgody. Dopiero w XVIII. wieku walka na zabój, namiętnie przez obie strony prowadzona. W naszem stuleciu już nie tyle walka, co rozbrat. Spostrzegli się ludzie, że ani rozumu ani religii zabić niepodobna. Ale rozbrat zrobił się ogromny — i ciągle rośnie. Nauki, które od początku tego wieku potężnie się rozwinęły, uwydatniły i codzień więcej uwydatniają to przeciwieństwo — tak, że o żadnem pogodzeniu mowy być nie może.

Nie potrafię lepiej tego dziejowego zjawiska określić, jak przypominając co pisał niezrównany nasz analista Taine, w ostatnich swoich studyach o Historyi Rewolucyi, drukowanych w *Revue des deux Mondes.*

Już w połowie przeszłego wieku, według niego, odkrycia uczonych, uporządkowane przez filozofów, zarysowały całkowity szkic wielkiego obrazu, który się jeszcze dzisiaj wykończa. To obraz wszechświata fizycznego i moralnego. Szkic ów, jakkolwiek ogólnikowy, był tak trafny i tak dobrze zrobiony, że ci, co dalej nad obrazem pracowali, nic innego nie mieli do czynienia, tylko dany już kontur wypełniać i szczegóły modelować. Od Herschla i Laplace'a, od Volty, Cuviera, Ampera, Fresnela i Faradaya, aż do Darwina i Pasteura, aż do Burnoufa, Momsena i Renana, puste miejsca tego obrazu się zapełniają, wypukłość figur się uwydatnia, nowe rysy tłumaczą i uzupełniają dawniejsze — nie zmieniając wszakże nigdy znaczenia i wyglądu całości, i owszem konsolidując, pogłębiając, wykończając tę samą

myśl przewodnią, która się pierwszym mistrzom narzuciła. A to dlatego, że jak poprzednicy tak i następni pracują wciąż, jak się mówi u malarzy, podług natury, i ciągle swą pracę z wzorem porównują.

Otóż między tym obrazem świata, a tym, jaki wierzącym przedstawia religia, różnica jest ogromna, niezgodność każdemu widoczna. Podczas gdy pierwszy obraz ciągle się wykończa przez nowe nauki odkrycia, drugi określa się dalej przez nowe dogmatyczne orzeczenia. Podczas gdy pierwszy opiera się na rozumie i dowodach, drugi narzuca się przekonaniom za pomocą nabożeństw, karności kościelnej, zwłaszcza uczynków miłosiernych, które religia natchnąć umie i które są jej siłą i chlubą. — Coraz więcej światłych rozumów do pierwszego obrazu się zwraca; wiele szlachetnych serc trzyma się jeszcze drugiego. Ale wiele też ludzi wierzących przychodzi w naszych czasach do bolesnej wewnętrznej rozterki: co mamy porzucić: — pytają siebie — czy wiarę czy naukę? — Niektórzy najnierozsądniej usiłują wbrew oczywistości te dwa przeciwne obrazy godzić; próbują jakieś sztuczne mostki, jakieś schody między niemi ustawiać... Jest to wszystko, powiada Taine, fantasmagorya słów, która tylko illuzoryczną i niedługą daje im pociechę.

Taki jest niemal słowo w słowo, głęboki pogląd Taine'a. Wniosku on nie wyprowadza, ale pozwala się domyślać, że religia nie wytrzyma tego rosnącego parcia nauki i że w przyszłości, zapewne jeszcze dalekiej, ostatecznie ulegnie.

MISS WILSON.

Niema có mówić, jest to pogląd uderzający. Antagonizm między sercem a rozumem występuje w nim silnie. Jednakowoż co się w nim mówi o religijnym obrazie świata, opartym na definicyach dogmatycznych, to wszystko, zdaje mi się, odnosi się wyłącznie do rzymskiego katolicyzmu, który Taine, jako Francuz, musiał mieć przed oczyma. Chrystyanizm ewangeliczny jest wolny od tych więzów i może się według potrzeby do postępu nauk dostrajać. Więc też końcowa konkluzya tego wszystkiego, o przyszłym upadku religii, nas nie powinna straszyć.

DEVILLE.

Nie, pani! tego powiedzieć nie możemy, żeby chrystyanizm ewangeliczny mógł się ostać wobec takiego poglądu Taine'a. Nie jest on wprawdzie skrystalizowany jak katolicyzm, ale przecie jest religią pozytywną, na wierze w Chrystusa opartą. Zapewnie Taine ma szczególnie katolicyzm na myśli, ale to pojęcie świata naukowe, jakie on przeciwstawia religijnemu, nic innego za prawdę nie uznaje, jak tylko to, co się w obrębie nauki mieści i metodą naukową czyli doświadczalną sprawdza; wyklucza więc, nietylko katolicką dogmatykę, ale wszelką interwencyę Bożą, posłanie Chrystusa, wyklucza nawet nieśmiertelność duszy i Boga osobowego; więc ani śladu chrystyanizmu nie zostawia, ani możliwości żadnej religii.

HAINBERG.

Ja się trzymam tej zasady, że między nauką a religią niema nic wspólnego. Uczony chrześcijanin powinien stać na wysokości nauki i iść za jej rozwojem z nieograniczoną swobodą; a obok tego wierzyć, co mu sumienie wierzyć każe. Powinien w swoim umyśle ściankę założyć nieprzepuszczalną między temi dwiema sferami i powiedzieć sobie raz na zawsze, że ani myśleć nie będzie o ich porównywaniu.

DEVILLE.

Ha! to jest półśrodek, mój panie, który może mieć pożyteczność subjektywną, może jako tako ochraniać wewnętrzny pokój wielu ludzi, zwłaszcza ludzi żyjących życiem czynnem, albo też zamykających swą myśl w specyalnej gałęzi nauki. Ale dla ludzi chcących myśleć o całości, ten półśrodek nie wystarcza: bo jedna jest w człowieku świadomość. A objektywnie rzecz biorąc, to się nie da utrzymać: bo prawda objektywna jest jedna. Albo jest np. jakieś życie zagrobowe, albo go niema; — może to komuś sprawić pokój, że nie myśli o sprzeczności tych dwóch zdań, ale objektywnie i rzeczywiście jedno musi być prawdą, a drugie fałszem.

HAINBERG.

Jakiż więc pan środek podajesz?

BIELSKI.

Chciałbym słyszeć.

DEVILLE.

Ja żadnego środka nie podaję do godzenia sprzeczności, ale chcę pokazać, że ta cała sprzeczność między pojęciem świata naukowem a pojęciem religijnem, jest jednem wielkiem nieporozumieniem.

BIELSKI.

Jakto nieporozumieniem?

DEVILLE.

Tak jest; i spróbuję to w krótkich słowach wytłumaczyć.

Gdyby przeciwstawiono religii jakąś filozofię, jak np. z początku tego wieku Hegelianizm, to mogłaby być pewna antynomia między jednem pojęciem świata a drugiem. Filozofia jest pewnym poglądem na wszystkość, który w wielu wysokich zagadnieniach spotyka się oko w oko z religią. Ale nauka — którą dziś przeciwstawiają religii — ta nauka nowożytna, która tak jasno określiła swe zadanie i stanowisko (czemu zapewnie zawdzięcza swe wielkie powodzenia) — która odróżniła się dobitnie od metafizyki i wszelkiej filozofii, zostawiła tej ostatniej badanie istoty i głębszych przyczyn rzeczy, za swoje zaś pole uznała zjawiska i prawa zjawisk, a za metodę swoją, obserwacyę i na niej oparte logiczne wnioskowanie, zawsze doświadczeniem kontrolować się dające, więc nie wychodzące z pola empiryi — nauka ta, mówię, nie ma ani pretensyi żadnej, ani możności dania poglądu na wszystkość. Sfera, w jakiej się obraca, jest przynajmniej tyle odgraniczona od sfery religii, co od sfery filozofii. O istotnej kollizyi mowy być nie może.

Nauka bada jak z mgławic wyrabiają się słońca i planety; skąd jest materya. czy ma byt od siebie czy udzielony, o tem

nauka ani wie, ani pyta; a to jest właśnie pole afirmacyi wiary i może być także przedmiotem dochodzeń filozofii. Nauka konstatuje rezultat, do jakiego ewolucya mgławicy doprowadza; ale czy ten rezultat był z góry przejrzany i zamierzony, to nauki nie obchodzi; obchodzi zaś filozofię, i należy do religii. Nauka bada pod jakiemi warunkami w organizmie jawi się świadomość; śledzi odmiany tej świadomości, aż do punktu zwanego śmiercią, w którym ona usuwa się z pola obserwacyi; — ale czy rdzennym podmiotem tej świadomości jest duch albo materya — czy po śmierci duch ten przechodzi w inną egzystencyę — to są kwestye, o których nauka nie ma nic do powiedzenia; a o nich właśnie orzeka religia i niemi też na swój sposób zajmuje się filozofia.

Prawda, że wielu uczonych, zwłaszcza drugo- i trzeciorzędnych, pozwala sobie urabiać pewną metafizykę, przenosząc metodę i środki nauk przyrodniczych, do których przywykli, aż poza pole tych nauk, na teren zagadnień metafizycznych i religijnych. Rozstrzygają oni te zagadnienia, twierdząco lub przecząco, w imieniu nauki, na mocy pojęć i pewników empirycznych — nie postrzegając, że już wyszli poza sferę nauki doświadczalnej, — nie uważając, że pewniki, na które się powołują, żadnego znaczenia nie mają poza empiryą. W ten sposób konstruują sobie pewien pogląd na wszystkość: orzekają, że ta wszystkość jest z jednego pierwiastku, a nie z dwóch; że wyrobiła się pod wpływem jednych praw, w laboratoryach obserwowanych; że nie ma ani początków, ani celów, ani nic poza sobą i t. d. i t. d. I ten pogląd, który, jak każdy widzi, jest metafizyką — złą metafizyką zapewnie, ale metafizyką — nazywają naukowym.

W rzeczy samej ten pogląd nic nie ma z nauki, okrom formy. Wywody, które się nań składają, są formalnie naukowe, ale nie do naukowego przedmiotu stosowane. Byłyby doskonałe w materyi empirycznej, z której są wzięte; ale przeniesione na pole metafizyki, nie mają sensu. Zdanie: że bez mózgu nie można myśleć — jest bardzo prawdziwe i uzasadnione w naszej sferze doświadczalnej; to samo zaś zdanie, rozumiane o bezwzględnej

niemożliwości, aby jakakolwiek istota bez mózgu myślała, jest aż śmieszne swoją śmiałością i bezzasadnością.

BIELSKI.

Ale metoda naukowa, którą nasz wiek w umiejętnościach przyrodniczych szczęśliwie wypróbował, jest jedyna, jakiej użyć możemy. Poza nią niema nic pewnego!

DEVILLE.

Otóż ten sam frazes, któryś pan teraz wypowiedział, jest przeciwko naukowej metodzie. Metoda naukowa twierdzi tylko, że w sferze doświadczalnej takie a takie sposoby badania prowadzą do prawdy — a poza to nie każe wykraczać, ani twierdzeniem, ani przeczeniem. Jeżeli jakaś filozofia albo jakaś religia mówi, że coś poza tem, innym sposobem wie albo wierzy, na to nauka, jako taka, nic innego nie ma do powiedzenia — tylko, że to do niej nie należy.

LEROY.

Ale wolno przecież nauce stawiać hipotezy poza terenem, który zbadała. Te zaś hipotezy z czasem tak obrastają coraz nowemi nauki zdobyczami, że wkońcu, choć nie są wprost dowiedzione, jednak zbliżają się nieskończenie do pewności; a przeczenie ich byłoby niewątpliwie przeciwnem duchowi nauki.

DEVILLE.

Nauce wolno robić hipotezy poza terenem dotychczas zbadanym — ale zawsze tylko na terenie doświadczalnym, czyli w sferze mogącej być zbadaną środkami nauce właściwemi. Hipoteza o tyle jest naukową i nauce pożyteczną, że jest rzutem myśli naprzód, poza granice już zdobyte, ale w kierunku wskazanym przez dotychczasowe doświadczenia i w nadziei, że nowe doświadczenia przyjdą ją poprzeć. Tą nadzieją hipoteza żyje, w niej ma swą racyę bytu; więc kiedy się poza sferę możliwych doświadczeń awanturuje, już nie jest naukową hipotezą. Można różne stawiać hipotezy o sposobie, jakim z mgławicy wyrabia

się planetarny system: bo to wszystko leży jeszcze w polu doświadczalnem; niejedno w tym względzie obserwować można na dzisiejszym firmamencie, a niejedno w laboratoryach próbować. Ale czy materya mgławic ma byt absolutny, czy zależny od Stwórcy, o tem żadnej hipotezy naukowej robić nie można, bo tu niema możliwości doświadczenia. O rozmieszczeniu różnych funkcyj psychicznych w różnych częściach mózgu wolno robić naukowe przypuszczenia: bo można się spodziewać rozstrzygających w tej materyi spostrzeżeń; ale przypuszczenie, że świadomość niczem innem nie jest, tylko drugą stroną ruchów mózgowych — nie może uchodzić za naukową hipotezę: bo ani pomyśleć się nie da doświadczenie, któreby coś podobnego skonstatowało.

MISS WILSON.

Jedno tylko mam do zarzucenia tym wywodom: że są okropnie oderwane. Czyby nie można, mój panie Deville, trochę konkretniej pokazać, jak stąd wypływa pogodzenie czyli, jak pan mówi, rozgraniczenie tych dwóch obrazów świata, religijnego i naukowego?

DEVILLE.

Kiedy tak pani każe, to spróbujmy przedstawić sobie konkretnie obraz świata, jaki nam podaje nauka, a przekonamy się, że o kollizyi z religią mowy być nie może. Nie będę nudził szczegółami, tylko główne rysy uwydatnię.

Dzisiejsza nauka usiłuje wogóle pojąć *tak materyalny jak* moralny świat pod kątem ewolucyi — co już w zasadzie sprzyja religii, bo nic tak bardzo nie prowadzi umysłu do szukania początku i Twórcy, jak myśl ewolucyi.

W szczególności świat materyalny przedstawia najprzód nauce ewolucyę materyi nieorganicznej, od mgławicy aż do utworzenia obecnego naszego systemu planetarnego, za pomocą sił mechanicznych, w materyi tkwiących. Tu żadna teza ani nawet hipoteza nie wchodzi w kollizye z poglądem na świat religijnym. Religia, jak powiedziałem, interesuje się tylko tem, że byt tej materyi od Stwórcy pochodzi, że rezultat tej ewolucyi,

siłami natury wykonanej, był przez Niego zamierzony. A to jest, jak wiemy już, poza kompetencyą nauki. Dalej w świecie żyjącym nauka szuka także tłumaczenia tej mnogości form, na którą patrzymy, w genezie ewolucyjnej. Mało jeszcze w tej mierze skonstatowała, wiele napotkała trudności, przeważnie dotąd jeszcze w hipotezach pływa. Ale ani w tych hipotezach, ani w ich możliwych wynikach nic takiego niema, coby się religijnemu pojęciu świata sprzeciwiało. Jedna tylko hipoteza, często przez darwinistów wysuwana, stałaby z tem pojęciem w sprzeczności: tj. że ewolucya odbywa się zbiegiem ślepych przypadków, bez myśli Boga; — ale ta właśnie hipoteza nie jest naukową, tylko filozoficzną, z metafizyki materyalizmu wziętą.

Nawet ewolucyjne powstanie człowieka — jakkolwiek daleko mu do tego, żeby było nauki zdobyczą — nie jest w zasadzie przeciwnem religijnemu pojęciu. Jakimkolwiek sposobem człowiek z mułu ziemi został wytworzony, w każdym razie jest tworem Boga, który cały ten rozwój kosmosu zamierzył. Jakimkolwiek sposobem zdobył człowiek swe pojęcia moralne, estetyczne, religijne, w każdym razie, gdy przyszedł do poznania siebie, natury i Boga, winien Bogu cześć oddać, i prawo moralne, które w swem sercu znajduje, jako Boże pełnić — a w tem jest istota religii.

Może być, że w tym poglądzie to i owo zawadza o jaki szczegółowy dogmat pewnych wyznań chrześcijańskich, może coś w nim uchybia teologii katolickiej; nie jestem powołany o tem sądzić; z zasadniczemi jednak ideami chrystyanizmu godzi się ten pogląd najzupełniej. Spostrzegam zresztą, że i między katolikami nie brak wybitnych ewolucyonistów. Faktem jest, że znakomity darwinista Miwart jest katolikiem, i że dzieło, w którem dowodził zgodności ewolucyonizmu ze staremi katolicyzmu powagami, dedykował kardynałowi Newmanowi, a ten dedykacyę przyjął. Pamiętam, że św. Augustyn w swej księdze *de Genesi ad literam* przypuszcza, że Bóg na początku stworzył w stanie „potencyonalnym i zarodkowym“ wszystko, co miało później rozwinąć się i ujawnić stopniowo. I tę hipotezę rozciąga Augustyn

nawet do duszy ludzkiej — nie w tym sensie, jakoby duszę identyfikował z materyą, ale że i ją uważa za pierwiastek, który mógł najpierw istnieć potencyonalnie, a potem się rozwinąć.

Oto, moi panowie, przykład afirmacyi chrześcijańskiej, która pada poza terenem nauki, nietylko ówczesnej, ale — co warto zauważyć — i dzisiejszej. Ta ostatnia bada, czy i jakim sposobem z pierwiastków rozwinęły się rozmaite formy; pierwsza przez usta Augustyna twierdzi jedynie, że te pierwiastki, płodne w takie skutki, ręką Bożą posiane zostały.

HAINBERG.

Przyznaję panu, że ten pogląd zasadniczo mi się podoba. I ja nieraz narzekałem na wplątywanie się metafizyki w dziedzinę nauki; a paneś dobrze pociągnął granicę: po jednej stronie pole doświadczalne, należące do nauki; po drugiej *die Sache an sich,* dziedzina metafizyki i religii. Bardzo słusznie.

Zresztą z niejednego względu błyskotliwa myśl Taine'a o dwóch obrazach, wygląda mi (by użyć jego wyrazu) na fantasmagoryę. Istotnie uczeni nie malują obrazu całości, tylko obrabiają szczegóły, i to wyłącznie na powierzchni empirycznej; filozofowie układają całość, ale też oni nie pracują, jakby chciał Taine, „podług natury", tylko podług myśli: bo ta całość, o którą tu chodzi, nie da się obserwować. Zdobycze uczonych, należycie sprawdzone, nie kłócą się między sobą i dodają się w rzeczy samej jedne do drugich; ale konstrukcye filozofów, w naszym wieku więcej niż kiedykolwiek, ścierają się i burzą nawzajem, aż do fundamentów. Ogólny zarys wszechświata, któryby się w głównych liniach od przeszłego wieku utrzymywał, jest tylko *pium desiderium* Taine'a. Niczego tak nam nie brakuje w tej epoce, jak właśnie tych głównych linij stałych. Wreszcie początki rozwoju nowożytnej nauki nie datują się wcale z końca przeszłego wieku, od Herschla, Laplace'a i Volty, ale sięgają XVII-go i XVI-go wieku. Już Kopernik, Kepler, Kartezyusz, Newton, zrobili te wielkie i płodne odkrycia, które pchnęły naukę na nowożytne tory.

LEROY.

Ja, choć mniej surowo sądzę Taine'a, przyznaję także, że mi się kąt widzenia, przez pana Deville przedstawiony, podoba. Spodziewałem się drobiazgowego godzenia, szczegół za szczegółem, nauki z religią, owych „sztucznych mostków"; a tu jednym zamachem, rozgraniczenie — któremu (jak dotąd) nie można odmówić słuszności. Ale to dopiero mniejsza i dużo łatwiejsza część drogi przebyta. Ciekawym teraz widzieć, jak pan Deville zastosuje ten pogląd do świata moralnego, do historycznego rozwoju ludzkości. Tu przecież spotykamy się z faktami nadprzyrodzonemi, które religia twierdzi a nauka przeczy — i wogóle z opatrznością, która według religii rządzi ludzkością, kiedy według nauki rządzą nią prawa historyczne. Czy i tu da się zastosować tego rodzaju rozgraniczenie co w naturze?

MISS WILSON.

I ja ciekawam słyszeć.

DEVILLE.

Jestem przekonany, że i w tej sferze, choć mniej przejrzystej dla naszego oka, to samo w zasadzie istnieje odróżnienie. Nauki historyczne mogą z całą swobodą badać wypadki dziejowe, mogą je tłumaczyć jako wyniki z poprzedzających warunków, i dochodzić praw, podług których dzieje ludzkie się toczą i cywilizacye rozwijają. To wszystko bynajmniej nie przeszkadza temu, że z punktu widzenia wyższego od nauki, te same fakta dziejowe zamierzone są i kierowane przez Boską opatrzność. Opatrzność nie na tem zależy, jak sobie niektórzy trochę naiwnie wystawiają, żeby Twórca ustawicznie maszynę świata poprawiał, i to deszcz to pogodę sprowadzał, nie według praw natury, ale według próśb ludzkich, jakie dzień po dniu do Jego tronu dochodzą. Bóg przecież w swej wieczności miał wszystko co chciał zrobić, i wszystkie motywa, które chciał uwzględnić razem wiadome i obecne. W akcie inicyalnym, którym zakładał prawa tak natury jak i rozwoju ludzkości, przewidywał wszystkie ich następstwa — aż do włosku, który z głowy naszej spada — i chciał

tych następstw. W ten sposób wszystko, co się dzieje w świecie, dzieje się temi prawami natury i prawami historyi, których nauka docieka; a dzieje się zarazem opatrznościowo, jako zamierzone od Boga. — Otóż tenże sam akt inicyalny Twórcy, obejmujący wszystkie następstwa, jakie prawa natury i historyi w ciągu wieków roztoczą, jest właśnie tą zwyczajną opatrznością Bożą, która światem kieruje.

Nie wykluczają się obok tego w pewnych razach, interwencye Boga nadzwyczajne, objawienia nadprzyrodzone — których uzasadnienie należy do poszczególnych religij, co się na nie powołują. Ale, abstrahując od tego, już ta opatrzność zwyczajna, którą określiłem, wystarcza, jak każdy widzi, do religijnego pojęcia świata i do religijnego stosunku z Bóstwem.

MISS WILSON.

Żadną miarą nie wystarcza! Co mi to za religijny stosunek z Bóstwem, gdzie niemożliwa jest modlitwa? A jakżeż mogę się modlić, jeżeli mam sądzić, że wszystko jest nieodmiennie zdeterminowane od początku świata?

DEVILLE.

I owszem, możesz się pani modlić z ufnością i skutecznie: bo Bóg w swym czynie inicyalnym i tę modlitwę pani miał przed oczyma, i jeżeli ją uznał za godną wysłuchania, to ją wciągnął w obrachunek inicyalnego stanu świata. I kiedy dzisiaj przychodzi pogoda czy zdrowie, o któreś pani się modliła, to przynosi je, zwyczajnie mówiąc, bieg przyczyn fizycznych, zdeterminowany od początku świata; ale dlatego ten bieg był w tym szczególe tak a nie inaczej zdeterminowany, żeś się pani modliła. Z naszego poziomego, zanurzonego w czasie punktu widzenia, taki rodzaj przyczynowości niełatwy jest do pojęcia; ale dla Istoty ponad czasem stojącej jest on najnaturalniejszym. Nazwałem ten akt twórczy inicyalnym, aby wyrazić po naszemu, że już był w całości na początku świata, ale mógłbym go zarówno nazwać teraźniejszym i zarówno przyszłym: bo właściwie jest on wiecznym, wszem czasom obecnym.

W ten sposób rozumiejąc opatrzność, w każdem poszczególnem zdarzeniu, w naturze czy w historyi, człowiek uczony widzieć może dzieło przyczyn naturalnych — człowiek religijny widzi sprawę Bożą — a uczony religijny widzi sprawę Bożą przez naturalne przyczyny wykonaną.

LEROY.

Czołem jestem przed tem wzniosłem i prawdziwie filozoficznem wytłumaczeniem idei opatrzności — z którem, przyznaję, nigdy się jeszcze nie spotkałem. Rozumiem, że pod tym kątem naukowość z religijnością da się pogodzić. — Ale jest przecież jeden punkt, który psuje mi tę całość; ten właśnie, od którego p. Deville abstrahuje: o interwencyach Boga nadzwyczajnych. Gdyby to tylko były wyjątkowe roszczenia niektórych religij, zgodziłbym się na ich pominięcie, ale mówiliśmy wczoraj, że prawie wszystkie religie powołują się na jakieś fakta nadprzyrodzone, na objawienia z nieba zesłane. W szczególności chrystyanizm, który jest nam najbliższy, o którym musimy myśleć ile razy mówimy: religia — pełen jest tych cudów, tych objawień, które religia zatwierdza jako fakta historyczne, a którym krytyka naukowa przez usta Renana i tylu innych uczonych bytu zaprzecza. Jest tu antynomia, której, sądzę, ani pominąć nie można, kiedy się mówi o religii, ani jej rozwiązać owem odróżnieniem między metafizyką a nauką: bo tu afirmacya i negacya odnoszą się do tych samych konkretnych faktów.

KSIĄDZ.

Pozwolę sobie po swojemu odpowiedzieć, nie opuszczając jednak tła myśli pana Deville. Tu niema wprawdzie tego rozgraniczenia objektywnego między nauką a religią i filozofią, jakie p. Deville znakomicie wykazał w dziedzinie nauk przyrodniczych; ale jest tu z tych samych źródeł pochodząca dwoistość motywów. Renan np., który bez ogródek zdaje sprawę z swej metody krytyki historycznej, oświadcza z góry, że wszelki fakt nadprzyrodzony trzeba uważać za niebyły, albo go do rozmiarów zwykłych wydarzeń sprowadzić. Inni to mniej wyraźnie

wypowiadają, ale niemniej ściśle pełnią. Rzecz prosta, że tak pojęta krytyka nie może żadnego faktu nadprzyrodzonego skonstatować, skoro z góry oświadcza, że nie chce.

LEROY.

Ale to jest najracyonalniejsza z zasad krytyki historycznej, szanowny Księże! Przecież nic nadprzyrodzonego się nie zdarza! Kto kiedy widział cuda?

KSIĄDZ.

Ja nie namawiam obecnie pana do wierzenia w cuda, ale zwracam tylko na to uwagę, że to co nakłania pana do wypowiedzianego zdania, do sądzenia, że objawy nadprzyrodzone nie zdarzają się nigdy i zdarzyć się nie mogą — to nie jest powód historyczny, naukowy, ale powód filozoficzny: pewien pogląd na świat, który panu każe uważać nadprzyrodzone fakta za niemożliwe. Co za powód historyczny mógłbyś pan mieć przeciwko tym faktom? Czy w źródłach historyi, w pomnikach przeszłości, niema często mowy o takowych? Czy może dzisiaj nikt nie świadczy, że widział cuda? Ale najpierw, uogólnienie takiej obserwacyi, z dzisiaj na wszystkie czasy, byłoby śmiałem i niekoniecznie naukowem; a potem, nie szukając dalej, wieluż to rodaków pańskich przysięga, że widzieli cuda w Lourdes? Nie wchodzę w to, czy w tem jest cośkolwiek prawdy, ale konstatuję tylko, że przeczenie istnienia nadprzyrodzonych objawów nie pochodzi — u pana, u Renana, u innych podobnie negujących — z braku świadectw i źródeł historycznych; ale pochodzi, jak powiedziałem, z pewnej filozofii, którąście sobie panowie wyrobili: albo stąd, że pojmujecie świat jako istniejący bez Twórcy, bytem absolutnym — albo, że wyobrażacie sobie Boga jako nie mogącego cudów czynić — albo jeszcze co innego. W każdym razie jest to jakaś metafizyka o świecie albo o Bogu, która wyklucza, w waszem przekonaniu, możliwość cudów, i doprowadza was w krytyce historycznej do mijania ich bez obejrzenia się na nie.

LEROY.

Ale czy historyk nie powinien mieć pewnej filozofii?

KSIĄDZ.

I owszem, powinien ją mieć, i każdy człowiek myślący winien mieć jakiś pogląd na świat. Ale najprzód winien historyk jasno sobie zdawać sprawę, że ten pogląd, który kieruje jego badaniem, nie jest wynikiem nauki, ale postulatem pewnej filozofii — co wielu zapoznaje. A po drugie nie powinien ignorować możliwości innych filozofij. Gdybyś pan miał inną filozofię, nie widziałbyś żadnej w tem niemożliwości, żeby Bóg, chcąc rodzaj ludzki oświecić o najważniejszych prawdach, natchnął niektórych ludzi ku temu; a chcąc ich posłannictwo wobec ogółu ludzkości uwierzytelnić, żeby otoczył ich pewnemi znamionami swej wiedzy i potęgi, przewyższającemi zwykły bieg rzeczy. Nie byłoby to negacyą przyczynowości ani porządku w świecie, ale tylko uznaniem, że ponad czynnikami natury jest jeszcze wyższa przyczyna, i ponad prawami i celami natury mogą być jeszcze wyższe prawa i cele.

Póki stoi człowiek na gruncie tamtej filozofii, nie teistycznej, póty naturalnie umysł jego jest oporny na objawy nadprzyrodzone; są one dla niego czemś obcem, nieracyonalnem — więc musi je przeczyć, a przynajmniej wykręcać, tak, aby wszelki ślad nadprzyrodzoności z nich wycisnąć — choćby wyjść miała z tej roboty postać karykaturalna, jak Jezus Renana. — Dopiero kiedy człowiek wzniósł się do teistycznego pojęcia świata, wtedy, wogóle mówiąc, staje się zdolnym spostrzegać w pewnych faktach dziejowych charakter nadprzyrodzony, palec Boży, który mu wskazuje, że tu a tu Bóg raczył objawić swą prawdę lub wolę.

HAINBERG.

Dobrze więc: nauki same przez się nie przeszkadzają religijnemu pojęciu świata; wszystko zależy od poglądu na świat, czyli od filozofii, z jaką kto do nauki się bierze. Ale to tylko dalej spycha kwestyę religijną i sprowadza nas na pytanie: ja-

kiej trzymać się należy filozofii? co może nakłonić rozum, aby pod kątem teizmu raczej, niż monizmu albo panteizmu albo jeszcze innego systemu patrzył na świat?

DEVILLE.

Wyszliśmy, mój panie, z tego punktu, że nasze czasy przeciwstawiają religii, nie filozofię ale nauki, i szło o to, czy nauka nowożytna stoi prawdziwie w sprzeczności z religią — a tośmy właśnie przedyskutowali. Kwestya o wyborze filozofii, którą teraz pan wnosisz, jest wielka jak morze, i do jej wyczerpania nie myślę się zabrać. — Zdaje mi się jednak, że choć powierzchowny rzut oka na historyę myśli ludzkiej w naszym wieku wystarcza, aby być uderzonym różnicą dwóch kierunków. Po jednej stronie, jakeś pan sam zauważył przeciwko Taine'owi, idą po sobie systemy filozoficzne, z których każdy następny burzy wszystko co poprzedni postawił, aż do fundamentów. Najprzód skrajny materyalizm wiejący z Anglii i Francyi; potem zawrotny idealizm niemieckich mistrzów; potem znów materyalizm przeradzający się niebawem w pozytywizm; dziś znów reakcya przeciw materyalizmowi, uznanie, że musi być coś poza tem co widzialne. — A z drugiej strony teizm, który jest zarówno klasyczną filozofią jak wieczystą religią, idzie pośrodku tych odmian skrajnych; każda z nich mimowoli oddaje mu hołd przez to samo, że się odsadza od skrajności przeciwnej; on zaś wzbogaca się tem wszystkiem, co one rzetelnego zdobywają. Sam ten widok, że tak powiem, zewnętrzny niemało jest pouczający.

A kiedy człowiek chce wejść w siebie, i pogodnie, zdala od waśni zewnętrznych i przy uciszeniu wewnętrznych namiętności, porównywa: z jednej strony pojęcie świata teistyczne, z drugiej próby zrozumienia świata bez Boga — i zastanawia się, co bardziej odpowiada całej jego naturze: rozumowi i sercu i zmysłowi moralnemu i estetycznemu — to długo wątpić nie może, po której stronie szukać ma prawdy.

Przyjaciel mój, Karol Secrétan, mawia słusznie, że probierzem każdej filozofii — nietylko co do jej pożyteczności, ale co do jej prawdy — jest nauka moralna, jaka z niej logicznie wy-

pływa. System każdy, prowadzący do negacyi moralności, powinien być odrzucony: nie dlatego że zły, ale dlatego że jest fałszywy; — bo absurdem jest, żeby była sprzeczność między prawdą a dobrem, i obowiązek moralny jest zarówno niezachwianym pewnikiem, jak same prawa myślenia, na których rozum buduje umiejętność. A z tego stanowiska sądząc, czy może się jaka filozofia naprawdę utrzymać, oprócz tej, która idzie z Bogiem osobowym — z wolną wolą i odpowiedzialnością człowieka — z różnicą zła i dobra, opartą na absolucie?

Nie jest to, jak pan chcesz, wyczerpnięcie kwestyi o filozofii, ale jest podstawa dostateczna, przynajmniej do zoryentowania się i wyboru praktycznego — jakiego życie wymaga.

KSIĄDZ.

Mnie się znowu zdaje, że nietylko stan filozofii, ale nawet kierunek nauk w naszym wieku pozytywnie sprzyja religijnemu poglądowi na świat. Prawda, co p. Deville ściśle wykazał, że każdy, choćby najprostszy wniosek z danych naukowych do ostatnich przyczyn wybiega z granic nauki, po nowożytnemu pojętej; że więc z tego względu nauki są obojętne na dalsze dedukcye, jakie metafizyka, filozoficzna czy religijna, z nich wyprowadzi; niczego w tej dalszej sferze nie afirmują ani negują. Odwrotnie jednak metafizyka, która te dedukcye wyprowadza, nie jest obojętną na rezultaty nauk; oryentacya ich badań może bądź się oddalać, bądź zbliżać do zagadnień, które ją obchodzą; odkrycia ich i zdobycze mogą pewnym filozoficznym poglądom dodawać siły, innym grunt z pod nóg usuwać. Fakt objechania ziemi dokoła przekonać musiał myślicieli brahmińskich, że ziemia nie stoi na grzbiecie wielkiego słonia, stojącego na wielkim żółwiu. Wiele równie pięknych marzeń materyalistycznej metafizyki rozwiała trzeźwość dzisiejszej nauki i zmusiła materyalizm do skromniejszej postawy.

Z drugiej strony kąt widzenia genetyczny i ewolucyjny, pod jakim dzisiejsza nauka usiłuje świat poznać, przybliża umysł, jak wspomniał p. Deville, do teistycznego pojęcia świata. Póki sądzono z Arystotelesem, że świat nieodmiennie taki sam pozo-

staje, póty myśl o jego początku nie tak koniecznie się narzucała. W zaraniu naszego wieku zaczęto mówić „postęp“ — co już było krokiem naprzód, bo już zwracało uwagę na punkt, od którego się idzie, i na doskonałość, ku której się postępuje. Dziś mówi się: „ewolucya“, „rozwój“ — a to nowe hasło, po wszystkich polach nauki rozbrzmiewające, jest jeszcze dalszym krokiem, jeszcze większem zbliżeniem do teistycznego poglądu. Postęp nie mówi skąd pochodzi, gdzie tkwi jego przyczyna; można go tłumaczyć przez czynniki zewnętrzne; i starzy transformiści, jak Lamark, wszystkie zmiany przypisywali wpływowi otoczenia; sam Darwin niewiele szedł dalej. Zaś ewolucya, rozwój, to postęp od wnętrza; co się rozwinęło, to *ipso facto* musiało być jakoś wewnątrz zarodkowo, potencyonalnie. Ewolucya suponuje jakiś pierwiastek, który w potencyi zawiera przyszłe doskonałe formy i do ich urzeczywistnienia dąży. Jest to „pierwiastek doskonalący“ Nägeli'ego, wewnętrzna siła rozwoju Wiganda, Weissmanna, Kernera, *growth force* Cope'a, prawie to samo, co potencyonalny stan stworzeń św. Augustyna. Dzisiejsi ewolucyoniści to coraz lepiej rozumieją. Już tylko jeden krok do zrobienia zostaje; a właściwie już nowego kroku nauki nie potrzeba; dosyć żeby się obejrzeli tam gdzie stoją — a spostrzegą, że ów pierwiastek zawierający potencyonalnie przyszłość, do którego doszli, suponuje przed sobą inteligencyę twórczą, pojmującą tę przyszłość.

Nauki historyczne jeszcze więcej niż przyrodnicze ku religii i ku samemu chrystyanizmowi swój obieg zawracają. Sama ścisłość i sumienność dzisiejszych badań historycznych w puch rozsypała rozmaite forteczki, skonstruowane niegdyś przez ducha antyreligijnego, które drogę do chrystyanizmu ludziom zatarasowywały. A z drugiej strony fakta dziejowe, które stanowią wytyczne punkta religii objawionej, a które dawniej wydawały się tak dalekie i niewyraźne, jak planety dla oka nieuzbrojonego — zaczem można było co się żywnie chciało o nich przypuszczać — dziś przez odkrycia nowożytnej nauki zbliżone i wyraźnie uwidocznione zostały, jakby potężnym teleskopem. Różne nauki historyczne, jak archeologia, historya języków, historya starej sztuki,

etnografia przedhistoryczna, historya religij i t. p. — które z początku zdawały się w odwrotnym do Biblii biedz kierunku, obecnie skręcają ku niej, rzucają na nią światło, tak dalece, że kiedy w przeszłym wieku można ją było poczytać za romans, dziś każdy uczony widzi w niej najcenniejsze źródło historyczne.

Początki zwłaszcza chrystyanizmu, wiara i ustrój pierwotnego Kościoła, epoka powstania ksiąg Nowego Zakonu — to wszystko, nie do ostatniego słowa, ale już tak blizko, tak wyraźnie zdeterminowane zostało; takim dziwnym zbiegiem i teksty świeżo odszukane i grobowe napisy i malowidła i szczątki naczyń i narzędzi złożyły się na to w jedno, jak fragmenta starej mozaiki, i tak wypukle nam te fakta przedstawiają — iż zdaje się nam prawie, że ich ręką dotykamy. — Są zawsze uczeni, co przeczą, ze stanowiska swej filozofii, nadprzyrodzonemu charakterowi tych faktów; ale już to co w nich uznają historycznego wystarcza, aby wyzbywszy się uprzedzeń antyreligijnych, zobaczyć w nich Boski pierwiastek. — Centralny fakt dziejów ludzkich, w otoczeniu szczegółów historycznych, które dzisiejsza nauka coraz więcej rozświetla i przybliża, ukazuje się w taki sposób umysłowi szczeremu i szukającemu Boga, że ten w nim poznaje Boskie zmiłowanie i objawienie się ludziom.

Więc wolno nam, zdaje mi się, powiedzieć, że dzisiejszy ewolucyjny i historyczny kierunek nauk przychylny jest religii, i wskazuje nam jakiej trzymać się mamy filozofii.

MISS WILSON.

A mnie się zdaje, że na kwestyę, jaką filozofię powinien sobie obrać człowiek, najlepsza odpowiedź jest: że powinien obrać filozofię pokory. Bakon gdzieś powiedział, że nawet naturę badać powinniśmy pokornie, nie narzucając jej swoich pomysłów, ale usiłując poznać, co się podobało Panu Bogu w naturze uczynić. O ile bardziej, kiedy idzie o pogląd na wszystkość, na wzajemne stosunki Boga, świata i człowieka, powinniśmy się strzedz systemów, któreby mogły nam przeszkodzić w zrozumieniu tego, co Bóg chce żebyśmy zrozumieli, a mieć umysł gotowy do przyjęcia prawdy, jaką Bóg raczy nam podać.

LEROY.

Bardzo pięknie!

DEVILLE.

Bardzo dobrze! Tej lekcyi potrzebuje nasz wiek. Pycha umysłowa jest uderzającą jego cechą. Tłumaczy się ona nadzwyczajnemi jego zdobyczami w nauce i przemyśle, które zawróciły mu głowę; niemniej jednak jest ona przyczyną pewnej kołowacizny w filozofii, jakiej wieki poprzednie nie znały. Najtrzeźwiejszy w badaniach naukowych, nasz wiek — rzecz dziwna — jest najszaleńszy w filozoficznych spekulacyach. I ta sama pycha wieku tłumaczy jego niewiarę, aż do ateizmu posuniętą. Jest to logiczne następstwo — i słuszna kara.

HAINBERG.

Mieliśmy dzisiaj nie lekką rozmowę. Podziwiam wytrwałość panny Wilson. Ale wpadliśmy w taki przedmiot, że niepodobna było inaczej się z nim uporać. Bądź co bądź, niejeden interesujący punkt się wyklarował; za co winniśmy wszyscy podziękować dzisiejszemu lederowi, panu Deville.

Ks. M. Morawski.

NOWY POGLĄD NA ESTETYKĘ.

(Suggestion dans l'art, Paul Sourieau).

Grau ist jede Theorie — grün ist nur des Lebens gold'dner Baum. Nigdzie może nie dadzą się te znane słowa Getego lepiej i trafniej zastosować, jak w dziedzinie teoryj estetycznych. Złote drzewo sztuki od tysięcy lat bezustannie nowe puszcza pędy i coraz świeżym okrywa się liściem i kwiatem. Teorye estetyczne, jakby opar szarych mgieł podnoszą się jedne po drugich i rozpływają bez śladu: albo je rozniesie wicher nowych pojęć, albo je rozedrze potężnemi skrzydłami geniusz twórczy, niepowstrzymany niczem w orlim swym locie.

Możnaby więc zapytać: na co są? co po nich, jeśli powstawszy rano, rozwiać się mają wieczorem?

A jednak dobrze że są, że powstają, choćby równie prędko przejść miały. Świadczą one przedewszystkiem, że duch ludzki, jak na każdem polu, tak i na tem, dotrzeć chce do prawdy i rwie się do niej upornie: sto razy zmyliwszy drogę, gotów po raz setny i pierwszy piąć się do swego wiekuistego celu. A powtóre, tam gdzie one są, widać że społeczeństwo sztukę kocha i dba o nią, skoro ją bada i w jej zagadnieniach się zacieka.

W historyi sztuki, co prawda, wywierała teorya nieraz wpływ wprost szkodliwy, ilekroć usiłowała odpowiedzieć na pytanie: j a k ą p o w i n n a b y ć s z t u k a. Dopiero odkąd uznano tę tak prostą i zdrową prawdę, że teorye estetyczne dobre są dla

wszystkich, tylko nie dla artysty, któremu jedynym prawodawcą powinien być jego własny talent — odtąd i teorya estetyczna zrzekła się swego fałszywego mentorskiego tonu i stanowiska, a stara się rozwiązać jedynie pytanie: czem jest sztuka, jakie wrażenie i jakiemi wywoływać może środkami.

Przedewszystkiem każdy wiek, każde niemal pokolenie inaczej pojmuje sztukę i czego innego od niej żąda, a odpowiedź, która wystarczać mogła wczoraj, nie wystarcza dzisiaj, jak dzisiejsza nie wystarczy może jutro. Każda epoka w cywilizacyjnym rozwoju społeczeństw wydaje swoją sztukę, a co za tem idzie, wydać także musi swoją estetykę.

Swego czasu, może niezbyt dawno temu, popłacała teorya estetyczna, zlepiona z górnolotnych jak balon, i jak balon wydętych frazesów o „bezwzględnem pięknie“, o „pogodzeniu idealizmu z realizmem“. W praktyce powstawała z tego „pogodzenia“ mdła mikstura, a „bezwzględne piękno“ rozumiał każdy i stosował, jak mu się żywnie podobało. Czytelnik z uszanowaniem pochylał głowę, udając, że rozumie to, czego może nie rozumieli dobrze sami twórcy tych *mglistych teoryj*.

Potem przyszła kolej na skrajnie naturalistyczną doktrynę, nakazującą artyście niewolnicze naśladownictwo życia, choćby kosztem zaparcia się swej artystycznej indywidualności. Przechodziło to wkońcu w chorobliwe uganianie się za brzydotą i brudem. Artyści prawdziwi, talenta szczere i jędrne, nieraz bezwiednie, a czasem nawet wbrew własnej woli, tworzyli dzieła potężne i piękne na przekór teoryi, nie umiejąc utrzymać zbyt silnej i zdrowej swej indywidualności w roli prostych kopistów natury.

Takie zwietrzałe doktryny mają dzisiaj tę tylko wartość, że *in abstracto* stwierdzają, czego od sztuki pragnęło, czego się po niej spodziewało to lub inne pokolenie.

Naodwrót kluczem do każdej takiej teoryi estetycznej jest zawsze coś, co w danej chwili było ulubionem politycznem, filozoficzno-religijnem, naukowem lub społecznem hasłem epoki. I tak, w czasach kiedy kiełkować zaczynało dzisiejsze pojęcie demokracyi — w sztuce i teoryi sztuki mamy silny i gorący zwrot do

motywów ludowych; pozytywizm i materyalizm w dziedzinie filozoficzno-religijnej wiąże się z naturalistyczną sztuką i estetyką. Tak bywało zawsze — tak jest i dzisiaj.

W ostatnich czasach charakterystycznym objawem jest mistycyzm na tle fizyologiczno-psychologicznem. Zjawiska takie, jak hypnotyzm i suggestya, dotychczas niewytłumaczone, choć stanowczo stwierdzone, pociągać muszą i zajmować całe szeregi ścisłych badaczy i szerokie koła inteligencyi. Badania naukowe na tem polu przedsięwzięte, po części osiągnęły już rezultaty świeże i niespodziewane. To też nic naturalniejszego, jak pomysł zastosowania tych właśnie rezultatów w dziedzinie estetyki do rozwiązania najciekawszego pytania: czem jest sztuka, jak i jakiemi działa środkami. Pomysł ten oryginalny i śmiały a tak na czasie, wyszedł z głowy Francuza p. Pawła Sourieau. Przy właściwej francuskim uczonym jasności i przejrzystości przedstawienia przedmiotu i wytworności pióra, z pomysłu tego powstała niezmiernie ciekawa książka, wydana niedawno u Alcana w „Bibliotece filozofii współczesnej".

Przystępując do zapoznania naszych czytelników z ciekawą tą pracą, podajemy naprzód główne zarysy wywodów p. Sourieau, zastrzegając sobie prawo poczynienia w dalszym ciągu uwag, jakie nam się nasunęły.

I.

Pod wrażeniem każdego dzieła sztuki, dusza ludzka doznaje nietylko niewymownie błogiej rozkoszy, ale po pewnym czasie zapada w jakiś stan dziwny skupienia, oderwania od otaczającej rzeczywistości i sennego niemal ubezwładnienia. Każdemu zdarzało się popaść w taką zadumę czy zachwyt i ukołysanie najzupełniejsze myśli, woli i świadomości w zaczarowanem kole dźwięków muzycznych; albo po prostu nad kartką rojącą się od czarnych głosek. Oko wtedy, rzec można, nie widzi liter — ale jakby na wewnątrz zwrócone zapatruje się w obrazy wywołane twórczą fantazyą poety; ucho nie rozróżnia już prawie dźwięków zasłuchane w całą ich kaskadę i porwane jej prądem. Cała istota ludzka wstrząśnięta do głębi drży wewnętrznem wzruszeniem.

Komuż wtedy przyjdzie na myśl, że tony te powstały pod miarowym naciskiem palców artysty, przez prostą wibracyę drutów i skręconych kiszek baranich, a pogłębiły się jeszcze i podniosły wskutek resonansu pustych skrzyń drewnianych? Zapominamy o tem co najprostsze, najrzeczywistsze, poddajemy się złudzeniu i wzruszeniu, jakie w nas wywołać chciał artysta, jakie nam narzucić i podsunąć pragnął. Pomiędzy tym stanem, bądź co bądź anormalnym, a hypnozą jest pewna analogia, a działanie sztuki na psychiczny nastrój i nerwowy ustrój jest niezaprzeczenie podobne do działania suggestyi.

Ale nie od razu zapadamy w ten stan biernego poddania się wrażeniu. W pierwszej chwili doznajemy tylko jakby przypływu i wezbrania uczuć. Jest to coś jak budzenie się wrażenia. Niebawem jednak zasypiają w nas jedna po drugiej wszystkie funkcye psychiczne. Czar się rozpoczyna. Nie zdajemy sobie sprawy, dlaczego ten przedmiot jest piękny, zapominamy prawie o tem, że jest piękny i tylko oderwać się odeń nie możemy. Całkiem biernie ulegamy jego urokowi i to nam wystarcza.

Ktoby na nas patrzał w tej chwili, ujrzałby oczy w jedno miejsce wpatrzone, jakiś dziwny pół-uśmiech zadowolenia zastygły na ustach, postawę ciała nieruchomą, dech zaparty. I tu nowe, uderzające podobieństwo z objawami hypnozy.

Dopiero kiedy z pierwszego wrażenia ochłoniemy, kiedy się z zachwycenia ockniemy, budzi się uśpiona świadomość i refleksya. Umysł za pomocą krytycznej obserwacyi usiłuje sobie wytłumaczyć, skąd dany przedmiot takie na nim wywarł wrażenie, i wtedy dopiero przychodzimy do jasnego pojęcia, iż przedmiot ten jest piękny i na czem piękność jego polega. Ale do tego trzeba już pewnej umysłowej kultury i wyrobionego artystycznego wykształcenia — podczas kiedy sama wrażliwość artystyczna wystarcza do odczuwania i podlegania urokowi piękna.

Jak długo trwał ten stan estetycznego zachwycenia, trudno oznaczyć. Każdy przeciąg czasu jest pewnym szeregiem momentów czyli stanów świadomości, rozróżnić się pomiędzy sobą dających a pamięcią powiązanych. Każdy taki przelotny stan świadomości (zwany chwilą) wywołany jest zmianami, które

zaszły bądź w nas samych, bądź w otaczającym świecie. Tymczasem podczas takiego artystycznego zachwytu ani w nas, ani przed nami w przedmiocie samym, nic się nie zmienia i dlatego właśnie nie może być poczucia trwania. Podobnie ma się rzecz z pojęciem upłynionego przeciągu czasu u osób zahypnotyzowanych. W rzeczywistości stan ten trwa zwykle krócej niż nam się zdawało. Każdy prawie, kto w stan taki popadnie na parę minut, gotów ręczyć, nie bez przesady, że to trwało godziny całe. *Dans toute descripsion d'extase il faudra que l'on mette une fois au moins le mot d'Eternité* — dodaje złośliwie Sourieau. Jest w tej przesadzie bezsprzecznie dużo miłości własnej, a zbyt mało miłości ścisłej prawdy. Boć przecie niepowszedni trzeba mieć umysł, żeby całą godzinę módz w ekstazie spędzić przed posągiem lub obrazem. Ale bądź co bądź ta skłonność do przypisywania przesadnie długiego trwania, tym stanom zachwytu, dowodzi, że w istocie trwają one krócej, niż się zwykle zdaje. Wróciwszy do pełnej świadomości, zdajemy sobie sprawę jedynie z tego, że w normalnym łańcuchu uświadomionych momentów jest luka — jak wielka, tego określić nie umiemy, jest się bowiem wtedy w położeniu kogoś, komu zegarek stanął nie wiadomo kiedy, może od godziny, a może od dwóch lub trzech?

Pamięć, mimo wszelkich wysiłków, zdoła podać zaledwie bardzo niedokładne przypomnienia tego, co się działo w duszy podczas takiego zawieszenia świadomości. Odurzeni, od otaczającej rzeczywistości oderwani, zachowujemy w takich chwilach jedynie poczucie własnego bytu i bytu przedmiotu, który naszą wrażliwość w ten stan zachwycenia wprawił. Istotnie mieliśmy przez chwilę wrażenie wieczności, która jest właśnie bytem niezmiennym, jednostajnym a w sobie zamkniętym.

Są pewne warunki sprzyjające wytworzeniu się takiej ekstazy, inne znowu, mniej dla niej korzystne, utrudniają jej powstanie.

W stanie zupełnie normalnym umysł nasz jest zbyt ruchliwy, aby łatwo mógł na jednym niepodzielnie zatrzymać się przedmiocie. Na to potrzeba, aby tętno myśli nieco zwolniało. I w samej rzeczy, tem łatwiej zapadniemy w ten stan zachwytu, im

bliżsi i skłonniejsi jesteśmy do hypnozy, w ścisłem tego słowa znaczeniu. I tak, bezpośrednio przed uśnięciem lub po obudzeniu w stanie napół-sennym, — u rekonwalescentów, zmęczonych chorobą — gdy myśl płynie leniwie, gdy ciało leży miękko i bezwładnie, byle najprostszy przedmiot usposabia do zadumy i kontemplacyi. Tak samo działa zmęczenie fizyczne, i ono właśnie po części przyczynia się do dodania uroku widokom podczas dalszych wycieczek. Póki się jest jeszcze w pełni sił, póty wszyscy idą, nie zatrzymując się niemal dla rozejrzenia się po otaczającym krajobrazie. Ale zmęczenie wzrasta z każdą chwilą, i kiedy się stanie u celu, wówczas ustaje i fizyczny i moralny popęd do dalszych wysiłków. W ukojeniu i skupieniu można wtedy godzinami całemi patrzyć przed siebie na roztaczający się widok.

Wszystkie środki podniecające chwilowo akcyę mózgu, jak alkohol, haszysz, sprowadzają w dalszym ciągu jej opadnięcie niżej normalnego poziomu i przez to usposabiają do ekstazy. Podobnie działa tytoń. *La première vue et le premièr examen d'un bibelot dans la fumée d'un cigare ou d'une cigarette est la sensation par excellence d'un passioné d'art,* pisze w „Dzienniku“ Edmund Goucourt.

Ale nietylko zwolnienie akcyi mózgowej usposabia do popadnięcia w ekstatyczną zadumę. Drugim, sprzyjającym temu stanowi warunkiem, jest zupełne zaspokojenie potrzeb fizycznych. Wszelka dolegliwość lub niezaspokojona potrzeba rozdrażnia i podnieca, a naodwrót wszelkie wrażenie przyjemne łatwo przybiera formę kontemplacyi. Dowodzą tego wszystkie zmysły. Wzrok natrafiwszy na miłą sobie barwę, z lubością się w niej zatapia i oderwać się od niej nie może; tak samo jest z przyjemnym dźwiękiem lub zapachem. Podobnie ma się rzecz nawet z najniższemi zmysłami smaku i dotyku. Każdy z nas, i to nieraz może, schwytał samego siebie na gorącym uczynku, jak bezmyślnie wodził ręką po kawałku pluszowej materyi lub po gładko politurowanym stole. Albo z jaką niewypowiedzianą rozkoszą, z jakim zachwytem wyciąga się na słońcu człowiek, po raz pierwszy wyprowadzony na świat po dłuższej chorobie.

Wrażenie ciepła ogarnia go, koi i niemal usypia. Guyau pisze w swoich *Problèmes de l'esthetique contemporaine:* „Nigdy nie zapomnę tego cudownego wrażenia, jakie mi zrobił okład lodowy podczas silnej, zapiekłej gorączki. Żeby je oddać choć w przybliżeniu, powiem, że było to wrażenie tak błogie, jak dla ucha zmęczonego całym szeregiem dysonansów, posłyszany nagle dźwięk harmonijny. Tylko to proste wrażenie ochłody było o wiele głębsze, słodsze a ostatecznie i estetyczniejsze niż od niechcenia rzucony akord, który ucho łechce i pieści przez chwilę. Pod wrażeniem tem zmartwychwstawała we mnie zwolna jakaś wewnętrzna harmonia, i czułem w sobie jakby rodzaj ukojenia moralnego, ogromnie słodkiego i cichego".

W tem miejscu dodaje Sourieau: „Oto doskonały przykład zachwytu, wywołanego błogością fizyczną; w zachwycie tym własne ‚ja' pogrąża się samo w sobie, i zatapia się w kontemplacyi swej własnej fizycznej rozkoszy".

W podobny sposób działa przez zmysły na umysł piękność przyrody. Działanie jej jest jednak tem spotęgowane, że potrąca o wszystkie zmysły naraz.

Tak samo bywa z działaniem estetycznem przedmiotów sztuki. Prawda, że arcypocieszny jest M. Jourdain, gdy sobie każe podać szlafrok, aby lepiej mógł słuchać muzyki. A przecież trudno nie przyznać, że wrażenie estetyczne dzieła sztuki potęguje się przez odpowiednie zestawienie różnych innych sprzyjających okoliczności i warunków. Ten sam i tak samo dobrze wykonany utwór muzyczny zyska jeszcze, gdy go usłyszymy gdzieś w noc księżycową. Naodwrót w dusznej sali koncertowej, wśród tłumu, który rozrywa uwagę, przy migotliwem, sztucznem oświetleniu, które męczy i rozstraja, ta sama muzyka nie będzie miała ani połowy tego uroku.

Spokój moralny jest trzecim, może najważniejszym czynnikiem do wywołania kontemplacyjnego nastroju i estetycznej hypnozy. Wszelkie gwałtowne rozdrażnienie, każda osobista, silna namiętność podnieca i pochłania wyłącznie dla siebie wrażliwość nerwów i umysłu. Przeciwnie uczucia spokojne, miękkie, liryczne, koją i uciszają głębię duszy i ułatwiają skupienie się wewnętrzne.

Pogodny, cichy smutek usposabia do zadumy i kontemplacyi. Nawet i ciężkie ciosy mogą wywołać podobny nastrój. Zwykle bowiem po gwałtownym napadzie bólu i rozpaczy następują chwile łagodnego przyciszenia i rezygnacyi.

Jak wymienione warunki sprzyjają powstaniu zachwycenia kontemplacyjnego, tak znowu są inne, które je utrudniają lub nawet wprost uniemożliwiają. Najgorszą taką przeszkodę nosimy sami w sobie, a jest nią nasz własny krytycyzm. Zatruwa on nam najpiękniejsze chwile najszczerszego zapału dla piękna. Przyzwyczajamy się do analizowania siebie samych, naszych wrażeń i dzieł sztuki. Jeszcze wobec piękności przyrody łatwiej nam zapomnieć się i uśpić w sobie żądło tego gadu. Ale wobec dzieł sztuki, uważamy sobie niemal za obowiązek występować sami przed sobą w roli sędziów i znawców. Zadawalnia to może naszą miłość własną, ale psuje najmilsze wrażenie, jakie sztuka dać może.

Pragnąc jasno wytłumaczyć stosunek, jaki zachodzi pomiędzy zachwyceniem i kontemplacyą estetyczną a suggestyą, trzeba badać przyczyny, które wywołują oba te zjawiska. Wspólność przyczyn będzie jednym więcej dowodem identyczności samych zjawisk.

Przyczyny wywołujące hypnozę, zowią się fascynacyami. Ponieważ sztuka przemawia przedewszystkiem i bezpośrednio do zmysłów wzroku i słuchu, więc też Sourieau bliżej zastanawia się tylko nad fascynacyami wzrokowemi i słuchowemi.

Z pomiędzy wzrokowych, najprostsza i bodaj najczęściej się zdarzająca jest fascynacya wywołana za pomocą blasku.

Oko ma instynktowną potrzebę widzenia; ciemność z natury samej jest dla wzroku przykrą. Idziemy ciemną nocą przez puste i gęstym mrokiem okryte pola, z mimowolną radością wzrok nasz napotyka w oddali mrugające światełko i zatrzymuje się na niem ciągle — ciągle do niego powraca. Wszelki blask ma tę własność, że oczy ku sobie ciągnie. Ale nietylko blask; wszelka żywsza barwa ten sam ma urok nieprzeparty dla naszych wzrokowych organów. Ściśle rzecz biorąc, blask i barwa (jeśli posiada odpowiednie natężenie) mają dla oka to samo zna-

czenie. Wartość świetlna barwy nie zależy jednak bynajmniej od jej ciemniejszego lub jaśniejszego tonu. Fromentin w jednej ze swych ciekawych rozpraw *(Revue des deux Mondes)* powiada, że „pewien ton nawet bardzo ciemny może wywołać wrażenie blasku, podczas gdy inny, o wiele jaśniejszy, może tej własności świetlnej nie posiadać". Doskonale wyjaśnia to przykład; wyobraźmy sobie pomarańczę rzuconą w śnieg: jaskrawa jej barwa, aczkolwiek o wiele ciemniejsza od białości śniegu, nietylko przy tej białości nie zgaśnie, ale przeciwnie, zaćmi ją dla oka i przedstawi się, jako punkt błyszczący i jaskrawy na tle matowobiałem.

Rozumie się, że pierwszorzędne znaczenie w kwestyi wartości świetlnej danej barwy, odgrywa prawo kontrastu. Każda barwa, niesharmonizowana ze swem otoczeniem, wygląda krzykliwie i jaskrawo. W naturze, mimo barw niezmiernie żywych i rozmaitych, prawie nigdy niema kolorów krzyczących i jaskrawych — bo wszystkie harmonizują się oświetleniem i warstwą powietrza, która je rozdziela. Za to wszelkie wyroby ludzkiej ręki najczęściej kłócą się swemi wrzaskliwemi i jaskrawemi barwami z subtelnym i harmonijnym kolorytem natury, i przez to ściągają ku sobie oko — ale je równocześnie i rażą brutalnością swych kolorów. Rzecz jasna, że im przedmiot jakiś bardziej błyszczy, lub im jaskrawszą ma barwę, tem bardziej oczy ku sobie pociąga i tem wyłączniej wzrokowi się narzuca; skutkiem tego, tem łatwiej przykuje do siebie wzrok i uwagę, unieruchomi je i w hypnozę wprawi. Tylko żywość i jaskrawość tej barwy nie powinna przechodzić poza tę granicę i miarę, poza którą zaczyna się już wrażenie dla wzroku przykre, niemal bolesne. Blask oślepiający nietylko oka nie przyciąga, ale przeciwnie, mruży je i łzami napełnia.

Dałaby się więc ustanowić zasada, że fascynacya osiągnie swój najwyższy stopień, gdy blask osiągnie także swój stopień najwyższy, a nie przejdzie jeszcze w olśniewający.

Co się zaś tyczy rozmiarów świetlnego czy barwnego przedmiotu, to pociągać on będzie oko tem bardziej, im będzie mniejszy; przypomnijmy sobie tylko przytoczony już przykład

o małem światełku, migocącem wśród nocy. Jeśli weźmiemy kilka punktów jasnych, to żaden z nich stale wzroku ani uwagi na siebie nie zdoła skupić. Oko przechodzić będzie z jednego na drugi, a de Maistre zauważył nader trafnie, że jeśli punkta te błyszczące ustawione będą w jakąś symetryczną figurę, to oko wkońcu spocznie w jej geometrycznym środku. Tem też tłumaczy się, dlaczego złota rama, otaczająca obraz, nietylko nie odciąga ku sobie wzroku, ale przeciwnie, przerzuca go z siebie na obraz.

Hypnotyzerzy używają gałki metalowej lub szklanej do wprawienia swych medyów w stan hypnotyczny. Niema jednak pod tym względem lepszego przedmiotu nad oko ludzkie, które jako mały, silnie świecący punkt, posiada w najwyższym stopniu wszystkie warunki do sprowadzenia hypnozy, tem bardziej, że swym wyrazem potęguje ono jeszcze wrażenie. Jakikolwiek zresztą będzie przedmiot przykuwający ku sobie spojrzenie nasze, hypnoza zależeć będzie od tego, czy patrzyć będziemy dobrowolnie i świadomie, czy też mimowolnie spojrzawszy, zatopimy oczy w dany przedmiot mechanicznie i bezświadomie. Uwaga, a za nią świadomość zacznie słabnąć, myśl leniwieje, a wkońcu ustaje, i my sami stajemy się jakby zwierciadłem, w którem przedmiot dany się odbija, ale które ani wie, ani myśli o tem. To zamarcie i unieruchomienie fizyczne i moralne, bezwolne i bezświadome — to dopiero prawdziwa hypnoza.

Ale cóż to wszystko ma wspólnego z kwestyą estetyki i sztuki?

Mówimy, że dzieło sztuki wprawia nas w zachwyt dlatego, że jest piękne, ale niemniej słusznie możnaby powiedzieć, że dlatego nazywamy je pięknem, że nas wprawia w zachwyt. Istotnie od sztuki i wogóle od wszystkiego, co nazywa się pięknem, żądamy aby nas zachwycało, aby nas wprawiało w stan lekkiej hypnozy.

Po wszystkie czasy artyści, najczęściej instynktownie, w pracy swej twórczej wyzyskiwali tę skłonność naszą do kontemplacyjnego zachwytu.

Weźmy naprzykład ten cudowny artyzm, z jakim wieki

średnie traktowały witraż. Ciemna głębia kościoła, ogromne, ponure sklepienia i arkady, a w głębi rozeta stubarwna, która na tem tle mrocznem po prostu rzuca się w oczy i przygwożdża spojrzenie. Wrażenie potęguje się jeszcze tam, gdzie układ witrażu jest skoncentrowany około jednego żywego i jaskrawego punktu w środku, a ku brzegom barwy rozety ciemnieją stopniowo. Ten jeden punkt będzie panował nad oczyma widza i zmusi je do utkwienia w tym kierunku.

Zupełnie podobnego motywu używają malarze i wywołują nieraz zdumiewający efekt światła. Oczywista, że w obrazie nie może być mowy o świetle i oświeceniu w materyalnem, dosłownem znaczeniu tych wyrazów. Idzie jedynie o to, aby oku widza dać złudzenie światła, tak żeby uwierzył, iż plama żółta lub biała, która — dajmy na to — przedstawia płomień świecy lub lampy elektrycznej, istotnie świeci i promieniuje. Umieściwszy taką jasną plamę na tle stosunkowo bardzo ciemnem, otrzyma się wrażenie światła łudząco prawdziwe. Według tego, cośmy mówili wyżej, punkt ten jasny wyda się tem jaśniejszym i tem silniej oczy przykuje, im będzie mniejszy. Dość powiedzieć, że cały proceder Rembrandta nie na czem innem polega.

Również na potwierdzenie tego, co się poprzednio powiedziało, niech posłuży słynna „Czarownica“ Franza Halsa w muzeum w Lille. Białe plamy czepka i chustki na szyi tak są wybornie rozmieszczone, że nie pociągają ku sobie oka, tylko je zwracają ku środkowi, w kierunku maleńkiego, błyszczącego punkcika źrenicy, która przez to nabiera niesłychanego blasku i wyrazu, i formalnie magnetyzuje widza.

Jest jeszcze inny środek skupienia wzroku i uwagi patrzącego na jeden punkt w obrazie. Sposób ten polega na subtelnem wykończeniu tego właśnie miejsca, a tem pobieżniejszem traktowaniu innych, w miarę im bardziej są oddalone. Oko po kilku spojrzeniach na boczne części obrazu musi wrócić do tego jednego punktu i zapatrzy się nań, skutkiem czego nastąpi fascynacya, tak dla artysty pożądana. Sposób ten malowania ma teoretycznie jeszcze i to za sobą, że jest zupełnie zgodny z istotną właściwością organów wzrokowych: oko obejmuje tylko pewne

pole widzenia, a jeszcze i w obrębie tego koła widzi przedmioty z nierówną dokładnością; jedynie przedmiot umieszczony naprost źrenicy odbija się na siatkówce z całą dokładnością, inne, w miarę jak są położone dalej od środka pola widzenia, odbijają się coraz bardziej ogólnikowo i sumarycznie. To też taki sposób malowania jest po prostu utrwaleniem na płótnie tego, co można jednem spojrzeniem ogarnąć.

Wprost jednak niemożliwym byłby ten proceder przy wielkich kompozycyach o charakterze dekoracyjnym. Tam trzeba zwracać oko widza ku głównemu punktowi obrazu za pomocą odpowiedniego dośrodkowego ugrupowania, kolorytu i rozkładu światłocienia.

Przejdźmy do innego objawu fascynacyi wzrokowej. Niech kto czytając książkę pomyśli o jakimkolwiek przedmiocie, znajdującym się w pobliżu. Mimowolnie wzrok przeniesie się z książki na ten przedmiot. A jeśli spróbujemy oczu od książki nie odrywać, to doznamy uczucia niemal przykrego, które póty dręczyć nas będzie, póki instynktownej chęci spojrzenia nie ustąpimy. Przedmiot ten bowiem wywiera już na nas fascynacyę mentalną. Jeśli przedmiot jaki raz uderzy myśl naszą, to ona skutkiem swej skłonności do zatrzymywania się i kontemplacyi, wracać będzie do niego przez dłuższy czas z dziwną wytrwałością.

Przedmioty ohydne, wzbudzające wstręt i odrazę, posiadają tę właściwość częstokroć w wyższym stopniu niż inne obojętne. Spotkawszy na ulicy żebraka ze skoszlawioną ręką lub nogą, doznajemy jakiegoś nieprzepartego pociągu do patrzenia na jego obrzydliwe kalectwo. Widok taki będzie nas przejmował wstrętem, a równocześnie pociągał.

Im wrażenie jest wstrętniejsze i bardziej odpychające, tem większą posiada moc pociągania wzroku. Wobec przedmiotów wzbudzających największą odrazę, stoi się, jak gdyby się w ziemię wrosło, bez siły oderwania oczu od przejmującego zgrozą widowiska. Taka fascynacya mentalna, wywołana okropnością widoku, bywa (w miarę użyta) potężnym środkiem artystycznym. Dość przypomnieć obrazy Ribeiry, sekcyę Rembrandta — łupienie oczu

Glosterowi w „Królu Learze“ — albo w naszej literaturze taki klasyczny przykład, jak ten młody rekrut, co był

Litwinem
Wielkiego rodu, księcia, grafa synem —

gdy

Jeden koń tylko trafił go kopytem
I złamał ramię. Kość na pół rozpadła,
Przedarła mundur i ostrzem sterczała
Z zielonej sukni — strasznie, trupio biała
I twarz żołnierza równie jak kość zbladła.

Czytając ten „Przegląd wojska“, mimo tylu silnych, gryzących i wstrząsających ustępów, nie można się opędzić temu jednemu obrazowi. Nawet następująca potem wściekła inwektywa do cara („Ach kiedyś tego imienia, o carze...“) nie robi odpowiedniego do swej potęgi wrażenia.

Jak utkwienie myśli w jeden przedmiot, tak naodwrót i jej rozproszenie, jej odlot gdzieś w dalekie strony, wywołuje fascynacyę mentalną. W codziennem życiu bodaj czy to nie najczęstszy przypadek zapatrzenia hypnotycznego. Tem tłumaczy się zapatrzenie, wywołane monotonnym i miarowym ruchem jakiegobądź przedmiotu — ruch wahadła zegarowego może wprawić w taki stan hypnotyczny. Z początku wpatrujemy się w ten ruch, badając jego przyczynę; potem, chociaż myśl dawno odleciała gdzieindziej, spojrzenie zostaje nieruchomo wlepione w ten sam punkt. Wkońcu myśl gubi się całkiem w nieokreślonej zadumie.

Zdarza się to nieraz wobec obrazów, zwłaszcza wobec pejzażów, że uderzeni jakimś szczegółem, zapatrzymy się weń z początku świadomie, potem bezmyślnie, wreszcie i samego obrazu nie widzimy, choć od niego nie odrywamy oczu; myśl nasza odeszła gdzieś w nieznane światy.

Przechodzimy z kolei do suggestyi słuchowej.

Podobnie jak niektóre barwy, tak i pewne dźwięki mają tę właściwość, że się narzucają uchu. Tak np. syk płomienia gazowego w cichej sali, albo szept wodotrysku. Mają one wszystkie tę właściwą sobie charakterystyczną cechę, że do dokładnego pochwycenia ich potrzeba pewnej akkomodacyi narządu słuchowego. Huk sam przez się wdziera się w ucho i akkomodacyi nie

wymaga — przeciwnie te subtelne gwary, szelesty i szmery zmuszają do wytężenia ucha. Znany i niezawodny jest w muzyce efekt *pianissima*: im bardziej ono cichnie, tem bardziej wzrasta uwaga słuchacza, aż do zatrzymania tchu w piersi, by nie uronić ostatniego śladu echa.

Uwaga słuchowa dosięga jednak najwyższego stopnia, gdy się pewnego dźwięku spodziewamy. Zręczny mowca umie tę właściwość natury ludzkiej wyzyskać. Przed rozpoczęciem przemówienia milczy chwilę i istotnie uwaga wszystkich słuchaczy zawisa na jego wargach. Tak samo działa wszelki odgłos, powtarzający się w regularnem tempie. Wytwarza się bowiem w przerwach jakieś oczekiwanie męczące, przykre, mimowolne a przykuwające. Wystarczyłoby może w tej chwili zacząć myśleć o czem innem, by się z pod tej fascynacyi uwolnić — ale nie możemy się wtedy zdobyć na to, by o czem innem myśleć.

Na tem właśnie polega rytm. Chwyta on nas za słuch swym miarowym taktem i zmusza do słuchania. W interwale między jednym akcentowanym dźwiękiem a drugim, przygotowujemy się na następny i odczuwamy formalną potrzebę usłyszenia tego akcentowanego tonu. Mówiono i pisano wiele o rozkoszy, jaką sprawia dla ucha rytm muzyczny lub poetycki. Prawda, że to regularne następstwo dźwięków ma dla ucha swój niezaprzeczony urok, ale potęga rytmiki polega nietyle na tej rozkoszy, ile na tem, że nas rytm opanowywa, w swoje miarowe tempo porywa. Popęd ten do pójścia za rytmem jest tak silny, że wywołuje rytmiczne ruchy, które towarzyszą taktowi muzyki lub wiersza. Taniec i to upojenie tańcem nie na czem innem polega. To też jeśli rytm się zmyli, splącze, jeśli ucho nie otrzyma w danej chwili potrzebnego słuchowego wrażenia, doznajemy uczucia przykrego: raz w rytm wprawiony nerw słuchowy łaknie i domaga się czegoś, co nie nastąpiło.

Opowiadają, że jednego wieczora u Mozarta zeszło się koło znajomych. Jeden z nich bezmyślnie rzucił na klawiaturę kilka akordów i urwał. Kiedy się później wszyscy rozeszli, Mozart próbował usnąć, ale nadaremnie. Długo przewracał się z boku na bok, aż wkońcu wyskoczył z łóżka, pobiegł do fortepianu

i dograł do końca przerwane akordy. I wtedy dopiero mógł zasnąć spokojnie. Opowiadanie to ma wszelkie cechy prawdopodobieństwa, już choćby ze względu na samą naturę geniuszu Mozarta. Kto w zakończeniu prawie każdej ze swych oper tak lubi powracać do motywów rzuconych na początku, nic dziwnego, że powrócił do kilku urwanych akordów. Bądź jak bądź, prawdziwe czy nieprawdziwe, to opowiadanie rzuca bardzo wiele światła na sprawę hypnotyzmu w sztuce. Czyż tysiączne doświadczenia hypnotyczne nie wykazują takich samych objawów? W kilka dni lub dłużej nawet po przebytej hypnozie, osoba zahypnotyzowana mimowolnie i instynktownie doznaje nieprzepartej potrzeby spełnienia woli hypnotyzera. Taka fascynacya słuchowa, jakiej tu mamy przykład, przedstawia dziwne podobieństwo do fascynacyi hypnotycznej.

Jak fascynacya wzrokowa, tak i słuchowa powstać nareszcie może przez roztargnienie. Ni stąd ni z owąd, myśląc o czem innem, zaczynamy łowić uchem jakiś szmer, czy odgłos, i wsłuchujemy się weń z dziecinną uporczywością, nie mogąc się odeń oderwać. I trzeba albo przypadku, albo pewnego wysiłku woli, by się z pod władzy takiego dźwięku uwolnić.

Dźwięki ciche, łagodne, monotonne, jak się wspomniało, przyciągają uwagę, a tem samem obniżają ruchliwość umysłu pod jej normalny poziom. Wsłuchując się w nie, sami nie wiemy, dlaczego wpadamy w rodzaj odrętwienia. Stan świadomości schodzi wtedy do prostej percepcyi wrażeń słuchowych. I staje się z nami, co się staje z rozdrażnionem dzieckiem, kiedy ktoś próbuje je ukoić kołysanką. Przychodzi sen. I nie potrzeba nawet, by dźwięki stopniowo cichły; wystarcza tylko, by uwaga nasza stopniowo słabła. Bo według ogólnego prawidła wrażliwości, wrażenia, do których nie przykładamy odpowiednio skupionej uwagi, słabną.

Nawet i dźwięki wyraźne, dość ostre, byle miarowe, mogą wywrzeć ten sam skutek. Zrazu przykuwają one i pochłaniają uwagę, potem ją nużą i osłabiają, a wkońcu usypiają.

W podobny sposób działa rytmika muzyczna i poetyczna. Weźmy przykład gruby, elementarny. Ktoś deklamuje wier-

sze głosem monotonnym, śpiewającym. Po chwili już przestaniemy pojmować znaczenie słów, sama rytmika pochłonie nas całkiem, a wkońcu ukołysani, uśniemy. To też każdy poeta używa rytmiki do wprowadzenia czytelników w rodzaj jakiegoś półsnu na jawie, bo stan taki niezmiernie sprzyja wywołaniu kontemplacyi poetycznej. Zupełnie tak samo ma się rzecz z muzyką. Sięgnijmy znowu po przykład elementarny. Słuchamy jakiegoś utworu o monotonnym, kołyszącym rytmie. Z początku śledzimy jeszcze za biegiem melodyi, potem rytm pokrywa wszystko i chwyta nas w swe tempo. Doznajemy uczucia dziwnego osowienia i przyćmienia świadomości. Przed wzrokiem naszym przesuwają się rytmicznie jakieś nieokreślone kształty, jakby zabarwione kolorytem dźwięków. Wkońcu następuje nagłe wyładowanie się nerwowych narządów. Zaczynają nam wirować przed wzrokiem jakieś zjawiska świetlne, słyszymy głosy jakieś wyraźne i ostre, które nas nawołują; to już po prostu halucynacya hypnotyczna.

U niektórych ludów cała muzyka zasadza się na wprawieniu słuchacza w taki stan anormalny. Taką jest naprzykład muzyka tunetańska, której instrumenty są jakby umyślnie w tym celu dobrane i skonstruowane: rodzaj dużej mandoliny zwany *aud*, małych skrzypiec *rebab*, tamburina i wielkiego półkulistego kotła z gliny, *derbuka*. Rebab i aud grają *unisono* melodyę zwykle minorową, a tamburino i derbuka akcentują rytm monotonny i miarowy. Ponad tem wszystkiem panuje przewlekły, nosowy głos śpiewaka, który sennie i jakby od niechcenia zawodzi jakieś długie, odurzające litanie.

Ale i w naszej, europejskiej muzyce zdarza się tysiąckrotnie użycie podobnych efektów. Dość wspomnieć niektóre preludya Chopina albo utwory Schumanna, które monotonną falistością rytmu i powtarzaniem dźwięków wprawiają słuchacza w jakąś letargiczną zadumę i przedziwnie artystyczne tym sposobem wywołują wrażenie.

Częstokroć rolę tę hypnotyzera odgrywa tylko akompaniament, na którego tle rozwijać się może ożywiona i świeża melodya. Tak jest np. w *Mondscheinsonate* Beethovena. Słuchacz ma

zupełnie wrażenie, jakby słyszał daleki jakiś głos śpiewający w nocnej ciszy, przerywany czasem i zacierany szelestami nocy.

Często także zachodzi połączenie fascynacyi wzrokowej ze słuchową. Słysząc jakikolwiek dźwięk, nietylko wytężamy ucho, ale i zwracamy spojrzenie w stronę, z której głos dochodzi. I naodwrót, patrząc na przedmiot poruszający się, nasłuchujemy, czy nie doleci nas jaki odgłos, wywołany tym ruchem. Oba te połączone czynniki mogą tak samo wywołać fascynacyę, jak każdy z osobna. Takich fascynacyj mieszanych doznaje się najczęściej pod wrażeniem natury. Działa ona bowiem równocześnie na wszystkie zmysły, a szczególnie na wzrok i słuch, jako najbardziej artystycznie wyrobione. *L'éclat, le bruit de la mer exercent sur moi une sorte d'hypnotisme qui ne porte point à la réflexion* — pisze George Sand w swoich „Wrażeniach i wspomnieniach".

W dziedzinie sztuk — muzyka w sposób cudowny podnosi i potęguje estetyczne wrażenia wzrokowe, i nawzajem. Najlepszym tego przykładem jest opera. Zresztą jest rzeczą i naukowo stwierdzoną, że zadrażnienie jednego zmysłu działa podniecająco na wrażliwość innych [1]. To wzajemne uzupełnianie się i potęgowanie wrażeń zmysłowych tkwi głęboko w ludzkiej naturze.

Wszystko co się dotąd powiedziało o kontemplacyi estetycznej, o czynnikach, które ją wywołują, i warunkach pod jakiemi powstaje, wszystko to tłumaczyłoby już dostatecznie ten urok, jaki w niej leży. Przedewszystkiem jednak uwalnia ona od rzeczywistości, odbierając, lub przynajmniej do *minimum* zmniejszając świadomość. Zmęczeni życiem, jego wielkiemi bólami, a gorzej może jego małemi przykrościami, uczuwają wszyscy od czasu do czasu potrzebę wyładowania nagromadzonej wrażliwości nerwowej, a zarazem odpoczęcia i ukojenia się w zapomnieniu o wszystkiem co boli i nuży. Z kontemplacyi przechodzi się niepostrzeżenie w zachwyt, z zachwytu w hypnozę.

Czyż to byłoby celem i zadaniem sztuki: narkotyzować czy hypnotyzować ludzkość zmęczoną życiem? unieruchomiać

[1] Ch. Fesé w *Bulletin de la societé de biologie*, sierpień 1886.

myśl, ubezwładniać świadomość, a co za tem idzie, osłabiać energię i wyniszczać siły żywotne ludzkiej duszy? Bo przecież, bądź co bądź, ani hypnoza, ani narkotyzowanie się i upajanie nie przynosi zdrowia ni fizycznego ni moralnego!

Nie — zadanie sztuki jest inne. Nie drzemki, ale snów rajskich od niej ludzkość żądać ma prawo i powinna. Po całych dniach twardej pracy należy się uznojonym czołom ludzkim odpoczynek, ozłocony słonecznym blaskiem piękności. W szarą, bezbarwną tkankę ludzkiego żywota, sztuka ma wplatać od czasu do czasu stubarwną przędzę fantazyi, marzeń i wzruszeń.

Nie na to przychodzili na świat geniusze, nie na to w bólu tworzenia wydobywali wielcy artyści z własnych wnętrzności swe dzieła, by niemi kołysać narody, jak rozkapryszone, płaczące dzieci. Ale na to, aby ku ziemi pochyloną głowę ludzkości w górę podnieść, aby oczom, które chciwie upatrywały kawałka chleba, pokazać świat inny, piękniejszy i lepszy. Nie drzemki, ale rajskich snów dawczynią jest sztuka!

* * *

Do takiej konkluzyi dochodzi Sourieau w pierwszej części swego dzieła. Cała ta część pierwsza była skierowana ku temu, aby wykazać, że sztuka na razie doprowadza do h y p n o z y, odrywając umysł od rzeczywistości i zawieszając chwilowo świadomość. Część druga, poświęcona s u g g e s t y i, traktuje o środkach, za pomocą których sztuka, korzystając z tego oderwania umysłu od rzeczywistości, podsuwa mu następnie swoje fantasmagorye, i jak opanowywa tę uśpioną świadomość.

(C. d. n.).

Lucyan Rydel.

Z NIEDAWNEJ PRZESZŁOŚCI.

Urywki z pamiętnika.

III. Choroba — podróż do Omska.

Na saniach jechało zwykle po czterech chorych, ale że ja musiałem, z powodu wyciągniętych nóg, zajmować dwa miejsca, więc obok mnie było tylko dwu jeszcze niedołęgów: któryś z kolegów przy mnie, a przed nami jakaś baba z partyi cywilnej.

Podążaliśmy tym sposobem za partyą, która była na przodzie, a każdy z nas miał swoich opiekunów z grona kolegów, którzy doszedłszy do etapu, musieli zająć się przeprowadzeniem lub przeniesieniem chorych do kamer. Prawdziwym więc ciężarem dla partyi byli ci chorzy; poczciwi jednak koledzy woleli ten ciężar dźwigać, niż zostawiać po drodze, w byle jakich szpitalikach powiatowych, gdzie nietylko pomocy lekarskiej nie dawano żadnej, lecz, jak dochodziły nas wieści, męczono i truto nawet bez miłosierdzia politycznych przechodniów dla odarcia, dla zabrania rzeczy. Potrzeba było tylko wydać się, że posiadasz kilka lub kilkanaście rubli w zapasie, będąc w takim szpitaliku powiatowym, a z pewnością już cię z niego nie wypuszczono, już padłeś ofiarą stróża lub felczera szpitala.

Wtedy właśnie był świeży przykład podobnej zbrodni w jednym ze szpitalików powiatowych, będących na naszej drodze; jakkolwiek więc partyjnym oficerom bardzo się chciało zostawić

nas tam, partya wszakże jednogłośnie zaprotestowała, oświadczając, że jeżeli furmanek nie dadzą, to na swych barkach doniosą nas do Permy, miasta gubernialnego, gdzie i dozór i pomoc lekarska i bezpieczeństwo niezawodnie mogą być większe.

Dzięki takiej szlachetnej stanowczości kolegów, żaden z nas chorych po drodze do Permy nie został, lecz dźwigaliśmy się dalej jak mogli. Pogoda sprzyjała wyśmienita; choć mroźno, ale cicho i jasno było na niebie; droga utarta saniami szkliła się jak politura, a gęsty las po bokach odbijał echem pieśni wesołych podróżnych; aż żal było siedzieć na saniach, chciało się ruszyć naprzód, przyłączyć się do chóru, iść lub biedz w kompanii. Niestety, brak sił, a raczej ból i zmęczenie od ciągłego zachowywania horyzontalnej pozy, zatrzymywały te chęci w granicach przyjemnych marzeń a bolesnego rozczarowania. Musiałem siedzieć na saniach i zdala przysłuchiwać się ochoczej śpiewce kolegów.

Gdy tak pewnego dnia jadąc, rozmyślam nad własną i kolegów moich sytuacyą — a Bogiem się świadczę, że nie obudziłem w sobie żadnej wówczas struny żalu lub skargi na sprawców naszej niedoli — nadjechał z przeciwnej strony długi szereg sań, a w nich dziarska, hoża i przystojna młodzież syberyjskich rekrutów, zdążająca do Moskwy pod zaciąg wojskowy. Z prawdziwą przyjemnością spoglądałem na ten lud, pełen życia i zdrowia, wesoły, rumiany i rosły jak młode drzewka. Możem tylko pozazdrościł im zdrowia i kierunku podróży na zachód, ale zresztą żadnej wrogiej dla nich myśli nie miałem, chociaż wiedziałem dobrze dokąd i po co zmierzają, wiedziałem, że spieszą walczyć z naszymi *uśmiriàt' miatièż* (uciszać bunt), jak mawiały w skromności ducha swego moskiewskie władze. Wtem, równając się z saniami, na których jechałem, jeden z owej partyi rekrutów wyskoczył ze swoich *pòszewień* (sanie głębokie, wybite rogożą), podbiegł do mnie, uderzył mię całą siłą swego moskiewskiego kułaka w plecy, wołając: *a ty sukin syn polaczyszka* — i siadł napowrót do pòszewień i pojechał dalej. Co go pobudziło do potraktowania mię swoim kułakiem, wytłumaczyć nie umiem; zdaje mi się jednak, że to był po prostu wybryk dobrego humoru, po-

party świadomością że mu to wolno, że nikt ani słowa mu za to nie powie; dlaczego więc nie uderzyć, kiedy to jest w jego naturze, kiedy się nadarza dobra okoliczność: bezbronny i chory więzień, zdala od partyi swoich, dozorowany tylko przez konwój, który nietylko że bronić mu tego nie będzie, ale go jeszcze pochwali, zachęcającem *mołodiec pareń* (zuch chłopiec), co też rzeczywiście dostało mu się w nagrodę tak bohaterskiego czynu. Żal mię wówczas ogarnął wielki. Gdyby on wiedział, z jaką sympatyą patrzałem na nich, jak mi na myśl nawet nie przyszła niechęć, bardzo zresztą naturalna w mojem położeniu, jak daleki byłem od nienawiści dla narodu — nienawidząc ich rząd — gdyby przewidział, z jak chrześcijańską pokorą i miłością dźwigałem mój krzyż, nie złorzecząc nawet tym, którzy mi go na barki włożyli — to z pewnością nie znalazłby przyczyny do gniewu na mnie, a tem więcej do czynnej krzywdy, jaką mi wyrządził. Od takich rozmyślań łza mi się zakręciła w oku, zapomniałem bowiem, że to przecie nie człowiek, to tylko stworzenie bez rozumu, bez uczuć, bez serca, to mikroskopijne kółeczko z milionowej maszyny, którą kieruje dziki Moskal, to jednostka ze stada, znającego tylko trąbkę i knut swego poganiacza.

Otrząsnąwszy się wkońcu z przykrego wrażenia tej niespodzianki, a czując już tylko ciepło, rozchodzące się od miejsca uderzenia po całem ciele, opowiadałem moim kolegom na etapie, co mię spotkało, i przedstawiłem, jak to wiele mogliśmy liczyć na ochronę konwoju, który przecie nietylko obowiązany jest przeszkadzać nam w ucieczce, jeżeliby się kto na takową pokusił, ale i strzedz całości naszej, jak również bronić, jeżeliby ktoś, podobnie jak tamten, chciał napastować niewinnie. Okazało się, że tuż za partyą naszą jechał oficer konwojny i widział co zaszło, ale nie uznał jednak widać za właściwe, choćby słowem naganić postępek rekruta. Bogu więc niech to na cześć i chwałę będzie, pomyślałem sobie, i znów wróciłem do rozmyślania nad bolącemi nogami, bo to mię wówczas pomimowoli zajmowało najwięcej.

1-go stycznia 1864 r. przybyliśmy do Permy; kilku z naszych przywieziono obłożnie chorych; inni, choć szli jeszcze, ale

siły ich już tak wycieńczone były, że niezbędnie potrzebowali wypoczynku; inni znów dla kompanii chorych chcieli koniecznie pozostać w Permie — słowem, przeszło 20-stu samych rekrutów podało się do szpitala. Szczęściem, trafiliśmy na bardzo uprzejmych lekarzy, których nazwiska żałuję bardzo, że zapomniałem. Ani jednego nie wrócili do partyi, chociaż kilku było zupełnie zdrowych, nawet nie okazujących zbytecznego zmęczenia. Rozdzielili tylko, wedle egzystujących przepisów szpitalnych, chorych podług rodzaju chorób, a zdrowych przyłączyli do kolegów bliżej z sobą będących; mnie więc z kilku kolegami umieścili w dwóch pokojach połączonych ze sobą, a mieszczących razem trzydzieści łóżek.

Jeszcze nie dojechałem do Permy, a pęcherze moje już popękały, pozostały więc tylko rany do leczenia; inni, innemi cierpieniami złożeni, inni dla odpoczynku tylko pozostali w szpitalu, a partya ruszyła dalej.

Nikt podobno tak nie był zbity z tropu mojem oddzieleniem się od partyi, jak owi czyhacze na moją torbeczkę; ci nie posiadali się z gniewu, bo za Permą bardziej rozpowszechnione były wszelkie gwałty i mordy — jakoś to im łatwiej tam przychodziło; a że w partyi było wielu takich, którzy nie pierwszy raz odbywali tę podróż, znając więc dobrze miejscowe warunki, zapewniali towarzyszy, że skoro Permę miniemy, *my jewò dokonajem* (my się z nim rozprawimy). Z tego więc względu pozostanie w permskim szpitalu było mi bardzo na rękę.

Permski szpital wojenny (bo w tym właśnie byliśmy umieszczeni) wyjątkowo wszystkim nam podobał się bardzo. Pomieszczenie czyste i wygodne; obejście się doktorów, a więc i całej służby, troskliwe i grzeczne, pokarm zdrowy i obfity, podług potrzeby i stanu chorego, wentylacya sal nie pozostawiająca nic do życzenia, słowem wszystko ku kompletnemu zadowoleniu. Rygor tylko wojskowy nakazał doktorom przyłożyć wizykatorye, na nieszkodliwych wprawdzie miejscach, nawet i tym, którzy wcale żadnych środków medycznych nie potrzebowali, a zostali tylko dla odpoczynku albo dla kompanii kolegów. Wkrótce jednak i ci zdrowi, niepotrzebnie obłożeni wizykatoryami, pochorowali

się naprawdę. Czy to skutkiem raptownego przejścia z mroźnej a świeżej, do szpitalnej ciepłej atmosfery, czy może skutkiem nabranego w drodze usposobienia, wstrzymywanego tylko ciągłem wysileniem ruchu, wszyscy bez wyjątku dostali tyfusowej gorączki. Jedni przebyli ją dość pomyślnie, drudzy bardzo ciężko i niebezpiecznie przechorowali, ale koniec końcem przebyć tyfus musiał każdy oprócz mnie jednego, do którego jakoś, czy to skutkiem braku usposobienia, czy skutkiem słabszej kompleksyi, czy może skutkiem ran na nogach, nie przystał wcale. I dziwna rzecz doprawdy, jeden z pomiędzy trzydziestu chorych zostałem w ciągu czterech miesięcy; na każdem łóżku w ciągu tego czasu zmieniło się po trzech albo czterech chorych, którzy przyszli, przechorowali i wyszli zdrowi, a ja ciągle tylko bawiłem się memi nogami; żeby mię choć raz głowa zabolała kiedy. Dziwniejsze to jest tem więcej, że wielu z pomiędzy chorych kolegów doglądałem w czasie ich nieprzytomności i w całym przebiegu choroby, z jednym sypiałem nawet w jednem łóżku, aby go strzedz od upadnięcia, bo się niezmiernie rzucał w gorączce, i pomimo to ów zaraźliwy tyfus, którego tak się wystrzegają zdrowi mający chorego w domu, do mnie nie przystał. A tyfus panował ciężki; dzięki tylko niezmordowanej pieczołowitości lekarzy i ich nauce, żaden nie przypłacił życiem. W innych zaś szpitalach permskich w tymże czasie śmiertelność była bardzo znaczna. Wogóle ten szpital permski tak nas zobowiązał dla siebie, żeśmy postanawiali sobie nigdy i nigdzie nie chorować, chyba w permskim szpitalu wojskowym.

Jaka to była różnica pomiędzy tym szpitalem a więzieniem, albo etapami! Tu sucho, ciepło, przestronnie, wygodnie, ludzie grzeczni, aż miło. To też z prawdziwą przyjemnością gwarzyliśmy sobie w chwilach wolnych od wizyt lekarzy lub felczerów, a wieczorami urządzaliśmy nawet jakieś zabawy towarzyskie, w miarę naturalnie sił i możności rekonwalescentów: to czytaliśmy coś głośno, tośmy grali w domino lub szachy, których dostarczyła nam władza szpitalna, to po kolei opowiadaliśmy coś sobie, byleby jakoś czas milej uchodził. Mocniej chorzy

tylko, będący w peryodzie nieprzytomności, do tego należeć nie mogli.

Gdy tak pewnego wieczora bawimy się zdrowsi, a słabsi stękają lub bredzą, wszedł jakiś pan, po cywilnemu ubrany, a za nim rządca szpitala.

Człowieka ubranego po cywilnemu jużeśmy dawno nie widzieli, i zapomnieliśmy nawet, że w takim uniformie jegomość może być dostojnikiem wyższego rzędu. Myśleliśmy, że to co najwyżej jakiś urzędniczek z kancelaryi rządu gubernialnego, albo prokuratora, w kompetencyi których to biur zostawali polityczni więźniowie. Ukłonił się przytem nizko i bardzo uprzejmie, zaczął rozmowę w sposób nadzwyczaj popularny, i to nas bardziej jeszcze upewniło w powyższem przypuszczeniu. To też bez żadnej żenady i zupełnie swobodnie opowiedział każdy z nas, co mu na sercu leżało; ja przyznałem się nawet, że gdyby mi rany na nogach wygoiły się zawcześnie, to przedłużyłbym swój pobyt w szpitalu pod innym pozorem, bo ma nadejść mój brat, który, po wysiedzeniu kary w fortecy dynaburskiej, przeznaczony jest na mieszkanie do gub. permskiej — i wiele innych tajemnic swoich opowiedzieliśmy temu urzędniczkowi, który wszystko wysłuchał, jak się zdawało, z wielkim udziałem, ale zdania swego w żadnej kwestyi nie wypowiedział, jakby to wcale nie było w związku z jego rolą służbową. Niepomału jednak zdumieni zostaliśmy, a bardziej jeszcze zażenowani naszem, graniczącem z familiarnością, obejściem się z tym panem, gdyśmy się po wyjściu jego dowiedzieli od posługacza, że to był sam pan gubernator permski, w swej własnej osobie, jeżeli mię pamięć obecnie nie myli, nazwiskiem Łaszkarew.

A to nas podszedł dopiero — myśleliśmy sobie. A myśmy mu tyle różności nagadali, że aż strach: skarżyliśmy się na etapowych oficerów, na same etapy, na wytrzymywanie bez potrzeby na mrozie po dwie godziny i więcej, na zabranianie przez niektórych oficerów nastawiania samowarków, aby więcej strawy gorącej kupować u przekupek żołnierskich, na ciągłe przetrząsanie naszych manatków, na gburowate obejście się i t. d. i t. d. Przedstawiliśmy, że od czasu wyjazdu z kraju jeszcześmy nie

mogli otrzymać wiadomości od swoich, bośmy tylko raz pisali z Czeboksar, ale nie wiemy czy te listy doszły, bo pan oficer bardzo ciasne granice wyznaczył dla korespondencyi, i miał je dopiero do Niżnego Nowgorodu odesłać do gubernatora; słowem, o wszystkich naszych niewygodach i krzywdach mówiliśmy mu, i tem dokładniej, że nie było to w formie skargi przed władzą, ale w toku opowiadania przed człowiekiem, który chętnie nas słuchał, i sam jeszcze, siedząc na łóżku chorego, wywoływał szczegółowsze opowiadania.

Nie wiedzieliśmy, co z tego może wyniknąć, i trochę byliśmy zaniepokojeni. Ale na drugi dzień ten niepokój zamienił się w bardziej jeszcze nieoczekiwaną, a przyjemną niespodziankę, bo p. gubernator przysłał do nas swego urzędnika z poleceniem, aby wyjawił nam wczorajsze *incognito*, i z pełną teką papieru listowego, kopert, piór i atramentu do pisania listów, a mnie kazał oświadczyć, że papiery mego brata już są w jego kancelaryi, że brat niedługo przybędzie, a ja, jeżelibym wyzdrowiał wcześniej, będę umieszczony na odwachu do czasu przyjścia brata.

Tego już, zdawało nam się, było za wiele! Tyle łaski, tyle grzeczności i względów od moskiewskiego urzędnika, jeszcześmy nigdy nie doświadczali, ani przed utratą praw stanu, a tem więcej po niej. A jednak to było faktem, to były rzeczywiste a nie udane względy; napisaliśmy zaraz listy do swoich i w parę tygodni otrzymaliśmy odpowiedzi, widocznie więc były prędko wyekspedyowane i cenzura pobłażliwszą niż poprzednia. Brata doczekałem się na odwachu, dokąd przeszedłem ze szpitala jeszcze przed ostatecznem wygojeniem nóg, bo mi się chciało użyć trochę swobody w mieście, a wyjście z odwachu do miasta z żołnierzem pozwolone mi było w każdej porze dnia. Od brata zaś i innych, którzy w kilka tygodni po tej tajemniczej wizycie gubernatora odbywali podróż do Permy, dowiedziałem się nawet, że dwóch panów oficerów konwojnych, na których najwięcej narzekaliśmy przed gubernatorem w szpitalu, zostali usunięci i zastąpieni innymi, na których już powodów do podobnych skarg nie było.

O uprzejmości tego pana gubernatora miałem sposobność przekonać się jeszcze w permskim miejskim ostrogu, gdzie umieszczono mego brata, w oczekiwaniu decyzyi, do którego powiatu miał wyjechać na mieszkanie; była też tam między innymi pani Bądzyńska, obywatelka gub. kowieńskiej, z córką Idalią. Pan Laszkarew odwiedzał przy mnie parę razy to więzienie i nigdy do celki p. Bądzyńskiej nie wszedł inaczej jak po poprzedniem zameldowaniu się, a płaszcz zostawiał zwykle na korytarzu; dowiedziawszy się zaś, że panna Idalia tęskni w więzieniu za śpiewem i muzyką, tegoż dnia przysłał jej swoje pianino, które odtąd cały czas więzienia p. Bądzyńskiej stało w jej celce i wielką było dla wszystkich więźniów uciechą.

1-go maja musiałem już udać się w dalszą podróż, jakkolwiek parę ranek miałem jeszcze niezagojonych, ale te niewiele mi już przeszkadzały. Paru ledwie miałem swoich kolegów, którzy mi dotrzymali placu, reszta zupełnie nowi, do nowej bowiem przyłączyłem się partyi. Z tych nowych kolegów pamiętam, że byli: Jan Lickindorf, Witold Strzemiński, Antoni Jasiewicz, Wincenty Rakoczy, Augustyn Suryn, Wincenty Szuwalski, Cezary Kałusowski, Alfred Zawadzki, Jan Wilbik, Floryan d'Artuzi i inni.

Główne warunki podróży były te same, z wyjątkiem tylko temperatury, która o wiele była już słabszą, chociaż, nie zważając na maj, przytrafiał się i śnieg, często i mróz porządny.

W drugiej połowie maja byliśmy na samym szczycie gór Uralskich. Podróż po Uralu malowniczością swoją pozostanie mi na zawsze w pamięci. Tak wspaniałe góry i tak głębokie, bezdenne prawie przepaści tuż u brzegu drogi, tyle słońc tam świeci, że doprawdy myślisz, żeś w czarodziejskiej jakiejś krainie. Szczególnie w godzinach popołudniowych ta gra słońc zachwyca pielgrzymów Wschodu. Naraz olśniewa oczy podróżnych kilka i więcej świateł, siłą i barwą swoją w niczem nie ustępujących słońcu: oglądasz się poza siebie, widzisz słońce za plecami; cóż więc to jest, co tak samo i patrzyć na siebie nie daje i tak samo igra promieniami i zdaje się grzeje tak samo? Spieszysz do niego, aż tam w dali nowe ukazują się światła, to zaś poprzednie już blednąć zaczyna; zbliżasz się nareszcie, tam już kilka

takich zmusza cię mrużyć oczy — a tu widzisz tylko kretowisko, albo zwyczajną gromadkę szarego piasku; to złoto w piasku tak świeci. Ilość jednak tego złota tak jest nieznaczną, że nikt prawie nie zajmuje się tam poszukiwaniem go: jak wiadomo bowiem, góry Uralskie przeważnie obfitują w rudy żelazne i niektóre gatunki droższych kamieni, jak malachity, topazy, ametysty i t. p. Przemywalnię złota tylko jedną widziałem na mojej drodze przez Ural, i ta podobno nie opłacała się przedsiębiorcom; za to hut żelaznych niezliczona ilość, szlifierni kamiennych także. To też, w każdym wiejskim sklepiku, na każdej nawet stacyi pocztowej, można tam widzieć bardzo misternie wyrobione rozmaite przedmioty kamienne albo żelazne lub stalowe, i kupić można po bardzo umiarkowanych cenach. Co do kamieni, to prawie każdy mieszkaniec Uralu ma warsztat szlifierski u siebie i sam jest rzeźbiarzem. Wszelkie więc magazyny po miastach, a szczególnie sklepy Ekaterynburga, zasilają się wyrobami tych wieśniaków, którzy po bajecznie nizkich cenach znoszą im swoją pracę, a kupcy bogacą się przez to.

W ostrogu ekaterynburskim, tameczni więźniowie cywilni proponowali nam kupno fałszywych banknotów; za rubla można było kupić całą paczkę trzyrublówek, pięciorublówek albo i wyższej wartości papierków. Widocznie więc i takie fabryki tam istnieją na większą skalę; a jak mówią, miasto Tiumeń, jedno z najbogatszych miast za Uralem, stanowiące jakby wrota z Europy do Azyi, całe powstało z fałszywych pieniędzy, które w tamtych okolicach wyrabiały się milionami, a zbyt ich był bardzo łatwy, bo naród miejscowy, bogaty w produkta surowe do zbytu, w kwestyi rozpoznawania papierów był, i jest nawet obecnie wielce nieokrzesany. Rzeczywiście ciemnota tamecznych mieszkańców graniczy z dzikością; tatarskie plemiona w gub. kazańskiej, dalej Wiatiaki, Permiaki, Czeremysy, Czuwasze, nie znają nawet języka Moskali, którzy nimi rządzą, z którymi prowadzą handel, wymianę surowych produktów na pieniądze lub wyroby fabryczne. U takiego więc, byle czerwony papierek, namalowany na podobieństwo dziesiątki, uchodzi za niepodejrzanej wartości bilet bankowy; niebieski, uchodzi za piątkę; zielony, za

triszka (3 rs.) i t. d. A zdarza się niekiedy, co mi sami przemysłowcy moskiewscy opowiadali, że etykietka, zdjęta z butelki od wina lub wódki, oddawała się i była przyjmowaną za pieniądz wśród białego dnia na rynku Ekaterynburga, lub innego większego miasta. Nie dziwota więc, że osiedleni tam Moskale ze środkowych gubernij Rosyi łatwo przyszli do ogromnych kapitałów, stali się kupcami pierwszej gildyi, mają kamienice, i obecnie uchodzą już za porządnych ludzi.

Po przejściu na drugą stronę Uralu, kiedyśmy zaczęli spuszczać się na dół, a czerwiec już, ciepłem swego słońca, zaczął bardziej dokuczać w dolinach, podróż zaczęła być wielce uciążliwą skutkiem słabości, jakie opanowywały mniej wytrzymałych na spiekotę kolegów.

Kilku mieliśmy w partyi takich, którzy bardzo troskliwej wymagali opieki, aby ich przy życiu dowieźć na miejsce. Niejaki Floryan d'Artuzi dostawał w godzinach południowych pomieszania zmysłów, wieźliśmy go więc na oddzielnej furze, ostawionego liściastemi drzewkami, aby zasłonić od skwaru, a i to niewiele pomagało: jak mu słońce dopiekło, stawał biedak na furze i prawił jakieś mowy, płakał nad losem swego dowódcy, którego zostawił w rozbitej partyi (był podobno adjutantem któregoś z dowódców w Królestwie Polskiem) i t. p. Szliśmy kolejno przy jego kibitce i ocieniali jak najbardziej drzewkami, okładaliśmy głowę mokremi liśćmi i musieliśmy pilnować, aby w ferworze obłędu nie spadł z kibitki. Drugi, Matusewicz, dostał krwotoku z nosa tak silnego, że przez trzy doby nie było sposobu zatamować. Z silnego, zdrowego chłopca zrobił się formalny szkielet, którego musieliśmy nosić na rękach. Inni dostawali febry, lub gorączki, tak, że zanim doszliśmy do Tiumenia, prawie połowa partyi była chora, kompletnie niezdolna do dalszej podróży.

W Tiumeniu, osądzeni w sołdaty oddzieleni zostali od reszty partyi, która parostatkiem miała udać się do Tobolska — my zaś, prostą drogą, już nie po etapach, ale z jednym konwojem, drogą prywatną, odesłani zostaliśmy do Omska, jako wojennego miasta; skąd jeneralny sztab wojsk sybirskich miał wyprawić nas dalej. Tu już zupełnie inny był rodzaj podróży: w Tiumeniu,

ku wielkiej naszej radości a memu niemałemu zdumieniu, dowiedzieliśmy się, że z liczby nas sześciu, którzyśmy stanowili partyę rekrutów, ja byłem niepozbawiony wyrokiem praw szlachectwa, i dlatego wyznaczono mi progony na $^1/_4$ część konia. Dano nam więc furmankę, którą naturalnie użyliśmy pod rzeczy, aby ich nie nieść na plecach. Dlaczego o tej łasce nie powiedziano mi wprzódy — nie wiem, ale i teraz ona nam się bardzo przydała. Włościanie, obowiązani do podwód, dostawali moje progony na jedną końską nogę, ale jednak musieli dać całą furmankę; a ponieważ rzeczy nie mieliśmy tak wiele, aby i jednego konia przeciążyć, a włościanom chodziło o to, aby nie tracić dwóch dni czasu na przeprowadzenie piechotą naszej partyi, więc uznawali za praktyczniejsze dla siebie zaprzęgać po parę koni, chociaż tylko za $^1/_4$ część progonów jednego konia, pakowali nas wszystkich na furę i żołnierza naszego razem, i tak odwozili nas od wioski do wioski.

Już tylko po miastach, będących na drodze naszej, jak Jałutorowsk, Iszym, Tiukała i inne, obowiązani byliśmy meldować się oficerom przesylnych komend, a zresztą pod opieką tylko jednego żołnierza odbywaliśmy podróż jadąc, skutkiem moich progonów, a nocując we wsiach po domach włościańskich, skutkiem braku po tej drodze etapów. Było więc nam w tej podróży stosunkowo bardzo wygodnie i miło. Pogoda sprzyjała wyśmienita, droga, chociaż nietknięta ręką ludzką, doskonała, jak po toku, konie wyborne pędziły nas wichrem po stepie gładkim i równym, jak oko zajrzeć może, i nigdzie po drodze ani domku żadnego, ani mniejszej wioseczki, ani karczmy — jak u nas — tylko step na kilka mil w promieniu, a w końcu wioska duża, o 30 najmniej wiorst odległa jedna od drugiej, a długa za to na wiorst parę, z cerkwią pośrodku i ze sklepikami niekiedy murowanemi, i z domami o piętrach, słowem, jakby jakie miasteczka. Po końcach tylko takich wiosek są zwykle domki biedniejsze, gdzie mieszkają „posieleńcy“, to jest zesłani i osiedleni, albo dobrowolnie zamieszkali w późniejszych czasach Rosyanie. W środku zaś wsi *starożyły*, naród bogaty, mający domy piętrowe, upiększone na zewnątrz rozmaitemi rzeźbami, na sposób tatarski,

a wewnątrz pełno obrazów świętych, meble i podłogi malowane, na podłogach chodniki, w szafach kredensowych pełno ozdobnego naczynia, przeważnie filiżanek i spodków herbacianych, a na wierzchu króluje zwykle „familijny“ samowar, dwa albo więcej wiader wody mieszczący w sobie.

W takich bogatszych, piętrowych domach, na dole zwykle mieszczą się kuchnie i izby dla czeladzi, a na górze w *gornicach* (pokojach gościnnych) mieszkają *choziàjewa* (familia gospodarza). Jeżeli kiedy zdarzyło się nam mieć kwaterę w takim piętrowym domu, to umieszczano nas zwykle w kuchni z czeladzią, tam dawano nam jeść i czaju (zawsze darmo dawali), tam nocowaliśmy, bądź to na ławach, pod ścianą, bądź na *połatiach*[1], jeżeli który chciał, a czasami, jeżeli się udało podobać *choziajkie* (gospodyni), zapraszano nas na górę do gospodarskiego samowara. Piło się tam herbaty do syta. Jeżeliś nie przewrócił do góry dnem filiżanki i nie położył na dnie jej reszty cukru, pozostałego od *prykuski*, to ci nalewać będzie bez końca, i żadne wypraszania się nic nie pomogą; jeżeli zaś powyższa formalność dopełnioną została, to, z grzeczną tylko uwagą, dlaczego się tak mało pije, nalewać przestawano. Do herbaty zwykle dawano *zdòbnyje kołaczij, szańki, szanieżki, al watruszki*[2], chleb zawsze pszenny, bo żytniego tam wcale nie używają, nawet do potraw.

Przed wejściem do takiego domu *starożyła* potrzeba było bardzo mieć się na baczności z fajeczką lub papierosem, bo tego w wielu bardzo domach nie lubią. Czasami zdarzało się, że wszedłszy niebacznie z fajką albo z papierosem do takiej starożylskiej familii, zostałeś potraktowany miotłą albo kociubą po plecach, i do tego masę posłyszałeś przekleństw, miotanych dzikim, piszczącym głosem baby, która jak furya wyskakiwała z za pieca na widok dymiącego się tytoniu; w momencie przeista-

[1] W każdej izbie, mającej w sobie piec kuchenny, są *połatie*, to jest pomost na słupach pod samym sufitem lub powałą, do spania, w zimie szczególnie.

[2] Kołacze na maśle, placki ze śmietaną pieczone, albo *(al)* placki zawijane po brzegach, nadziane twarogiem, marchwią, kapustą, lub czemś podobnem.

czała się w istną wiedźmę, z pianą na ustach i dzikim wyrazem w oczach, ciskała w przychodnia co miała pod ręką, choćby siekierę, i póty wrzeszczała, aż ją ktoś z chaty nie uspokoił, tj. nie zaspokoił wymagań, do jakich po takiem przejściu ma w mniemaniu tamecznej ludności prawo. Zrazu nie mogliśmy się z tem oswoić i nie wiedzieliśmy co to właściwie ma znaczyć; sądziliśmy, że wszyscy starowiercy nie znoszą tytoniu i prześladują palących z pobudek religijnych, — ale nie, bo się okazało, że starowiercy, jakkolwiek sami nie palą, obojętni są wszakże na widok palących, i niektórzy cierpią nawet takowych w swym domu; te zaś piszczące baby, są to *pòrczennyje* (zepsute), których jest bardzo wiele we wschodniej Rosyi i zachodniej Syberyi, tak u starowierców jak i u prawosławnych, i których ta choroba, *porcza* zwana, do tego stopnia obałamuca, że stają się istną plagą w swoim domu.

Gdy u takiej baby się porcza rozigra, wówczas cały dom musi być na jej usługi, i wszyscy tak święcie wierzą w rzeczywistość tej choroby, że nikt ani myśli wyperswadować lub oprzeć się wymaganiu, objawionemu przez usta chorej. Sądzą, że to zły duch mieszka we wnętrznościach baby, któremu jeżeli się nie dogodzi, sprowadzi najrozmaitsze nieszczęścia na chatę, a szczególnie na tych, którzyby opór stawić chcieli. Więc, skoro się objawy tej choroby ukażą, a najczęściej to się zdarza wskutek powąchania tytoniu, którego takie *pòrczennyje* przedewszystkiem nie znoszą, wówczas baba awanturuje się dnie, tygodnie, a czasami i miesiące całe. Po usunięciu pierwszego powodu wyjścia na wierzch porczy, chora niby sama dopomaga do uspokojenia złego ducha, imieniem więc jego dysponuje, co trzeba robić w chacie i co jej mają dostarczyć: woła więc, że porcza chce śledzia naprzykład — i biedny mąż w te pędy leci do sklepiku, aby jej przynieść śledzia; jeszcze nie dobiegł może do sklepu, a baba woła, że już śledzia nie chce, ale porcza żąda rodzynków, fig, orzechów, żurawiny, albo czegoś innego; przynieśli jej to, już chce znów czego innego, i tak ciągle, aż się jej podoba samej uspokoić swego djabełka, Wańkę, Gryszkę, Pietruszę, lub jak go w swojej czułości nazywać zwykła. Często małżeńskie

nieporozumienia w domu bywają także powodem swawoli tego pana Wańki lub Gryszki, mężowie więc, mający pórczennyje żony, strzegą się jak ognia, aby nie rozdrażnić ich do silnego zająknienia: jak tylko baba zająknęła się silnie, posiniała przytem i postawiła w słup oczy, wtedy już bieda, — nieszczęśliwy mąż srogo odpokutuje winę nieposłuszeństwa swego, i drogo za to zapłacić musi.

W jednej wsi, pomiędzy Jałutorowskiem a Iszymem, porcza do tego stopnia rozwielmożniła się między babami, i tak zwykle nie w porę się zjawiała, że gospodarstwa do nędzy przyszły, bo mężowie nie mogli iść w pole do roboty, a musieli całe lato przetańczyć koło chorych żonek. Zbuntowali się więc mężczyźni i gromadą poszli do naczelnika powiatu na skargę. Pan naczelnik (sam mi to opowiadał) w odpowiedzi na skargę włościan, naznaczył dzień swego przyjazdu do wsi i kazał na tenże czas zebrać tylu dymisyonowanych żołnierzy z fajkami, ile jest we wsi bab, niby chorych. Zbuntowani mężowie wypełnili rozkaz naczelnika, i gdy ten nadjechał, już w sali gminnej czekali fajczarze, a baby wypędzone przez starostę (wójta gminy), nie wiedząc nic, co je czekało, nadeszły wysłuchać jakiegoś niby rozporządzenia, dotyczącego ogółu gminy. W sali gminnej zastały pośrodku ustawioną znaną ławę z pasami, czterech przy niej oprawców i pana naczelnika powiatu. Wówczas pan naczelnik zakomenderował, aby żołnierze z fajkami każdy wziął sobie jednę babę, usiadł przy niej i pod sam nos palił jej fajkę, a która baba odważy się głos wypuścić, przejdzie w ręce oprawców i dostanie rózgi. Z całej kompanii podobno dwie tylko nie wytrzymały i dostały za to porządne cięgi, ale od tego czasu na wsi już było spokojniej, chociaż radykalnie jednak wyleczyć się nie dało. Włóczą się tam jacyś znawcy w sztuce wypędzania tej choroby, ale baby obawiają się ich i kryją się przed nimi zawzięcie, bo prawie żadna z nich nie przykrzy sobie, że posiada wewnątrz szatanka, chociaż niby wierzy, że to jest choroba nie wymyślona, ale rzeczywista. Od takich to bab nieraz dostało się nam po plecach miotłą lub kociubą, albo rożnem; a jedna to z siekierą pędziła za nami aż na środek ulicy, i dopiero, ujęta przez domowych, wypuściła

siekierę z ręki, i piszcząc w niebogłosy, powróciła do domu. Nie zachodziliśmy już do niej, chociaż kwaterunek był tam wyznaczony.

W Tiukalińsku, już niedaleko Omska, nową mieliśmy hecę z konwojnym oficerem. Niejaki pan Bakłanów, porucznik, złajał nas od ostatnich słów i obiecał nawet zakuć w kajdany za to, żeśmy się odważyli, wystawszy się kilka godzin u niego na dziedzińcu, posłać jednego z prośbą, aby prędzej raczył nas przejrzyć i uwolnić w dalszą drogę, bo już nam bardzo pilno było do Omska, gdzie spodziewaliśmy się dłużej odpocząć i coś więcej stanowczego dowiedzieć się o dalszym swym losie. Wyszedł więc na dziedziniec, i jakoś, nie wiem dlaczego, najsrożej popatrzył na mnie, nazwał mnie buntowszczykiem i zawołał o kajdany; ale ja, wiedząc że to przekracza jego atrybucye, szczególnie w stosunku do niepozbawionych praw szlachectwa, zaśmiałem się sobie z tej pogróżki i wtedy masę obelg wywołałem na siebie. Skończyło się jednak na tem, żeśmy nie tknięci, ale tylko zbesztani, ruszyli dalej.

Do Omska przybyliśmy 1-go lipca, więc w dziewięć miesięcy po wyjściu z Grodna. Po przedstawieniu się naczelnikowi inwalidnej komendy, która się zajmowała przesyłką osądzonych do wojska, zostaliśmy umieszczeni w koszarach tejże komendy do dalszej dyspozycyi, przyczem objawił mi pan major Nagibin, że jenerał-gubernator Zachodniego kraju, Murawiew, który osądził mię w sołdaty na Amur, zmienił wyrok na zsyłkę w sołdaty do batalionów zachodniej Syberyi, że więc tym sposobem pozostaję w wyłącznej dyspozycyi omskiego jeneralnego sztabu, który mię przeznaczy do jednego z batalionów swego okręgu. Na wstępie więc do Omska otrzymałem pomyślną wiadomość, a do tego pan Nagibin, któremu miałem szczęście podobać się z pierwszego wejrzenia, zrobił mi nadzieję, że przy staraniu jego, może się uda zostawić mię w samym Omsku, aby już więcej nie męczyć podróżą, i abym był między kolegami, których kilku już zaliczyli do batalionów omskich. W Omsku natenczas kwaterowały stale dwa bataliony, tem więc prawdopodobniejsze było pozostanie na miejscu. Tymczasem jednak

zatrzymany byłem w koszarach inwalidnej komendy, w oczekiwaniu rezultatu starań majora Nagibina. Po kilku dniach poczciwy ten pierwszy mój protektor w Omsku zakomunikował mi przykrą wiadomość, że naczelnik sztabu, jenerał Krojerus, nie zgodził się na jego prośbę, że więc prawdopodobnie zmuszony będę wyruszyć dalej, zapewne w stepy Kirgizkie, dokąd teraz przeważnie wysyłają żołnierzy. Podał mi jednak przytem radę, abym jeszcze próbował innego sposobu, a mianowicie, abym najprzód, dla skorzystania na czasie, podał się za chorego, że on mnie tym sposobem odeszle do szpitala, gdzie będą mógł parę tygodni przeleżeć jako chory, a tymczasem starać się przez pisarza sztabu, podoficera Czerkasowa, który czasami więcej może zrobić, niż wszelkie inne protekcye; dał mi jednak przytem do zrozumienia, że ów Czerkasów o tyle pewniej zrobi, o ile będzie wiedział, że coś zarobi na tem. Nie było innej rady, potrzeba było się udać do pana Czerkasowa.

Z podróży zostało mi jeszcze wówczas cztery półimperyały w złocie, które ofiarowałem Czerkasowowi za sprawę pozostawienia mię w Omsku, a sam, w oczekiwaniu rezultatu, położyłem się w szpitalu. I tym razem jednak starania nie powiodły się. Pan Czerkasów dowodził, że to pierwszy wypadek w całej jego służbie, że jenerał Krojerus, przeglądając jego projekt rozdziału rekrutów, moje nazwisko wykreślił z listy przeznaczonych do Omska, a wstawił do batalionu akmollińskiego, że więc tym sposobem już niema rady, muszę iść do Akmołłów, kilkaset wiorst odległych od Omska. Ponieważ zaś starania Czerkasowa nie uwieńczyły się dobrym skutkiem, zwrócił mi zamiast złotych monet — 20 rs., pozostawiając tylko, za swoje dobre chęci i próbę, różnicę kursu złota i papierów, co było wielce szlachetnie ze strony pana pisarza.

Wtedy jeszcze jeden nawinął mi się sposób próbowania szczęścia, i jak się okazało, najskuteczniejszy. Pomiędzy kolegami z grodzieńskiej katastrofy było dwóch braci Kaszubów, którzy przez Murawiewa konfirmowani zostali na służbę do liniowych batalionów zachodniej Syberyi; odbyli pomyślnie drogę, więc nie zatrzymywali się ani w permskim szpitalu, ani gdzieindziej,

przybyli zatem do Omska o wiele wcześniej ode mnie, i tam zaliczeni już byli do czwartego batalionu. Ci Kaszubowie mieli w Omsku znajomego rodziców swoich, niejakiego pana Krupienikowa, który niegdyś był w grodzieńskiej gubernii, a naówczas był starszym urzędnikiem do szczególnych poruczeń przy jenerał-gubernatorze zachodniej Syberyi i miał tam ogromne wpływy jako człowiek nieposzlakowanej zacności, sprytny, rozumny i dziwnie gładki w obejściu. Była to prawa ręka jenerała Duhamela, a ulubieniec pani Duhamelowej — nie było więc rzeczy, którejby Krupieników zrobić nie mógł.

Do tego więc pana udali się Kaszubowie z prośbą o protekcyę dla mnie, i w parę dni później już byłem nowemi węzłami koleżeństwa związany z Kaszubami, zostałem bowiem takimże jak oni żołnierzem czwartego batalionu. Batalion ten stał wówczas za Omskiem, w *łàgierach* (barakach). Tam więc odprowadził mię żołnierz z inwalidnej komendy do dowódcy majora Wartmana, ten przydzielił mię do pierwszej roty, kazał umundurować, wydać karabin, raniec i wszystko inne do uzbrojenia potrzebne, feldfebel naznaczył *diadkę* (opiekuna), i odtąd stałem się już rzeczywistym żołnierzem z kategoryi *sztrafowanych* (karanych), a więc bez prawa wysługi, chyba za szczególnem zezwoleniem władzy. Do nas jednak politycznych ta szczególna łaska stosować się nie mogła, a przynajmniej była prawie niemożebną, konfirmacya bowiem opiewała: „w sołdaty bez wysługi“, zmienić więc ją mógł chyba Komitet ministrów wskutek ułaskawienia carskiego — droga zatem bardzo daleka i trudna.

(C. d. n.).

Jerzy Kraskowski.

ZJAWIENIE Z KROŻ.

Witajcie! Z dalekiej północy przychodzę
Zobaczyć was z blizka, napłakać się z wami;
Spieszyłam przez lasy — a w śniegu po drodze
Znaczyłam mój pochód krwawemi śladami.
Wiatr mroźnym podmuchem pościnał mi rany
I rozwiał me włosy, obnażył ramiona;
Na rękach mi dzwonią zerwane kajdany,
A z piersi się sączy krew świeża, czerwona.

Pytacie, kto jestem? — Ach wpośród biesiady
Zjawiłam się u was nie w porę, jak mara...
Czy wiecie co znaczą te krwawe ran ślady?
Czy wiecie skąd idę?...
Z Kroż!
Jam polska wiara!

Pobladły wam lica, zadrżały kolana
I cisza dokoła zaległa grobowa;
Wyście mię poznali! Żałobą odziana
Po hołd mój przychodzę — ja, wasza królowa!

Lat tysiąc dobiega, jak przyszłam w te kraje,
A wyście mię solą przyjęli i chlebem;
Krzyż wniosłam w pogańskie dąbrowy i gaje
I nowe przymierze głosiłam wam z niebem.

Obeszłam rozległe ziem waszych dzielnice,
Od Gopła do Wisły, do Sanu, do Buga...
Po polach mię hoże witały dziewice,
Witali pasterze i kmiecie od pługa.
Ja ręce wkładałam na włosy ich płowe,
Tajemne im słowa szeptałam do ucha,
I w duszach ich prostych królestwo me nowe
Wznosiłam, królestwo miłości i ducha.
I wyście mię swoją obrali królową,
Królewskim swych Piastów okryli szkarłatem,
Na skronie włożyli koronę piastową,
I wielką mię zwali, potężną przed światem.
Ja za to do chwały usłałam wam drogę,
Ubrałam wam czoła wieńcami wawrzynu;
Wasz orzeł zwycięski niósł pogrom i trwogę
Nad Wołgę, nad Bałtyk, na brzegi Euxynu.
Stanęłam na kresach jak twarde przedmurze,
By ludy zasłaniać przed falą od Wschodu;
Chodziłam na Litwę w królewskiej purpurze,
Chrztu wodą zlać skronie bratniego narodu.
A wokół księżęta szli do mnie w pokłony
I cała kraina tętniła weselem:
Krzyż w blaskach słonecznych roztaczał ramiony
Nad polską mą ziemią, nad starym Wawelem.

Dziś — patrzcie! Zniknęła z mej skroni korona,
Doczesnej potęgi wróg wydarł mi znamię,
I głosić wam każe, żem legła zwalczona,
Że więcej nie wstanę. Nie wierzcie — on kłamie!
Ja żyję!
Choć piersi miecz jego mi rani,
Choć ręce mi okuł żelaznym łańcuchem,
Ja czuję się wolną! Królowa i pani
Zostawiam mu ciała, króluję nad duchem.
A wyście myśleli, że blasku mi trzeba,
Że w boju kozacze przemogą mię roty;
Nie wiecie, żem wieczną, że wiodę ród z nieba,
Z krwi Boga zrodzona na łożu Golgoty.
Moc moja w cierpieniu, nie w ziemskiej potędze,

Nie lutnie mi grają pieśni chwały — lecz burze;
Ja krzyżem zwyciężam — a w kmiecej siermiędze
Jam większa niż niegdyś w Jagiełłów purpurze.
Ha! idźcie niewierni w tę ziemię północy,
Gdzie czarna w przestworzach zawisła żałoba,
Gdzie siedzi i płacze mój naród sierocy
Na wielkim cmentarzu jak widmo Hioba;
Tam żyłam ja z ludem wśród cichych tych borów,
Śpiewałam im pieśni po wiejskich kościółkach,
Modliłam się z nimi na zgliszczach klasztorów
I dzieci pacierza uczyłam po szkółkach.
A w późne wieczory przy blasku łuczywa
Żywoty im święte czytałam po chatach,
Szłam z nimi na pola do siejby i żniwa,
U granic ich wiosek stawałam na czatach.
A gdy mię ścigano — znikałam z przed oka
I górą płynęłam nad strzechy ich ciemne
I moc im do duszy spuszczałam z wysoka,
A w piersiach ich dreszcze budziłam tajemne —
I lud ten się ocknął.

Ach! widzę dziś jeszcze
Ich białe sukmany, pogodne ich czoła
W tę straszną noc grozy, gdy krzyki złowieszcze
Wstrząsnęły Krożami.

Do wnętrza kościoła
Tłum wtargnął żołdaczy — zajadły jak zwierzę
Bił, rąbał, tratował, kłuł — w czapkach, na koniach
Wył, miotał się, łamał obrazy i krzyże...
Lud modlił się głośno — różańce miał w dłoniach
I murem stał. Krew ich rumianą purpurą
Oblała ołtarze, zbryzgała kolumny;
A dzwony na trwogę jęczały ponuro,
W podziemiach ze zgrozy zatrzęsły się trumny,
I było tam straszno. — Wróg szałem zawzięty
Na Sybir wywoził, w kajdany zakuwał...
A mętne bałwany spienionej Krożenty
Krew niosły i ciała.

Bóg milczał — lecz czuwał.

Nad piekłem tych zbrodni z koroną świetlaną
Ja stałam w obłoku królowa-kapłanka;
Krzepiłam ich dusze — a krew ich przelaną
Poniosłam w kielichu przed ołtarz Baranka.

To moje tryumfy!
Pasterze i wodze!
Wywieście mój sztandar na polskim Syonie;
Zadzwońcie w Zygmunta — po hołd mój przychodzę
W wieśniaczej sukmanie, w męczeńskiej koronie.
Przychodzę wam przerwać sny błogie na różach,
Płomienie rozniecić w przygasłych ogniskach,
I wiec mój królewski obwieścić po wzgórzach,
Pokropić krwią męże i dzieci w kołyskach.
Przychodzę wam skrzydła przyczepić sokole,
I grać wam do czynu na strunach ze stali;
Przychodzę pozbierać łzy wasze i bole,
Pomieszać z krwią braci i zważyć na szali.
Przychodzę wam promyk ukazać świtania,
Co w górze na fali przeznaczeń widnieje,
Przychodzę wam w dusze wlać siłę wytrwania,
Hart, moc, nadzieję...

Ks. W. Piątkiewicz.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Z najnowszych powieści polskich [1].

Mechesy. Przez *Maryana Gawalewicza.* — Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1893.

Pająki. Obrazek z życia warszawskiego. Przez *Klemensa Junoszę.* — Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1893.

Obrzydliwy to, koniec końców, świat, do którego nas wprowadza i pan Gawalewicz i pan Junosza. Obrzydliwe rojowisko obdartych i cebulą trącących żydowskich lichwiarzów-pająków, którzy zwolna, systematycznie, ani systemu tego się nie wstydząc, ani się z nim nawet bardzo nie tając, wysysają soki żywotne w wieczystą niewolę oddanych sobie ofiar; obrzydliwsze drugie rojowisko, które z nor i suteren, z piwnic, karczem i sklepików wypełzło już na górne piętra społeczeństwa, na aksamitach się rozsiada, złoto wyłącznym bożkiem swym ogłosiło i wokoło szerzy jad sceptycyzmu, demoralizacyi.

Naturalnie, „salonowy pisarz", jak nie bez słuszności nazwano p. Gawalewicza, poświęciwszy swe pióro kwestyi żydowskiej, opisuje z samej natury swego talentu, nie żydowskie nory, lecz żydowskie, powiedzmy dla większej dokładności: na sposób żydowski urządzone salony i buduary. Salony, zabawy, rozmowy, postacie Sammetów, Sandsteinów, Vossów — o takich Feingussach już nie mówiąc — przedstawiają tak niemiły a jednocześnie śmieszny obraz głupstwa, próżności bez granic, głęboko w serce sięgającego zepsucia, że nazwaćby go

[1] Por. *Przegląd Powszechny* sierpień 1890; kwiecień 1892; maj 1893.

się miało ochotę karykaturą, gdyby na nieszczęście wszystkie inne opisy, wszystkie opowiadania nie powtarzały z nużącą monotonnością głównych rysów tego wstrętnego malowidła. Na błotnistem tle odbija się tem piękniej kilka postaci szlachetnych, choć i w nich nie aryjska krew płynie; postaci tem piękniejszych, że wyrosły one jakimś cudem chyba na takim gruncie, w takiem otoczeniu. Pomiędzy niemi na pierwszy plan wybija się główny bohater powieści, Bernard Sandstein. To nie Żyd, nie „meches“ w zwykłem ujemnem słowa tego znaczeniu; to mąż prawdziwie wyższy i szlachetny, który umie i chce pracować dla prawdziwego dobra kraju i społeczeństwa. Dlaczego mu się nie wiedzie, czemu usiłowania jego trafiają na tak opoczysty grunt; czemu stanowczo z dawnemi tradycyami rodu swego i rodziny zerwawszy, nie znajduje oparcia ani poparcia w nowej swej rodzinie, w kołach społeczeństwa, do których należy obecnie nietylko koligacyami, ale i wiarą i nauką i uczuciami? Dlaczego? — Odpowiedzią, pewną częścią odpowiedzi — jak autor na paru ostatnich stronicach jasno wyznaje — mają być właśnie „Mechesy“, ma być, prędzej czy później, jedna czy kilka powieści, których ukazanie się z lekka, ale niedwuznacznie w „Mechesach“ zapowiedziane. Dlatego, krótko mówiąc, bo istnieją takie Feingussy, Vossy, męskiego i żeńskiego rodzaju, i wedle nich, jako najbardziej w oczy bijących okazów, sądzi się innych, którzy wyszli z tego samego otoczenia i tej samej sfery. Tamci „przenieśli z sobą wszystkie wady, a ani jednej cnoty swojej rasy, i przejęli od nas to, co w nas samych było złem, a nie nauczyli się niczego dobrego“;... tamci, to parszywe owce, co na front się cisną i zasłaniają sobą ludzi dobrej woli i kredyt im psują. A zresztą, nie każdego z przechrztów — łagodzi autor swą myśl w końcowych ustępach — nazywają u nas „mechesem“, lecz najczęściej tych tylko, którzy nie umieli z nowem wyznaniem zdobyć sobie czci i zaufania; których postępowanie razi, oburza, śmieszy najbardziej tych właśnie poczciwych i szlachetnych, którzy chcą ze źródła cnót naszych zaczerpnąć, a nawzajem niezaprzeczalnych swoich zalet nam użyczyć.

W drugim obrazku z życia żydowsko-warszawskiego, w „Pająkach“, mniej jeszcze tych jasnych promieni; tak mało, że pytać trzeba, czy znajdziesz tu światło jakie, czy znajdziesz wogóle coś z daleka do promieni zbliżonego? Chyba jaśniejszym promieniem ten skulony ku ziemi, dawne, dobre tradycye pamiętający dziadzio Gancpomader, który energicznie domaga się, aby i przy rabunku była metoda, aby skórę z dłużników obdzierać, bo od czegóż są dłużnikami, ale obdzie-

rać wolno, spokojnie, tak, aby był czas nowej naróść i znów módz na nowo tę samą miłą i zyskowną operacyę prowadzić. Swoją drogą, to dopiero prawdziwie racyonalna gospodarka: w ten sposób dłużnik zmienia się w niewolnika, który całe życie musi krwawo pracować na swego pana, zostawiającego mu — naturalnie tylko z dobroci serca — akuratnie tyle, aby mógł żyć, i dalej wciąż dalej, nie dla siebie, się pocić. Młodsze pokolenie nie ma już nieraz potrzebnego spokoju przy tem pajęczem obmotywaniu swych ofiar; chciałoby je pożreć na jeden kąsek, a zawsze co jeden kąsek, nawet najsmaczniejszy, to jeden tylko, nie kilkanaście, kilkadziesiąt, w peryodycznych odstępach czasu do ust, same z siebie, płynących. Dlatego osłabiony starością dziadzio Gancpomader spisuje całemi godzinami nauki, doświadczenia w długiem życiu zebrane, dla wnuków swych, krewnych, przyjaciół; podaje praktyczne sposoby, jak chwycić dłużnika, jak w sieci trzymać, jak w razie koniecznej potrzeby folgować i ściągać znowu, byle tylko z rąk nie puścić. Nauki te kończą się streszczającym je epifonematem: „dobry dłużnik znaczy więcej, niż cztery konie...; nie staraj się o martwy towar, skoro masz żywy".

Za temi „artystycznemi" radami starają się iść z największą finezyą, na jaką ich stać, Jonas Bencyan Hapergeld, i żona jego Jenta z domu Gancpomader, i młody Lajbuś i cała zgraja bliżej i dalej ze sobą spokrewnionych Luftermanów, Cynamonerów, Karawanerów, maczających palce w najprzeróżniejszego rodzaju i woni „geszeftach". Taka to ciekawa, oryginalna, z życia odfotografowana galerya, że dla niej samej wartoby było z „Pająkami" się zapoznać. Ale niemniej warto przypatrzyć się opłakanym losom pana Karola, poczciwego człowieka z duszą i ciałem, pracującego jak wół, ale pracującego wciąż i wciąż w lichwiarskiem jarzmie. Parę razy szarpał się, z więzów chciał się oswobodzić, długi pospłacać... Próżne marzenia: „Gdy mucha wpadnie w sieć pajęczą, miota się rozpaczliwie, brzęczy, ale się wydobyć nie zdoła; gdyby sto much złożyło swe siły, pajęczynaby pękła"...

Gdyby!... Znowu ten sam wykrzyknik, który zamyka „Mechesów"; którym zamykają się dotąd podobno wszystkie rozbiory, roztrząsania kwestyi żydowskiej, i to niestety! nietylko — w powieści!

Mgła. Przez *Maryana Gawalewicza.* Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1893.

Dlaczego autor powieść swoją ochrzcił nazwą „Mgły"? — sam w każdym razie tej zagadki nie tłumaczy. Nie znajdujemy tu ani wy-

bitnie mglistych charakterów, ani szczególnie mglistych sytuacyj; a choćby kto, dajmy na to, sądził, że sama osnowa i idea przewodnia opowiadania lekką mgłą jest pokryta, to i ta okoliczność nie wystarczyłaby przecież jeszcze dla usprawiedliwienia podanego tytułu, bo ileż dziesiątek i setek powieści z równą, jeśli nie z większą słusznością mogłoby sobie rościć do niego prawo! Dwaj główni bohaterowie: Gajski i Krempel także żadną tajemniczą mgłą nie pokryci. Pierwszy choruje na pesymizm, a mówiąc bez ogródek, leniuchem jest i próżniakiem, i próżniactwo swe wygodnym, oczywiście bardzo powierzchownym pesymizmem chce wymówić; typ to, którego, niestety! między złotą młodzieżą niekoniecznie z latarnią trzeba szukać. Drugi, wręcz przeciwnie do wmawiającego w siebie pesymizm przyjaciela, patrzy na świat pogodnie, ma serce poczciwe, głowę otwartą, i właśnie dlatego spełnia po prostu a dobrze swe obowiązki, siebie niepotrzebnie nie męczy, a innych serca sobie pozyskuje. Nic dziwnego, że pozyskuje też sobie serce, a za sercem rękę panny Geni, której matkę z całem poświęceniem leczy w śmiertelnej chorobie; jak nic dziwnego, że taż sama panna Genia ze wstrętem odwraca się i po prostu za drzwi wyrzuca narzucającego się jej nad wyraz niezgrabnie i nietaktownie Gajskiego. Otóż i cała treść powieści; jak widzimy, ani zbyt bogata, ani nadzwyczajną oryginalnością nie grzesząca, wreszcie nie nastręczająca okazyi do jakichbądź głębszych refleksyj. Kto zresztą wie; może w niej coś i więcej się mieści, ale jeśli istotnie się mieści, to za tak znów grubą mgłą, że oko zwykłego czytelnika, jak ja, napróżnoby się kusiło zasłonę tę przedrzeć.

Listy Maszy do Paszy. Szkice i obrazki. Przez *B. A. Jer.* We Lwowie. Nakładem księgarni Gubrynowicza i Schmidta. 1893.

Szereg to obrazków przez łzy kreślonych, gorzką, zbyt niestety! usprawiedliwioną ironią zaprawnych, z łzawych, ciemnych dziejów polsko-rosyjskich stosunków w „przywiślańskim kraju“. Gimnazyasta spisuje dla matki dzienniczek; opowiada, jak polskich wierszy z kolegą w tajemnicy się uczy; jak wróciwszy z klasy mówi do ścian pustych, byle tylko mówić — po polsku; opowiada ze łzami, jak ukochanego kolegę zamknięto w mróz siarczysty na dobę całą do „kozy“, dlatego, że powiedział, że Warszawa leży w Polsce, — w „kozie“ przeziębił się i umarł. — Dawna nauczycielka również dzienniczek swój spisuje, kochane uczennice wspomina, pyta z żalem serdecznym, kto im teraz rzuci poczciwsze słówko, kto choć z daleka, nieznacznie wspomni o oj-

czystej ziemi, o obowiązkach, jakie dla niej mają? Odstępca ojczyzny, zimny, zdawałoby się, spokojny egoista, próbuje odepchnąć cisnące się siłą wspomnienia; próbuje wyśmiać dawne, śmieszne, zawadzające tylko na drodze do karyery ideały; długo mu się to udaje, aż raz wreszcie szlachetniejsze uczucie górę bierze, rehabilitując na chwilę zdeptaną godność ludzką; prawda, że podobno tylko na chwilę. — Dalszy szkic, „Popisowi", puszcza lekkie pasmo światła na te tajemnice, te brudy bez nazwy, przekupstwa bez liczby, które rozpoczynają się przy kartach i kieliszkach, ciągną dalej w rewizyjnej, w superrewizyjnej sali, a kończą się dla jednych, niezgrabnych lub ubogich, w wojskowych koszarach, dla drugich, zgrabniejszych, bogatszych, znowu przy preferansie, przy szampanie. — Dotąd przedstawiali nam się wogóle niżsi czynownicy; w charakterystycznych i ciekawych „Listach Maszy do Paszy" odsłania się świat wrzekomo cywilizacyjnym, francuskim pokostem polakierowanych najwyższych dygnitarzy-rusyfikatorów. Śmieszne to i obrzydliwe typy — a jednak jak prawdziwe, z życia widocznie wzorowane. Czy nie byłoby dobrem i odpowiedniem, aby i zagranica, aby pobratymcy nasi słowiańscy, którzy bądź co bądź tyle naszych, nie zawsze najwybitniejszych i najbardziej charakterystycznych powieści sobie przyswajają, zechcieli się zapoznać z tymi Wołodjami, Maszami, Borysami, Fiedorami Fiedorowiczami i t. d. i t. d.? Trudno z pewnością o ciekawsze, w swym rodzaju, postacie!

Dzidzia. Przez *Zofię Kowerską*. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1893.
Irena. Przez *Zofię Kowerską*. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1894.

Nasi powieściopisarze tak raczyć nas nieraz lubią posępnemi scenami, czarnemi charakterami, że z arcymiłem zdziwieniem znajdujemy się w kółku ludzi wesołych, poczciwych, a gdy Bóg i obowiązek wyciąga, to i szczytnego poświęcenia pełnych; z niekłamaną przyjemnością patrzymy na proste, ale jasne, tak jakoś istotnie ludzkie obrazy, które roztacza przed nami pani Kowerska. — Troszkę kapryśna, rozpieszczona, ale w gruncie bardzo dobra i serdeczna Dzidzia; niezgrabna kokietka Maniuta, powszechnie wyśmiewana, pokąd tylko na męża możliwemi i niemożliwemi sztuczkami poluje, jednająca sobie zasłużony szacunek i miłość, kiedy głęboka miłość dla matki wyrzuciła z serca kokieteryę i w ogniu upokorzenia i cierpienia oczyściła duszę; bezdzietna pani, co dla biednej sieroty serce matki otwiera, matkę jej zastępuje i w nagrodę za chrześcijański swój uczynek „wie, co utopienie przyszłości i szczęścia własnego, w przyszłości i szczęściu dziecka";

ta wreszcie szarytka, siostra Józefa, żyjąca ze zmęczenia, z poświęceń, tak po prostu w imię miłości Boga i bliźniego spełniająca swe obowiązki, „zdrowa, pracowita, wesoła, szczęśliwa w piekle cierpienia i chorobliwych zarazków“ — piękne to, miłe, godzące z życiem i ludźmi postacie; zdolne, jeśli może nie zupełnie wyleczyć, to przynajmniej przyczynić się — aby użyć słów, któremi sama autorka tomik swych opowiadań przypieczętowała — do wyleczenia niejednej duszy „z obojętności moralnej i gorzkiego pesymizmu, zatruwającego źródło szlachetnych pragnień“.

Stosunkowo mniej trafia nam do przekonania „Irena“; na parę nawet zdań, w imieniu autorki wypowiedzianych, ale które prawdopodobnie przypadkowo tylko się jej wyślizgnęły, lub których doniosłości niedostatecznie obrachowała, zupełnie pisaćbyśmy się nie mogli. Ale i to zastrzeżenie dlatego z góry i z pewnym naciskiem robimy, że do p. Kowerskiej przyzwyczailiśmy się przykładać inną miarę niż do wielu, wielu innych jej kolegów i koleżanek po powieściopisarskiem piórze; co w publicznej galeryi, obwieszonej obrazkami bardzo rozmaitej wartości i treści, ani razi, ani zazwyczaj nie wywołuje krytyki, to w zbiorze dobranym z zamiłowaniem i znajomością sztuki, wywołuje już w duszy niemiły rozdźwięk. Zresztą, powtarzamy, lekkie zastrzeżenie nasze odnosi się wyłącznie do paru drobnych szczegółów; w całości, w ogólnej tendencyi książki, najsurowszy krytyk plamy nie wynajdzie.

Irena, to typ panny powodzeniem zepsutej; w gruncie niezłej, ale w której miłość własna tak się rozkorzeniła, że dla miłości wyższych ideałów, dla prostej, poczciwej miłości, czy bliźniego wogóle, czy kogoś wybranego w szczególności, miejsca zabrakło. Wyperswadowała sobie i z pewną dumą sama sobie powtarzała, że u niej serce — sługą; że za rozumna, aby się miała dać unosić jego porywom Ale serce pokazało — po raz setny, tysiączny, że nie sługą. Dumna panna, która z uśmiechem, jakby dla igraszki, odrzuciła najświetniejsze partye, a z wszelakich miłości i czułości drwiła zawsze niemiłosiernie, zakochuje się w ubogim malarzu, który w domu jej rodzicielskim przebył ciężką chorobę; sama, po długich walkach, wyciąga do niego rękę, znieść, przeboleć musi, że ostatecznie wyciąga bezskutecznie. Czy jednak ta spóźniona, ale niemniej głęboka, prawdziwa miłość minęła bez śladu? W takim razie nie byłaby ani głęboką, ani prawdziwą. Ogień ten wypalił samolubstwo, uszlachetnił serce; uczucie miłości, raz do życia przywołane, zwróciło się ku wszystkim biednym, cierpiącym; zimna, egoistyczna Irena nie zawahała się w czasie ciężkiej choroby drogiej

siostry złożyć Bogu w zupełnej ofierze własnego szczęścia, byle za tę cenę zdrowie siostry wyprosić.

Ta siostra, „panienka Cesia“, stoi w głębi obrazu, jako antyteza dumnej, ku sobie samej wciąż zwróconej Ireny; wszystkich kocha, wszystkim rada niebo przychylić, dla każdego ma rękę pomocną i uśmiech miły na twarzy; o sobie jednej aż do zbytku prawie zapomina, kiedy trzeba innym usłużyć. Dobrze jej z tem wszystkiem, a i sama Cesia znajduje prawdziwe szczęście i największą nagrodę w tych dobrych swych uczynkach; ludzie muszą ją kochać, wdzięcznymi jej być muszą. Nie wątpić, że potrafi spełnić prośbę siostry, i nauczy ją — powiedzieć można, że już ją nauczyła — „jak się zapomina o własnem szczęściu i widzi się je tylko w pomyślności drugich“.

Władek. Przez *Wincentego Kosiakiewicza.* Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1894.

Na pierwszym planie świat dziecinny, chłopięcy, ze swemi troskami i zabawami: zapalczywem zbieraniem marek, niemniej zapalczywem odczytywaniem opowiadań Vernego; grą w piłkę, w teatr, zbójów; świat tak różny, dla obserwatora bacznego tak ciekawy. Władek, to tęgi chłopiec, ma mir między kolegami, do zabawy jedyny, a i do książki znowu nie ostatni. Inni, inaczej wyglądają jego koledzy, z których każdy oczywiście osobnem, charakterystycznem przezwiskiem opatrzony: Krzywy i Kura i Glizda; inny umizgający się, chytry a łakomy Bronek; i inny jeszcze, biedny Witek, któremu ojciec, równie bez rozumu, jak bez serca, nie pozwala nigdy brać udziału w koleżeńskich zabawach, a jeśli wieczorem nie znajdzie dwunastu stron przepisanych czysto, kaligraficznie, katuje niemiłosiernie. A obok tego dziecinnego świata, zarysowuje się jakby w półcieniu drugi, nie dziecinny, ale niemało do niego podobny. Te same troski, te same pragnienia i uczucia, które przygniatają lub ożywiają Władków i Bronków, występują, tylko w sobie silniejsze i potężniejsze w skutkach, w owym drugim świecie, już nie dzieci, ale osób dorosłych, zbliżają ich i rozłączają, wywołują na twarz uśmiechy, lub łzami je zalewają.

Wybornie na wsi, na wakacyach, w domu gościnnego kolegi bawiący się Władek ani przypuszcza, że w tym samym czasie, w domu jego rodzinnym toczy się smutny dramat, że rodzice o rozwód się starają. I później sam nawet rozwód niezbyt żywo, wcale niezbyt boleśnie go dotyka: wszak z ukochaną matką pozostanie, a ojciec, ciągle bawiący poza domem, nie mający niby nigdy czasu synem się zająć,

i dotąd niewielką rolę grał w jego życiu. Tak powieściopisarz wierzyć nam każe i wierzymy, że może, gdzieś, kiedyś, gdyby wszystkie zdarzenia i osoby w ten sposób się w rzeczywistości uszeregowały, jak się szeregują w powieści, mogłoby może rozejście się rodziców wywrzeć na kilkunastoletnim chłopcu tylko takie wrażenie, jakie wywarło na Władku. A i tu jeszcze pytanie niemałe, czy później, gdy Władek podrośnie, przejdzie ze świata chłopięcego w świat dorosłych, nie zacznie innem okiem na to rozejście się patrzyć; jakiem okiem patrzyć się wtedy będzie na powtórne śluby matki? Nasz powieściopisarz nie musnął nawet tych i wielu innych, ściśle z niemi związanych, a natrętnie narzucających się pytań. Mącą one nieco wrażenie, wywołane bardzo sprytnie, z humorem namalowanemi, dopełniającemi się wzajemnie obrazkami dziecinnego i niedziecinnego świata, tych dwóch światów, tak sobie blizkich, a z drugiej strony tak dalekich; tak do siebie pod pewnym kątem widzenia podobnych, tak pod innym odmiennych.

Obrazki z życia. Przez *A. M. L.* W Krakowie. Nakładem księgarni Spółki Wydawniczej Polskiej. 1893.

Zaznajomienie się, następnie dokładne odczytanie „Obrazków“, zawdzięczam — nie wiem, czy właściwie przyznać się do tego wypada — *Nowej Reformie*. Recenzent, może recenzentka, to samo uprawiająca rzemiosło, i stąd nieco zazdrości podległa, tyle wyrzuciła w *Reformie* na biedne „Obrazki“ ironii, szyderstwa, najgorszego, bo arystokratyczno-literackiego politowania, że mimowoli podejrzenie w umysł się wśrubowywało: Musi być coś w tych „Obrazkach“, co całej partyi grozi ruiną, kiedy takie kolubryny z takim impetem przeciw nim do szturmu walą. Tymczasem nie! poczciwe „Obrazki“ Bogu ducha winne, proste, bez pretensyi, nie wdają się nawet w wir walk politycznych, raz tylko, jeśli się nie mylę, *Czas* w grę wprowadzają, co, chociaż niełądnie, bo mogły przecież natomiast *Reformę* zareklamować, jednak od biedy da się usprawiedliwić. Prawda, że opowiadanie toczy się przeważnie w salonach; ale cóż robić, kiedy salony w rzeczywistości istnieją i dość długo istnieć podobno będą, to niema może racyi odejmować im i w powieści prawa do istnienia. Z dwojga tego lepiej już pewnie, kiedy autor nieco monotonnie po salonach swym bohaterom każe się ślizgać, niż kiedy, wedle mody przyjętej przez paru naszych, chorujących na naturalizm powieściopisarzy, obraca się do znudzenia w kółku kolacyjek z aktorkami i śniadanek z baletniczkami. Zresztą w „Obraz-

kach“ nie same tylko salony, saloniki; nie sama pół-polska, pół-francuska mowa; choć z drugiej strony nie przeczymy znowu, że bukiet ten lepiejby jeszcze wyglądał, gdyby była w nim trochę większa różnobarwność i rozmaitość; gdyby starannie wyhodowane ogrodowe róże poprzeplatać polnemi, leśnemi kwiatkami.

Opowiadanie, zatytułowane: „Bóg zapłać“, i ostatni obrazek: „Wart pałac Paca, a Pac pałaca“, tak są rzewne, tyle w nich szlachetnego a prawdziwego uczucia, tyle przebija się chrześcijańskiej, świętej litości dla wszelkiej biedy czy serca, czy ciała — że prawdziwie szczery żal nam tych, którzy tego pojąć nie mogą. Tem bardziej usprawiedliwiony byłby oczywiście ten żal, gdyby pojmowali, a z jakichbądź ubocznych względów — nie wchodzimy w to, politycznych, kastowych, czy osobistych — zaklinali się na cały głos: „Nic a nic nie rozumiemy, rozumieć nie chcemy!“ Byłoby to tak niemiłe, tak jakoś nieludzkie, że mając przed sobą taki niewesoły wybór, lepiej już pozostać przy pierwszej hipotezie.

Na drodze. Nowele i obrazki. Przez *Maryę Konopnicką*. Kraków. Nakład G. Gebethnera i Sp. 1893.

Szczególne zamiłowanie ma pani Konopnicka do ludzi, którym brakuje parę, lub jednej przynajmniej klepki; do ludzi, przybranych nieraz w bardzo romantyczne i poetyczne szaty, ale ostatecznie i mówiąc bez ogródek — waryatów. W zbiorku, który mamy pod ręką, występuje waryat (waryatka), jako główny, nieraz jedyny bohater w sześciu obrazkach; na dwanaście, wchodzących w skład całego tomiku, dość znaczny to procent; pytanie, czy o wiele nie za znaczny, czy to ciągłe malowanie spaczonych, schorowanych umysłów ma racyę bytu i czy warto w tym kierunku talent wytężać? Prawda, że autorka umie czarem poezyi i głupstwo otoczyć, wysila się, aby głupstwo uczynić czytelnikowi sympatycznem, i dzięki bujnej swej fantazyi i pięknej formie, której wszystkie możliwe kształty wybornie umie nadawać, nieraz i u niejednego podobno dochodzi do pożądanego kresu. Ale czy warto znowu, czy nie szkoda tylu wysiłków, tylu rozsianych istotnych piękności dla takiego sportu?

W innych, nie naszkicowanych na waryackiem tle nowelkach, zarysowywują się wyłącznie postacie biednych Żydów i biednych, bardzo biednych wyrobników, rzemieślników, a wyznać trzeba, że zarysowywują się nadzwyczaj plastycznie i tak wiernie, do przesady wiernie z natury skopiowane, że miałoby się prawie czasem ochotę powiedzieć: „Obraz od

rzeczywistości prawdziwszy", że istotnie czasem w tym rozpędzie wierności aż poza prawdę, poza naturę przeskakują. Wyborna, znakomita ta Józefowa, tęskniąca, jak do najlepszego przysmaku, do mężowskiego kułaka, którego naprawdę, na niemały swój wstyd i boleść, od niedołężnego Glapy doczekać się nie może; wyborna, oryginalna, ale kiedy w chwili śmierci, od tego właśnie kułaka sobie zadanego, promienieje z radości, że długoletnie jej marzenia wreszcie się spełniły i wreszcie moc mężowską na sobie poczuła, to mimowoli pytanie w umysł się wślizguje: czy nie zbyt to naciągnięta nuta? — Wyborne łobuzy i Felek i Wicuś, przyjmujące z klasyczną filozofią kolejną sprzedaż wszystkich niepotrzebnych i bardzo potrzebnych sprzętów; cieszących się i skaczących, kiedy „handel" zabierał i mcździerz i rondel i łóżko; ale czy znowu ta łobuzowska filozofia nie wpada w zbyt krzyczące i niemiłe barwy, kiedy nawet śmierć matki, bądź co bądź kochanej, żadnej w niej szczerby nie czyni? Podobna uwaga nasuwa się i przy — bardzo w powieści sympatycznej, szkoda, że w życiu rzadko, bardzo rzadko, bodaj czy wogóle kiedy spotykanej — postaci Mendela Gdańskiego i flegmatycznego spekulanta Portera i uległej Chai i grubego Gotliba; wszyscy oni stawali przed fotograficznym aparatem, ale fotograf dla większego efektu ubrał ich w stroje i ustawił w pozach może malowniczych, zapewne nawet charakterystycznych, lecz których na własną rękę nigdyby z pewnością nie byli przybrali.

Szmat życia. Powieść w dwóch częściach. Przez *Gabryelę Zapolską*. Warszawa. Nakład i druk S. Lewentala.

We krwi. Powieść współczesna w dwóch częściach. Przez *Gabryelę Zapolską*. Warszawa. Nakład i druk S. Lewentala.

Bieda to, bieda niemała, kiedy malarz, poeta, powieściopisarz, powieściopisarka postawi sobie za *motto*, ideał, cel swych utworów: „Chcę być idealistą, albo naturalistą; dziej się co chce, kurczcie się, wyciągajcie się jak na torturach biedne istoty, które dostaniecie się pod mój pendzel, lub pióro, ale niechaj ludzie wiedzą, żem ja idealista, żem ja naturalista!" Jeszcze kiedy kto gwałtem w strój chmurno-niezrozumianego i niezrozumiałego idealisty się przebiera, to tylko pół biedy; może być i bywa nudnym, śmiesznym, ale nie bywa zazwyczaj zbyt szkodliwym. Gorzej, kiedy komu tryumfy Zolów i Catulle Mendesów spać nie dadzą; kiedy w dodatku, nie posiadając ani talentu, ani spostrzegawczego daru tych mistrzów brudnego naturalizmu, bierze z nich wszystko co brudne, a mimowoli na boku zostawia co naturalne, i naiwnie sobie wystawia, że zna naturę i wiernie ją maluje, ponieważ

w kółko odmalowuje, zazwyczaj trochę karykaturalnie, kilka najmniej ponętnych, najwstrętniejszych jej zjawisk; że jest naturalistą, ponieważ co druga kartka wspomina o rzeczach, o których w dobrem towarzystwie się nie wspomina. Taki ideał naturalizmu utworzyła sobie pani Zapolska, służy mu od lat niemało z bałwochwalczą wiernością, z najskrajniejszym konserwatyzmem; co i jak opisywała w „Kaśkach Karyatydach“ i przeróżnych „Fantazyach“ i „Akwarelach“, to teraz z podziwu godną cierpliwością opisuje, z przykładną wytrwałością kopiuje w dwóch najnowszych, w nagłówku wypisanych powieściach. I znowu obie te powieści podobne do siebie w tendencyi, przedstawianych charakterach, obrazowaniu, w pewnych ulubionych zwrotach i pewnych, szczególnie umiłowanych trywialnych wyrażeniach; jak podobna do siebie ich zewnętrzna szata: okładki, druk, nawet ta sama mniej więcej liczba stronic.

Głównymi bohaterami, jak w pierwszej, tak w drugiej powieści, mąż zły, pchający poczciwą, kochającą żonę gwałtem na bezdroża, a przynajmniej na bardzo ślizkie ścieżki. Michał w powieści „We krwi“, nałogowy, obrzydliwy pijak, znęca się nad Stefanią, bije ją i kopie; Stanio w „Szmacie życia“ zanadto elegancki, może i za leniwy, aby do pięści się brać, ale zresztą i w gruncie rzeczy w stosunku swym do żony niczem od Michała się nie różni, i jak winą męża, że Stefania lgnie do Rudolfa, który jeden w nieszczęściu rzucił jej trochę banknotów i słów przyjaznych; tak winą męża, że Marya lgnie do Leona, który ma dla niej trochę dobrego serca. Tu mąż upaja się winem, wódką, tam niedozwolonemi miłostkami. W jednym romansie jest Jerzuś, który matce smutną dolę osładza, w drugim tę funkcyę odgrywa Dziudek; dziwi się Jerzuś, kiedy spotyka ojca, zbyt czule romansującego; dziwi się Dziudek i drży konwulsyjnie, patrząc na ojca pijanego, tyranizującego matkę. I tu i tam, co sługa, to zuchwała, kradnie, bigotka; tam Melcia zmysłowa do ostatnich granic, tu Trejna kubek w kubek do niej podobna; tam, jaki tylko mężczyzna na scenie się pokaże, to na to, aby flirtować i uwodzić, tu na to, aby uwodzić i flirtować. Nawet sceny całe, całe opisy jakby skopiowane w jednej powieści z drugiej; gdyby kto kilka tylko wyrazów podstawił w opisie warszawskiego teatru, miałby opis lwowskiej sali sejmowej; gdyby pozmieniał nazwiska panów, umizgających się do różnych bohaterek obu romansów, mógłby spokojnie niejedną kartkę z pierwszej powieści włożyć do drugiej i naodwrót. Czyżby naturalizm prowadził do takiego ubóstwa

inwencyi? czyż zamykaćby się miał w tak ciasnych, tak rozpaczliwie ciasnych granicach?

Tak zdawaćby się musiało, przerzucając tomy pani Zapolskiej. Niedość, że charaktery, sytuacye wciąż w kółko te same; ale nawet zwroty, frazesy, wyrazy, te zwłaszcza, z któremi autorka z szczególną miłością pieści się i popisuje, jako wybitnie naturalistycznemi, powtarzają się co parę stronic z odurzającą monotonnością. Dość przytoczyć jeden drobny szczegół, aby poznać, jak nieszczęśliwa jest ta, wszędzie wciskająca się, „naturalistyczna“ poza. Prezentując nam nową jakąś, ukazującą się na scenie osobistość, maluje pani Zapolska z szczególnym naciskiem nie jej twarz, postawę, usposobienie, ale — biodra; maluje je raz po raz, z zabawnem sadzeniem się na dokładność i plastyczność, przysiądz zapewne gotowa, że tego rodzaju malowidłami wyrabia sobie patent na „naturalistkę“ czystej wody. Zresztą ludzie, to tylko zwierzęta, to tylko sami samce i samice, jak nieco niegrzecznie, ale dosadnie i z widocznem upodobaniem nasza powieściopisarka się wyraża; stąd i dziwić się bardzo nie można, że pióro, że myśl jednej z przedstawicielek owego „ludzkiego“ rodzaju nie wychodzi, jakby z zasady, poza pewne objawy czysto zwierzęcego życia.

Co najsmutniejsze robi wrażenie, to kiedy p. Zapolska, chcąc — śladem francuskich swych mistrzów — okazać, że nic jej nie obcem, o wszystkiem wie i wszystko opisać potrafi, zawadza o religię, o kościelne obrzędy. W gruncie rzeczy, daleko podobno jaśniejsze i prawdziwsze ma wyobrażenie o rozmaitych knajpach i tingiel-tanglach; lokale te i ich mieszkańców znać musi dokładnie ze swego powieściopisarskiego obowiązku, ale św. Ignacego Loyolę może sobie wyobrażać jako młodzieniaszka „z lilią w ręku, ze złotą, z włosów kręconych, koroną“. Opis chrztu Trejny, jej chrapliwe śmiechy w zakrystyi, i następująca później pijatyka, są nietylko moralnie, ale i estetycznie obrzydliwe; co gorsza dla pani Zapolskiej, bardzo nieprawdopodobne, niemal że niemożliwe. Ale jakże ślepemu o kolorach pisać?

Prawdziwe to szczęście, że pani Zapolska, niewolniczo w parę francuskich wzorów wpatrzona, a talentem daleko, daleko za niemi zostająca, tak po samej powierzchni się ślizga, tak głębiej i w serca patrzyć nie umie, tak wreszcie nielitościwie sama siebie wciąż okrada. Wobec niezaprzeczenie złej swej woli, wobec smutnych tendencyj mogłaby być niebezpieczną; dziś — przynajmniej dla wykształconych umysłów — jest raczej tylko złą i wstrętną.

Dwa bieguny. Przez *Elizę Orzeszkową*. Petersburg. Nakładem księgarni Br. Rymowicz. 1893.

Dwa bieguny, powiedziećby można: „dwa światy"; jeden w wielkomiejskiem znaczeniu tego słowa: świat bawiący się, a raczej wciąż myślący, dążący do bawienia się, stawiający sobie za zadanie życia: jak zabić czas i nieznośne, wciskające się wszystkiemi porami nudy; — drugi przesiąknięty do dna i szpiku kości wielkiemi ideami miłości ojczyzny i bliźnich, miłości i konieczności pracy, poświęcania własnych pragnień i przyjemności na ołtarzu obowiązku.

Przedstawicielami pierwszego z tych dwóch światów, to cały, widocznie z natury odmalowany, warszawski salon pani Idalii: Józio i pani Oktawia toczący wieczną dyskusyę, dlaczego mężczyźni oświadczają się kobietom, a nie kobiety mężczyznom; Stefan opowiadający kilku paniom treść nowej powieści francuskiej; Leon, Karol, panna Zofia i jeszcze ktoś czwarty spierający się o to, który taniec jest przyjemniejszy, walec czy kontredans; wreszcie na pierwszem miejscu, sama gospodyni domu, niezrównana mistrzyni flirtu, umiejąca wybornie „mówić, mówić, mówić, ze wszystkich wątków prząść nić rozmowy gładziutką, błyszczącą, czepiającą się wszystkiego, co na niebie i na ziemi istnieje, lecz do niczego nie przyczepiającą się ani długo, ani silnie". Na drugim, wręcz przeciwnym biegunie, stoi kuzynka Idalii, z dalekiej gdzieś puszczy, z zagrzebanych na końcu świata Krasowiec przybyła na chwilę do Warszawy, panna Seweryna Zdrojowska. Ubrana biedaczka nieco po staroświecku; nie zna pewnych zwrotów, pewnych świeżo w warszawskich salonach ukutych francusko-polskich wyrażeń, których znanie i używanie pasuje na rycerzy stołecznego szyku; nie umie tak stąpać, tak oczu spuszczać i podnosić, jak tego despotycznie domaga się ostatnia, najostatniejsza — mniejsza o to w paryskim sklepie czy wiedeńskim cyrku wyhodowana — moda. Prawda, że za to i piękna i bogata i rozumna i nawet dowcipna; tak dowcipna, że ci, którzy w pierwszej chwili próbują zabawić siebie i innych parafiańską jej pozą i naiwnością, muszą niebawem ze wstydem niemałym broń złożyć.

Bohater powieści, życiem, przyzwyczajeniami stoi przy pierwszym biegunie. Rozumie dobrze czczość tego życia; zdaje sobie wybornie sprawę, jak ckliwym, nudnym, bezdusznym jest cywilizowany salon kuzynki Idalii; wyrozumować sobie umie, jak piękną ma rolę i jak pięknie ją spełnia kuzynka Seweryna w wiejskim swym, starożytnym dworze, w którym wre bezustanna praca, ścisła obowiązkowość i szczytne

a rozumne miłosierdzie bezpodzielnie panują. Wszystkie wyższe uczucia, szlachetniejsze porywy ciągną ku „dzikiej“ Sewerynie, ku drodze przez nią wskazanej; ciągnie ku temu biegunowi szczera miłość w sercu budząca się. Ale chcąc iść za temi popędami, trzebaby osiedlić się w Krasowcach, wziąć nie na żarty pług codziennych obowiązków do ręki, zerwać stanowczo z dotychczasowem, próżniaczem życiem, z wielkostołeczną „cywilizacyą“ — z tem wszystkiem, co wyobraża motylkowata Idalia i śmiejący się, błaznujący, flirtujący towarzysze jej salonowej doli i niedoli. Na to bohaterowi naszemu sił zabrakło. Żałował tego później zawsze, miał oczy mokre od łez na samo wspomnienie o decydującej chwili, w której stanowczo ze szczęściem się pożegnał; ale któż wiedzieć może, czy gdyby cudownym eliksirem młodość odzyskał, i jak niegdyś na rozstajnej drodze stanął, nie poszedłby znowu tą samą ścieżką co przed laty?

A dlaczego nie poszedł dawniej, dlaczego i teraz podobnoby nie poszedł? Bo to, odpowiada, „przewyższa moje siły, chociaż nie przewyższa mojego pojęcia“. Dlaczego siły przewyższa, skąd i dlaczego ta słabość charakteru, nieudolność woli? Nie znajdujemy odpowiedzi; co dziwniejsza, nie znajdujemy nawet tego tak naturalnie, mimowoli cisnącego się na usta i pod pióro pytania. A czy nie dlatego może nie znajdujemy go, że zmusiłoby ono p. Orzeszkową do zastanowienia się nad wyższemi ponad wszystko co ziemskie stojącemi zagadnieniami, o których z pewną, rzecby można, chorobliwą trwogą wiedzieć nie chce; o których najlżejszej, często takiemu opowiadaniu wręcz wskazanej, wzmianki sobie nie pozwala? Co za szkoda, że tak piękny talent, w tej zwłaszcza i przedewszystkiem powieści, tak pięknie się objawiający, tak jednak uporczywie patrzyć nie chce ani wyżej w niebo, ani głębiej w serce ludzkie!

Na złamanie karku. Przez *Adolfa Dygasińskiego.* Warszawa 1893.

Prawda! na złamanie karku lecą bez upamiętania ci rokitniccy emigranci, sprzedani przez ajentów bez czci i wiary w brazylijską niewolę. Tacy oni, z małemi wyjątkami, nierozsądni, tak łatwo dają się oszołomić niemożliwemi obietnicami, tak prawdziwie życzliwych i dobrze radzących słuchać nie chcą, że nie wiedzieć, większy żal czy gniew zbiera i mimowoli myśl się podsuwa: „Poczekajcie, sami się niezadługo przekonacie, kto miał racyę!“ Długo czekać nie trzeba. Już w drodze do Bremy źle i ciężko; oszukują, okradają wychodźców; ciężko na drodze do Brazylii, najciężej w samej Brazylii. Różnemi

drogami, a wszystkie smutne, aż się serce kraje, starają się po niewczasie płaczący teraz i narzekający emigranci, od śmierci głodowej się uchronić; pracują, jak nigdy w rodzinnej wsi nie pracowali; ostatni z domu przywieziony grosz w uprawę ziemi łożą, i ostatecznie — cierpią straszną nędzę, żółta febra ich dziesiątkuje, choroby, wycieńczenie przemienia w żywe szkielety. Inni, jak jedna z głównych bohaterek, Maryna Grzędzianka, puszczają się wprost na hultajskie życie i hultaić się będą dopóki młodość i zdrowie posłuży, a potem nędznie na bartogu zginą; rozpiją się, jak Głodzikowski; dostaną umysłowego obłędu, jak Kobylak; padną pod nożem zbójów lub pod kulami brazylijskich żołnierzy, wysłanych w celu poskromienia buntujących się Polaków. Ci co pozostali, o jednem tylko marzą, jak wydobyć się z brazylijskiego piekła i wrócić do ojczystej ziemi; opływali kiedyś we względny dostatek, teraz wrócą żebrakami, ale mniejsza o to, byle co prędzej za morze, do Polski!

Opowiadanie ujęte jest w formę powieści, ale właściwie to nie powieść; raczej zbyt smutna, z rzeczywistego życia wydarta karta. Autor opisał to co sam widział, sam słyszał w czasie podjętej przez siebie wycieczki do Brazylii; co inni podróżnicy i on sam odmalował w poważnych studyach i „Listach“, to teraz powtórzył w popularnej, na szersze warstwy obrachowanej książce. Nikt nas zapewne posądzać nie będzie o szczególne sympatye dla p. Dygasińskiego; ale tej jego powieści, podobnie jak „Listom z Brazylii“, szczerze życzymy rozpowszechnienia wszędzie tam, gdzie niesumienni agenci usiłują wyprowadzić polski lud w obce kraje — w niewolę, na sprzedaż!

Na scenie i za kulisami. Przez *Juliana Morosza.* Historya parafialna. Warszawa 1893.

A kiedy ono nie takie! Studyum z natury. Przez *Juliana Morosza.* Warszawa 1893.

Nie należy to z pewnością do największych przyjemności, czytać książkę, której wątku i nici przewodniej dopytać i dochwytać się nie można. Jeżeli to książka poważna, naukowa, powiadasz sobie pokornie: widać za wysokie to rzeczy na moją głowę, albo może czytałem nieuważnie; zacznijmy raz jeszcze od początku! Ale zaczynać powieść raz jeszcze od początku, żeby się dowiedzieć, co w niej właściwie autor chciał nam powiedzieć; aby odnaleść drogę w tym labiryncie „parafialnych“ intryg i intryżek bez miary, bez końca, a bez właściwego interesu, bez śladu oryginalności — nie! to za radykalne żądanie, i wątpić się godzi, czy i sam p. Morosz miałby odwagę na seryo

go postawić. Lepiej już sobie powiedzieć: „Snać tak nieuważnie czytałem, że, choć musi tu być jakaś treść i myśl, z własnej winy wytropić jej nie zdołałem“. — Prawda, że i taka nieuwaga przy czytaniu powieści, nie jest dla niej najpochlebniejszem świadectwem.

Napisaliśmy te słowa po przeczytaniu pierwszej z wymienionych w nagłówku powieści, kiedy wpadła nam w rękę druga, znacznie mniejsza i cieńsza: „A kiedy ono nie takie!“ Tu wiemy już przynajmniej od razu, o co autorowi chodzi; postęp to tak znaczny, że wobec niego wszystkie inne zarzuty maleją. Pan Morosz przedstawia nam po prostu, z naturalistyczną wiernością, żadnego szczegółu nie darowując, jeden z owych bolesnych wypadków, które niestety! istotnie zdarzają się, a o których od czasu do czasu dochodzi wiadomość do szerszej publiczności pod formą kronikarskiej notatki: „Policya zmuszona była odebrać dziecko z rąk nieludzkiej matki, która nad niem bez miłosierdzia się znęcała“. Nad biedną Nusią znęca się nietylko matka, ale i dwie jej starsze siostry, jedna ze złości, druga raczej z głupoty. Dziewczynka bronić się ani może, ani umie, ale to ciągłe, najstraszniejsze ze wszystkich, domowe prześladowanie, wyrabia w niej najgorsze instynkta, zapala zwłaszcza chęć zemsty, o której długie godziny z rozkoszą przemyśliwa. Czemu się nad nią znęcają? Matka, siostry, właściwej racyi podaćby nie mogły — „ona nie taka!“ i koniec; ona „potworem“, ale jak, ale dlaczego, tego badać się nie kuszą. Wypadki takie, powtarzamy, zachodzą; na wstyd natury ludzkiej wyznać to trzeba. Inne pytanie, czy takiemu, bądź co bądź wyjątkowemu zdziczeniu serca, czy zboczeniu umysłu, warto było aż całe, i to powieściowe studyum poświęcać; czy takie i w ten sposób malowane obrazy z natury mają racyę bytu, czy dla oglądających je zdrowe, czy miłe nawet?

Mamin synek. Przez *St. Graybnera.* Lwów. Jakubowski & Zadurowicz. 1894.
Na warszawskim bruku. Przez *St. Graybnera.* Lwów. Jakubowski & Zadurowicz. 1894.

Awantur sporo, dość dużo dwuznaczników, potężna liczba szczegółowych opisów przeróżnych śniadanek, kolacyjek; cała procesya przeżytych jegomościów i dążących co sił w ich ślady młodzieńców, kilka scen dość skandalicznych, mnóstwo ani zabawnych, ani potrzebnych, ani jednej prawdziwie oryginalnej, nowością pomysłu lub przynajmniej przeprowadzenia uderzającej: oto, mówiąc krótko i po prostu, cały bilans dwóch dość grubych tomów, któremi p. Graybner nas obdarzył.

Dotąd nie spotykaliśmy się na powieściopisarskiej niwie z nazwiskiem autora; sądząc po dwóch tomach obecnie wydrukowanych, wyrazić możemy tylko najszczersze życzenie: „Obyśmy się i na przyszłość spotykać nie potrzebowali!“

Obrazki. Przez *Melanię Parczewską.* Warszawa. Nakładem T. Paprockiego i S-ki. 1893.

Autorka znana jest od dawna z swych badań nad różnymi, nad drobnymi zwłaszcza i mniej znanymi ludami słowiańskimi; znają ją również wśród tych ludów i — mieliśmy o tem sami sposobność się przekonać — umieją dobrą jej wolę ocenić, czczą ją i kochają. Bo i trudno, aby kochać jej nie mieli, gdy sama z taką miłością o nich się odzywa, tak wiernym a pięknym pendzlem szkicuje ich zwyczaje i obyczaje, rozliczne a ciężkie walki, rzadkie zwycięstwa, częstsze porażki w walce z obcemi, przemagającemi żywiołami. — Łużycki „proboszcz“, któremu pierwszy obrazek jest poświęcony, to po prostu bohater, tem większy, że sam o tem nie wie, i spełniając w imię Boga, religii i narodowej idei, najszczytniejsze czyny, święcie jest przekonany, że spełnia tylko święty obowiązek. A jakim bohaterem ten Skalski, „sztygar“ w jednej z górnoszląskich kopalni, co bez chwili namysłu, własne życie na szwank narażając, ratuje życie tysiąca ludzi, ratuje życie samego właściciela kopalni, a w zamian spotyka się z czarną niewdzięcznością, otrzymuje dekret wygnania i matkę dogorywającą zostawić musi na opiece obcych ludzi. Inny obrazek: „Nad morzem“, przenosi nas do rybackiej chaty w Rewie nad brzegiem Bałtyku, chaty, w której od wieku całego panuje już niemiecka mowa i obyczaj. Jedna, stuletnia Schimankowa, pamięta dźwięki polskiego języka, którym matka pacierz z nią mówiła, gdy ojciec na morzu tonął; w czasie pogrzebu Schimankowej, przywiązana wnuczka wrzuciła na spód mogiły przechowywaną przez babkę ze czcią książkę, której ona już sama, niestety, czytać nie umiała — to była ostatnia polska pamiątka w Rewie: stara gdańska biblia. Nad Bałtykiem żywioł polski wymiera, niknie; co dzieje się z nim w Poznańskiem, na to odpowiada smętny, jakby łzami malowany obrazek: „Wólka i Willburg“. Dawna „Wola“, pod nowym swym panem Niemcem, ustąpiła miejsca Willburgowi; mała „Wólka“ pójść musiała za potężniejszą sąsiadką, i mimo długiego, heroicznego oporu coraz biedniejszego, borykającego się z nędzą właściciela, przeszła wreszcie również w niemieckie ręce.

Smętne to, bardzo smętne obrazki, ale warto się im przypatrzyć,

warto i należy nad niemi zastanowić się, podumać. Wśród gęstego tłumu nowel i powiastek, bez myśli, bez celu, pisanych jak na pańszczyznę — „Obrazki“ p. Parczewskiej robią wrażenie pięknego i wonnego kwiatu, wyrosłego na wysuszonej przez słońce niwie.

Ks. Jan Badeni.

Z piśmiennictwa zagranicznego.

Das Apostolische Glaubensbekenntniss. Seine Geschichte und sein Inhalt. Von *Suitbert Bäumer*, Benediktiner der Beuroner Congregation. Mainz. Verlag von Franz Kirchheim. 1893. (W 8-ce, str. VIII, 240).

Das Apostolische Glaubensbekenntniss. Eine apologetisch-geschichtliche Studie, mit Rücksicht auf den „Kampf um das Apostolicum“. Von *Clemens Blume S. J.* Freiburg im Br. Herder. 1893. (W 8-ce, str. XVI, 304).

Ściśle naukowe badania nad genezą i historyą symbolu apostolskiego zaczęły się dopiero w w. XVII, i to w obozie protestantów. Przedewszystkiem wspomnieć tu należy prace biskupów anglikańskich Usshera i Pearsona, dalej Kinga, Grabego i Binghama, a z nowszych Heurtleya i Swainsona. W Niemczech uchodzi za ojca historyi symbolu G. J. Voss, który w r. 1642 ogłosił swe: *Dissertatiqnes tres de tribus symbolis*, tj. rozprawę o symbolu apostolskim, św. Atanazego i św. Ambrożego, czyli o hymnie *Te Deum laudamus*. Po nim należy się wzmianka pracom Walcha i Hahna. Najwięcej jednak zasłużył się nauce, przez zebranie materyału źródłowego do historyi symbolu, zmarły w roku 1892 profesor norwegski Caspari. Na podstawie tegoż materyału pisali jeszcze o symbolu: Zezschwitz w swej „Katechetyce“ i Kattenbusch w programie uniwersytetu w Giessen. Wszyscy ci uczeni przyjmują, że symbol, którego dzisiaj używamy, jest co do treści pochodzenia apostolskiego.

Inne całkiem stanowisko w roku zeszłym zajął w tej kwestyi Adolf Harnack, znany profesor teologii na uniwersytecie berlińskim. Jego zdaniem zawiera symbol rzeczy sprzeczne z nauką i zdrowym rozsądkiem, i dlatego należy go zastąpić nowym, więcej duchowi czasu odpowiednim. Broszura, w której złożył swe poglądy, liczy dziś już dwadzieścia kilka wydań i wywołała w obozie protestantów straszną burzę. Wobec tych sporów nie mogli pozostać obojętnymi także uczeni

katoliccy. Wszak chodzi tu o wspólne mienie wszystkich wyznań chrześcijańskich i o same fundamenta wiary! Nadto zaczepił Harnack kilkakrotnie w sposób brutalny Kościół i naukę katolicką. Odprawą na te zaczepki i apologią symbolu apostolskiego ze strony katolickiej są wspomniane dwie monografie OO. Bäumera i Blumego. Obie te prace zostały prawie równocześnie oddane do druku. Ponieważ jednak rozprawa Bäumera dostała się wcześniej w ręce publiczności, więc Blume cytuje i uwzględnia ją jeszcze w swojem dziele. Teraz słów kilka o jednej i drugiej monografii.

Bäumer chce dać odpowiedź na cztery główne pytania:

Co rozumieć należy pod symbolem apostolskim?

Jaki jest początek składu, którego dziś pod nazwą apostolskiego używamy?

Jaką ma podstawę w księgach świętych N. T., albo czy od nich jest starszy?

Jaka wreszcie jest treść pojedyńczych artykułów?

Stosownie do założenia i głównej treści rozpada się rozprawa na dwie części, z których pierwsza (str. 1—175) obejmuje studyum nad pochodzeniem i historyą symbolu, a druga (175—232) daje krótki jego komentarz i ocenienie treści.

Na wstępie określa autor różnicę między pokrewnemi pojęciami: *regula fidei*, *canon* i *symbolum*; dalej konstatuje, że tekst, którego dziś używamy w *Pontificale romanum*, w rytuale i brewiarzu, znajduje się w kościołach gallickich, a może już i w samym Rzymie z końcem wieku piątego. Następnie śledzi tekst symbolu u Ojców i pisarzy kościelnych wieku V., dalej w. IV., III., II., i dochodzi w ten sposób aż do uczniów apostolskich św. Ignacego, Polikarpa i Klemensa rzymskiego, dowodząc na podstawie ich pism, że już za ich czasów istniał symbol, czyli pewne, w stałą formę ujęte wyznanie wiary. Tym sposobem apostolskie pochodzenie symbolu jest zapewnione. Albowiem co uczniowie apostolscy mieli i nauczali, było im przekazane przez ich nauczycieli, tj. Apostołów. Ale autor idzie jeszcze dalej, rozciąga swe badania także i na czas samych Apostołów, i znajduje niektóre wyrażenia symbolu już w kazaniach św. Piotra i w listach św. Pawła. Nie rozwodzę się tutaj szerzej nad rezultatem badań uczonego Benedyktyna, ponieważ wrócę jeszcze niebawem do tej ciekawej kwestyi.

W komentarzu do symbolu autor daje przy każdym artykule waryanty różnych recenzyj tekstu, starszych nad wiek piąty, a potem naukowe tychże artykułów objaśnienie. Dłużej zatrzymuje się przy 3-cim

artykule: *Qui conceptus est de Spiritu Sancto, natus ex Maria Virgine*, ponieważ te słowa przedewszystkiem są dzisiaj głównym kamieniem obrażenia dla liberalnych teologów protestanckich. Podwójny, zdaniem autora, jest tych ataków na rzeczony artykuł powód. Raz, obawa przed cudami, a powtóre wstręt, jaki ma luteranizm do nauki Kościoła katolickiego o godności i cenie życia dziewiczego.

O. Blume także dzieli swą rozprawę na dwie główne części. W pierwszej objaśnia, co katolik rozumie pod nazwą „apostolski", a jakie znowu znaczenie ma to słowo w ustach postępowych protestantów, i daje obszerną i krytyczną ocenę dotychczasowej literatury symbolicznej.

Druga część rozpada się na dwa artykuły, z których pierwszy obejmuje historyę symbolu od r. 600—300, zaś drugi śledzi jego tekst w dokumentach kościelnych trzech pierwszych wieków. Autor dochodzi do tych samych rezultatów co i Bäumer, i nie zgadza się z nim tylko w kwestyach drugorzędnych. I tak O. Bäumer jest zdania, które popiera także napisami katakumbowemi, że i Rzym poczynił w swym symbolu pewne nieznaczne zmiany, opuszczając np. za papieża Zefiryna z powodu herezyi monarchianów i patripassyanów słowo *unum* przed *Deum* i przekształcając tym sposobem dawny tekst: *Credo in unum Deum, omnipotentem, creatorem...* w słowa: *Credo in Deum Patrem, omnipotentem, creatorem.* Zaś Blume usiłuje wykazać, że zdanie to nie ma dostatecznego uzasadnienia w dziełach pisarzy kościelnych, i że przeciwnie, bardzo poważne stare świadectwa i powody mówią przeciw niemu.

Obie monografie uzupełniają się nawzajem i cennym są nabytkiem dla literatury katolickiej. Jednak pierwszeństwo należy się pracy Bluma, a to z tego powodu, że rozprawił się gruntowniej z protestantami, zużytkował w swem dziele źródła, których nie uwzględnił Bäumer, i przejrzyściej uporządkował cały materyał źródłowy.

Ks. J. Bilczewski.

Besjede o bezsmrtnosti duše i druge neke, koje je u raznih prigodah rekao *J. Rieger*, Doktor Bogoslovja. U Križevcih. 1893. (Konferencye o nieśmiertelności duszy i niektóre inne kazania, wygłoszone w rozmaitych okolicznościach przez księdza J. Riegera, doktora świętej Teologii).

Zbiór kazań wydanych pod powyższym tytułem rzuca nader korzystne światło na stan współczesnego kaznodziejstwa w pobratymczej nam Chorwacyi. Wyszedłszy z zasady, że ze względu na prądy, nur-

tujące obecnie, w mniejszym lub większym stopniu, w łonie wszystkich niemal ucywilizowanych społeczeństw, potrzeba, aby kler był nietylko *docens*, ale także i *militans* — autor tych kazań porusza w nich wiele kwestyj, będących najbardziej na czasie, charakteryzując je w sposób popularny, zrozumiały dla szerokiego koła słuchaczy, i wskazując, jak się na nie ze stanowiska chrześcijańskiego zapatrywać należy. Nie waha się też kruszyć kopii z ludźmi innych przekonań, stając z odsłoniętą przyłbicą w obronie wiary, sprawiedliwości i prawdy.

Naczelne miejsce wśród tych kazań zajmują wielkopostne nauki o nieśmiertelności duszy, w których wszystkie zalety, właściwe księdzu doktorowi Riegerowi jako kaznodziei, tj. głębokość i świeżość myśli, połączona z łatwością i jędrnością stylu, wyraźnie się przebijają. Przytaczamy z nich parę wyjątków, sądząc, że przez to damy poznać najlepiej charakterystyczne ich cechy.

Oto naprzykład w jaki sposób po krótkim wstępie czcigodny mowca przystępuje do dowodów, świadczących o pozagrobowem istnieniu duszy:

„Z łona do łona. Dwa te wyrazy streszczają całe dzieje ziemskiej pielgrzymki człowieka. Natychmiast po urodzeniu się dziecięcia uszczęśliwiona matka, tuląc je do łona, kładzie do kolebki, krewni zaś i przyjaciele wyrażają swą radość z powodu, że się nowy człowiek urodził. Wkrótce też dziecię to wyrasta na człowieka, aby następnie po wielu latach trosk i cierpień stać się znowu słabem, niedołężnem dziecięciem, niezdolnem myśleć o zaspokojeniu własnych materyalnych potrzeb i wystarczyć samemu sobie. Skoro wreszcie stare to dziecię zupełnie już przestanie się poruszać, wówczas krewni i przyjaciele złożą jego zwłoki do innej kolebki, zbitej z czterech desek, i spuszczą do łona ziemi, wylewając zarazem gorące łzy nad człowiekiem, który wczoraj jeszcze był, a dziś już nie jest. W rzeczywistości powinniby ludzie płakać nad pierwszą kolebką, a cieszyć się nad drugą. Kto wie, czy biedne dziecię, które pomimo własnej woli ujrzało światło dzienne, ujrzy choć raz w życiu promyk prawdziwego szczęścia? czy złość ludzka nie zaleje jego serca żółcią i goryczą, lub też jakim będzie ostatni dzień jego życia? Jakiż więc tu istnieje powód do radości i wesela? Przeciwnie, po co płakać nad drugą kolebką? Ten, co w niej spoczywa, doszedł już szczęśliwie do kresu swej pielgrzymki. Po cóż więc starać się go obudzić rzewnemi łzami? Na nowe walki, nowe męczarnie? *Nie płaczcie nad zmarłymi jak ludzie, którzy nadziei nie mają* — napomina nas wielki znawca tajemnic Bożych i ludzkiego serca. Jakiej nadziei?

Nadziei, że oprócz ciała istnieje coś, czego grób nie pochłonie, i że ten, którego zwłoki złożyliśmy do ziemi, żyje jeszcze i żyć będzie wiecznie; nadziei, jaką się napawało serce świętego Andrzeja Apostoła, gdy ujrzawszy krzyż, na którym miał być przybity, zawołał z radością: ‚Witam cię drogi, święty krzyżu!' Zapytajcie męczenników i wyznawców, co im dało siłę do zniesienia męczarni? Nadzieja! — odpowiedzą. Zapytajcie Świętych Pańskich, czczonych na naszych ołtarzach, co ich podniosło tak wysoko? Nadzieja! — będzie brzmiała jednogłośna odpowiedź. Wszystko bowiem, co się na ziemi stało pięknego i wielkiego, wypłynęło z jednego źródła: nadziei pozagrobowego życia".

W dalszym ciągu swych konferencyj autor popiera wiarę w nieśmiertelność duszy dowodami znanemi po większej części każdemu katolikowi, gruntownie oświeconemu w religii, ale umie je ująć w pewien odrębny, właściwy sobie sposób, tak że najbardziej nawet znane rzeczy czytają się z zajęciem. Każdą też postawioną przez siebie tezę ilustruje kaznodzieja przykładami czerpanemi z dziejów Kościoła, żywotów Świętych Pańskich, a nawet z wypadków współczesnych. Tak naprzykład mówiąc o krzywdach i nadużyciach, które nie pociągając za sobą niezwłocznej kary na ziemi, każą się domyślać, iż dopiero poza grobem nastąpi wymiar sprawiedliwości — ksiądz Rieger maluje wymownemi słowy ucisk doznawany przez Irlandyę; w innem zaś miejscu, wziąwszy za motto: *Szukajcie prawdy i sprawiedliwości*, mowca zastanawia się długo i poważnie nad kwestyą socyalną.

Szereg konferencyj o nieśmiertelności duszy zamyka obszerny ustęp o świadectwie całego rodu ludzkiego w tej mierze, wyjęty z dzieła księdza Monsabré pod tytułem: *La vie future.*

W drugiej części niniejszej książki znajdujemy kazania na niektóre uroczystości Najświętszej Panny i Świętych Pańskich, jak również na rocznicę poświęcenia kościoła i t. p. W kazaniu: *Za blagdan pohoda Bl. Djevice Marije*, czyli na uroczystość Zwiastowania Najświętszej Maryi Panny, mieści się bardzo piękny wykład całego hymnu *Magnificat.* W innem zaś kazaniu, zawierającem trafne wskazówki, jak należy pogodzić miłość ojczyzny z miłością Boga i Kościoła, ksiądz Rieger zaznacza, o ile rozmaite narody stosowały się do tej zasady, dodając, iż Polska jedynie, dzięki głębokiej wierze połączonej z gorącym patryotyzmem, zdołała stać się przedmurzem chrześcijaństwa. Najpiękniejszem jednak ze wszystkich kazań jest kazanie wielkopiątkowe, nacechowane niezwykłą rzewnością i miłością ku Zbawicielowi, tak że niepodobna chyba go słuchać bez łez pobożnego wzruszenia.

Łzy zaś takie, to najpiękniejsza nagroda dla przemawiającego z ambony kapłana za to, że umie porwać za sobą słuchaczy i unieść dusze ich tam, gdzie panuje wiara.

Tytus Sopodźko.

Slike iz Bosne. Napisao *Ivan Lepušić.* Zagreb.

Zbiór nowelek, czyli, dosłownie mówiąc, obrazków bośniackich, w porównaniu do konwencyonalnej współczesnej beletrystyki, to jakby wiązanka kwiatków polnych wobec cieplarnianej flory.

Autor *Slik iz Bosne* jest przedewszystkiem pisarzem tendencyjnym. Jako gorący patryota chorwacki, pragnie on zacieśnić o ile możności węzły braterstwa pomiędzy Chorwatami i Bośniakami. Jak wiadomo, społeczeństwo bośniackie dzieli się na trzy wręcz odrębne warstwy. Katolicy tamtejsi mienią się Chorwatami, prawosławni — Serbami, pośrednie zaś stanowisko pomiędzy jednymi i drugimi zajmują muzułmanie, których przodkowie, ulegając tureckiej przemocy, przyjęli islam, i którzy w swem przekonaniu tworzą jakby odrębne plemię pod nazwą Bośniaków. Tych ostatnich właśnie p. Lepušić ma w swych utworach przedewszystkiem na celu, dążąc niezmordowanie do obudzenia w nich poczucia chorwackiego pochodzenia.

Slike, to nie misternie wyrzeźbione beletrystyczne cacka, odznaczające się kunsztowną, skomplikowaną budową, ale powiastki wyjęte z ust ludu i opowiedziane tak, jak je lud opowiada. Niema tam zbyt powikłanych sytuacyj lub starannie wycieniowanych charakterów, akcya płynie gładko, swobodnie, bez nagłych przeskoków, a każda postać, chociaż tylko kilkoma grubemi naszkicowana rysami, jest prawdziwym typem w swym rodzaju. Czytając te obrazki, zapominamy zupełnie o ich autorze; zdaje się nam, żeśmy cudem jakim zostali przeniesieni do bośniackiej *magary* (chaty), wśród tych ludzi namiętnych, zapalczywych, jak prawdziwi południowcy, a zarazem prostych i naiwnych, jak dzieci.

Niektóre w tym zbiorku nowele osnute są na tle dziejowej przeszłości, a mianowicie: *Hadži Ostoja, Pobratimi* i *Rascma,* których główną treść stanowią walki o niepodległość. Tu i ówdzie napotkać można opisy zwyczajów bardzo mało u nas znanych. Takim naprzykład jest prześliczny zwyczaj, istniejący od dawna wśród katolików bośniackich i opisany w noweli *Zapreke.* Polega on na stawianiu przy grobach miseczki ze święconą wodą, podług bowiem mniemania Bośniaków,

każdej nocy ponad cmentarzem przelatuje anioł i na tych tylko grobach się modli, gdzie znajdzie wodę święconą.

Przewodnia myśl autora: zsolidaryzowania muzułmanów bośniackich z Chorwatami, znalazła najdobitniejszy wyraz w *Pobratymach*, gdzie dwaj muzułmanie łączą się węzłem duchownego braterstwa z katolikiem i śmierć dopiero węzeł ten rozrywa. We wszystkich zresztą ustępach, w których jest mowa o katolicyzmie, p. Lepušić zajmuje stanowisko głęboko wierzącego człowieka.

Wogóle *Slike iz Bosne*, daleko lepiej od najdłuższych opisów, dają nam poznać tamtejsze społeczeństwo.

Większa część typów zawartych w *Slikach* zasługuje na naszą sympatyę, i dwóch tylko rzeczy życzyć im możemy, tj. poznania chrześcijańskiej prawdy dla mahometan, oraz więcej światła dla wszystkich.

Zaznaczyć nadto musimy, że wogóle *Sliki* pisane są stylem pięknym, jędrnym, obfitującym w mnóstwo nowych zwrotów. Literacka działalność p. Lepušića na tem większe zasługuje zresztą uznanie, że się odbywa na terenie, gdzie od dawna toczy się ciągła, choć tajemna walka religijna i narodowościowa, i gdzie prawosławni Serbowie dokładają wszelkich usiłowań, aby bośniackich muzułmanów na swoją przechylić stronę. Szczerze więc życzymy p. Lepušićowi: *Pomož Bog* w dobrej sprawie!

Tytus Sopodźko.

Z pism czasowych.

Muzeum, czasopismo Towarzystwa nauczycieli szkół wyższych za rok 1893.

Jedna z instytucyj, która może najwięcej się przyczyniła do zrealizowania podniosłych idei o szkolnictwie, która zbliżyła do siebie cały świat nauczycielski Galicyi i dała mu życie nowe, dotąd świeże i coraz się wzmagające, z której wychodzą uzasadnione, bo najwłaściwiej ocenione i odczute wnioski reformy — to Towarzystwo nauczycieli szkół wyższych, święcące z początkiem przyszłego roku dziesięcioletnią pamiątkę swego założenia. Że takie stowarzyszenie było potrzebne, najlepiej świadczy dziś wysoka cyfra członków (prawie 800), pokaźna ilość kółek po prowincyi, żywe zajęcie się i czynny udział w posiedzeniach i zjazdach nauczycielskich. Cel, jaki sobie wytknęło

Towarzystwo: dążenie wytrwałe i systematyczne do podniesienia szkół naszych pod względem pedagogicznym, dydaktycznym i wychowawczym, został już w niejednem osiągnięty; w innych punktach programu przygotowuje się powoli zmiana ku lepszemu. Dlatego też, obejmując okiem zdobyte już rezultaty, dziś, po latach dziesięciu działalności, z słuszną dumą Towarzystwo spoglądać może na przebieżoną przestrzeń i w tem wspomnieniu czerpać otuchę i siłę do dalszej pracy.

By umożliwić poznanie celów Towarzystwa, dać sposobność do wspólnego porozumienia się, do wzajemnej wymiany myśli, do wywołania dyskusyi w rzeczach spornych i wątpliwych, założono wówczas własny organ, czasopismo *Muzeum*, którego obecnie rocznik dziewiąty mamy pod ręką. Nieufni Zoile z początku nie na długo obiecywali mu życia, a jednak pismo to przetrwało burze rozmaite i, co prawda, subwencyonowane przez Sejm krajowy sumą 1000 złr., żyje, rozwija się i przybiera właściwszą sobie barwę, a kiedyś te roczniki *Muzeum* będą bez kwestyi cennym pomnikiem do historyi rozwoju u nas i podniesienia oświaty.

Mając czytelnikom zdać sprawę z ostatniego rocznika 1893 r., powiemy na wstępie ku jego pochwale, że przedstawia się ze wszech miar bardzo korzystnie i dostraja się znakomicie do wysokości swego zadania. Kiedy obecna redakcya przed czterema laty obejmowała kierownictwo pisma, spotkała się z zarzutami, jakie podnoszono przeciwko treści i kierunkowi *Muzeum*. Odpowiedziała na nie wprawdzie redakcya za ostro może, ale szczęściem nie skończyło się na samej odpowiedzi, lecz umiano skorzystać z uwag i zarzutów poczynionych: stanowczo ulepszono pismo i nadano mu właściwą cechę pedagogicznego miesięcznika. Kiedy poprzednio utyskiwano na brak recenzyj podręczników naukowych i szkolnych, na milczenie o pracach drukowanych w programach szkolnych i o książkach dla młodzieży, na ubóstwo artykułów z zakresu pedagogii ogólnej i szczegółowej, to ktoby dziś chciał podobne skargi wytaczać przed forum redakcyjne, nie znałby po prostu treści ostatnich tomów *Muzeum*. Lecz przejdźmy już po kolei treść rocznika najświeższego z 1893 r.

Pierwsze, naczelne miejsce w takiem piśmie zajmować winny, i istotnie zajmują, sprawy, tyczące się reformy i ulepszenia naszego szkolnictwa i wychowania. Rok ubiegły z wielu względów może nad inne lata jest w tej mierze ważnym. Podjęto w nim bowiem wiele ulepszeń i zmian, wprowadzono w życie niejedno, czego od dawna domagało się nauczycielstwo; zwołano konferencyę dyrektorów gimna-

zyalnych dla omówienia i powzięcia uchwał w kwestyach nie cierpiących zwłoki, wydano instrukcyę dla nauki języka polskiego, przeistoczono zupełnie szkoły ludowe, w wielu zakładach wprowadzono jednorazową naukę. Wszystkie te sprawy omawia *Muzeum* dokładnie i zrozumiale a bezstronnie, dając wierny obraz najlepszych usiłowań władz, krytykowanych tak niemiłosiernie przez osoby niepowołane, nietylko w dziennikach krajowych, ale nawet i zagranicznych. Ciekawym z wielu przyczyn jest ustęp zatytułowany: „Ze statystyki szkolnictwa". Autor dochodzi w nim do wniosków bardzo bolesnych a prawdziwych niestety, które świadczą, że kraj nasz pod względem liczby szkół i finansowego ich uposażenia, jakoteż pod względem dodatnich ze szkoły rezultatów, stoi bardzo daleko poza innemi prowincyami monarchii. Organ nauczycieli publikując tego rodzaju cyframi popartą rzecz, tem samem skierowuje uwagę władz do rychłego zapobieżenia tak anormalnym stosunkom.

Przekształcenie i uzupełnienie nowym rozkładem nauki szkół realnych jest dotąd przedmiotem dyskusyi i pobożnych życzeń. W ostatnim roczniku spotykamy się też z kilkoma cennemi elaboratami, które popierając ogólne żądanie zmiany, przedstawiają wśród trafnych uwag szczegółowe plany nauki. Nie wątpimy, że sfery decydujące wezmą w rachunek te poglądy i rady ludzi fachowych i zechcą się liczyć z tem przy przekształceniu (oby najrychlejszem) szkół realnych.

Nadzwyczaj bogaty materyał znajduje się w sprawozdaniach z posiedzeń, szczególnie z konferencyj dyrektorów i ze zjazdu nauczycieli w Krakowie, które to dwa ostatnie posiedzenia, ich obrady i wnioski są szczegółowo w tym roczniku przedstawione, a malują najlepiej zapatrywania grona pedagogicznego i władzy krajowej na reformę wychowania i nauczania.

Obok tych artykułów zasadniczych zajmują w *Muzeum* miejsce prace z zakresu pedagogiczno-dydaktycznego, zasilane w tym okresie studyami wyczerpującemi wytrawnych nauczycieli. Prof. Mazanowski rozbiera wpływ i znaczenie lektury Mickiewicza dla młodzieży. Rzecz napisana gruntownie, wybornie obmyślana i przeprowadzona, i nie zdaje się nam, by grzeszył przesadą autor w tej oględności i mierze, jaką radzi zachować w doborze przedmiotu z utworów litewskiego piewcy. Przeciw tym poglądom zaprotestował może cokolwiek za silne prof. J. Rembacz, jednakże zapatrywania te nie przemawiają wcale za porzuceniem rad p. Mazanowskiego; nadto dziwi nas cokolwiek, iż niektóre za śmiałe sądy, choćby taki jak o wtajemniczaniu młodych słuchaczów

w naturę miłości, redakcya bez zastrzeżeń przepuściła p. Rembaczowi. Jak wykładać z pożytkiem i zajęciem biologię, poucza p. Nussbaum. Rozprawa pisana z zamiłowaniem i przekonaniem, podaje trafne rady, o jedno tylko śmiemy prosić, by zamiast zachęty do budzenia uwielbień dla nieokreślonej „natury“, zechciał autor w umysłach młodzieży obudzać podziw i miłość dla Stwórcy wszechświata.

Język grecki nie cieszy się wielką sympatyą XIX. wieku, i gdyby nie dzielna obrona p. ministra Gautscha, kto wie, gdzieby już dzisiaj spoczywały utwory geniuszów Hellady. Nic dziwnego, że pismo nauczycielskie stara się zdać sprawę szerszej publiczności z tak smutnego objawu, badając przyczyny tego zjawiska. Spotykamy przeto dwie prace z tego zakresu. Jedna, p. S. Witkowskiego, z ogólnej strony bada zadanie i kierunek dzisiejszej filologii; druga, p. Fischera, stara się usunąć źródła tej może uzasadnionej niechęci. W celu osiągnięcia bogatszych wyników z nauki greczyzny i ułatwienia jej metody, radzi autor wprowadzić nowy a lepszy podręcznik ćwiczeń, podać uczniom nadto coś w rodzaju niemieckiego Freunda, coby im przygotowanie do autorów i ich zrozumienie ułatwiło, a to zdaniem p. Fischera „podniesie i wykorzystanie i pokochanie języka greckiego“ *(sic)*. — Pan Parylak w rozprawce o wypracowaniach piśmiennych pomieścił wiele cennych i praktycznych uwag, opartych na własnem doświadczeniu. Chodzi mu o to, iżby uczniowie nauczyli się myśleć, myśl swą wyrażać zrozumiale, w logicznym związku, i przeprowadzać trafnie, a zakończyć stosownie i gładko. Wykazuje dalej, ile do tego pomagać ma nauczyciel podaniem dyspozycyi zadania, zwracaniem uwagi na dobór słów i t. d. Całość — jak się sam autor przyznaje — poglądami nie nowa, ale tem się zaleca, iż w pewien system ujmuje luźne uwagi, przez co kolegom niemałą przynieść może korzyść.

O zadaniu wychowawczem szkół średnich miał odczyt we Lwowie p. Lityński i pomieścił go też w *Muzeum*. Przedmiot nie nowy, dziś szczególnie często i zasadniczo rozbierany; prelegent zwraca oko na przyczyny ujemnego wpływu, jaki czasami ze szkoły rozchodzi się na młodzież, i znajduje je w uczniach Żydach, zmieszanych w naszych klasach z katolicką dziatwą. Uwagi trafne — *oby je tylko odczytać i zrozumieć* zechcieli ci, którzy dotąd niestety ze szkodą społeczeństwa tak zacięcie, z wytrwałością godną lepszej sprawy, walczą przeciw szkole wyznaniowej...

Z rozpraw naukowych, jakie znaleźliśmy w tym roczniku, zasługuje na wzmiankę studyum Biegeleisena *o współczesnych prądach w li-*

teraturze, dające dość dokładny obraz literatury europejskiej, o ile w niej inwencya i krytyka przechodzi z jednej ostateczności w drugą, z ideałów romantyzmu stopniowo do nizkiego realizmu i naturalizmu. Nie bez wartości jest rozprawka p. Marrené o „nowych prądach w teatrze"; ale najciekawszą pracą, a co ważniejsza, zapowiedzą dzieła o szerszym zakroju, obejmującego dzieje naszego szkolnictwa od dni naszych aż po rok 1740, jest artykuł prof. Karbowiaka o „książkach elementarnych z czasów Komisyi edukacyi narodowej" (str. 648). Po tem, co niedość krytycznie, niedość bezstronnie napisali o naszych szkołach: Sołtykowicz, Łukaszewicz i wreszcie A. Sokołowski w „Karcie z dziejów wychowania publicznego w Polsce w XVI. i XVII. wieku", będzie to dzieło jedyne w swoim rodzaju, gruntowne, jak z ogłoszonych już urywków wnosić wolno, i spodziewamy się, da wierny obraz rozwoju u nas oświaty i nauki. Dotąd kreśli p. Karbowiak prace Komisyi około wydania nowych dzieł polskich i nowych planów nauk, i o ile zauważyliśmy, przedstawia rzecz przedmiotowo i wyczerpująco.

Poważną część każdego zeszytu — jako dowód stanowczego zwrotu ku lepszemu — wypełnia już rok drugi obfity przegląd dzieł pedagogicznych i naukowych. Zasilany pracami sumiennych i fachowych recenzentów, daje czytelnikom wierny i dokładny obraz ruchu umysłowego, zapoznaje z literaturą bieżącą, niezbędną nauczycielom i bibliotekom szkolnym. Zwrot to tem korzystniejszy, że już i prywatne zaczepki i osobiste wycieczki, jakie w recenzyach tych dawniej znachodzono, znikają zupełnie, a w ich miejsce przychodzi poważna, bezstronna, przedmiotowa krytyka.

O wszystkiem w sprawozdaniu krótkiem mówić nie możemy, podnieśliśmy tylko to, co najważniejsze; a przy upływającem dziesięcioleciu istnienia i Towarzystwa nauczycieli szkół wyższych i pisma przez nie wydawanego, kończymy życzeniem, by jak Towarzystwo tak jego organ zyskiwały coraz szczersze poparcie ogółu, rozszerzały swą dodatnią działalność na coraz szersze koła naszego społeczeństwa.

Ks. A. Boc.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Kwestya powrotu Jezuitów do Niemiec. — Przesilenia ministeryalne we Włoszech i Francyi. — Encyklika o studyum Pisma św. — Rozwój Kościoła na Wschodzie. — Fałszywe pogłoski o rosyjskiej liturgii. — Morderstwa w Krożach.

JEZUICI W NIEMCZECH. Kilkakrotnie, z wielorakich powodów, na lepsze czasy odraczany wniosek Centrum, o powrót Jezuitów do Niemiec, doczekał się wreszcie parlamentarnych obrad. Co prawda, nie brakło i teraz, równie w protestancko-konserwatywnym jak liberalnym obozie, szczerej ochoty, aby obrady te raz jeszcze odwlec; użyto w tym celu różnych sztuk i sztuczek; zażądano, za pośrednictwem *Kreuz-Zeitung,* aby niemieccy katolicy wpłynęli najprzód na zmianę niechętnej trójprzymierzu watykańskiej polityki, a następnie dopiero zażądali, jako nagrody za swe usiłowania, przyjęcia jezuickiego wniosku; nie szczędzono gróźb i rad; ale wszystkie uprzejme rady i w bardzo nieuprzejmym tonie ogłaszane groźby, rozbiły się o stanowczy opór katolickich przywódców, którzy zresztą wobec usposobienia swych wyborców, wobec uczynionych publicznie zobowiązań, innej drogi wybrać nawet nie mogli. Ostatecznie więc wniosek Centrum przyjść musiał pod dyskusyę, i istotnie przyszedł dnia 1-go grudnia.

Z góry wiadomem było, że obrady zbyt ożywione nie będą, ponieważ konserwatywni i liberalni przeciwnicy postanowili ograniczyć się na suchem zaznaczeniu swego stanowiska, spodziewając się podobno, że bądź co bądź Rada związkowa nie zgodzi się nigdy na „zakłócenie religijnego spokoju“ dopuszczeniem Jezuitów do Niemiec, i że przeto, *votum* parlamentu, choćby pomyślnie dla katolików wypadło, praktycznego znaczenia mieć nie będzie. Istotnie, tak przywódca konserwatystów, br. Manteuffel, jak wolno-konserwatysta Merbach, liberał Marquardsen, członek „wolnomyślnego zjednoczenia“ Schroeder, wystąpili w krótkich przemowach przeciw wnioskowi, nie wchodząc w samą jego treść, ale zaznaczając tylko, że nie chcą wprowadzać do Niemiec religijnych waśni, a zatem, naturalną konsekwencyą, nie chcą widzieć w Niemczech Jezuitów. Przywódcy kłócących się ze sobą wolnomyślnych stronnictw, Richter i Rickert, oświadczyli się za zniesieniem drugiego paragrafu banicyjnej ustawy z r. 1872, mocą którego rząd otrzymał władzę wydalać z granic państwa poszczególnych Jezuitów obcokrajowców, a Jezuitom poddanym niemieckim zakazać pobytu w pewnych miastach i okręgach; natomiast sprzeciwiali się skreśleniu paragrafu pierwszego, zakazującego zakonowi zakładać klasztory, rozwijać ściśle zakonną działalność. Partya antysemicka zostawiła swym członkom zupełną wolność głosowania. Za Jezuitami stanęli, nie mówiąc już o posłach z Centrum, w zwartych szeregach, choć w imię różnych haseł: socyaliści, Welfowie, Polacy, Alzatczycy, członkowie południowo-niemieckiego stronnictwa ludowego, nadto kilkunastu deputowanych z innych partyj, którzy w żaden sposób pogodzić nie mogli swych „liberalnych“ przekonań z arcynieliberalną taktyką swych przywódców.

„Wszak chodzi tutaj — chłostał ostro ale słusznie dr. Lieber dziwnych tych ‚liberałów‘ — o akt najprostszej sprawiedliwości, o wprowadzenie w praktykę tak szumnie, na wszystkie tony głoszonego równouprawnienia. Wymierzona przeciw Jezuitom ustawa banicyjna, to jedno z najkrwawszych praw wyjątkowych z ery walki kulturnej. Kościół katolicki potrzebuje Jezuitów i spokrewnionych z nimi zakonów do zupełnego wywiązania się

z boskiego swego posłannictwa. Nic z pewnością nie jest tak groźnem dla wyznaniowego pokoju, jak tyranizowanie pewnej wyznaniowej mniejszości przez większość. Również z gruntu niesłusznym jest zarzut, jakoby kurya rzymska prowadziła politykę wrogą niemiecko-narodowym interesom; przed paru ledwie dniami kardynał Rampolla zarzut ten z oburzeniem odparł. Ale choćby nawet kurya rzymska bardziej sprzyjała Francyi i Rosyi, aniżeli potrójnemu przymierzu; cóż to za związek mieć może z Jezuitami? Czyż sam katechizm nie nakazuje katolikom niemieckim wierności dla państwa i cesarza, ponoszenia wszelkich ofiar w służbie ojczyzny? Najpiękniejszy to będzie dzień w historyi parlamentu, w którym zniesie niesprawiedliwe to prawo, a tak przyczyni się do położenia sprawiedliwości, jako węgielnego kamienia niemieckiego państwa".

„Tak jest! — przywtórzył tym wywodom, oczywiście w innym tonie i z odmiennego punktu widzenia, socyalista Blos — chodzi tu o akt najprostszej sprawiedliwości. Kto zna rolę, jaką Jezuici odgrywali w Prusach przed swem wypędzeniem, ten po prostu pojąć nie może, skąd i dlaczego chwycono się przeciw nim w r. 1872 tak energicznych środków. Socyalno-demokratyczne stronnictwo nie podziela bynajmniej oburzenia, jakie się w kraju przeciw temu zakonowi sztucznie obudza i urządza; nie lęka się też zanadto i niezupełnie wierzy w wielkie owo posłannictwo, które ma wrzekomo przypaść w udziale Jezuitom w walce przeciw socyalizmowi. Jeśli rząd tak panicznie lęka się Jezuitów, to niechaj w szkole zniesie naukę religii; wtedy lękać się ich, drżeć przed ich wpływem nie będzie potrzebował. Socyaliści mężniejszego są serca, jezuickie sutanny trwogą ich nie napełniają, i dlatego nic a nic nie mają przeciw powrotowi ich do Niemiec".

Polski mowca, ks. Ferdynand Radziwiłł, wytłumaczył dosadnie niezmierną sprzeczność, jaka zachodzi między dzisiejszym ogólnym kierunkiem polityki niemieckiej a ustawą banicyjną, powstałą w czasie niezmiernego zamieszania, jawnej niechęci dla Kościoła katolickiego; w czasie, w którym łudzono się, że uda się może katolików niemieckich oderwać od rzymskiego pnia

i zorganizować ich w narodowy jakiś „starokatolicki“ kościół. Dziś ustawa ta jest anachronizmem. Najwyższe władze Rzeszy i poszczególnych państw uznają w całej pełni prawa katolickiego Kościoła, uznają powagę i prawa Papieża; a jednak, kiedy Papież ceni i wysławia działalność zakonu Jezuitów, kiedy wystawia mu jawnie i głośno świadectwo, że pracą swą przyczynia się w niemałej mierze do podniesienia życia kościelnego i dobrze sobie zasługuje wobec całej ludzkości; to ustawodawstwo niemieckie piętnuje tenże sam zakon jako szkodliwy i z państwa go wyrzuca. Bolesna to niesprawiedliwość, wyrządzona i Jezuitom i Głowie Kościoła katolickiego i całemu katolickiemu ludowi. Pomoc i osłody religijne przez zakony niesione są, zwłaszcza dla biednego, ciężko pracującego ludu, nieocenionej wartości. Jakże wielkiej wagi są one dla tych tysięcy emigrantów, ciągnących w dalekie strony za chlebem, a narażonych w tej pogoni na niebezpieczeństwa bez miary, na utratę moralności; miejscowi duszpasterze sami tu rady nie dadzą, potrzeba im pomocy misyonarzów, zakonników. Nie odmawiajcież małodusznie tej niezbędnej pomocy; znieście tę ustawę!“

Parlament zniósł istotnie w pierwszem i drugiem czytaniu banicyjną ustawę, 173-ma przeciw 136-ciu głosom. Nie jest to bez wątpienia jeszcze stanowcze zwycięstwo, bo uchwała parlamentarna uzyskać musi zatwierdzenie Rady związkowej i sankcyę cesarską, a dotychczas rzeczą jest co najmniej wątpliwą, jakie tu wpływy czy uczucia przeważą; w każdym razie wynik głosowania z dnia 1-go grudnia wielkim jest krokiem naprzód; nauką i zachętą, jak, idąc do jasno wytkniętego celu, nigdy i niczem zrażać się nie trzeba w drodze. Liberalno-żydowskie i konserwatywno-protestanckie organa zawodzą w zgodnym chórze gorzkie żale nad tym wynikiem, i z góry wysławiają mądrość książąt Rzeszy niemieckiej, którzy z pewnością nie zechcą przyłożyć ręki do tego tryumfu „czarnego internacyonału“, do tryumfu „zagorzałych sojuszników Rosyi i Francyi“ *(sic!)*. *Vossische Zeitung* przestrzega przed powrotem Jezuitów, jako ostatnim kroku na drodze do Kanossy; *Börsen-Zeitung* nazywa dzień pierwszego grudnia „dniem złowieszczym“ i wyraża nadzieję, że

rządy związkowe okażą więcej godności i rozumu od przedstawicieli ludu. *Tägliche Rundschau* pisze: „Centrum zasadziło kapelusz Gesslera, a parlamentarna większość schyliła przed nim głowy, chociaż z bardzo różnorodnych pobudek". Wobec tych zjadliwych głosów uderza tem bardziej dyplomatyczne milczenie organów rządowych i samegoż rządu, który dotychczas zachowuje przykładną neutralność i ani słowem nie dał poznać swych życzeń i woli, jakby rachował, co w danej chwili za zwrócenie się w tym lub przeciwnym kierunku będzie mógł zyskać lub stracić. Organa katolickie cytują, jako pewien znak właściwych uczuć cesarza Wilhelma, słowa wyrzeczone przezeń niedawno temu do deputacyi hanowerskich pastorów: „Jedynie Kościół i środki, któremi Kościół rozporządza, mogą skutecznie walczyć z anarchistycznemi prądami"; prawdziwe to i piękne słowa; pytanie tylko, jaką rozciągłość i praktyczne znaczenie cesarz w myśli swej im nadawał; czy istotnie, jak *Germania* wierzyćby rada, z pewnym naciskiem i do Jezuitów je stosował?

PRZESILENIA MINISTERYALNE WE WŁOSZECH I FRANCYI.

Jak w kalejdoskopie zmieniają się ministerya we Francyi; zjawiają się i znikają kandydaci do tek ministeryalnych we Włoszech; różne ich nazwiska, różnemi farbami zabarwione programy, ale w stosunku do Kościoła, równie w gruncie rzeczy we Francyi niechętnie, we Włoszech wrogo usposobieni. Bankructwa włoskich banków; skandaliczne procesy, podające w podejrzenie najprostszą uczciwość i dawnych i nowych ministrów króla Humberta; nędza pchająca ludność południowych Włoch do wznowienia dawnych zbójeckich tradycyj; podobnie jak straszne anarchistyczne zamachy, których świeżo był widownią parlament francuski — są groźnem ostrzeżeniem, dokąd prowadzi walka wypowiedziana Kościołowi, wierze, Bogu, a tem samem własnemu sumieniu i publicznej moralności; co najsmutniejsza, to że dotąd ostrzeżenia te przebrzmiewają nie wywołując w rozumach i sercach właściwego echa. Włochy, miasto pomyśleć o stanowczym zwrocie ze zgubnego kierunku, który do pewnej ruiny ich wiedzie, oddają się pod rządy i opiekę osławionego, fanatyczną nienawiścią ku Kościołowi

pałającego Crispiego, któremu w znacznej części mają do zawdzięczenia niszczące je dzisiaj klęski i choroby. Francuscy radykali ze swej strony o to na pierwszym planie pytają, jakiemi nowemi prawami Kościół jeszcze silniej spętać, jakiemi ciosami o ziemię go powalić. Utworzony świeżo w łonie skrajnej lewicy radykalny klub, który przybrał sobie nazwę: „postępowej lewicy“, postawił jako główny punkt swego programu: najzupełniejsze odłączenie państwa od Kościoła, najzupełniejszą i we wszystkich szczegółach przeprowadzoną „laicyzacyę państwa“. Ale jak czerwonym radykałom się dziwić, kiedy względnie umiarkowani oportuniści uznali za stosowne nazajutrz po zamachu w parlamencie, wystąpić z apologią praw szkolnych, owych „źródeł anarchii“, jak je poseł de Baudry d'Asson tak prawdziwie scharakteryzował!?

ENCYKLIKA O PIŚMIE ŚW.

Ogłoszona pod datą 18 listopada obszerna encyklika papieska o studyum Pisma św., ma na celu, jak sam Ojciec św. się wyraża, „przydać nowej zachęty do pilnego oddawania się wzniosłej tej nauce, z całych sił ją zalecić, a zarazem wskazać główne linie, wedle których stosować ją należy do innych, niż dawniej, potrzeb dzisiejszych czasów. Pismo św. to nieoceniony i niewyczerpany skarb; trzeba tylko wiedzieć o tym skarbie i umieć z niego pełnemi rękami czerpać, tak jak czerpali Ojcowie Kościoła; jak Kościół św. przez swe sobory i synody czerpać nakazuje. Studyum pisanego słowa Bożego kwitło w Kościele od pierwszych wieków jego istnienia; ale pomimo tego błędem byłoby sądzić, że, na dawne te prace się spuszczając, wolno nam dzisiaj ograniczyć się na korzystaniu z trudów naszych przodków. Innych mamy dziś przeciwników, innej więc nieraz przeciw nim broni nam potrzeba. Racyonaliści, sprowadzający całe biblijne opowiadanie do zdarzeń i sił czysto ludzkich i naturalnych, propagują swe zapatrywania w tysiącznych odczytach, wykładach, broszurach; zarażają niemi szkołę, przeciskają je między lud i młodzież. Chcąc z tem niebezpieczeństwem zwycięsko się rozprawić, musimy przedewszystkiem zwrócić uwagę na wykształcenie w duchownych seminaryach

i akademiach, odpowiednich ważności rzeczy, z potrzebami obecnej chwili zaznajomionych, chrześcijańskich zapaśników. A nietylko ci, którzy z zawodu swego oddają się teologii, ale wogóle wszyscy uczeni, stojący na gruncie chrześcijańskim, starać się powinni wedle sił i możności, zwracać specyalne swe nauki i zdolności ku wyjaśnieniu kwestyj stojących w związku z Pismem św., ku wytłumaczeniu trudności i pozornych sprzeczności, jakie mogłoby się komu zdawać, że czasem zachodzą między świecką wiedzą, a nauką zawartą w księgach przez Boga natchnionych... Starajcie się przeto — kończy Ojciec św. swe uwagi i napomnienia — czcigodni Bracia, aby w zakładach i seminaryach poddanych Waszemu zarządowi, studyum to wzrastało i owoce przynosiło. Wszystkich zaś uczniów i sługi Kościoła napominamy z ojcowską miłością, aby przystępowali zawsze do Pisma św. z czcią najgłębszą; bo jedynie wtenczas spodziewać się mogą, że Bóg doda im łaski zrozumienia tajemnic w niem zawartych, i że zrozumienie to wyjdzie na pożytek ich duszy, jeśli wyrzekłszy się wszelkiej zarozumiałości z ludzkiej umiejętności płynącej, zatęsknią do mądrości, która z góry jest i darem jest Bożym".

ROZWÓJ KOŚCIOŁA NA WSCHODZIE.

Założone w r. 1857, a więc niezadługo po wojnie krymskiej, kiedy oczy całego świata zwrócone były na Wschód, „Stowarzyszenie N. Panny Niepokalanie Poczętej dla podtrzymywania katolicyzmu na Wschodzie", rozwija się cicho, rozgłosu nie szukając, ale niemniej pięknie i skutecznie, jak łatwo się o tem przekonać ze szczegółowego sprawozdania za rok 1892, z którego zarazem dowiedzieć się można niemało pocieszających szczegółów o ogólnym postępie katolicyzmu na Wschodzie. W Serbii utrzymuje „Stowarzyszenie" katolicką szkołę w Belgradzie i Niszu, dla chłopców i dziewcząt; podobnież w Sofii zakład wychowawczy, zostający pod opieką braci szkół chrześcijańskich. Bardzo wielu religijnym potrzebom zadośćczynić trzeba w Bośni i Hercegowinie, gdzie Kościół katolicki w ostatnich latach dość znacznie wzrósł; kiedy nie tak dawno temu liczono w całej Hercegowinie 15 probostw

z 30.000 katolików, dziś cyfra ta wzrosła do 31 probostw i 78.200 wiernych. Ormiański patryarcha Azarian, obsypuje w nadesłanej przez siebie relacyi wielkiemi pochwałami gorliwą i obfitą w skutki działalność ormiańskich zakonnic ze zgromadzenia N. Panny Niepokalanie Poczętej, które w samym Konstantynopolu pracują w trzech klasztorach nad wychowaniem dziewcząt, a nadto założyły dziewięć szkół i ochronek w Małej Azyi. Konstantynopolitańscy Lazaryści rozszerzyli świeżo dawniej już istniejącą szkołę dla chłopców, Siostry Miłosierdzia założyły szkołę dla dziewcząt; do obu tych zakładów uczęszcza około 400 dzieci. Pomyślny ruch dla wiary katolickiej rozbudził się we wsiach i wioskach rozłożonych koło starożytnej Antyochii; w dwóch tylko z tych wiosek nawrócił żarliwy misyonarz O. Bernardyn 55 rodzin. — „A ileż jeszcze — kończy naczelny Wydział „Stowarzyszenia“, na którego czele stoi hr. Antoni Pergen — ileż dobrego zrobićby można, gdybyśmy rozporządzać mogli większemi środkami materyalnemi; gdyby nie 10.700 złr., jak w roku ubiegłym, ale dziesięćkroć większa suma przepłynęła przez nasze ręce do tych konstantynopolitańskich szkół i ochronek, ubogich mezopotamskich kościołów, walczących z nędzą albańskich probostw?...“

FAŁSZYWE POGŁOSKI.

Dziwna to, a do zbadania ciekawa zagadka, skąd peryodycznie pojawiają się w prasie niepokojące i denerwujące wieści o jakichś niekorzystnych dla nas układach Rosyi z Papieżem, o ustępstwach przez Watykan na szkodę naszą uczynionych. I oto znowu, nie wiedzieć z jakiego, w każdym razie bardzo mętnego źródła wypłynęła w *Neue Freie Presse* również mętnie zredagowana wiadomość o wrzekomem zgodzeniu się Papieża na zaprowadzenie w Polsce „rosyjsko-narodowej liturgii“. Niemiecki, a może raczej żydowski dziennikarz wiadomość tę w obieg puszczający, nie miał oczywiście jasnego wyobrażenia, co to jest „liturgia“, i byłby podobno w niemałym kłopocie, gdyby go zapytać, jak i przez co liturgia stać się może „rosyjsko-narodową“; przypuszczać jednak wolno, że rozumiał, a przynajmniej słowa jego powszechnie zrozumiano o wprowadzeniu t. zw. „dodatko-

wego nabożeństwa", kazań i śpiewów kościelnych w języku rosyjskim. Z góry już, znając zwłaszcza dawniejsze decyzye Stolicy Apostolskiej w tej kwestyi, napiętnować można było całe to doniesienie, jako najprostszą, i nie bardzo nawet sprytnie ułożoną bajeczkę. Pomimo tego dla uniknięcia możliwego zaniepokojenia umysłów w kraju, jeden z biskupów zwrócił się w tej sprawie „do miejsca najbardziej kompetentnego", a więc do samego Rzymu, o wyjaśnienie i — jak czytamy w komunikacie ogłoszonym w gazetach, a podpisanym przez trzech posłówksięży: Ruczkę, Pastora i Kopycińskiego — „otrzymał odpowiedź, która powyższym wiadomościom kłam zadaje, a mianowicie: ,iż podobnym fałszywym wiadomościom nie należy dawać wiary, bo Ojciec św. na takie żądanie Rosyi nigdy się nie zgodzi".

MORDERSTWA W KROŻACH.

W Krożach popłynęła krew męczeńska. Nie okazały się fałszywemi, nie okazały się nawet przesadzonemi hiobowe wieści o tych wypadkach; o biciu, znęcaniu się nad katolickim ludem, nad dziećmi, kobietami, których winą było, że duszą całą katolikami się czuli i nie chcieli dozwolić na odebranie sobie kościoła, który wedle boskich i ludzkich praw do nich należał, w którym modlili się ich ojcowie i praojcowie. Wyczerpujące szczegóły o tych okrucieństwach bez nazwy, podały galicyjskie i poznańskie dzienniki; dziś wątpić już nie można, że opowiadania te, choć zdawałoby się do wiary niepodobne, są jednak w całej swej grozie najściślej prawdziwe. Dość zresztą wymownym, choćby innych źródeł zabrakło, jest urzędowy, rosyjski komunikat o tych zajściach, ogłoszony w dodatku do 85-go numeru *Kòwienskich Gubernskich Wièdomosti*, a który podajemy tutaj w ściśle dosłownem tłumaczeniu petersburskiego *Kraju*:

„Po skasowaniu w r. 1891 krozkiego klasztoru Benedyktynek, Najwyżej rozkazano w rozporządzeniu z 10 czerwca b. r. zamknąć poklasztorny kościół, z powodu sielsko-gospodarskiej szkoły, mającej się założyć na ucząstku ziemi należącej do klasztoru. Chociaż w mieście Krożach egzystował i do dziś dnia egzystuje drugi kościół, parafialny; ludność miejscowa domagała się przemianowania poklasztornego kościoła na parafialny i stale

opierała się duchowieństwu i policyi przy akcie zamknięcia kościoła, tj. nie dopuszczała do wyniesienia Najśw. Sakramentu i świętych rekwizytów kościelnych. Dnia 10 listopada naczelnik gubernii osobiście udał się do miasta Kroż, i spotkawszy ponownie uparte sprzeciwianie się ze strony ludności, powołał z miasta Wornie trzy sociny kozaków, z których pomocą został wykonany najwyższy rozkaz i kościół zamknięto. Przy starciu się tłumu z policyą i wojskiem, czterech policyantów otrzymało lekkie kontuzye od rzucanych na nich pałek, z tłumu nikt nie zraniony. Przybyli następnie na miejsce wypadku prokurator sądu okręgowego, towarzysz jego i inkwirent sądowy, rozpoczęli dochodzenie sądowe".

Mniejsza o to, ile w tym komunikacie w oczy wpadających kłamstw, przemilczeń, sprzeczności; i to, do czego przyznać się musi, pozwala odtworzyć dostatecznie straszny obraz scen krozkich. Gdyby sceny takie miały miejsce dajmy na to w Turcyi, lub Chinach, czytalibyśmy niekończące się ich opisy na szpaltach wszystkich pism całego świata, odezwałyby się nawoływania do krucyaty przeciw barbarzyńcom, groźne dyplomatyczne noty goniłyby jedne za drugiemi. Wszak podobne sceny, tylko na mniejszą skalę, bez urzędowego aparatu urządzone, dostarczyły pretekstu do wojny tureckiej. Ale Kroże nie leżą w Turcyi, Chinach, tylko na Żmudzi, o krok od niemieckiej granicy, w obrębie państwa rosyjskiego, którego lepiej nie drażnić takiemi opisami; cicho więc i głucho o tych wypadkach, ledwie parę katolickich gazet zagranicznych, na pierwszem miejscu papieski *Osservatore Romano*, uwiadomiły o nich swych czytelników. Ba, znalazły się i takie organa, co, jak młodoczeskie *Narodni Listy*, przedstawiły krozką rzeź jako wynik polskiej intrygi, pragnącej w ten sposób zamącić dobre stosunki między Rosyą a Watykanem.

My ufamy, że Bóg to dopuścił, ażeby krew męczeńska była nasieniem odrodzenia wiary. Przelanie krwi przeraża i boli, ale ono najmniej szkodzi wierze i narodowi.

Ks. Jan Badeni.

Ze świata nauk, odkryć i wynalazków.

Czy rośliny czują?

Czy rośliny czują? — Na to pytanie różnie sobie odpowiadano w rozmaitych czasach. Był czas, były wieki całe, kiedy wszyscy ludzie, prości i uczeni, przyrodnicy i filozofowie utrzymywali bez wszelkiego podejrzenia, że rośliny nie posiadają wcale zdolności czucia, że jest to przymiot zwierzętom dopiero właściwy. Wprawdzie w poezyi, tak ludowej jak sztucznej, rośliny występowały nieraz jako istoty czujące, to smutne, to radosne, to milczące, to gwarne, ale w poezyi na wiele rzeczy się pozwala, których się gdzieindziej nie znosi, i to tłumaczy dostatecznie owo antropomorficzne pojmowanie natury. Zdarzało się też sporadycznie, że niektórzy filozofowie przypisywali roślinom zdolność czucia, zapatrywania te jednak w swoim czasie zamierały wkrótce bez rozgłosu i odgłosu. Nie dziw więc, że prawie do połowy naszego stulecia powtarzano powszechnie za Linneuszem: minerały się zmieniają, rośliny żyją, zwierzęta czują.

W naszych czasach rzeczy się nieco zmieniły. Przyrodnicy, których dzisiaj jest niemało, twierdzą zazwyczaj, że rośliny czują tak samo jak zwierzęta; za przyrodnikami powtarza to samo wielka część filozofów — pozostaje jednak druga część filozofów, ogromna ciżba różnego rodzaju uczonych, wreszcie całe masy ludzi prostych, co trzymają się zdrowego rozsądku, owego zmysłu powszechnego, i utrzymują, że rośliny żyją wprawdzie, ale nie czują.

Czy ten zdrowy rozsądek, ten zmysł powszechny, i wszyscy, co za niemi idą, robi to tylko z jakiegoś wrodzonego konserwatyzmu, albo też podaje racye na uzasadnienie swego sądu? Otóż trzeba przyznać, sąd ten nie jest bez racyj; uzasadnienie jego znajdziemy u filozofów, co w tym względzie nie zgadzają się z przyrodnikami. Jakież są te racye? Pomijam zarzut głośny dawniej i bardzo częsty, obecnie coraz rzadszy, że rośliny nie mają żadnych organów zmysłowych, żadnego systemu nerwowego; bo i mamy bardzo wiele niższych zwierząt, co nie posiadają żadnych nerwów, czucie więc u nich związane jest z plazmą samą i narządy zmysłowe są tylko czuciem, wyspecyalizowanem w pewnym kierunku i w określonym zakresie, więc brak ich mógłby co najwięcej przemawiać za tem, że w danym ustroju niema wyspecyalizowania czynności czuciowych. Pierwsza więc właściwie racya, z jaką się najczęściej spotykamy, jest, że czucie u roślin nie miałoby żadnego celu. I tak czucie dla rośliny nie jest potrzebne, by się mogła rozrastać

i swobodnie rozwijać, bo wszystko, co w tym względzie jest dla niej niezbędnem, otacza ją wszechstronnie poddostatkiem, więc powietrze, światło, deszcz, sole mineralne w ziemi. Niedość na tem; władza czucia nie jest nawet dla roślin pożyteczną, bo rośliny, będąc pozbawione ruchu samowolnego, nie mogą szukać tego, coby dla nich było dobre i dogodne, nie mogą unikać złego, ani przed wrogami uciekać. Ostatecznie więc czucie dla roślin byłoby tylko szkodliwe, wystawiałoby je na niezliczone przykrości i cierpienia ze strony żywiołów, zwierząt i ludzi, słowem, rośliny obdarzone czuciem, byłyby najnieszczęśliwszemi męczenniczkami na świecie.

Czy zgodzą się na to rozumowanie przyrodnicy? Zdaje mi się, że nie wszyscy. Najpierw nie zgodzą się ateleolodzy, bo to woda na ich młyn. Lecz tych jest bardzo mało; zazwyczaj każdy nieuprzedzony skądinąd przyrodnik widzi celowość na każdym kroku, więc też uznaje ją. Atoli i teleologa nie przekona powyższy dowód zupełnie. Przedewszystkiem będzie on mógł powiedzieć, i może słusznie, że argumentacya aprioryczna z braku celowości nie jest przekonywająca, bo z tego, że my w czemś nie dopatrujemy się żadnego celu, nie wynika jeszcze, ażeby w istocie tak się rzecz miała. Absolutnie jednak mógłby ten zarzut pominąć, a przejść zaraz do wykazania, że wrażliwość, czyli czucie, jest roślinie do życia nietylko pożyteczne, lecz nawet konieczne. I w rzeczy samej nie byłby to czysty wybieg sofistyczny. Roślina żyje zawsze w jakiemś środowisku, nie jest bytem zupełnie odosobnionym. Środowisko, tak powietrze jak ziemia, zawiera różne składniki, jedne dla życia pożyteczne lub nawet nieodzowne, inne szkodliwe albo i zabijające, dla różnych znowu roślin różne są rzeczy potrzebne, ta sama roślina w różnych stadyach może mieć różne wymagania, dalej, ta sama roślina może się znaleść w najrozmaitszem otoczeniu, nieraz bardzo zmiennem, a mimo to wszystko ma się utrzymać sama i zapewnić życie potomstwu. Jeśli w roślinie niema żadnej wrażliwości i siły celowego reagowania na rozmaite wpływy i czynniki zewnętrzne, to prawdziwie trudno pojąć, jak roślina żyć może. Co się zaś tyczy męczarń roślinnych, to najpierw to samo da się powiedzieć o zwierzętach, a nawet i ludziach. I botanik, kiedy robi nieraz uciążliwe wycieczki za roślinami, wystawiony jest na zimno i upały, na słoty i burze. A ile to zwierzątek ginie pod nogami innych zwierząt i ludzi, albo ile zwierząt na świecie ginie śmiercią gwałtowną a jak mało naturalną? Zresztą, jeśli rośliny czują, to samo przez się rozumie się, że czucie to jest w niższym stopniu wykształcone, niż czucie zwierząt lub ludzi

Powołuje się jeszcze zmysł powszechny na inną racyę przeciwko czuciu roślin. Zdolność czucia polega na szczególnych relacyach bytu czującego do świata zewnętrznego, gdzie więc ta zdolność istnieje, musi się objawić przynajmniej od czasu do czasu jakiemiś znakami zewnętrznemi. Tymczasem rośliny zachowują się zawsze tak, jakby czucia nie miały. Doświadczenie życia codziennego upewnia nas o tem najwidoczniej — czy się jest wśród złocistych łanów polnych, czy na pstrych kobiercach łąk naszych, czy w cienistych alejach lub gąszczach borów i gajów naszych, zawsze wynosi się wrażenie i mimowolne przekonanie, że ta przyroda roślinna w całej swej krasie i rozmaitości, w pełni życia swego, nie posiada zdolności czucia, ale zamyka się całkowicie w czynnościach wegetacyjnych. Dowód to najsilniejszy zmysłu powszechnego, na nim też cała ludzkość opierała zapatrywania swoje przez tysiące lat, i kto wie, czy w dowodzie tym niema wiele prawdy. Lecz botanik dzisiejszy nie zgodzi się na wywód powyższy i zaprzeczy w całości przesłanki mniejszej. Według bieżących poglądów w nauce botanicznej, życie roślin, od najniższych począwszy aż do najwyższych, przedstawia nam bardzo wiele zewnętrznych oznak wrażliwości wybitnej, tylko że do skonstatowania tego nie wystarczy gruba obserwacya, ale potrzebne jest uważanie ścisłe, naukowe, w bardzo wielu przypadkach badanie przy pomocy mikroskopu. Objawy wrażliwości roślin są rzeczywiście nieraz zdumiewające, w każdym razie zastanowienia godne.

Kiedy w r. 1843, głośny na swój czas botanik Unger, obserwując dość powszechny glon, rosnący w naszych wodach słodkich lub na ziemi wilgotnej, woszeryę *(Vaucheria clavata)*, spostrzegł, iż pewne cząstki odrywają się od nitek glonu, a następnie, za pomocą rzęsek poruszają się dowolnie w wodzie w najrozmaitszych kierunkach — zdziwił się niemało i zaraz napisał rozprawę p. t.: *Die Pflanze im Momente der Thierwerdung.* Praca Ungera zajęła umysły przyrodników, zaczęto tę rzecz badać dokładniej i u różnych glonów. Naprawdę nie były to żadne zwierzątka, ale zarodniki woszeryi, albo, jak je zazwyczaj nazywamy, pływki, albo wreszcie t. zw. zoospory. Dzisiaj wiemy, że pływki ruchliwe są właściwością niezliczonych prawdziwie glonów słodkowodnych i morskich. Do samej grupy zielenic, z której prawie wszystkie glony posiadają liczne pływki lub pływeczki, zaliczamy dzisiaj 25 rodzin. Wszystko to, wydostawszy się z ciała macierzystego, tańczy, skacze, biega w najrozmaitsze strony, aż po jakimś czasie znajdzie odpowiednie miejsce, utraci rzęski i pocznie kiełkować w ro-

ślinkę, podobną do matki. U wyższych glonów natrafimy zwykle na produkta organów rozrodczych już wyróżnione, więc męskie i żeńskie. Komórka żeńska, czyli jajo, jest zazwyczaj o wiele większą od komórki męskiej czyli plemnika, stąd zatraca ruchliwość i jest komórką nieruchomą. Za to plemniki są pospolicie bardzo liczne i bardzo ruchliwe. Zjawisko to powszechne u morszczyn morskich i ramienic, jak też u wielu niższych glonów; u jednych tylko krasnorostów, prześlicznych prawdziwie alg morskich, i jaja i plemniki zatraciły ruchliwość, tak iż plemniki może tylko woda unosić i tym sposobem umożebnić zetknięcie się jego z włoskiem, stojącym nad komórką jajową. To samo zjawisko, cośmy u doskonalszych glonów widzieli, spotykamy jeszcze u tak wysokich w systematyce roślin, jak są nasze mchy i paprocie, które razem z kilku innemi grupami tworzą dział rodniowców. W całym tym dziale, więc u naszych wątrobowców, mchów, paproci, skrzypów, widłaków, mamy jeszcze plemniki widocznie ruchliwe. Dopiero u wyższych roślin, t. zw. jawnokwiatowych, i komórki męskie zatracają ruch samowolny.

W całym tym szeregu widzimy, że rośliny same nie mogą się poruszać, jeno produkta rozrodcze wszystkie albo niektóre, jeśli zaś przypatrzymy się niezliczonemu mnóstwu niższych roślin, przekonamy się, że i całe roślinki i nieraz przez całe życie mogą posiadać ruch, który wygląda jak samowolny. Cała grupa śluzowców, które w pewnych stadyach przypominają zupełnie ameby, najrozmaitsze sinice, niezmiernie liczne bakterye, wreszcie ciekawie zbudowane okrzemki, są właśnie takiemi roślinami.

A ruchy te wszystkie są w istocie zadziwiające. Widok to np. zdumiewający, kiedy bakterye, pływające dotychczas w jakiejś kropli bez celu w najrozmaitszych kierunkach, nagle po dodaniu w pewnym punkcie mięsa lub ekstraktu mięsnego, cisną się do tego punktu i roztrącają, tak, iż chcąc je przenieść z jednego miejsca na drugie, wystarczy rurkę włoskowatą, która ma na końcu trochę ekstraktu, wstawić tym końcem do środowiska, w którem są bakterye. Jeśli się zaś taką przynętę zaprawi wyskokiem lub kwasem jakim, to wszystkie bakterye cofają się od kapillary i unikają środowiska, które działa na nich zabójczo lub szkodliwie.

Podczas gdy ruchliwe bakterye dadzą się przynęcić i pobudzić rozmaitemi ciałami, plemniki np. paproci i mchów są pod tym względem bardzo wybredne. Plemniki paproci, podług Pfeffera, można tylko przyciągnąć do jakiegoś punktu kwasem jabłkowym, zaś plemniki mchów

tylko cukrem trzcinowym, których to bodźców przyroda w rzeczy samej używa, by plemniki ściągnąć do rodni odpowiednich, konsekwentnie do zapłodnienia jaja.

By znowu nabrać choć jakiego wyobrażenia o nadzwyczaj delikatnej wrażliwości ustrojów roślinnych, dość wspomnieć, że dla bakteryj i plemników wystarczy bilionowa, a nawet trylionowa część miligrama odpowiedniej przynęty, by wywołać u nich ruch w pewnym kierunku. Te więc drobnoustroje potrafią wyróżnić najmniejsze ilości środka nęcącego, których żadna waga analityczna, żadna reakcya chemiczna nie może wykazać.

Wszystkie te jednak ruchy są bardzo powolne; nadzwyczajna prędkość, co nas przy obserwacyi uderza, jest właściwie złudzeniem, bo mikroskop, powiększając wielokrotnie przestrzeń, tem samem powiększa na oko prędkość. Ale nie możemy w tych razach używać miary bezwzględnej. Bakterya, co przebiega w okamgnieniu pole mikroskopu, albo co gwałtownie rzuca się na świeżo przysunięte pożywienie, porusza się bez porównania wolniej od bardzo pomału łażącego ślimaka, a jednak prędko w porównaniu do swej wielkości. Kiedy bowiem człowiek, co dzielnie idzie, potrafi ujść w przeciągu sekundy połowę długości swego ciała, w tym samym czasie bakterya może przebyć drogę 3—5 razy dłuższą od swojej średnicy.

Nie wszystkie jednak rośliny mają taki ruch samowolny. Owszem, wszystkie rośliny, które gołem okiem widzimy, są nieruchome. Znamy niektóre glony nitkowate, co w pierwszym okresie życia pływają sobie swobodnie w wodzie, podobnie jak pływki lub bakterye, z czasem atoli przyrastają jednym końcem do podłoża; w tem stadyum niema już mowy o zmianie miejsca, tylko o nachylaniu się lub odchylaniu w rozmaite strony, stosownie do bodźców rozmaitych. W takiem położeniu znajdują się właśnie wszystkie duże rośliny. Przywiązane do skorupy ziemskiej, mogą na pobudki zewnętrzne odpowiadać tylko ruchami swych organów, więc skrzywieniami, nachyleniami i t. p. Takich objawów wrażliwości, wspólnych właściwie wszystkim roślinom, zna dzisiejsza fizyologia bardzo wiele. Trudno tu wszystkie przechodzić, bo na to dużych tomów potrzeba, ale o niektórych grupach tych zjawisk wspomnieć nie zawadzi.

Są pewne części roślinne, które wskutek jednorazowego podrażnienia mechanicznego, mianowicie gdy się wstrząśnie niemi lub gdy się ich dotknie, wykonywają natychmiast określone ruchy. Do takich należą liście złożone motylkowatych, między któremi klasyczną jest

głośna *Mimosa pudica*, liście muchołapki *(Dionaea muscipula)*, wrażliwe nitki pręcików u różnych roślin, znamiona lub też inne części kwiatu.

Inną grupę stanowią reakcye pewnych organów po zetknięciu się z jakim przedmiotem. Najważniejsze, co do tej kategoryi należą, są ruchy wąsów. Wąsy są to narządy, za pomocą których rośliny pnące pnąć się mogą w górę i czepiać różnych przedmiotów. Takie wąsy posiada np. groch, dynia i wiele innych naszych roślin. Najgłośniejsze w fizyologii są wąsy dyni i dyniowatych wogóle. Historya ich w botanice nowszej bardzo ciekawa. Uważano je już za korzenie, za łodygi, liście, pędy, przylistki, ogonki liściowe albo organa *sui generis*. Według najnowszych badań i poglądów, wąs taki zasadniczo składa się z łodygi i liścia. Lecz ciekawszem od natury morfologicznej jest fizyologiczne zachowanie się wąsa. Młode, wyprostowane wąsy, wyszedłszy z pączka, zaczynają najpierw spontaneicznie, niezależnie od światła kołować. Kołowanie to, czyli nutacya, jak mówią botanicy, służy do tego, by łatwiej znaleść podporę jaką, punkt zaczepienia. Skoro tylko wąs spotka na drodze jakąś gałązkę, jakiś przedmiot twardszy, krzywi się w miejscu zetknięcia, przez co ilość punktów stykających się z podporą zwiększa się, a przez to samo pobudzenie do krzywienia się przenosi się dalej ku końcowi wąsa. Tym sposobem wąs okręca się zawsze o podporę kilka razy. Ciekawem jest przytem zjawisko, że, by pobudzić wąs do krzywienia się, wystarczy dotknąć się go niteczką jedwabną, co waży 5000-ną część miligrama, podczas gdy te same wąsy są najzupełniej nieczułe i niewrażliwe na najsilniejszy prąd wichru, co więcej, wąsy te nie reagują wcale, jeśli działa na nie prąd wody, lub nawet prąd rtęci, chociaż tak potężny, że o mało nie rozrywa tkanki wąsowej. Tak więc, jak mówi Pfeffer, wąsy odróżniają stan stały od ciekłego, która to własność jest dla rośliny bardzo stosowną. Żaden bowiem wicher, żadna najsilniejsza ulewa nie potrafi wywołać w wąsie skrzywienia, które byłoby zupełnie nieużyteczne, podczas gdy najlżejsze zetknięcie ze stałą podporą powoduje skrzywienie i okręcenie.

Są znowu inne skrzywienia i ruchy, co odpowiadają pobudzeniom chemicznym. Takiemi są listki wrażliwe różnych roślin owadożernych. Pobudzają je do ruchów, do zamykania się różne owady, wcale zaś nie krople spadającego deszczu. Inną znowu grupę zjawisk, wspólną wszystkim roślinom, nazywają botanicy geotropizmem. Na całej powierzchni ziemi rośliny rosną tak, że pęd idzie pionowo w górę, korzeń zaś pionowo na dół. W każdem nasieniu wyższych roślin jest już go-

towy zarodek, składający się z korzonka, pędu i jednego lub dwu liścieni. Możemy nasienie posadzić w ziemi, jak się nam żywnie podoba — co zresztą musi się dziać przy rozsiewaniu roślin, i sztucznem i naturalnem — zawsze korzonek będzie się tak krzywił, by iść ku środkowi ziemi, pęd zaś, by iść od środka. Ta roślinka w miniaturze, okryta zewsząd ziemią, czy ona czuje, w którym kierunku jest środek ziemi, a w którym powierzchnia, kiedy zawsze, odpowiednio do tych kierunków, reaguje mimo najrozmaitsze położenie? Najbardziej wrażliwe są zawsze najmłodsze i niewyróżnione jeszcze części rośliny, więc koniec korzenia i wierzchołek pędu. Taki koniec korzenia np. jest nietylko wrażliwy na t. zw. siłę przyciągania ziemi, reaguje również celowo na inne pobudzenia, zwraca się do miejsca wilgotniejszego, gdzie jest więcej pokarmów, odwraca się od miejsc suchych lub takich, gdzie niema soli pożywnych i dla rośliny potrzebnych. Darwin, zastanawiając się nad wrażliwością korzonka i ważną jego rolą w życiu rośliny, poszedł za daleko i porównał wierzchołek korzenia z mózgiem niższego zwierzęcia, który mając siedzibę swoją na przednim końcu głowy, otrzymuje wrażenia narządów zmysłowych i kieruje rozmaitemi ruchami. Porównanie Darwina nie jest szczęśliwe, ale wrażliwość korzonka jest faktem prawdziwym.

Heliotropizm, to znowu nowa grupa objawów wrażliwości. Jak ciążenie powszechne, tak samo światło działa na rośliny jako bodziec. Jedne rośliny dążą do światła, skrzywiają się ku niemu, inne stronią i odwracają się. Pewne narządy tej samej rośliny mogą się cofać przed światłem, inne zwracać się do światła. Ta sama znowu roślina, ten sam organ, może w pewnych stadyach unikać światła, w innych poruszać się ku niemu. Jak małe pływki lub pływeczki, tak samo części wyższych roślin mogą się różnie względem światła zachowywać. I nie można już dzisiaj całego skutku przypisywać promieniom świetlnym, bo niema już mowy o tem, by tu energia drgań eterycznych przekształcała się na różne poruszenia, jakie zdradzają następnie rośliny. We wszystkich objawach wrażliwości zachodzi zawsze wielka nieproporcyonalność między pobudką zewnętrzną a odruchem.

Prócz wspomnianych czynników powodują też wpływy termiczne, chemiczne, elektryczne i inne najrozmaitsze oznaki wrażliwości. Atoli roślina nie odpowiada zazwyczaj na nie widocznemi ruchami, jeno reakcyami, których na zewnątrz wcale nie, albo nie zaraz spostrzedz można. Zdaje się nawet, że żywa plazma odczuwa prawie każdy wpływ

zewnętrzny, każdą zmianę jako pobudzenie, jakkolwiek nie zawsze następuje widoczna reakcya.

Wszystkie te objawy wrażliwości, uważane w oderwaniu i każdy z osobna, przedstawiają się jeszcze bardzo prosto, w rzeczywistości na żywych przykładach są one zawsze bardzo skomplikowane, tak, iż je łatwiej podziwiać niż zrozumieć można. Wystarczy przytoczyć jeden fakt, który zresztą *mutatis mutandis* na każdej niemal roślinie zauważyć można. Rośnie na urwiskach skalnych, na starych murach, czołgająca roślinka *linaria cymbalaria* zwana. Pędy kwiatonośne tej roślinki odwracają się od ścian głazowych i wyciągają się ku światłu, po przekwitnieniu jednak te same pędy, mimo że warunki zewnętrzne nie zmieniły się, zginają się w przeciwną stronę, i to tak długo, aż zaniosą wiszące na końcach owoce w szczeliny skalne. Czy pędy te odczuwają w jaki sposób, że w pewnym okresie nastąpiło już przekwitnienie, lub że później owoce jeszcze nie znajdują się w szczelinie?

Cóż o tem wszystkiem sądzić należy? Że ruchliwość jest, że wrażliwość jest, to zdaje się oczywistem. Co więcej, zdaje się jasnem, że bez wrażliwości życie jakiekolwiek jest niemożebne, że wrażliwość, a raczej zdolność do wrażliwości jest życie samo. I zdanie Sachsa, że „istota życia na wrażliwościach polega“, jest może nietylko dostatecznie uzasadnione, ale i prawdziwe. Lecz czy ta wrażliwość jest to samo, co czucie zwierząt? czy jest więc jakąś świadomością?

Przyrodnicy dzisiejsi mieszają bardzo nieszczęśliwie, a dla nauki wcale niekorzystnie, pojęcia wrażliwości i czucia, i używają raz jednego, raz drugiego wyrazu na oddanie tej samej rzeczy — stąd twierdzą powszechnie, że rośliny czują, choć przez to czucie rozumieją tylko zdolność reagowania ustroju na pobudzenia zewnętrzne i bardzo często nie przypuszczają wcale, by ta zdolność reagowania, czy, jak ją krótko nazwać możemy, wrażliwość była świadomą, więc czuciem właściwem. Rośliny i zwierzęta wprawdzie reagują na bodźce zewnętrzne, jedne i drugie reagują tak, że między pobudką a reakcyą niema nigdy właściwego stosunku przyczyny i skutku — lecz wiemy też o tem, że bardzo wiele reakcyj czyli odruchów zwierzęcych jest najprawdopodobniej zupełnie nieświadomych, więc mechanicznych. Mimowoli nasuwa się pytanie, czy u roślin wszystkie objawy wrażliwości nie są takiemi odruchami mechanicznemi raczej, niż czuciem właściwem? Lecz na to pytanie, odpowiedź stanowcza możeby dzisiaj była przedwczesną. Kerner von Marilaun, który przed dwoma laty obdarzył nas prześlicznem dwutomowem dziełem: *Pflanzenleben,* przyznaje roślinom właściwe

czucie i instynkt jak zwierzętom, dlatego nie waha się powrócić w roślinach do dawnej siły życiowej. A. B. Frank w niedawno ukończonym podręczniku swoim zaznacza, że o tem, w jaki sposób protoplazma przyjmuje wrażenia bodźców zewnętrznych, nie mamy wyobrażenia. Inny niemniej głośny fizyolog, W. Pfeffer, miał we wrześniu na zjeździe przyrodników i lekarzy w Norymberdze odczyt o wrażliwości roślin, w którym wyraził zdanie, że niema różnicy zasadniczej między rośliną a zwierzęciem, bo wrażliwość i czucie jest im wspólne; w dalszym zaś ciągu dał do poznania, że nie chce roślinom przypisać świadomości i poznania, czego przecież zwierzętom odmówić nie można. Pfeffer wyobraża sobie, że wszystkie objawy wrażliwości są procesami wyładowywania. Według tego poglądu, każdy bodziec zewnętrzny jest tylko pobudką dla zwolnionych reakcyj, których rodzaj, sposób i właściwość zależą od własności i wewnętrznych urządzeń ustroju. Tak więc rośliny byłyby nadzwyczaj skomplikowane, naturalne maszynki, celowo tak urządzone, iż na różne zewnętrzne zetknięcia i wpływy następowałyby zawsze uwolnione reakcye. Czy da się na tej drodze wytłumaczyć wrażliwość, a więc i życie rośliny? Dotychczas właściwie żaden jeszcze objaw wrażliwości w ten sposób w całości wytłumaczonym nie jest, ale też niemożliwości w takiem pojęciu życia roślinnego dotychczas nie widać.

Pfeffer mówi w jednem miejscu, że gdyby Arystoteles znał te objawy wrażliwości roślin, *które my znamy*, *byłby roślinom* z pewnością przyznał duszę czującą a nietylko wegetatywną. Mnie się zdaje, że gdyby Arystoteles dzisiaj żył i znał nauki przyrodnicze tak jak je dzisiaj znać można, a przytem trzymał się poglądów Pfeffera, toby powiedział, że roślinom do życia żadnej duszy nie potrzeba, ale wystarczy im sama organizacya. Lecz może Arystoteles nie zgodziłby się zupełnie na zapatrywania Pfeffera, i może mając na oku niektóre zagadkowe objawy wrażliwości, pozostawiłby sąd swój o czuciu roślin w zawieszeniu.

J. Nuckowski.

Druk ukończony 27 grudnia 1893 r.

WYROK BANICYJNY

NA KS. WOJCIECHA MĘCIŃSKIEGO.

(Rozdział z przygotowującego się do druku Życiorysu).

Gdy ks. Męciński, zakończywszy ostatecznie majątkowe sprawy, powtórnie wyjechał na misyę japońską, w ojczyźnie padła na jego imię ciężka potwarz: wyrok banicyjny — jak niektórzy powiadają, nawet ekskomunika.

Wieści o tych przygodach prawdopodobnie nie doleciały nawet do uszu sługi Bożego. Ojcowie krakowscy mieli zapewne tyle dyskrecyi, żeby go wiadomościami o tych wypadkach napróżno nie niepokoić; przynajmniej w korespondencyi, jaka po nim pozostała, śladu o tem nie znajdujemy.

I my też nie zastanawialibyśmy się nad sprawą tego rodzaju, jakich wiele było w Polsce, gdyby nie to, że pisarz życiorysu ks. Męcińskiego w „Encyklopedyi kościelnej“ [1], podpisany *X. W.K.*, dał się uwieść ówczesnym jego potwarcom; mniemaną ekskomunikę wziął za fakt, i w dodatku ks. Kasprowi Drużbickiemu T. J., rzekomemu pisarzowi łacińskiego życiorysu O. Wojciecha, zarzucił, że tendencyjnie zataił i zagmatwał wypadki.

Wobec czci, jaka się należy pamięci męczennika Chrystusowego, i wobec prawdopodobieństwa, iż w niedługim czasie zostanie wyniesiony na ołtarze, musimy w te sprawy sumiennie

[1] T. XIV, str. 237—245.

wglądnąć, zajrzeć aż do źródeł i przekonać się dowodowo, czy słusznie ten cień na pamięć ks. Wojciecha Męcińskiego został rzucony.

* * *

Kolegium krakowskie przy kościele śś. Apostołów Piotra i Pawła, opierając się na przywilejach danych zakonowi przez papieży: Pawła III. r. 1549, Piusa IV., Grzegorza XIII. r. 1578, nie płaciło dziesięcin z dóbr swoich, a zatem nie zapłaciło także z tych, które mu zapisał ks. Męciński.

Proboszcz z Gołąbia, ks. Szymon Grzybowski, do którego parafii należały dziesięciny z wiosek jezuickich: Żyrzyn, Strzyżewica, Parachwina Wola, Pogonów, Niebrzegów, Boryssów — wytoczył proces OO. Jezuitom, opierając się na niektórych postanowieniach synodalnych, potwierdzonych przez Stolicę św., a mianowicie synodu piotrkowskiego, i wyjednał na ks. Męcińskiego, dawniejszego właściciela tych włości, banicyę w trybunale koronnym. Była to zwykła kara na szlachtę polską, która zarażona nowinkami, nieraz odmawiała płacenia dziesięcin. W tym czasie walka o dziesięciny była w Polsce najostrzejszą, bezustanne o nie toczyły się procesa, tak, że Władysław IV. musiał wysłać do Rzymu Jerzego hr. Ossolińskiego, aby, rzecz całą bezstronnie przedstawiwszy, wyjednał u Stolicy św. *breve,* określające, kto, jak i kiedy jest obowiązany do dziesięcin. *Breve* papieża Urbana VIII. wydane zostało dnia 27 listopada r. 1634 [1], a chociaż sporom końca nie położyło, jednak nieco je złagodziło, zredukowało dziesięciny, i sposób dawania ich zreformowało [2].

Nic więc dziwnego, że wśród tak częstych procesów o dziesięciny — zanim *breve* Urbana VIII. zrobiło pewną reformę — także i proboszcz z Gołąbia nie miał pod tym względem żadnych skrupułów, tem więcej, że stawiał kościół w swej parafii, więc

[1] Zob. *Replicatio canonica ad Responsum theologicum...* per J. Markiewicz, a. 1650, str. 20—24.

[2] Zob. „Rocznik Towarzystwa naukowego z uniwersytetem krakowskim połączonego". Tom II, zawierający rozprawę o dziesięcinach Ignacego Miączyńskiego... W Krakowie 1817, str. 95 i następne.

potrzebował pieniędzy. Wytaczał on cały szereg procesów, tak np.: d. 11 lipca 1629 r. ks. Marcinowi Osochowskiemu, proboszczowi z Samogosca [1], o dziesięciny należące się jemu z pewnej włości; w parę miesięcy później, w styczniu 1630 r., oskarżył ks. Stanisława Listowieckiego, proboszcza z Końskiej Woli, iż mu przeszkadza w pobieraniu dziesięcin [2]. Podobnie postąpił i z OO. Jezuitami kolegium krakowskiego. Gdy rektor odmówił płacenia dziesięcin z dóbr należących do jego parafii, ks. proboszcz Szymon Grzybowski wyjednał w trybunale koronnym na dawnego właściciela tychże, ks. Męcińskiego, bawiącego wówczas w Lizbonie, pozaoczną banicyę z kraju.

Oskarżenie kapłana przed sądem świeckim, jak wiadomo, pociąga za sobą na oskarżyciela surowe kary kościelne. To też gdy OO. Jezuici użalili się na to postępowanie proboszcza z Gołąbia przed nuncyuszem papieskim, ks. Szymon Grzybowski z obawy przed karami kościelnemi prosił o zawarcie ugody, która też nastąpiła w Warszawie d. 30 października 1632 r. między nim a O. Przemysławem Rudnickim, rektorem krakowskiego kolegium św. Piotra i Pawła, w obecności ówczesnego nuncyusza w Polsce, Honorata Visconti.

Na mocy tego układu OO. Jezuici zobowiązali się uiszczać niektóre dziesięciny ks. Szymonowi Grzybowskiemu, a on miał zapłacić kary 1300 florenów, a nadto postarać się o odwołanie w trybunale koronnym banicyi, którą wyjednał na ks. Męcińskiego [3].

Cała ta sprawa nie mogła się tym układem wzajemnym

[1] Zob. rękopis w archiwum Konsyst. biskup. krakowskiego: *Actorum Episcopalium Eppi. Szyszkowski,* vol. IV. *Acta Actor. Causarum spiritualium, civilium, criminalium etc. etc. in annis 1627—1630,* t. IV, fol. 514 i 515.

[2] L. c. fol. 624.

[3] Zob. Nicolai Cichovii S. J., *Responsum theologicum ad triplex scriptum. A. R. D. Joannis Markiewicz contra exemptionem FP. Soc. Jesu a solvendis decimis.* Romae 1650, str. 78—80. — Joannis Markiewicz, *Decima cleri secularis... contra exemptiones Patrum Soc. Jesu.* Cracoviae 1647, str. 19 i nast. i *Decima cleri secularis... contra conclusiones R. D. Naldi,* per J. Markiewicz. Cracoviae 1648, n. 122 — gdzie dziwi się autor, dlaczego proboszcz z Gołąbia ma płacić 1300 flor., skoro odwołanie banicyi tylko 1 flor. kosztowało. Widoczna, że była to kara na samego proboszcza za cytowanie kapłana przed sąd świecki i to jeszcze niesłusznie.

zakończyć, gdyż tu chodziło nie tyle o same dziesięciny, ile raczej o prawo dysponowania niemi przez zakonnika, i o walor banicyi. Wiadomo, że *jus alienandi bona ecclesiastica* przysługuje wyłącznie Stolicy św. — OO. Jezuitom kolegium krakowskiego zdawało się, że chociaż ks. Przemysław Rudnicki, ówczesny rektor kolegium św. Piotra, zawarł układ z proboszczem z Gołąbia, to jednak jego następca, ks. Stanisław Porembski, nie mógł na nim poprzestać, lecz powinien był całą sprawę odesłać do rozstrzygnięcia Rocie rzymskiej. Tak się też i stało.

Rota rzymska w dniu 21 maja 1640 r. rozstrzygnęła spór na niekorzyść ks. proboszcza Szymona Grzybowskiego i unieważniła umowę spisaną przed nuncyuszem apostolskim, opierając się na tem, że przywileje OO. Jezuitów nie ulegają żadnej dyskusyi, i nietylko rektor, ale nawet prowincyał nie ma prawa z nich rezygnować [1].

Według orzeczenia Roty rzymskiej, proboszcz z Gołąbia niesłusznie wytoczył proces przed sądem świeckim o dziesięciny. Niesłuszną i nieważną więc była banicya, rzucona na ks. Męcińskiego, dla braku podstawy prawnej do banicyjnego dekretu [2].

Gdy w następnym roku znowu ktoś w wątpliwość podał ważność przywilejów Towarzystwa Jezusowego wobec *breve* pa-

---

[1] W dniu 4 lipca 1640 r. R. P. D. Cerrus, audytor *Causarum Palatii Apostolici,* dał następującą odpowiedź: „Sub die 11 Maji proxime praeteriti, Rota coram me censuit, concordiam non suffragari Plebano Loci Golambie, super jure decimandi bona Collegii S. S. Apostolorum Petri et Pauli Soc. Jesu Cracovien. Quia ex deductis in decisione, *exemptio collegiorum Soc. Jesu remanet extra controversiam*, et apparet translationem super decimis per Rectorem tunc temporis factam, esse rescindendam, nec viribus subsistere: ex defectu beneplaciti Apostolici, justae causae, facultatis Rectoris super iis, nec minus super juribus ad Collegium spectantibus transigendi. Non obstante quod intervenerit consensus ac licentia P. Provincialis, cum ista facultas resideat in scrinio pectoris Rssimi Generalis supremi et absoluti moderatoris totius religionis etc.“ — Zob. *Archiv. Eppi Cracoviense Acta Administratorialia (seu Acta Actorum Sede vacante)* 1642 Decembr. sub titulo: *Ingrossatio Jurium pro Ecclesia Patrum Societat. Jesu Cracov.* i *Decima cleri* J. Markiewicz, l. s. c. Cracoviae 1647, str. 13 i nast.

[2] Zob. *Responsum ad primum libellum R. D. J. Markiewicz contra privilegia Apostolica PP. Societatis Jesu et S. Rotae decisiones ratione exemptionis a solvendis decimis* a D. Joanne Naldo, datum Romae 1650, p. 55 i 56.

pieża Urbana VIII. o dziesięcinach w Polsce, Rota rzymska w d. 9 grudnia 1641 r. wydała nowy dekret, w którym twierdzi, iż przywilej OO. Jezuitów niepłacenia dziesięcin, nie może ulegać żadnej kontrowersyi, a ci, którzyby przeciw niemu występowali, mają ulegać największym karom i cenzurom kościelnym [1].

Tem się tłumaczy, dlaczego ks. proboszcz z Gołąbia, Szymon Grzybowski, musiał nietylko postarać się o odwołanie publiczne wyroku banicyjnego, jaki przedtem zdobył na ks. Męcińskiego, lecz nadto za niesłuszny pozew musiał zapłacić 1300 florenów kary.

Cóż mamy powiedzieć o rzekomej ekskomunice?

Gdy ks. Jan Markiewicz, sławny przeciwnik Jezuitów, pisał przeciw nim cały szereg broszur w wieku XVII., w których niejednokrotnie wspomina, że ks. Męciński za to, że OO. Jezuici nie płacili dziesięcin z jego dóbr zapisanych zakonowi, wpadł nietylko w banicyę ale i ekskomunikę — to O. Mikołaj Cichocki T. J. w r. 1650 broszurą drukowaną w Rzymie, dał gruntowną teologiczną odpowiedź na jego zaczepki i wykazał najdobitniej oszczerstwa rzucane na ks. Męcińskiego. Śmiało mówi: „tak długo będę nazywał kłamstwem, że (ks. Męciński) był ekskomunikowany, dopokąd mi nie udowodnisz, przez którego to biskupa krakowskiego lub nuncyusza apostolskiego był ten Ojciec sądzony i ekskomunikowany“ [2].

Ks. Jan Markiewicz chociaż w tymże roku odpowiedział broszurą na rozmaite inne zarzuty robione mu przez O. Cichockiego, to jednak na oczyszczenie się z oszczerstwa co do cenzury nie umiał wykazać żadnego dokumentu, nawet nie próbuje się bronić i na robione mu zarzuty milczeniem odpowiada [3].

---

[1] Zob. *Decima cleri secularis* etc. Joannis Markiewicz. Cracoviae a. 1647 pag. 11.

[2] Zob. Cichockiego *Responsum theologicum* etc., l. c. str. 78.

[3] Zob. *Replicatio canonica ad Responsum theologicum Soc. Provinciae Polonae in materia decimarum*, per J. Markiewicz, a. 1650, str. 72, in 4-o, bez miejsca wydania.

Milczenie to samo przez się jest już zbyt wymowne; tłumaczą nam je nadto słowa O. Cichockiego:

„Od Ojców: ks. Przemysława Rudnickiego, ks. Wawrzyńca Pisarskiego (profesora teologii) i innych Ojców, którzy byli podówczas sekretarzami Towarzystwa i W. O. Prowincyała doradcami, dowiedziałem się, że tak dalece było to wszystko kłamstwem, że gdyby przez wzgląd na obowiązek zakonny przebaczania winy nieprzyjaciołom nie byli wstrzymali się od pozwu oszczercy, byłby musiał wedle praw polskich oszczerstwo odwołać“ [1].

Wprawdzie Naldus, obrońca Jezuitów, wspomina także o ekskomunice, lecz on o niej wiedział tylko z oszczerczych broszur Markiewicza, bo OO. Jezuici jeszcze nic wówczas w swej obronie nie byli napisali, i stąd w dekrecie Roty rzymskiej co do układu Jezuitów z proboszczem z Gołąbia o niej jest wzmianka.

Pomimo tak jasnych dowodów, że żadnej ekskomuniki nie było nigdy wydanej na ks. Męcińskiego za to, że OO. Jezuici nie płacili dziesięcin z dóbr, jakie po nim otrzymali, starałem się przeszukać w archiwum Konsystorza krakowskiego wszystkie dokumenta z lat, w których ta ekskomunika mogła nastąpić — lecz pomimo usilnego starania, ani śladu jej nie znalazłem. Zresztą trudno było znaleść, skoro nigdy żadnej ekskomuniki nie wydano na ks. Męcińskiego [2].

* * *

Po tem, cośmy wyżej powiedzieli, już tylko kilka słów potrzeba będzie na odpowiedź autorowi X. W. K. artykułu „Mę-

---

[1] Zob. Nicolai Cichovii l. c. p. 78—79.

[2] W archiwum Konsystorza krakowskiego przejrzałem następujące tomy rękopisemne:

a) *Acta Episcopalia Eppi. Szyszkowski*, vol. IV, a. 1627 ad mensem april. anni 1630.

b) *Acta Administratorialia Sede vacante. Administ. Petro Gembicki*, die 7 Maji 1630 usque ad 18 Decembris a. 1631.

c) *Acta Administratorialia Sede vacante. Adm. Petro Gembicki*, a. 1631 mens. Septembr. — 1632 ad finem anni.

d) *Acta officialia* ab a. 1628—1630, vol. 124. — *Acta officialia* ab a. 1630—1631 vol. 125. — Od r. 1631—1632 są tylko *Administratorialia* jak wyżej.

ciński“ w XIV. tomie „Encyklopedyi kościelnej“, str. 241 i nast. (Warszawa 1881). Autor, mając pod ręką dzieło przypisane przez wydawcę ks. Drużbickiemu T. J., pisze na str. 241:

„Przechodzimy teraz do okresu bardzo zawikłanego w życiu Męcińskiego, a zawikłanego r o z m y ś l n i e przez Drużbickiego“. Na str. 242 dodaje: „Co za pogmatwanie! i nie bez celu, jak zobaczymy zaraz. Drużbicki pomieszał wypadki, żeby nie zostawić swemu bohaterowi czasu na rektorstwo w Krakowie, z powodu którego Męciński ściągnął na siebie banicyę od trybunału koronnego a ekskomunikę od biskupa krakowskiego“.

Zanim się zrobiło tak ciężki zarzut sławnemu ascecie polskiemu, jakim jest ks. Kasper Drużbicki, zmarły *in odore sanctitatis*, należało wpierw udowodnić, że on jest autorem żywotu, na którym się X. W. K. opierał. Styl, jakeśmy to we Wstępie powiedzieli, i inne okoliczności przemawiają przeciw autorstwu ks. Drużbickiego [1].

Pomijając zresztą okoliczność, kto pisał ów żywot — chociażby Drużbicki — czy jest tam „pogmatwanie“? Wyjąwszy jednej dosyć widocznej pomyłki kaligrafa, znajdującej się w rękopisie żywotu z XVII. wieku a powtórzonej przez następnych wydawców na str. 43, gdzie zamiast 1627 roku podano rok 1630, żadnej w tym żywocie „gmatwaniny“ niema, i gdy się tę datę poprawi, wszystkie następne jasno rzecz przedstawiają.

X. W. K. zarzuca dalej mniemanemu autorowi żywotu, iż umyślnie „pomieszał wypadki, żeby nie zostawić swemu bohaterowi czasu na rektorstwo w Krakowie“, które według tegoż pisarza X. W. K. (str. 243), miał sprawować przed r. 1632. Chociażby nawet wypadki w żywocie były pomieszane, to takiego celu autor żywotu mieć nie mógł, gdyż ks. Męciński nietylko nie był nigdy rektorem kolegium krakowskiego, lecz nigdzie nim nie był. Jako dowód wystarczy wyciąg z ksiąg Rzymskiego ar-

[1] W przedmowie książki Życiorysu, z którego wyjęty jest ten rozdział, autor szczegółowo dowodzi, że autorstwo łacińskiego żywotu O. Wojciecha mylnie przypisuje się ks. Drużbickiemu. Tak samo twierdzi de Backer, i *Przegląd Poznański*, 1858, t. II, str. 359.

chiwum Tow. Jezusowego, jaki otrzymałem z Kuryi generalskiej. Otóż w księgach generała między r. 1628—1634 są zapisani następujący rektorowie krakowskiego kolegium śś. Apost. Piotra i Pawła:

O. Joannes Lescensky (może Leszczyński?) był rektorem do września 1629 r.

O. Nicolaus Lanciscus (Łęczycki) do września 1630 r., poczem, zostawszy prowincyałem litewskim, oddał rządy rektorskie:

O. Przemysławowi Rudnickiemu, który był rektorem od września 1630 do września 1633 r. — Po nim zaś był:

O. Stanisław Porembsky.

X. W. K. opiera swe twierdzenie o rektorstwie ks. Męcińskiego (str. 242 u dołu) na broszurze Jana Naldusa p. t.: *Polona, decimarum pro Patribus Soc. Jesu et aliis Regularibus contra libellum a R. Joanne Marchevicio evulgatum. Consultatio.* Romae ex Typogr. R. Camerae apost. 1647 — i mówi: „Naldus, obrońca Jezuitów, podaje (§ 4, op. c.), że Wojciech M., ten sam, który później za wiarę został umęczony w Japonii 23 marca 1643 r., był rektorem kolegium jezuickiego u śś. Piotra i Pawła w Krakowie i, opierając się na przywilejach swego zakonu, odmówił dawania dziesięciny z dóbr do tegoż kolegium należących a w parafii Gołąb położonych". Zdziwiony, szukam broszury Nalda, i ani słowa o rektorstwie ks. Męcińskiego nie znajduję.

Zresztą co do dalszych twierdzeń pisarza artykułu o rzekomej ekskomunice i banicyi, wyżej dostatecznie wyjaśniliśmy, ile w tem wszystkiem było prawdy. X. W. K., jak się z cytatów okazuje, opierał swe twierdzenia tylko na broszurach Markiewicza i nie czytał odpowiedzi, jaką dał ks. Mikołaj Cichocki T. J. w broszurze drukowanej w Rzymie r. 1650, której tytuł wyżej przytoczyliśmy. Nie czytał nawet wszystkich broszur w tym względzie pisanych przez Markiewicza, a mianowicie p. t.: *Replicatio canonica ad Responsum theologicum Soc. Provinciae Polonae in materia decimarum,* drukowanej r. 1650, bez oznaczenia miejsca wydania.

Jak nieprawdziwem zaś jest twierdzenie, „iż Jezuici wyprawili ks. Męcińskiego na misyę" (str. 342 i 343), okazują

listy ks. Męcińskiego dawniej pisane, i starania podjęte prawie od chwili wstąpienia do zakonu, aby był wysłany na misyę japońską. Potwierdzają to również słowa O. M. Cichockiego T. J., w broszurze p. t.: *Responsum theologicum ad triplex scriptum J. Markiewicz* (Roma 1650), str. 79:

„...Mówi nieprawdę, twierdząc (in 3, n. 12 i 120), że nasi wysłali tego Ojca do Nagazaki i w krainy niewiernych, aby więcej do swoich nie powrócił: twierdzę raz jeszcze, że to nieprawda, ponieważ prowincya polska wszystkich używała środków, aby go zatrzymać, lecz jego zapału i bezustannych próśb u P. ks. Generała nie mogła zwyciężyć". O. Cichocki kończy swoją rozprawę tym sensem moralnym, że potwarcy krajowi niegodziwiej obeszli się ze sławą ks. Męcińskiego, niż Japończycy z jego ciałem [1]:

Ks. Marcin Czermiński.

---

[1] L. c. str. 80.

Ten Jan Markiewicz — o którym wyżej mówiliśmy — „urodził się (według „Encyklopedyi kościelnej", t. XIII, str. 548. Warszawa 1880) w Poznaniu w pierwszej połowie XVII. w. Uczeń Akademii krakowskiej z czasów, w których toczyła ona zaciętą walkę z Jezuitami... wyniósł on nienawiść ku zakonowi Jezuitów. Wstąpiwszy do wojska, odbył kampanię w Prusach przeciwko Szwedom, poczem udał się do Rzymu, i tam po 6 latach nauki prawa, szczególnie kanonicznego, otrzymał stopień doktora obojga prawa i wyświęcił się na kapłana. Powróciwszy do kraju, zostawał przy boku Andrzeja Szołdrskiego, biskupa poznańskiego. Biskup ten, nie sprzyjający Jezuitom, chciał im odebrać kilka wsi, od stołu biskupiego darowanych poprzednio temu zakonowi przez biskupa Konarskiego. Z tego powodu Markiewicz napisał: *De alienatione sex villarum a capitulo Posnaniensi* (Padwa 1641), w którym dowodzi, że co jeden biskup wbrew woli kapituły zrobił, drugi odwołać może. Odtąd Markiewicz walczy ciągle przeciwko Jezuitom... Wojując z Jezuitami, którym zalecał przedewszystkiem ubóstwo, rósł tymczasem Markiewicz w beneficya: był bowiem kanonikiem poznańskim, warmińskim, proboszczem tarnowskim, proboszczem u św. Jakóba w Krakowie, kanonikiem krakowskim i sekretarzem królewskim".

Wskutek obelżywej i w trywialny sposób prowadzonej polemiki z Jezuitami, a nadto innych skarg przeciw niemu podniesionych, przedewszystkiem, że się zaprzedał Szwedom, pozbawiony został probostwa tarnowskiego, kapituła warmińska wykluczyła go ze swego grona, a gdy przyjechał do Rzymu bronić praw swoich, został uwięziony najpierw w *Nova*

torre, następnie w zamku św. Anioła, jak to sam opisuje w broszurze wydanej w Paryżu r. 1666 p. t.: *Carcer Romanus.*

Dawid Braun, jakkolwiek luteranin i nieprzyjaciel Jezuitów, nazywa Markiewicza: *vir litigiosus ira implacabili sibi ipsi rixosas miserias faciens, tantum ut adversariis irrito oblatraret. (De Scriptorum Poloniae et Prussiae... virtutibus et vitiis...* str. 188).— Nawet Józef Łukaszewicz, chociaż przyklaskuje Markiewiczowi w jego polemice i cieszy się, że „dogryzał" Jezuitom, przecież pochwały swoje kończy: „My, czytając pisma Markiewicza, pytamy jeszcze: co za pożytek z nich dla nauk wypłynął? i żałujemy, że człowiek tak uczony... wiek swój cały na kłótniach literackich sterał i zamiast kilkunastu pism, żadnej prawie naukowej wartości dziś nie mających, nie wypracował jakiego dziełka ważnego do dziejów lub prawa ojczystego". (Zob. „Obraz historyczno-statystyczny miasta Poznania w dawniejszych czasach", przez Józefa Łukaszewicza. Poznań 1838. T. II, str. 210).

KSIĄDZ KAROL ANTONIEWICZ.

IV.

W tarnopolskim i sądeckim klasztorze.

Nie minęło jeszcze dni dziesięć od uroczystej chwili, w której Antoniewicz poświęcił się i oddał Bogu w całopalnej ofierze przez zakonne śluby w starowiejskiej kapliczce — a już widzimy go na wschodnim krańcu Galicyi, w tarnopolskim klasztorze, przed stolikiem założonym filozoficznemi dziełami, które usłać mu miały drogę do przyszłych teologicznych studyów; już w wolnych od nauki godzinach do przyszłych prac się zaprawia, dozorując studentów uczęszczających do powierzonego zakonowi swemu gimnazyum. W zgłębianiu filozoficznych problematów dopomagał, nie bardzo w pierwszych zwłaszcza miesiącach mogącemu się w nich zoryentować poecie, starszy jego kolega, późniejszy głośny na świat cały teolog, następnie kardynał, Jan Franzelin; w duchownem życiu doświadczonym był przewodnikiem długoletni kaukazki misyonarz, O. Jan Woyszwiłło. Świątobliwy ten starzec, blizko już ośmdziesięcioletni, wtajemniczał praktycznie Antoniewicza w misyonarskie życie; opowiadając przygody i zdarzenia, jakich sam zaznał, rozniecał w jego sercu żywszy jeszcze ogień świętej gorliwości, a jednocześnie roztropnie kierował tę gorliwość ku jak najdokładniejszemu spełnianiu obowiązków, ciążących w tej chwili na jego barkach. Nie

trudne to zresztą było zadanie z uczniem, skądinąd już wszelkiemi siłami w tym kierunku dążącym. W dzienniczku swym nie zapisuje on już teraz ani żartobliwych, ani pobożnych wierszów; nie ma czasu wypisywać bardziej przemawiających do serca i do przekonania ustępów z przeczytanych książek; streszcza tylko w krótkich wyrazach fundamentalne zasady, których trzymać się postanowił w postępowaniu swem z szkolną młodzieżą, w wychowywaniu jej na chwałę Bogu, na pożytek ludziom; zasady i wskazówki, które mu następnie nietylko w tej, ale w każdej apostolskiej pracy stały przed oczami:

„Jak mamy młodzież wychowywać?... Tego uczy nas przykład świętych Aniołów Stróżów.

1) „Aniołowie gotowi są udać się do któregokolwiek kraju i miejsca, jakie im Bóg wskaże. Nie przychodzą też do nas, jedno od Boga posłani.

2) „Anioł równie jest zadowolony, czy jest stróżem wieśniaka, prostaczka, czy też książęcia lub króla.

3) „Aniołowie nieustannie nad nami czuwając, jednocześnie oglądania oblicza Boskiego ani na chwilę nie przerywają.

4) „Aniołowie winy nasze swojemi natchnieniami uprzedzają, podając święte, przyjacielskie przestrogi; nie zrażają się, jeśli na nie nie zważamy.

5) „Nieustannie za nas się modlą.

6) „Porozumiewają się z sobą dla naszego dobra. I my też z tymi, co z nami wspólnie pracują, jednomyślnie działać mamy.

7) „Aniołowie miłują nas jedynie z miłości Boskiej.

8) „Nie odstępują nas nigdy w życiu, a przy śmierci chyba wtedy, gdy dla zatwardziałości serca nie pozostaje żadna nadzieja nawrócenia, na które z cierpliwością czekali".

Więcej zapisków z tego czasu nie mamy, jak wogóle nie mamy żadnych innych śladów, wspomnień z jednorocznego pobytu w Tarnopolu; upłynął on widocznie spokojnie, jednostajnie na wytężającej siły nauce, żarliwem spełnianiu zakonnych obowiązków. Podobnie przepłynęło pierwszych kilka miesięcy w klasztorku nowosądeckim, dokąd Antoniewicz udał się w jesieni 1842 r. na teologiczne kursa. I tutaj mieli Jezuici, oprócz teo-

logicznych wykładów dla własnych swych kleryków, całe gimnazyum, poruczone sobie przed czterema latami osobnym dekretem cesarza Ferdynanda pod wyłączny zarząd; gimnazyum złożone z sześciu klas, i oczywiście, tak jak wszystkie inne w całej Galicyi, z wykładowym językiem niemieckim. Nawet ranne niedzielne i świąteczne egzorty odbywać się musiały dla trzech wyższych klas w tym języku; dla trzech niższych, na mocy osobnego zezwolenia sądeckiego starosty, miały miejsce po polsku. Z rozkazu przełożonych wygłosił Antoniewicz w uroczystość Trzech Króli 1843 r. pierwszą egzortę niemiecką, i odtąd głosił je regularnie w każdą niedzielę i święto aż do końca roku szkolnego; w następnym roku objął egzorty polskie, a tak umiał zastosować sposób myślenia i wyrażenia do pojęcia, do serca słuchających, że, jak długo, długo później, dojrzałymi już będąc mężami sobie przypominali, nigdy — rzecz dla studentów dziwna — na naukach tych się nie nudzili; że sami dziwili się, jak i kiedy przepłynęło pół godziny, na szkolną egzortę przeznaczone. Po południu znowu, przed nieszporami, wykładał Karol w kościele przez całą godzinę prawdy katechizmowe, dla licznie, coraz liczniej zbierających się dzieci, służących, pobożnych wszelkiego stanu i wieku. Jaką wagę do nauk tych katechizmowych przykładał i jak pilnie do nich się gotował, tego dowodem gruby, około 200 stron obejmujący rękopis, przepisany przez matkę[1] jednej z uczennic naszego katechety z własnoręcznych notatek, które Antoniewicz po każdym wykładzie pożyczał małej Karolci, aby mogła sobie lekcyę w domu powtórzyć. Pełno tu wybornych, praktycznych zastosowań; do dziecinnego, do młodocianego wieku skierowanych napomnień, i to tylko szkoda niemała, że rękopis ma w sobie luki, spowodowane bądź chorobą, bądź innemi nagłemi zajęciami to matki, to córki, i że do końca nie dobiegłszy, nagle się urywa.

W pierwszych dniach lutego 1844 r. otrzymał Karol list ze Lwowa, z tem boleśniejszą, że niespodziewaną wiadomością: ukochana jego matka po niedługiej chorobie zakończyła życie.

---

[1] Była to Karolina z br. Baumów baronowa von Saulenfels.

Nie spełniły się życzenia, powtarzane niejednokrotnie przez świątobliwą matronę do serdecznej przyjaciółki[1]: „O! gdybym mogła być na Mszy przez mego syna odprawionej, niby do mego szczęścia nie brakowało"; nie spełniły się pragnienia i marzenia samegoż Karola, myślącego z taką radością o szczęśliwej, oczekiwanej godzinie, w której przy ołtarzu za matkę modlić się i błogosławić jej będzie; w której tą modlitwą swoją i błogosławieństwem wynagrodzi jej już tu na ziemi złożoną Bogu, tak szczerze, bez żadnej ujmy, ofiarę z tego co miała najdroższego — z własnego dziecka. Pociechą w ciężkim smutku były, dochodzące powoli do Sącza, budujące szczegóły o ostatnich chwilach „służebnicy Pańskiej", jak ją tak prawdziwie a treściwie scharakteryzował napis na cmentarnym nagrobku, wykonanym wedle pomysłu długoletniego przyjaciela i spowiednika zmarłej, arcybiskupa Stefanowicza. „Zastałam ją na śmiertelnem łóżku, — opisuje śmierć tę błogosławioną cytowane już powyżej ‚Wspomnienie' — córka była przy niej, później wszedł jej spowiednik i razem z nami odmawiał akty konających. Z trudnością już mówiła, jednak po akcie wiary, wyraźnym głosem, z świętym zapałem odpowiedziała: ‚Wierzę!' To słowo, wymówione przez św. Blandynę prowadzoną na plac męczeństwa, to słowo krwią na kamieniu napisane przez św. Piotra, opuszczonego od zbójców swoich, to słowo obiło się w tej uroczystej chwili o ciche mury ubogiej celi klasztornej, to słowo pogodziło mię z życiem i ze śmiercią"...

Jeśli za życia matki pragnął Karol gorąco stanąć jak najprędzej przy ołtarzu i widokiem tym napełnić jej serce niebieskiem weselem, teraz wzmogło się jeszcze dawne pragnienie; dobry syn, rozumiejący czem jest Msza św. i jaka nieoceniona jej wartość, tęsknił za chwilą, w której będzie mógł złożyć Przenajświętszą Ofiarę za duszę tej, którą tak bardzo a tak słusznie kochał. Przełożeni zakonni umieli pojąć i wyrozumieć te uczu-

[1] Seweryny Badeniowej, która o życiu i śmierci matki ks. Antoniewicza umieściła krótkie ale rzewne „Wspomnienie" w *Dzwonku* z 1850 r. T. I, str. 67—70.

cia. Rektor sądecki, O. Paweł Ciechanowiecki, białoruski weteran zakonny, choć w innych wychowany tradycyach i zupełnie odmiennego usposobienia, z rzewnym, poetycznym nastrojem Antoniewicza nie zupełnie się godził; choć czasem z pewną, jak później pokazać się miało, nieusprawiedliwioną obawą się pytał, czy zbyt żywa wyobraźnia, zbyt czułe serce stawać nie będzie na drodze spokojnie, rozumnie obmyślanym męskim czynom — to jednak przyznawał Karolowi wysokie zalety, niemałe talenty; oceniał zwłaszcza należycie zakonne jego cnoty, i sam pierwszy dołożył starań, aby przyspieszyć dlań zwykły termin kapłańskich święceń. Klerycy jezuiccy przystępowali wonczas do nich w galicyjskiej prowincyi zakonnej, dopiero po czterech latach teologicznych studyów; dla Antoniewicza zrobiono niebywały dotąd i niesłychany wyjątek, i po dwóch już latach, z początkiem września 1844 r. wysłano go do Lwowa, aby przyjął tam wyższe święcenia z ręki dawniejszego biskupa podlaskiego, obecnie wygnańca za niezłomną siłę swych przekonań, Jana Marcelego Gutkowskiego. Uroczysty ten, pamiętny na całe życie akt odbył się 18 września; pierwszą Mszę św. odprawił świeżo wyświęcony kapłan w jezuickim kościele św. Piotra i Pawła, dnia 10 października, w uroczystość św. Franciszka Borgiasza, który pierwszy Jezuitów do Polski wprowadził. Z jakiem wzruszeniem błogosławił Antoniewicz, po tej pierwszej wzniesionej Bogu ofierze Mszy św., licznemu rodzinnemu gronu, zastępom sług i wieśniaków przybyłym ze Skwarzawy; jakie uczucia w tej chwili do serca mu się cisnęły; z jaką rzewną tęsknotą, a zarazem serdeczną wdzięcznością dla miłosiernego Zbawiciela odtwarzał sobie w myśli całą ową ciężką drogę, krzyżami, grobami zaznaczoną, którą go Pan do stóp ołtarza swego doprowadził — opowiedzieć to trudno; łatwiej domyśleć się, odczuć; łatwiej temu zwłaszcza, co sam miał szczęście u ołtarza stanąć, lub komu Bóg dozwolił widzieć po raz pierwszy u ołtarza jednego ze swych blizkich, drogich...

Za powrotem do Sącza czekała naszego kapłana podwójna praca. Z jednej strony trzeba było wgłębiać się dalej w teolo-

giczne foliały, uczęszczać jak dawniej na wykłady, prowadzić uczoną szermierkę w dysputach ze szkolnymi towarzyszami, pod okiem i wedle wskazówek profesorów, ze scholastyczną metodą i ścisłością; z drugiej strony, występować coraz częściej na ambonie, brać niejednokrotnie udział w misyach, nabożeństwach, urządzanych i w bliższej i dalszej okolicy. Jeszcze jako kleryk dopomagał Antoniewicz w Wielkim Poście 1844 r. cenionemu mówcy, O. Janowi Markijanowiczowi, w udzielaniu rekolekcyjnych nauk tłumnie zbierającym się na nie Sądeczanom; teraz, kapłańskim charakterem i powagą wzmocniony, rozwinąć mógł skrzydła do szerszego lotu. Właśnie rozpoczęła się była pod przewodnictwem żarliwego „apostoła wstrzemięźliwości", Ojca Mathew, po całym niemal świecie chrześcijańskim potężna krucyata przeciw pijaństwu; a jeśli gdzie, to w Sądeczyźnie, to na całym karpackim podgórzu niezbędną była ta krucyata. Zupełny brak oświaty, cisnąca bieda, nierzadko w nędzę się przeradzająca, a w dodatku sprytny arendarz-kusiciel, ciągnęli zjednoczonemi siłami górala do karczmy i kazali mu tu w gorzałce szukać zapomnienia swych trosk, oszałamiali trunkiem na godzin kilka, a na lata niszczyli zdrowie i wyciągali ostatni, niezbędny do życia grosz. Przeciw tej zarazie powstał Antoniewicz w czterech kazaniach, w cztery z rzędu adwentowe niedziele wypowiedzianych; powstał, jak tradycya niesie, z taką siłą, w tak groźnych barwach odmalował straszne tej choroby następstwa, że całe tłumy, między któremi znajdowało się niemało nałogowych pijaków, cisnęły się na wyścigi i błagały, aby i ich zapisać do „świętej trzeźwości". Wieść o tych cudownych niemal nawróceniach rozeszła się szybko po okolicy; a kilku mieszkających w pobliżu proboszczów wyprosić sobie miało u sądeckiego rektora, aby umiejący tak dobrze do ludu przemówić misyonarz, i do nich mógł zawitać i kąkol pijaństwa wyplenić.

Wielki Post, a następnie szczególnej czci Matki Boskiej poświęcony maj, nastręczył Antoniewiczowi nową sposobność do objawienia na zewnątrz płomiennej gorliwości, która wewnątrz go trawiła. Niema jeszcze ani w tych pasyjnych, ani

zwłaszcza w majowych naukach [1], — o poprzednich, adwentowych mówić trudno, bo się nie przechowały, jak tylko w dość niewyraźnej tradycyi — niema jeszcze wszystkich tych przymiotów, które misyonarzowi później tak serca zjednywały i porywały; nie znać głębokiej owej znajomości duszy ludzkiej, wnikającej w najdrobniejsze szczegóły; znajomości tak dokładnej, tak wyczerpującej, ludzkich potrzeb i stosunków; zdaje się czasem, jakby kaznodzieja stąpał na niedość jeszcze sobie znanym gruncie, i z pewną bojaźnią, lękając się odstąpić od utartych szlaków, oryentował się dopiero, gdzie, którędy ma się zwrócić; jak zastosować własny talent i usposobienie do wzorów, które przestudyował, do podanych w książkach krasomówczych reguł. Ale pomimo tych braków, występujących w całej pełni, gdy pierwsze te przemowy z późniejszemi porównamy, znać już i tutaj męża apostolskiego, przejętego najgorętszą miłością Boga, do którego prowadzi, dusz, które do Boga prowadzi; czuć i widać, że lada chwila oswobodzi się z tych krępujących go jeszcze więzów i pójdzie zwycięsko naprzód, słuchając tylko głosu łaski Bożej i wrodzonego talentu.

Stanowczym takim krokiem, pierwszem z przechowanych przynajmniej kazaniem, w którem Antoniewicz występuje w całym blasku oryginalnej swej wymowy, sieje kwiatami poezyi, rozjaśnia i rozgrzewa promieniami serdecznej miłości — to przemowa, wzywająca Sądeczan do niesienia jak najszybszej pomocy zniszczonym powodzią mieszkańcom okolicznych wsi i wiosek. Była to powódź, jakiej najstarsi ludzie nie pamiętali; deszcz lał bez przerwy przez trzy dni i trzy noce, wezbrane górskie potoki przemieniły się w rozszalałe rzeki, a rzeki i rzeczki: Dunajec, Poprad, Kamienica, Łubinka, w okiem nieprzejrzane morza. Całe mienie setek i tysięcy górali poszło z wodą; trzeba ich było ratować, głodnym podać kawałek chleba, postarać się dla nędzarzy o niezbędny, choć chwilowy przytułek. Widok strasznej klęski poruszył do samej głębi serce Antoniewicza, zerwał

[1] Zebrane one są w drugim i trzecim tomie „Kazań“ ks. Antoniewicza. Wydanie drugie. Kraków 1893.

tamy hamujące dotąd naturalną jego wymowę, która popłynęła teraz niepowstrzymanym strumieniem, podobnym do tych z gór pędzących, w oczach wszystko po drodze porywających potoków: co potoki te zniszczyły, to strumienie wymowy miłosiernego kapłana odbudować miały.

Wspomniawszy w kilku słowach o przyczynach gniewu Bożego, maluje kaznodzieja wspaniałemi farbami groźny obraz zesłanej przez Boga kary[1]:

„Skinął Bóg z tronu chwały swojej, poczęły się gromadzić czarne chmury — i stanęły jak groźne wojsko nad szczytami Tatrów, czekając rozkazów wodza swego. I skinął Bóg, i w oka mgnieniu otworzyły się śluzy niebieskie i rzęsistym lunął deszcz strumieniem i ciche potoczki, co mrucząc, sączyły się pomiędzy skałami ukryte, posłyszały głos gniewu Pana swego, i posłuszne temu, który je stworzył, burzyć się poczynają. Bystrym, jako posłańce gniewu Boskiego pędem, lecą przez twarde opoki ku równinom. Już, już się zbliżają do mieszkań ludzkich, strasznym hukiem i rykiem zapowiadają przyjście swoje, jakoby mówiły, szydząc, do ludzi: My wykonawce sprawiedliwości Boskiej, nie wasza mdła ręka wstrzymać nas wydoła. Ludzie, rzućcie się na kolana, wołając o miłosierdzie; jeszcze, jeszcze może da się przebłagać gniew Boski. Otwarte kościoły, ale w kościołach pusto, stoją konfesyonały, ale nikt się nie zbliża, Przenajświętszy był wystawiony Sakrament, ale nie było, ktoby przed nim się upokorzył, biją dzwony, ale głuche uszy na nie. Obejdziem się bez Pana Boga, zdawali się ludzie mówić. Mamy mosty, tamy i jary, te nas obronią. I niebo coraz bardziej się pokrywa i deszcze coraz gęstszym leją się strumieniem i wrą ścieśnione w korytach potoki — i skinął i wolność im daje, występują z granic swoich, i jakoby dłonie sobie podając, łączą się rzeki, rozhukane tocząc bałwany. I nikną chaty, pola, wsie, bydło, ludzie, walą się drzewa, rozsypują mury, i wtenczas zawołał lud o miłosierdzie do Boga.

„Bóg się zlitował i skinął, i wody wróciły do koryt swoich i rozstąpiły się chmury, i po trzech dniach słońce zabłysło na

[1] „Kazania“ t. IV, str. 136 np.

niebie i oświeciło całą nędzę nieszczęśliwego ludu. Trzy dni jako sen straszny przeminęły. Ach to nie sen, to prawda! Szuka kmiotek pola swego i znajduje wody, i ledwie że gdzie wpośród kamieni i namułu kłosek pszenicy się wydobędzie, aby mu wskazać, gdzie zagrzebane jego spoczywają nadzieje. Szuka kmiotek drogiej chaty, którą po dziadach i pradziadach odziedziczył — i parę desek, co woda nie uniosła, jakoby na trumnę szczęścia jego zostawionych, wskazują mu to miejsce. I bogaty, zamożny gospodarz, stojąc nad temi zwaliskami, smutno patrzy wokoło siebie. Z całego mienia nic nie wyratował, tylko tę gromadkę dziatek, co go otacza, i ten kostur, z którym puści się na żebry!

„Cóż mu zostaje? Opatrzność Boska i serca wasze, bracia! których Bóg od zniszczenia uchronił, może jedynie dlatego, abyście nieśli pomoc nieszczęśliwym...

„O matko szczęśliwa i błogosławiona od Boga w dziatkach twoich, patrzysz na nie z rozkoszą serca twego; piękne, zdrowe, i serce ich i rozum ich pociechą cię napełnia. Ale, ale ta matka biedna z gromadką dziatek swoich, której ta powódź wszystko zabrała; cóż — czy sądzisz, że ona nie ma serca, dlatego że pod łachmanami bije? Ty tylko pociechy macierzyństwa doznajesz, a ona wszystkie boleści dźwigać musi. Trzyma pod piersią to dziecię, któremu może niedawno życie dała, ale kropli pokarmu dać nie może; łez ma poddostatkiem, i krwiby z żył upuściła, ale łzami i krwią zgłodniałego nie nakarmi dziecięcia. Obtoczyły ją dziatki dorosłe — gdzież ten rumieniec, ta świeżość, co się na twarzach dzieci twoich, o matko, maluje? Ach! te lica zwiędłe, opuchłe, blada twarz ich, już głód, nędza, wypiętnowały na nich znaki swoje; dzień jeszcze, a już lepiej znają co to życie, jak najmędrsi filozofowie; na ich twarzach lepiej wyczytasz, co to nędza, jak w najczulszych książkach! Oczy ich zapadłe patrzą z rozpaczą na ten popiół w piecu, od dni już może kilku wygorzały, zagasły, ostygły, błądzą po tych próżnych stołach i skrzyniach, nie śmieją otworzyć ust swoich, nie śmieją spojrzyć matce w oczy. Ale matka zrozumie ten wzrok rozpaczy, to milczenie boleści — i cóż się dzieje w jej sercu! Matki, was pytam! Wyprowadź, wyprowadź nieszczęśliwa te

biedne robaczki, widok ich rozczuli każde serce, otworzy każdą rękę. Stań przed tego domu bramą, tam jedzą, piją, suto zastawiony stół, tam znajdzie się i dla dzieci twoich kawałek chleba, z tych okruszyn co od stołu spadają! Ach! czy się znajdzie?! Nazwa cię żebraczką, dziecię twoje włóczęgą, i zelżą i znieważą i odpędzą. O matko! cóż się w twojem sercu dziać będzie? Ach! idź raczej na cmentarz, połóż się na grobie z dziećmi twojemi i umieraj, a ludzie niech tymczasem się bawią, stroją, balują niech trwonią na błyskotki, świecące blaszki drogi pieniądz swój; przyjdzie czas porachunku, odbierzesz nagrodę za cierpienie twoje, odbiorą i oni karę za twardość swoją. Ale nie, nie lękaj się, znajdziesz w Sączu serca czułe i dobre, nie odejdziesz bez pociechy i posilenia, weźmiesz chleba kawałek, a błogosławieństwo twoje, błogosławieństwo Boskie zostawisz!“

Mowa ta wspaniała, uwieńczona najpiękniejszemi wynikami, wypowiedzianą była pod koniec czerwca, i miała być jedną z ostatnich w tym roku. W połowie listopada rozpoczął Antoniewicz przygotowywać się do ostatniego, przepisanego zakonnemi konstytucyami egzaminu ze wszystkich razem filozoficznych i teologicznych traktatów, a po czterech miesiącach bezustannej, mozolnej pracy, świetnie egzamin złożył 16 marca 1846 r. Minęła jedna praca, a już czekała druga, o wiele cięższa, połączona z większą odpowiedzialnością przed Bogiem i ludźmi. W czerwcu poprzedniego roku zalały Sądeczyznę górskie wody, w lutym 1846 r. popłynęła szerszą, straszniejszą rzeką krew bratnia. Trzeba było stawiać tamy nowej tej powodzi, leczyć i goić zadane rany, przywołać obłąkanych do upamiętania; zatknąć nad świeżemi zgliszczami, cmentarzami krzyż — godło przebaczenia; zbliżyć do siebie u stóp Ukrzyżowanego i w bratnim uścisku połączyć ofiary i katów. Wielkie to zadanie, zdawało się niepodobne do wykonania w tej chwili niewygasłego jeszcze szału z jednej strony, bezmiernego bólu z drugiej, zlecili zakonni przełożeni na pierwszem miejscu Ojcu Antoniewiczowi. Skutki pokazały, że wydając ten rozkaz, Bożem natchnieniem się kierowali.

V.

Misye po rzezi.

Od lat już wielu szły w całej zachodniej Europie nowe jakieś prądy, chwilowo słabiejące, czasami zdawało się zupełnie przerywane, ale na to tylko, aby niezadługo odezwać się z nową siłą. Ruch, który na lat parę wybuchnąć miał wielką, pół Europy obejmującą polityczną rewolucyą, wzbierał długo naprzód socyalną falą; młode umysły, czując instynktownie, że świat na odmienne jakieś tory wejść musi, zapatrzone w nową wschodzącą zorzę wolności i równości, nie pytały, czy prawdziwe to, czy ułudne światło; nie pytały, jaką drogą do niego dojść; na przeszkody oczy zamykały i biegły ślepo, z wyciągniętemi rękami, byle naprzód, byle ku czemuś innemu. Hasła wychodziły z Francyi, gdzie tradycye wielkiej rewolucyi, na pewien czas napoleońską rewolucyą gwałtownie przyduszone, tlały pod popiołem i raz po raz jasnym płomieniem znać o sobie dawały; z Francyi rozchodziły się głośnem echem po świecie całym, do nas głośniejszem niż gdzieindziej, szybciej niż gdzieindziej przedostającem się do wiejskich dworów, do miejskich dworków i kamieniczek — dzięki urokowi, jaki wszystko co nosiło na sobie francuskie piętno, z dawien dawna na nas wywierało, dzięki emigracyi osiadłej w Paryżu a utrzymującej z krajem ustawiczny kontakt.

Fala ta, z natury geograficznego położenia i politycznych stosunków, naprzód uderzała o Galicyę; z końcem r. 1845 i z początkiem roku następnego zalewał ją cały potop mniej lub więcej tajnych organizacyj, komitetów; przeróżnej formy i treści wezwania, programy, odezwy nadchodziły stosami z Paryża podwójnym prądem, narodowo-patryotycznym i socyalno-rewolucyjnym, łącząc się z sobą niejednokrotnie i po drodze mieszając tak, że chyba bardzo wprawne oko rozróżnić je, rozumna i energiczna wola rozdzielić je od siebie mogła. Czego nie potrafiły drukowane słowa, to dopełniały żywe, głoszone przez mło-

dych emisaryuszów, przebiegających kraj wszerz i wzdłuż, opowiadających świętą krucyatę, narodową i socyalną: oswobodzenie kraju, zniesienie poddaństwa włościan, radykalny przewrót istniejących i społecznych i majątkowych stosunków; ziarno siane od „wersalskich dzieci“ padało gęsto i „w śmieci“, i pod osłoną, zdradziecką łupiną okrytych frazesów, nie w same tylko śmieci. Głośno — jakby ze Lwowa wyjechał już stanowczo austryacki arcyksiążę, jakby rząd nie miał, nie mógł mieć nic do powiedzenia — przygotowywano się do przyszłych wypraw i reform; zbierano się niemal że publicznie na narady, formowano oddziały, szerzono żarliwą propagandę między ludem, wzywając do wspólnej walki za Polskę, a za to obiecując uwolnienie raz na zawsze od pańszczyzny, prawne zrównanie wszystkich stanów. Lud słuchał obietnic spokojnie, rzadko kiedy w całej pełni im dowierzając, nie zawsze podobno w całej pełni je rozumiejąc; powtarzał oględnie jakby z góry przekazywaną sobie formułkę: „Niech Bóg błogosławi tym, którzy chcą dobrze“; ale pomimo tego gotów był, wogóle mówiąc, stanąć w szeregach, do których go pan powoływał. Gotów był nie dlatego, jak ślepi entuzyaści usiłowali naonczas wmówić w siebie i w innych, jakoby prawdziwa znajomość i miłość ojczyzny zaczęła się w sercu jego budzić, lecz po prostu dlatego, że przywykł słuchać rozkazów swego dziedzica i czuł z doświadczenia, że wychodzi najgorzej, nie idąc za niemi ślepo, bez wahania.

Rząd austryacki wiedział o wszystkich tych agitacyach, znał na palcach utworzone od Krakowa do Tarnopola komitety; starostowie słali do Lwowa raport za raportem ze szczegółowemi wyjaśnieniami, gdzie, u kogo narady się odbywały, gdzie broń złożona, gdzie w danej chwili oddziały zejść się mają i jaką akcyę rozpocząć. Raporta, coraz liczniejsze i groźniejsze, nadchodziły; ze Lwowa szły znowu raporta do Wiednia, a jak tu, tak tam pytano, w jaki sposób ruch zażegnać, jak nie dopuścić ludowych mas do połączenia się ze szlachtą przeciw rządowi. W Galicyi było wojska niewiele, i rachować na samą jego siłę nie zdawało się dość przezornem. A czemużby nie ująć za tę samą broń, którą wydobyła już z pochwy i wyostrzyła de-

mokratyczna agitacya polska, i skierować ją nie przeciw rządowi, ale przeciw buntującej się szlachcie; czy zamiast zbyt szczupłe hufce wojenne do boju wyprowadzać, nie dałoby się zwrócić chłopów przeciw panom, tem łatwiej, że nie od dziś uważali oni cesarskich urzędników za pewnego rodzaju opiekunów przeciw uciskowi ze strony swych dziedziców, w cesarzu upatrywali niewidzialne jakieś, sprzyjające sobie, a wszechpotężne bóstwo? Kto tę myśl pierwszy podsunął, rozwinął, kto w jej przeprowadzeniu ręce umaczał — niech to historya rozstrzyga i sądzi. To pewna, że nagle po wsiach i wioskach pojawiły się znowu podejrzane, tym razem nie z Paryża przybyłe figury, i znowu po karczmach, po drogach rozpoczęły się narady i szepty, lud hardzieć począł, to z cicha, to głośno się odgrażać, przypominać wszystkie krzywdy, jakich kiedykolwiek od dworów zaznał, od znienawidzonych rządców, ekonomów; formować się w oddziały, stawiać warty po drogach i zatrzymywać podejrzanych, w surdut, w kapotę przybranych podróżnych. Wreszcie 19-go lutego, w ten sam dzień, w którym wybuchnąć miało narodowe powstanie, rozpoczęła się, krwawemi głoskami w historyi naszej zapisana — rzeź galicyjska.

Złożyły się na nią liczne winy i zbrodnie: nie dająca się dość w słowach scharakteryzować polityka najgorszego, bo słabego rządu; paryskie wichrzenia; zupełna, dziecinna nieznajomość ludzi i stosunków u tych, którzy w kraju brali udział w tych wichrzeniach; przedewszystkiem długoletnia niedbałość o los ludu, o jego umysłowe i moralne wykształcenie, macosze, bywało że i nieludzkie obchodzenie się pana z poddanym; uważanie go czasem za proste narzędzie do roboty, czy zabawy. Długie i ciężkie były winy, bardzo ciężką kara. Bolesne i straszne wspomnienie tych mordów i sromów, tych cepów, kłonic, hajdamackich noży, tych chłopów, żydów, katów zdzierających łupy z trupów nieszczęsnych swych braci![1] Grabiące i mordujące

[1] Dokładnej i przedmiotowo napisanej historyi rzezi dotąd nie mamy. Spisywane przez naocznych świadków szczegóły, z których powziąć można jakiekolwiek wyobrażenie o początkach i przebiegu tej tragedyi, znajdują się w „Pamiętniku“ Franciszka hr. Wiesiołowskiego z r. 1845 do

hordy, złożone z ludzi jakby nagłym jakimś szałem porwanych, ciągnęły od wsi do wsi, o mury miasteczek się ocierały, dopuszczając się okrucieństw, od których włosy na głowie stają. W Tarnowskiem grasował ze swą bandą Szela, w Sądeckiem Janocha, w Bocheńskiem Koryga, w Przemyskiem i Samborskiem Bochola; na tych najgłośniejszych zapatrywali się inni, i starali się jak najbliżej wchodzić w ich ślady. Niezadługo wódką i krwią pijani hersztowie, bezkarnością rozzuchwaleni, zapragnęli traktować ze starostwami, urzędami, jak równi z równymi; domagać się nietylko zniesienia pańszczyzny, ale nadto — w nagrodę, jak sami się chełpili, za bohaterskie usługi, oddane cesarstwu — podziału dóbr zabitych przez siebie lub dostawionych do więzienia panów, zniesienia monopolu tytoniu i soli, uwolnienia od służby wojskowej. Dopiero teraz, dopiero gdy wieści o galicyjskiej rzezi napełniły całą Europę przerażeniem, do Lwowa, do Wiednia nadeszły autentyczne sprawozdania o bezprzykładnem zdziczeniu i rozpasaniu ludu — zapytano się w rządowych sferach, czy zadana jako lekarstwo trucizna nie była stokroć gorsza od choroby, i jakich przeciw niej na seryo użyć środków; jak uśmierzyć wznieconą nieopatrznie burzę? Wojsko zaprowadziło już pewien materyalny porządek, rozpędziło bandy; ale trzeba było być ślepym, aby nie zrozumieć, że fizyczna siła sama wystarczyć nie może; że jedynie chwilowo przez namiętność przygłuszona, ale nie obumarła wiara ma dostateczną moc zwrócić w naturalne brzegi rozhukane żywioły.

Rozumiał to dobry chrześcijanin, nie tak może bystry i energiczny, jakby tego stosunki się domagały, ale szlachetny i Polakom chętny gubernator Galicyi, arcyksiążę Ferdynand d'Este. Zawinił on zapewne w tem, że zbyt późno dowiedział się o rzezi, a nigdy podobno, równie zresztą jak i sam cesarz,

---

1846; w „Powieści o Horożanie“ przez F. M. Władysława Czaplińskiego; w broszurze wydanej w Krakowie 1848 r. przez A. Tessarczyka p. t.: „Rzeź galicyjska 1846 r., czyli szczegółowy opis dokonanych morderstw, rozbojów i łupiestw, wraz z ważniejszemi wypadkami, jakie tym okropnym scenom towarzyszyły w związku z intrygami biurokracyi“; w francuskiej broszurze Chodźki: *Les massacres de Galicie* i t. d.

nie potrafił, ani potem, ani tem mniej przedtem, zbadać i dopatrzyć wszystkich sprężyn, które w grę tu wchodziły; w każdym razie teraz przynajmniej, po uśmierzeniu rozruchów, pragnął wszelkiemi siłami naprawić złe, ile tylko naprawić było można. W tym celu wezwał prowincyała jezuickiego, O. Pierlinga, i zażądał, aby wysłał jak najspieszniej misyonarzów swego zakonu do wsi i miasteczek, w których zbrodnia najbardziej się była rozpanoszyła. Trudno było o rozkaz odpowiedniejszy samymże najistotniejszym celom zakonu, mającego, wedle swego powołania, walczyć o coraz większą chwałę Bożą; trudno było o pracę bardziej niezbędną, gwałtowną; to też prowincyał zgodził się bez wahania na uczynioną sobie propozycyę i przeznaczył na żądane misye sześciu najzdolniejszych w tym kierunku kapłanów. Późniejszy, długoletni misyonarz brazylijski, O. Lipiński, tudzież OO. Tock, Perkowski i Szczepan Załęski, wyruszyli w głębokie góry, do Hohołowa, Szaflar, Zakopanego, Białki, gdzie rewolucyjno-zbójeckie prądy i agitacye przenikać zaczęły; gorącemi słowami zażegnali możliwe niebezpieczeństwo i tysiące skruszonych i do łez wzruszonych góralów pojednali z Bogiem i z własnem sumieniem. O. Skrocki i nasz Antoniewicz iść mieli, głosząc pokutę i przebaczenie, nieobeschniętym jeszcze ze krwi szlakiem, którym przed kilku ledwie tygodniami przechodziły zbójeckie szajki, z nożem w jednej, z głownią w drugiej ręce.

Ciężkie to było zadanie; trudne i niebezpieczne. Pod lekką warstwą popiołu tlił się, chwilowo przyduszony, ale wcale nieugaszony ogień namiętności, i lada nieostrożność, może lada jedno słowo, buchnąć mógł znowu jasnym płomieniem; — jak w czasie poprzednich tygodni chłopi mordowali, a potem, w chwilowem upamiętaniu, modlili się nieraz na grobach swych ofiar; tak któż mógł zaręczyć, że teraz nie będą się modlić, słuchać słów misyonarza, a później, jednem słowem podnieceni, jednym stającym przed oczy obrazem z ledwie co odzyskanej równowagi duszy wyrwani, nie zechcą odświeżyć nęcących wspomnień „rabacyi“? Kapłan, misyonarz, zakonnik, nie mógł oczywiście nie już cofnąć się, lecz i uląc się tego rodzaju niebezpieczeństw: sama istota wzniosłego jego powołania, przykład Męczenników

i Apostołów, trzechwiekowa zakonna tradycya, dość jasno i dość głośno mu mówiły, co myśleć, czuć i czynić powinien. W tym też duchu apostolskim, w duchu heroicznych swych zakonnych przodków przyjął Antoniewicz dane sobie zlecenie jako rozkaz z nieba; przyjął z radością, że wolno mu rzucić się w sam wir walki o dusze ludzkie, wolno w tej Bożej walce narazić zdrowie i, w najściślejszem słowa znaczeniu, życie.

Bezpośrednio po każdej misyi przesyłał Antoniewicz krótkie z niej sprawozdanie rektorowi sądeckiego klasztoru. Sprawozdania te, niestety! zaginęły; natomiast w kilka już miesięcy po ukończeniu znojnej swej pracy, zabrał się Ojciec Karol do obszerniejszego spisania misyjnych swych wspomnień, i dzięki tym „Wspomnieniom“ dać możemy autentyczny, choć pewnie nie wyczerpujący, tem cenniejszy, że słowami samegoż misyonarza usnuty obraz apostolskich jego, w skutki błogosławionych trudów [1].

Pisarz wprost o sobie mówi niewiele, ale zapominać nie trzeba, że dziwne owe cuda, wielkie łaski miłosierdzia Bożego, o których na każdej stronicy opowiada, Bóg świadczył za jego właśnie pośrednictwem. Już z tego względu „Wspomnienia“ te znajdują naturalne miejsce w życiorysie Antoniewicza; nadto są one jednem z najcenniejszych źródeł o rzezi galicyjskiej, jakie posiadamy:

„Wiele, bardzo wiele uczyniło się za łaską i pomocą Boską na zbawienie dusz ludzkich, i może niemałym zapobiegło się bezprawiom, o czem Bóg tylko wie. Tajemnice spowiedzi, na ostatnim sądzie, okażą nieskończone miłosierdzie Boskie! Ci nawet, którzy mało lub żadnych skutków nie obiecywali sobie z opowiadania słowa Bożego, z podziwieniem wyznać musieli moc wiary nad sercem ludzkiem, że ona jedna jest w stanie

[1] „Wspomnienia misyjne“ z r. 1846, przez ks. Karola Antoniewicza. Poznań. Druk Stefańskiego. 1849. — Wydanie drugie wyszło również w Poznaniu roku 1855. Niektóre szczegóły w drukowanych „Wspomnieniach“ z rozmaitych, nieistniejących już dziś względów, opuszczono; wiele nazwisk ludzi i miejscowości, zaznaczonych tylko pierwszemi literami, uzupełniliśmy wedle rękopisu samegoż autora.

rozhukane tłumy do porządku i poprawy przyprowadzić, że brak wiary jest źródłem i początkiem wszystkich nieszczęść i zbrodni, jak się i w tych czasach okazało... Ten lud, co przed miesiącem zbierał się tak pobożnie do kościołów i tak przykładnie się w nich zachowywał, napadał zbrojną ręką te domy Boże, szydząc i bluźniąc to, co dotychczas czcił i szanował; łamał i deptał te krzyże, przed któremi kolana swoje uginał; znieważał Przenajświętszy Sakrament, na którego wspomnienie, przed parą dniami, wzdychał i bił się w piersi! A powstawszy tak zuchwale przeciwko Bogu, cóż dziwnego, że nie szczędził ludzi? Zbrodnia stała mu się potrzebą, mordował bez żadnej osobistej zemsty, bo miał uciechę broczyć w krwi ludzkiej; pustoszył bez chęci zysku, bo miał rozkosz patrzyć na spustoszenie. Chciał swej wolności, chciał się przekonać, czy w istocie wolnym jest! W jednych zepsucie od dawna zaszczepione i chęć do zbrodni powagą prawa wstrzymywana, widząc tę zaporę usuniętą, wydała w oka mgnieniu krwawe owoce; u drugich sumienie, pierwszą zbrodnią wzruszone, w tym zamęcie nie widząc żadnej porady, chciało zbrodnię zbrodnią przygłuszyć, lejąc w siebie zabijający trunek.

„Nie chcę tu wspominać o zewnętrznych wpływach, które ten lud, przez tyle wieków spokojny, uległy, cierpiący, pobożny, zamieniły w kanibalów krwawych; pchnęły w przepaść, z której nie tak łatwo się wydźwignie, zabiły na duszy i ciele! Oj księże! — mówił mi niejeden stary chłop, a łzy mu po siwych spływały wąsach — tyle lat człowiek przeżył, a nikomu krzywdy żadnej nie uczynił, a teraz, przed śmiercią, takiemi zbrodniami obciążyć trzeba mi było sumienie. Oj, mówili drudzy, ta to my nieraz na przednowku z głodu umierali, a niech nam pokażą, kiedyśmy pańskie stodoły rabowali!...

„Bobowa i Brzany. Trzeciego dnia Wielkanocnych świąt wyjechaliśmy raniutko po odprawionej Mszy św. z Sącza. Wyznam, że mi bardzo ciężko i smutno było na sercu. Czułem wielkość i ważność mego posłannictwa, i tak słabe i niedołężne siły moje. Niemałe to zadanie, lud rozhukany i rozpasany na

wszelkie zbrodnie, nawrócić do Boga, poruszyć do żalu i skruchy, przywieść do poznania niegodziwości, które on za chlubę i zasługę poczytywał; nakłonić do zwrócenia podług sił i możności szkód uczynionych, różne powzięte nadzieje urojonej wolności i niepodległości zniszczyć, i onych czczości i bezzasadności, odpowiednio do pojęcia ludu dowieść — a to wszystko w tym czasie, gdy jeszcze namiętności w sercach wrzały, gdy jeszcze krew przelana się kurzyła, gdy wszelka powaga kapłańska, wszelka powaga Boska i ludzka zniszczona — przestała wywierać wpływ swój na umysły. Wiedziałem, z jaką roztropnością i rozwagą postępować trzeba wpośród tego, we wszystkich stosunkach rozchwianego i wstrząśnionego towarzystwa, gdzie się wszystko tak groźnie i nieprzyjaźnie ścierało, w którem zemsta, nienawiść, nieufność i rozpacz panowała. Potrzeba było stanąć na tej ziemi krwią zbroczonej, patrzyć na łzy, żyć między rozpaczą i zbrodnią, i z kazalnic znieważonych kościołów gromić zbrodnię, pocieszać smutek, uspakajać rozpacz, okazywać w całej wielkości i potędze sądy sprawiedliwości i miłosierdzia Boskiego! Odpowiedzialność tych spowiedzi (ludu zmazanego zbrodnią, morderstwem, rabunkiem i świętokradztwem) przed Bogiem, trwogą mnie napełniała. Czy potrafię temu wszystkiemu zadosyć uczynić? Czy ratując dusze innych, własnej nie stracę? Na te pytania jedna pocieszająca odpowiedź, że taka była wola starszych, a tem samem wola Boska! Bóg mnie posyła do ludu swego — ja nic, On wszystko zdziałać potrafi. A gdy czynić wszystko będę z miłości Jego i ludu naszego, On błędy moje i nieudolność poprawi, zastąpi! A więc w imię Trójcy Przenajświętszej, oddawszy się pod opiekę Boga-Rodzicy i św. Kazimierza, opiekuna tej ziemi, którego błogosławioną pamięć rozwalone gruzy zamku sądeckiego w sercach ludu ciągle utrzymują, puściliśmy się w drogę, i tą tak piękną, nad wszelkie opisanie, sądecką okolicą przybyliśmy do Grybowa, małego miasteczka, którego mieszkańcy odparli kilkakrotnie napad rozhukanej tłuszczy.

„Ćwierć mili od Grybowa poczynają się pokazywać ślady spustoszenia. Na pierwszy widok spustoszonego dworu, ogrodów i budynków gospodarskich w Biały, bolesne, nie do wy-

rażenia uczucie przejęło serce. Przez te okna potłuczone, drzwi i bramy wywalone, zgroza i spustoszenie szyderczo wyziera. Pustki w domu, pustki wokoło domu, połamane sprzęty i szczątki zamożności dziedzicznej, zdają się opowiadać walkę i zwycięstwo piekielnych zdrad i zbrodni, których narzędziem ślepem został niestety lud nasz! Na widok tego spustoszenia pyta się serce: Czy to czas poczynił te zniszczenia, jako na tych w gruzach leżących starych zamczyskach? Czy Bóg piorunom rozkazał poniszczyć te mieszkania? Czy nieprzyjaciel w przechodzie mieczem i ogniem wypisywał pamiątkę swego tu pobytu? Nie, to brat powstał na brata, dziecko na ojca, poddany na pana. Kto mu dał broń do ręki? kto go pchnął do zbrodni?... piekło! I z boleścią oczy od ziemi ku niebu się zwróciły, jakby zapewnić i potwierdzić w sobie jeszcze to przekonanie, że ‚Jest Bóg na niebie', On nas nie opuści, byleśmy Go nie opuścili. Takie widoki bolesne odrywają serce od ziemi — ach! jakże kochać tę ziemię, która takiemi skalała się zbrodniami; jakże nie tęsknić za niebem, do którego zbrodnia przystępu nie ma!

„I jechaliśmy dalej smutną, krzemienistą drogą. Mrok zapadł, po górach mgły szare się wieszały, błękitne dotąd niebo chmurami się pokryło i z rzęsistym deszczem wjechaliśmy do Bobowy, miasteczka najnędzniejszego między najnędzniejszemi miasteczkami polskiemi. Żydowstwo liczne i zamożne, mieszkańców do największej nędzy moralnej i materyalnej przyprowadziło. Miasteczko to, przez samych prawie szewców zamieszkałe, przedstawia najsmutniejszy widok zepsucia, pijaństwa i złodziejstwa we wszystkich swoich odcieniach. Jak te brudne pająki, gdziekolwiek wypełzną, wszędzie ślady po sobie zostawują, tak i to żydowstwo napiętnowało zepsuciem cały kraj nasz — i biedny lud z pod ich piekielnego jarzma wyłamać się nie może i dla nieszczęsnego, tylowiekowego przyzwyczajenia i innych powodów, nie chce! Niechaj ci, co po cudzych krajach wędrują, i wychwalając nam dostatki i porządki zagraniczne, jakby z pogardą patrzyli i mówili o własnym kraju, niechby raczej krwawą łzą zapłakali i wszystkich sił użyli, aby złemu tamę położyć! Oj, gdyby do tych tak wychwalanych, zagranicznych miasteczek

posłać na rok jeden żydów naszych, ujrzelibyście wkrótce wielką zmianę!...

„Pierwsze lody trudne do przełamania, i myśmy tego doznali; wolę jednak milczeniem przejść te wszystkie trudności i nieprzyjemności, cośmy je tu przebyć musieli. W tych czasach Bobowa była widownią krwawych zdarzeń. Rozhukane chłopstwo, na krwi i łupiestwie zaprawione, trzy razy, pod dowództwem sławnego zbójcy Korygi, podstępowało pod miasto, ale uzbrojeni mieszczanie przystępu mu nie dawali i wejścia bronili. Tłumy chłopów codziennie się powiększały i posłali nakoniec do sędziego miejscowego parlamentarza, iż jeżeli im dłużej wejścia do miasta wzbraniać będzie, to miasto na czterech rogach podpalą i zniszczą — jeżeli zaś dozwoli, to tylko zamek zniszczą i zrabują i spokojnie odejdą. Przestraszony tą groźbą sędzia, zezwala, mieszczanie zbrojni rozstępują się, z głośnem ‚hura' wpada rozjuszona tłuszcza pieszo i konno, z kosami, pałkami, siekierami, drągami i cepami, wali się wprost na stary, wspaniały zamek, z którego dzierżawca Bobowy z żoną i dziećmi zawczasu umknął. Brzękły pod cepami szyby okien zamkowych, dębowe drzwi nie mogą wytrzymać silnych razów obucha potężnego; w jednej chwili zamek rozjuszonem chłopstwem zapełniony; — rozwalają piece, rąbią posadzki, gruchocą sprzęty, rabują, niszczą, łamią, jakby w każdym kamieniu, w każdej cegiełce widzieli wroga, co ich zemstę obudza; inni wpadają do gumna, stodoły, obory, zajeżdżają wozy, ładują snopy. Baby w płachty ziarno zgarniają, parobcy woły i konie wyprowadzają ze stajen, i w kilku godzinach dwór zamożny w pustkę okropną przemieniony został. Ale na tem niedość; gdy część tej tłuszczy, zaspokojona rabunkiem, wraca do domów, inni jeszcze, krwi pragnąc, szukają ofiar, i niestety! znajdują. Napadają budynki dworskie i urzędników miejskich, niszczą takowe z równą zapalczywością, a ci, co nie mieli sposobności schronienia się, krwią swoją rozwalone skropili gruzy. Padło już kilka ofiar pod cepami zbójeckiemi, napadają mordercy dom proboszcza, który się skrył zawczasu, dostają się do izby sypialnej, tu znajdują p. Sadowskiego, który z pobliskiej wioski, sądząc się najbezpieczniejszym w miasteczku na

probostwie, tu się ukrywał. Poznany, znieważony najsromotniej, okropną, męczeńską, w tejże samej izbie, ginie śmiercią. Wywleczony trup na podwórze, staje się przedmiotem pastwienia się zwierzęcego, strzelają do trupa, oczy mu wypalają... Rzućmy zasłonę na ten okropny obraz.

„Straszną tę śmierć pana Sadowskiego słyszałem opowiadaną wpośród łez potoków od córki jego, która o jednym czasie i wdową i sierotą została i z małą dzieciną, straciwszy całe mienie, w ubogiej chacie tulić się musiała. W Bobowie oprócz kościoła farnego jest jeszcze kościół św. Zofii z cudownym tejże obrazem. Chciałem obrać ten kościół na dawanie nauk naszych, oddając się pod opiekę tej świętej, której niejeden tak cudownie doznał. Między innemi, przed kilkoma laty, cieśla, koło dachu pracujący, spadł bez najmniejszego szwanku z rusztowania, wezwawszy, lecąc, imienia św. Zofii. Dla rozmaitych przyczyn nie mogłem tego zamiaru wypełnić. Pomieszkanie, tj. izdebkę, dano nam w domku wikaryusza i tymczasowego administratora, gdyż proboszcz tutejszy w więzieniu się znajdował. Ciekawa zbierała się nas tu do obiadu i wieczerzy kompania: dzierżawca Bobowy, oficer od huzarów, komisarz rządowy, zawiadowca dóbr pobliskich, sędzia, administrator i nas dwóch biednych Jezuitów, tak niespodzianie tu przybyłych. Lecz dzięki Bogu, przez cały ten czas, najmniejszej ze strony tych panów nie doznaliśmy przykrości. Przeciwnie, uznali wszyscy pożytki prac i starań naszych, i gdzie mogli, pomocnymi nam byli. Do parafii Bobowy należą dwie wsie; postanowiliśmy najprzód w tych wioskach rozpocząć nauki nasze.

„W niedzielę wypadł dzień imienin cesarza. Nie mogłem odmówić kazania z okazyi tej uroczystości — chociaż czułem, jak przykre położenie moje w tym razie, aby nikogo nie zrazić i pozyskać ufność słuchających wszelkiego stanu, przy takiem rozjątrzeniu umysłów na przeciw sobie. Niemałem było to zadaniem. Jednak Pan Bóg dopomógł.

„Po południu na nieszporach miałem powtórnie naukę, przed bardzo licznie zgromadzonym słuchaczem, gdziem wyłożył powód przybycia, cel nauk naszych, i wystawił w prawdziwem

świetle te zgrozy, których widownią te miejsca były. Gdym opisywał wewnętrzny stan mordercy, słowy prostemi, ale dobitnie, jeden ze słuchających, który wytężonego oka ze mnie przez cały ciąg mowy zuchwale nie spuszczał, raptownie pobladł i blizki omdlenia, z kościoła wyniesiony został (co się nie raz jeden w czasie misyi i na różnych wydarzyło miejscach); obecni poznawali w nim jednego z morderców p. Wojnarowicza. Po nauce zapowiedziałem rozpoczęcie moich nauk w Brzanach na dzień następujący, i wszyscy, jak się zdawało, wzruszeni, rozeszli się do domów swoich.

„W poniedziałek rano, odprawiwszy Mszę św., wsiadłem na furę i pojechałem do Brzan. Miejscem przeznaczonem do dawania nauk była wielka, opuszczona karczma pod lasem, w której leśny mieszkał, o dobre pół mili od Bobowy odległa. Droga prowadziła poprzed trzy dwory spustoszone, z których jeden okropnej sceny był świadkiem. Młody pan, wróciwszy z zagranicy, żył spokojnie wpośród swoich poddanych, od których powszechnie był kochany i zasługiwał na tę miłość. W tem przekonaniu, gdy okropne wieści morderstw tarnowskich i tu się szerzyć poczęły, spokojnie w domu pozostał; gdy niespodzianie tłuszcza mordercza go napada, zbitego, skrwawionego i bez znaku życia na śniegu, przy brzegu zamarzniętego potoku zostawia. Noc mroźna przywraca mu przytomność, śniegiem płynącą zatamowawszy krew, wlecze się do poblizkiej, jak pomnę, grabarza chaty. Zbójcy, dowiedziawszy się, że żyje, napadają go powtórnie; naprożno błaga o księdza, nikt się nie znalazł, coby mu tę przysługę uczynił, tylko młoda Żydówka z poblizkiej karczmy pobiegła po proboszcza do Bobowy, lecz nie mógł przyjść. Pan Wojnarowicz, nie wydający już znaku życia, jak pierwszym razem, chłodem nocy ożywiony, chce ratować życie swe, w opuszczonej kryjąc się chacie. Ale i tym razem zdradzony. Wpadają zbójcy, nie chcą wierzyć własnym oczom, widząc go żywego, i przypisując to cudowne zachowanie życia ukrytym świętościom, zdzierają suknie i znajdują na piersiach cudowny medal Niepokalanego Poczęcia Matki Boskiej! Zdzierają z niego ten medal i wtedy dopiero ostatni cios mu zadają.

Za każdym razem, przejeżdżając około tego miejsca, zdawało mi się widzieć bladą, zakrwawioną postać p. Wojnarowicza. Wiele, bardzo wiele podobnych wypadków mógłbym tu przytoczyć, gdyby cel tych kartek tego dozwalał. Znajdą się bez wątpienia tacy, co to uczynią, aby tą kartą dopełnić historyi tego nieszczęśliwego narodu, którego dzieje łzami i krwią zapisane, który ksiądz Hieronim Kajsiewicz nazywa tak trafnie Jobem między narodami. Oby tylko, jak nieszczęścia, tak i błogosławieństwa Joba na nim się spełniły!

„I stanąłem na miejscu przeznaczonem. Ludu zebranego już wiele na mnie czekało. Zaledwie który na powitanie: ‚niech będzie pochwalony Jezus Chrystus‘, półgębkiem odpowiedział, zaledwie który uchylił czapki; ponuro i podejrzliwie, jakby wszystkie chcieli przeniknąć myśli, patrzyli na mnie. Bynajmniej tem przywitaniem nie zmieszany, zacząłem, jakby z dawnymi znajomymi, nie tykając zaszłych zdarzeń, rozmawiać o gospodarskich i domowych stosunkach, i w krótkim czasie zupełnie ta nieufność ustąpiła. Wszedłem do izby obszernej i pustej, a przybiwszy do ściany mój duży drewniany krucyfiks[1] — nieodstępny towarzysz moich wycieczek — tak mi się dobrze i błogo zrobiło, rozchwiana wróciła nadzieja, a upadłszy z ludem na kolana, zmówiliśmy pacierze poranne, i wziąwszy komżę i stułę, począłem pierwszą naukę o miłosierdziu Boskiem dla grzeszników pokutujących. Po godzinie zakończyłem modlitwą i pożegnałem lud, który widocznie wzruszony, żegnał mnie i przyobiecał nie opuszczać żadnej nauki, czego też dotrzymał.

„Po rozejściu się ludu, zacząłem dzieci katechizować, co trwało codziennie dwie godziny przed i po południu, poczem posiliwszy się surowemi jajkami, chlebem, serem i t. p., około godziny 3-ciej, gdy się dzieci zebrały, na które jeden chłopak, biegając po górach i pagórkach, dzwonkiem znak dawał, rozpoczynałem katechizm aż do godziny 5-tej. O 5-tej, lud uwolniony od pańszczyzny, zbierał się na naukę, którą zakończywszy

[1] Krucyfiks ten znajduje się obecnie w posiadaniu O. Maryana Morawskiego T. J.

i pomówiwszy trochę z ludem, brałem brewiarz do ręki i napół idąc, napół jadąc, wracałem do Bobowy blizko w godzinę. Tym sposobem przez ośm dni czyniłem wycieczki do Brzan. Codziennie ufność ludu i liczba słuchających, których izba ogarnąć nie mogła, wzrastała, wiara wracała do serc, żal i skrucha obudziły się, co się później okazało, gdy do spowiedzi cisnąć się zaczęli. Nieraz, gdy im okazywałem zbrodnie, których się dopuszczali, i żywem opisaniem jakby kładłem przed oczy, westchnienia żałosne dały się słyszeć. Po każdej nauce dziękowali. Podczas jednej nauki, pamiętam, starzec siwy jak gołąb, wystąpił z pośrodka ludu i stanąwszy przede mną, odezwał się, przerywając mowę moją, że nie może wytrzymać aż dokończę i musi mi podziękować za wszystko dobre, com dla nich i dzieci ich uczynił. Po każdej wieczornej nauce, parę konwi wody poświęcić musiałem, tudzież jednemu pole, drugiemu pasiekę, trzeciemu domek. Rozdawałem szkaplerze i koronki, baby znosiły podarunki: ser, masło, jaja, mleko, com z biednemi dziatkami, które się z dalekich chat zbierały, wspólnie pożywał. Nieraz, jadąc do Brzan, matki, nie mogące same przyjść, kładły mi na wóz małe dziatki, aby katechizmu się uczyły, które, powracając, matkom oddawałem. Jednem słowem, taka ufność i przywiązanie w sercach tego ludu w tak krótkim okazała się czasie, że poznałem, ileby z tym ludem uczynić się dało, gdyby tylko jemu wyłącznie się poświęcić można. *Messis multa, sed operarii pauci.*

„Przy ostatniej nauce, ja wraz z ludem zapłakałem i ciężkie było rozstanie nasze. Podziękowałem Panu Bogu za te ośm dni, w których tak widocznie błogosławił pracy mojej, że poznał lud ten zbrodnię, że za nią żałował. A to poznanie zdaje się być pewną rękojmią, że się te krwawe sceny nawet przy zdarzonej nie ponowią okazyi. Bezprawia, od pojedyńczych osób popełnione, trafić się mogą, to nic dziwnego, bo źli ludzie zawsze byli, są i będą, ale zresztą czyniliśmy z naszej strony, cośmy mogli, a że nasionko nie na twardą padło skałę, zdaje mi się, że zapewnić mogę. Jeśli jednakże zewnętrzne wpływy nie przestaną

działać w ciemnościach, aby tę słabą roślinkę wyrwać i prace nasze zniweczone zostaną i lud nieszczęśliwy zginie... Ale sądy Boskie kiedyś okropne się okażą. Ach, gdyby całą pracą naszą tylko jednej zbrodni się zapobiegło, nie byłaby ona próżną i bezowocną...

„Ukończywszy nauki nasze wiejskie, rozpocząłem je w samej Bobowie“...

(C. d. n.).

Ks. Jan Badeni.

Z DZIEJÓW BIAŁORUSI I LITWY.

Białoruś i Litwa *(Biełorussia i Litwa)*. Losy historyczne północno-zachodniego kraju. Wskutek najwyższego zezwolenia wydał P. N. Batiuszkow. (Z jedną chromolitografią, 99-ma rycinami i mapą. Petersburg 1890 roku. Str. XXIV + 376. Uwagi i objaśnienia rycin. Indeks osób).

„Białoruś i Litwa“ p. Batiuszkowa zamykają szereg wydawnictw historycznych *(Chołmskaja Ruś, Wołyń, Biełorussia i Litwa)*, odnoszących się do dziejów litewsko-ruskich, a pochodzących z jednej redakcyi, utworzonej przy ministeryum spraw wewnętrznych w Petersburgu. Z ziem ruskich Rzeczypospolitej pominięto w nich tylko Podole i Ukrainę. Brak ten co do Podola uzupełniło inne pióro rosyjskie w roku bieżącym, w stuletnią rocznicę „rewindykacyi“ Podola, którą w sferach rządowych i klerykalno-prawosławnych obchodzono z niezwykłą uroczystością. Rzeczona komisya, pod kierownictwem p. Batiuszkowa, dokonała tych wydawnictw w latach 1887—1890. W pośpiechu tym tkwiły oczywiście pobudki polityczne, a gromadzenie materyału historycznego i archeologiczno-artystycznego już od roku 1863 i obfite zasiłki z funduszów ministerstwa spraw wewnętrznych na koszta wydawnictwa przyczyniły się w znacznej mierze do szybkiego ukazywania się jednej z tych prac po drugiej.

„Białoruś i Litwa“, ostatnia w ich szeregu, składa się z dwóch części: pierwsza zawiera rys historyczny obu tych prowincyj, „różnych pod względem plemiennym i językowym, — jak pisze

wydawca we wstępie — lecz podobnych do siebie wierzeniami, obyczajami i jednakowem ciążeniem ku wielkiej ojczyźnie naszej — Rosyi"; część ta pochodzi z pod pióra N. J. Petrowa i J. J. Małyszewskiego, profesorów kijowskiej akademii duchownej. Na prośby wydawcy, a kosztem rządu, N. J. Petrow odbywał nawet podróże po Litwie i Białorusi, gdzie w interesie wydawnictwa zwiedził wiele monasterów i cerkwi prawosławnych. Jego zaś współpracownik, J. J. Małyszewskij, ułożył niektóre monografie, pomieszczone w „Objaśnieniach", stanowiących część drugą tej pracy, jakoto: „Bohdan Teodor Stetkiewicz-Zawierski", „Jazon Junosza-Smogorzewski" i „Ruiny zamku nowogródzkiego". Autorem innych, pomniejszych monografij, składających się na część II-gą „Białorusi i Litwy", jest M. J. Horodeckij.

Rys historyczny „Białorusi i Litwy" składa się z dziewięciu rozdziałów, obejmujących dzieje tych prowincyj od czasów najdawniejszych aż po dni nasze. Jeżeli się zważy, gdzie, kiedy, wśród jakich okoliczności i czyim kosztem wychodzą monografie ziem ongi polskich, to chyba nie trzeba przypominać, że najjaskrawsza tendencya, w duchu dzisiejszego systemu rządowego względem katolicyzmu i Polaków, dominuje we wszystkich wydawnictwach p. Batiuszkowa i jego towarzyszy. W tej ostatniej pracy, zamykającej cykl urzędowych wydawnictw pamfletów historycznych, na użytek szerokiego ogółu rosyjskiego i zmoskwiczonej części społeczeństwa litewsko-białoruskiego, tem więcej tendencyjnego naciągania faktów, im mniej takowych do stwierdzenia doktryn współczesnych historyografów rosyjskich ze szkoły słowianofilów i *narodników*. W sprawozdaniu naszem z tej pracy starać się będziemy o zebranie jak najobfitszego żniwa na niwie dziejowej, przez nich uprawianej.

W przebiegu dziejów Litwy i Białorusi — jak takowe przedstawił p. Batiuszków i jego współpracownicy — snuje się, jak nić czerwona, tendencya, mająca udowodnić, że Litwa właściwa warunków bytu samoistnego nie miała; że wszelkie jej pierwiastki państwowe i cywilizacyjne były pochodzenia ruskiego; że okres dziejów litewsko-ruskich był tylko epizodem, wiodącym

do zjednoczenia tych krajów z Moskwą, coby niechybnie musiało nastąpić daleko wcześniej, gdyby nie matrymonialne fantazye Jagiełły, a w ich następstwie „nienaturalny“ związek Litwy z Polską. Okres zatem litewsko-polski miał być tylko zboczeniem z drogi prostej, błądzeniem po manowcach dziejowych, wśród którego „Litwie i Żmudzi Polacy narzucili wiele obcego i wrogiego Rusi“. Ale ta sztuczna dygresya dziejowa wieczną być nie mogła. Jak rzeka po wylewie wraca do swego naturalnego łożyska, tak i życie wewnętrzne Rusi „zachodniej“ musiało po wylewie polskim popłynąć — według historyozofii p. Batiuszkowa — ku wielkiemu morzu rosyjskiemu i w niem utonąć. Po trzecim rozbiorze Polski i po otrzymaniu obwodu białostockiego w roku 1807, Rosya — pisze p. Batiuszków — doszła na Litwie prawie do tych granic, jakie dla niej wytknął i ustanowił jeszcze kniaź Włodzimierz, „święty i równy apostołom“, a po nim — syn jego Jarosław Mądry.

Na każdej stronicy „Białorusi i Litwy“ spotykamy się z faktami nieuzasadnionemi źródłowo, przekręconemi, zastosowanemi tendencyjnie lub częstokroć z poniewolnemi błędami, zdradzającemi brak znajomości dziejów polskich, do których kreślenia tak pochopnie biorą się dziś historycy rosyjscy najnowszego autoramentu. W myśl tej tendencyi czysto litewski Wiłkomierz zalicza się do grodów „krywickich“; osady Dregowiczan posuwa się pod Pułtusk nad Narwią; o Grodnie powiada się, iż założyli je „jacyś ruscy książęta“, a w założeniu Trok i Wilna przez Giedymina widzi się zamiar zespolenia dwóch wiar i dwóch narodowości swego państwa. Nazwa Wilna pochodzić ma od rzeki Wilii, a ponieważ nazwa tej rzeki jest ruską, *ergo* tedy i Wilno jest miastem ruskiem, chociaż granice etnograficzne Litwy właściwej sięgają poza Wilno na wschód i południe. Ktoby o prawdziwości tych wywodów powątpiewał, tego p. Batiuszków odsyła do „Monografij“ Włodz. Antonowicza i do jakiegoś kronikarza niemieckiego, który Wilno z wieku XIV. mieni być miastem ruskiem. Z równemże prawem mógłby ktoś kiedyś powołać się i na najnowsze wydanie atlasu geograficznego Andree'go, gdzie stolicę dawnej Litwy przeciągnięto barwą ruską.

Chcąc dać całokształt dziejów obu tych prowincyj, autorowie rosyjscy rozwodzą się nad okresem walk dzielnicowych drobnych kniaziów ruskich, które nie są wcale budującemi, a po których tak mało pozostało śladów jakiejś pracy iście cywilizacyjnej. Dla dziejów Litwy właściwej mają one znaczenie chyba tylko o tyle, o ile się przyczyniły do rozkładu Rusi Rurykowiczowskiej i ułatwiły wytwarzanie się państwa litewskiego.

Nawet w przedstawieniu tak tendencyjnem, jak p. Batiuszkowa, nie znać tej miłości pomiędzy Rusią południową czyli małą, a północną czyli białą. Odrębność Białorusinów (Krywiczan) i Małorusinów występuje wówczas dosyć już wyraźnie. A o poczuciu jakiejś wspólności dziejowej z rosnącą tymczasem na gruncie fińsko-mongolskim Moskwą, mowy nawet być nie może.

Potomkowie Jarosława Mądrego w walce z Wszesławem połockim zdobywają w roku 1067 Mińsk (litewski), wycinają w pień ludność męską, a żony i dzieci rozdają pomiędzy członków swych drużyn. W częstych walkach pomiędzy w. książętami kijowskimi a połockimi, niechcącymi uznawać zwierzchnictwa wielkich kniaziów, drużyny południowo- i wschodnioruskie burzą lub rabują grody połockie, jak to w r. 1129 miało miejsce z Zasławiem i Łohożskiem. Mścisław, syn Włodzimierza Monomacha, w. ks. kijowski, bierze do niewoli trzech synów Wszesława połockiego i wysyła ich z żonami i dziećmi do Grecyi. Zaledwie się ukończyła walka książąt połockich z kijowskimi, a już, w końcu wieku XII., wybucha wojna kniaziów połockich z mińskimi. Białoruś rozdrabnia się coraz bardziej pomiędzy potomków Wszesława połockiego. Ile większych grodów, tyle księstw odrębnych. Był czas, kiedy w obrębie Białorusi można było 13 księstw naliczyć. Wiecowe instytucye spotykamy zarówno w Połocku, jak w innych grodach białoruskich, w czem uwydatnia się różnica pomiędzy Białorusią a Moskwą.

Powyżej nakreślony stan rzeczy tłumaczy nam, dlaczego książęta dzielnicowi tracą tak łatwo swe grody i ziemie pograniczne: Kokenhausen i Dorpat już w pierwszej ćwierci w. XIII. przechodzą w posiadanie Kawalerów Mieczowych. Najwięcej z tego osłabienia i rozdarcia Rusi północnej czyli białej ko-

rzysta sąsiednia Litwa, zwłaszcza od pogromu Rusi kijowskiej przez Tatarów. Księstwo Horodna już w końcu wieku XII. dostaje się Litwie (str. 39). Książę Erdzwiłł, współczesny chanowi Batemu, zdobywa na Rusinach Grodno, Brześć Litewski, Melnik i Drohiczyn; wódz litewski Mingajło zagarnia Połock i tworzy zeń osobną dzielnicę litewską; Skirmunt, zwyciężywszy księcia turowskiego Mścisława, zdobywa Turów, Pińsk i Mozyr i rozpościera granice państwa litewskiego w dorzeczu Prypeci, a odpiera od niego Tatarów, zadając im klęskę pod Kojdanowem. Według latopisów ruskich, już około roku 1239 panował na Smoleńsku jakiś Litwin nieznany z nazwiska, skąd go wygnał dopiero Jarosław, syn Wszewołoda.

Za prawdziwego założyciela państwa litewsko-ruskiego można uważać księcia Mindowe czyli Mendoga, chociaż późniejsza stolica tego księcia, Nowogródek Litewski, była już w posiadaniu jego ojca Ryngolta, od czasu zwycięstwa nad księciem druckim, Dymitrem. Otrzymawszy po ojcu Kiernów-Nowogródek, Mendog szerzył podboje po całej ziemi krywickiej. Z opisu (w „Kronice wołyńskiej") pochodu kniazia halickiego Daniela na dzierżawy Mendoga, dowiadujemy się, iż następujące grody należały wówczas do Litwy: Słonim, Wołkowysk i Grodno, a zwierzchnictwo jej uznawali książęta pińscy. Bratańcy Mendoga utwierdzają swe panowanie w Połocku, Witebsku i Smoleńszczyźnie. Daniel halicki otrzymuje wprawdzie Czarną Ruś od Mendoga, lecz z tytułu jej posiadania staje się lennikiem litewskim. Kniaziowie zaś ruscy, Daniel i Wasylko Romanowicze, przeciwko rzekomo pokrewnej sobie Litwie łączą się niejednokrotnie z Kawalerami Mieczowymi.

Po gwałtownej śmierci Mendoga, dwa pierwiastki składowe państwa litewskiego występują — według p. Batiuszkowa — do walki w osobie księcia żmudzkiego Trojnata i Towciwiłła połockiego, zruszczałego Litwina. Ojcobójca Trojnat morduje Towciwiłła, a stronnictwo litewskie, raczej pogańskie, bierze górę nad ruskiem albo chrześcijańskiem. Wówczas na czele tego ostatniego staje zruszczały syn Mendoga, Wojsiełk, który skrytobójstwem — jak przypuszcza p. Batiuszków, co jednak dowie-

dzionem nie jest — pozbywa się wyrodnego Trojnata, aby następnie, zrzekłszy się praw do tronu litewskiego na rzecz Szwarna, syna Daniela, udać się do monasteru i tam „opłakiwać swe grzechy“, a dopiero po tegoż zgonie objąć rządy państwa. Niewielką być musiała miłość pomiędzy rzekomymi przedstawicielami rusko-prawosławnego kierunku na Litwie, skoro Wojsiełk ginie we Włodzimierzu Wołyńskim z ręki Lwa, brata Szwarnowego.

Po uciszeniu się burzy wewnętrznej, wywołanej śmiercią Mendoga, widzimy znowu kuningasów litewskich w zapasach z kniaziami ruskimi. Trojden, przedstawiciel jedności państwowej Litwy, walczy mężnie z Niemcami z jednej, a Mścisławem wołyńskim, synem Daniela, z drugiej strony. W walce tej Trojden wprawdzie ginie, ale myśl jego i dążenia Litwy do wytworzenia silnego państwa urzeczywistniają potomkowie Lutuwera, występujący następnie w dziejach pod imieniem Giedyminowiczów.

Giedymin, prawdziwy twórca potęgi litewskiej, nie samym tylko orężem szerzy granice swych dziedzin. Niektóre księstwa ruskie poddają mu się dobrowolnie (str. 63), lecz nie dlatego, — jak twierdzą autorowie „Białorusi i Litwy“ — iż Giedymin „protegował narodowość ruską“, ale ze względów czysto praktycznych, w następstwie wpływu, wywieranego przez silniejszy organizm polityczny. Do wstąpienia na tron Giedymina — którego p. Batiuszków zwie niesłusznie bratem Witenesa (str. 44) — tylko Ruś Czarna i księstwo połockie wchodziły w sferę interesów litewskich, jeżeli użyjemy tutaj języka współczesnej nam dyplomacyi. Chociaż czas ostatecznego połączenia z Litwą księstw: turowskiego i pińskiego nie da się dokładnie określić (najprawdopodobniej nastąpiło to około r. 1292), to przynależność ich do Litwy, za rządów Giedymina, nie może ulegać najmniejszej wątpliwości. Hołdownikiem Giedymina był i Bazyli, kniaź miński. Za jego panowania wchodzi w skład państwa litewskiego także ziemia brzeska, od dawna kość niezgody pomiędzy Litwą i Rusią.

Urzędowy historyograf rosyjski podnosi, gdzie tylko może, wzrost Kościoła wschodniego na Litwie, lecz tem staranniej pomija wpływ katolicyzmu. Zaledwie raczył wspomnieć o przyjęciu

przez Mendoga i Erdenia, księcia na Połocku, wiary katolickiej i o staraniach Giedymina ku zbliżeniu się do Zachodu katolickiego. O pierwszych biskupach katolickich dla Litwy, błogosławionym Witusie i Chrystyanie, niema ani słowa. Milczeniem pomija się również księżniczki litewskie, które, wychodząc zamąż za Piastów, przyjmowały wiarę katolicką, jak: Aldona czyli Anna, Marya, Domilla czyli Elżbieta i Aleksandra. Za Giedymina OO. Franciszkanie i Dominikanie posiadają trzy kościoły w Wilnie i Nowogródku. Kościół Św. Trójcy w Drohiczynie istniał już od czasów Mendoga. Za panowania zaś Olgierda nawet sam p. Batiuszków nie przeczy (str. 91), iż katolicyzm istniał na Litwie. Piotr Gasztold, namiestnik podolski, ożeniony z córką Gabryela Buczackiego, przyjął wiarę katolicką w r. 1364 i za pozwoleniem Olgierda wystawił w Wilnie klasztor franciszkański. Wymordowanie OO. Franciszkanów w tem mieście karze Olgierd bardzo surowo: około 500 uczestników w morderstwie skazuje na śmierć. Po tym wypadku Gasztold wybudował kościół i klasztor franciszkański na Piaskach (gdzie obecnie budynek pofranciszkański), w innej części miasta. Od r. 1366 widzimy OO. Franciszkanów w Lidzie.

W. książę litewski Olgierd szybko zagarnia dziedziny Rurykowiczów. Ożeniony z Maryą, córką księcia Jarosława na Witebsku, po śmierci swego teścia, w r. 1320, odziedzicza księstwo witebskie. Brat tegoż Lubart, wskutek małżeństwa z córką księcia Lwa (syna Jerzego) przychodzi w r. 1325 do posiadania księstwa łuckiego. Po wstąpieniu zaś na tron wielko-książęcy, Olgierd utrwala wpływ litewski w Nowogrodzie, Pskowie i Smoleńsku; użycza poparcia kniaziom twerskim w ich walce z Moskwą; stara się zagarnąć kraje, wchodzące niegdyś w skład księstw: kijowskiego i czernihowskiego, a po pomyślnej walce z Tatarami zdobywa Podole. Za przykładem ojca swego, wspiera kniaziów smoleńskich przeciwko Moskwie, a w zamian żąda i od nich pomocy w walce z Moskwą, przez co zależność Smoleńska od Litwy staje się faktem dokonanym. To też kiedy kniaź smoleński, Iwan Aleksandrowicz, próbował przy pomocy Moskwy i Tweru wyzwolić się z pod zwierzchnictwa Litwy, ukarał go Olgierd

zajęciem na rzecz Litwy Mścisławia. Następca tegoż na księstwie smoleńskiem, Światopełk Iwanowicz, jest wiernym i uległym lennikiem Litwy, którą wspiera skutecznie przeciwko Moskwie i Krzyżakom.

Życzeniem Olgierda było, aby dla swych poddanych wyznania wschodniego utworzyć osobną metropolię litewską. Kiedy metropolici kijowscy opuścili stolicę metropolitalną i zamieszkali najpierw we Włodzimierzu nad Klaźmą, a potem w Moskwie, Olgierd wysłał do Carogrodu swego poddanego, imieniem Romana, aby tam się postarał o godność metropolity. Tak się też i stało. Władzy Romana poddano dyecezyę połocką, turowską i dyecezye wołyńskie, a równocześnie z nim wyświęconemu na godność metropolity Aleksemu poddano Kijów i Moskwę. Tym sposobem powstały dwie odrębne metropolie: litewska i kijowska. Stolicą pierwszej został Nowogródek. Gdy po śmierci Romana patryarcha carogrodzki uznał Aleksego także metropolitą litewskim, a Aleksy w tym charakterze pojawił się w r. 1358 na Wołyniu, uwięziono go z rozkazu Olgierda. Chociaż Aleksemu udało się uciec z więzienia, to jednak w granicach Rusi litewskiej więcej się nie pokazywał i władzy metropolitalnej tam nie wykonywał. Następnie Olgierd domagał się u patryarchy po raz wtóry wyświęcenia nowego metropolity dla swych poddanych Kościoła wschodniego, przytaczając cały szereg zażaleń przeciwko Aleksemu. Drugim z kolei metropolitą litewskim został istotnie Serb Cypryan, bawiący już przedtem na Litwie z rozkazu patryarchy, celem zbadania tamecznych stosunków cerkiewnych. O tymże Cypryanie powiada autor „Białorusi i Litwy“, iż „przywrócił prawosławie w Nowogródku Litewskim“ (str. 80), ale przemilcza, jakie tam wyznanie wzięło było nad niem górę.

Ludność wileńska niezbyt sprzyjać musiała wyznawcom Kościoła wschodniego, kiedy w r. 1347 domagała się gwałtownie śmierci trzech możnych Litwinów (Kukleja, Michleja i Kruhleja), świeżo nawróconych na wyznanie wschodnie, a Olgierd życzeniu temu zmuszony był zadosyć uczynić. Prochy tychże, pod imieniem Jana, Antoniego i Eustachego, spoczywają dotąd w Wilnie, w monasterze Św. Ducha. Autor rosyjski twierdzi niejednokro-

tnie, iż „Litwa z biegiem czasu mogłaby się zlać z narodowością ruską i w wierze i w języku“, czemu przeczyć nie myślimy, uważając podobne twierdzenia za pewien rodzaj czczej i bezowocnej zabawki w konjekturalną politykę na gruncie dziejowym. Według jego obliczenia — nie wiedzieć, na jakich źródłach opartego — przed wstąpieniem Jagiełły na tron wielko-książęcy litewski 56 kniaziów litewskich należało do Kościoła wschodniego, 16 księżniczek ruskich było za książętami litewskimi, a 15 litewskich było znowu za kniaziami ruskimi. Gdybyśmy chcieli obliczyć koligacye domu Piastów z Rurykowiczami z czasów największego rozdrobnienia Polski i Rusi, to bodaj czybyśmy takichże samych cyfr nie otrzymali. Śmiesznem byłoby atoli identyfikowanie na tej podstawie Polski z Rusią, jak to czyni autor rosyjski z Litwą i Rusią.

Na Litwę działały dwa prądy od samych początków jej bytu państwowego: jeden wschodnio-bizantyński, a drugi zachodnio-katolicki. Ten ostatni słabym był, dokąd jedynymi jego przedstawicielami były dwa zakony niemieckie, chciwe zdobyczy i w środkach nie przebierające. Odkąd jednak prąd zachodnio-katolicki zaczął przez Polskę przedostawać się na Litwę, nietylko rozproszył tam ciemności pogańskie, ale zdobył także przewagę i nad bizantynizmem. Dlaczego jeden z nich p. Batiuszków i towarzysze uważają za całkowicie naturalny i uprawniony, a o drugim odzywają się z wielką nienawiścią, zgadzać się to może z logiką i konsekwencyą pamfletu historycznego, jakim jest jego „Białoruś i Litwa“, ale nie z powagą pracy naukowej. Anachronizmem zaś w czasie godów weselnych Jagiełły w Krakowie jest twierdzenie (str. 46), iż „skoro litewsko-ruskie państwo zboczyło z drogi prostej i weszło w nienaturalny związek państwowy z innowierczą i nieznoszącą u siebie innych wyznań Polską, ludność ruska tego państwa zaczyna oczy swoje zwracać na północ“.

Wszelkie rozterki, jakie wynikały na Litwie od czasu jej zjednoczenia z Polską, są u historyografa urzędowego następstwem tego nienaturalnego związku (str. 81). Bliższa jednak znajomość dziejów nietylko litewskich, ale i powszechnych, mogłaby

go przekonać, że w tem młodocianem, jeszcze należycie nie zorganizowanem państwie miały one miejsce po każdej donioślejszej zmianie tronu: po śmierci Mendoga, Giedymina i Olgierda, jak również po Chlodwigach, Karolach, Szczepanach, Bolesławach i Włodzimierzach, w historyi prawie wszystkich państw średniowiecznych. Andrzej i Dymitr Olgierdowicze łączyli się z Moskwą i knowali z Dymitrem Dońskim przeciwko Jagielle, co zmuszało tego ostatniego do szukania sprzymierzeńca w osobie chana tatarskiego Mamaja, w czem autorowie rosyjscy widzą dosyć naiwnie „objaw przekonania o rozkładzie własnego państwa“ (str. 83).

Dawniejsze nawracania się książąt litewskich na wyznanie wschodnie było, w mniemaniu historyków rosyjskich, „szczerem“; przyjęcie natomiast przez braci i krewnych Jagiełły chrztu św. w Krakowie, tylko — „pozornem“. Wyszukując faktów „opozycyi ruskiej“ przeciwko unii polsko-litewskiej, nie wahają się do ich liczby zaliczyć i wystąpień Świętosława smoleńskiego, który — według samychże kronikarzy ruskich — setkami palił włościan, „jak bezmyślne zwierzę“, gniótł ich całemi dziesiątkami pod zrębami domów, a wbijał na pal młodzież płci obojej. Takich obrońców odrębności ruskiej, a przeciwników unii polsko-litewskiej, odbierać p. Batiuszkowowi nie mamy najmniejszej ochoty. Gdzie się pisze bez dobrej wiary, tam z natury rzeczy wypada nieraz wikłać się w sprzecznościach. Jagiełłę, po przyjęciu chrztu w Krakowie, nazwano w „Białorusi i Litwie“ — „prześladowcą prawosławnych“, ale nieco niżej (str. 90) tenże sam autor powiada, iż Jagiełło zostawił w spokoju grecką wiarę, wyznawaną przez ruską ludność Wilna i innych miast litewskich. Jagiełło zasłużył widocznie na miano prześladowcy z tytułu wybudowania trzech kościołów w Wilnie, a około 10 w innych miejscowościach Litwy i Białorusi.

Działalność polityczna Witolda zasłużyłaby w takim tylko razie na względy p. Batiuszkowa, gdyby się opierała na podstawie prawosławno-ruskiej, a nie katolicko-zachodniej. Skoro jednak polityka Witolda była wręcz przeciwną opiniom rosyjskiej urzędowej historyografii, mniema przeto jej przedstawiciel,

iż „wielkie siły umysłu i woli, jakie posiadał ten monarcha, okazały się dla przyszłości bezowocnemi". Witold zdobywa Smoleńsk najpierw w r. 1394, a ostatecznie w r. 1404. W. książę moskiewski Bazyli Dymitrowicz, zięć Witolda, odwiedza go w zdobytym przez Litwę Smoleńsku bez najmniejszego skrupułu narodowo-politycznego. Węzły pokrewieństwa z wielkim kniaziem moskiewskim nie przeszkadzają wcale Witoldowi układać się z chanem tatarskim Tochtamyszem przeciwko Moskwie i marzyć o jej zdobyciu, gdyby się powiodła wyprawa na Tatarów. Kiedy kniaź Jerzy Świątosławowicz, roszczący prawa do Smoleńska, zawierał układ z Nowogrodem przeciwko Witoldowi, to w układzie tym traktowano w. księcia Litwy, jako obcego zdobywcę, innoplemieńca, a nie „zachodnio-Rusina", jak się dziś prasie rosyjskiej podoba nazywać mieszkańców Litwy. Gdy zaś w. kniaź Bazyli stanął po stronie Pskowa przeciwko swemu teściowi, tenże kazał wymordować wszystkich Moskali w obrębie swego państwa (str. 103), co spowodowało wielu z nich do opuszczenia Litwy na zawsze, jak to między innymi uczynił kniaź Aleksander Nelub ze swą drużyną.

I na stosunki kościelne dawnej Litwy ma autor rosyjski swój odmienny, a wielce charakterystyczny pogląd. Wymieniając kościoły i klasztory, założone na Litwie i Białorusi przez Witolda, spieszy z uwagą, iż „był to katolicyzm ruski, różny od katolicyzmu polskiego i rosyjskiego prawosławia" (str. 108). Witold składa z godności episkopa turowskiego Antoniusza za zdrajcze stosunki z Tatarami, a p. Batiuszków podnosi go do godności męczennika za wiarę prawosławną (str. 109). O licznych przywilejach, nadawanych przez Jagiełłę i Witolda cerkwiom i monasterom schyzmatyckim, wspomina jakby od niechcenia.

Witold, również jak i stryj jego Olgierd, miał zamiar utworzyć dla swego państwa osobną metropolię Kościoła wschodniego. W tym celu posłał do Carogrodu ihumena Grzegorza Camwlaka z prośbą o wyniesienie go na godność metropolity. Gdy jednak ani patryarcha, ani cesarz nie chcieli takowej zadosyć uczynić, wówczas, za wpływem i staraniem Witolda, sobór

władyków rusko-litewskich obrał go metropolitą, a w r. 1416 dokonano konsekracyi nowego metropolity w Nowogródku Litewskim; Kościołowi zaś wschodniemu potwierdził Witold przywilej, nadany mu niegdyś przez w. księcia Jarosława Mądrego (*Jarosławow Świtok*). Na komentarz autora rosyjskiego, iż wszystko to, co Witold uczynił dobrego dla wyznawców Cerkwi wschodniej, pochodziło nie z troskliwości o jej dobro, lecz z chęci doprowadzenia do skutku unii obu Kościołów (str. 113), zgodzić się można najzupełniej.

Bardzo wiele natomiast sympatyi posiada u autorów rosyjskich Świdrygiełło, z którego czasowem wstąpieniem na tron litewski, po śmierci Witolda, łączą symbolicznie założenie kaplicy na Ostrej Bramie w Wilnie (str. 116). Przy tej sposobności dodać nie omieszkali, — oczywiście bez poparcia źródłowego — że i sam obraz Matki Boskiej i kaplica ostrobramska były wówczas w posiadaniu schyzmatyków. Ale i ten, najmilszy dla nich z pośród Giedyminowiczów, sprzeniewierzył się zasadniczej tendencyi autorów „Białorusi i Litwy“, albowiem czynił również starania w Carogrodzie o wyniesienie do godności metropolity litewskiego Herasima, episkopa smoleńskiego, a po osiągnięciu tego celu nosił się z zamiarem przeprowadzenia unii z Kościołem katolickim, przy współdziałaniu tegoż Herasima. Skoro jednak Herasim, — jak to wyjaśnia w monografii Świdrygiełły dr. Anatol Lewicki (str. 244—247) — nie licząc na szczerość Świdrygiełły w sprawie unii kościelnej, wdał się w układy ze stronnikami Zygmunta Kiejstutowicza, Świdrygiełło kazał go uwięzić, wywieźć ze Smoleńska do Witebska i tam spalić na stosie dnia 26 lipca 1435 r.

W taki to sposób przedstawia p. Batiuszków *et consortes* odrębne dzieje Litwy, przed jej ściślejszem połączeniem się z Polską. Świdrygiełło — w ich mniemaniu — jest tym ostatnim wielkim księciem litewskim, o którym można jeszcze mówić w dziejach czysto litewskich, po których następuje okres polsko-litewski.

Dotknęliśmy pokrótce najwydatniejszych z dziejów tych momentów, mogących służyć za probierz poglądów i tendencyj

p. Batiuszkowa, nie dodając prawie ze swej strony faktów, któreby niemało się przyczyniły do wyświetlenia wzajemnych stosunków Litwy, Rusi i Moskwy. Szczególniej niejasność i bałamutność w poglądach autorów rosyjskich na Świdrygiełłę zmusi ich z czasem, pomimo ignorowania z umysłu prac polskich, do korzystania przynajmniej ze zdobyczy naukowych d-ra Anatola Lewickiego, których oczywiście p. Batiuszków znać jeszcze nie mógł.

Któż jednak zdoła odnaleść, nawet w tak parcyalnem przedstawieniu dziejów litewskich, potwierdzenie tych tendencyj, w imię których autorowie rosyjscy przystępowali do swego opowiadania, powołując na świadków zdarzenia przeszłości. Lecz dzieje nie tak łatwo dadzą się zepchnąć i zniżyć do roli fałszywych świadków. Czy Ruś Mała, Czarna i Biała skupiały się kiedykolwiek w imię swego pokrewieństwa plemiennego? Czy aspiracye zdobywcze w granicach „wszech Rusi“ nie wywoływały raczej walk krwawych, krwawszych niekiedy od wojen dwóch obcych narodów? Drobne księstewka ruskie, położone pomiędzy Litwą a Kijowem, stają się oczywiście zdobyczą silniejszego, to jest Litwy. Następnie walka się toczy pomiędzy Litwą i Moskwą, a wkońcu — między tą ostatnią i Polską...

A ileż to błędów historycznych znajdujemy u tych, którzy historyków naszych z góry traktują, zarzucając im nieznajomość przeszłości litewsko-ruskiej. Oto niektóre z nich, jako próbka erudycyi historycznej p. Batiuszkowa i towarzyszy. Marya nie jest córką Andrzeja wołyńskiego — jak czytamy na str. 74 — lecz Jerzego I., i nie jest żoną Trojdena, syna Bolesława, lecz żoną Trojdena, a matką Bolesława, późniejszego księcia halickiego. Jadwiga w r. 1387 nie była wraz z Jagiełłą w Wilnie (str. 88), lecz odzyskiwała Ruś Czerwoną na Węgrzech. Jagiełło nie założył w Wilnie arcybiskupstwa (str. 90), lecz tylko biskupstwo rzymsko-katolickie. Ciężkim jest grzechem przeciwko prawdzie historycznej przypisywać zwycięstwo pod Grunwaldem „pułkom smoleńskim“ (str. 105), a nie uczynić wzmianki o Polakach. Witoldowi każą autorowie rosyjscy oblegać Malborg, chociaż Witold wrócił na Litwę wkrótce po bitwie grunwaldzkiej. I taką

listę różnych, mniejszych lub większych błędów historycznych możnaby prowadzić dalej, gdyby to miało jakiś cel praktyczny.

Całego przebiegu dziejów Litwy nie będziemy przechodzić podług pracy p. Batiuszkowa; wszędzie bowiem ta sama tendencya i te same wnioski z faktów, zazwyczaj źle pojętych lub fałszywie przedstawionych. Ponieważ w swem opowiadaniu uwzględnia głównie stosunki kościelne, przeto i nam wypada dotknąć jeszcze tej strony dziejów „Białorusi i Litwy“. Wertując niektóre kartki tej książki, sądzić można, iż autorowie tej pracy umieją niekiedy być sprawiedliwymi w sądach o naszej przeszłości. Na str. np. 275 wymieniają uchwały sejmów polskich, zapewniających dyzunitom wolność wyznania. Lecz wkrótce przekonywamy się, iż czynią to z umysłu, aby w tem jaskrawszem świetle przedstawić nietolerancyę polską w XVIII. wieku, a tem samem usprawiedliwić rozbiory Polski. Za to tem gorliwiej nagromadzają, na czasy późniejsze, szereg faktów rzekomego ucisku dyzunii i kleru dyzunickiego, przeważną część których nietylko nie popierają źródłami, ale nawet cytatami z dzieł, uważanych przez nich za źródłowe. I tak czytamy na str. 288: „popom odcinano palce, obnażonych przywiązywano do czterech palów, przymocowywano do słupów za ręce i nogi, zmuszano do jedzenia siana, biegania za końmi z powrozem u szyi i t. d.“. Jakby w odpowiedzi na powyższe faktą, bardzo zresztą wątpliwej autentyczności, znajdujemy w „Białorusi i Litwie“ szereg innych, należycie popartych świadectwami źródłowemi, których znaczenie autorowie tej pracy osłabiają z umysłu (str. 291—293).

Z czasów największego wszechwładztwa katolicyzmu i rzekomego prześladowania różnowierców wogóle, a specyalnie dyzunitów, godzi się zapamiętać następujące fakta, rozproszone po odnośnych rozdziałach omawianej pracy rosyjskiej. W roku 1668 sąd komisarski przysądził dyzunitom w samym Bielsku (gub. grodzieńska) trzy cerkwie. Michał Wiśniowiecki potwierdził w r. 1669 przywilej bractwu orszańskiemu na utworzenie szkoły brackiej: podobnyż przywilej otrzymał monaster Bohojawlenia w Pińsku. W tymże roku utworzono w Mohilewie (nad Dnieprem) t. zw. młodsze bractwo prawosławne. Jan III. Sobieski, w roku swego

wstąpienia na tron, zwrócił dyzunitom monaster Spasa w Mohilewie i przeznaczył go na pobyt tamecznemu władyce. Szczególniejszej względności ze strony sejmów i królów naszych doznawali dyzuniccy mieszkańcy białoruskiego Mohilewa za ich wierność Polsce, okazaną w r. 1660. Wówczas to, wymordowawszy załogę moskiewską, dobrowolnie wpuścili wojska polskie do miasta. Jan Kazimierz pozwala im, w roku 1661, w nagrodę za czyn powyższy, budować cerkwie dyzunickie bez żadnych trudności, co potwierdza następnie w roku 1666. Michał Wiśniowiecki daje w roku 1672 zezwolenie na wybudowanie cerkwi *Woskresienia* (Zmartwychwstania Pańskiego), a w roku 1673 na przebudowanie cerkwi *Uspienia (Dormitionis)*. W roku 1676 król Jan Sobieski potwierdza przywilej na założenie w Mohilewie drukarni, mającej prawo drukowania książek treści religijnej w językach: polskim i ruskim, który to przywilej został potwierdzony przez Augusta II., w r. 1701. August II. pozwala w r. 1702 na wybudowanie w Mohilewie, przy ul. Wietrznej, nowej cerkwi dyzunickiej, z powodu cudów tam się okazujących.

Więcej jeszcze znajdziemy dowodów tolerancyi i względności dla dyzunitów ze strony panów i szlachty polskiej. Za pozwoleniem księcia Połubieńskiego wystawiono cerkwie w Horach i Horkach, a za zgodą Hieronima Sieniawskiego w Szkłowie, którego mieszczanie tak skutecznie wsparli wojska polskie, podczas wypierania stamtąd garnizonu moskiewskiego. W roku 1657 Apolonia Zenowiczowa wybudowała cerkiew dyzunicką w swej wsi dziedzicznej Mankiewiczach (powiat oszmiański); w r. 1665 Maryanna Suchodolska fundowała monaster dyzunicki w Mazałowie, w pobliżu Mścisławia; w końcu w. XVII. założono monaster dyzunicki w Starczycach (gub. mińska), a w r. 1672 — monaster w Trojczanach koło Słucka. Za staraniem Sylwestra Polchowskiego, władyki mohilewskiego, stanął w r. 1700 monaster dyzunicki przy cerkwi *Woskresienia* w Mohilewie. A. M. Sieniawski, w r. 1722, daje dyzunitom pozwolenie na wystawienie cerkwi we wsi Maślakach. W roku 1723 kasztelan witebski, Ogiński, cofa swe dawniejsze rozporządzenie, aby mieszkańcy

miasta Borysowa zwracali się ze swemi duchownemi potrzebami tylko do księży unickich.

Nie musiało być tak źle pod rządami polskiemi, skoro kijowski metropolita dyzunicki, Dyonizy Bałaban, przeniósł się po zawarciu ugody hadziackiej na zachodnią, polską stronę Dniepru, utworzył konsystorz w Słucku i wykonywał władzę metropolitalną, pomimo protestów administratorów metropolii kijowskiej, nasyłanych z Moskwy (str. 293). W roku 1680 (w sierpniu) zjeżdżają się w Nowym Dworze przedstawiciele bractw stauropigialnych i kleru dyzunickiego, i radzą nad środkami obrony Kościoła wschodniego w Polsce (str. 294). Niektóre artykuły „wieczystego pokoju" z Moskwą, zawartego w roku 1685, dawały tejże sposobność do mieszania się w sprawy schyzmatyków polskich. Już od roku 1722 ihumeni monasteru Św. Ducha w Wilnie ulegali bezpośrednio władzy św. Synodu (str. 297), co się stało oczywiście za wpływem Piotra W. Dyzunicki metropolita kijowski, mieszkający poza granicami Polski, nasyła władyków do Mohilewa, archimandrytów do Słucka, a ihumenów dla monasteru Ducha Św. w Wilnie. Od roku 1704 władykowie mohilewscy następują jeden po drugim bez przerwy lub jakiejś ze strony polskiej przeszkody. Przez cały czas wojny północnej Piotr W. otacza swą szczególniejszą opieką monaster Ducha Św. w Wilnie i schyzmatyków mohilewskich, a dopuszcza się gwałtów na Bazylianach połockich i na unitach w innych częściach Polski. W przywileju, nadanym cerkwiom i monasterom dyzunickim, wskutek nalegań Piotra Wielkiego, przez Augusta II. w r. 1720, a potwierdzonym przez Augusta III. w r. 1735, znajdujemy jeszcze pokaźną ich liczbę, chociaż jedne z nich istnieć już musiały tylko w archiwach i wspomnieniach, a inne wlokły żywot suchotniczy wśród ludności rzymsko-katolickiej, jak w Jewiach i Kroniach w powiecie trockim, w Surdegach w powiecie wiłkomierskim, w Kiejdanach na Żmudzi i t. d. Wskutek przedstawienia carowej Elżbiety, zwrócono dyzunitom za panowania Augusta III. dwie cerkwie w dobrach królewskich: greczywską i goleniewską. Około roku 1757 w posiadaniu dyzunitów było jeszcze na Litwie i Białorusi — według obliczenia p. Batiusz-

kowa (str. 304) — 130 cerkwi. Jak następnie zużytkowała Katarzyna II. swe wpływy polityczne na korzyść schyzmy w Polsce, rzecz aż nadto dobrze znana. Dosyć tylko przypomnieć, że Jerzy Koniski, władyka mohilewski, zakłada w Mohilewie seminaryum duchowne i drukarnię, drukuje w niej pisma polemiczne w obronie schyzmy, gromadzi w swem archiwum rzekome dowody ucisku schyzmy, z których następnie powstać musiała, osławiona z fałszów historycznych, *Istoria Russów*, a jego obecność na koronacyi Katarzyny II. w Moskwie i mowa tamże wygłoszona, w imieniu Białorusi, zawierają niewątpliwie cechy zdrady stanu. Roku 1768 wymusił rząd rosyjski na słabej Polsce, aby w małżeństwach mieszanych katolików z dyzunitami synowie szli za ojcem, a córki za matką, chociaż tego u siebie nie trzymał się ani wówczas, ani się nie trzyma obecnie.

Gdybyśmy powyżej przytoczone dowody względności, czy pobłażliwości dla dyzunitów bądź to ze strony królów polskich, bądź to ze strony możnych chcieli zastosować jako kryteryum do położenia katolików obrządku rzymsko-katolickiego pod zaborem rosyjskim, to — pomimo wielkiej różnicy i czasów i pojęć — porównanie wypadłoby na korzyść przeszłości naszej. Ileż to od roku 1832 pozwolono w ziemiach polskich zbudować kościołów i fundować klasztorów, a ile ich tam skasowano lub oddano na użytek schyzmatykom? Gdzie i kiedy zezwolono duchownym katolickim na odbycie narad, w celu obmyślenia środków obrony przeciwko krzywdom Kościołowi wyrządzanym ze strony rządu? W jakiej to drukarni pozwolono drukować książki treści polemiczno-apologetycznej wobec ciągłych napaści prasy rosyjskiej i literatury cerkiewno-prawosławnej? Coby się stało z biskupem rzymsko-katolickim, któryby udał się na koronacyę któregoś z monarchów katolickich i tam wystąpił ze skargą na ucisk katolicyzmu w Rosyi? — Oto są pytania, które każdemu bezstronnemu czytelnikowi nasunąć się muszą po odczytaniu odnośnych rozdziałów w „Białorusi i Litwie“.

Na wszystkie dodatnie objawy z przeszłości naszej zapatruje się p. Batiuszków *et consortes* w sposób ciasno-tendencyjny. O ulgach, poczynionych na rzecz chłopów w r. 1768, mówi się

w taki sposób, jakby to było zasługą Rosyi, chociaż ta ostatnia powinna była podobnych zasług szukać u siebie w domu, gdzie w tymże czasie działy się niesłychane okrucieństwa, popełniane nad poddanymi przez taką np. Sołtykową, o której lud dotąd w okolicy Moskwy opowiada straszne historye, zwąc ją pogardliwie „Sołtyczychą“. Barska zaś konfederacya miała na celu — według autorów omawianej książki (str. 307) — ulg tych cofnięcie. Postanowienia konstytucyi 3-go Maja w rzeczach wiary charakteryzują urzędowi historycy w sposób następujący (str. 310): „i w tej konstytucyi niema po dawnemu wolności sumienia. Łacińtwo fanatycznie uznaje się w niej wyznaniem panującem“. Tych panów zadowolniłaby oczywiście ustawa konstytucyjna z dnia 3-go Maja wówczas tylko, gdyby uznała prawosławie religią panującą w Polsce.

Istotnym cynizmem tchną słowa, wypowiedziane na stronie 315: „Rosya, w przeciwieństwie do Polski, odznaczała się szeroką tolerancyą w rzeczach wiary i samorządu wewnętrznego w zabranych prowincyach“. O parę zaś stronic dalej mówi się z pochwałą o ukazie carycy z r. 1772, polecającym gubernatorom: pskowskiemu i mohilewskiemu, najsurowsze baczenie na to, aby duchowieństwo katolickie obu obrządków „ani tajnie, ani jawnie“ nie nawracało prawosławnych na inną wiarę. Natychmiast po pierwszym rozbiorze kraju wydano ukaz, zabraniający ogłaszania bull papieskich i postanowień Stolicy Apostolskiej lub jakiejś wogóle zagranicznej władzy duchownej, bez poprzedniego ich rozpatrzenia przez jenerał-gubernatora białoruskiego i najwyższego potwierdzenia (str. 318); w roku zaś 1795 dodano jeszcze specyalny zakaz powoływania duchownych katolickich z zagranicy. Wszystkie te kroki „wielkiej“ imperatorowej chwalą, jako objaw jej mądrości i przezorności, ci sami autorowie, którzy poprzednio mieszanie się św. Synodu w sprawy dyzunitów polskich uważali za rzecz słuszną i naturalną, a oburzali się, ile razy rząd polski zdobył się na odwagę wydalenia z granic Rzeczypospolitej popów prawosławnych, przybyłych z Rosyi, w celach *notabene* bardzo podejrzanych. Do objawów tolerancyi rosyjskiej zaliczyć zapewne należy i reskrypt carycy z dnia 22-go

kwietnia (st. st.) 1794 roku, wydany na ręce jenerał-gubernatora Tutolmina, w którym wzywano unitów, aby wracali do schyzmy, a wszelkie przeciwdziałanie temu ze strony łacinników i unitów polecono uważać „za zbrodnię, pociągającą za sobą oddanie winnego sądowi karnemu i sekwestr mienia“ (str. 324).

Wynikiem tej tolerancyi ze strony wolnomyślnej carowej, przyjaciółki Woltera, jest cyfra „nawróconych“ unitów w okresie drugiego i trzeciego rozbioru Polski. W roku 1794, w ciągu tylko pół roku, „nawrócono“ $1^1/_2$ miliona unitów; w r. 1795, w przyłączonych po trzecim rozbiorze częściach Litwy, nawrócono na prawosławie — jeżeli będziemy się trzymać tego urzędowego terminu rosyjskiego — 80.000 dusz; na Białorusi (w guberniach: połockiej i mohilewskiej) do Cerkwi prawosławnej przyłączono w latach 1794 i 1795 110.000 osób, a w samym tylko powiecie siebieżskim 10.740 osób, chociaż tam urzędowe „nawracania“ odbywały się systematycznie już od r. 1773.

Skoro jednak zabłysnął promyk swobody religijnej za panowania Pawła I., w samej tylko dyecezyi połockiej 22 całych parafij z księżmi i od 80—100.000 osób przeszło, staraniem OO. Jezuitów, bądź z dyzunii, bądź z unii na obrządek łaciński (str. 330). Słusznemi musiały być skargi katolików na nawracanie unitów przemocą, skoro potwierdzenie takowych znajdujemy nawet w ukazie carskim z dnia 27-go maja (st. st.) 1797 r., w którym Paweł I. nakazywał gubernatorowi Karniejewowi, aby objechał gubernię i unitom, nawróconym wbrew ich woli na prawosławie, a nie uczęszczającym do cerkwi prawosławnych, przywrócił wolność wyznania. Ukaz powyższy skutku pożądanego nie odniósł, albowiem gubernator, w odnośnym raporcie, żalił się, z właściwą podobnym raportom prawdomównością, przeciwnie na przymuszanie prawosławnych do unii. W drugim ukazie, z października 1798 roku, polecał Paweł I. władykom i archirejom prawosławnym — dbać więcej o życie cnotliwe, „nie przynoszące wstydu prawosławiu“, a zaniechać środków przymusowych względem unitów (str. 332).

Jednym z najsmutniejszych objawów blizkiego upadku unii kościelnej — nad którym autorowie rosyjscy z lubością się roz-

wodzą — była walka pomiędzy klerem świeckim a zakonnym dochodząca do tego stopnia zawziętości, iż kapituła brzeska, w skardze wniesionej do unickiego departamentu kolegium katolickiego w Petersburgu, domagała się zniesienia zakonu Bazylianów, powołując się *(horribile dictu!)* na odnośne ukazy carskie (str. 348). Następstwem tego kroku, tej bratobójczej walki w łonie Cerkwi ruskiej, był ukaz carski z dnia 2-go września (st. st) 1810 r., kasujący pewną liczbę monasterów bazyliańskich, za którym poszłyby niechybnie i dalsze kasaty, gdyby nie kampania r. 1812. Z podobnem żądaniem, aczkolwiek w formie oględniejszej i umiarkowańszej, wystąpiły kapituły unickie: brzeska i wileńska w r. 1819. Również i arcybiskup połocki, Krasowski, na posłuchaniu u cara Aleksandra I. w r. 1819, przedstawiał Bazylianów jak najniekorzystniej, podnosił ich dobre stosunki z Polakami i łacinnikami (str. 349). Skutki tego posłuchania nie kazały długo na siebie czekać. Nowy ukaz carski, na imię kniazia Galicyna, ministra wyznań i oświaty, nakazywał zwinięcie mniej potrzebnych monasterów reguły św. Bazylego. Na wezwanie tegoż, konsystorze: wileński i brzeski, żądały zwinięcia 23 monasterów z liczby 39 w dyecezyi litewskiej, a konsystorz połocki 11 z ogólnej liczby 19 w dyecezyi białoruskiej. Z tego potrafił później, za rządów Mikołaja, wybornie skorzystać Szyszkow, następca Galicyna w ministeryum wyznań i oświaty. Ukazem carskim z dnia 22-go kwietnia 1828 r. skasowano — według obliczenia p. Batiuszkowa — 21 monasterów bazyliańskich całkowicie, 28 zamieniono na cerkwie parochialne, a pozostawiono w granicach Rosyi już tylko 23. Majątek skasowanych monasterów, wynoszący 1959 dusz poddanych i 247.417 rubli w gotówce, przeszedł na fundusz religijny grecko-katolicki (str. 355). W szeregu najzawziętszych przeciwników OO. Bazylianów znajdujemy i ks. Józefa Siemaszkę, już wówczas członka kolegium unickiego w Petersburgu. Jak na tem wszystkiem wyszła unia kościelna, pouczą nas najlepiej ostatnie lata jej istnienia.

Z powodu zniesienia unii w r. 1839, pisze skromnie p. Batiuszków, iż „były miejscami nieporządki; około 15 upartych w unii i nieposłusznych księży zesłano do wielkorosyjskich gu-

bernij“ (str. 362). Lepszym bez wątpienia od swego kleru świeckiego okazał się lud unicki w przywiązaniu do Kościoła katolickiego. Weźmy tylko przykłady z „Zapisków“ arcy-apostaty, metropolity Józefa Siemaszki. W roku 1858, w miasteczku Porozowie, w powiecie wołkowyskim, 100 prawosławnych przeszło jawnie i otwarcie na wiarę katolicką, licząc na łaskawość Aleksandra II., a dopiero osobista misya autora „Zapisków“, poparta dobrze znanemi środkami, wróciła ich prawosławiu; w roku następnym, 1859, 300 prawosławnych w parafii kleszczelskiej przyjęło katolicyzm, a za ich przykładem chciała pójść parafia klenicka, nie dopuściwszy popa do odbywania procesyi na sposób wschodni. Kto i jakiemi środkami utrzymał ich przy kościele panującym, o tem milczy przezornie Józef Siemaszko. Oczywiście, iż musiano im „wsiec prawosławie“, jak przy podobnej okazyi wyraził się niegdyś Herzen, emigrant rosyjski.

Polacy — czytamy w „Białorusi i Litwie“ p. Batiuszkowa (str. 317) — wyjednywali u Aleksandra II. coraz to nowsze przywileje, celem wskrzeszenia Polski w granicach roku 1772. Ich to usilnem staraniem powstały w r. 1856: muzeum starożytności i komisya archeologiczna w Wilnie. Do planu naukowego w gimnazyach wprowadzono język polski, a tymczasem rosyjski zeszedł na ostatni plan i stał się zaledwie tolerowanym przedmiotem. Pan Batiuszków, który, na stanowisku kuratora wileńskiego okręgu naukowego, miał dosyć czasu na „oczyszczanie muzeum wileńskiego z charakteru polskiego“, mógł go również znaleść na przejrzenie szematyzmów, wydawanych przez swych poprzedników w tej godności. Z nich bowiem mógłby się przekonać, że język polski od wprowadzenia go do szkół średnich w r. 1856 był i pozostał do roku szkolnego 1862/3 tylko przedmiotem nadobowiązkowym, a język rosyjski zajmował, po nauce religii, pierwsze miejsce, i nauczyciel tegoż języka w gronach nauczycielskich również pierwsze miejsce po katechetach. Widoczna więc, że p. Batiuszków nie był dostatecznie obznajomiony z najbliższą przeszłością swego okręgu naukowego.

Na zakończenie swej pracy autorowie „Białorusi i Litwy“ podali statystykę ludności tych prowincyj według narodowości.

I tak w r. 1890 liczono w sześciu guberniach litewsko-białoruskich 7,953.572 mieszkańców, a w tej liczbie było:

Białorusinów (p. Batiuszków nazywa ich „Słowianami ruskimi“)	3.474.883
Litwinów	2,295.300
Polaków	744.410
Żydów	1,200.522
Niemców	149.020
Tatarów	14.839
Innych narodowości	74.598

Robiąc uwagi nad temi cyframi, autorowie rosyjscy powiadają z takiem namaszczeniem i zadowoleniem wewnętrznem, jakby uczynili jakieś odkrycie w zakresie etnografii lub znaleźli potężny argument przeciwko Polakom, iż „do końca w. XIV. nie było wcale Polaków w północno-zachodnim kraju Rosyi“. Na to z całą siłą niezaprzeczonej prawdy możnaby również odpowiedzieć, że Rosyan nie było tam wcale aż do końca w. XVIII.!

A. Szarłowski.

NOWY POGLĄD NA ESTETYKĘ.

(Suggestion dans l'art, Paul Sourieau).

(Dokończenie).

Wiedząc już, na czem — według naszego autora — polega hypnoza w sztuce, przechodzimy z kolei do suggestyi.

Ubezwładniwszy świadomość i wolę za pomocą hypnozy estetycznej, sztuka może skutecznie oddziaływać na opanowaną w ten sposób istotę człowieka, i to bądź bezpośrednio przez wrażenia zmysłowe, bądź za pośrednictwem wyobrażeń umysłowych, jakie mu narzuca. W pierwszym wypadku mamy do czynienia z suggestyą wzrokową i słuchową (w malarstwie i muzyce), w drugim — z suggestyą obrazów myślowych (w poezyi).

Pośredni rodzaj stanowi suggestya uczuć, przerzucająca uczucie drgające w piersi artysty w pierś widza i słuchacza zarazem (sztuka aktorska i deklamacyjna i oratorstwo).

Przypatrzmy się kolejno wymienionym rodzajom suggestyi. Na czem polega suggestya wzrokowa?

Patrząc na płaszczyznę niejednostajnie zabarwioną, np. na stary i popękany kawał muru, nic łatwiejszego, jak dopatrzyć się w jego plamach, rysach i smugach rozmaitych przedmiotów, nawet całych pejzażów. Dwie na to składają się przyczyny: zewnętrzna — materyalne podobieństwo skaz i plam na murze z konturami przedmiotów, których się w nich dopatrujemy, i przy-

czyna wewnętrzna — nasza własna fantazya dopełniająca i przetwarzająca plamy na murze według swego kaprysu na podobieństwo pewnych przedmiotów.

A gdy plam niema? — np. gdy patrzymy na czystą kartkę papieru? Trochę dobrej woli i szczypta fantazyi, a wpatrzywszy się, ujrzymy, czego dusza zapragnie, jak gdyby wyrysowane jakiemiś idealnemi liniami. Artysta z bogatą fantazyą, z techniczną wprawą ręki i z ołówkiem w palcach, wpatrzywszy się w czystą kartkę papieru, utrwala te idealne linie, i tak powstaje rysunek.

Składa on się z całego mnóstwa linij, kresek, punktów i kropek, i w tem podobny do owych plam i rys na murze, różni się przecież od nich tem, że w nim każda linia jest kładziona świadomie i z celem, by obudzić to a nie inne wrażenie. Wrażliwości i fantazyi widza i tu jednak także trzeba, bez nich rysunek zostałby tylko pomazaną i pokreśloną kartką papieru. Im większy artysta, tem prostszemi środkami pobudzi i owładnie fantazyę widza i zasuggestyonuje mu wrażenie, pod jakiem sam swe dzieło tworzył.

Suggestya wzrokowa występuje w dwojakiej formie: jako perspektywiczna i jako kolorystyczna.

Malarz nie może rysować przedmiotów tak jak są, tylko tak jak się oku jego przedstawiają, zmienione stosownie do punktu widzenia i do oddalenia, z jakiego na nie patrzymy. Stół kwadratowy o czterech nogach równej długości, na rysunku musi być przedstawiony jako romb lub trapez i to o nogach nierównych, i wtedy dopiero da obraz zgodny z rzeczywistością. Zachodzi tu zatem anamorfoza czyli przekształcenie obrazu według pewnych zasad, tak, aby widziany z danego punktu wydawał się regularnym. Zasady te podaje perspektywa linearna na podstawie stereometryi, a zdjęcia perspektywiczne według nich wykreślone są rzutem stożkowym rysowanego przedmiotu na płaszczyznę.

Perspektywa linearna daje obraz rzeczy zmieniony stosownie do punktu widzenia; zmiany wywołane oddaleniem przedmiotu od oka określa perspektywa powietrzna. W miarę zwiększania się odległości, przedmiot maleje, kontury jego zacierają

barwy bledną — a przyczyną tego jest niezupełna przejrzystość powietrza, i to, że promień odbity od przedmiotu tem silniej się załamuje w powietrzu i tem więcej traci na jasności, im większą ma przestrzeń do przebycia.

Nie wystarcza jednak, gdy artysta sam rozwiązał na płótnie dwojaki problem perspektywy i widz rozwiązać go musi ze swej strony, ale w odwrotnym kierunku musi na podstawie obrazu dokonać jak gdyby mentalnej restytucyi rzeczywistego przedmiotu. Dzieje się to dzięki wprawie i pewnemu przyzwyczajeniu oka bezwiednie prawie, odruchowo.

P. Sourieau nawiązuje w dalszym ciągu bardzo ciekawe ustępy o światłocieniu i o sposobie cieniowania drzeworytów, musimy jednak pominąć je, nie chcąc gubić się w zbytecznych szczegółach. Przechodzimy więc do kwestyi wyrażania ruchu w malarstwie.

Stanowi on bezsprzecznie jednę z największych piękności życia przyrody. Malarstwu trudno wyrzec się ruchu i poprzestać na odtwarzaniu przedmiotów i postaci martwych, nieruchomych. A jednak jest w tem *contradictio in adiecto:* wymalować ruch, to przecież znaczy unieruchomić go tem samem. A jednak... jednak rzućmy okiem na „Sąd ostateczny“ Michała Anioła. Patrzmy na którąbądź postać: każda ma swoją pozę, może nawet gwałtowną — ale nieruchomą, leci — ale nie spada, wisi w powietrzu — ale nie wzlatuje w górę. Rzućmy jednak okiem na całość tej olbrzymiej kompozycyi... Ożywiło się wszystko... i nabrało ruchu, jakby odlepione od ściany fresku. Tu potępieńcy spadają na łeb na szyję, wiją się, szarpią, podrzucają, czepiają jedni drugich, lecą w takim pędzie szalonym, że się mało nie mieni w oczach od tego deszczu powykręcanych konwulsyjnie ciał; tam zmartwychwstałe rzesze — wynurzają się z grobów, wzlatują wyżej, coraz wyżej, powiewne, lotne, jakby pociągane w górę tą girlandą aniołów unoszących w błękity narzędzia Chrystusowej męki... Co za ruch, co za życie! I nietylko ruch... Słyszy się niemal wycia zatraconych, skowytanie i chichoty szatanów, szum walących się z góry ciał; słyszy się melodyę aniel-

ską i płynące ku niej z dołu litanie czy psalmy zmartwychwstałych wybrańców nieba... Skąd to wrażenie ruchu i życia takie pełne i przejmujące...

Przedewszystkiem, artysta dając jedne obok drugich postaci w najrozmaitszych pozach, wzbudził przez tę rozmaitość poruszeń wrażenie ruchu. Powtóre, samą gwałtownością pozycyj, wyrażoną bajecznemi prawie skróceniami ludzkich kształtów, pchnął naszą wyobraźnię do odtwarzania sobie każdego z tych ciał, jak będzie wyglądało za chwilę gdy pozycyę zmieni. A wreszcie sama gwałtowność pociągnięć pendzla, sama potęga i śmiałość techniki malarskiej zastosowanej do przedmiotu, usposabia do wiary w ruch, którego faktycznie malarstwo odtworzyć nie zdoła.

Kto wie czy nie dlatego szkice, znaczone potężnemi, wielkiemi pociągnięciami pendzla, mają w sobie tak często więcej ruchu i werwy, niż wykończone potem na ich podstawie obrazy. Każde takie szerokie, zamaszyste pociągnięcie pendzla jest jakby graficznie wyrażonem poruszeniem ręki, która je wykonała. Łatwo uwierzyć w ruch na płótnie, na którem każda kolorowa plama powstała widocznie jakby śmignięta pendzlem. Najtrudniejszym jednak ruchem do wyrażenia w malarstwie jest ruchliwość fizyognomii ludzkiej — gra twarzy.

Jak trudno musi być pochwycić grę twarzy, jeśli widz mając ją już uchwyconą na płótnie, nie potrafi nieraz zdać sobie sprawy, w czem ona leży. Weźmy Giocondę Leonarda da Vinci: jaka ona dziwna, niby się uśmiecha; czy uśmiech ten jest na jej ustach tylko, może także i w oczach... może w samych kącikach ust? Uśmiecha się, sam nie wiem czy do mnie, czy ze mnie — uśmiecha się drażniąco, słodko i szyderczo trochę, ponętnie i tajemniczo. Albo Primavera z obrazu Boticellego: blada, rudawa dziewczyna o niezgłębionych szarych oczach, smutny półuśmiech ma na wązkich wargach, a jakąś żałość nieodgadniętą i cichą rozlaną na twarzy. W czem ten smutek? Czy w tem łzawem spojrzeniu, czy w zgięciu ust, czy w ściągłym, chorowitym niemal owalu twarzy, czy na czole białem? Któż to zgadnie. Może nie wiedział tego sam artysta. Innego rodzaju trudności napotyka

malarz, gdy mu przyjdzie oddawać farbami koloryt rzeczywistych przedmiotów, a przedewszystkiem światło.

Jak wyrazić światło; błyszczące, nieuchwytne, promienne światło, za pomocą kilku czy kilkunastu napół płynnych, olejem rozrobionych kolorowych glinek? Tu znowu wchodzi w grę suggestya: malarz posługuje się prawem kontrastu, obniżając proporcyonalnie całą skalę barw widzianych w przyrodzie i transponuje je na wartości świetlne o kilka tonów niższe, przesadzając nawet umyślnie różnice natężenia blasku, jakie między niemi w rzeczywistości zachodzą. W ten sposób oko nasze, a za okiem i wrażenie podlega złudzeniu. Raz odpowiednio potrącona wrażliwość idzie dalej w tym kierunku, a za nią i świadomość, pod wpływem narzuconej w ten sposób illuzyi, ulega czarowi sztuki. Wogóle pamiętać trzeba, że żaden kolor w obrazie nie istnieje samoistnie, że z tej samej blaszanej tutki nabiera malarz tę samą farbę do dwóch obrazów, a farba ta w każdym z tych obrazów daje inny kolor. „To mi ton — miał zawołać Delacroix wskazując na błotnisty bruk — a jednak gdyby kto kazał Veronesowi malować w tym tonie ciało kobiece, wymalowałby, i to jeszcze jaką złotowłosą dziewczynę!“

I słusznie, bo w malarstwie nie chodzi o prawdę materyalną, o powtórzenie żywcem natury, ale jedynie o złudzenie oka, o narzucenie widzowi wrażenia takiego, jak to, które daje natura. O złudzenie idzie, a nie o oszukanie oka! Gdzie się zaczyna oszukaństwo, tam i koniec sztuki. Illuzya estetyczna jest zawsze świadomem siebie poddaniem się widza pod wrażenie, jakie chce mu narzucać artysta.

Umyślnie rozwiedliśmy się dłużej nad rozbiorem rozdziału o suggestyi wzrokowej. To uwalnia nas od podobnie szczegółowego zastanawiania się nad suggestyą słuchową.

I tutaj, podobnie jak w rozdziale o suggestyi wzrokowej, autor wychodzi od spostrzeżeń najprostszych, od objawów elementarnych i zwolna rozszerza swoje wywody na kwestye artystyczne pierwszorzędnej wagi. Ciekawym i niezawodnie oryginalnym jest pogląd p. Sourieau na muzykę naśladującą. Wogóle krytycy i teoretycy muzyki bardzo surowo i niechętnie patrzą

na wszelkie usiłowania naśladownictwa dźwięków przyrody w muzyce, uważając je za zdziczenie smaku, prowadzące wkońcu do przedrzeźniania natury. Sourieau bierze ten kierunek muzyki w obronę, zastawiając się imionami wielkich twórców na polu muzyki, jak Lully, Haydn, Berlioz, Wagner; — nawet Beethoven nie zawahał się przed motywem wziętym z kukania kukułki w *andante* do swej „Symfonii pastorale". Ma się rozumieć, że nie może tu być mowy o bezdusznem, materyalnem powtarzaniu głosów przyrody. Jakie z nich i jak do muzycznego dzieła wprowadzić, to już rzecz talentu.

Czy Sourieau ma słuszność w tem zapatrywaniu, czy nie ma, nad tem najmniej nawet nie śmielibyśmy się zastanawiać. Przytaczamy tylko jego zdanie, ciekawe choćby dlatego, że tak odosobnione wśród innych teoretyków muzyki. Oczywiście, że wobec tego jest Sourieau zwolennikiem muzyki opisowej, o którą tyle zresztą dotychczas między muzykami sporu. Muzyka działa nietylko na ucho i na uczucie, ale pobudza fantazyę we wszystkich kierunkach, wywołuje i suggestyonuje pewne wrażenia nietylko słuchowej natury. Wrażenia te przepływają przez świadomość widza niewyraźnie, nakształt snów jakichś nadziemskich, zależne nietylko od indywidualnego nastroju słuchacza, ale i od woli i fantazyi twórczej muzyka. — Przechodzimy z kolei do suggestyi obrazów poetyckich.

Słynny jest ów piękny obraz Cot'a, rozpowszechniony drzeworytem. Ładna dziewczyna stoi twarzą do widza, trzymając w ręku otwartą książkę. Podniosła oczy z nad kartek, widać co dopiero czytanych, i wzrok puściła przed siebie, jakby w dal jakąś... Patrząc na nią czuje się doskonale, że te źrenice rozmarzone, otwarte szeroko, zatopiły się gdzieś w dziwnem widzeniu, które się przed niemi roztacza. Artysta zatytułował swój obraz: *La lecture.*

Czy aby doznać tego, czego doznaje to dziewczę, trzeba koniecznie oczy odrywać od druku? Zdarza się i to, ale zazwyczaj i podczas samego czytania, kiedy przed oczyma mkną jedna za drugą litery, przesuwa się nam ustawicznie przed wzrokiem duszy pasmo stubarwne, jakby jakieś malowidło malowane sło-

wami pisarza. Ale nie byle kto potrafi przed wzrokiem czytelnika roztaczać widzenia i obrazy, nie każdy umie słowem rzeźbić kształty, malować barwy, rozsiewać dźwięki i wprawiać w ruch stworzone w ten sposób żywe obrazy. Potrzeba na to siły fantazyi artystycznej, któraby zdołała tworzyć te wszystkie *fata-motorgana*, potrzeba energii umysłowej, któraby fantazyę w cuglach utrzymała, jednem słowem potrzeba tej zdolności opanowywania wrażeń czytelnika, i kierowania niemi dowolnie, tej zdolności, która się w dziedzinie sztuki zowie talentem.

Z chwilą, kiedy wyposażony tą władzą pisarz rzuca słowo po słowie w duszę czytelnika, odbywa się w tej duszy cały proces suggestyi mentalnej. Przedewszystkiem stwierdzić trzeba znany zresztą objaw, że litery słów czytanych stają się prawie niewidoczne, patrzy się na kartkę książki, a nie wie się nawet jak ta kartka wygląda. Trzeba aż plamy albo dopisku na papierze, żeby zwróciły uwagę; zresztą możnaby powiedzieć, że czytający, a szczególnie zaczytany, nie widzi książki. Czytane sceny mają wtedy czasami wyrazistość hallucynacyi, każde słowo chwycone mechanicznie okiem budzi w umyśle nowy obraz. Rozumie się, że nie od pierwszej chwili zapada czytelnik w ten stan — *sit venia verbo* — wizyonarski. Zrazu umysł trzeźwy jeszcze pracuje świadomie, stara się wyobrażać; potem, w miarę jak się rozgrzewamy czytaniem, zapala się fantazya, podrażniają się nerwy, rozszerza się wrażliwość. I dlatego to doznaje się nieraz pewnego pozornego rozczarowania, czytając drugi raz urywek jakiś z dzieła, które niedawno wprawiało nas w zachwyt; przypuśćmy nawet miejsce jakieś, któreśmy zaznaczyli w książce jako szczególnie piękne: oderwane od całości to samo miejsce wygląda jakoś mniej barwnie, traci coś na świeżości i uroku; nic dziwnego: biorąc się do odczytania tej kartki dorywczo, nie mieliśmy czasu by wziąć rozpęd, rozgrzać się i rozruszać, jesteśmy chłodniejsi i trzeźwiejsi niż wtedy, gdyśmy do tego ustępu przyszli podnieceni wszystkiemi poprzedzającemi.

Wszystko to dowodzi, że podobnie jak widz razem z malarzem, tak z pisarzem współdziałać musi czytelnik, odtwarzając na nowo w swej własnej fantazyi te obrazy, które on zamknął

w słowach. Nie co innego bowiem, tylko słowo jest materyałem poezyi. Częstokroć już samym swoim dźwiękiem budzi ono w sposób fonetyczny pewne wyobrażenia. W każdym języku jest całe mnóstwo wyrazów, naśladujących brzmieniem pewne głosy natury (dzwon, huk, warczec i t. p.). Szczęśliwe zestawienie takich wyrazów w odpowiednim ustępie może pisarzowi przedziwnie posłużyć do suggestyonowania wyobraźni czytelnika. Środek ten powszechnie zresztą jest znany pod szkolarską nazwą onomatopei.

Ważniejszym jeszcze elementem w sztuce pisarskiej jest rytm, i to nietylko poetycki, ale i prozaiczny (wiadomo, że i proza ma swą rytmikę osobną). O rytmie poetyckim była mowa wyżej, co nas uwalnia od powtarzania rzeczy raz już obszernie wyłuszczonych. Tu możemy tylko zwrócić uwagę, ile to cudownych, artystycznych efektów można zdobyć w poezyi prostem przesunięciem średniówki, a w prozie złamaniem toku rytmiki zdania.

Najważniejszym jednak w lekturze czynnikiem suggestyjnym są wyobrażenia wzrokowe.

Wszelki wyraz konkretny budzi nietylko myśl, ale i wyobraźnię. Kiedy powiem słowo „róża“, albo „zegarek“, staje mi przed oczyma przedmiot tem brzmieniem oznaczony, i to nie jako rodzaj *in abstracto,* nie wszystkie róże — ale jakiś jeden indywidyalny, pewien egzemplarz, mniej lub więcej wyraźnie oznaczyć się dający. Jedni, słysząc wyraz „róża“, wyobrażać sobie będą różę czerwoną, inni białą, inni różową, mniej lub więcej rozwiniętą, ale u każdego powstanie nietylko pojęcie, lecz także obraz. Niechże się teraz z takich wyrazów konkretnych składa cały szereg zdań — a niezawodnie przesunie nam w wyobraźni cały szereg obrazów.

Ich wyrazistość zależeć będzie od dwóch czynników: od żywości fantazyi czytającego i od plastyki opisowej danego ustępu. Myliłby się, ktoby sądził, że plastyka opisowa zawisła od dokładności i szczegółowości — opis to nie inwentarz. I w tem błądzą częstokroć autorowie naturalistyczni *minorum gentium.* Nie ilość, ale jakość rzuconych rysów stanowi plastykę pisarską. Nie-

raz, jeden na pozór podrzędny drobiazg, odpowiednio umieszczony, więcej ożywi i uwydatni całą opisywaną akcyę lub pejzaż, niż najdokładniejszy opis innych szczegółów. Dlaczego? Bo literatura to nie malarstwo. W malarstwie, każde najlżejsze poruszenie pendzla zostawia na płótnie barwny ślad, który raz rzucony, nie przemija bez wpływu na oko widza. W poezyi zaś rzecz się ma inaczej: jedne rysy wbijają się w pamięć i wyobraźnię czytelnika, inne przemijają prawie niepostrzeżone, trzeba zatem tylko takich rysów, któreby wyobraźnię elektryzowały i podniecając współdziałanie fantazyjne czytelnika, nasuwały mu przed oczy inne, nawet niedopowiedziane szczegóły. Kiedy np. Słowacki w „Beniowskim“ mówi gdzieś o tej „dolinie strasznej, gdzie...

Wąż między skały kredowemi syka
I pachnie gorzki piołun“...

to temi dwoma rysami żywszy i pełniejszy daje obraz, niż gdyby po kolei każdy kamień, listek, źdźbło trawy i każde zwierzę z „owej strasznej doliny“ z dokładnością przyrodnika nazwał i opisał. Zmusza nas do czytania między temi dwoma wierszami tak, że widzimy nietylko to co w opisie jest, ale i to, czego wyraźnie powiedzianego niema.

To następstwo obrazów po sobie, ta ciągle przepływająca fala ukazujących się i niknących malowideł, stanowi z jednej strony wyższość, z drugiej niższość poezyi w porównaniu z malarstwem. Obrazy wywołane słowem są ruchome — więc żywsze od wydobytych farbą, ale też za to są od nich mniej stałe, mniej określone. Trudniej obliczyć z góry wrażenie, jakie wywołają, choćby dlatego, że indywidualna fantazya czytelnika jest mniej związana poezyą, niż fantazya widza obrazem. Ta jednak korzyść poezyi nad malarstwem, że malarz rozporządza jedynie wrażeniami wzrokowemi widza, podczas gdy poeta może uderzać we wszystkie rodzaje wrażeń zmysłowych. Dość przypomnieć sobie w naszej literaturze opis matecznika z „Pana Tadeusza“. Ileż wyrazistości zyskują te małe, rdzą wodną lśniące jeziorka, przez to jedno określenie — „zionąc woń plugawą, od której drzewa wkoło tracą liść i korę“. Zagrać w ten sposób równo-

cześnie na wrażeniach wzroku i powonienia — to po prostu przenieść czytelnika w sam środek natury. Ileż to razy poezya, oddając samo tylko wrażenie, samą sensacyę, tworzy cały krajobraz.

Opisz mi rzeczy nie tak jak się je opisywać zwykło, ale tak jak ty je widzisz — tem samem dasz mi swój własny, osobisty wyraz swoich własnych, osobistych wrażeń, a to właśnie nazywa się sztuką!

Chcąc jak najspieszniej przejść do suggestyi uczuć, musimy z żalem pominąć nader ciekawe ustępy książki p. Sourieau, odnoszące się do zwrotów poetyckich (porównanie, alegorya, metafora i zwroty mieszane, powstające z ich połączenia).

Z kolei przystąpimy do suggestyi uczuć.

Mimo woli każdy przybiera ton i sposób zachowania się podobny do otaczającego świata. Ale otoczenie wywiera wpływ stanowczy nietylko na formy zewnętrzne — przeobraża ono, i nastraja uczucia nasze. Wchodzisz w las — cisza leśna i woń, cień i chłód oddziaływa na cały twój nastrój, na tok twoich myśli. Bądź tylko szczery, nie poetyzuj, nie podsuwaj drzewom swoich myśli, ani szmerom wiatru głosu swojej duszy, a zobaczysz, że one opanują twą myśl i serce, zamilkną w tobie z domu przyniesione popędy i namiętności ludzkie, żyć będziesz przez chwilę roślinnem życiem, nieświadomy prawie własnego bytu.

Tak samo ma się rzecz w stosunku ludzi do ludzi. Instynktownie niemal wczuwamy się w ich uczucia, wmyślamy w ich myśli. Objaw ten nazywa Sourieau mimetyzmem moralnym. Do tego, aby mi się udzieliło czyjeś uczucie, nie potrzeba nawet aby się o to ten ktoś starał, wystarczy, jeśli tylko wobec mnie to uczucie wyjawi. O ileż więcej i łatwiej przejmę cudzy nastrój duszy, gdy strona druga z całą świadomością i całą siłą woli będzie się starała narzucić mi go i przelać. Tak postępuje mowca i aktor.

Według poglądu p. Sourieau, zachodzi tu suggestya t. zw. ustna. Siła jej zależy naturalnie w pierwszym rzędzie od wrażliwości słuchacza, przyczem zauważyć należy, że wrażliwość wzmaga się w prostym stosunku do ilości zgromadzonych słuchaczy.

Nic łatwiejszego, jak poruszyć tłum, choćby nawet z najrozsądniejszych i najzimniejszych jednostek złożony. Zrazu będą

się one opierały wrażeniu, potem jedna i druga rozgrzeje się i wzruszy, a jej zapał udzieli się też innym, i wkrótce ogarnie wszystkich. Niemniej ważnym czynnikiem jest osobista powaga i znaczenie mowcy — dlaczego? tłumaczyć chyba byłoby zbyteczne. Nadewszystko jednak potrzebną jest tu sztuka przekonywania i wzruszania. Przekonać kogo zawsze jest trudniej, niż go rozczulić i porwać: pierwsze wymaga argumentacyi, przeciwko której zawsze znaleść się mogą argumenta potężniejsze — drugie zawisło w pierwszym rzędzie od szczerości i stopnia zapału samego mowcy, a czasem nawet po prostu od brzmienia jego głosu, od jego powierzchowności i ruchów.

Najsilniejszą jednak suggestyę uczuć wywiera sztuka aktorska. I tu nasuwa się zaraz na wstępie stara a dotychczas nierozwiązana kwestya. Czy aktor, który łzy wyciska i brzemieniem zgrozy przywala pierś widzów, czuje co mówi, a przynajmniej dobry aktor czy czuć powinien? Swego czasu Diderot w swych przepysznych uwagach o teatrze i sztuce teatralnej odpowiedział na to pytanie przecząco. Widocznie jednak odpowiedź ta nie rozstrzygnęła ostatecznie, skoro spór toczy się o to samo dalej. Pan Sourieau nie przytacza wprawdzie głosów pierwszorzędnych artystów w tej sprawie, a bądź co bądź ich zdanie, doświadczeniem poparte, nie byłoby bez znaczenia. Jednak i między artystami dramatycznymi niema pod tym względem zgody. Przedsięwzięta w tym celu ankieta wykazała znaczną różnicę zdań. O ile sobie przypominamy, Coquelin starszy oświadczył się za zdaniem Diderota, Irving i Sonnenthal przeciw; niemniej żywym dowodem, świadczącym za przejmowaniem się aktora rolą, byłaby porywająca aktorka Dousé, chociaż, co prawda, jest ona raczej fenomenalnem i wyjątkowo świetnem zjawiskiem, niż świadomą siebie i swej sztuki artystką.

Pan Sourieau występuje również przeciw zdaniu Diderota.

Aktor odczuwa to co mówi, i nie mógłby dobrze grać, gdyby nie odczuwał. W ciekawej swej książce: *La mimique et la physiognomie,* powiada Pideret, że podczas naśladowania jakichbądź mimicznych wyrazów twarzy, nastąpić musi, skutkiem associacyi uczuć, pewne przejęcie się odpowiednim wyrazowi twarzy

nastrojem. Jak widz grą aktora, tak aktor przejmuje się i wzrusza grą swoją własną. Jest to coś w rodzaju autosuggestyi. Bliższe wyjaśnienie tej sprawy daje ostatni rozdział książki, w którym autor rozwija i do ostatecznej konkluzyi doprowadza swoje poglądy o sztuce wogóle i o jej oddziaływaniu na wrażliwość. Rozdział ten nosi napis: „zmiany osobowości". Cóż to znaczy? Oto to, iż z natury jesteśmy skłonni do pewnego rozstroju metampsychozy. Dzieci bawią się w konie, podrostki wzdychają: „gdybym był ptakiem! gdybym tak był motylem!" Wszyscy, starzy i młodzi, lubimy odrzucać na chwilę nasze własne „ja" i stawiać się w położeniu kogoś, czy czegoś innego. To przenoszenie się w kogo innego może być dwojakie: albo nasze „ja" wciela się w przedmiot rzeczywiście obecny (w człowieka lub rzecz), albo w przedmiot widziany tylko wyobraźnią. W pierwszym wypadku jest przerzucenie się osobowości po części ułatwione tem, że wszystkiemi zmysłami naraz i bezpośrednio odbieramy wrażenie przedmiotu rzeczywistego, to też wrażliwość żywiej i bezpośredniej jest dotknięta; po części zaś przeszkadza do przeniesienia się w przedmiot inny, istniejąca, oczywista, dotykalna różność pomiędzy nim a nami. W drugim wypadku przy przeniesieniu się w przedmiot wyobrażony, już nie bezpośrednio zmysły, ale tylko fantazya działa, ale też tylko fantazyę trzeba potrącić; wystarczy na to nieraz jedno słowo, a przerzucimy się sami, nie wiedząc jak i kiedy, w położenie, w istnienie przedmiotu, który w tej chwili może być o setki mil odległy. Na takich przemianach osobowości czytelnika polega cała siła wrażenia, jakie wywiera czytana książka. Żyjemy i czujemy czytając, nie swojem własnem życiem i uczuciem, ale życiem i uczuciem bohatera książki, jego oczyma patrzymy na świat, podzielamy jego wzruszenia i myśli. Kto zna *L'Histoire d'un coeur simple* Flauberta, czyż nie umierał razem z tą biedną służącą, nie miał przed oczyma wszystkich jej przedśmiertnych halucynacyj? Czytając taką straszną książkę, jak „Zbrodnia i kara" Dostojowskiego, wszakżeż budzić trzeba siebie samego i powtarzać sobie co chwila: „to przecież nie ja pociągam za dzwonek do mieszkania

tej starej lichwiarki, to nie ja, nie ja! dręczę się po nocach krwią ludzką niewinnie przelaną".

Podobnie przejmuje się swoją rolą aktor, z tą tylko różnicą, że nietylko w myśli, ale i fizycznie powtarza on czynności swego bohatera. Widz teatralny ze swej strony wchodzi niejako w nieświadomą konwencyę z aktorem: patrzy na niego i słucha go z dobrą wiarą, jakby widział i słyszał bohatera scenicznego. O tej wzajemnej konwencyi zapominamy, i to nieraz do tego stopnia, że odnosimy w teatrze wrażenie życia rzeczywistego.

Pokrewnem zjawiskiem, a raczej osobnym rodzajem przerzucenia osobowości, jest jej rozdwojenie.

Rozdwojenie osobowości może być dwojakie: czynne i bierne. Przedewszystkiem jednak należy wytłumaczyć, czem jest to rozdwojenie. W ostatnich czasach pisano o tym psychicznym objawie bardzo wiele, a powieść psychologiczna zajmowała się nim ze szczególnem upodobaniem.

Patrzę w zwierciadło na odbicie własnej mojej twarzy. Oczywiście zdaję sobie jasno sprawę, że to tylko odbicie, będące wynikiem praw optyki. Wpatrując się jednak w zwierciadło przez dłuższą chwilę, tracę zwolna to jasne poczucie różnicy pomiędzy rzeczywistą moją osobą a jej odzwierciedleniem. Widzę przed sobą mego sobowtóra, moje drugie „ja", które na mnie patrzy. I w tej właśnie chwili nastąpiło we mnie rozdwojenie osobowości, staję się sam sobie podmiotem patrzącym i przedmiotem widzianym.

Zupełnie ten sam proces rozdwojenia się osobowości odbędzie się, jeśli zamiast obrazu, odbicia w znaczeniu optycznem, będziemy się wpatrywali w nasz własny obraz psychiczny. W świadomości własnej przeglądać się można jak w zwierciedle.

Wyjaśni to przykład. Czytam przypuśćmy „Bez dogmatu". Dostatecznie rozgrzany lekturą, przedzierzgnąłem się w Płoszowskiego, czuję i myślę z nim razem równocześnie, jednak mam jeszcze świadomość mego rzeczywistego bytu. Odebrałem w tej chwili wiadomość o małżeństwie Anielki z Kromickim, ogarnia mnie głucha rozpacz — cierpię, gryzę się... a w tej samej chwili wiem, że siedzę w fotelu, przede mną leży otwarta książka,

wokoło wszystkie znajome mi przedmioty. Wszakżeż to nic innego, tylko rozdwojenie osobowości, i to rozdwojenie bierne, jak je Sourieau nazywa.

Czynne różni się tem, że podmiot, „ja“, nie poprzestaje na samem uświadomieniu sobie rozdwojenia, ale rozdwaja się także w działaniu. Takie rozdwojenie czynne zachodzi u aktora na scenie. Jedno jego „ja“ wchodzi w rolę, przejmuje się namiętnością i daje szczery wyraz porywającym je, aczkolwiek fikcyjnym uczuciom; drugie „ja“ nie traci ani na chwilę zimnej krwi, kontroluje grę, czuwa nad nią — „reżyseruje“, żeby użyć teatralnego wyrażenia.

Taki proces rozdwojenia osobowości nietylko aktorskiej towarzyszy sztuce. Wszelka artystyczna działalność na jego tle i dzięki niemu się rozwija.

Kompozytor muzyczny w chwili gdy chwyta za pióro, aby graficznie wyrazić dźwięki i harmonie, które rodzą się w jego fantazyi twórczej i brzmią w jego uszach, musi także uledz rozdwojeniu swej osobowości, połową swej istoty odczuwa i tworzy, drugą połową ujmuje w ramy technicznych środków, jakie mu dał kontrapunkt i nauka kompozycyi. Przyjrzyjmy się twórczości poetyckiej — to samo zjawisko rozdwojenia i w niej odkrywamy. Fantazya pobudzona uczuciem rodzi i przed oczyma poety przesuwa widm powiewnych tłumy, refleksya porządkuje te lotne obrazy, ustala je i w szeregu słów utrwala. Podobnie rzecz się ma w malarstwie, rzeźbie, architekturze, wogóle we wszelkiej sztuce.

Tem też tłumaczy się ogromne znaczenie, jakie we wszelkiej artystycznej twórczości posiada opanowanie i rozwinięcie technicznych środków. Artysta niewprawny, który całego rzemieślniczego aparatu sztuki swej nie posiadł i nie owładnął, zużywa zbyt wiele sił umysłowych na walkę z technicznemi trudnościami, i zanim je zdoła pokonać, już napływ fantazyi przeminął, gorączka twórcza ostygła.

Pogląd swój na rozdwojenie osobowości rozwinął p. Sourieau najszerzej w ustępach poświęconych twórczości pisarza scenicznego. Ile w tych ustępach prawdy, ile trafnych spostrzeżeń; jedno tylko możnaby autorowi w tym względzie zarzucić:

zanadto szczegółowo zacieka się w tok pracy twórczej, zbyt ją drobiazgowo określa i bada, nie uwzględniając dosyć tej nader ważnej okoliczności, że w sposobie i rozwoju pracy twórczej pisarza dramatycznego, podobnie jak we wszelkiej innej artystycznej produkcyi, indywidualny ustrój umysłu artysty pierwszorzędną odgrywa rolę. Jedynie więc typowe i wszelkim dramatycznym poetom wspólne prawa ich twórczości można badać i określać, i to jeszcze bardzo szerokiemi rysami, wystrzegając się uogólniania innych objawów twórczości, które u każdego poszczególnego dramatycznego twórcy mogą być odmienne, stosownie do jego artystycznej indywidualności.

* * *

Wyniki badań p. Sourieau, jak widać z tego streszczenia, dwojakiej są natury. Jedne odnoszą się ściśle do jego teoryi o hypnozie i suggestyi estetycznej, drugie powstały niezależnie od tej teoryi, i mogłyby się ostać nawet bez niej, jak bez niej powstały. Zaznacza to wyraźnie sam autor książki. Przystępując do streszczenia pracy p. Sourieau, my z naszej strony zaznaczyliśmy na początku, iż rozprawienie się z jego teoryą odkładamy na koniec. Zgodnie z tem zastrzeżeniem, w toku niniejszego artykułu wypowiadaliśmy swoje uwagi jedynie co do ustępów dzieła, niezależnych od teoryi zasadniczej. A jest ich wiele w książce p. Sourieau, wiele nader trafnych i subtelnych. Do najlepszych należą ustępy o technicznej wprawie ręki rysownika, o stosunku perspektywy linearnej do powietrznej i rzadkich wypadkach, kiedy oba te rodzaje perspektywy wchodzą w pozorną sprzeczność, o fizyognomice w malarstwie, o retoryce i niektórych środkach oratorskich i t. d.

Inna rzecz, jeśli idzie o samą teoryę p. Sourieau.

Artysta ma być po prostu hypnotyzerem, publiczność odgrywać ma rolę medyum, zachwyt artystyczny ma polegać na hypnozie. Brzmi to pięknie, a przedewszystkiem zaciekawiająco, ale w gruncie rzeczy jest to tylko dowcipne, może nawet i pouczające porównanie, które mogłoby przyczynić się do wyjaśnienia niejednej zagadki estetycznej i do bliższego określenia psy-

chologii artysty i widza, a względnie słuchacza. Ale *comparaison n'est pas raison,* dosłownie brać go nie trzeba i nie wolno. Prawda, że nieraz woła się w zapale: „ten obraz fascynuje mnie swym urokiem“, albo: „ten artysta to istny hypnotyzer“! Jest to sposób wyrażenia swego estetycznego zachwytu, taki dobry jak wiele innych; chcieć na nim oprzeć całą teoryę estetyczną, to doprawdy trochę zbyt śmiało! Wszakżeż czasem wołają ludzie porwani zapałem: „ten artysta to czarodziej“! Ktoś zachęcony przykładem p. Sourieau gotów napisać książkę o „Czarnej magii w estetyce“, w której działanie sztuki i twórczość artysty będzie tłumaczył „nieczystemi siłami“.

Pomysł pana Sourieau jemu samemu imponować musiał oryginalnością i śmiałością. Poparł go też całym zasobem swojej erudycyi — a tej odmówić mu chyba nikt nie może — ubrał to wszystko w nader zgrabną i wytworną stylistyczną formę, i oto jak powstała jego teorya.

Na pierwszy rzut oka olśniewająca nowością i uzbrojona w cały aparat naukowy, teorya ta ma jednak swoją piętę Achillesa, i to nawet nie jednę.

„Zdawałoby się, — pisze p. Sourieau (str. 61) — że całe używanie estetyczne polega jedynie na kontemplacyi dzieł sztuki. Pewnie, że wrażenia wywołane wdziękiem kształtów, świeżością kolorytu, harmonią dźwięków, rytmicznym spadkiem wiersza, są same przez się bardzo miłe. Ale cóżby te wrażenia były warte, gdybyśmy doznając ich, zostawali w stanie normalnym? To co nam najbardziej uprzyjemnia kontemplacyę estetyczną, to właśnie sam stan kontemplacyjny, to hypnoza“.

Więc bezpośrednie wrażenie dzieła sztuki na zmysły a przez zmysły na duszę ma być zepchnięte na plan drugi? Ależ nie co innego tylko to wrażenie odebrane za pośrednictwem zmysłów stanowi w sztuce o wszystkiem. Malarstwo inaczej jak przez oczy, muzyka inaczej jak przez uszy działać nie mogą i nie działają. Jeśli kontemplacya sama przez się ma być w gruncie rzeczy prawdziwą i najgłębszą przyczyną estetycznego używania, to cóż nam po artyzmie? Wartość dzieła sztuki będziemy oceniali nie według jego wewnętrznych i istotnych zalet, ale we-

dług tego, czy my sami mamy więcej lub mniej kontemplacyjną naturę, czyli jak chce p. Sourieau, czy będziemy łatwiejsi lub trudniejsi do zahypnotyzowania.

A powtóre, stan estetycznego zachwytu jest co prawda nie codzienny, ale niemniej przeto nie jest jeszcze anormalnym. Nie hamuje i nie obniża tętna naszego duchowego życia — chyba przeciwnie, podnosi je i wzmacnia.

Pomiędzy stanem hypnotycznym a stanem choćby najsilniejszego zachwytu estetycznego zachodzi nietylko ilościowa, ale przedewszystkiem jakościowa różnica. Hypnozie towarzyszą pewne, dość już dokładnie zbadane objawy fizyologiczne, których ani śladu niema przy estetycznym zachwycie. Tak samo następstwa hypnozy w niczem nie są podobne do następstw zachwytu estetycznego. Cała paralela między oboma temi stanami psychicznemi polega na niejakiem podobieństwie stosunku hypnotyzera do medyum z jednej, a artysty do widza lub słuchacza z drugiej strony. To też jeśli wolno porównywać z sobą te dwa stany, to tylko pod warunkiem, że się nie zatraci różnicy, jaka między istotą jednego a drugiego zachodzi. Nie można zaś zacierać różnicy tej dowolnie i sztucznie, określając jeden z tych stanów terminami technicznemi, właściwemi drugiemu.

Czuł to dobrze sam autor — i naprzód już przewidział, że jego teorya, której sam nie bardzo musiał dowierzać, niewielu znajdzie zwolenników. To też lękając się o los wielu trafnych swoich spostrzeżeń, zastrzega się z góry, że znaczna część jego pracy jest *jusqu'à un certain point indépendant de la thèse soutenue... et pourrait être admis quand on se refuserait à identifier les effets de l'art à ceux de l'hypnose.* To zastrzeżenie wygląda jak znak zapytania położony ręką samego autora nad jego teoryą.

Stosując się do życzenia pana Souriea, przyznajemy, że w jego książce jest wiele szczegółów wielkiej wartości, dla których pracę tę przeczytać bardzo warto — co zaś do jego *thèse soutenue,* uważamy ją tylko za błyskotliwy paradoks — za jednę z tych teoryj, które jak opar mglisty wznoszą się i kłębią, póki wiatr ich nie rozegna prędzej czy później.

Lucyan Rydel.

FRYDERYK OZANAM.

(Z powodu nowej książki: Frédéric Ozanam, sa vie et ses oeuvres, par Kathleen O'Meara).

Różne już typy cnoty chrześcijańskiej z kolei przesunęły się przez nasze roczniki. Dość przypomnieć ideał żołnierza — *miles Christi* — jenerała de Sonis, — wzór męża stanu, Garcia Moreno, — artystę chrześcijańskiego, Overbecka, i t. d. Rodzajność wojującego Kościoła nie ustaje w mrocznych dniach współczesnych. Owszem, walka wydana prawdzie, potęguje dzielność synów Bożych, synów światłości, i na wszystkich szlakach pracy ludzkiej i szlachetnych usiłowań, znaleść można jaką postać wybitną, godną służyć za przykład w obranym kierunku. Takim np. ideałem chrześcijańskiego profesora był Fryderyk Ozanam, urodzony w r. 1813, zmarły w r. 1853. Niejeden już hołd złożony został jego pamięci, niejedna biografia przypomniała jego cnoty i zasługi; niniejszy tomik atoli może więcej i lepiej od innych przedstawia nam to życie krótkie a pełne, tę duszę gorącą i miłującą, która się strawiła w czynnej posłudze Boga, młodzieży i ubogich.

Syn chrześcijańskich rodziców, jeden z czternaściorga dzieci słynnego wówczas lekarza, Fryderyk Ozanam po odbytych w Lugdunie studyach, udał się do Paryża, aby tam za wolą ojca zapisać się na wydział prawniczy. Zatrwożyła się dusza młodzieńca, gdy spostrzegł, jak mało wiary znajdowało się wśród słuchaczów uniwersyteckich. Doliczył się zaledwie kilku kolegów, przyznających się do katolickich przekonań i praktyki. Doktryny Saint-

Simonistów głównie wówczas nurtowały w umysłach młodzieży, podkopując przebiegle wszelką pozytywną religię. Główna owych marzycieli taktyka zasadzała się na uwielbianiu działalności Kościoła i wiary w przeszłych wiekach, zaprzeczając im wpływu za dni późniejszych; traktowali oni zakon Boży jako zwietrzałą formę myśli, w której miejsce należy włożyć jakąś mętną „religię przyszłości“ własnego układu. Do pewnego stopnia mrzonki neo-chrześcijan dzisiejszych przypominają owe Saint-Simonistów zboczenia. Sekciarstwo opanowało katedry mistrzów, zaraziło umysły uczniów, karmionych ustawicznemi wycieczkami przeciw „legendzie Genezy“, lub sofizmatami filozofii przeczenia. W tej atmosferze nawet Ozanam zaznał przelotnego zmroczenia ducha i zakosztował męki zwątpienia, ale przelotnie tylko, czystość obyczajów i pokorę wierzącego serca oddając pod straż czynnego miłosierdzia chrześcijańskiego.

Było ich kilku, może kilkunastu młodych katolików, zabłąkanych i osamotnionych wśród tłumu bezbożnych. Przedewszystkiem uczuli oni potrzebę skupienia się i porozumienia z sobą. Wytworzyli sobie tedy punkta zborne, z których jeden, mianowicie dom hr. Montalemberta, stał się rychło ogniskiem pierwszorzędnego znaczenia. „Schodzili się tu szermierze sprawy katolickiej, którzy piórem i słowem jej służyli, gromadzili się i oficerowie polscy, którzy własną krwią świeżo bronili swych najdroższych miłości, przybywali i ludzie z innych obozów, toczyły się zgodne spory, unikające dziedziny polityki, aby się w granicach nauki zamykać“. Katolicy wiecznie jeden słyszeli zarzut, ciskany im w oczy przez przeciwników Kościoła: Jeśli macie wiarę, jeżeli ona trwa i żyje, pokażcie nam jej dzieła, jej czyny.— Trzeba coś robić, coś zdziałać — powtarzali sobie zaczepieni, nie widząc na razie drogi wytkniętej przed sobą. Aż oto pewnego wieczoru, gdy im dotkliwiej wyrzucano rzekomą jałowość bujnej niegdyś wiary, kilku z nielicznej młodzieży chrześcijańskiej wpadło na myśl zawiązania stowarzyszenia niosącego pomoc ubogim i wydziedziczonym. Nie zwlekając długo, szczupły zapasik opału własnoręcznie odnieśli ubogiej w pobliżu rodzinie, gasząc na resztę zimy własne ognisko. Ozanam pierwszym był promotorem

owego miłosiernego uczynku, zawiązku konferencyj św. Wincentego, które dziś liczą tysiące członków, krocie rozdzielając pomiędzy ubogich. A nietylko osobista żądza czynienia dobrze i gromadzenia zasług dała podnietę tej szlachetnej instytucyi. Już wtedy kwestya socyalna wysuwała się naprzód, narzucała umysłom poważnym, niepokoiła ludzi daleko widzących. Zbliżyć ku sobie możnych i maluczkich, ustawić pomost miłosierdzia nad przepaściami nienawistnej zazdrości lub dumnej i obojętnej pychy, nauczyć bogatych litości, ubogich cierpliwości — oto było przewodnią myślą Ozanama i wogóle ośmiu młodych założycieli nowego towarzystwa. Przedewszystkiem chcieli oni odjąć jałmużnie charakter przymusowego lub urzędowego datku, a nadać jej cechy bratniej pomocy, nie ograniczającej się na pieniężnym zasiłku, lecz podejmującej się opieki nad opuszczonymi i wydziedziczonymi.

Ozanam kochał naukę, lubował się w pracach i poszukiwaniach swoich, nad wszystkie atoli dzieła i zajęcia życia stawiał zawsze owo ziarnko gorczyczne, któremu danem było rozrosnąć się w drzewo olbrzymie, zanim siewacz do wiecznego ułożył się spoczynku...

Tymczasem zabiegi miłosierne nie przeszkadzały studyom młodzieńca, który z posłuszeństwa rodzicowi prawniczych słuchał wykładów, kiedy raczej filozoficzne i historyczne kursa go nęciły. Śmiałe wyznawstwo cechowało Ozanama: nie wahał się upomnieć jawnie o swe przekonania, obrażane świetnemi lecz nienawistnemi prawdzie wykładami filozofa Jouffroy, który uznawszy słuszność życzeń i zastrzeżeń swych katolickich słuchaczy, miarkował odtąd swe wycieczki przeciw ich zasadom, a na łożu śmierci snać powrócił sam do odbieżanych niegdyś pewników wiary, skoro odezwał się do nawiedzającego go mędrca: „Wszystkie systemata filozoficzne razem wzięte, nie wytrzymają porównania z jedną kartką katechizmu“.

Ozanam jednocześnie uczył się wiele, zaprawiał się w rzemiośle słowa i pióra, to przewodnicząc konferencyom młodzieży, to pisując do różnych przeglądów i dzienników. Śmierć kilku młodych kolegów zwracała myśl jego ku coraz wyższym rze-

czom. „Życie całkiem inaczej mi się przedstawia, odkąd patrzałem na zgon kilku współtowarzyszów. Uczułem, iż chociaż nigdy nie odbiegłem praktyki chrześcijańskiej, niedość dotąd się zastanawiałem nad niewidzialnym światem, niedość baczyłem na obecność kroczących z nami przez życie dwóch towarzyszów: Boga i śmierci. Chrystyanizm był dla mnie dotąd raczej sferą pojęć i kultu, aniżeli sferą moralności, intencyi i czynów". Ta ciągła potrzeba czynnej służby wywodzi wciąż skromnego młodziana na pole szerszego działania i wpływu. On to głównie wyprasza u arcybiskupa paryskiego powołanie Lacordaira na kazalnicę w *Notre Dame*, on miał później zniewolić biskupa Affre do posłannictwa pokoju wśród wojny bratniej, zakończonego męczeńską śmiercią dobrego pasterza na barykadach 1848 r. A tymczasem wprzęgając drugich do czynnej służby, sam smucił się i tęsknił sobie, nie mogąc własnego doświadczyć ani rozeznać powołania. Bolał nad własnem usposobieniem, które na każdej drodze życia same tylko upatrywało trudności. Opisuje nam w listach z owej epoki wielkie uciśnienie duszne, z którem ukląkł raz do konfesyonału. „I cóż mniemasz, że mi odpowiedział kapłan? Oto rzekł do mnie słowy Apostoła: *Gaudete in Domino semper*. Miał przed sobą człowieka skalanego grzechem, złamanego śmiercią ojca, zasmuconego blizką matki utratą, znużonego mnóstwem spraw nierozstrzygniętych, zbolałego własną niedoskonałością i słabością... I temu to nieborakowi poleca nie rezygnacyę, lecz rozradowanie! *Gaudete semper!* Zaiste, potrzeba całej pobożnej bezczelności chrześcijańskiej nauki, aby w ten sposób przemawiać. A jednak chrystyanizm ma słuszność".

Czuł tymczasem próżnię życia, nie odgadując, Bóg li czy stworzenie tęsknotę serca jego zaspokoi. „Jeżeli przeznaczonem mi jest ziemską umiłować towarzyszkę, pragnę najprzód godniejszym się stać jej wyboru, pragnę aby jej wdzięki nie dozwoliły na żadne inne zwroty i żale, ale przedewszystkiem modlę się, aby mi wniosła pomoc mężnej duszy, hartownej cnoty, żeby więcej ode mnie była warta i mnie za sobą w górę pociągała, a nie zniżała nigdy; proszę Boga, aby była tem dzielniejszą im ja słabszym i lękliwszym się czuję, aby była pobożną, bom ja

oziębły, aby się litowała nad niedostatkami memi. Oto marzenia moje, dotąd niedościgłe".

Tymczasem młody Ozanam składał egzamina, zdobywał sobie stopnie naukowe. Rozprawa jego doktorska o Dantem zwróciła nań powszechną uwagę, a rozwinąć się miała później w osobną książkę p. t.: „Dante i filozofia chrześcijańska w XIII. wieku". Studya prawnicze nie dawały na razie chleba, a należało zwrócić rodzinie wyłożone na świetne wychowanie koszta. Lekcye prywatne, współpracownictwo w kilku redakcyach i świtające nadzieje profesorskiej katedry, oto czem Ozanam utrzymywał siebie, sędziwą matkę i młodszych braci. Niebawem rozjaśniła się przyszłość, gdy mianowany został suplentem słynnego Fauriela przy Sorbonie, i rozpoczął wykłady obcych literatur. Jednocześnie spotkał przeznaczoną sobie, godną siebie towarzyszkę życia, i z rzewną pobożnością wstąpił w stan małżeński. Nowożeńcy rozpoczęli wspólne życie od wycieczki w ojczyznę Dantego, dokąd nieraz jeszcze, acz w mniej pomyślnych warunkach, powracać razem mieli. Po tem wytchnieniu na ziemi włoskiej, młody profesor objął powierzoną sobie katedrę.

Niełatwem było to położenie i zadanie. Guizot, Villemain i Cousin podnieśli byli własnym geniuszem poziom nauczania, a wraz nadali profesorskiej katedrze coś ze znaczenia politycznej trybuny. Skądinąd odchrześcijanienie starej szkoły stwierdzało się wszechstronnie, i rycerskiego potrzeba było mieć ducha, aby z podniesioną przyłbicą katolickie wyznawać zasady. Niedarmo atoli Montalembert nazywał Ozanama bratem swoim i druhem mieczowym. Od razu dwudziestosiedmioletni profesor poczestne zajął miejsce wśród powag naukowych Sorbony. Nie imał się atoli polityki, nie zstępował w arenę stronniczych sporów. Gdy go pytano, do jakiego należy obozu, zwykł był odpowiadać: *Je suis du parti de la confiance!* — wyznaję zasady ufności w przyszłość, niezłomną nadzieją wierząc w postęp i zwycięstwo prawdy. Ale służąc tej prawdzie, pomijał bieżące spory polityczne, aby wyłącznie hołdować zadaniu wychowania i nauczania młodzieży, którą porywał czarem swego słowa i obejścia, serdecznością swego stosunku ze słuchaczami. Sumiennie się przygotowywał do

kursów swoich, pośrednio długiemi studyami, bezpośrednio klasyfikowaniem notatek i cytat do danego wykładu potrzebnych. Zaczem stawiał się wobec obranego przedmiotu, i przenikał takowy rozmyślaniem, trwającem dopóty, dopóki przewodniego nie pochwycił tętna chwili, nie odszukał absolutnej, moralnej prawdy wypadków lub prądów ducha. Późno w noc przeciągał owe medytacye, wczesnym rankiem je wznawiał, i nie wstępował na katedrę, nie wezwawszy uprzednio na klęczkach daru i natchnienia Ducha Św.

Rzadki wdzięk cechował jego nauczanie. Z naiwnością dziecka i marnotrawstwem bogacza wydawał z siebie nagromadzone skarby. Niejeden pojedyńczy kurs i godzina wykładu stanowiły całość doskonałą. Wiedza była dla jego ducha tem, czem wiara dla jego duszy. Pobożnem uczuciem czcił i miłował naukę, mianowicie historyę, której tajemnice badał z niestrudzonem poświęceniem. Pragnął rozświecić jej cienie, pragnął przedewszystkiem przelać w słuchaczy pracowitą swą i męską żarliwość na szlakach umiejętności.

Po wykładach, przerywanych nieraz oklaskami słuchaczów, młodzież otaczała mistrza, odprowadzała ku domowi, po drodze stawiając mu rozliczne pytania, żądając objaśnień, nie bacząc na wyczerpnięcie i znużenie Ozanama, który nigdy się nie usuwał od przestawania ze studentami. Szczęśliwym był, gdy dzięki jego zachęcie i pomocy, jaki pilniejszy i pracowitszy uczeń sięgnął po wyższe zaszczyty i wyróżnienia; cieszył się nierównie więcej, jeśli mu się zdarzyło ze skały bezbożności zakamieniałej wykrzesać iskrę wiary. „Dzięki panu, zostałem chrześcijaninem!“ — pisali do niego słuchacze, którzy wniósłszy do stóp katedry Ozanama zasób niewiary i zwątpienia, pod wpływem jego słowa i gorących przekonań utraconą odzyskiwali wiarę.

Miłość miłością wymiłować trzeba. Kochał Ozanam młodzież szkolną i wraz umiał sobie jednać miłość jej i zaufanie. Uczniowie garnęli się do niego w każdej trudności, radzili się go na każdym kroku, on zaś służył im swoim czasem, jak gdyby to należało do jego obowiązującego posłannictwa i powinności. Codziennie od ósmej do dziesiątej przyjmował młodzież, a bodaj

w poczekalni ministrów nigdy większego nie bywało ścisku. Powiedziano, iż Ozanam dojrzał przed czasem i nigdy sam nie był młodym. Zapewne, nie zakosztował młodości w burzliwem słowa tego znaczeniu, ale za to dochował się młodej ducha świeżości wtedy nawet, kiedy ona u innych więdnąć poczyna. Młode zapały, młode nadzieje, młode ideały do końca mu przyświecały. Zapewne, i on miał w życiu zawody i rozczarowania. Ilekroć atoli widział u młodszych gorące dążności i marzenia, nie rozwiewał takowych ani ostudzał zimną doświadczenia radą, owszem pobudzał święte i szlachetne zapały, nawet gdy przeczuwał, iż nie zdobędą ostatecznego skutku i powodzenia. Lepiej opalić sobie skrzydła aniżeli ich nie mieć zgoła, lepiej spaść z wysoka aniżeli czołgać się po ziemi.

Śmiałe jego wyznawstwo wzbudzało szacunek, uciszało szemrania niewierzących, zamykało usta bluźniercom. Wśród kolegów profesorów znajdował się wówczas uczony Lenormant, suplent Guizota na katedrze historyi. Rozpoczął był on swe wykłady jako sceptyk zwątpiały. Szlachetny atoli niepokój targał jego duszę, łaknącą prawdy. Przez całe trzy lata przetrawiały się w jego duszy niknące stopniowo wątpliwości, aż nareszcie ukorzył swe czoło przed zwycięską prawdą i jawnie wyznał odmianę która w nim nastąpiła. Słuchacze raz po raz burzliwie przerywali wykłady nawróconego mistrza. Podczas jednego z takich tumultów, Ozanam skoczył na katedrę, stanął obok Lenormanta i zaklął młodzież w imię wolności, aby takową uszanowała i zostawiła sumieniom. Na razie głos powszechnie lubionego profesora uciszył niesfornych, którym niebawem jednak rząd ustąpił, zawieszając do czasu wykłady Lenormanta. I Ozanam podobnego mógł się spodziewać losu. Tymczasem omijały go burze, zaklęte ogólną przychylnością. Raz tylko psotna ręka na drzwiach sali wykładowej zastąpiła wyrazy „literatury zagranicznej“, słowem t e o l o g i i. Ozanam zwykłym trybem wygłosił lekcyę, a w końcu dodał tylko: „Nie mam zaszczytu być teologiem, panowie, ale mam szczęście wierzyć, ambicyę zaś służyć prawdzie z całej duszy i ze wszystkich sił moich“. Czuli

na śmiałość Francuzi, burzą oklasków odpowiedzieli na to mężne wyznanie wiary.

Gotów zawsze czynnej udzielać pomocy dobrej woli, nawet świetnemi nie podszytej zdolnościami, Ozanam natomiast jako egzaminator rozwijał rzadką surowość. Lękał się własnej pobłażliwości i dobroci serca, zaczem w skrajną popadał ostateczność, tem ostrzej się zachowując wobec kandydatów bliższych mu lub więcej poleconych. Osobista jego łagodność znikała, ilekroć jako profesor lub sędzia egzaminacyjny w urzędowym występował charakterze, i zapominając na razie przyrodzonej dobrotliwości, ścisłą tylko sprawiedliwością dawał się powodować. Z innej zaś strony, sumienność jego pracy i pióra wzdrygała się przed brakiem wykończenia pierwszego rzutu, jakkolwiek wymownego, myśli i słowa. Opierał się podchwytywaniu swych wykładów przez stenografów, i stąd zaledwie szczupła ich liczba ocaloną i ustaloną została, z żalem samegoż Ozanama, gdy spostrzegł i zmierzył pełność studyów nad „cywilizacyą w V. wieku“, które dopiero po jego śmierci ogłoszono drukiem. Nosił się z zamiarem spisania dziejów oświaty od V. do XIII. wieku, wykazując dobitnie iż wbrew twierdzeniu bezbożnych, była ona dziełem i kwiatem chrześcijaństwa.

„Tkwi na dnie duszy ludzkiej — pisał Ozanam u wstępu do studyów, których dokończyć nie było mu danem — pewien osad niewygasły pogaństwa, budzący się raz po raz, jak np. w naszym wieku, który wiecznie zawraca ku pogańskim filozofiom, sztukom i prawom, znajdując w nich zaspokojenie swych żądz i ślepych instynktów. Większa część Niemiec, wszystkie szkoły sensualistyczne jednej bronią tezy, oskarżając chrześcijaństwo o stłumienie naturalnego rozwoju ludzkości okiełznaniem ciała, odkładaniem do życia przyszłego szczęścia, którego należało się dobijać na ziemi, rozwianiem zaczarowanego greckiego świata, w którym ubóstwiano siłę, rozkosz i dostatki, stawiając natomiast świat inny, smutny, gdzie czystość, ubóstwo i umartwienie u stóp krzyża czuwają... Podczas gdy katolikom wypadło bronić zagrożonej doktryny, bezbożni próbowali opanować dziedzinę historyi. Sięgnęli po wieki średnie, zasądzili

Kościół, raz z nienawiścią, to znów z uszanowaniem przynależnem wielkiej niby ruinie, najczęściej z zupełną lekkomyślnością i złą wiarą. Wypada nam odzyskać utracone dziedziny, odbić grunt, który do nas należy, skoro uprawiali go nasi zakonnicy i mnisi, nasi Benedyktyni i Bollandyści. Owi pobożni mężowie ślęczyli nad dokumentami i legendami, nie mniemając iż przez to marnują czas swój i życie. Nie znam nic cudowniejszego, nic coby dowodziło dobitniej boskości chrystyanizmu, nad to ocalenie myśli ludzkiej z powszechnej zagłady.

„Piszę ja, bo skoro mi Bóg nie dał siły, aby pługiem ziemię orać, muszę jednak wypełnić przykazanie trudu i zadaniu pracy sprostać. Piszę tak jak pracowali owi pobożni wieków pierwszych rzemieślnicy, którzy lepiąc naczynia ze szkła czy gliny na powszedni kościoła użytek, ryli w nich niezręczną ręką postacie Dobrego Pasterza lub Świętych Pańskich. Biedni ci ludzie nie myśleli zgoła o przyszłości, tymczasem odłamy tychże prostych naczyń, odnalezione po upływie piętnastu wieków w opuszczonych cmentarzyskach, starczyły, aby dać świadectwo zaprzeczonemu dogmatowi...

„Wszyscyśmy sługami nieużytecznymi, ale dobremu służymy gospodarzowi, który nie da zaginąć jednej kropli potu naszego, jak żadnej kropli rosy nie daje iść na marne. Nie wiem, jaki los czeka książkę moją, nie wiem nawet czy potrafię ją dokończyć, czy zapiszę tę kartkę, która z rąk moich wypada. Tyle wiem, iż w niej złożę resztę dni moich i zapałów“.

Przeczucie niedalekiej śmierci, przerwanie tylu rozpoczętych prac i badań, coraz częściej zasmucało myśl i pióro dzielnego szermierza. A nietylko odejść miał od umiłowanych przedmiotów swych znojów, lecz i węzły rodzinne się zacieśniały, krwawiąc mu serce blizkością rozstania. Chrześcijanin ten doskonały w życiu publicznem, wnosił całą tkliwość i cały hart cnoty chrześcijańskiej w życie prywatne i rodzinne. Ciasne ramy niniejszego sprawozdania zaledwie nam pozwolą kilka przytoczyć rysów. Oto np. co pisał po urodzeniu swego dziecka: „Cóż to była za chwila, gdym usłyszał pierwszy krzyk mego dziecięcia! gdym ujrzał tę małą istotkę, to nieśmiertelne stworzenie, które Bóg

w moje oddawał ręce, które mi przynosiło tyle słodyczy, a wraz i tyle zobowiązań! Rozpoczniemy zawczasu wychowanie naszego aniołka, on zaś nawzajem nas wychowywać będzie, spostrzegam bowiem, iż nam go Bóg zesłał, aby nas wiele nauczyć i udoskonalić. Nie mogę patrzyć na tę miłą twarzyczkę, tak czystą i niewinną, aby w niej nie odnajdować natychmiast świętego obrazu i podobieństwa Bożego, mniej zatartego aniżeli w nas samych. Niepodobna nie pomyśleć o tej duszy nieśmiertelnej, z której zdać kiedyś muszę rachunek, żeby nie przejąć się wraz żywszem mych obowiązków poczuciem. Jakże tu uczyć dziecko moje, jeżeli wprzódy tych nauk nie wypełnię? Alboż Bóg znaleść mógł środek wdzięczniejszy dźwignięcia mnie i sprowadzenia na drogę wiodącą do niebios?“

W dzień swego ślubu, gdy młodą żonę do własnego zawiódł mieszkania, opowiedział jej próby zwątpienia, które nagabywały jego młodość, wyznał, jak z nich wyszedł zwycięsko, i jak ślubował odtąd poświęcić się służbie Bożej i obronie prawdy. Odtąd codzienne składał niebu dzięki za otrzymaną łaskę i ustąpienie pokus niewiary; zaczem prosił żonę, aby się połączyła z nim w dziękczynnej modlitwie, którą wspólnie aż do ostatniego dnia życia powtarzali razem.

Niepodobna nam rozbierać piśmiennej spuścizny Ozanama; wypełniła ona dziesięciotomowe wydawnictwo, przekazujące potomności cząstkę zaledwie tego lotnego słowa, które porywało, zagrzewało i uskrzydlało słuchaczów. Niebawem zachwiane zdrowie nie pozwoliło Ozanamowi wytrwać na ukochanym posterunku. Rozwinęła się w nim słabość piersiowa, którą nie zażegnały przedłużone na południe wycieczki. Nie znał bezczynności, do ostatka martwiejącą ręką pisał, gromadził materyały, zbierał notatki. Słuchacze jego szemrali na powtarzające się urlopy ulubionego profesora. Dotknięty ową pogłoską, raz jeszcze stanął na katedrze, rzucił pęk najwymowniejszych obrazów, najlogiczniejszych wywodów. Przerywały mu oklaski i okrzyki zgromadzonych i gotujących mu ostatni tryumf uczniów. „Wiek nasz, panowie, uchodzi za epokę przemagającego egoizmu, i samychże profesorów pomawiają o uleganie powszechnej zarazie. A jednak

tu wyczerpujemy siły nasze i zdrowie. Nie narzekam ci ja na nic: życie nasze do was należy, i do ostatniego tchnienia wam je oddajemy. Jeżeli mi przyjdzie umrzeć niedługo, padnę w waszej usłudze!“

Wysilenie to dobiło czterdziestoletniego zaledwie Ozanama. Jeszcze spróbowano klimatu Pizy i nowej wędrówki po Włoszech, aby przedłużyć podkopane zdrowie. Daremnie! zdobył się na ostatnią ofiarę i zupełne poddanie, żegnając żonę i dziecko, braci i przyjaciół, uczniów i ubogich, rozpoczęte prace i dzieła. Ale nie darmo pracują dusze tej miary i wiary. Choć im nie danem wykonać całego zakreślonego sobie zadania, ich to pług rozorywa niwę, ich ręka rodzajny rzuca zasiew, innym zostawiając pociechę, rozkosz i chlubę żniwa i zbioru.

Ostatniemi zachody dobiegającego do kresu życia, założyciel pierwszych konferencyj św. Wincentego usiłował w miastach włoskich zawiązać owe stowarzyszenia czynnego miłosierdzia. Oto, jakiemi słowy odzywał się do pewnego wpływowego w Syennie kapłana: „Macie wśród siebie dzieci możnych i bogatych. Ach, mój Ojcze! jakaż korzystna to nauka dla miękkich i zwątlałych serc, przedstawiać im ubogich, ukazywać Chrystusa Pana nietylko w ołtarzach lśniących od złota i światła, nietylko w obrazach ręką mistrzów malowanych, lecz uosobionego w ranach i nędzy ubóstwa! Mówiliśmy o czczości, słabości i nieudolności ludzi nawet pobożnych, wśród szlachty francuskiej i włoskiej. Alem przekonany, iż jest to wynik jednego w ich prowadzeniu i wychowaniu niedostatku; jednej rzeczy ich nie nauczono, jedną tylko z imienia znają, a trzeba ją oglądać z blizka, aby umieć ją znosić gdy wybije godzina... Tą rzeczą to ból, to niedostatek, to cierpienie. Niechaj ci młodzi panowie wiedzą co to głód, co pragnienie, co nędza ubogiego poddasza. Potrzeba, aby widywali nieszczęśliwych, chore, płaczące dzieci, potrzeba, aby ich widywali i ukochali. Albo ten widok poruszy ich serce, przyspieszy onego tętna, albo już zwątpić nam o dzisiejszem pokoleniu! Ale nigdy nam nie wyrokować z góry o śmierci młodej duszy chrześcijańskiej. *Nie umarła ona, ale śpi*“.

W przełomach, które naznaczyły połowę bieżącego wieku

Ozanam upatrywał daleko bardziej socyalne aniżeli polityczne gorączki i przewroty. Dlatego przedewszystkiem w miłosierdziu chrześcijańskiem widział lekarstwo skuteczne na choroby wieku: „Codzień się poszerza rozbicie społeczne. Nietyle opinie polityczne, co materyalne interesa rozdzielają ludzi: tu obóz bogatych, tam obóz ubogich, z jednej strony egoizm, który chce wszystko zatrzymać, z drugiej egoizm, który radby wszystko odebrać i zabrać; między obydwoma nienawiść nieprzejednana, pogróżki blizkiej wojny, która stałaby się walką zagłady. Jeden pozostaje środek zbawczy: oto aby w imię miłości i miłosierdzia chrześcijanie między dwoma stanęli obozami, przechodząc od jednych do drugich; niechby od możnych hojne wypraszali jałmużny, od ubogich żądając rezygnacyi i poddania. Niechby ubogim nieśli dary obfite, bogatym wdzięczność rzewną i wymowną, obustronnie bratnie wznawiając i wzbudzając uczucia, zaszczepiając wygasłą w obu obozach miłość. Miłość ta stłumi dwustronny egoizm, ostudzi dwustronne niechęci, aż wkońcu przeciwne zjednoczą się obozy, zwalą mur dawnych uprzedzeń, aż wszyscy porzucą broń nienawiści i spotkają się w jednym uścisku, aby odtąd tworzyć jedną tylko owczarnię pod jednym pasterzem“.

Jak widzimy, niedarmo Ozanam szeregował się pod znakami nadziei i do stronnictwa ufności się zaliczał. Wszystkie jego pisma i słowa tchną chrześcijańskim optymizmem i otuchą, a i w ostatnich dniach choroby jeszcze go pogoda ducha nie odbiegła, jak go nie odbiegła i w dniach lutowych, i w najmroczniejszych chwilach życia. Takiego to człowieka przedstawia nam pióro p. O'Meara, mnożąc przytoczenia z własnych listowań i zapisków Ozanama. To jedno jużby zapewniło wartość i poczytność książki, stawiającej nam przed oczy jedną z najpiękniejszych i najbardziej pociągających postaci naszego wieku, ideał nauczyciela w szczytnem onego miana zrozumieniu i znaczeniu.

M.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Księga pamiątkowa wiecu katolickiego w Krakowie, odbytego w dniach 4, 5 i 6 lipca 1893 r. Wydał *ks. prałat dr. Chotkowski.* W Krakowie. W drukarni „Czasu". 1893. (Str. XVI, 754).

Niektórzy, niecierpliwsi uczestnicy katolickiego wiecu pytali od pewnego już czasu: „Czemuż dotychczas przyobiecane sprawozdanie z wiecu jeszcze się nie ukazało?" Dziś, gdy tę — nie proste sprawozdanie, nie broszurę, nie książkę, ale w pełnem i najściślejszem słowa znaczeniu „Księgę pamiątkową" mają przed sobą, pytać chyba muszą: „Jak to może być, aby wydawca zdołał w przeciągu zaledwie kilku miesięcy, tyle różnych osób, w tak różnych miejscach przebywających zniewolić prośbą, może czasem i groźbą do nadesłania sobie potrzebnych materyałów; jak wydążył je uporządkować, obszernym wstępem opatrzyć, i wreszcie — nie najdrobniejsza to praca — dopilnować druku przeszło 50 arkuszy. Niemałą była energia ks. Chotkowskiego w przyprowadzeniu do skutku i przeprowadzeniu obrad wiecowych; nie opuściła go i po ich ukończeniu, i jej to zasługą, że patrząc na grubą, pod każdym względem wspaniale przedstawiającą się „Księgę pamiątkową", można obecnie z całą słusznością powiedzieć: *Finis coronat opus.*

Piękny ów „koniec wieńczący dzieło" i ze względu na owe piękne i pożyteczne „dzieło", które w pamięciach utrwala, i ze względu na przyszłe, da Pan Bóg, wiece, dla których „Księga pamiątkowa" jest zarazem najpraktyczniejszą księgą przygotowawczą, informacyjną; i wreszcie sam w sobie, bo podobne referaty i dyskusye poruszają naj-

ważniejsze pytania, interesujące każdego katolika-Polaka, dają na nie wyczerpujące odpowiedzi z bardzo różnych, a niejednokrotnie najbardziej kompetentnych ust, wskazują, jakie odnośnie do nich panują w kraju zapatrywania; uczą, co się dotąd w tym lub owym kierunku zrobiło, co i jak zrobić koniecznie należy.

Już sam treściwy opis przedwstępnych czynności które podjąć, trudności z któremi walczyć było trzeba, niezmiernie jest i ciekawy i na przyszłość pouczający. Wydawca opowiada nam tu po prostu, cytując odnośne listy i dokumenty, skąd myśl wiecu wyszła, kto do jej rozwinięcia głównie się przyczynił, jakiemi szła drogami, na jakie napotykała zawady, jakie nieraz u najlepiej myślących wzniecała obawy, jakich nawet jawnych napotkała przeciwników. Nietrudno wytłumaczyć, z jakiego źródła płynęły te trudności i obawy: wiec katolicki był u nas czemś nieznanem, wielu, jak z przytoczonych dokumentów widać, przedstawiało go sobie w zupełnie fałszywem świetle; jedni lękali się, aby to nie była jakaś antysemicka demonstracya, inni obawiali się znowu wiecu „szlacheckiego“, jeszcze inni „chłopsko-demokratycznego“. Dziś, gdy wszyscy przekonać się mogli, a z „Księgi pamiątkowej“ dokładniej się przekonają, że wiec „katolicki“ z samej natury rzeczy i nazwiska żadnemu w szczególności stronnictwu służyć nie może, z żadną polityczną partyą jako taką się nie solidaryzuje — obawy te, spodziewać się można, już się nie powtórzą, i przy następnym wiecu bruździć nie będą.

Przebieg sesyj uroczystych podany już był w swym czasie bardzo szczegółowo w pismach codziennych; wygłoszone w czasie nich mowy duchownych i świeckich dostojników, dotarły głośnem echem do najdalszych zakątków; spotykamy się też z niemi w „Księdze pamiątkowej“ jako z dobrymi znajomymi, których pamięć sobie odświeżyć i miło i pożytecznie. Obrady sekcyjne, to — w największej przynajmniej części — już nie dawni, ale zupełnie nowi znajomi. W dziennikach ledwie drobną, parowierszową wzmiankę można o nich wyszukać; a i ci, co w samym wiecu brali udział żywy i czynny, musieli z konieczności rzeczy ograniczyć się na uczestniczeniu w naradach jednej, najwyżej dwóch sekcyj, podczas gdy na wiecu było ich aż ośm. Obecnie dopiero, gdy kolejno, spokojnie i z uwagą przebiegamy referaty wygłoszone w ośmiu tych sekcyach, i bardzo nieraz ożywioną, prawie zawsze bardzo interesującą dyskusyę, referatami temi spowodowaną — obecnie dopiero, gdy nie jeden, dwa szczegóły, ale cały obraz przed okiem się rozwija, jesteśmy w stanie prawdziwie i słusznie go ocenić.

Ileż to np. poruszono najważniejszych, najbardziej aktualnych kwestyj w sekcyi szkolnej; jak wyczerpująco je przedyskutowano; ile światła dyskusya ta rzuciła na szkolne nasze stosunki, na konieczną potrzebę zaprowadzenia pewnych reform w tych stosunkach, na to, czem te reformy byćby miały. Z przemówień profesorów gimnazyalnych, nauczycieli ludowych dojść można do przekonania, iż oni, wbrew temu co nieraz głoszono, nie są, w znacznej przynajmniej i najlepszej swej części, bynajmniej przeciwni szkołom wyznaniowym. Jeden z nich energicznie zaprotestował przeciw rozszerzonemu pojęciu, jakoby nauczyciele żenowali się do pewnego stopnia mówić o szkole katolickiej. „Na konferencyach czy poza niemi mówimy tak, jak się tu mówi o szkole wyznaniowej i katolickiej. Przecież wszyscy jesteśmy katolikami, katolickie wychowujemy dzieci i interes katolickiego wychowania rozumiemy doskonale". Inny również stanowczo się zastrzegł przeciw zdaniu: „Nauczyciele ludowi boją się szkoły wyznaniowej, gdyż boją się księży i rządów księży". — „Nie! nie boją się, bo nauczyciele ludowi nie stoją na tak nizkim stopniu oświaty, żeby nie rozumieli kwestyi wyznaniowości szkoły... Przeciwnie, nauczyciel uczciwy jest miłym księdza towarzyszem, często przyjacielem, i zwykle, gdzie dobra szkoła, tam nauczyciel z księdzem idzie ręka w rękę". Jeszcze inny zwrócił uwagę, jak wielkiej wagi jest przykład profesorów w szkole. „Nie ulega wątpliwości, że gorliwy udział profesorów w nabożeństwach i przykładne wykonywanie katolickich praktyk religijnych, jak np. przyjmowanie Komunii św. wspólnie z uczniami, wywrze zbawienny wpływ na uczniów, zbuduje takowych". W innej dyskusyi znajdujemy cały szereg bardzo trafnych uwag o przyczynach i drogach, któremi zgubny indyferentyzm szerzy się między młodzieżą: dlaczego młodzież nasza nie jest w nauce religii należycie utwierdzoną, a praktyki religii mniej u niej przynoszą owoców; jak i dlaczego obyczaje jej się psują? Podniesiona z naciskiem ważna kwestya rekolekcyj szkolnych i konieczność przeniesienia ich na inny, odpowiedniejszy czas, winnaby zwrócić szczególną uwagę wszystkich, którzy wpływają na losy i kierunek naszej szkoły, bo istotnie, jak to niezbicie najbardziej kompetentni mowcy udowodnili, odprawiane dziś po szkołach przed Wielkanocą rekolekcye, jeżeli może szkody nie przynoszą, to i korzystnemi owocami nie mogą się pochwalić.

Rozwiedliśmy się nieco szerzej nad paru punktami, które szczególniej nas uderzyły w obradach sekcyi szkolnej, aby z tego jednego przykładu dać poznać, ile pilny czytelnik może znaleść w „Pamiątkowej

księdze“ cennych uwag, praktycznych spostrzeżeń. Na sekcyi dajmy na to życia katolickiego, na sekcyi dziennikarskiej, aby te dwie tylko przytoczyć, niemniej ważne i interesujące kwestye były poruszane. Kto zacznie czytać np. referat o towarzystwach i zakładach dobroczynnych w Galicyi, o kongregacyach maryańskich w Polsce, o katolickich czytelniach; kto rzuci okiem na ożywioną dyskusyę, jaka wywiązała się po referatach o dziennikarstwie lub niemoralności w literaturze i sztuce— ten z pewnością książki nie złoży, dopóki nie dobiegnie do ostatniej linii odnośnego referatu czy dyskusyi. Kończymy też krótkie to — słusznie może zarzucićby należało, że za krótkie — nasze sprawozdanie gorącem życzeniem, aby każdy, kto sprawą religijnego i moralnego rozwoju u nas prawdziwie się interesuje, zechciał choć raz wziąć do do ręki „Pamiątkową księgę“, zechciał choć kilka kartek, na chybił-trafił, z niej odczytać.

B.

Zwyczaje towarzyskie dla osób duchownych, podług X. L. Brancheau, rekt. sem. duch. w Orleanie. Zastosował do potrzeb miejscowych i wydał *X. Wł. Szcześniak*, Vice-Regens sem. metrop. św. Jana. Warszawa 1893, u Niemiery. (W 8-ce, str. VI, 282, II. Cena rs. 1 kop. 20).

Wiele pożytecznych wskazówek znajduje się w tej książeczce. Treść jej bardzo obfita, podzielona jest na trzy części. Pierwsza o życiu prywatnem, więc: utrzymanie ciała, mieszkanie, ułożenie i sposób życia duchownych. Druga o stosunkach towarzyskich, jakoto: ukłonach, wizytach, obiadach, grach i t. d. Trzecia o uprzejmości w mowie i w listach.

Dla profesora teologii pastoralnej wielką to dziełko może być pomocą; ale dawać je wprost w ręce kleryków, nie sądzimy aby było z wielkim ich pożytkiem. Młody człowiek chciwy ogłady towarzyskiej (jeśli jej w domu nie mógł nabyć) zrobi sobie z takiego dziełka pewnego rodzaju kodeks praw, a tem samem piękne formy towarzyskie, a więc w wysokim stopniu życiowe, przemienią mu się mimo jego woli i wiedzy w martwe paragrafy. Będzie się miał za bardzo ugrzecznionego i miłego w towarzystwie, a w rzeczywistości będzie tylko lichą kopią francuskiego *l'abbé*.

Ile na tem ucierpi naturalny wdzięk obcowania, jaki daje cnota, łatwo zrozumieć. A właśnie tą naturalną a szlachetną prostotą obejścia odznaczają się Koroniarze, w szczególności Warszawianie. I szan. autor będąc jednym z nich, widocznie tego przymiotu w nich i w sobie nie

spostrzegł. Z tego też powodu i „zastosowanie do potrzeb miejscowych“ tych cudzoziemskich zwyczajów towarzyskich, nie mogło dobrze wypaść.

I tak, niektóre czysto francuskie należało w polskiem tłumaczeniu stanowczo opuścić. Np. całowanie się (a więc w twarz) z matką, jakże jest przeciwne naszej czci względem rodziców. Także francuski sposób podawania wody święconej przy wchodzeniu do kościoła, Polakowi musi się wydać dziwnym, że nie powiem teatralnym. Również czyż można polskim księżom zabraniać innych kapeluszy jak tylko z półkulistem denkiem i wielkiem rondem? Albo tytułowanie penitentów: „moja droga duszo“, jakże ckliwe dla polskiego ucha. Albo znów owa kwestya: „do kogo należy wzięcie inicyatywy (jak się autor wyraża) w ukłonie przy spotkaniu“ (str. 69); jakie to drobnostkowe. Lub niezdejmowanie kapelusza w „przedpokoju adwokata, rejenta lub innego jakiego urzędnika, w biurze i wszędzie zresztą, gdzie się spotyka pewną liczbę osób zebranych“ (tamże). Jeśli jesteśmy za granicą, stosujemy się do tego zwyczaju, ale czemuż się mamy dopuszczać takiej gburowatości u siebie? Już to objawy wzajemnego szacunku nie zawsze się uszlachetniają w pochodzie swym na Zachód, a od amerykańskich — niech nas Pan Bóg broni.

Z polskich znów dobrych zwyczajów można było z pożytkiem o niektórych pomówić, np. kiedy i gdzie używać powitania: „niech będzie pochwalony Jezus Chrystus“, lub kiedy i komu pozwalać ręki do pocałowania i t. d.

Niektóre znów rzeczy i sam autor francuski niepotrzebnie w książce wyłącznie dla księży umieścił. Dlaczego np. podawać prawidła dobrego zachowania się przy grze w karty, kiedy cała ta gra jest tak dla księdza niestosowna, a w wielu razach i wprost przez Kościół wzbroniona? Po co np. uczyć księdza, jakie potrawy i w jakim porządku mają być podawane na stół? Jeśli będzie potrzebował dawać proszone obiady, toć się bez kucharza i służących nie obejdzie. Albo znów co ma za związek ze zwyczajami towarzyskiemi pobożne i świątobliwe odprawianie Mszy św.? Czyż tego ma się ksiądz uczyć dopiero z podręcznika światowych konwenansów?

Sama książeczka napisana jest, czyli tłumaczona, płynnie, jasno, ale stylem bardzo francuskim.

Sądzimy, że i bez naszego zalecenia dziełko to znajdzie pokup; bojaźń wstydu z niezachowania form towarzyskich sprawi to skuteczniej niż utarta formułka, zakończająca zwykle recenzye.

Записки Тов ім. Шевченка, впорядковав Олександеръ Барвиньскій. Том II. У Львові 1893. (Str. 1—189, w 8-ce).

Widoczny prawie na każdem polu postęp ku lepszej przyszłości w rozwoju kulturnym Rusinów narodowców, zaznaczył się i w ich literaturze. Ze sprawozdania umieszczonego przy końcu II. tomu wydawnictwa naukowego Towarzystwa im. Szewczenki, dowiadujemy się, że ono choć tak niedawno zorganizowane, liczy już około 140 członków, którzy nietylko materyalnemi ofiarami, ale bardziej jeszcze pracą naukową mogą utworzyć dla literatury ruskiej poważną naukową instytucyę. Dotychczas bowiem same tylko wydawnictwa ludowe cieszyły się stałą opieką na ten cel założonej przed 25 laty instytucyi *Proświta*. Partya moskalofilska ma swoje wydawnictwa im. Kaczkowskiego, rozprawy zaś czysto naukowej treści musiały błąkać się albo po fejletonach gazet politycznych *(Diło)*, albo zapełniały ilustrowany dwutygodnik *Zoria*, albo miesięcznik *Prawda*. Założyli wprawdzie Rusini już w r. 1848 naukowe towarzystwo *Ruska Matycia*, jednak ta dostawszy się w niewolę moskalofilską, śpi snem głębokim, i niekiedy tylko przebudzona wypuszcza w świat tak zwany *Literaturno-naukowy sbornik* w języku *Haliczanina*.

Rusini narodowcy już od lat czterech starali się, ile to być może, skupić około jednego wspólnego ogniska wszystkie swe siły literackie i naukowe, i w tym celu założyli naukowe towarzystwo, które rozwijając się, stałoby się z czasem dla Rusinów tem, czem dla innych narodów są akademie umiejętności. Zabiegi ich, mimo trudności nawet ze strony samychże niektórych krótkowidzących narodowców *(Diło)*, powiodły się szczęśliwie, gdyż Namiestnictwo pozwoliło istniejące już Towarzystwo im. Szewczenki, z dotychczasowym charakterem więcej przemysłowym niż naukowym, posiadające jednak wielką drukarnię i znaczny kapitał, przekształcić na towarzystwo naukowe, a raczej rozszerzyć jego statut tak, aby obydwom celom mogło skutecznie służyć.

Rok pierwszy swego istnienia zaznaczyło świeże to a wiele obiecujące towarzystwo naukowe 20-stu-kilku posiedzeniami, zawiązało stosunki z towarzystwami naukowemi innych narodowości, utworzyło z członków swoich różne sekcye naukowe (filologiczna, historyczna, filozoficzna, przyrodnicza), odbywające każdego miesiąca swe zebrania. Dalej przeprowadziło w szczegółach reformę dawnego statutu Tow. im. Szewczenki, zwiększyło kapitał, zapewniło dla siebie nowe źródło dochodu przez podjęcie się drukowania i wydawania książek szkolnych,

i oprócz innych zarządzeń wewnętrznej natury, wydało dwa tomy (objętości 13—14 ark.) pierwszych swych prac naukowych.

Niedziw, że przy takim pięknym a raźnym początku jest nadzieja piękniejszego jeszcze i na większą skalę rozwoju, a z nim i literatury ruskiej. Będzie to zależało przedewszystkiem od tego, jakiej treści i jakiej wartości pracom wydawnictwo Towarzystwa otworzy miejsce w łamach swego organu, który jest niejako barometrem wnętrznej siły i moralnej niemniej jak intelektualnej wartości naukowych towarzystw. Jeżeli organ Towarzystwa przed publicznością zawsze występować będzie z prawdziwą nauką, nie zaś z samemi tylko pozorami nauki, a przytem z treścią ogół interesującą, wtedy i publiczność interesować się będzie Towarzystwem i literaci ubiegać, by ich prace znalazły wstęp do Towarzystwa. Przeciwnie, jeżeli pod pokrywką nauki znajdą przyjęcie w wydawnictwie fałsze naukowe, wtedy zdrowy sąd publiczności odrzuci je, literaci sumienni usuną się, a Towarzystwo zamiast chluby, zgubą się stanie dla literatury i trucizną dla czytających. Robimy tę uwagę nie bez celu, gdyż właśnie czytamy w sprawozdaniu Towarzystwa, że do jego wydawnictwa obiecał nadsyłać swe prace... p. Iwan Franko, znany socyalista radykalno-demokratycznej partyi ruskiej. Nie odmawiamy p. Frankowi talentu i erudycyi, ale też wszystkim wiadomo, jak fałszywe, bezbożne i zgubne pod każdym względem zasady pseudo-filozoficzne, przedewszystkiem etyczne przewodniczą całemu życiu p. Franka. Czyż więc Towarzystwo naukowe im. Szewczenki, które tak chętnie witają uczciwi Rusini z całej Rusi-Ukrainy, zaraz w swym zarodku karmić się będzie zatrutą nauką radykałów? Spodziewamy się, że do tego nie przyjdzie, owszem sądzimy, że stanie ono chlubnie do walki przeciw zgubnym prądom radykałów i socyalistów, którzy tak niebezpiecznie zarażają już budzące się życie ludu ruskiego w najpiękniejszych jego odłamach, na Podolu i w Kołomyjskiem. Sądzimy zaś to tem pewniej, że w sekcyach Towarzystwa widzimy ludzi znanych z prawdziwej nauki, z zasad uczciwych i religijnych, widzimy księży, profesorów uniwersytetu, a na czele Towarzystwa stoi ogólnie znany z umiejętnego prowadzenia spraw ruskiego życia narodowego, prof. Aleksander Barwiński. Z takim wytkniętym kierunkiem Tow. naukowe im. Szewczenki może liczyć na piękną przyszłość, obfitą w dobre owoce dla sprawy ruskiej.

Wypada jeszcze choć kilka słów powiedzieć o pojedyńczych rozprawach, które weszły w ten II. tom wydawnictwa Tow. im Szewczenki. „Starodawne greckie kolonie bosforskie w granicach obecnej

krainy kubańskiej“ (Panaczowny), napisane dość pięknym językiem i jasnym stylem, dają wiele interesujących szczegółów tak o teraźniejszej jak i starożytnej fizyognomii Meotydy. Do oryentowania się służy przydana osobna mapka. Autor obeznany z tą krainą, dość przekonywająco prostuje niektóre niedokładne albo nawet mylne uwagi Kieperta, Herza, Felicyna i innych. — *Studyi nad osnowamy rozkładu bohactwa* (Rylski) przedstawione bardzo niejasno, zawikłane i gubią się w samych hipotezach i zbytnich abstrakcyach. Praktycznej a nawet naukowej wartości, mojem zdaniem, ta rozprawa nie ma żadnej, wyjąwszy chyba niektóre statystyczne dane, które nibyto mają poprzeć oderwane teorye autora.—Na trzeciem miejscu dr. Czerniachowski traktuje kwestyę należącą do pisma specyalnie lekarskiego.—P. Iwanow (w *Kartce z istoryi Wołynia na pocz. XIV. w.)* rozbiera z erudycyą pytanie, kto był Jerzy II., o którym wspominają akta z 1325, 1327, 1334, 1335, 1339 r. i mianują go *Georgius dux Russiae, dux Galiciae et Lodomeriae, heres regni Russiae* i t. d. Autor polemizuje przeważnie z uczonym Rzeżabkiem, który Jerzego II. uważa za jednąż osobę z Bolesławem Trojdenowiczem. Ostatecznego rozwiązania nie podaje. — Na czwartem miejscu p. Sergijenko podnosi znaczenie w literaturze ruskiej Kotlarewskiego i zaznacza bardzo trafnie, coby Rusinom wypadało jeszcze zdziałać, ażeby jego stanowisko i wpływ w literaturze ruskiej dokładnie wyświetlić. — Wkońcu dodano recenzyę historycznej rozprawy prof. d-ra A. Lewickiego: „Powstanie Świdrygiełły“ (Kraków 1892), i Franciszka Makulskiego: „Bunty ukraińskie“ (z r. 1770).

Pl.

Żywot Kaspra (Melchiora) Leliwity Miaskowskiego. Napisał *Józef Leon Wierzbicki.* W Wadowicach. Nakładem funduszu naukowego. 1893.

Wiek XVI. i pierwsza połowa XVII., szerokie to zaiste i piękne pole do studyów nad piśmiennictwem polskiem, na którem dotąd jeszcze stosunkowo niewiele pracowało osób, a zarazem bogata skarbnica nader cennego materyału, który nierychło da się wyczerpać w całej swej rozciągłości. Z przyjemnością też wita nasz ogół każdą monografię literacką, poświęconą tej epoce i stawiającą nam przed oczy postać jednego z ówczesnych poetów lub pisarzy, których dzieła złożyły się na utworzenie okresu, zwanego złotym wiekiem literatury polskiej. Z tego więc względu powyższa praca p. Wierzbickiego zasługuje na uwagę i uznanie. Należy też przyznać, że w zbadaniu rodzinnych sto-

sunków Kaspra Miaskowskiego i rozmaitych okoliczności, jakie towarzyszyły jego życiu, złożył autor tej monografii dowody niezwykłej skrupulatności, sięgając, o ile się dało, do jak najlepszych źródeł. Powinnibyśmy poczytać mu to za zasługę, gdyby z drugiej strony p. Wierzbicki nie kładł zbyt wielkiego nacisku na szczegóły podrzędnej wagi, tak, że w tym chaosie niekiedy postać samego poety niedość jasno i wypukle występuje z ram obrazu. Wogóle jednak praca ta, jakeśmy to już zaznaczyli, odznacza się drobiazgową niemal sumiennością, stanowisko zaś, z jakiego autor zapatruje się na charakter i utwory poety, nic nie pozostawia do życzenia.

Co do stylu, to wogóle jest on dość poprawny, chociaż tu i ówdzie dają się napotykać mniej udatne zwroty, ale brak niemal zupełny wszelkiej barwności i estetycznego wdzięku czyni go suchym i ciężkim. Dlatego też książka p. Wierzbickiego, wyborna jako materyał, pod względem literackiej wartości daleko mniejsze ma znaczenie.

Tytus Sopodźko.

Opowiadania z dziejów kraju rodzinnego. *Czesław Pieniążek.* Lwów 1893.

Książka, o której słów kilka wypowiedzieć mamy, przeznaczona jest dla szkół wydziałowych galicyjskich, wyszła więc nakładem c. k. wydawnictwa książek szkolnych.

„Dzieje kraju rodzinnego“ zaczyna prof. Pieniążek od wyjaśnienia pytania: gdzie leżały pierwotne siedziby Słowian, i charakterystyki tych szczepów słowiańskich, które nasz naród, złączywszy się, stworzyły; kończą się „Dzieje kraju rodzinnego“ opowiadaniem zdarzeń z odwiedzin kraju naszego przez Najj. Pana w r. 1880. Prawdziwie więc są te dzieje z dwu części złożone: z historyi polskiej i historyi Galicyi. W obu częściach opowiadanie swe zamyka autor w krótkich ustępach, co niewątpliwie znakomicie ułatwi uczniom naukę i oryentowanie się w danym przedmiocie. Np. § 42: Stefan Batory. „Król niemalowany“, „Upokorzenie Gdańska“, „Napad Iwana Groźnego“ i t. d.

Niech mi szanowny autor za złe nie weźmie tych uwag, które mi się przy czytaniu jego dzieła nasunęły. Kronikarski sposób opowiadania, przypominający do pewnego stopnia t. zw. *repetitoria*, zdaje mi się zbyt suchym dla serc i głów młodych, które zeń czerpać mają miłość ojczyzny i znajomość swej przeszłości historycznej. Zdaje mi się, że w tej mierze trzeba było pójść śladem I. Wodzickiej. Uznaję tę zasadę, która każe niedojrzałym uczniom podawać same tylko pewniki,

usuwa zaś z programu szkolnej nauki zupełnie hipotezy lub zbyt śmiałe a nie stwierdzone jeszcze zdania; opowiadając jednak np. w § 35 o księstwie pruskiem, należało napiętnować sekularyzacyę Prus jako jeden z najfatalniejszych kroków w dziejach naszych; że ta sekularyzacya Prus była prawdziwą klęską, chyba od czasu wystąpienia ś. p. Szujskiego nikt o tem nie wątpi. Cóż z tego, że uczeń spamięta wiele faktów, sam sobie o nich sądu nie wyrobi; gdy mu książka (lub nauczyciel) nie poda oceny faktów, pierwsze lepsze przyjmie zdanie, co gorsza, zachowa je nieraz na całe życie.

Książka prof. Pieniążka nad wyraz staje się pożądanym nabytkiem; potrzebę odpowiedniego podręcznika w szkołach czuli wszyscy od dawna; oby ona wyrugowała tylko niepożądane dziełka, których treść składa zazwyczaj jedynie kilka dramatycznych obrazków z naszych dziejów, a wówczas niemałe już przyniesie korzyści. Pierwsze to zresztą dzieło tego rodzaju, opowiadające zdarzenia nawet z lat ostatnich.

L. M. Dziama.

Listy Andrzeja Edwarda Kozmiana. Lwów 1893.

Publikacya, której tytuł wypisujemy powyżej, ważną w piśmiennictwie naszem wypełnia lukę. Literatura nasza mało bowiem dotąd posiadała wzorów korespondencyi, nie wzbogaca się wydawaniem prywatnych skarbów, nie kusi się o współzawodnictwo z zagranicą, gdzie domowe archiwa za dni naszych najobfitszego dostarczają plonu. Oglądając się na naszej niwie za ogłoszonemi drukiem listowaniami, co najwyżej wspomnieć możemy duchowną korespondencyę ks. Jełowickiego i Ojca Karola Antoniewicza. „Listy w Duchu Bożym“, „Listy z Zakonu“ tego ostatniego, okrom wysokiej ascetycznej doniosłości, posiadają jeszcze wdzięk rzewny, cechujący każde słowo żarliwego Apostoła Galicyi i Wielkopolski, oraz tę poezyę serdeczną, która mu była właściwą. Dalej posiadamy listy trzech najprzedniejszych naszych poetów: Mickiewicza, Krasińskiego i Słowackiego. Atoli, jeśli owe poufne wieszczów zwierzenia dają nam nieoceniony klucz do ich charakteru, jeśli nam odsłaniają tajniki ich własnej duszy, i okoliczności własnego ich życia, żadnego bodaj światła nie rzucają na ludzi współczesnych, na społeczność i czasy, wśród których im żyć przyszło, na obyczaje, pojęcia, ustrój towarzyski, potoczne wypadki najbliższej i najmniej znanej, bo wczorajszej przeszłości. Aż oto pobożność synowska, chroniąca od zagłady listy rodzica, darzy nas najcenniejszym przyczynkiem do historyi naszego społeczeństwa, podczas ważnego trzydziestolecia,

które upłynęło od Listopadowego powstania, aż po nieszczęśliwe wypadki z r. 1863, a wraz piśmiennictwo nasze wzbogaca niepoślednim nabytkiem tak pod względem treści barwnej i ożywionej, jak doskonałości formy i języka.

Dziś, przy upowszechnieniu środków komunikacyi i dalekonośnej rozmowy, ludzie bodaj pisać zaprzestaną. Do niedawna prawdziwie staranne, wykwintne wychowanie obejmowało i sztukę epistolarną, a wytworność towarzyska zasadzała się nietylko na świetności rozmowy i potocznego dowcipu, lecz i na umiejętnem przelewaniu na papier tych skrawych i lotnych przymiotów miłego obejścia. Egoizm dziś przemagający nie zacieśniał też przyjemności odbieranych wrażeń w szczupłych, osobistego używania granicach. Żadna rozkosz nie była rozkoszą prawdziwą, dopóki się jej z blizkimi nie podzieliło, dopóki się ich nie zaprosiło do uczestniczenia w rozrywce czy szczęściu własnem. To szlachetne uczucie było przewodniem tętnem w autorze korespondencyi, której ogłoszenie na tem miejscu witać nam przychodzi. Wśród życia na pozór bardzo światowego, nie przestał i rodzinnem żyć życiem, zwracać się w każdej chwili do swych najbliższych i najdroższych, wspólnością celów, zajęć, miłości i wrażeń. Stąd urósł olbrzymi materyał listowny, odzwierciedlający wiernie cały okres najbardziej zacierającej się — bo wczorajszej przeszłości.

Krytyka, podchwytująca ukazywanie się owych listów w *Przewodniku hist. i lit.*, zarzucała im zbytnią potoczność i drobiazgowość szczegółów, nie wzbudzających rzekomo ogólniejszego interesu. Zdanie to bynajmniej nieuzasadnione. Cóż stanowi wdzięk listów pani de Sevigné, ich świeżość i ponętność dla dzisiejszych jeszcze czytelników? Oto, że zamiast wydawać sąd o wypadkach współczesnych, opowiadała je z przygodną werwą i prostotą, że zamiast się sadzić na charakterystykę ludzi, malowała ich pobieżnemi rysami rozmowy i życia, że zamiast filozofować nad życiem, filozofię życia wciągała w żwawy tok swych nieporównanych, nigdy nie zwietrzałych odezw. Wolno nam chyba podobną trwałość rokować korespondencyi Andrzeja Edwarda Koźmiana, przenoszącej nas z kolei w coraz to inne dzielnice kraju, w coraz to inne ogniska stołeczne, z Warszawy wiodąc nas do Krakowa lub Poznania, a głównie z Paryża najciekawsze słać odgłosy. Wszędzie mile witany i widziany, od razu zdobywał sobie mir wyjątkowy wśród polskiego czy francuskiego społeczeństwa, stawał się ulubieńcem salonów, a wraz silny zadzierzgał węzeł między krajem i zagranicą, przypominając polską sprawę skłonnym do zaniechania jej po-

litykom, a z drugiej strony niosąc krajowi wpływy cywilizacyjne, rozszerzenie poglądów, podniesienie poziomu, promieniejące z wielkich środowisk życia i ducha.

Listy z pierwszego w Paryżu pobytu jaskrawo nam malują bujną nad inne epokę wczesnego romantyzmu, spotęgowane życie towarzyskie w salonach na rychłe skazanych zniknięcie, piękne ich przewodniczki, naczelne filary. Młody Polak bystrem okiem wszystko ocenia i ogarnia, mnogie zawiązuje stosunki, które po upływie ćwierć wieku, z wiernością przyjaźni, właściwą Francuzom — i Koźmianom — odnaleść i odnowić mu przychodzi. Wtedy zaś dawnego towarzysza młodości, hr. Aleksandra Walewskiego, zastaje u steru władzy, przez niego wstępuje w świat drugiego cesarstwa, i podziela wszystkie nadzieje — czy złudzenia — obudzone uznaniem zasady narodowości przez Napoleona III. Między pierwszym pobytem w Paryżu a ostatnim, snują się listy z różnych punktów kraju, rzucające jaskrawe światło na ludzi i stosunki, budzące niejedno smutne porównanie. Jakże np. wyludnioną zda nam się być dziś Warszawa w porównaniu z tem, czem była około połowy wieku, co posiadała w ludziach wybitnych, domach przewodnich i salonach czysto polskich! Albo znów Poznańskie — jakże się ono nam inaczej w tych listach przedstawia, aniżeli je dziś widzimy! Uwydatnia się nawałność, która tu i tam szalała uciskiem, uwydatniają się poniesione klęski, i niejeden rachunek z sumieniem się narzuca, budząc skruchę i żal serdeczny po stratach własną zgotowanych nieopatrznością.

Trzy już tomy tej szacownej posiedliśmy korespondencyi, a jeszcze nam jeden obiecuje wydawca, i to najważniejszy, z epoki, gdy bez żadnej osobistej ambicyi, naciskiem stosunków i położenia, A. E. Koźmian wyrósł na pośrednika między Francyą a krajem, stał się powiernikiem zamiarów cesarza Napoleona i jego polityki. Po klęsce, część odpowiedzialności za nią zwaliliśmy na władcę Francyi i jego niedołężność czy dwulicowość, a nawet na tych, co w prostocie serca służyli za heroldów jego zamysłom. Coraz bardziej atoli się wyjaśnia z następujących po sobie publikacyj, jak dalece Napoleon III. chciał dobrze, chciał szczerze, i jak wyłącznie my sami przedwczesnością ruchu pokrzyżowaliśmy jego życzliwą i szlachetną akcyę polityczną. Tom trzeci korespondencyi, a mianowicie druga onego część, nabiera też w wielu ustępach wysokiego historycznego znaczenia, niosąc echa rozmów, rozstrzygających o losach świata i Polski. A co wiadomości zajmujących, rysów charakterystycznych, szczegółów ciekawych a nieznanych, opowiedzianych swobodnie, pogodnie, bez kwasu ni goryczy

do ludzi, bez żalu ni skargi na własne losy i przeznaczenia! Tyle nam się obecnie nałykać przychodzi pesymizmu i żółci, że optymizm tych listów podwójnie smakuje i cieszy, a wraz i uczy z dobrej strony brać ludzi i rzeczy, i przyznawać też głośno, że życie, mimo prób od niego nieodłącznych, najprzedniejszym jest niebios darem, byle je brać po prostu i raczej cieszyć się, że na cierniach i róże się trafiają, aniżeli wyrzekać, że kwiaty mają kolce. — Jakże piękny dzień mamy dziś, zagadnął ktoś sławnego Hahnemanna, większego jeszcze pono mędrca aniżeli lekarza. — *Tous les jours sont beaux*, wszystkie dni są piękne — odparł z przekonaniem starzec, a i pani Swieczyn pod koniec życia, różnemi przeciwnościami zasmuconego, powtarzała, iż im dalej w lata, tem jej się życie wydaje piękniejszą, ciekawszą i bardziej zajmującą rzeczą. Autor niniejszej korespondencyi byłby się pisał na te zdania, nie przykrzył sobie ziemskiej wędrówki, po części dlatego, iż posiadał wiele miłości ludzi i u ludzi, że wierzył w lepszą przyszłość, i nie przestał lepszej tu spodziewać się dla kraju doli. Tę pogodę niezawodnie w nim też utrzymywała pracowita umysłu czynność. Jakkolwiek rozerwane miał dni i wieczory, codziennie kilka godzin poświęcał pisaniu, zasilał główne czasopisma polskie, sporządzał wydanie ojcowskich utworów, i jeszcze znajdował czas na tak rozległą i obszerną korespondencyę, której ogrom choć w części dziś nam zmierzyć przychodzi.

Listy A. E. Koźmiana uzupełniają jego pamiętniki, urwane w przededniu rewolucyi Listopadowej, a uzupełniają jeszcze doskonalej, iż w formie poufniejszej, do druku nieprzeznaczonej. Kto z osobistych wspomnień pamięta, czem bywało nadejście takiego listu wśród uciszenia wiejskiego dworu, ustronnej siedziby którego z krewnych lub przyjaciół Koźmiana, ten zaiste na mocy własnego doświadczenia rokować i wróżyć może niniejszej publikacyi jak najszersze i najzasłużeńsze powodzenie.

N.

1. **Słownik wyrazów używanych w muzyce.** Opracował *J. Kleczyński.* Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1893.

Nie jest to słownik naukowo-muzyczny, i nie jest to wcale jego celem. Chodzi tu tylko o jasne i krótkie wytłumaczenie początkującym najrozmaitszych znaków i wyrazów zachodzących w muzyce. Temu zadaniu słownik odpowiada zupełnie.

2. **Preludya na organy.** Utwory oryginalne i na temata pieśni kościelnych dla użytku organistów i zakładów naukowych. Ułożył *Stefan Surzyński*, dyrygent przy katedrze tarnowskiej. Tarnów. Nakładem księgarni Karola Raszki. (Cena 2 złr. 50 ct.).

Dzięki Bogu i u nas w Galicyi zaczyna się budzić ruch na polu muzyki kościelnej, a z nim zwrot ku lepszemu. Zrobiło się już dużo, ale więcej jeszcze zostaje do zrobienia. Nie tu miejsce rozwodzić się nad tem, jak nizko muzyka kościelna w Polsce upadła, jak naprawdę gorszące kawałki muzyczne, choć nibyto kościelne, są nieraz wykonywane przez chóry miejskie nawet w samym Krakowie; nie zawadzi jednak zwrócić uwagę na jednę przynajmniej rzecz, która naszem zdaniem jest najważniejszą przyczyną tego smutnego stanu. Mamy tu na myśli nizki poziom wiedzy i znajomości muzyki kościelnej u naszych organistów, szczególnie wiejskich. Gra tychże organistów jest nieraz tak mizerną, partacką i tak niemożliwą, że po prostu gorszej muzyki przedstawić sobie niepodobna. A cóż dopiero mówić o charakterze tej muzyki, jako muzyki kościelnej?!

Gdyby nie było w kościele ołtarzy, wiecznej lampki, a w sercu żywej wiary w obecność Chrystusa w Najśw. Sakramencie, możnaby prawdziwie myśleć, że jesteśmy na jakiejś operze lub co gorsza na skocznym tańcu. I na takich ludziach, co o muzyce prawdziwie kościelnej i pojęcia nie mają, ma spoczywać śpiew i muzyka kościelna; taka gra ma się przyczyniać do uświetnienia nabożeństwa i do podniesienia modlącej się duszy!

Co robić wobec takiego stanu rzeczy? Trudno wszystkich organistów usunąć z posad, a miejsca ich obsadzić nowemi a zdrowemi siłami, skoro sił takich na razie nie mamy. Trzeba zaradzić złemu przynajmniej częściowo, ile się da. Więc przedewszystkiem przez rozpowszechnianie dobrych śpiewników i łatwych preludyów pomału naprawić smak zepsuty, i tak zwolna przysposobić lud nasz polski do zamiłowania śpiewu prawdziwie kościelnego, który jeszcze w XVII. i XVIII. wieku tak świetnie u nas się rozwijał i wydał wielu prawdziwych mistrzów.

To też witamy z największą radością powyższe preludya p. Surzyńskiego. Odznaczają się one znajomością techniki muzycznej, i co jest rzeczą najważniejszą, są napisane wzorowo według wszelkich zasad muzyki kościelnej. Autor próbował też sił swoich w obrobieniu tematowem czyli w tak zwanym stylu polifonicznym, co mu się też wcale udało.

Zrobilibyśmy jednak jednę uwagę, mianowicie, że naszem zdaniem lepiejby było, gdyby autor był wybrał sobie za temat tylko kilka wybitniejszych taktów pieśni znanej i te był obrobił polifonicznie, bo preludya, jak np. nr. 7, 15, 45 i t. d. robią raczej wrażenie pieśni trochę sztucznej i żywiej harmonizowanej, niż preludyów.

Jeszcze jedna zaleta tychże preludyów podnosi bardzo ich wartość: to, że są w znacznej części oparte na melodyach polskich pieśni kościelnych. Tym sposobem przypominają melodyę znaną i tekst pobożny, mogą zatem lud pobudzić jeszcze więcej do nabożeństwa i pobożności. Możemy więc je śmiało polecić jak najgoręcej wszystkim organistom nietylko dla bogatej treści i wartości, ale i dlatego, że będąc prawdziwie przystępne, mogą służyć i słabym organistom za bardzo dobrą szkołę gry organowej.

Max Kohlsdorfer.

O konkordatach Stolicy Apostolskiej z Polską w XVI. wieku. *Józef Brzeziński.* Kraków. Nakł. Akad. Umiej. 1893. (Str. 30).

Z wielu zalet tego dziełka prof. d-ra Brzezińskiego trzy szczególnie zwracają uwagę: jasny wykład, duch prawdziwie katolicki i staranne zbadanie archiwów. Po krótkim wstępie, w którym autor wyraża radość, z jaką tę pracę przedsięwziął, następuje właściwa rzecz w czterech rozdziałach: I. O ogólnym rozwoju prawa prowizyi papieskiej beneficyów, od traktatu wormackiego do konkordatu wiedeńskiego (str. 2—4). II. Papieska prowizya beneficyów w Polsce w wiekach średnich. Geneza konkordatów polskich. Praca ta oparta jest na dokumentach Theinera, ale nowe są wyciągi z „Prawa polskiego“ (*Vol. leg.* I, 120, 139), z których się przekonywamy, że Jan Albrecht przy karze konfiskaty majątku nie pozwalał sobie ani prowizyi papieskiej zabierać, ani też jej odkładać. Aleksander przeniósł karę *in persona et bonis* nawet na krewnych i przyjaciół tych beneficyantów, którzy otrzymywali od Stolicy Apostolskiej beneficya, należące do patronatu królewskiego lub szlacheckiego. III. O konstytucyach papieskich w czasie V. powszechnego soboru lateraneńskiego dla Polski wydanych i o ich znaczeniu konkordatowem. Chodzi tu głównie o bullę *Etsi ex debito* z 14 listopada 1513 r. i o drugą *Sacrosanctae universalis Ecclesiae* z 9 sierpnia 1515 r. (*Bulle compactorum Regno Poloniae concessorum*). Obydwie są regestrowane w Hergenroether'a *Regesta Leonis*. Po tych, nastąpiła w d. 15 lipca 1515 r. trzecia bulla *Pro excellenti praeeminentia* (Hergenr. nr. 16480), wreszcie bulle *Decet Romanum Pontificem* i *Cre*

ditam Nobis desuper. IV. O konkordacie papieża Leona X. z r. 1519 i Klemensa VII. z r. 1525. Bulla *Romanus Pontifex* z 1-go lipca 1519 r. — jak dr. Brzeziński słusznie datę tę prostuje — odnawia prawo biskupów i innych osób, aby w parzystych miesiącach wolno im było obsadzać wakujące beneficya z wykluczeniem papieskich prowizyj, *dummodo dispositioni Apostolicae generaliter reservata seu affecta non existant.* Bulla ta nie zna nazwy „konkordat", ale w bulli Klemensa VII. jest ta nazwa. Dr. Brzeziński opiera się na IX. art. przepisów kancelaryjnych, by dowieść słuszności przyczyn zewnętrznych i wewnętrznych punktów konkordatu w tej bulli zawartych.

W przypiskach po raz pierwszy są wydrukowane obydwie wyżej przytoczone bulle Leona X. i Klemensa VII. Oryginały znajdują się w archiwach kapituły krakowskiej. Do nich przyłączono *Copia supplicationis in favorem ordinariorum Regni Poloniae.* Pierwsza to praca polska o polskich konkordatach; a jak gruntowna, zwłaszcza z powodu odszukanych tak ważnych dokumentów!

Ks. Augustyn Arndt.

Z piśmiennictwa zagranicznego.

Les petits martyrs. Par *Georges Berry.* Paris 1892.

Bolesną, nad wszelki wyraz bolesną kwestyę porusza ta mała rozmiarami, poważna i zastanawiająca treścią i skrzętnie nagromadzonemi szczegółami książeczka. Wiadomem jest powszechnie, że nieraz nielitościwi, bardziej grosz niż zdrowie i duszę dziecka ceniący sobie rodzice lub opiekunowie, wyzyskują przedwcześnie drobne jego siły, napędzają je do pracy, do zarobków, uczą sami kłamstw i forteli, o których dziecko i pojęcia mieć nie powinno; co mniej wiadomem, to na jakie rozmiary ten wyzysk praktykuje się w wielkich miastach, w takim np. Paryżu. P. Berry zadał sobie pracę przyjrzeć się osobiście i naocznie temu — jak go w słusznem oburzeniu nazywa — handlowi dzieci; podpatrzył różne jego stopnie, fazy i specyalności i zdaje z nich sprawę, aby obudzić państwo i społeczeństwo do energicznej akcyi w obronie tysięcy mordowanych, i gorzej niż mordowanych, niewiniątek.

Na dwie główne grupy dzielą się „mali męczennicy", przeznaczeni na ten handel bądź przez rodziców, bądź przez „przemysłowców"

wynajmujących ich w tym celu u rodziców lub opiekunów: jedni budzić mają swym płaczem, wychudłą twarzą, kalectwem miłosierdzie litościwych serc; drudzy budzić wyuzdane namiętności i za narzędzie im służyć. Paryskie organa policyjne przyaresztowały w przeciągu dziesięciolecia, od 1880—1890, za żebraninę 4040, za wykroczenia przeciw moralności 13.732 małoletnich niżej lat 16; poważne to cyfry, ale czemże one są, jakże drobny procent w stosunku do rzeczywistych przedstawiać muszą! Żebracy, przedewszystkiem żebraczki, wiedzące dobrze jaki wpływ wywierają od głodu i zimna skulone niemowlęta na każde czulsze serce, wynajmują je od matek za 2, 3, czasem nawet za 4 franki na przeciąg jednej nocy, spędzonej wespół z niemi u bram teatrów, gmachów publicznych, restauracyj, kościołów. Dla zapewnienia swemu przemysłowi większych zysków, nie wahają się niektórzy okrutnie dzieci kaleczyć, bić je, szczypać i ranić, aby jękiem i wrzaskiem zwracały na siebie uwagę przechodniów. Niepodobna opisywać szczegółowo tych tortur, na które autor w części sam patrzał; co najsmutniejsza, że prawdziwi ci złoczyńcy są z rzadkiemi wyjątkami pewni bezkarności, a łatwość, z jaką można nabyć wciąż świeżego „towaru dziecinnego“, nie każe im w zadawaniu tych tortur z własną przynajmniej kieską się rachować.

W piątym mniej więcej roku życia, towar dostaje nową markę handlową: wyciągać winien pieniądze nie płaczem i krzykiem, ale muzyką, sprzedażą kwiatów. Orkiestry złożone z dzieci liczących od 5 do 12 lat, przeciągają od kawiarni do kawiarni, od restauracyi do restauracyi, grają i śpiewają po ulicach; robią ze swym „nauczycielem“ — jak przedsiębiorca urzędownie się tytułuje — dłuższe wycieczki na prowincyę, zabawiają publiczność zebraną na jarmarkach, nudzącą się w kąpielach. „Nauczycielowi“ — popisującemu się nieraz głośno z miłosiernego serca dla zebranych przez siebie i wychowanych „sierotek“, które inaczej z głoduby umrzeć musiały — trudy obficie się wynagradzają i z jawnych zysków i zwłaszcza z mniej jawnych, ale stojących niemniej na porządku dziennym. To samo i w wyższym jeszcze stopniu zastosować się da do przedsiębiorczyń — bo tylko kobiety ten interes prowadzą — rozsyłających na wszystkie strony Paryża całe legiony dzieci z kwiatami na sprzedaż: i tu obok stosunkowo niewielkich jawnych zysków, grają główną rolę inne, ukryte. Co dzieje się z nieszczęśliwemi temi stworzeniami, jak szybko staczają się w kałużę występku, ile nacierpieć się muszą i ile wytrzymać obelg i razów, jeśli „zarobić“ nie potrafią z góry wyznaczonej kwoty — to szkicuje

nam autor w paru przerażających, z życia zdjętych obrazkach. Prawdziwie, nadużywane nieraz wyrażenie: „piekło na ziemi“, nie wydaje się tu być przesadzonem.

Za dalszemi wywodami i szczegółami, zebranemi przez p. Berry, iść nam już trudno; ale i przytoczone tutaj wystarczą, aby podpisać w całej pełni słowa głośnego Jul. Simona, umieszczone w przedmowie napisanej przezeń do tej książeczki: „Wielki, bardzo wielki czas otworzyć oczy, przebudzić się z nieszczęsnego bezpieczeństwa, w którem dotądeśmy spali; czas widzieć, poznać złe, bo wtedy tylko możemy pomyśleć o użyciu koniecznych lekarstw“. Czy słowa te tylko do Paryża i do Francyi się stosują; czy choć w innej mierze, nie mają może i u nas praktycznego zastosowania?

Metaphysik. Ein Leitfaden für akademische Vorlesungen sowie zum Selbstunterrichte. Von *Dr. Georg Hagemann*. 5. Auflage. Freiburg im Breisgau. 1893 (Herder).

Podręczniki filozoficzne Hagemanna należą do bardzo używanych w Niemczech, zwłaszcza w seminaryach. Musi też być w nich wiele dobrego, kiedy już 5-te wydanie mamy przed sobą. Hagemann nie jest myślicielem oryginalnym, ani też przytłumiającym swą głębokością, ale jest to myśliciel trzeźwy, trzymający się filozofii tradycyjnej, nie niewolniczo wprawdzie ani we wszystkich szczegółach, zawsze we wszystkich kwestyach zasadniczych. Sądzę też, że można go uważać tylko za neoscholastyka. Wyszczególnia Hagemanna to, że myśli po prostu i jasno, że prądy najrozmaitsze filozofii dzisiejszej przeszły przez umysł jego lecz nie zamąciły go, że więc pisze przejrzyście, bez drobiazgowości, jak na książkę filozoficzną zajmująco, tak iż nietylko bez znudzenia i znużenia, ale i z pewną przyjemnością czytać go można.

Metafizyka H. obejmuje ontologię, kosmologię racyonalną i antropologię, wreszcie teologię naturalną. Najkróciej traktowaną jest antropologia racyonalna, bo większą część tych kwestyj omawia trzeci tom elementów filozofii H., psychologia. W ontologii autor rozbiera najpierw kategorye metafizyczne, tj. byt, istotę i działanie, następnie metafizyczne zasady: sprzeczności i przyczynowości. Tym sposobem wszystkie ważniejsze rzeczy mamy uwzględnione, nie wszystkie tylko może dość gruntownie przeprowadzone. W kosmologii rozprawia się autor z systemami dynamistów, mechanistów i scholastyków, których system formizmem nazywa. Być może, że wszystkie te systemy nie wyszły z pod pocisków autora tak zdruzgotane, jak się to autorowi wydaje, w każ-

dym razie przyznać trzeba, że zarzuty autora nie są bezpodstawne i że bardzo mało jest takich, coby pochodziły z niezrozumienia jakiego systemu. Sam autor przyjmuje jako prawdopodobną hipotezę atomizm dynamiczny. Świat cały jak jest rozczłonkowany na ogromne ciała niebieskie, tak samo na bardzo małe cząstki materyalne. Owe cząsteczki najmniejsze są praatomy, ich kompleksy stanowią atomy elementów, z tych składają się drobiny, a z drobin większe masy ciał. Praatomy są jednakowej wielkości, są formalnie ciągłe ale fizycznie niepodzielne, posiadają w jednakowym stopniu siłę przyciągania. Do praatomów przychodzi siła chemiczna i łączy je dopiero nierozwiązalnie w atomy. Tym sposobem można przeprowadzić pewną analogię systemu autora z systemem perypatetyków. Praatomy stanowiłyby materyę pierwszą, zaś siła chemiczna formę. Nie jest to atoli system głęboko i prawdziwie metafizycznie obmyślony, ani też dostatecznie uzasadniony. Czem jest owa siła chemiczna, czy substancyą jaką przynajmniej, czy przypadłością, tego nam autor nie mówi; w jaki sposób owe praatomy są formalnie ciągłe a jednak jakoś niezłożone, czem znowu owa zagadkowa siła przyciągania, której w takim praatomie bez wszelkiego poznania i pojąć nie można, o tem również wzmianki niema. Pod tym względem może system neotomistów niektórych jest racyonalniej przeprowadzony i na mniejsze wystawiony trudności. W żywinach przyjmuje autor dwa składniki zasadnicze, połączenia chemiczne z jednej strony, z drugiej siłę życiową. Ale ta znowu siła życiowa czy dusza jest przedstawiona bardzo mglisto i niezrozumiale. Dusza nawet zwierząt najwyższych nie jest zdaniem autora bytem substancyalnym niezłożonym, jeno siłą jednotliwą (?), w organizmie rozlaną a przez materyę dźwiganą. Zdaje mi się, że i w tym względzie zapatrywania scholastyki, które autor zbija, są i uchwytniejsze i logiczniejsze. W całej kosmologii zresztą, a może i w całej książce, strona polemiczna przedstawia się i lepiej i gruntowniej opracowaną od strony tetycznej.

W antropologii racyonalnej uderza przedewszystkiem odprawa, jaką autor daje umierającemu już dziś zwolna materyalizmowi, dalej różnica między duszą zwierzęcą a ludzką, mniej gruntownie opracowany jest stosunek wzajemny duszy i ciała i kilka drobniejszych kwestyj.

W teologii naturalnej wreszcie głównie na dwie rzeczy niekoniecznie możnaby się zgodzić, mianowicie na zbijanie panteizmu przed dowodami pozytywnemi na istnienie Boga, a prócz tego na traktowanie nieskończoności Boga w dalszym ciągu dopiero po niezmienności.

Naszem zdaniem kwestya nieskończoności Bożej jest jedną z najważniejszych w teologii naturalnej, i winna być traktowaną ile możności najgruntowniej zaraz po udowodnieniu istnienia, jako podstawa-zasadnicza dalszych o Boskich przymiotach i własnościach wywodzeń. W niektórych też innych kwestyach teologii czuje się niekiedy pewien brak gruntowności.

Tak się przedstawia metafizyka H. Przyrodnik mógłby podnieść zarzut, że autor nie zna dokładnie wszystkich najnowszych teoryj przyrodniczych i że niekiedy trzyma się poglądów już przestarzałych, jak np. teoryi kręgowej czaszki Getego i Okena. Neotomista mógłby podnieść pewne niedokładności w szczegółach dotyczących systemu kosmologicznego. Z podobnemi zarzutami mogliby wystąpić i przedstawiciele innych szkół filozoficznych. Atoli czy dzisiaj nie jest za trudną rzeczą dla filozofa być prawdziwie a jednak gruntownie uniwersalnym? Albo czy konkretnie możliwą jest rzeczą dla kogokolwiek przedstawić zapatrywania różnych filozofów tak, by się na nie w zupełności wszystkie szkoły bez wyjątku zgodziły?

J. Nuckowski.

Jesuiten-Fabeln. Ein Beitrag zur Culturgeschichte. *Bernhard Duhr S. J.* Freiburg im Breisgau 1891—92. 1—8 Lieferung. W siedmiu zeszytach. Pierwsze i drugie wydanie. Herder'sche Verlagsbuchhandlung. (Str. VIII, 832, w 8-ce).

Jeżeli w zaniedbanym krużganku klasztornym obrazy, zdobiące jego ściany, ulegną niszczącym wpływom wilgoci, pleśni, kurzu i pajęczyny, to wzniosłe niegdyś i piękne rysy przedstawionych osób i przedmiotów tak spotwornieją, że zwykły przechodzień, zwiedzający te mury, ze wstrętem i odrazą odwróci się od tych karykatur prawdy i życia. Niech jednak miłośnik sztuki i znawca jej starannie brud i pył czasu usunie, a one jaśnieć będą tą szlachetnością i pięknością, jaką dawny artysta z natury pochwycił i w obrazie uwiecznił.

Takiej pracy restauracyjnej podjął się autor, członek Towarzystwa Jezusowego, w niniejszem dziełku, przedstawiając w 34 szkicach różne postacie lub fakta z dziejów swego zakonu, dzięki nienawiści przeciwników oczernione lub zmyślone i przekręcone, w świetle prawdy dziejowej.

Infandum renovare dolorem, znaczy poruszać tę kwestyę od 19-tu wieków aktualną, której rozwiązania nikt przewidzieć nie zdoła. Jest to prawdziwe martyrologium duchowe, ta dwudziestowiekowa blizko walka

oszczercza przeciw Chrystusowi, jego Kościołowi i sługom, tak zacięcie prowadzona przez żydowskie, pogańskie, innowiercze i bezwyznaniowe sekty. Najstraszniejszym epizodem tej walki była rewolucya religijna XVI. wieku, rewolucya, której następstwa przeciągają się po dzień dzisiejszy. „Cała nienawiść zaś, — jak powiada Goerres [1] — cała wściekłość, jaką zioną nieprzyjaciele przeciw Kościołowi od drugiej połowy XVI. wieku, zwraca się w spotęgowanej sile przeciw zakonowi Jezuitów". Na pytanie: „dlaczego?" — odpowiada historya, odpowiadają i przeciwnicy zakonu: „Zakon Jezuitów był najniebezpieczniejszą duchową armią przeciw protestantyzmowi i najskuteczniej go zwalczał..." [2]; dziś walczy on przeciw liberalizmowi, „który jest nieprzejednanym wrogiem jezuityzmu" [3]. *Inde irae.*

Przed wystąpieniem Jezuitów mieli protestanci nadzieję, że „z pomocą książąt, władzy i predykantów ostatnie szczątki antychrześcijańskiego i bałwochwalczego papiestwa wkrótce będą wytępione" [4]. „Nieprzyjaciel — pisze w r. 1576 kalwiński predykant Boquin z Heidelbergu — zdawał się już być stracony, gdy nagle nowy oddział wojenny (Towarzystwo Jezusowe) utworzył się, który zręcznością, czujnością i skrzętnością zagrożoną twierdzę w ciągu lat niewielu tak ubezpieczył, że cała halastra antychrysta dufa, iż niebawem dawne znaczenie i potęgę odzyska" [5].

Jakkolwiek już pierwsi synowie Lojoli na ziemi niemieckiej — taki Faber, Jajus, Bobadilla i ich towarzysze — z wielką miłością, cierpliwością i poświęceniem przeciwdziałali błędnej nauce nowatorów, zwie ich kalwiński predykant Seibert „szalonymi, obłudnymi łotrami", którzy „czarodziejskiemi sztukami tajnemi — tak nazwano Ćwiczenia duchowne św. Ignacego — upajają swe ofiary tak, iż mniemają widzieć djabła przed sobą, muszą wyrzec się Chrystusa i przyjąć służbę szatana" [6]. Błogosławionego Kanizyusza, który taką miłością ku swym nieszczęśliwym ziomkom pała, który tak starannie wszelkiego drażnienia innowierców, wszelkiej polemiki z nimi unikał i tylko chrześcijańską łagodnością na uwiedzione umysły oddziaływać usiłował, zwie sławiony

---

[1] *Wallfahrt nach Trier.*

[2] Huber, *Der Jesuiten-Orden*, str. 2.

[3] Tenże, str. 563.

[4] Janssen, *Gesch. d. deutschen Volks*, t. v, str. 186.

[5] Tamże, *Assertio veteris ac veri Christianismi adversus novum et fictum Jesuitismum seu societatem Jesu 1576* — przedmowa.

[6] Janssen, tom iv, str. 372—79.

ze swej łagodności Melanchton „cynikiem prześladującym wbrew własnemu sumieniu uznaną prawdę, szerzącym błąd i bałwochwalstwo". Niedziw więc, że cały szereg polemików protestanckich, jak Wigand lub Chemnitz, nie mają dość słów obelżywych, by swą nienawiść do Jezuitów wyrazić. Fischart między innymi w głośnej swej satyrze *Jesuiten-Hütlein*, każe uszyć lucyperowi kapelusz jezuicki o czterech rogach z szatańskiego świętoszkowstwa i obłudy, igłą rzymskiej tyranii. Do pierwszego rogu wszywa bałwochwalstwo, chytrość szatańską, zatrute podchlebstwa, oszukaństwo, zdradę, pozorne ubóstwo i ambicyę; do następnych dwóch — sofisteryę, rozmaite kłamstwa i uwodzenie młodzieży; do tylnego — wzniecanie morderstw i niepokojów; a ponieważ tyle komplementów autorowi jeszcze nie wystarczało, pakuje naostatek samego djabła do kapelusza. Wspominamy umyślnie ten pełnoróg oszczerstwa i podłości sławionego dziś w literaturze pamflecisty, gdyż jest on jakby motto piszącego się przez trzy wieki z górą pamfletu przeciw Jezuitom. Nie przeszkodziły temu szkalowaniu ani nadzwyczajne przymioty i cnoty Jezuitów, ani uczoność, ani gorliwe i bezpłatne zajmowanie się wychowaniem młodzieży, ani odwiedzanie chorych, zarazą lub trądem dotkniętych, ani pocieszanie więźniów, ani oddawanie posług duchownych po obozach w wojnach tureckich — to wszystko tylko potęgowało nienawiść sekciarską.

„Jezuici — twierdzi protestancki kontrowersista z r. 1593 — pełni są zdrady djabelskiej, pobożności obłudnej... często miewają kazania, jak gdyby byli chrześcijanami, latają po szpitalach i lazaretach, dawają ubogim chleb i mięso, przyczepiają się do skazańców, wciskają się do obozów, a to wszystko jest tylko blichtr i obłuda, by głupi lud do przeklętego papiestwa znowu uwieść" [1].

Tą samą nienawiścią, co protestanci w XVI. wieku, pałali w XVII. wieku Janseniści, w XVIII. wieku illuminanci, pałają w naszym wieku liberalne, starokatolickie, wolnomularskie i wogóle antykatolickie sfery. Tą samą też bronią, co dawniej, i dziś się przeciw Jezuitom wojuje. Napisany pamflet przeciw Jezuitom, oszczerstwa jakiegoś apostaty i wywłoki, przekręcony ustęp z pism jezuickich, podejrzenie lub fabrykat pierwszego lepszego pismaka, błąd lub nietakt jednostki wystarcza, by w czambuł cały zakon potępić. Zarzuca się dziś zakonowi: „niszczenie cywilizacyi, prześladowanie wolności myśli, ogłupianie mas, zbrodniczą moralność, hańbiącą zmysłowość,

[1] *Wölfe im Schafspelz*, ob. Janssen v, str. 195—198.

używanie najgorszych środków, nadużywanie konfesyonału, morderstwa za pomocą trucizny i sztyletu, zamachy na głowy ukoronowane, obłudę, rabusiostwo, złodziejstwo, uwodzenie niewiast i rajfurstwo, palenie czarownic i bluźnierstwo" — jednem słowem, całą ohydę piekła! Zarzuty te pisze zaś nie jakiś fanatyczny pastor, nie jakieś podrzędne pióro — nie, to są słowa głośnego literata Scherra [1], którego dzieła cieszą się nietylko popularnością, ale i reputacyą naukowej gruntowności. Gdzie tylko jakieś nieszczęście padnie na ludzkość, zawsze powtarza się ulubiona zwrotka: *Cherchez les Jésuites*. Dziwna przytem logika u wielkiej części tych tendencyjnych pisarzy. Przyznają prawie zawsze, że w tym a w tym wypadku źródła nic pozytywnego przeciw Jezuitom nie dowodzą, konkludują jednak, iż Jezuici są tego rodzaju łotrami, że oni tylko coś podobnego uczynić mogli.

I niedziw! Trzy wieki z taką zaciekłością i niesumiennością prowadzona agitacya przeciw Jezuitom wydała swój plon, bo społeczeństwa w wyższym stopniu jeszcze, niż pojedyńczy człowiek, wskutek częstego mijania się z prawdą, do tego stopnia czynią swą pamięć grzesznicą, że własnym uwierzą kłamstwom. To już nie namiętność — to choroba, zaszczepiona w szerokie warstwy, to obłęd, któryby, chcąc użyć technicznego określenia, można nazwać „jezuitofobią".

Choroba ta przytem jest zaraźliwa, panuje nietylko w społeczeństwach protestanckich, lecz zaraża i katolickie, indyferentyzm najpodatniejszą dla niej glebą. Stąd też jezuitofobia i u nas ogarnęła szerokie warstwy, ba nawet najznakomitsze umysły uległy jej w większym lub mniejszym stopniu.

Oszczerstwa, zawarte w całej olbrzymiej literaturze antyjezuickiej, znalazły od początku należytą odprawę w pismach bądź to samych Jezuitów, bądź to ludzi świeckich, katolików, czy nawet protestantów. W nowszych czasach obroną zakonu zajęli się w gruntownych i obszernych dziełach: Crétineau-Joly, Riffel, Buss, Féval, Meurer i inni. Mimo to ponawiające się ustawicznie zarzuty, ponawiającej się wymagają odprawy. Ponieważ w obecnej chwili w Niemczech paroksyzmy jezuitofobii stają się tem gwałtowniejsze, w miarę jak społeczeństwo katolickie coraz usilniej się domaga powrotu zakonu Jezuitów i coraz pewniejsze zyskuje rękojmie, iż usiłowania te uwieńczy pomyślny rezultat — książka O. Duhra ma być *antidotum*. Przeznaczona dla szerszej publiczności, dla uczciwych protestantów, w których fanatyzm jeszcze miłości do

[1] *Deutsche Cultur- u. Sittengeschichte*. 3 wyd., str. 268.

prawdy i sprawiedliwości nie zagłuszył, dla przyjaciół zakonu, by snadniej siebie utwierdzić i zakon przed oszczerstwami bronić umieli — napisana jest, o ile się tylko dało, najpopularniej, czyta się lekko i potoczyście. Autor, stojąc przytem ściśle na gruncie naukowym, zna doskonale metodę historyczną, opiera się, o ile to przy tak rozległem zadaniu było możliwe, na źródłach pierwszorzędnych, zagląda często do archiwów, apeluje do zdrowego rozsądku, powołuje się na prace najznakomitszych dziejopisarzy, i to przeważnie protestanckich, co zdaniem naszem najwyborniejszą jest taktyką, najskuteczniejszym argumentem dla przeciwnika. Z tem wszystkiem autor jest zwięzły, czasami zbyt zwięzły, skąpi słowy, by nie nużyć czytelnika niepotrzebnym balastem słów i nauki; pisze z werwą, jest cięty, nie przekraczając jednak nigdy miary. Nie tai bynajmniej błędów pojedyńczych członków zakonu, twierdzi jednak, że te błędy i braki były wypływem słabości ludzkiej, były przeciwne regule zakonu, nie otrzymywały nigdy aprobaty przełożonych. Zarzucićby chyba autorowi można, iż zbija niepotrzebnie zarzuty, które się same przez swą monstrualność potępiają. Jednakże autor wie, dla kogo pisze; te monstrualne zarzuty oddziaływają na tłumy, posługują się niemi menerzy protestanckiego liberalizmu, jako prawdziwą monetę puszczają je w obieg protestanccy teolodzy, liberalni literaci, ba nawet profesorowie uniwersyteccy.

Dla naszego społeczeństwa wielka część tych bajek nie budzi interesu; są jednak takie, które i u nas znajdują posłuch, dziś co prawda mniejszy niż 15 lub 20 lat temu wstecz, które i nas zajmą zwłaszcza, o ile dotykają spraw i osób polskich. Kwestye te poruszyć, przypomnieć nie zawadzi, bo jakkolwiek wiele z nich w znanej pracy O. Załęskiego obszernie zostało omówionych, jednak wciąż jeszcze fałszywie, ba jak najfałszywiej bywają pojmowane i tłumaczone ze szkodą dla społeczeństwa i Kościoła.

Dziwnym trafem kasata zakonu jest wypadkiem prawie współczesnym z pierwszym rozbiorem Polski. Jeden i drugi wypadek ma to samo źródło: kompletny upadek moralności publicznej w Europie. Nieprzyjaciele zakonu chcieli jeszcze ściślejszym węzłem obie te katastrofy, narodu i zakonu, skojarzyć. Wedle Grégoire [1], rządowego biskupa z czasów wielkiej rewolucyi, Marya Teresa prosiła przy pierwszym rozbiorze Polski O. Parhamera w tej sprawie o radę. Spowiednik uważał za potrzebne w tej mierze zapytać się swych przełożonych w Rzy-

[1] *Histoire des confesseurs, des empereurs, des rois et d'autres princes.*

mie. Wilseck, austryacki pełnomocnik przy kuryi, spodziewając się podobnej korespondencyi, zdołał tego listu kopię pozyskać i przesłał ją cesarzowej. Od tej chwili Marya Teresa połączyła się z dworami burbońskiemi, dążącemi do wyjednania u Klemensa XIV. kasaty zakonu. Wersyi tej zaczerpnął Grégoire z antyjezuickiego pamfletu p. t. „Katechizm Jezuicki". O. Parhamer nie był nigdy spowiednikiem Maryi Teresy, ani też Wilseck austryackim posłem w Rzymie. Mimo to wieść tę rozwałkowano szerzej, skomponowano jeneralną spowiedź cesarzowej, przesłaną rzekomo przez spowiednika do jenerała zakonu [1]. Kopię tej spowiedzi miał król hiszpański dostać do rąk i cesarzowej odesłać. Maryę Teresę związki rodzinne z dworami burbońskiemi w Paryżu i Neapolu, gdzie dwie jej córki były zamężne, zniewoliły do niestawiania oporu kasacie Jezuitów. Sama oświadczyła prowincyałowi Jezuitów w Austryi, iż „jeżeli papież zakon skasuje, będzie posłuszną córką, jednakże go o to prosić nie będzie". Okazywała zawsze sympatyę dla zakonu i mówiła o nim z uznaniem. Wiadomość o kasacie bardzo ją zasmuciła, bolała nad nią; eks-Jezuici na jej dworze ważne zajmowali stanowiska. Wobec tego, wobec braku wszelkich źródeł, wobec przeciwnych zdań najpoważniejszych historyków, zdradzoną spowiedź jeneralną Maryi Teresy należy rzucić do śmieciska baśni dziejowych [2].

Jednym z zardzewiałych wprawdzie ale zawsze jeszcze używanych rynsztunków w antyjezuickiej hecy są t. zw. *Monita secreta*. Nad autentycznością ich nie potrzebujemy się rozwodzić; dość wspomnieć to, co otwarty nieprzyjaciel zakonu, jak Huber, o nich powiada: „Co do mnie, uważam, tak samo jak protestancki historyk kościelny Gieseler i Döllinger, *Monita secreta* za satyrę przeciw zakonowi... Instrukcye w nich zawarte, odpowiadające więcej szajce wyrafinowanych złodziei, nie dadzą się pogodzić z niezaprzeczoną pobożnością u tysięcy członków Towarzystwa Jezusowego" [3]. Dla nas jednakże ciekawe jest autorstwo tej głośnej na cały świat satyry. Pojawiła się ona, jakkolwiek pierwsze jej wydanie nosi odmienną datę i miejsce [4], w Krakowie r. 1614. Autorem jej był polski eks-Jezuita Hieronim Zahorowski, nie zaś, jak O. Duhr błędnie podaje, Zaorowski. Ponieważ osobistością tą

[1] Gorani hr., *Mémoires secrètes et critiques des cours, des gouvern. et de moeurs des princip. États d'Italie*. Paris 1793.

[2] Masson, *Le Cardinal de Bernis*. Paris 1884, p. 218.

[3] *Der Jesuiten-Orden*, str. 107.

[4] *Monita privata Soc. Jesu*. Notobrigae 1612.

autor niewiele się zajmuje, chcemy ją, idąc za „Dziennikiem domu zakonnego Tow. Jezusowego u św. Barbary w Krakowie“ [1], pokrótce naszkicować. „Pochodził Zahorowski z szlachetnej rodziny na Wołyniu, skoligaconej z wielkiemi rodami, posiadał niemałe zdolności, był jednak podstępny, skryty i nieszczery. Po ukończeniu niższych klas jezuickich uczęszczał na kursa filozoficzne i miał słuchać teologii scholastycznej. Lecz ponieważ przy egzaminie uznano go za niedostatecznie przygotowanego, usunięto go z kursu teologii i na trzeci rok przesłano do Jarosławia, a po ukończeniu tegoż, kazano mu uczyć młodzież w niższych klasach w Sandomierzu, pod superiorem O. Adryanem Radzimińskim. Rozgniewany na przełożonych za usunięcie z teologii, rozpoczął liczne listy do różnych senatorów obcą ręką pisywać, zamykając się z chłopcami, których uczył, i dyktując im owe listy. W nich pisał oszczerstwa na Jezuitów, że podstępem chłopców do zakonu wabią, że nic innego nie mają na celu, jak aby wstępujących do zakonu z dóbr obedrzeć, że otrzymawszy od nich majątek, w różny sposób ich szykanują, że inni zakonnicy daleko lepiej nauczają, jak Jezuici, że wogóle potrzeba inne zakony do szkół powołać, a Jezuitów opuścić. Takie i podobne rzeczy obszernie i przesadnio podnosząc w listach wspomnianych, nazwiska swego nie podpisywał, albo oświadczał, że nie z nazwiska lecz z gorliwego ducha chce być znany.

„Gdy takich listów moc wielką zgotował, około 23 lipca 1613 roku na wsze strony Królestwa je rozsyłać począł. Wysłał wiązkę podobnych listów do Lwowa, prosząc osobnym listem rektora lwowskiego O. Jana Wielewickiego, by listy do kogo były zaadresowane, doręczyć, tj. arcybiskupowi lwowskiemu, Janowi Zamojskiemu, podonczas na Jezuitów zagniewanemu, cześnikowi koronnemu Sieniawskiemu, oficyałowi lwowskiemu Pirawskiemu i innym. Nie spodziewając się podstępu wspomniany rektor, listy zaczął rozsyłać. Gdy jednak Pirawski mu pokazał, co było w liście anonimowym zawarte, wtedy dopiero poznano podstęp. Pozostałe listy odesłano do prowincyała Stanisława Gawrońskiego. Wielu z dostojników świeckich i duchownych, otrzymawszy podobne listy, zwrócili je prowincyałowi i za autorem poszukiwali. Żadnemu atoli z nich nie przyszło do głowy, by członek zakonu tak zjadliwych listów mógł być autorem. Wnet jednak sprawa się wykryła. O. Gawroński udał się do Sandomierza, i Zahorowskiego, jakkolwiek tenże się wszystkiego zapierał, udowodniwszy mu winę świad-

[1] *Scriptores rerum polonicarum*. T. XIV. Kraków 1889.

kami, mianowicie przez chłopców do pisania anonimów używanych, z zakonu precz wypędził [1]. Zahorowski apelował do jenerała zakonu i żądał rozstrzygnięcia sprawy przez Ojca wizytatora. Z tego powodu zjechał do Jarosławia O. Jan Argentus, i dnia 6 sierpnia 1614 r. po dokładnem roztrząśnięciu sprawy, wydalenie Zahorowskiego z zakonu mimo jego protestów potwierdził i wyrok ten przez publicznego notaryusza konsystorza przemyskiego do akt publicznych zaciągnąć polecił [2].

„W tym samym miesiącu już pojawiła się głośna książeczka przeciw Jezuitom najpierw rękopiśmiennie, później nieco drukiem p. t. *Monita privata Societatis Jesu* [3], bez podania nazwiska autora. Wkrótce jednak okazało się, iż Hieronim Zahorowski był jej autorem. Odpowiedział na pamflet ten już w lutym 1615 r. O. Bembo bezimiennie [4], a otwarcie w tymże roku O. Jakób Gretser w Niemczech [5]. Niemało jednak książka Zahorowskiego, zwłaszcza u nieznających sprawy, zaszkodziła Jezuitom, i dlatego przez heretyków w wielu miejscach została przedrukowana [6]. Protektorem eks-Jezuity miał, jak mówiono, być Jerzy ks. Zbaraski, który wspomniane *Monita* miał przeglądać, poprawiać i do druku polecić [7]. Już Piotr Tylicki, biskup krakowski, potępił 11 lipca r. 1615 ów pamflet i robił poszukiwania za autorem, śmierć jednak w 1616 r. 13 lipca udaremniła ten zamiar.

„Ponieważ zaś książkę, potępioną przez Tylickiego, a później przez nuncyusza Franciszka Diataleviusa, na nowo wydano i rozpowszechniano między tłumem, Andrzej Lipski, administrator biskupstwa krakowskiego, 20 sierpnia 1616 r. na nowo ją potępił i czytać lub rozpowszechniać ją zakazał“ [8].

Taki jest wedle Dziennika zakonnego początek osławionych *Monita secreta*, których protestanci za tajne przepisy jenerała dla członków zakonu okrzyczeć i jako główny atut przeciw Jezuitom wygrywać nie omieszkali, w niezliczonych wydaniach szerząc je po dziś dzień między publicznością.

Jedną z głównych zasług zakonu było niewątpliwie wychowanie młodzieży. „Cokolwiek zakon jezuicki w konfesyonale, z kazalnicy, przez pisma, przez wzniecanie krwawych wojen (!) — pisze protestancki profesor Koldewey [9] — zdziałał, największe zwycięstwa odniósł przez

[1] Str. 110—111. [2] Str. 125. [3] Str. 181. [4] Str. 146. [5] Str. 157. [6] Str. 125. [7] Str. 198. [8] Str. 181.

[9] *Die Jesuiten u. das Herzogthum Braunschweig.* 1889.

swe szkoły". To też przeciw szkołom jezuickim, przeciw wychowaniu jezuickiemu nietylko protestanci ostrzą swe pióra, lecz nawet najznakomitsi pisarze nasi przeciw niemu się oświadczają. W Niemczech nieuprzedzone umysły przychodzą już do innego zdania. „Cel jezuickich szkół, powiada berliński profesor Paulsen [1], można streścić w formule: *Eloquens et sapiens pietas.* Cycerońska wymowa jest u nich również jak w protestanckich szkołach najbliższym celem: wiodą do niej studya *inferiora*, właściwy kurs szkolny. Studya *superiora*, filozoficzny i teologiczny kurs, dają filozoficzne wykształcenie i umiejętność. Pobożne wreszcie życie i ugruntowanie prawdziwej wiary jest ostatecznem przeznaczeniem całego wychowania i całej nauki". „Protestanccy pedagodzy gimnazyalni [2] — powiada tenże uczony na innem miejscu — potępiają zwykle z moralnem oburzeniem Jezuitów za to, że emulacyę zrobili podstawą wychowania. Praktyka w protestanckich gimnazyach nigdy wstrętu teoretyków przed użyciem emulacyi nie dzieliła i nie wiem, czy przez to zasługuje na naganę. Prawda, że dobra Eris jest złej bardzo pokrewna, jednakże bez pierwszej nigdy dobrej szkoły nie było". Oto zdanie ludzi fachowych o szkole jezuickiej; do jezuickiej *Ratio studiorum* zbliżają się bardzo uchwały berlińskiej konferencyi szkolnej z grudnia r. 1890, czy to pod względem dydaktycznym, czy wychowawczym, żądając między innemi pomniejszenia godzin, ograniczenia nauczycieli fachowych, troskliwszej opieki nauki religii i nabożeństw szkolnych; moralnego życia od nauczyciela, uroczystości szkolnych, w którychby i rodzice uczestniczyć mogli, rozpoczynania nauki codziennej krótkiem nabożeństwem.

W wychowaniu psychologia gra niewątpliwie pierwszorzędną rolę. Jezuici, jak nikt inny, umieli badać siebie, badać ludzi, badać swych wychowanków. Ich system wychowawczy, oparty na gruntownej znajomości duszy ludzkiej, najwięcej odpowiadał naturze ludzkiej, wszechstronnie rozwijając i kształcąc wszystkie władze duchowe i fizyczne człowieka. Tem się tłumaczy ich olbrzymie powodzenie na polu szkolnictwa w XVI. i XVII. wieku, którego zaprzeczyć i nieprzyjaciele zakonu nie mogą. W każdym razie na Zachodzie znajdowały szkoły jezuickie uznanie nawet u protestantów, tak iż wielu z nich swe dzieci u Jezuitów kształciło [3]. Nie taką jednak reputacyę posiadają szkoły

[1] *Geschichte des gelehrten Unterrichts.* Leipzig 1885, str. 285.

[2] Str. 286.

[3] Baco Verulamski, „Opinia anonyma o szkołach jezuickich z czasów Henryka IV." — *Sitzungsberichte der Münchener Akademie. Phil.-histor. Kl.* 1871,

jezuickie w Polsce. Nie przesądzając bynajmniej tej kwestyi u nas tak zaognionej, twierdzimy, że odrębnego systemu wychowawczego polscy Jezuici nie mieli i dla nich, jak na Zachodzie, *Ratio studiorum* była normą. Że z ich szkół w XVII. i z początkiem XVIII. wieku nie wyszły wielkie umysły, niczego nie dowodzi, toć i protestanckich szkół wychowańcy w Niemczech niczem się nie odznaczyli; wstrętniejsze pisali panegiryki; więcej kaleczyli makaronizmami język ojczysty, niż wychowankowie Jezuitów. Duch to czasu, klęski domowe w Niemczech, jak w Polsce, wyjałowienie myśli przyniosły. W każdym razie nim zdołamy coś pozytywnego o wpływie szkół jezuickich na społeczeństwo powiedzieć, należy zaczekać na gruntowne monografie o szkolnictwie jezuickiem z jednej strony, i szkołach niejezuickich, których było w Polsce nie mniej od jezuickich, z drugiej strony; należy zaczekać wreszcie na krytyczne opracowanie stosunków wewnętrznych XVII. wieku wogóle. Gruntowne badania, zdaniem naszem, niechybnie kres położą legendzie o szkodliwości szkół jezuickich w Polsce, jaka z końcem zeszłego wieku powstała i jako pewnik naukowy w najpoważniejszych dziełach figuruje.

Ulubionym konikiem przeciwników zakonu jest zarzut, jakoby Jezuici byli podżegaczami tych strasznych wojen, jakie w XVII. w. zniszczyły całą środkową i wschodnią Europę. Wojna trzydziestoletnia była tem dla Niemiec, czem dla nas wojny kozackie. Czy Jezuici byli tych wojen sprawcami? Najkompetentniejsi badacze, jak Gindely, Leo, Klopp, Hurter i t. d. dowiedli, że w wojnie trzydziestoletniej polityczne interesa większą rolę grały od religijnych; że przyczyną jej było wyzywające zachowanie się czeskich malkontentów, ambicya palatyna nadreńskiego, a przedewszystkiem wpływy francuskie, wpływy Henryka IV., który już w r. 1602 nakłania książąt niemieckich przez landgrafa heskiego do unii przeciw nadużyciom domu Habsburgskiego [1]. W tej samej chwili, w której Czesi, Morawianie, Szlązacy i Węgrzy buntują się przeciw prawowitemu monarsze i wzniecają straszne zarzewie wojny, podnoszą przeciw Jezuitom oskarżenie o naruszenie pokoju i wyrzucają ich z kraju. Podobnie ta sama Moskwa, która w celach politycznych kozaków, zrazu co do wiary zupełnie obojętnych,

str. 587. — Buckle, *Geschichte der Civilisation in England.* I, 2. 35. — Macaulay, *Geschichte von England.* III, 68. — Karl Schmidt, *Geschichte der Pädagogik.* I, 322. III, 149, 208.

[1] *Briefe u. Acten zur Geschichte des dreissigjährigen Krieges.* München, 1877. I, 330.

przeciw Polsce podjudza, która bunt i łupiestwo uświęca hasłem religijnem, która dziś knutem i katorgą unię zdławiła i Kościół prześladuje—każe się kozakom skarżyć na opresyę cerkwi, jakiej po rok 1620 nie było, czyni Lachów, Jezuitów odpowiedzialnymi za klęski spadłe na Ruś z powodu wojen kozackich, jakie sama wywołała. Trafnie powiada zatem autor, iż „zawsze byli ludzie, którzy tak jednostronnie swe prywatne interesa mieli na oku, iż w pewnego rodzaju zaślepieniu, nie bacząc na oczywistą niesprawiedliwość po swej stronie, prawa przeciwnika ustawicznie krzywdzą, a przytem głośno i z oburzeniem na rzekomo doznaną krzywdę się skarżą". Prawdziwie złote są to słowa, nietylko Jezuitom, ale i nam Polakom boleśnie odczuć się dawają.

Z jakiem uprzedzeniem nawet najpoważniejsi pisarze protestanccy badają pisma zakonu, świadczy między innemi twierdzenie, że przepisy zakonne Jezuitom nawet grzech śmiertelny nakazują [1]. Opierają się przytem na konstytucyi zakonnej [2], gdzie wyrażenie *obligatio ad peccatum mortale vel veniale*, wyrywając z całości, tłumaczą przez zobowiązanie do grzechu, podczas gdy, jak to Ranke [3] sam przyznaje, odwołując popełnioną pomyłkę, chodzi tu o zobowiązanie pod grzechem śmiertelnym. Mimo to fałsz ten kwitnie, jak to widzimy nawet u Philippsona, dalej na niwie literackiej.

Jak dżuma ściga Jezuitów zarzut, iż hołdują zasadzie: „Cel uświęca środki". „Że właśnie Jezuitom niemoralną tę zasadę jako specyalność przypisują — powiada cytowany wyżej Paulsen [4] z Berlina — tego łatwo wynaleść przyczynę: im silniejsze jest jakie stronnictwo, tem niewygodniejsze staje się drugim; im większe i więcej niespodziane są jego zwycięstwa, tem pewniej przeciwnicy je o użycie nieuczciwych środków posądzą". „Czy jednak rzeczywiście Jezuici tę zasadę sobie przyswoili i wedle niej postępowali — powiada inny protestant [5] — dowieść tego, tym, którzy ten zarzut podnoszą, ani się nie śni..... Dziwić zaś musi i zasmucać zjawisko, że nawet uczeni i uczciwi ludzie tak bardzo ulegają temu przesądowi, iż skonstatowanie faktyczności tak poważnego zarzutu uważają za niepotrzebne". I na czem polega ów

[1] Philippson, *Westeuropa im Zeitalter von Philipp II.* Berlin 1882, str. 61.

[2] Pars VI, cap. 5.

[3] *Geschichte der römischen Päpste.* 2-gie wydanie. Berlin 1854. I, 223.

[4] *System der Ethik.* Berlin 1889, str. 187.

[5] Fischer, *Aburtheilung der Jesuitenfrage,* str. 48.

zarzut? Znowu wyrwano pojedyńcze zdania z całości i fałszywie je interpretując, „wydestylowano kłamliwie“, jak się wyraża protestant Büchmann [1], *corpus delicti*. Jezuici zgodnie z nauką Kościoła uczyli, że czynność moralnie obojętna, jak np. polowanie, może przez cel, jaki wola z nim łączy, być uświęcona. Zasługą staje się polowanie, jeżeli ubitą zwierzyną zamierzam chorego posilić lub ubogiego wesprzeć. Czynność sama w sobie zła, jak kradzież, kłamstwo, żadnym, choćby najświętszym celem nie będzie uświęcona. „Kto kradnie — uczy np. w XVII. wieku O. Laymann w swej Teologii moralnej — by dawać jałmużnę, popełnia czyn niemoralny“. „Wybór złego środka jest zły — twierdzi O. Voit, moralista XVIII. w. — ponieważ chcenie złego przedmiotu uniemoralnia czyn“. „Kłamstwo jest zawsze zakazane, chociażby zamiar był najlepszy, albowiem nie wolno nigdy złego czynić, by z tego dobre wyrosło“, głosi O. Deharbe [2] w naszym wieku. Gdzie tu jest mowa, iż cel uświęca środki? To też w r. 1852 O. Roh na misyi we Frankfurcie, a 10 lat później w Halli ogłosił, że kto przed wydziałem prawniczym w Bonn lub Heidelberdze pokaże książkę, wydaną przez Jezuitę, gdzieby zasada „cel uświęca środki“ była wyrażoną, otrzyma 1000 złr., kto jednak bez dowodu tę zasadę Jezuitom przypisuje, jest oszczercą bez czci i wiary. Dotychczas jednak nikt nagrody nie otrzymał, jakkolwiek nie brak było usiłowań w tym kierunku, że wspomnimy tylko pastora Maurera, który w Busenbauma *Medulla theologiae moralis* [3] wynalazł zdanie: *Cum finis est licitus etiam media sunt licita;* nie trudno było wykazać, że autor z góry wszystkie złe środki poprzednio wykluczył. Tak więc zdanie O. Busenbauma tylko może mieć jedno znaczenie, że jeżeli cel jest dozwolony, wtedy użycie obojętnych środków (nie zaś niemoralnych) jest dozwolone. Nawet tak wrogi Jezuitom Huber, który staje oczywiście po stronie Maurera, twierdząc, że osławione zdanie „cel uświęca środki“ często (!) się u jezuickich autorów znachodzi, musi przyznać, że zwykle (!) bywa ograniczone przez związek, w jakim bywa głoszone [4]. Kończym zatem uwagą nieuprzedzonego innowiercy Fischera [5]: „Jak można było wpaść na to, by całej zasadniczo z najmędrszych ludzi wybranej korporacyi tak nie mądrą, tak przeciwną jej posłannictwu maksymę przypisać, ba nawet za normę

[1] *Geflügelte Worte*, 8. Aufl. Berlin 1874, str. 231.
[2] *Erklärung des katholischen Katechismus*. Paderborn 1857. I, 256.
[3] Münster 1645, liber IV, cap. III, dub. VII, art. II, resolut. 3.
[4] *Jesuiten-Orden*, str. 119.
[5] *Abwehrtheilung der Jesuitenfrage*, str. 54. Leipzig 1858.

ich postępowania przyjąć, jest tem bardziej nie do pojęcia, o ile mądrym ludziom nie zbywa nigdy na środkach dobrych, wiodących do celu".

Dowodem przeciw szkodliwości zakonu ma być jego kasata przez Klemensa XIV. Aby kwestyę tę rozstrzygnąć, stawia autor dwa pytania: 1) Czy w zakonie jezuickim w czasie kasaty były usterki i słabości, jakich w każdem z ludzi złożonem towarzystwie nie brak? 2) Czy usterki te były tego rodzaju, że mogą kasatę usprawiedliwić i uchodzić za właściwą przyczynę kasaty? Jeżeli na pierwsze pytanie autor odpowiada twierdząco i błędów jednostek nie ukrywa, to stanowczo przeczy drugiemu. Zarzuty czynione zakonowi są bezpodstawne i oszczercze. Wedle O. Theinera [1], płacił główny wróg Jezuitów, wszechpotężny minister Carvalho Pombal, 800.000—1,200.000 dukatów płatnym skrybentom za oszczercze paszkwile przeciw Jezuitom, a rocznie, jak sam przyznaje, 3,000.000 dukatów do Rzymu posyłał dla kupowania sobie sprzymierzeńców i popleczników w swych zgubnych dla zakonu planach. Tak samo we Francyi podtrzymywali antyjezuicką propagandę pieniędzmi: Choiseul minister, osławiony później prezydent Roland, no i głośna pani de Pompadour. Wobec tego zdanie tegoż samego Theinera i Hubera [2], że wymuszenie dekretu kasacyjnego przez dwory na Klemensie XIV. jest jezuicką bajką, samo przez się upada. Niestety i ksiądz katolicki, O. Theiner, przyłączył się do szeregu nieprzyjaciół zakonu i w dziele swem p. t. *Geschichte des Pontificats Clemens XIV.* pożądaną broń podał dzisiejszym antagonistom jezuickim. Z 315 zarzutów, jakie podaje przeciw zakonowi, 158 pochodzi z ust Pombala, jego najętych naganiaczy literackich lub wogóle nieprzyjaciół zakonu, drugiej połowy jest sam autorem. Niestety, z całej tej olbrzymiej liczby zarzutów, 300 są prostemi insynuacyami złośliwemi bez dowodu; kilka, mających pozory dowodu, choć nie bezstronnego, odnosi się do jednostek zakonu; zarzutu historycznie uzasadnionego przeciw zakonowi w całem dwutomowem dziele niema ani jednego [3]. Niewątpliwem natomiast jest, że żywioły, które do kasaty zakonu dążyły i ją sprowadziły, były przedstawicielami bezwyznaniowego absolutyzmu, częścią przedsłannikami rewolucyi przeciw tronom i ołtarzowi. Papież tylko pod naciskiem dworów zgodził się na kasatę; potwierdzają to najpo-

[1] *Geschichte der geistlichen Bildungsanstalten,* str. 232.

[2] Tamże, str. 542.

[3] *Eine kritische Beleuchtung von Theiners Geschichte des Pontificats Clemens XIV.* 1854, str. 245.

ważniejsi badacze [1], potwierdzają współczesne depesze i akta, potwierdza wreszcie samo breve kasacyjne, mówiąc: *Reges Francorum, Hispaniarum, Lusitaniae ac utriusque Siciliae..... apud Clementem PP. XIII. exposuerunt studia ac voluntatem et qua valebant auctoritate et precibus, conjunctis simul votis expostularunt, ut efficacissima ea ratione* (tj. przez kasatę zakonu)... *Ecclesiae bono consuleret... Hinc Nobis in eadem Petri Cathedra constitutis eaedem statim oblatae sunt preces, petitiones et vota* [2]. Treść breve papieskiego nie zawiera wcale potępienia zakonu, a ponieważ nie było procesu, nie może go nawet zawierać. Najwiarogodniejsi wreszcie eks-Jezuici, biskupi całego świata katolickiego, katolickie miasta, książęta, papieże, poprzednicy Klemensa XIV., że wspomnimy tylko Klemensa XIII. i jego bullę z r. 1764 — wydają najlepsze świadectwa o Jezuitach. Stąd wynika, że kasata nie może być dowodem przewrotności lub szkodliwości Towarzystwa Jezusowego.

Że Jezuici byli rewolucyonistami, broniącymi nawet teoryi królobójstwa, gdzie panujący katolicyzmowi nie sprzyjał, powtarzają nawet nasi bardzo poważni historycy. — Teorya, iż tyrańskiego władcę i uzurpatora wolno zabić, nie jest bynajmniej wynalazkiem Jezuitów, lecz powstała w średnich wiekach. Już Jan Salisbury w XII. wieku był tego zdania, a Franciszkanin Jean Petit w r. 1408 twierdzi, iż zamordowanie tyrana jest nawet zasługą. Twierdzenie to potępił sobór kostnicki. Jezuici poszli za św. Tomaszem z Akwinu, który warunkowo dopuszczał obronę przeciw wyuzdanemu tyrańskiemu. OO. Salmeron, Grzegórz z Walencyi, Lessius, Becan, Heiss, Gretser uczą zgodnie, iż tyran nie może być pozbawiony legalnej władzy ani życia bez sądu publicznego. Jednakże uzurpatora, który bezprawnie władzę dzierży i po tyrańsku ją wykonywa, wolno, zdaniem Jezuitów tak samo jak zdaniem wszystkich ówczesnych katolickich i protestanckich teologów, zabić. Bez porównania dalej w tej mierze, niż pojedyńczy Jezuici, idzie Luter [3], który gwałt czyniącego tyrana, jak zbója lub rabusia, każe mordować. Tak samo uczy Melanchton. Kalwin zaleca każdemu księciu, który nie sprzyja kalwinizmowi i nie wytępia bałwochwalstwa, tj. katolicyzmu, raczej pluć w twarz, niż go słuchać [4]. Francuski radca parlamentu Jean Bodin broni w r. 1573 tezy, iż wolno każdemu ob-

[1] Ranke, *Römische Päpste*, III, 201—203. — Reumont; Ganganelli, str. 74; oprócz tego: K. Menzel, H. Leo i t. d.

[2] *Litterae apostolicae.* Florentiae 1886, p. 322.

[3] *Sämmtliche Werke,* Erlanger Ausgabe. L. XII. Tischreden VI, 206—207.

[4] *Comment. in Daniel,* c. 6, obacz Janssen. V, 538.

cemu zabić absolutnego władcę, a ograniczonego w swej władzy monarchę, jak cesarza, każdemu poddanemu, jeżeli tenże władzę po tyrańsku wykonywa. Podobne zdania wygłaszają inni kalwińscy teolodzy, jak Dawid Pareus z Heidelbergi, poeta Milton i t. d. W porównaniu z rewolucyjnemi zdaniami protestantów, nawet osławiona nauka O. Mariany S. J. wydaje się być wstrzemięźliwą. Mariana był Hiszpanem, pisał swe dzieło [1] nie dla ludu, lecz dla katolickiego monarchy Filipa III. Poglądy jego są tak szlachetne i wolnomyślne, że nawet Huber [2] i protestanccy pisarze, jak Leutbecher [3], nie mogli im odmówić uznania. W 6-tym rozdziale pierwszej księgi zastanawia się O. Mariana nad kwestyą, czy wolno tyrana zabić. Wskazuje na przykład Henryka III., którego Jakub Clément zamordował. Nie wydając bynajmniej sądu w tym wypadku, chociaż mu to Ranke imputuje, cytując słowa Mariany: *Clemens periit aeternum Galliae decus,* opuściwszy ważny bardzo, bo zmieniający bardzo sens cały dodatek, *ut plerisque visum est,* nie aprobując bynajmniej zatem zamachu z St.-Cloud z r. 1589 — przytacza autor dzieła o wychowaniu króla, różne zdania *pro* i *contra,* czy królobójstwo jest dozwolone. Wreszcie sam konkluduje, że uzurpator może być przez każdego zabity; książę prawowity, jeżeli po tyrańsku postępuje, kraj i poddanych niszczy, może tylko przez stany z tronu być złożony, lecz tylko po poprzedniem upomnieniu. Gdy to nie poskutkuje, można mu odmówić posłuszeństwa i dopiero kiedy chwyci za broń, wolno się poddanym bronić, a jeśli niema innego środka, wolno go wyjąć z pod prawa i zabić. Jakkolwiek warunki, uprawniające do królobójstwa, u Mariany są tak liczne, iż wobec nich zdobyć się na czyn choćby względem najgorszego tyrana prawie niepodobna; jakkolwiek Grocyusz, Leibnitz, protestancki teolog naszego wieku de Wette [4] idą znacznie dalej w dopuszczalności królobójstwa; jakkolwiek doktryny Mariany zakon nie przyjął, a jenerał Aquaviva głoszenie doktryny o królobójstwie wszystkim Jezuitom najsurowiej zakazał [5] — mimo to zawsze

---

[1] *De rege et regis institutione,* 1599.

[2] L. c. str. 247.

[3] *Der berühmte Jesuit Juan Mariana über den König u. dessen Erziehung,* str. 73—78.

[4] *Christliche Sittenlehre.* II, 3, 57.

[5] *Interdixerat Nostris R. P. Generalis a. 1610, 6, VII. doctrinam de Tyrannicidio sub poenis maximis et in virtute obedientiae, ne videlicet hoc praetextu ad perniciem Principum aperiatur via.* Ponieważ dekret ten nie dostał

jeszcze uchodzą Jezuici za rewolucyonistów i krolobójców; mimo to nie wahano się Jezuitów czynić za każdy atentat na głowę koronowaną odpowiedzialnymi. Wspomnimy tu tylko dwa zamachy nieudane na Henryka IV. Burbona, w r. 1593 Barrièra i Jana Chastela z roku 1594; a wreszcie i Ravaillac'a z r. 1610. Przed pierwszym ostrzegł króla właśnie pewien Jezuita, jak to Henryk sam oświadczył [1]; przy zamachu z r. 1594 powieszono bez udowodnienia winy Jezuitę Guignarda na tej podstawie, że znaleziono u niego jakieś pisma uwłaczające powadze królewskiej. Henryk IV. [2], kanclerz królewski Cheverny [3], historyk współczesny Lismondi [4] potępili ten pośpiech i niesprawiedliwość parlamentu względem zakonu, mimo to późniejsi Janseniści i dzisiejsi historycy, jak Huber, twierdzą, że atentaty te były sprawką jezuicką. Naturalnie nieprzyjaciele Jezuitów nie omieszkali i obłąkanego Ravaillaca za ich narzędzie uważać. Na szczęście, nawet Wolter i Huber [5] uznali to za wymysł. Uważamy zresztą za zbyteczne cytowanie licznych baśni o otruciu przez Jezuitów np. Leopolda I., ks. Eugeniusza i t. d. i t. d., płyną one z zatrutego pióra Pombalowych trabantów literackich lub tym podobnych oszczerców.

Ważną rolę w antyjezuickiej propagandzie odgrywają jezuiccy spowiednicy monarchów. Jest niezawodnie rzeczą bardzo łatwą, ludzi, których działalność zakrywa tajemnica konfesyonału, posądzać o rzeczy najgorsze i upatrywać w nich przyczynę wszystkich nadużyć ich penitentów. Jest to grunt śliski, niedostępny dla krytyki historycznej, tem bujniej na nim chwast oszczerstwa się krzewi. Jedno wszelako historya stwierdzić może, a mianowicie, jakimi ludźmi byli spowiednicy królewscy. Pod tym względem zaś nawet tacy historycy jak rewolucyjny biskup Grégoire w przeważnej części najchlubniejsze o nich świadectwo dają [6]. Spowiednicy królów francuskich, od Henryka III. do Ludwika XV., OO. Auger, Coton, Arnoux, Caussin, Bourdaloue, przez swą gorliwość, bezinteresowność i odwagę zasłużyli sobie na

---

się do wszystkich prowincyj, dlatego 1 sierpnia 1614 jenerał go powtórzył i zażądał od prowincyałów doniesienia o odebraniu powyższego dekretu. *Scriptores rer. Polon.* t. XIV. „Dziennik domu zakonnego" i t. d. str. 124.

[1] Berger de Xivrey, *Recueil des Lettres missives de Henri IV.* IV, 184.

[2] Tamże IV, 184 i VI, p. VII.

[3] *Memoires Col. Petit.* XXXVI, 290—293.

[4] *Hist. de Français.* XXI, 320—22.

[5] L. c. str. 161.

[6] *Histoire des confesseurs* etc.

chlubną pamięć nawet u przeciwników zakonu. To samo da się powiedzieć o spowiednikach dworu cesarskiego, o OO. Becanie, Lamormaini, Nidhardzie, Bischoffie, Kampmillerze, Parhamerze; nie inaczej również o OO. Warszewickim, Skardze, Gołyńskim, Barczu, Pikarskim, Vocie, spowiednikach królów polskich. Zarzucają zwłaszcza Becanowi i Ojcu Lamormaini nietolerancyę przeciw protestantom. Nowsze badania jednak wykazały, iż ci właśnie Jezuici przemawiali w wieku nietolerancyi za tolerancyą [1]. O. Becan uczy wyraźnie, iż książę katolicki, by zapobiedz większym nieszczęściom, poddanym akatolickim wolność wyznania przyznać winien, a po klęsce króla zimowego nie domaga się w palatynacie wytępienia protestantyzmu, lecz tylko wolności wyznania dla katolików. O. Lamormaini nic nie chce wiedzieć o restauracyi katolickiej, któraby z obietnicami i traktatami cesarza była niezgodna. Przysięgę, którą cesarz przy rozpoczęciu wojny był uczynił, że nic innego nie zamierza, jak aby nieprzyjaciele broń złożyli, uważa spowiednik ten za świętą, którą protestantom dotrzymać należy [2]. Zadanie, jakie jezuiccy spowiednicy monarchów mieli, było bardzo trudne, być może, że w pojedyńczych wypadkach niejeden z nich nie dorósł do swego zadania, to fakt jednak, że żadnemu z nich mimo bystrego śledzenia zazdrości przez wieki całe nikt ani jednego ciężkiego przewinienia nie udowodnił.

W naszym wieku poczucie narodowe, tak szlachetne zresztą i wzniosłe, niejednokrotnie chorobliwe przybrało rozmiary i w szowinizm narodowy się wyrodziło. U nas, gdzie uczucie to klęskami narodu spotęgowane zostało do najwyższego stopnia, wymaga się od Polaka najpierw patryotyzmu, uczucia inne, nawet religijne, na drugi plan schodzą. Żądanie to zrozumiałe jest, czy słuszne jednak, inna sprawa. Wobec tego zarzut kosmopolityzmu u nas cięższym się wydaje niż gdzieindziej. Nie oszczędzono też zarzutu tego Jezuitom jak u nas, tak i w Niemczech i innych krajach. Niewątpliwie, jak Kościół katolicki jest powszechny międzynarodowy, tak i zakony katolickie, a zatem i zakon jezuicki jest międzynarodowy kosmopolityczny, co jednak nie wyklucza, że i narodowe interesa bywają uwzględnione przez utworzenie odrębnych prowincyj w poszczególnych krajach. Jak dalej oj-

[1] Reichmann, *Jesuiten u. das Herzogthum Braunschweig.* 1890, str. 30. Döllinger-Reusch, *Moralstreitigkeiten,* II, 255.

[2] Gindely, *Waldstein während seines ersten Generalates.* Prag 1886, I, str. 71.

czyznę więcej kochać należy niż rodzinę, tak znowu Boga i jego przykazania wyżej cenić trzeba niż ojczyznę. Prawdziwa miłość Boga nie czyni ujmy miłości ojczyzny, owszem ją uszlachetnia i uświęca, bo Bóg ją sam zaszczepił w serca ludzkie. Prawdziwa miłość ojczyzny objawia się w czynach, w obronie skarbów wiary, prawa, wolności, moralności i oświaty tego narodu, do którego się należy. Miłość ta tem czystsza i prawdziwsza, im większa bezinteresowność i większe poświęcenie jednostki około mnożenia tych dóbr. Ofiary, jakich czyste, nieposzlakowane życie prywatne wymaga, ofiary około dobra publicznego, to prawdziwe znamiona patryotyzmu. Czy Jezuitom naszym można odmówić tych poświęceń? Nie można im odmówić w czasach Skargi, Wujków i Sarbiewskich. Ich następcy byli zbyt Polakami, przyznają to nawet Jezuitom nieprzychylni pisarze. A w naszych czasach, czy brak patryotyzmu i poświęceń zarzucić można Antoniewiczom i innym członkom zakonu Lojoli? Czyż w Niemczech taki O. Balde, taki O. Spe, O. Avancini, O. Denis nie kochali gorąco swej ojczyzny? Czy koniecznie aby naród swój kochać, trzeba nienawidzić obcy, choćby wrogi? Zdaniem mojem, miłość ogólno-ludzka, wznosząca człowieka ponad ciasne szranki narodowe, nie czyni ujmy miłości ojczyzny, lecz właśnie ją potęguje i jest przez Boga wskazana. Jeżeli to nazwiemy kosmopolityzmem, to niewątpliwie kosmopolitami są Jezuici i nimi być winni jako naśladowcy Chrystusa i słudzy powszechnego Kościoła.

To samo dotyczy i zarzutu tamowania cywilizacyi i postępu przez Jezuitów. Jeżeli bowiem postępem i cywilizacyą zowiemy protest przeciw prawdzie Bożej, zuchwałe i bezpodstawne hipotezy i systemy, które dziś świecą i łudzą, a jutro ich niema, w takim razie Jezuici byli i są zacofańcami. Atoli postępem blichtru tego i zuchwałości żaden sumienny myśliciel nie nazwie; za cywilizacyjnem znaczeniem Jezuitów przemawia niezliczony szereg znakomitości naukowych na każdem polu, rekrutujących się z zakonu, przemawia ich skuteczna działalność cywilizacyjna wśród dzikich, że wspomnimy tylko misye w Paragwaju, przemawiają wreszcie sami przeciwnicy, że wymienimy tylko Hubera [1].

Zarzutów przeciw rzekomo potwornej nauce moralnej Jezuitów, powtarzanych przez najgłośniejsze powagi naukowe, takiego Kuno Fischera [2], Rankego [3], nie ma potrzeby właściwie odpierać, gdyż odręb-

[1] Ob. str. 418, 420.

[2] *Geschichte der neueren Philosophie,* 1878. I, 3. I, 135.

[3] *Römische Päpste,* III, 135.

nej nauki moralnej jezuickiej niema, jest jedna tylko nauka moralna Kościoła; zarzuty więc, przeciw Jezuitom skierowane, są zarzutami przeciw powadze Kościoła. Niepodejrzanym w tej mierze świadkiem jest tak wrogi Jezuitom historyk Huber, który między innymi rezultat swych badań streszcza w sposób następujący: „Zakon Jezuitów, jako dziecko wielkiej reakcyi papizmu w XVI. wieku, nosi w zasadzie piętno średniowiecznego katolicyzmu na sobie; między zakonem a średniowiecznym i dzisiejszym Kościołem papieskim żadnej nie można robić różnicy“ [1]. „Jezuici — powtarza z naciskiem tenże autor na końcu swego dzieła — są prawdziwą latoroślą Kościoła i, jak to okazała zupełnie bezowocna kasata ich, zawsze odżyją, choćby pod innem nazwiskiem i pod inną maską, dopóki rzymski Kościół sam zupełnie się nie przeobrazi“ [2]. Jeżeli tak, to lepszego świadectwa Huber Jezuitom wystawić nie mógł. Takie niedyskretne zwierzenie się nieprzyjaciela Jezuitów dla katolika wierzącego jest dostateczną odpowiedzią na wszelkie zarzuty miotane przeciw zakonowi jako całości.

Prawdziwą zaś ironią losu jest ta okoliczność, że najgłośniej przeciw nauce moralnej Jezuitów właśnie ci krzyczą, którzy z zasadami wszelkiej moralności zupełnie zerwali; są to apostaci od Kościoła, odpadli księża i zakonnicy, którzy złamali swe przysięgi, dopuszczali się notorycznych kłamstw, fałszerstw i oszczerstw; są to ci sami, co bezprawnie gwałcą najświętsze prawa zagwarantowane narodom w imię imputowanej Jezuitom zasady: „cel uświęca środki“ — ci sami ludziom nieposzlakowanym zarzucają luźność zasad moralnych. „To też Jezuici — kończy O. Duhr — sumiennej i gruntownej krytyki się nie lękają, choć wiedzą, że jako ludzie nie są wolni od błędów, a nawet walki się nie boją, byle ta walka nie kłamstwem i kalumnią, lecz uczciwą bronią była prowadzona“.

Na uczciwych zatem przeciwników książka O. Duhra zrobi niewątpliwe wrażenie. Jeżeli nie wszystkich, to wielkiej części przesądów pozbędzie się ten, kto ją uważnie przeczyta. Czy jednak uczciwych i niezaślepionych czytelników w łonie przeciwników znajdzie apologia ta tylu, ilu w interesie prawdy znaleść winna? Sądzimy, że samo autorstwo Jezuity odstraszająco na wielu oddziała, że wszelkie choćby najświetniejsze dowody podejrzywane będą jako *demonstratio pro domo sua*. Jest to bowiem cechą fanatyzmu i zaciekłości, że mają oczy

[1] Wstęp, str. IX.
[2] Str. 563.

a prawdy nie widzą, mają uszy a jej nie słyszą. Bądź co bądź dla szerokich kół katolickich *Jesuitenfabeln* będą znakomitym arsenałem dla odpierania zarzutów i oszczerstw przeciw Towarzystwu Jezusowemu, i tem samem choć pośrednio do szerzenia prawdy, a zbijania fałszu się przyczynią.

Dr. K. Krotoski.

Z pism czasowych.

Историческое Обозрѣніе. Сборникъ Историческаго Общества при Императорскомъ С.-Петербургскомъ Университетѣ. С.-Петербургъ 1893. Томъ шестой.

Od lat kilku przy petersburskim uniwersytecie istnieje Towarzystwo historyczne, liczące w gronie swych członków krajowych lub zagranicznych nietylko Rosyan, ale też wielu Polaków, oraz przedstawicieli innych narodowości. Pomimo dość krótkiej jeszcze egzystencyi, Towarzystwo to, jak widać z jego sprawozdań, posiada już stosunkowo dość pokaźną bibliotekę, w roku zaś ubiegłym wytworzyło w swem łonie nader pożyteczną sekcyę pedagogiczną, która ma na celu możliwe doskonalenie systemu wykładania dziejów. Przeważnie atoli działalność jego polega na odczytywaniu i ocenianiu referatów, przedstawianych przez członków na zebraniach Towarzystwa, jak również na wydawaniu powyższego *Przeglądu*, jako swego organu.

Ostatni tom tego wydawnictwa, który obecnie mamy przed sobą, nader korzystnie się przedstawia, na zawartość zaś jego złożyły się w większej części prace pp.: Turajewa, Lurja, Wodowozowa, Lubowicza i t. d. Ten ostatni w artykule pod tytułem: „Doniesienia nuncyuszów papieskich z Niemiec w XVI. stuleciu“ (Донесенія папскихъ Нунціевъ изъ Германіи въ XVI. в.), zaznacza bogactwo i doniosłość historyczną watykańskich archiwów, których otwarcie dla ludzi świeckich przez papieża Leona XIII. stanowiło prawdziwą epokę w świecie uczonych. Zdaniem autora, największą wagę pomiędzy przechowywanemi tam dokumentami posiadają dla każdego kraju sprawozdania nuncyuszów papieskich, wysyłanych do tego państwa. „Nie poprzestając na jak najbardziej szczegółowych doniesieniach o sprawach, mających bezpośredni związek z powierzonem im zadaniem, nuncyusze — dodaje autor — mieli ciągle zwróconą baczność na ogólny przebieg politycz-

nych i społecznych interesów danego mocarstwa, dzięki zaś swemu stanowisku mogli zdobywać wiarogodne wiadomości o wszystkiem, co wiedzieć pragnęli. Dlatego też ich doniesienia o sprawach politycznych niezmiernie są ciekawe, tem bardziej, że niejednokrotnie odsłaniają zakulisową stronę rozmaitych wypadków".

Zeszkicowawszy następnie kilkoma słowy poszukiwania, dokonywane w watykańskich archiwach przez Polaków i Anglików, autor poświęca obszerną wzmiankę pracom przedsięwziętym w tej mierze z inicyatywy rządów: austryackiego i pruskiego. Najnowszym wynikiem tych poszukiwań jest wydawnictwo: *Nuntiaturberichte aus Deutschland 1553 bis 1559 nebst ergänzenden Actenstücken,* dokonane przez profesora Waltera Friedensburg'a, jak również ogłoszenie dokumentów, dotyczących epoki, w której arcybiskup koloński, Gerard Truchses, został apostatą, na miejscu zaś jego mianowano księcia Ernesta Bawarskiego. Dokumenta te, wydane pod tytułem: *Der Kampf um Köln 1576—1584,* poprzedza obszerna przedmowa p. Hansen'a, który zaznacza w niej zasługi papieża Grzegorza XIII. w walce z niemieckim protestantyzmem. Pan Hansen wskazuje też środki, używane w tej walce przez katolików, twierdząc, że katolicyzm działał z początku w Niemczech w sferze wewnętrznej, politycznej, starając się o spotęgowanie swego stronnictwa i utrwalenie autorytetu papieskiego, aby go przeciwstawić usiłowaniom partyi protestanckiej. Z samych dokumentów, zawartych w powyższym zbiorze — dodaje ze swej strony p. Lubowicz — widać, że przedstawiciele Kuryi rzymskiej w Niemczech odznaczali się energią, przezornością i odwagą. Obszerną recenzyę powyższych wydawnictw kończy autor życzeniem, aby jak najrychlej utworzył się w Rzymie rosyjski instytut historyczno-archeologiczny, niezbędny do systematycznego badania obfitych i dotąd niemal nietkniętych materyałów do dziejów Rosyi, przechowywanych w murach Watykanu.

W artykule pod tytułem: „Przyczynek do historyi helleńsko-żydowskiej oświaty w Aleksandryi" (Къ исторіи еллино-іудейскаго просвѣщенія въ Александріи), p. Lurje podaje nader zajmujące szczegóły o religijno-filozoficznym kierunku umysłów żydowskich mieszkańców Aleksandryi.

Pokrewną w pewnej mierze powyższemu artykułowi jest praca p. Wodowozowa pod tytułem: „Kult rozumu i Najwyższej Istoty" (Культъ Разума и Верховнаго Существа). Ponieważ jednak jest to tylko streszczenie obszernego i wielce zajmującego dzieła Aulard'a, noszącego tytuł: *Le culte de la Raison et de l'Être Suprême (1793—1794),*

Essai historique (Paris 1892), do niego więc, jako do źródła, odsyłamy czytelników.

Natomiast na uwagę naszą zasługuje nader wyczerpujący szkic z historyi badania starożytności fenickich p. Turajewa (Очеркъ исторіи изученія Финикійской древности). Któż z nas za młodu ucząc się historyi, nie słyszał, że Fenicyanom zawdzięcza ludzkość wynalazek alfabetu, purpury, szkła i t. p.? Jak bardzo atoli powyższe mniemanie dalekiem było do prawdy, tego, na podstawie licznych naukowych studyów, dowodzi wymieniony przez nas artykuł, w którym znajdujemy systematyczny przebieg badań nad historyą tej krainy. Autor ocenia w nim bezstronnie prace rozmaitych historyków, archeologów i podróżników, począwszy od Quintinusa, Hadduusa Thereta i Skaligera w XVI. i XVII. wieku, a kończąc na wyprawie Renana i najnowszych zdobyczach nauki, osiągniętych na polu mglistych dotąd jeszcze i niepewnych dziejów Fenicyi. Główny nacisk kładzie autor na prace profesora Mowersa, Judasa, Bertou, Baudissin'a, Thiel'a i Pietschmann'a, wyznaczając każdemu z nich należne miejsce w szeregu fenikologów. Opisuje też obszernie liczne wykopaliska w obrębie starożytnej Fenicyi, rzucające pewne światło na jej historyę. Z zestawienia tego widać, że wynalazki, przypisywane przez czas tak długi Fenicyanom, należało raczej odnieść do starożytnego Egiptu. Alfabet swój zaczerpnęli Fenicyanie z hieratycznych znaków egipskich, szkło zaś jeszcze przed nimi wyrabiali Egipcyanie z mineralnych cząstek pewnej rośliny, ale nie było ono przeźroczystem i nosiło nazwę litego kamienia. Mylnem również było zdanie, jakoby kupcy feniccy przywozili bursztyn z morza Bałtyckiego, gdyż, według wszelkiego prawdopodobieństwa, dostarczały im go góry Libańskie. Wynalazek purpury nasuwa także pewne wątpliwości, chociaż nie da się zaprzeczyć, że monopol handlu tym artykułem, tak bardzo cenionym w starożytności, posiadali przez czas długi mieszkańcy Tyru. Co do tego ostatniego, to również nieuzasadnione opowiadano sobie baśnie o jego zburzeniu przez Nabuchodonozora, gdyż, jak tego dowiodły późniejsze badania, miasto to nie zostało wówczas zburzone, ale się rozciągało po obu brzegach cieśniny i nosiło nazwę podwójnego Tyru.

Szereg artykułów, zawartych w ostatnim tomie *Istoryczeskawo obozrjenija*, uzupełnia szematyzm wykładu historyi Anglii dla szkół średnich, skreślony przez p. Szczepkina, i artykuł p. Stanisława Ptaszyckiego o słowiańskich przekładach *Gesta Romanorum*, w którym autor uwzględnia najbardziej przekład polski i czeski. Wreszcie część pierwszą

tego tomu zamyka kronika historyczna, czyli, właściwie mówiąc, bibliografia dzieł historycznej treści. Część druga została poświęcona wyłącznie interesom Towarzystwa, którego *Przegląd* ten jest organem, i zawiera jego sprawozdania, regestra, oraz protokóły z roku ubiegłego. Nareszcie, jako dodatek, zaczęto drukować obecnie pamiętnik pani Roland, pod tytułem: „W więzieniu świętej Pelagii dnia 9-go sierpnia 1793 roku", o którym jednak, jako nie stanowiącym jeszcze zaokrąglonej całości, wydać sądu nie możemy.

Kończąc ocenę *Istoryczeskawo obozrjenija*, musimy dodać, że odznacza się ono starannym doborem i opracowaniem artykułów, o kwestyach religijnych wyraża się oględnie, unikając wszelkiej polemiki i stronniczości, a zarazem stara się zająć stanowisko czysto naukowe, wyższe ponad wszelkie rasowe przesądy i uprzedzenia.

Tytus Sopodźko.

Свѣтъ, мѣсечно списание за наука, литература и домакинство. София 1893, год. I. (Świat, miesięcznik poświęcony nauce, literaturze i gospodarstwu domowemu. Sofia 1893, rocznik I.).

Wer Vieles bringt, muss Jedem etwas bringen — powiada niemieckie przysłowie. Zasady tej widocznie trzyma się miesięcznik, wymieniony przez nas powyżej, a należący do najmłodszych przedstawicieli prasy bułgarskiej, gdyż liczy zaledwie pierwszy rok istnienia. W niewielkiej stosunkowo objętości, miesięcznik ten podaje swym czytelnikom nader urozmaicony umysłowy pokarm, przyczem redakcyi chodzi widocznie nie tyle o jakość, ile raczej o ilość tej literackiej strawy. Sama zresztą szczupłość ram tego wydawnictwa nie pozwala jego współpracownikom na pogłębienie myśli i staranne wyczerpanie treści swoich artykułów.

Wśród prac większych rozmiarów, artykuł pod tytułem: „Historyczne znaczenie prawosławia i jego rozwój" (Историческо-то значение на православие-то и негово-то развитие) zwraca na siebie uwagę niezwykłą dozą wyznaniowego szowinizmu. Autor stara się dowieść, że wszystkie bez wyjątku ludy słowiańskie były pierwotnie prawosławne, identyfikując zapewne prawosławie z przyjęciem języka słowiańskiego w niektórych krajach za język liturgiczny, chociaż są to dwie rzeczy najzupełniej od siebie odrębne. Naturalnie i Polska takiemu samemu, jak inne słowiańskie kraje, uległa losowi, autor bowiem śmiało twierdzi, że „Mieczysław I. w r. 966 przyjął w Czechach *(sic)* prawosławie, a dopiero za panowania syna jego Bolesława Chrobrego,

św. Wojciech do Polski wprowadził katolicyzm". Szkoda, że szanowny autor przed skreśleniem swego artykułu nie sięgnął do poważnych źródeł i nie zaczerpnął dokładniejszych wskazówek choćby u swych współwyznawców. Dowiedziałby się wówczas z dzieł tak naprzykład nieprzychylnie usposobionego dla katolicyzmu uczonego, jakim jest Budiłowicz, profesor warszawskiego uniwersytetu, że już w r. 973 Mieczysław I. zawarł w Kwedlinburgu z cesarzem Ottonem I. i królem czeskim Bolesławem II. ugodę, której treścią było rozkrzewienie katolicyzmu w Polsce, czego z pewnością nie mógłby uczynić, gdyby sam wtedy nie był katolikiem [1]. Z drugiej strony zarówno w Polsce, jak i w Czechach zakon św. Benedykta otrzymał od Stolicy Apostolskiej pozwolenie odprawiania nabożeństwa w języku słowiańskim, czego dowodem jest bulla papieża Klemensa VI. z r. 1346, przesłana na ręce arcybiskupa praskiego Arnoszta [2]. Na mocy tej bulli w Pradze, na tak zwanem Emmaus, powstał klasztor przeznaczony dla *monachi nigri S. Benedicti*, którzy następnie założyli dwie filie zakonne, jedną pomiędzy rokiem 1380—1385 w Oleśnicy na Szląsku [3], drugą zaś w klasztorze zbudowanym w r. 1390 przez królowę Jadwigę i Jagiełłę przy kościele świętego Krzyża na Kleparzu w Krakowie [4]. Zakonnicy ci nosili nazwę *Ordinis Benedicti Fratrum Slavorum*, odprawiali nabożeństwo w języku słowiańskim i używali ksiąg głagolickich, nie naruszając jednak wcale dogmatów lub przepisów liturgicznych katolickiego Kościoła. O istnieniu ich wspomina między innymi kardynał Hozyusz w dziele swem pod tytułem: *De Missa vulgari lingua celebranda*. Nie wypływa stąd jednak bynajmniej, aby głagolica miała być narzędziem prawosławnej propagandy, z czego szanowny współpracownik *Swietu* nie zdaje się dokładnej zdawać sobie sprawy. Wogóle zresztą poglądy jego są tak naiwne, że niekiedy aż śmiech budzą.

Natomiast wolny od wszelkiego zarzutu jest artykuł Wł. A. Boszkowa pod tytułem: „Moralność u nas" (Моралний животъ у насъ). Autor twierdzi, że po przyjęciu chrześcijaństwa ludność bułgarska wyrobiła w sobie charakter tak zacny i szlachetny, iż sama nawet nazwa Bułgara była jakby synonimem uczciwości, sprawiedliwości, skromności, łagodno-

[1] A. Budiłowicz, Общесловянскій языкъ. Варшава. 1892. T. II, str. 84.

[2] Ginzel, *Cyrill und Method* 93.

[3] *Zeitschrift des Vereins für Geschichte und Alterthum Schlesiens*. 1860 T. III., str. 206. — Perwolf, Славяне, t. III, str. 31.

[4] Tomek, *Dějepis m. Prahy*, t. III, str. 236.

ści i gościnności. Przez cały przeciąg pięciowiekowej niewoli Bułgar czerpał w Ewangelii moralną świeżość i siłę, niezbędną do walki z wadami i występkami muzułmańskich swych władców. Ale niestety — dodaje — przysłowie, że każda wojna niesie za sobą zarodek zepsucia, sprawdziło się u nas całkowicie podczas ostatniej wojny za oswobodzenie Bułgaryi. Dzięki jej wprawdzie Bułgar uwolnił się od jarzma niewoli i zależności, oraz odzyskał niepodległość, stanowiącą niezbędny warunek do rozwoju cywilizacyi i oświaty; ale na gruncie prostych, poczciwych dusz bułgarskich oswobodziciele złe zasiali ziarno i przygotowali nieznacznie moralny nasz upadek. Ziarno to zapuściło korzenie, teraz zaś wydaje plony. Rosya, oswobodziwszy nas od jarzma niewoli — woła wreszcie z goryczą — włożyła na nas jarzmo występku, hańby i krańcowego poniżenia!... (Руссия ни освободи отъ ярема на робство-то, а ни притисна съ тоя на порока, позора и крайно-то унижение!...). Charakterystyczne te słowa obejdą się bez komentarza.

Do ciekawszych artykułów należy również biografia i rzut oka na literacką działalność współczesnej poetki tureckiej Nigiar-Chanum. Ponieważ nazwisko to jest u nas dotąd chyba nieznane, pozwolimy więc sobie przytoczyć parę szczegółów o tej nowożytnej Safo. Nigiar-Chanum, córka słynnego podczas ostatniej wojny rosyjsko-tureckiej Osmana baszy, urodziła się w Konstantynopolu w r. 1865. Talent poetycki odziedziczyła ona po matce, która względem ojczystego swego piśmiennictwa wielką położyła zasługę, zbierając nader skrzętnie ludowe pieśni tureckie. Od dzieciństwa mała Nigiar uczyła się piosnek tych na pamięć i śpiewała je w haremie, przy dźwięku rozmaitych narodowych narzędzi muzycznych. W trzynastym roku życia, podług miejscowego zwyczaju, została żoną pewnego zamożnego Turka, a w r. 1889 ogłosiła drukiem pierwszy zbiór lirycznych swoich utworów pod tytułem *Afofus* (Westchnienia). W taki sposób, wbrew przepisom muzułmańskich praw i zwyczajów, przekroczyła próg haremowego więzienia, występując publicznie jako poetka. Odtąd literacka jej twórczość coraz większą na siebie zwracała uwagę, gruntowna zaś znajomość francuskiego i niemieckiego języka pozwoliła zaznajomić się z płodami literatur europejskich, które na rozwój talentu młodej Turczynki niemały wpływ wywarły. Niektóre jej poezye przełożył p. Howard, sekretarz przy ambasadzie francuskiej, na język francuski, a oryentalista dr. Kupos na język węgierski. Zdaniem znawców, wszystkie utwory pierwszej tureckiej poetki odznaczają się głębokiem estetycznem poczuciem, lekkością formy i pięknością języka.

Pomiędzy licznemi artykułami *Swietu* wymienić jeszcze możemy, jako celniejsze, następujące prace: „Wpływ muzyki na ludzi i zwierzęta“, gdzie pomiędzy osobami najmniej wrażliwemi na harmonię dźwięków, wymieniono carową Katarzynę II.; „Długość ludzkiego życia“; „Magnetyzm“; „O prawach nauki w wychowaniu“, oraz artykuł pod tytułem: „Hipolit Taine jako historyk francuski“, zasługujący na uwagę z powodu nader trafnych poglądów na historyografię francuską przed ukazaniem się prac Taine'a.

Zawartość zeszłorocznego *Swietu* uzupełnia wreszcie cały szereg przepisów gospodarskich, higienicznych i leczniczych, umieszczonych w każdym zeszycie, stała rubryka pod nazwą „Wiadomości z naukowego świata“, krótkie notatki bibliograficzne, oraz kilka beletrystycznych utworów oryginalnych lub tłumaczonych, ale bądź co bądź nie sięgających poza sferę mierności. Wogóle całość tego miesięcznika robi wrażenie taniego bazaru, w którym się znajdzie wszystkiego potrosze; czy w dobrym gatunku, to inne pytanie.

Tytus Sopodźko.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Węgierskie reformy kościelne. — Źródło francuskiego anarchizmu. — Polski apostata w Ameryce. — List biskupów galicyjskich przeciw złym pismom.

WĘGIERSKIE REFORMY KOŚCIELNE.

Wniesione w parlamencie peszteńskim przez ministra sprawiedliwości Szilagyego, i ministra oświaty Csakego projekty do ustaw mających fundamentalnie zmienić istniejące dziś, na chrześcijańskim gruncie wykwitłe prawo małżeńskie i prawo o religii dzieci, wywołały już dotychczas stokroć większy zamęt, niż był i mógł być ten, który wrzekomo mają na celu usunąć. Rolę Kościoła przywłaszcza tu sobie państwo, władzę Papieża—minister sprawiedliwości. Państwo ustanawia przeszkody do zawarcia małżeństwa, a od przeszkód tych może w pewnych wypadkach dyspensować tylko minister sprawiedliwości; ogłasza małżeństwo, nie zawarte przed wyznaczonym do tego świeckim urzędnikiem, za niebyłe i nieważne; udziela rozwodów. Jeśli kto chce, wolno mu po otrzymaniu cywilnego ślubu postarać się o ślub kościelny, ale biada księdzu, któryby się poważył związać nowożeńców stułą, nie przekonawszy się przedtem z urzędowego aktu, że wójt, burmistrz lub starosta uznał ich już za prawowitych małżonków.

„Duszpasterz, — postanawia nowe prawo — któryby się takiego przestępstwa dopuścił, ukaranym zostanie grzywną do 1000 koron; w razie powtórzenia przestępstwa, aresztem od miesiąca do dwóch i grzywną 1000 koron. W razie gdyby małżeństwo zawartem zostało najprzód przed księdzem, a następnie dopiero przed urzędnikiem państwowym, wina księdza uważaną ma być za zwykłe przekroczenie i karana grzywną do 300 kor. Jedynie gdy zachodzi stwierdzona obawa blizkiego zgonu jednego z narzeczonych, wolno księdzu, bez obawy kary, udzielić ślubu kościelnego przed cywilnym".

Postanowienia te uzupełnia projekt do ustawy o religii dzieci, a przyznać trzeba, że uzupełnia w tym samym duchu, depcąc bez żadnego względu kościelne przepisy i wielowiekową węgierską tradycyę. Narzeczonym, mniejsza o to jakiego wyznania, wolno przed ślubem porozumieć się, do której z uznanych przez państwo religij, dzieci ich mają należeć. W braku takiego porozumienia stwierdzonego aktem urzędowym, wszystkie bez wyjątku dzieci chowane być winny w religii ojca; gdyby ojciec należał do bezwyznaniowców, wolno mu wybrać dla dzieci jedną z uznanych religij; jeśli z prawa tego nie skorzysta, wszystkie dzieci idą za religią matki; jeśliby zaś i matka zapisaną była w kategoryi bezwyznaniowych, natenczas o religii dzieci rozstrzyga ustanowiona przez rząd władza opiekuńcza. Decyzya, w jakiej religii dzieci mają być nadal chowane, odroczoną być może najpóźniej do chwili dojścia przez nie do obowiązkowego wieku szkolnego.

Zanadto smutnemby było, gdyby tego rodzaju „reforma", odejmująca za jednym zamachem Maryańskiemu królestwu pozostałe cechy chrześcijańskiego państwa, nie wywołała energicznych protestów, nie zjednoczyła do walki na ostre wszystkich katolików. I tak, zbyt długo katolicy za mało na siebie, za wiele na inne zewnętrzne czynniki, na opiekę z góry rachując, zadawalniali się odosobnionemi harcami: paru wiecami odbytemi w różnych stronach kraju, kilku mowami na publicznych zgromadzeniach: zbyt długo dozwalali kiełkować i róść przypuszczeniom, że sami różnią się między sobą w zdaniu o możliwych

skutkach zamierzonej reformy. Dopiero w ostatnich tygodniach, gdy wszystkie złudzenia pierzchły, gdy rządowe wnioski znalazły się na wszystkich stolikach, a nieokreślone groźby przybrały ciało i kości, udało się na szczęście obmyśleć a po części i w życie wprowadzić plan wspólnej, obronnej akcyi. Początek do tej akcyi dali biskupi — już nie jak dotychczas na ochotnika, ale we wspólnym, przez wszystkich bez wyjątku zarządców węgierskich dyecezyj podpisanym liście pasterskim. Stwierdziwszy, że Kościół w Węgrzech od dłuższego już czasu prowadzić musi walkę przeciw krzywdzącym, dogmatom jego sprzeciwiającym się rozporządzeniom o religii dzieci pochodzących z małżeństw mieszanych — biskupi przechodzą do najnowszych rządowych projektów i stanowczo je potępiają:

„Wiecie, że w ostatnich czasach przedłożono parlamentowi projekty do ustaw, które głęboko naruszają dogmaty naszego Kościoła. Sprzeciwiają się one głównym zasadom chrześcijanizmu, na których społeczeństwo węgierskie zostało zbudowane, otwierają naoścież bramę religijnym błędom, odejmują małżeństwu charakter sakramentu i nierozerwalność, zaprzeczają Kościołowi udzielonego mu przez Chrystusa Pana prawa wydawania przepisów i orzeczeń w sprawach odnoszących się do małżeństwa, i uznają za ważny taki tylko kontrakt małżeński, który zawarty został przed urzędnikiem państwowym; nie uznają zaś małżeństwa zawartego, wedle ustaw Bożych i kościelnych rozporządzeń, jedynie przed kapłanem“. Episkopat — ciągnie dalej list pasterski — doszedł do ostatnich granic w możliwych ustępstwach, i dlatego obecnie ścisłym jest jego obowiązkiem podnieść głos przeciw rządowym planom; wezwać wiernych do obrony zagrożonych praw Kościoła. Wyznajcie zatem jawnie i otwarcie, że Ewangelii się nie wstydzicie; brońcie wolności Kościoła, złóżcie dowody wierności i przywiązania do świętej wiary i nie dozwólcie, aby droga nam ojczyzna utraciła cenne dziedzictwo św. Szczepana, błogosławieństwo Kościoła. Niech się wiara wasza objawi w sposób godny katolika; bądźcie stali, odważni, nie zapominając przytem o umiarkowaniu i uszanowaniu, które władzy się należy. Nie dozwólcie zwłaszcza, aby kato-

lickie, chrześcijańskie małżeństwo obniżonem być miało do poziomu zwykłego cywilnego kontraktu, i aby w państwie św. Szczepana małżeństwo zawarte wobec Boga i Kościoła uważanem być miało za nieważne. Gromadźcież się około waszych pasterzów i zaprotestujcie, idąc za katolickiemi waszemi przywódcami, przeciw tym uroszczeniom. Niechaj głosy z serc waszych płynące, dotrą do tych, którzy obdarzeni waszem zaufaniem, waszym wyborem powołani, mają obowiązek bronić najwyższych praw i interesów kraju. Niech słowa wasze, protesty wasze dojdą do nich, abyście w ojczyźnie naszej, przez św. Szczepana utworzonej, żyć mogli według wiary, przekazanej nam przez św. Szczepana.

„Tak jest! podejmujemy walkę, ale walkę nie zaczepną, lecz obronną! Nie napaść to, jeżeli nie chcemy złamać wierności katolickim zasadom, katolickiemu sumieniu; nie chcemy zaprzeć się wiary naszej, bronić chcemy wolności katolickiego Kościoła i własnego katolickiego sumienia, wolności przyznanej nam przez konstytucyę, stwierdzonej przez całą węgierską historyę; jeśli odeprzeć chcemy bezprawne mieszanie się władzy państwowej w sferę praw Kościoła naszego. Jak św. Ambroży wołał: ‚Obrońcami jesteśmy, nie napastnikami'; tak my dziś wołamy, a wołaniem tem naszem składamy właśnie najlepszy dowód prawdziwej a rozumnej miłości ojczyzny".

Wezwaniu pasterzy odpowiedzieli już wierni, a spodziewać się można, że niezadługo jaśniej jeszcze i dobitniej odpowiedzą. Jak w niższej, tak w wyższej Izbie padły już pierwsze strzały. W pierwszej zażądał poseł Jan Asboth, z okazyi rozprawy o budżecie wyznań, prawdziwej a niekłamanej autonomii i wolności dla Kościoła katolickiego. „Nieraz daje się słyszeć, — mówił energiczny poseł, nie cieszący się zresztą bynajmniej opinią klerykała — że Kościół katolicki nie ma nigdzie na świecie tyle przywilejów, co w Węgrzech. Mnie się wbrew przeciwnie wydaje, że niewiele jest krajów, w których Kościół znajdowałby się w równem poniżeniu. Gdzież szukać, gdzie kryją się kolosalne owe przywileje, kiedy najprostsza wolność sumienia ciągle na szwank jest narażoną? Lecz może mówiąc o przywilejach, myśli

tu kto o kościelnych majątkach? Jakież przeznaczenie tych majątków? Blask służby Bożej i połączonej z nią tak ściśle narodowej sztuki, a zarazem kojenie społecznej nędzy. Dziś, gdy bardziej niż kiedykolwiek, bardziej niż za pańszczyznianych czasów, *misera contribuens plebs* jęczy pod bezduszną tyranią złotego cielca i molocha mamony; dziś majątki te mają na celu szczepić cierpliwość w sercach zrozpaczonych. Dochody z nich, stosownie do woli i zamiarów Kościoła, rozdzielone być mają między biednych, głód cierpiących, na szkoły, ochronki, konwikty, szpitale... Ale co to obchodzi ludzi i pisma, które wzięły sobie za zadanie wzniecać i utrzymywać ciągłe prześladowanie katolików? Niech się kto zastawi za katolickie interesa, choćby protestował, że zastawia się li tylko w obronie i w imię autonomii, napiętnują go natychmiast nazwą ultramontanina. Ale i stawać w obronie Kościoła nie potrzebuje; wystarczy, jeśli kto, jak np. hr. Albert Apponyi, pójdzie na mszę do kościoła, aby wskazywano nań palcem i wołano: ‚Patrzcie, patrzcie, oto ultramontanin'".

W Izbie magnatów oświadczyli się przeciw kościelnej polityce rządowej przywódcy katolików: hr. Ferdynand Zichy i hr. Maurycy Esterhazy; najostrzejszej krytyce poddał ją protestant, hr. Mikołaj Zay. „Jeżeli rząd — mówił ironicznie — uznał za swój program wprowadzić do kraju zamęt, sparaliżować działalność publiczną, obudzić między rozmaitymi faktorami publicznego naszego życia jawną nieufność; to przyznać trzeba, że dąży konsekwentnie do spełnienia tego programu. Znaną jest rzeczą i do zbytku znaną, dlaczego rząd rzucił w ludowe masy iskrę kościelno-politycznego radykalizmu; zapewne, nie dla pięknych jego oczów, ale po prostu dlatego, aby podtrzymać walący się, na rozpadnięcie się przeznaczony gmach własnej egzystencyi. Tylko, choćbyśmy zawotowali rządowi tę deskę ratunku, to przy praktycznem wprowadzeniu w życie zamierzonej reformy, mogą wypłynąć na wierzch takie trudności; przewaga, użyczona sztucznie radykalnemu stronnictwu nad naturalnemi skłonnościami i interesami całego narodu, doprowadzić może do następstw, które zatrząsną i do przepaści wtrącą, nie jeden, ale cały szereg ministeryalnych gabinetów... Smutna to polityka, co dla załat-

wienia pewnych sporów z katolickiem duchowieństwem, ściąga na wszystkie wyznania niebezpieczeństwo radykalnej burzy... Czyż wysoki Rząd sądzi naiwnie, że jego reformy wrzucą w umysły nasienie tak potężnej liberalnej ekstazy, i ściśle z nią złączonego potężnego religijnego indyferentyzmu, który zdoła na bok usunąć wszelkie wyznaniowe spory? Czy sądzi, że stronnictwo liberalne może dowoli kierować religijnemi uczuciami milionów?... Uważcie i zastanówcie się, do czego doprowadziłby musiało, na jakie straszne przejścia narażałoby kraj, gdyby i na przyszłość wejść miało w zwyczaj występowanie z głęboko sięgającemi reformami nie dlatego, że naród reform tych potrzebuje i domaga się, ale dlatego, aby władzę w ręku swem utrzymać... Lub czyż może polityczne stanowisko Węgier tak już ustalone, że wolno oburącz rozrzucać, wolno trwonić wszystko, co je zachowuje i zespala?“...

Więcej od tych przemów waży, do zastanowienia się i do cofnięcia się póki czas skłoniłby winien widoczny już, kościelnemi projektami sprowadzony rozkład w łonie rządowego stronnictwa. Do chwili, w której słowa te piszemy, opuściło szeregi rządowe około 20 członków, między nimi były prezes ministrów, hr. Szapary. Wielu w najbliższych dniach wystąpi — trudno przewidzieć; to pewna, że oprócz owych 20, którzy salwowali się z tonącej łódki Wekerlego, jeszcze około 45 stronników dzisiejszego ministeryum zobowiązało się pisemnie wobec wyborców nie głosować za kościelnemi przedłożeniami; że więc radzi nie radzi, będą się musieli wywiązać ze swych przyrzeczeń: zwrócić się przeciw Wekerlemu, lub złożyć mandaty. Wekerle zachęca do obrania tej drugiej drogi, ale pytanie, czy wszyscy zechcą posłuchać danej sobie wskazówki. Wielkie też pytanie, jaki wpływ na przebieg dalszej akcyi wywrze pierwszy, już nie prowincyonalny, ale ogólno-węgierski katolicki wiec, który 16 b. m. obradował w Peszcie.

Wiec ten przybrał olbrzymie rozmiary: brało w nim udział przeszło 6000 delegatów, przysłanych przez najodleglejsze miasta i wsie, cały węgierski episkopat, bardzo wielu magnatów i posłów. Obrady otworzył naturalny, duchowny przywódca węgier-

skich katolików, kardynał Vassary; zamknął je świecki przywódca, Ferdynand Zichy.

„Czego chcemy, w jakim celu tuśmy się zebrali? — pytał kardynał. — Niczego innego, jak wolności, wolności takiej i w takich granicach, jaką sejm nasz w roku 1790, a więc wtedy, gdy jedynie religia katolicka była panującą i przez państwo uznaną, zagwarantował wszystkim chrześcijańskim wyznaniom... Religii naszej, wolności naszej bronić musimy i będziemy. My katolicy umiemy zastosować się do zmienionych stosunków w ojczyźnie naszej; ale w tem, co się do dziedziny wiary i obyczaju odnosi, nie wolno nam się ugiąć ani przed wolą pojedyńczych ludzi, ani przed urządzeniami istniejącemi u innych narodów, ani przed duchem czasu... Majątek nasz, serce nasze, ziemskie życie nasze należy do naszego króla i do ziemskiej naszej ojczyzny; ale duszy naszej złożyć im w ofierze nie możemy, bo dusza należy do niebieskiego naszego Króla, do Boga, do niebieskiej naszej ojczyzny, do prawdy wiecznej...

„Daj Boże! — zakończył swą mowę hr. Zichy wśród niedającego się opisać entuzyazmu zgromadzonych — daj Boże, aby dzisiejszy nasz wiec był ostatnim, który katolicy w obronie swej zwoływać muszą".

ŹRÓDŁO FRANCUSKIEGO ANARCHIZMU.

Akcya przeciw anarchistom we Francyi, podjęta na szeroką skalę, pod wpływem panicznego strachu, wywołanego bombą, rzuconą w parlamencie przez głośnego dziś na obu półkulach Vaillanta, pobudziła cenionego publicystę, Edwarda Hervé, do wypowiedzenia w dzienniku *le Soleil*, kilku bardzo trafnych, bardzo na czasie będących uwag:

„Trudna rada, dziś przyznać już trzeba, że czysto materyalna siła nie wystarcza do obronienia społeczeństwa. Udajmy się więc o pomoc do siły moralnej; najwyższy na to czas! Ale gdzie siłę tę znajdziemy, jeżeli dalej uparcie będziemy religię wciąż mieć w podejrzeniu, a Boga skazywać na wygnanie? Jakiej oderwanej teoryi, jakiego filozoficznego dogmatu poprosimy o moralną ową naukę, której odczuwamy potrzebę? Nikt nigdy nie znajdzie nic lepszego dla dziecka nad naukę chrześcijańską: nad te proste, jasne, praktyczne przepisy,

które z dziesięciorga przykazań przeszły do katechizmu. Można je ukryć pod filozoficzną etykietą, ale nic na ich miejsce wymyśleć nie można. Przywróćcież zatem katechizm w szkole, z której wyrzuciliście go. Chętnie czy nie chętnie, będziecie go musieli bądź co bądź przywrócić; lepiej od razu na krok ten się zdecydować. Republikanie pytają, jaką reformę zaprowadzićby mogli bez nadwerężenia finansów krajowych. Oto reforma nic nie kosztująca, a która w dodatku pozwoli na przyszłość porobić znaczne oszczędności w wydatkach przeznaczonych na policyę i na więzienia".

Tymczasem postępowi nauczyciele i nauczycielki rozdają szkolnym dzieciom — jak stwierdziły dzienniki — książeczki z anarchistycznemi piosenkami, w których powtarza się, w żadne zbyteczne już dziś frazesy nie przybrana zwrotka: „Niech żyje anarchia! śmierć bogaczom!"... — Rozwody mnożą się bezustannie. Wedle urzędowej statystyki, ogłoszonej przez ministeryum sprawiedliwości, wpłynęło do sądów podań o rozwód:

W roku	1884	1773
„	1885	4640
„	1886	4581
„	1887	6505
„	1888	6247
„	1889	7075
„	1890	7456

Na 1000 w roku 1880 zawartych małżeństw, przypadało 24 rozwodów; w Paryżu aż 75 rozwodów. W Paryżu zaczynają nadto jeszcze wchodzić w modę „chrzty cywilne"; świeżo udzielono takiego „chrztu" z wielkim hałasem i z wielką reklamą, urządzoną przez masońską prasę, szesnastu biednym dzieciom, skazanym z góry na niewiarę. Nie zabrakło naturalnie w czasie tej uroczystości kazania o obrzydliwej nietolerancyi Kościoła katolickiego; następnie przywołano linoskoczków, i dla harmonijnego zakończenia całej tej komedyi, kazano im się popisywać różnemi karkołomnemi sztuczkami.

POLSKI APOSTATA W AMERYCE.

Wśród amerykańskiej Polonii mąci ciągle i nieoświeconych wprost do schyzmy prowadzi, nieszczęśliwy odszczepieniec, były proboszcz Kolasiński. Wychodząca w De-

troit *Prawda*, tak zgubną działalność tego apostaty, zgubne i bolesne jej skutki charakteryzuje:

„Miał Kościół wielkich heretyków, miał odszczepieńców, miał i ma zażartych prześladowców, zgorszycieli i innych wyrzutków, ale ci pogardzając powagą Kościoła odwołali się na powagę nibyto rozumu lub Boga i wprost uderzyli na Kościół. Kolasiński zupełnie inaczej działa. Pogardziwszy fundamentalnem prawem Bożem, które nakazuje posłuszeństwo biskupowi pod utratą wszystkich łask i dóbr duchownych, wystąpił jawnie z Kościoła, zerwał z nim wszelkie węzły, a jednak odwołując się na rzekomą łączność z Papieżem, w imię tegoż Kościoła prowadzi lud bez wzdrygnienia do piekła.

„Biedny i nieszczęśliwy lud! Czuje on, że idąc za odszczepieńcem i apostatą znajduje się na bardzo ciemnej drodze, ale nie mając jasnego pojęcia o zasadniczych podstawach Kościoła pod względem dogmatycznym, słucha uwodziciela, wierzy mu, ponieważ jest kapłanem, uczęszcza do jego fałszywych sakramentów, tworzy parafię, oddaje ostatni cent na wygodne utrzymanie humbugera i humbugu i buduje najwspanialszy kościół w Detroit.

„Wszystko to czyni niby dla wiary i Kościoła katolickiego. Zdaje mu się, że modlitwą i surowem wypełnianiem zewnętrznych praktyk religijnych zdolnym jest ubłagać Boga na pozwolenie łamania Jego prawd i na zadosyćuczynienie swemu uporowi. Poświęcenie kamienia węgielnego przez fałszywych biskupów, kłamstwa i wykręty apostaty, aby się jak najdłużej utrzymać w roli pasożyta, zachwiały nieco zaufanie ludu, ale lud ten, związany za pomocą towarzystw i zaciągniętych hipotek na swoje własności, trzyma się go i łudząc się jego obietnicami mniema, że sam Delegat apostolski, mgr. Satolli, przybędzie na poświęcenie schyzmatyckiego kościoła i zmusi dyecezyalnego biskupa do uczestniczenia w tej uroczystości. Jak fałszywe jest to zapewnienie apostaty, dowodzi list Delegata, na którego on się właśnie powołuje. Oto co pisze ów dostojnik Kościoła do jednego z byłych jego zwolenników:

Delegacya Apostolska
Stany Zjednoczone Ameryki.
N. 971. *Washington D. C. dnia 21 paźdz. 1893 r.*

„Panie!

„W odpowiedzi na Twój list, pisany do mnie dnia 9-go bieżącego miesiąca, jestem Ci obowiązany odpowiedzieć, że fałszywem jest

zupełnie, co o mojem przybyciu do Waszego kościoła jest głoszonem. Biorę nadto stąd powód do upomnienia tej parafii, ażeby się postarała jak najprędzej usunąć zgorszenia, które się już od długiego czasu dzieją z powodu odłączenia się tej parafii od władzy kościelnej.

Oddany w Chrystusie
Fr. Arcybiskup Satolli
Delegat Apostolski".

„Łaciński oryginał tego listu z urzędową pieczęcią znajduje się w redakcyi *Prawdy*. Kolasińczycy więc mogą go oglądać, mogą się sami przekonać naocznie o kłamstwach zwodziciela, ale czy zechcą podnieść się ze swego poniżenia, stanąć i zawołać: ‚precz z humbugiem, niech żyje prawda?'"...

LIST BISKUPÓW GALICYJSKICH PRZECIW ZŁYM PISMOM.

Smutnych laurów, któremi Kolasiński ozdobił swe czoło w Ameryce, pozazdrościł w Galicyi ks. Stojałowski. O wichrzeniach jego, o agitacyi, dziwnie nawet w szczegółach podobnej do jawnie schyzmatyckiej akcyi, rozwiniętej w Ameryce przez nieuznającego biskupów, odwołującego się na wrzekomą łączność z Papieżem, uzurpującego sobie biskupią władzę Kolasińskiego[1] — mówiliśmy przed paru miesiącami; wichrzenia te i równocześnie z niemi grasujące, szeroko socyalistyczne agitacye, doszły obecnie do takich rozmiarów, że episkopat prowincyi galicyjskiej uznał za niezbędne, głośno i z całą powagą przeciw nim wystąpić. Obszerny list pasterski, podpisany przez Arcybiskupa lwowskiego i Biskupów: przemyskiego i tarnowskiego, oświeca i utwierdza wiernych w katolickich zasadach o rządzie Kościoła, przypomina obowiązek słuchania biskupów i proboszczów i wierzenia ich słowom i ostrzeżeniom; a następnie zwraca się wprost przeciw „samozwańczym nauczycielom fałszu i przewrotności,... którzy przychodzą do was bądź ze słowem żywem, bądź też z pisemkami, lub którzy narzucają się wam na orędowników i kierowników na waszych publicznych zebraniach i naradach":

[1] Zachodzi tu ta zewnętrzna różnica, że Kolasiński przybiera nawet podobno biskupi strój, co w Galicyi, wobec istniejących praw, jest niemożliwem.

„Niezbożną robotę tę swoją prowadzą i słowem pisanem i słowem żywem, nadużywając onego najcenniejszego daru ludzkiego, jakim jest niezaprzeczenie słowo, które, jak jest wyrazem myśli, tak też jest narzędziem nauki prawa i prawdy... Psuje i zabija ono dusze, bałamuci umysły i podburza namiętności serca. W wyższym jednak stopniu czyni to słowo pisane, czynią to złe pisma i dzienniki: są one zatrutem źródłem, z którego bez przerwy tysiące czerpią i w ten sposób psują swoje serca, podkopują cnotę i zaciemniają wieczny cel życia. To też papież i biskupi przestrzegali zawsze i zakazywali czytać złe książki i dzienniki pod ciężkim grzechem. Mamy także zakazy w bieżącem stuleciu od Grzegorza XVI., Piusa IX. i Leona XIII. i od biskupów wszystkich krajów. Złem zaś jest każde dzieło pisane lub drukowane, bez względu na tytuł i kształt, w jakim się pojawia, które napada na religię katolicką bądź w jej dogmatach, życiu i powadze, bądź w jej hierarchii, w głowie i sługach, bądź też w jej nauce obyczajów i karności.

„Napaści zaś te bywają częścią jawne, płynące z nieukrywanej nienawiści ku religii i św. wierze katolickiej; częścią ukryte, pochodzące z pobudek zdrożnych i mętnych, lecz chowające się pod obłudną osłoną przywiązania do Kościoła katolickiego, występowania w obronie uciśnionych, lub krzywdzonych, lub zaniedbywanych.

„Pierwszego rodzaju napaści, właśnie dlatego, że są jawne, mniej są niebezpieczne, bo napastników, występujących w przyrodzonej wilczej skórze, zdala już łacno pozna wierna owieczka Chrystusowa, iż wczas uciecze do swego pasterza; któremu też łacniej przychodzi odegnać od stada niebezpiecznego wilka drapieżnego — dlatego też niema potrzeby ostrzegać przeciw takim napaściom szczegółowo.

„Natomiast drugi rodzaj napastników jest tem niebezpieczniejszy, że chcąc aby ich pisma uchodziły za katolickie, pozorami uległości dla Głowy Kościoła, usypiają gładkiemi słowy czujność i zwodzą nietylko jagnięta, ale też stare a dojrzałe owce tak, iż nie widzą one ukrytych zębów, któremi gryzą zapamiętale pasterzy Chrystusowych, a pomocników Ojca św., przez Ducha Św. postanowionych, aby rządzili Kościołem Bożym a owczarnią Chrystusową. Nie widzą też onego żądła zatrutego, którem, głosząc zniesienie stanów i równy podział dóbr doczesnych, przez to nietylko wywracają na wspak prawo naturalne, a więc i Boże, ale też godzą i obrażają sprawiedliwość i miłość chrześcijańską, bo sieją niezgodę między stanami i budzą nieufność, podejrzenia i zazdrość ku tym, którzy więcej posiadają. Nie są to przyja-

ciele ludu, ale wężowie i żmije, o których mówi psalm (139, 4): *zaostrzyli języki swe jako wężowie, jad żmijów pod ich wargami.*

„Nie pasterze to ludu Bożego, chociażby niekiedy za pasterzy się wydawali, lub nawet w sukni kapłańskiej się ukrywali; ale wilcy drapieżni...

„Z owoców ich poznacie je. Toż to właśnie te nieszczęsne owoce, iż wadzą i rozrywają zgodę braci, zamieszkujących jednę ziemię, ukazuje najwymowniej, czem są owi mniemani obrońcy ludu, jakoby nie dość było karania Pańskiego, iż dopuścił poćwiartowania naszej drogiej ojczyzny, iż brutalny odszczepieniec znęca się i gnębi braci naszych za ich przywiązanie do wiary, Kościoła i mowy ojczystej. A to wszystko czynią kłamiąc obłudnie przyjaźń dla ludu, kłamiąc uległość dla Stolicy Apostolskiej, uwłaczając równocześnie powadze prawnych pasterzy w Kościele Bożym ustanowionych.

„Wszak prawowici pasterze są zarazem naturalnymi opiekunami ludu także pod względem materyalnym; oni też wszelkiemi godziwemi sposobami starają się o to — ale nie mogą używać środków niegodziwych, od Boga zakazanych, jakiemi są: szerzenie nienawiści przeciw tym, którym Bóg więcej dóbr doczesnych użyczył, — podniecania chęci wydarcia im tych dóbr i praw do tychże dóbr, jakie mają od Boga — jak to czynią niektóre pisemka pod pozorem, że bronią praw ludzi uboższych i ciężkiej pracy oddanych. Nie ten jest prawdziwym przyjacielem i obrońcą ludu, który mu ciągle powtarza rozmaite, nawet urojone tylko krzywdy, wyrządzane przez ludzi zamożniejszych; nie ten jest prawdziwym ludu obrońcą, który każdego, więcej własności lub praw posiadającego, wytyka i piętnuje jako wroga ludu. Nie złość to ludzka sprawiła ani ślepy przypadek, że w społeczeństwie ludzkiem rozmaite są stany, że jedni więcej, drudzy mniej posiadają — lecz Bóg sam najwyższy, Pan i dawca wszystkiego, nie jednakowo rozdziela pomiędzy ludzi dary swoje, lecz według swego upodobania, tak jak gospodarz ewangeliczny, który według nauki Pana Jezusa jednemu słudze dał pięć talentów, drugiemu dwa, a trzeciemu tylko jeden — przykazując, aby każdy z tych sług w miarę tego co otrzymał starał się przynieść zyski odpowiednie.

„Nie godzi się przeto żywić niechęci, nieufności i uprzedzenia ku tym, którzy więcej własności lub praw posiadają, tem bardziej nie godzi się zazdrościć im tych dóbr. Natomiast godziwą jest rzeczą, przez uczciwą pracę starać się o pomnożenie mienia swego, bronić legalnemi środkami swoich praw przeciw rzeczywistym krzywdom przez

kogokolwiek wyrządzonym — ale w granicach miłością chrześcijańską zakreślonych. Prawo miłości zarówno obowiązuje wszystkich, tak bogatych jak i ubogich — i jak zabrania ubogiemu pożądać dobra bogatszych, tak też bogatszym zabrania krzywdzić uboższego — a Kościół Boży, jak upomina ubogich, aby w ubóstwie swojem uznawali wolę lub dopuszczenie Boże, tak z drugiej strony upomina bogatszych, aby darów z woli Bożej sobie użyczonych, używali zgodnie z wolą Bożą, i aby z miłości ku Bogu łagodzili dolę uboższego, przypominając im, że kiedyś będą musieli Bogu zdać liczbę z włodarstwa swojego.

„Przeciw temu prawu miłości wykraczają i ciężką na siebie odpowiedzialność ściągają ci, którzy pismami swemi sprowadzają rozstrój w społeczeństwie, podżegają nienawiść ku majętniejszym, i pod pozorem obrony praw ludu pracującego, i uboższych, rozmyślnie lub niebacznie torują drogę do bezprawia i gwałtownych przewrotów.

„Otóż pomni wezwania Apostolskiego: ‚czuwajcie'... my biskupi i pasterze wasi, z woli Bożej i Stolicy Apostolskiej wam dani i nad wami postanowieni — niniejszem uroczyście potępiamy i jako wielce zgubne, szkodliwe i niebezpieczne te pisma uważamy, które lubo sztandar katolicki wywieszają, ducha jednak katolickiego nie mają, a w szczególności: *Wieniec, Pszczółkę* i *Dzwon*. A potępiając je, zarazem mocą zwierzonej nam przez Boga władzy, pod grozą kar kościelnych zakazujemy wiernym naszych dyecezyj je czytać, wspierać, prenumerować i rozszerzać.

„Podobnie potępiamy i zakazujemy czytać, wspierać lub rozpowszechniać inne podobnej treści lub dążności pisma, bez różnicy, czy takowe podszywają się pod nazwę pism katolickich, czy też wprost lub ubocznie przeciw zasadom i naukom katolickim lub przeciw porządkowi społecznemu (jak np. *Przyjaciel ludu, Naprzód* i t. d.) występują, bez różnicy, czy takowe już istnieją, lub w przyszłości powstaną, i dlatego wzywamy WW. XX. plebanów i innych rządców kościołów nam podległych, aby pomni odpowiedzialności przed Bogiem za zbawienie dusz, swej pieczy powierzonych, pilną zwracali uwagę na pisma, pośród swych parafian rozszerzane i ich przed każdem nowem podejrzanem pismem ostrzegali, a nas bezzwłocznie o tem zawiadamiali. Waszym zaś, najmilsi dyecezyanie, obowiązkiem będzie, okazać powolność i posłuch pasterzom waszym przez nas ustanowionym, gdy was przestrzegać będą przed niebezpiecznemi pismami.

„Tę samą powolność i posłuch dla waszych pasterzy zalecamy i przykazujemy wam zachować, gdy was przestrzegać będą przed

onymi niepowołanymi orędownikami, agitatorami, którzy radzi zjawiają się na waszych zgromadzeniach i zebraniach ludowych, aby i tam żywem słowem podobnie zgubne, a niebezpieczne zasady szerzyć między wami, jak w pismach dopiero co przez nas potępionych"...

W końcowych ustępach swego pisma tłumaczą jeszcze biskupi wspaniałą rolę, którą odgrywał zawsze i odgrywa Kościół, jako naturalny i najlepszy opiekun wszystkich biednych, uciśnionych; zachęcają wiernych i duchowieństwo do zakładania i podtrzymywania pism, ożywionych duchem prawdziwie katolickim. Jeden to z najważniejszych środków do zwalczenia niewiary; do zapewnienia — bez wstrząśnień i zaburzeń — społeczeństwu szczęścia, jakie na ziemi jest możliwe.

Bolesnem, ale najsilniejszem stwierdzeniem, jak surowy ten krok biskupów kościelnej prowincyi galicyjskiej jest usprawiedliwionym, jak był niezbędnym — jest agitacya, rozwinięta przez ks. Stojałowskiego po ogłoszeniu w pismach i z ambon tego listu. Do niedawna jeszcze czytaliśmy w jego pismach: „Nie wierzcie, gdy wam powiedzą, że przeciw hierarchii kościelnej, że przeciw biskupom występuję"; — dziś w *Wieńcu Polskim* i w *Pszczółce,* pisemku przeznaczonem, jeśli tytułowi wierzyć, dla „chrześcijańskich klas pracujących", występuje wprost do boju z tą hierarchią. Czem jest list pasterski? pyta w dłuższym artykule pod wymownym tytułem: „Bomba duchowna". „Bomba ta, odpowiada, jest świętokradzką bronią, jest niezgodną z prawem kościelnem, niezgodną z nauką Papieża, jej puszczenie jest niesumienne wobec prawa Bożego". — Czy słuchać macie biskupów? — pyta znowu. — „Broń was Boże! Przeciwnie, namawiajcie jak najwięcej ludzi, aby zakazane z ambon pisemka czytali, bo — cytujemy dosłownie — ‚owoc zakazany smaczniejszy, to wam teraz łatwo namówić do czytania. Klątwy się nie bójcie, a grzechu wiecie, że w tem niema, bo grzech to przestąpienie przykazania Boskiego lub kościelnego, a niema ani jedenastego przykazania Boskiego: nie czytaj *Dzwonu, Wieńca* i *Pszczółki,* — ani szóstego przykazania kościelnego: Będziesz czytał tylko pańskie gazety'". Gdzieindziej grozi, że nazwiska „tchórzów", którzy gazetkę porzucą, drukować będzie w gazet-

kach; obsypuje pochwałami „zuchów-wiarusów“ za to, że na przekór władzy kościelnej zaprenumerowali gazetki. Na dowód, że lud nie myśli pasterzów swych słuchać, drukuje obszerne listy prenumeratorów z protestami przeciw rozporządzeniu biskupiemu. Listy te dziwnie, nietylko treścią, ale formą, stylem, zwrotami podobne do artykułów, pisanych przez samego redaktora.

Niedość na tem — gorączkowo a sprytnie działający agitator, lękając się, aby z czasem rozwaga i zasady katechizmowe nie wzięły góry nad sztucznie wywołanem rozdrażnieniem, kuje żelazo póki gorące, i rozesłał po parafiach formularze z ułożoną przez siebie „Odpowiedzią wiernych katolików na list pasterski trzech Biskupów“, wzywając do umieszczania pod tą odezwą jak najliczniejszych podpisów. Jaka to odezwa, pisana — jak wyraża się jedno z pism lwowskich, aż do zbytku dla ks. Stojałowskiego wyrozumiałe — „nie piórem, ale chyba miotłą“; jaka w niej cześć dla biskupów, których — jak śmie twierdzić — „władzy i powagi naruszać nie chce“, o tem łatwo się przekonać z paru końcowych ustępów:

„Co się wierze i Kościołowi nie sprzeciwia — i czytać i czynić możemy, a tej wolności, którą nam świecka ustawa daje, Wy Waszym zakazem nie odbierajcie, bo nie odbierzecie!

„Karami kościelnemi nie chciejcie grozić bez przyczyny i przedwcześnie; raczej najdostojniejsi Pasterze, Bogu dziękujcie, że On w naszych sercach wiarę zachowuje, a iż sobie kościelne i Boskie rzeczy ważymy.

„Czyż chcecie, abyśmy uwierzyli, iż Sakramenta i funkcye kościelne mogą być zamienione w polityczne środki dokuczania i prywatnej mściwości?...

„Dość już zgorszenia, że kapłanowi wiernemu i prawowiernemu, Biskup, z mściwości tylko, i dlatego, że na wiec przyjeżdża, broni ołtarza, lub pełnienia innych czynności kapłańskich; czyż chcecie, najprzewielebniejsi Pasterze, jak kraj długi i szeroki, zaprowadzić policyę nową, najstraszniejszą na świecie, bo policyę duchowną — i Boskie Sakramenta ze środków łaski i zbawienia, zamienić w środki politycznej agitacyi?...

„Jeśli więc Boga i Kościół i dusz zbawienie i własną godność miłujecie, to przestańcie tej strasznej i zgubnej roboty“.

Czyż więc ks. Stojałowski absolutnie nikogo słuchać nie chce, przed żadną władzą głowy ugiąć, żadnej powadze sądu swego poddać? Przed kilku miesiącami zaręczał uroczyście w *Dzwonie*: „Z góry oświadczam, że się poddaję wyrokom i zdaniu Stolicy św., a co ta uzna za niezgodne z nauką Kościoła, naprzód odwołuję i potępiam“. I dziś odwołuje się na Rzym, na Papieża, i dziś cytuje z upodobaniem, tłumacząc jak uzna za najodpowiedniejsze, papieskie encykliki; i dziś z zamiłowaniem, utartym śladem wielu i wielu, co przeciw Kościołowi bunt podnieśli, przeciwstawia Papieża biskupom, i ogłasza, że do Papieża po sąd i sprawiedliwość osobiście się uda. Ale dziś lęka się, jak ów sąd wypadnie, więc na wszelki wypadek i aby zostawić sobie otwartą furtkę, zaręcza czytelnikom *Pszczółki*, że wyrok rzymski i ewentualne zatwierdzenie listu pasterskiego będzie nieważne, „dopóki Ojciec św. nie będzie miał przedłożonej sobie obrony redakcyi, którą właśnie drukujemy“. Obyż przynajmniej, po owem przedłożeniu swej obrony, zechciał się już zupełnie bez zastrzeżeń, bez wykrętów poddać wyrokowi papieskiemu! Oby zechciał poddać się gruntowniej i trwalej, niż przed kilku laty, kiedy w publicznym liście — datowanym w Krakowie 18 września 1890 r. — oświadczył: „Wyrok Stolicy św. przyjmuję i takowemu się w zupełności poddaję“ — a to „dla okazania mej dla Stolicy św. wierności i uległości“; dziś zaś zapomniawszy snać o owej „wierności i uległości“, donosi w *Pszczółce*: „Wyrok pozbawienia probostwa był nieważny i podałem już o wznowienie tej sprawy“.

Ks. Jan Badeni.

Z wystawy w Chicago.

III.

Wyliczenie kilku najpiękniejszych okazów z wystawy sztuki Stanów Zjednoczonych zaświadczy o tem, co mówiłem. P. Brown w dwóch obrazkach, przedstawiających kilku szkolarzy: raz śmiejących się z figlów, które przed nimi wyprawia koleżka, a następnie, gdy biedną psinę

uczy różnych sztuczek—przypomina najzupełniej Knausa. Walter M. Guy przedstawia odpust w Bretanii, naśladując bardzo pięknie Dagnan-Bouvereta. Utwory Bastiana Lepage'a stają nam żywo w pamięci, gdy patrzymy na obraz Mc Evena p. t. „Dzień zaduszny". W chacie wiejskiej siedzi staruszek zdrzemnięty przy czytaniu córki, a obok na pustem krześle widać cień siedzącej matki, przybyłej z za grobu w odwiedziny do swoich. Rosentha dał ładniutki obrazek przedstawiający staruszka-tancmistrza we fraku z XVIII. w., uczącego menueta grono młodych panien — naszych prababek. Jest to Vautier historycznej treści. — Zaznaczam to, iż wspominam o obrazach, które się wyróżniały, a których, o ile mię pamięć nie myli, nie spotkałem na dawniejszych wystawach, a nadto pomijam wszystkie obrazy treści religijnej, którym chcę poświęcić wyłączny ustęp.

Niemieccy artyści dali kilka ładnych rodzajowych obrazków. Kaulbach Herman: staruszka z XVI. w., opowiadającego dzieciom jakąś historyę.— Kinzel z Wiednia: paniczyka wśród wieśniaków, którzy drwią z niego w najlepsze, a on się na tem poznać nie umie.— Uhde: młodą dziewczynę z węzełkiem podróżnym w ręku, zapatrzoną w jakąś chatę nawpół rozwaloną... a tam, na uboczu, wśród ciemnej, mglistej nocy, widać kościołek, wewnątrz oświecony, do którego schodzą się na pasterkę ludzie z okolicy. — Z Holandyi, Boks przysłał obrazek, wprawdzie oklepanej treści, lecz bardzo ładny. Państwo wróciwszy niespodziewanie z podróży, zastają w salonie ucztę służby. Dumnie a obojętnie patrzący feldfebel zaproszony w gościnę, i kryjąca się za fotelem pokojówka w okropnym strachu przed panią, są to postacie oddane z niezwykłym artyzmem. — Schwartz zaś stawia nam przed oczy lekcye śpiewu w domu sierot w Amsterdamie. — Z Belgii mamy Leempoelsa z wielkim humorem wykonany obrazek, przedstawiający starego zbieracza rycin, któremu kot i pies rozdarły na dwoje jakiś bardzo cenny okaz; a Van Smitt przedstawia nam z całym realizmem wnętrze przytułku dla starych kobiet w Antwerpii.

Już na kilku poprzednich wystawach zauważyłem, iż w Szwecyi rozszerzył się ogromnie impresyonizm. Naród, który w 1878 r. w Paryżu celował swemi krajobrazami tak, że nawet w obrazach treści historycznej, religijnej i t. p., najpiękniejszą stroną był zawsze krajobraz — na obecnej wystawie tonie w impresyonizmie. Co obraz, to cała gama tęczowych barw, splątanych w jeden nierozwikłany chaos blasków. — W Rosyi wyróżnia się Repin'a „Narada Kozaków", przypominająca trochę, kompozycyą i traktowaniem postaci, utwory Matejki.—

Kramskoj dał wcale ładny portret Sołowiewa, a Zagórski ładniutki obrazek rodzajowy, przedstawiający biednego urzędniczka słuchającego potulnie, już przy rannej herbacie, kazania swej połowicy.

Wśród wielu bezsprzecznie pięknych obrazów z Francyi, Włoch i Hiszpanii, nie spotkałem ani jednego, któryby nie był znanym z poprzednich wystaw.

O polskich obrazach pisano już w innych czasopismach, więc tylko nadmienię, iż mam w ręku listy Amerykanów, w których znajduję to chlubne dla nas świadectwo: „Artyści wasi dają nam cenną naukę, jak należy piękno formy łączyć z szlachetną a podniosłą myślą". — Zaprawdę, możemy się szczycić tym sądem, w epoce, gdy w przeważnej większości technika artystów jest tylko głównym celem a myśl jest rzeczą podrzędną. Przecież dziecińśtwem jest twierdzić, że istnieje jakieś malarstwo historyczne, religijne i t. p. Treść obrazu jest rzeczą najzupełniej obojętną, artysta ma prawo malować sceny najbardziej niebywałe... konie w wyciągniętym kłusie na powietrzu, ryby pływające po trawniku... byleby tylko rysunek był poprawny, światła i cienie oddane z łudzącą wiernością, a barwy dobrane w harmonii. Jeżeli to jest główną zaletą malarstwa i jedyną podstawą krytyki, to i po cóż artyście męczyć się naukowemi studyami? Po co mu naprzykład badać gruntownie dzieje Grecyi, by namalować bitwę pod Maratonem, kiedy on ją zupełnie tak samo będzie traktował, jak naprzykład majówkę filistrów?

Czem jest ta pozornie głęboko pomyślana naukowa zasada, to się okazało najjawniej temu, kto na tej wystawie, pomijając inne, szukał tylko obrazów religijnej treści. — Oto szereg najbardziej charakterystycznych w tym kierunku. Lybaert'a (Belgia): Matka Boska Bolesna, pięknie wykonana, lecz oczy wzniosła w górę a usta pociągnęła w dół, tak, że nawet licha aktorka na scenie nigdyby w ten sposób boleści nie udawała. — Seligmann'a (Wiedeń): Najświętsza Rodzina. W izbie stolarskiej widzimy na pierwszym planie stojącego młodzieniaszka w nieokreślonem rozmarzeniu; jakiś mistyk w przyszłości, pracować mu się wcale nie chce. W głębi patrząca nań matka ma wyraz pewnej niechęci, a ojca twarz pełna zakłopotania: co z tym chłopcem począć?... Na stole leży nagi trup mężczyzny, jaki codziennie możemy widzieć w prosektoryum, obok stoi postać kobiety w czerni; ani jednej, ani drugiej twarzy nie widać — podpisano... *pieta*. Rzeczywiście trzeba było podpisać. — Utwór Stuck'a (Monachium). — A teraz dzieło Stockes'a (Anglia). Naprzeciw nas idzie słabiutka re-

konwalescentka. Za plecami jej skrada się anioł z lilią w ręku i coś jej szepcze do ucha, a ona, zbiedzona chorobą, głowę tylko zwróciła trochę ku niemu. To zwiastowanie. — Jest i drugie. Panienka usiadła sobie niedbale, trochę z ukosa, na ławeczce i była zatopioną w czytaniu, zapewne jakiejś powiastki. Wtem u jej stóp przykląkł anioł niosąc jej jakąś wieść. Całą myślą zatopiona jeszcze w powiastce, złożyła książeczkę na kolanach, odwróciła trochę głowę na stronę i myśli, jakąby tu dać odpowiedź temu posłowi, żeby sobie poszedł i nie przerywał lektury? Kompozycya p. Agache'a (Francya). — Gorgnet (Francya) przedstawia nam Matkę Bożą, siedzącą obok kołyski okrytej firankami niezupełnie przeźroczystemi. Aureola, bijąca od Dzieciątka Jezus, złożonego w kołysce, jest traktowaną zupełnie tak samo, jak gdyby tam w głębi kołyski była lampa z czerwonawem światłem. Promienie jej łamią się na zwojach firanki, na szacie Matki Bożej, walczą z promieniami zachodzącego słońca — najwierniej wedle praw fizyki. Twarzy dziecka nie widać, a matki twarz zamazana.

Nie chcę nudzić czytelnika wyliczaniem całego szeregu utworów *(recte* potworów) tego rodzaju, pięknie wykonanych, lecz bez najmniejszego poczucia treści zapowiedzianej w tytule obrazu... Na jarmarkach w Rosyi, gdy od handlarza obrazów żądają dajmy na to św. Mitrofana, a on go nie ma na składzie, bierze oto św. Praksedę, domalowuje jej wąsy i brodę i przedaje za św. Mitrofana. Z wielu powyżej wymienionemi obrazami można w podobny sposób postąpić. Naprzykład w obrazie Agache'a; zamalować lilię w ręku anioła, domalować mu wąsy i piękną bródkę, i będziemy mieli ładny obrazek p. t. „Oświadczyny nie w porę"...

Nie mogę zamilczeć o dwóch naczelnych tego rodzaju obrazach artystów francuskich. W jakiejś szynkowni niemieckiej przy stole, po jednej stronie siedzi opasły właściciel piwiarni w białej kapocie i w czerwonej krymce na głowie, naprzeciw siedzi wędrowny czeladnik, na uboczu kelnerka, przed stołem dziecko bawi się zabawką z fabryki norymberskiej. Za stołem siedzi w japońskim szlafroku — trzeba się domyśleć — Chrystus i łamie bułkę, za 2 centy sztuka. To ma być Wieczerza w Emaus, pomysłu pana Blacke. — A teraz p. Beranda: Zdjęcie z krzyża. Ciało Chrystusa tylko co zdjęte. Jeszcze pod ramiona dźwiga go... ksiądz w sutannie. Inni, którzy mu pomagają, ubrani są w bluzy robotnicze paryskie, przepasani rewolucyjnemi pasami. U stóp góry widać miasto z kilkopiętrowemi domami, a na stromej pochyłości ku niemu, stoi robotnik w rozwianej wichrem błękitnej

bluzie i grozi mu zaciśniętym w gniewie kułakiem... Otóż mamy i Chrystusa w otoczeniu komunistów... Artysta ma prawo tworzyć, co mu się żywnie podoba... Te dwa ostatnie obrazy pod względem perspektywy, światłocienia, kolorytu są bezsprzecznie wielkiej artystycznej wartości, wedle więc wprzód pomienionej teoryi, każdy z nich jest kapitalnem dziełem... lecz wedle zdrowego chłopskiego rozumu i uczucia, jest on także kapitalnem ...

Byłbym niesprawiedliwym, gdybym nie wspomniał o kilku obrazach rzeczywiście religijnych.

Po powrocie z Kalwaryi Matka Boża siedzi między św. Janem i św. Magdaleną. Ta ostatnia jest najsłabszą postacią. Boleść Matki Bożej jest lepiej odczutą, aczkolwiek odrzucenie wstecz i oparcie o mur głowy ma w sobie coś teatralnego, a co najmniej przypomina osobę cierpiącą migrenę. Najlepszą jest postać św. Jana. Trochę odsunięty od Matki Bożej, wpatrzony w jej twarz, a rękę swoją niemal ze strachem kładzie na jej ręce, czując, iż w chwili tak strasznej boleści nawet nieoględne dotknięcie jest już urażeniem palącej rany w sercu. Tą stroną duchową przypomina żywo św. Jana z obrazu Delarocha: „Powrót z Golgoty". Dzieło p. Bachera z Wiednia.

Najlepszy wyraz twarzy Chrystusa spotkałem na obrazie p. Goodal'a z Londynu. Leczy chorych, przywraca wzrok ślepym, lecz robi to, nie patrząc na nich... iluż wśród nich nie warci tych jego łask?... lecz tyle boleści, tyle nędzy... to serce pełne miłosierdzia przenieść tego nie może... więc rzuca te łaski na prawo, na lewo... one może nawrócą grzeszników... ledwo dziesiąty przyjdzie podziękować...

Piękne są bardzo trzy Marye u grobu, p. Bouguerau. Jedna już uwierzyła wielkiej nowinie, oczy jeszcze wilgotne od łez, ale już radość poczyna je rozświecać. Druga tyle przebolała, tak to cierpienie wżarło się w jej serce, że oto widzi przecie grób pusty pełen światła... anioł jej głosi radosną wieść, a ona tego pojąć niezdolna i jeszcze ból ciśnie jej łzy na oczy. Twarzy trzeciej Maryi nie można dobrze studyować. — Pomijam jeszcze kilka obrazów, może słabszych, lecz w każdym razie mających prawo do nazwy religijnych.

Królowa Korony Polskiej p. Styki, znana naszym czytelnikom, jest tu wśród pierwszorzędnych utworów religijnych. Nawet protestanci mówili mi, że chociaż oni nie przyznają czci wyobrażonej tu postaci, to jednak rozumieją natchnienie i zachwyt twórcy tego obrazu.

Przebieżmy obecnie z pośpiechem inne główne budowy wystawy,

zatrzymując się tylko nad tem, co jest nowszem, lub co nas Europejczyków najwięcej zająć może.

Z pałacyku dzieci, idąc ku południowi, przeszedłszy przez piękny pawilon ogrodownictwa z niezrównanemi okazami owoców, wchodzi się do budynku, w którym zebrane są wszystkie narzędzia i maszyny, służące do przewozu lub przenoszenia ludzi i rzeczy — *Transportation-Building*... To dzieje człowieka w pewnym kierunku. Bóg przeznaczył ludziom ziemię na mieszkanie... Oto już lat tysiące człowiek w pocie czoła gospodarzy na tem dziedzictwie swojem, posuwa się w coraz dalsze obszary, a czując, iż tylko wspólną pracą może znośniejszym uczynić swój pobyt na ziemi, stara się wszelkiemi siłami nie tracić łączności wzajemnej, w związku pozostać, pomimo dzielące przestrzenie. Rozpoczął tę pracę ogromnym wynalazkiem, dziś jeszcze w zdumienie wprawiającym dzikie plemiona... wynalazkiem koła na osi. Nie umiał jeszcze giąć obodu, więc wyszukawszy zgięte w łuk konary drzewa, przypierał je z dwóch stron do grubej, na końcach zaokrąglonej deski, i tem dopełniał koła. W desce przewiercał dziurę i tam wkładał końce osi. Widzimy taki pierwotny wóz, znaleziony w Mexico. Tak było dawniej — a dziś, w wagonach Pulmana, widzisz najpiękniejsze salony, buduary, restauracye, kąpiele, i te domy na osiach pędzą szybkością błyskawicy po ziemi usłanej żelaznemi szynami. Ongiś człowiek — jak jeszcze dziś o tem świadczy łódka z Gujany — odzierał pień drzewa z kory, wiązał ją łykiem na końcach i puszczał się na niej po rzekach lub wzdłuż brzegowisk morskich. Dziś sześciopiętrowe budowle z tysiącem czasowych mieszkańców, płyną w poprzek oceanu.—W tym budynku wystawy widzi się wszystkie stopnie rozwoju tej pracy wynalazczej człowieka. Gdy się wejdzie na pierwsze piętro, spotyka się widok, który w pierwszej chwili zadziwia gościa z Europy. Jak okiem zajrzeć, stoją szeregi bicyklów najrozmaitszych form i ustrojów. Czyżby to był najulubieńszy sport Amerykanów? Jazda bicyklem w Europie jeszcze przeważnie jest sportem, lecz w Ameryce, a szczególnie w Chicago, już się ona stała potrzebą życiową. Oto, czego mię własne doświadczenie nauczyło. Obszar, który to miasto zajmuje, jest olbrzymi. Ulica Halstadt, idąca przez całe miasto z północy na południe, liczy 46 kilometrów. Pojechałem do Chicago dla wystawy i kongresów naukowych, mój więc porządek dzienny był taki: Rano jechałem z domu do centrum miasta 10 kilometrów; zmęczony kilkogodzinną sesyą kongresu, jechałem około godziny pierwszej na wystawę 15 kilometrów; po zamknięciu wystawy, o godzinie szóstej, wracałem do centrum

miasta i albo zostawałem na wieczornej sesyi kongresu, albo jechałem do biblioteki Newbery około 7 kilometrów, skąd wracałem do domu około 8 kilometrów. Słowem, miałem dziennie do objechania tylko dwa a najwięcej trzy punkta, a te przejażdżki omnibusowe kosztowały mię miesięcznie 20 guldenów. Cóż kosztowałyby przejażdżki komisanta sklepowego lub woźnego, który dziennie musi objechać dwadzieścia do trzydziestu miejsc? Kupują więc sobie bicykle, spłacają ratami, a potem już ich droga nic nie kosztuje. W żadnem mieście nie widziałem takiej liczby bicyklistów na ulicy jak w Chicago, a ich postacie i sposób jeżdżenia świadczą najjawniej, że im wcale o elegancyę sportsmenów nie chodzi.

Przeszedłszy budynek górnictwa, w którym się musi podziwiać ogromne bogactwo mineralnych pokładów tej ziemi i rozwój sztuki górniczej, wchodzimy do budynku elektro-techniki, ciekawego nietylko dla specyalisty, lecz i dla profanów. — Oto naprzykład fonograf Edisona, który ogromną trąbą, trochę piskliwym, lecz znośnym, metalicznym głosem wygrywa co kilka minut rozmaite arye z opery, wokoło zaś stoją małe fonografy z przewodami z gutaperki, które się kładą do uszu. Rzuca się do wnętrza maszyny niklowe 5 centów i przez parę minut słucha się aryi, na którą ta maszyna jest zrobioną. Tu znowu widzi się fortepian, na którym położywszy nuty na ten cel przyrządzone, puszcza się prąd elektryczny, a posłuszna maszyna recytuje od *a* do *z*. U tegoż fabrykanta widziałem drugi przyrząd do grania na fortepianie o wiele lepszy, chociaż tylko mechaniczny. Jest to podłużne, korbą opatrzone pudełko, które można położyć na każdej klawiaturze. Mniejszą lub większą szybkością obrotu korby i pedałem udaje się wcale nieźle cieniować tę grę automatyczną. Bardzo ciekawą jest kuchnia elektryczna. Na stole, przykrytym białą serwetą, stoją rozmaite naczynia kuchenne lub zwykłe szklanki, a w nich kipi woda, jak gdyby na silnym ogniu. Doskonały wynalazek dla chemicznych, a szczególnie dla aptecznych pracowni.

W budynku maszyn najwięcej zbierało się widzów, szczególnie płci żeńskiej, przy warsztacie hafciarskim niezwykłej kombinacyi mechanicznej. W szerokich ramach, dwa metry wysokich i tyleż szerokich, stojących pionowo, wsuwają i wysuwają się ruchem poziomym dwie pary krosien z nićmi różnokolorowego jedwabiu. Nad temi krosnami i pod niemi są przytwierdzone pionowo szeregi płócienek, wielkości 10 do 12 centimetrów w kwadracie — razem około 200 sztuk. Obok pionowo stojących ram siedzi maszynista i ma przed sobą płytę

wielkości arkusza, na której jest narysowany wzór — napis, portret lub coś podobnego. Lewą ręką i nogami naciska dźwignię tego warsztatu, prawą zaś ręką dotyka sztyftem punkta owego rysunku na płycie. Za każdem dotknięciem, w tejże chwili krosna poziome robią ruch naprzód i wstecz, a zarazem na wszystkich 200 płócienkach igły robią odpowiedni ścieg. Widziałem tak robione portrety Kolumba, Washingtona i t. p., a ten haft jest tak delikatny, że na pierwszy rzut oka wydaje się zwykłem akwarelowem malowaniem na płótnie. Jeżeli ta maszyna będzie udoskonaloną tak, że będzie mogła wykonywać roboty większych rozmiarów, a nadto udoskonalonem będzie cieniowanie, które do dziś jest jeszcze słabą stroną tego wyrobu, to musi nastąpić przewrót w fabrykacyi gobelinów.

Okropną jest ta wystawa rolniczego przemysłu... gdzie się nie zwrócisz, to ci coś dają na próbę do zjedzenia. To słodkie, to kwaśne, to solone, to pieprzne... nazajutrz musisz siedzieć w domu, pokutując za zbytnią ciekawość. — Najbardziej tu zajmującą rzeczą dla Europejczyka jest to wystawa narzędzi rolniczych. Przechodząc wśród tych szeregów żniwiarek, kosiarek, pługów, kopaczy ziemniaków i t. d., zawsze mi na myśli był nasz wieśniak, który, oszukany przez agenta bez sumienia, sprzedaje swój grunt i jedzie do Ameryki... bo przecież on rolnik, zna się na tem gospodarstwie, więc da sobie rady. Jeżeli mu się nawet uda dotrzeć aż do tych rolniczych okolic — cóż mu pomogą wszystkie jego wiadomości rolnego gospodarstwa? On wszystko robił przeważnie siłą swych rąk, tu wszystko robi maszyna. Do uprawy zboża od siejby do zwozu sześć maszyn, do zbioru siana pięć maszyn... człowiek tylko kieruje... któż mu do ręki pozwoli wziąć tę lub inną maszynę?... On, pierwszy rolnik w swojem siole, musi tu zostać parobkiem parobków.

Toż samo i w przemyśle rękodzielniczym. Oto niedaleko budynek wyrobów skórzanych — na galeryi mamy warsztat szewski. U nas szewc robi cały but, od kroju aż do wyczernienia, tutaj ten but przechodzi przez kilka maszyn; na jednej kraje się skóra, druga obciąga na kopycie, trzecia przybija kołkami podeszwę, czwarta przybija i szlifuje korki. But idzie z ręki do ręki, człowiek tylko podstawia maszynie, a ona za niego robi. Najlepszy nasz majster musi tu być przez pewien czas terminatorem, a biada temu, który jedzie do Ameryki bez zasobu przynajmniej na kilka miesięcy nauki i koniecznego wyczekiwania na pracę — głód i nędza go czekają.

Aż tu na południowym krańcu wystawy znajduje się budynek

zbiorów etnograficznych i antropologicznych. Dla specyalistów, zajmujących się etnografią Indyan, wystawa ta jest ogromnej doniosłości i niezwykle bogata, lecz o studyach porównawczych mowy być nie może, bo nie ma z czem porównywać, a na pamięć tych studyów prowadzić nie można. Ktoby się spodziewał wśród dzikich ludów Ameryki spotkać z heraldyką? Oto w miniaturze wioska Shidegat. W długim szeregu stoją pokryte korą chałupy z nieociosanych kloców. Przed niektóremi stoję olbrzymie, grube słupy, a na nich wyrzeźbione ptaki, zwierzęta, rozmaite potwory, świadczą o starożytności rodu i świetnych czynach mieszkańców tej budy. W drugiej połowie budynku umieszczoną jest wystawa higieniczna, w której nie tyle szło o naukę, ile o reklamę fabrykantów, dotyczących tej nauki przedmiotów. Ciekawą tam widziałem karykaturę. Gdy Jenner wprowadził szczepienie ospy, puszczono w obieg rycinę, na której cała grupa ludzi ciśnie się w rozpaczy do operatora, by im obcinał wyłażące z pod skóry rogi, głowy cielęce, racice i t. p.

Idąc napowrót ku środkowi wystawy, spotyka się cały szereg wigwamów indyjskich. Są to szałasy lub budy z kory, wiernie naśladowane z natury, a we wnętrzu ich sprzedają się rozmaite ręczne wyroby tych ludzi. W jednym z nich znalazłem młodą, może 16 lat, dziewczynę Indyankę, bardzo ładny typ bronzowej cery, z bujnemi, luźnie na plecy puszczonemi, a jak krucze pióra czarnemi włosami. Sukienkę już miała wedle paryskiej mody, lecz ją ugarnirowała wokoło pawiemi piórkami... to jeszcze gust indyjski. Siedziała zamyślona, jak gdyby nie widziała przechodniów. Byłem niezwykle ciekawy poznać umysłowy rozwój tej istoty, lecz gdy zaledwie do niej przemówiłem, zerwała się jak ptak spłoszony i poleciała do chatki, stojącej w pobliżu. Po chwili wyszła z niej kobieta naszej rasy, zbliżyłem się więc do niej, pytając, kto jest ta, która się schroniła pod jej opiekę? Dowiedziałem się, iż rodzice jej w młodości żyli jeszcze wśród swoich hord, potem osiedli w mieście. Dziewczyna ta skończyła pięknie nauki, gra na fortepianie, ale zawsze jeszcze jest dzika i ucieka od ludzi. „Jeszcze gotowa do swoich uciec“, rzekłem żartami. „I to bywa“, odpowiedziała, wcale nie zdziwiona mojem przypuszczeniem. — Tuż obok znajduje się szkoła rzemieślnicza dla Indyan — w jednej połowie dla mężczyzn, w drugiej dla kobiet. Już dawniej w Paryżu a teraz w Chicago kilka razy spotykałem się z tymi ludźmi. Dziwną jest ta powaga, dziwnym ten ich spokój i ta obojętność z pewnym odbłyskiem pogardy dla nas białych. Pamiętam, jak Europejczycy na kongresie w Pa-

ryżu biegali około tych posągów ulanych z bronzu; mówili do nich, częstowali cygarem, lecz to nie robiło na nich żadnego wrażenia. Indyanin brał cygaro, zapalał najobojętniej, patrzył przed siebie, milcząc lub urywanemi słowami, półgłosem, mówił ze swoimi, jak gdyby przy nich nikogo nie było. To samo spotkałem w tej szkole. Do mężczyzn można się było zbliżyć, zapytani odpowiadali półsłowem, bez najmniejszej zmiany wyrazu twarzy, najobojętniej. Pracownia dziewcząt oddzielona była baryerką. Zajęte robotą, zaledwo czasami z wyrazem lekceważenia popatrzyły ku nam, a jedna wprost plecami się zwróciła i tylko prześliczne zwoje kruczych włosów mogliśmy podziwiać. Na korytarzu kilka pań, spotkawszy młodego chłopaczka, poczęły go o coś wypytywać i oglądać ciekawie. Ja stałam obok. W tej chwili na schodach w górze ukazała się jedna z dziewcząt. Nie zapomnę nigdy tego wzroku, pełnego dumy i szyderstwa, z jakim patrzyła na nas. Nie rozumiem, jak można było w salach tej szkoły porozwieszać portrety ich sławnych wojowników? to przecież nieme namawianie, żeby uciekli do swoich, co się często zdarza.

Na półwyspie, między jeziorem a odnogą lagunów, stoi klasztor de la Robida, w którym zebrane są pamiątki po Kolumbie. W głównej sali, w ogromnych ramach, wystawiony jest dyplom królowej Izabelli, wydany na jego pierwszą podróż. U góry umieszczony napis: „prosimy przechodniów uchylić czapki“... Nie wszyscy jednak odczuwali ten pietyzm dla najstarszego dokumentu historyi Ameryki. W pobliżu na lagunach stoją trzy okręty, jakiemi Kolumb odbył swą pierwszą podróż. Zaprawdę dreszcz przejmuje, patrząc na te łodzie. Gdyby kto jeden z większych okrętów linij atlantyckich napełnił wodą, to cała flota Kolumba mogłaby w jego wnętrzu odbywać najswobodniej wszelkie manewra... a przecież i dziś na pokładzie tych olbrzymów, gdy się ocean rozhula, to człowiek czuje, iż płynie na czemś... ot trochę większem niż łupina orzecha.

Olbrzymi budynek (797×1687 stóp) zajęty jest wystawą rękodzielniczą; lecz jeżeli brak systemu jest słabą stroną całej wystawy, to tutaj on doszedł do szczytu. W Paryżu miałeś szeroki korytarz przez całą budowę, a na prawo i na lewo szły rzędem bramy do wystaw poszczególnych krajów. Tutaj istny labirynt ulic, uliczek, zakątków... niema sposobu trafić od razu. Raz w chwili, gdy już zamykano budynki i trzeba było spiesznie wychodzić, trafiłem na dział Hiszpanii, umieszczony niezwykle pięknie, bo w meczecie Kordowy; chciałem oczywiście powrócić do niego, lecz dopiero w kilka dni potem

zdołałem go odszukać. Szczegółowy przegląd nagromadzonych tu skarbów przemysłu nie jest wcale zadaniem obecnego opisu i znudziłby czytelnika. Więc pomijam te stosy drogich materyj, szeregi prześlicznych sprzętów, na opatrywanie których nie dużo miałem czasu, a na kupienie ich jeszcze mniej pieniędzy — i wchodzę na galerye wystawy sztuk wyzwolonych, zakładów naukowych, rozmaitych instytucyj, wyznań i t. p.

Niech mi tu wolno zaznaczyć, że dział katolicki na tej wystawie był prawdziwie świetnym. Instytucye wszystkich innych wyznań razem mieściły się na mniejszej przestrzeni niż ta, którą zajęli katolicy. Oczywiście nie mogą tu wchodzić w rachubę instytucye ogólno-państwowe, należące do wszystkich wyznań razem a do żadnego z osobna. Tak naprzykład ogromny szereg zagrodzeń, w których się mieściły uniwersytety, na czele których stoją Harward i Yale. Muszę tu podnieść jeden bardzo ważny wzgląd, który trzeba policzyć do stron dodatnich tej wystawy. Znaną jest na cały świat amerykańska reklama, z którą trzeba być dobrze ostrożnym — spotykało się z nią i w mieście i na wystawie dość często, lecz obok tej bezsumiennej reklamy była tu inna, pojęta poważnie i uczciwie. Oto naprzykład na tej wystawie uniwersytetów. Kto jest zdolnym chociażby pobieżnie przepatrzyć w tych 20 salach te stosy książek i map, wypracowań uczniów i t. p.? Każdy więc uniwersytet przygotował bodaj jednę książeczkę, zawierającą opis tej szkoły, i rozdawał je przychodniom. Uniwersytet Harward dawał każdemu cały stos takich broszur. Uniwersytet Yale, gdy go zwiedzałem, nie miał właśnie pod ręką przeznaczonych na to broszur, wziął więc ode mnie adres i przysłał trzy książki na pokład statku, którym wracałem. Toż samo było i w innych działach wystawy. Gdy się przeszło jaką galeryę, to się miało cały stos książek i broszur. Toż samo było i na kongresach. Zabrałem co mogłem, lecz tylko w tych kilku kierunkach: opisy pojedyńczych państw, szkoły, sekty religijne i kobieta. Pakunek tych książek, które przywiozłem z sobą, a które mię ani grosza nie kosztowały, ważył 100 kilo. Wystawa szkół katolickich archidyecezyi chicagowskiej obejmowała 74 szkoły, chociaż liczba ich jest o wiele większą, bo naprzykład z polskich szkół tylko jedna, św. Stanisława, była na wystawie, a jest ich kilka w samem Chicago. Miło mi nadmienić, że ta nasza szkoła pod zarządem ks. Barzyńskiego była jedną z pierwszorzędnych, a daję ten sąd na podstawie urzędowych sprawozdań.

Już w poprzednim ustępie tego opisu wystawy wypowiedziałem

zdanie, że Stany Zjednoczone są jeszcze najzupełniej w stadyum formacyi. Na tej ziemi odbywa się wędrówka narodów takaż sama, jak ongiś w Europie na początku wieków średnich, z tą tylko różnicą, że tu narody wędrują w pojazdach pędzonych parą. Cyfry ludności miasta Chicago wymownym tego dowodem. W roku 1833 liczyło ono około 4000 mieszkańców, w 1893 roku liczy 1,500.000, a więc w tych latach przywędrowało do tego miasta około 1,496.000... Niemców, Anglików, Szwedów, Polaków, Czechów i innych narodowości. Rocznie przybywa 50.000. — A oto jeszcze parę liczb, które znalazłem na wystawie szkół. W Kalifornii, w okręgu Los Angelos, w roku 1860 było trzy, powtarzam trzy szkoły; w 1870 już 30; w 1880 doszło do 130, a w 1893 mamy już 462. Tu wszystko rośnie nie w arytmetycznej, lecz w algebraicznej proporcyi, i to w jakiej?... ludność Chicago w ciągu 60 lat urosła jak 1 : 375; szkoły w Los Angelos w ciągu 30 lat jak 1 : 156... Jak wobec tych cyfr może się ktoś odważyć wydawać sąd o tem, czem będą Stany Zjednoczone ot chociażby za lat 50? Dopiero wpatrzywszy się w te cyfry, poczyna człowiek pojmować ten olbrzymi ruch w tutejszem życiu społecznem, to gorączkowe pędzenie w przegony przy każdej sprawie i o każdym czasie... Kto z nas nie widział wielkiego stada wędrownego ptactwa, gdy zmęczone lotem spada na niewielkie drzewo... ileż tam zamętu, spędzania się nawzajem, krzyku... ostatecznie każdy ptak znajdzie dla siebie jakąś gałązkę... To obraz dzisiejszych Stanów Zjednoczonych.

Chociaż w tak pobieżnym przeglądzie działu sztuk wyzwolonych, nie mogę pominąć milczeniem jednej małej maszynki, lecz wielkiej już doniosłości w tutejszem życiu społecznem; jest to drukopisarz *(typewriter)* Remingtona. Przy takiem życiu gorączkowem tutejszego społeczeństwa, korespondencya przybrała niesłychane dotąd rozmiary. Oto kilka cyfr. Poczta w Chicago wysyła rocznie 254,500.000 listów zwykłych, a 3,214.000 poleconych, czasopism zaś wysyła rocznie 20,000.000 funtów. Koniecznem więc było wymyśleć maszynę, któraby ułatwiała pisanie. Składa się ona z klawiatury wielkości ćwiartki papieru, obejmującej 36 guzików, na których są naznaczone litery, cyfry i znaki pisarskie. Nad tą klawiaturą jest wałek, na który zakłada się papier. Za naciśnięciem guzika odpowiednia jemu litera wybija się na papierze, a wałek posuwa się na parę milimetrów ku lewej ręce. Gdy się wiersz kończy, dzwonek daje znać, że trzeba wałek cofnąć na dawne miejsce. Jeżeli na wałek są założone cztery ćwiartki papieru z farbującemi kalkami pomiędzy niemi, to od razu drukują się cztery

listy tejże samej treści. Ta maszyna jest tu przeważnie w ręku kobiet i daje wcale dobry zarobek, bo chociaż za pół arkusza płaci się tylko 10 centów (25 krajcarów), to jednak przy wielkiej wprawie można mieć wcale ładny zarobek. Widziałem grającą tak szybko, że ledwo mogłem śledzić ruch palców. Pytałem, jak długo się uczyła? — Odpowiedziała mi, że już po dwóch tygodniach pracy pisała o wiele szybciej niż ręką, a nadto z tą różnicą, że godzina zwykłego pisania męczy daleko więcej, niż godzina gry na tym instrumencie. Jak ta maszyna jest tu już w użyciu, świadczy o tem to, iż jedynie na wystawie było w użyciu tych maszyn 350 i to tylko konstrukcyi Remingtona, a są jeszcze i innych podobnych ustrojów. — Nie ulega wątpliwości, że Amerykanie wymyślą jeszcze jakiś system do prędkiego mówienia...

Na zakończenie tej spiesznym krokiem przechadzki po wystawie, muszę wspomnieć o bardzo ładnem, schludnem miasteczku, położonem na północnej stronie wystawy. Jest to grupa trzydziestu kilku domów, domków, pałacyków, wśród zieleni drzew i krzewów, a postawionych przez każde z państw należących do Stanów Zjednoczonych. W domach tych przyjezdni z owych Stanów mieli swoje *pied à terre* na wystawie; tu składali swe pakunki, tu do nich przychodziły listy, tutaj dawano im potrzebne wskazówki i t. p. — Większość tych budynków była zbudowaną na wzór domów z ich kraju, a wewnątrz były zgromadzone okazy miejscowej produkcyi, fotografie okolic, miast, ludzi zasłużonych i t. p. Tu także mieściły się utwory malarstwa i rzeźby, dla których drzwi pałacu sztuki jeszcze nie były otwarte. W odrębnym pokoju była zwykle czytelnia, a w niej gazety rodzinnego kraju, w każdym zaś z tych domków był jeden lub dwa pokoiki gustownie ubrane, lecz dla mężczyzn zamknięte. Tam panie miały zupełną swobodę; nieraz widziałem jak spały spokojnie na kanapkach. Wieczorem po 6-tej wstęp do tych domów mieli tylko krajowcy lub zaproszeni przez nich goście i wtedy poczynało się tam życie towarzyskie bardzo wesołe, ożywione; grano, śpiewano, jak zwykle w kole sąsiadów i krajowców. To był codzienny raut Stanów Zjednoczonych na wystawie. Nieraz z galeryj zewnętrznych przypatrywałem się tym zebraniom, a gdy mię już znudziła ta rola lisa patrzącego na kwaśne winogrona, to machnąwszy ręką, ruszałem do domu lub na kongres wieczorny.

Ostatniem słowem, jakie winienem powiedzieć o tej wystawie, niech będzie sprostowanie tego twierdzenia, które tu i ówdzie daje się słyszeć, że ona nie miała wielkiej doniosłości. — Wystawy: rękodzieł, maszyn, elektryczna, rolnicza, ogrodownicza, górnictwa, rybo-

łowstwa — śmiem twierdzić, że nietylko były równe paryskim z 1889 r., lecz nawet z wielu względów miały pierwszeństwo. Działy nauki i sztuk pięknych były mniej ważnemi, lecz tylko dla nas Europejczyków, nie dla Amerykanów. — Ta wystawa sztuk pięknych będzie miała na pewno ogromny wpływ na rozwój tamecznych artystów. Ogół ich nie miał dotychczas jeszcze nigdy takiej sposobności do studyów porównawczych, a to nie może pozostać bez skutków. Względnie zaś nauki, kto szukał jej, ten ją znalazł na posiedzeniach stu kilkudziesięciu kongresów. Słowem, kto chciał się uczyć, a nie żałował pracy, ten mógł skorzystać również wiele, jak na każdej innej wystawie wszechświata, a Europejczyk znalazł tu bardzo dużo nieznanych a ważnych rzeczy i musiał dużo pracować myślą i na wystawie i na kongresach a nawet i na ulicach miasta.

To prawda, że brak elementu estetycznego dał się odczuwać bardzo. Wystawa w Paryżu 1889 r. była nawskróś przejęta estetyką; były chwile, w których nie wiedziałeś co począć. Tu cię przykuwał do siebie utwór pendzla lub dłuta, a tam z oddali porywały cię odgłosy ponętnych dźwięków orkiestry... Gdy okiem zachwytu śledziłeś formy postaci z marmuru, oblanych światłem elektrycznem... oklask tysięcy i tysięcy dłoni i olbrzymi chór okrzyków wołał na ciebie, byś biegł czem prędzej na plac, bo oto na krótką chwilę w blaskach słonecznych i tęczowych barw rozgorzał wśród nocy krajobraz zaklęty z bajki czarem w rzeczywistość. Gdy wszystko ucichało, dźwięki kilku orkiestr falowały w powietrzu na tych odkrytych placach, a klasyczny flet rumuński prowadził ten chór... Do dziś, gdy wspomnę wystawę w Paryżu, to słyszę w duszy ten flet dźwięczący w powietrzu tonami utworów Iwanowiczi. Z wystawy Paryża wyjechałem zmęczony, bardzo zmęczony, lecz podniecony duchowo... w piersiach mi grała rozkoszna, tęskna pieśń o modrych falach Dunaju... piękna pamiątka po niej... Z Chicago nie wywiozłem żadnej pieśni... Dwakroć zmęczony, z dwakroć większym stosem notat i książek, z szeregiem dawniej nierozumianych, dziś rozwiązanych zagadnień i z takimże szeregiem nowych zapytań na pracę w przyszłości... nie żałuję na chwilę ani wysiłku pracy, ani kosztów podróży... Lecz wystawy w Chicago żadna mi pieśń nie przypomina...

Michał Żmigrodzki.

Druk ukończony 29 stycznia 1894 r.

OBECNY ROZKŁAD PROTESTANTYZMU

W NIEMCZECH.

Ciężkie chwile przechodzi obecnie protestantyzm niemiecki. Jeśli schyzma stała się jak trup nieruchoma, to w luteranizmie wre dziś życie, ze swobodą posuniętą aż do zupełnej anarchii. Nadzieje, jakie przed dziesięciu laty przywiązywano do głośnych festynów, urządzonych na cześć czterowiekowej rocznicy urodzin „wielkiego reformatora kościoła", nie ziściły się. Miały one z jednej strony być manifestacyą żywotności ewangelickiego kościoła, a z drugiej środkiem do ściślejszego złączenia wszystkich protestantów w jeden wielki obóz, zdolny odeprzeć zaczepki i propagandę papizmu. Tymczasem po fajerwerkach — jak się wyraża znany predykant Stöcker — ciężkie nad protestantyzmem nastało zaćmienie słońca, i taki w łonie jego kościoła nauczającego powstał rozstrój, jakiego luteranizm jeszcze nigdy od czasu swego istnienia nie przechodził. Spór toczy się o same fundamenta chrześcijaństwa i o to, kto ma prawo zwać się ewangelickim chrześcijaninem. I podczas gdy w całych Niemczech każde katolickie dziecko szkolne na pytanie: kto jest katolikiem? jedną tylko ma odpowiedź, to w dzisiejszym protestantyzmie inaczej określa prawdziwego ewangelika każdy konsystorz, inaczej profesor teologii, inaczej predykant, inaczej wreszcie każdy nauczyciel wiejski.

Przyznaję, że sprawa ta przedewszystkiem Niemców ob-

chodzi. Jednak i dla nas nie będzie bez interesu i pożytku, zobaczyć jak, nawet bardzo potężne zbory, odszczepione od Kościoła Chrystusowego, niby bryła oderwana od swej skały-matki, staczając się w przepaść, w tysiączne rozbijają atomy, i jako gałąź odcięta od pnia macierzystego więdnieją, usychają i umierają. Dotychczas znaliśmy teologię protestancką głównie z Symboliki Möhlera; tymczasem pozostały z owej starej nauki luterskiej zaledwie strzępy. I z tego powodu warto także wziąć na szalę dzisiejszą teologię protestancką i przeliczyć jej *credo,* aby się przekonać, ile ona jeszcze zachowała pierwiastku chrześcijańskiego, a w następstwie żywotności i siły do zwalczania żywiołów niszczących i do rozwiązywania obok katolicyzmu problemów socyalnych, trapiących dzisiejsze społeczeństwo. Sprawię się z tem krótko. Pokażę na podstawie autentycznych dokumentów, jakie usposobienie i przekonania panują w luterskich konsystorzach, jak wyglądają protestanckie fakultety teologiczne, i czego uczą w swych kazaniach predykanci.

Dziwnem a może i przesadnem wyda się czytelnikowi zdanie, że racyonalizm zakradł się w Niemczech do konsystorzów luterskich, i że w samej berlińskiej „Najwyższej Radzie ewangelickiej“ *(Evangelischer Oberkirchenrath),* a więc w instytucyi, która w ostatniej instancyi wyrokuje o sprawach, dotyczących wiary, pojawiło się silne stronnictwo, dążące do odchrześcijanienia luterstwa. A jednak tak jest. Oto dowody:

Z wiosną roku 1892 Schrempf, pastor z Leuzenburga w Wirtembergii, przy swej nominacyi na proboszcza w rzeczonej parafii, zwrócił uwagę swej władzy duchownej na to, że jego osobiste przekonanie nie zgadza się z nauką Składu apostolskiego, i że przeto nie może go używać w liturgii i kazaniach. Otóż konsystorz w Stuttgardzie n i c n i e m i a ł p r z e c i w j e g o p r z e k o n a n i o m, i w reskrypcie doń wystosowanym oświadczył, „że duchowny może, a nawet powinien w swem nauczaniu zużytkowywać postępy nauk teologicznych, ale należy to czynić ostrożnie i skromnie, aby nie dać zgorszenia wiernym“. Schrempf nie chciał jednak robić różnicy między postępowaniem urzędowem a nieurzędowem, między sumieniem publicznem a prywatnem, i nie

używał symbolu przy funkcyach duszpasterskich. Parafianie zaskarżyli go o to do władzy, i konsystorz rad nierad złożył go z urzędu 3-go czerwca 1892 r. „z powodu niedopełnienia przyjętych obowiązków". — Podobną różnicę między postępowaniem urzędowem a nieurzędowem zrobił także konsystorz badeński. Mam przed sobą jego orzeczenie z dnia 15-go listopada 1892 r. W pismach, — czytamy tam — w wykładach wolnych i w prywatnem duszpasterstwie, zostawiona jest duchownemu wszelka wolność; tylko w kazaniach nie powinien odstępować od nauki pierwszych reformatorów i nie przedstawiać swych własnych przekonań jako ich wiarę i jako naukę ewangelii[1].

Naturalnie, że takie dwuznaczne stanowisko konsystorzów nikogo nie zadowolniło i coraz więcej pastorów w całych Niemczech stawało po stronie Schrempfa, podobne jak on głosząc zapatrywania na dogmatyczną wartość symbolu apostolskiego. Wobec tego ruchu powstało w szerokich kołach pytanie, czy taki „duchowny", odrzucający Skład apostolski, może jeszcze piastować nadal urząd kościelny, czy też, podobnie jak Schrempf, powinien z kościoła być wykluczony? Równocześnie cały obóz liberalny i radykalny rozwinął gwałtowną i namiętną agitacyę za wyrzuceniem symbolu z liturgii. W Berlinie deputacya studentów teologii udała się w tej sprawie do profesora historyi kościelnej, Harnacka, z zapytaniem, czyby nie mogli wnieść wspólnie ze studentami innych uniwersytetów prośby do Najwyższej Rady duchownej, aby symbol apostolski z formuły obowiązującej duchownych usunęła. Harnack zwrócił wprawdzie uwagę studentów, że nie do swoich mieszają się rzeczy, ale równocześnie wziął w obronę Schrempfa, bo w tejże samej odpowiedzi oświadczył, że godzi się na usunięcie symbolu, ale że to czynić należy ostrożnie, aby nie drażnić tej części wiernych, która symbol uważa jeszcze za wyraz swej wiary. „Prawda, — powiada on — że dojrzały rozum chrześcijanina wykształconego na ewangelii i historyi kościelnej nie może się godzić na niektóre artykuły

[1] Zob. Bäumer, *Das Apostolische Glaubensbekenntniss.* Mainz 1893, str. 5, adnot.

Składu apostolskiego, ale okoliczności nie są teraz po temu, aby go zastąpić symbolem sformułowanym lepiej, wyraziściej i umiejętniej. Zresztą najbardziej wykształcony człowiek znajdzie w symbolu prawdy, na które się zgodzić może, a jego rzeczą jest umieć w artykułach Składu pomieścić własną wiarę. Bynajmniej zresztą nie jest on obowiązany do przyjmowania wszystkich zdań symbolu, jak np. formuły: Począł się z Ducha Św., narodził się z Maryi Panny. I ani laik nie potrzebuje wcale opuszczać swego kościoła, ani też duchowny porzucać swego urzędu, choć ten artykuł odrzuca. Albowiem gmina religijna wcale nie mogłaby istnieć, gdyby losy jej miały zależeć od jednej formuły, która nie stoi bynajmniej w centrum chrześcijaństwa. Pozostanie w urzędzie najzupełniej da się etycznie usprawiedliwić, byle duchowny zgadzał się jeszcze z ideami zasadniczemi swego kościoła, i choćby nawet nie krył się ze swemi przekonaniami i dążył do usunięcia symbolu w obrębie swego powołania tam, gdzie u ludzi przeciwnego zdania liczyć może na zrozumienie i wyrozumiałość. Jednakowoż studenci o tej rzeczy wyrokować nie powinni, gdyż to nie do nich należy i oryentowanie się w tej kwestyi większej wymaga dojrzałości sądu, niż mieć mogą uczniowie".

Odpowiedź tę Harnack sformułował w dziewięciu tezach i ogłosił w tygodniku: *Die christliche Welt*[1]. Takie same zapatrywania wypowiada on w broszurze: *Das Apostolische Glaubensbekenntniss*[2], która w ciągu jednego roku doczekała się dwudziestu kilku wydań. „Niejeden kamień — czytamy tam — co w dawniejszych czasach pomagał do dźwigania gmachu kościoła, stał się z laty zawadą w drodze. Stąd świętym obowiązkiem jest ewangelickich teologów, aby nie oglądając się na opinię publiczną, pracowali nad poznaniem czystej ewangelii i otwarcie wypowiadali, co wedle ich przekonania jest prawdą. Takim kamieniem obrażenia stał się właśnie symbol apostolski; i dlatego

[1] *Die christliche Welt.* Leipzig, Grunow, Nr. 34, 18. Aug. 1892.

[2] *Das Apostolische Glaubensbekenntniss.* Ein geschichtlicher Bericht nebst einem Nachwort. Berlin, Haack 1892.

wszyscy o to starać się powinni, aby go z wiary usunąć i nie obciążać dłużej sumień formułami, które nie zawierają prawd wiary, chociażby i żywcem były przejęte z biblii i nauki apostolskiej“ [1].

Wedle Harnacka tak mniej więcej wyglądać powinien symbol, jeśli ma odpowiadać przekonaniom uczonych i warunkom obecnej doby:

„Wierzę w Boga, (naszego) Ojca, wszechmogącego Stworzyciela nieba i ziemi, i w Jezusa Chrystusa, jego jedynego adoptowanego Syna, naszego Pana, który się narodził z Maryi, umęczony został pod Ponckim Piłatem, ukrzyżowany, umarł i pogrzebion, wywyższony ku prawicy Boga Ojca, skąd przyjdzie sądzić żywych i umarłych. Wierzę w święte chrześcijaństwo, w odpuszczenie grzechów (ciał zmartwychwstanie?) i żywot wieczny“.

Wystąpienie Harnacka wywołało ogromną burzę w obozie ortodoksów, posypały się przeciw niemu liczne artykuły i protesty w dziennikach [2], i w handlu księgarskim w ciągu półtora roku więcej pojawiło się broszur i rozpraw omawiających znaczenie *Apostolicum*, niż dawniej przez całe lat dziesiątki. Ale i przyjaciele Harnacka nie zasypiają sprawy i grożą nawet wystąpieniem z kościoła oficyalnego w razie, gdyby Najwyższa Rada chciała gwałtem narzucić duchownym symbol i zobowiązać ich do przyjęcia wszystkich jego części. Harnack sam tem się zasłania, że zapatrywania wyrażone w znanej broszurze o symbolu, bynajmniej nie są tylko jego osobistem przekonaniem, ale naukowym rezultatem długiej pracy całej protestanckiej teologii naszego wieku, w której on od lat dwudziestu żywy bierze udział [3].

[1] Zob. tamże str. 40, 41.

[2] Protesty te prawowiernych pastorów pojawiły się w *Kreuz-Zeitung* i *Reichsboten*.

[3] Zob. *Glaubensbekenntniss*, str. 35, domówienie. Takież stanowisko wobec składu apostolskiego Harnack zajął już w dawniejszych swoich pracach. Zob. jego artykuł: *Das Apostolische Glaubensbekenntniss* w Herzoga *Real-Encyclop.* 2. Aufl. 1887, i dyssertacyę: *Vetustissimum Ecclesiae Romanae symbolum e scriptis virorum christianorum qui I. et II. p. Chr. n. saeculo vixerunt illustratum*, w Gebhardt'a wydaniu Ojców apostolskich 1, 2. 1878.

Wreszcie zabrała głos Najwyższa berlińska Rada ewangelicka i wydała dnia 25-go listopada 1892 r. na podstawie uchwały powziętej na posiedzeniu z dnia 16-go listopada tegoż roku do jeneralnych superintendentów okólnik, który prawdziwe jest *curiosum* w swoim rodzaju, bo obok pochwał oddanych symbolowi i potępienia agitacyi Harnacka, znajdujemy tu zdanie, „że Najwyższa Rada wcale nie chce uczynić ze Składu apostolskiego, wziętego w całości, ani też z pojedyńczych jego artykułów, zdrętwiałego prawidła naukowego“ [1].

A zatem wolno każdemu wybrać sobie z *Apostolicum* to, co mu osobiście trafia do przekonania, i duchowny uczynił już zadosyć przyjętym na się obowiązkom, jeśli tylko publicznie nie występuje przeciw Składowi i odmawia go głośno z parafianami.

Politycznie może postąpiła Najwyższa Rada; ale inna rzecz, czy jej znalezienie się da się usprawiedliwić wobec kodeksu moralnego? Postępowanie to przypomina ruskie przysłowie: *Chytro mudro ne wełykim kosztom.* Kto wie, myślą sobie, co przyszłość przyniesie, czy Harnacka teologia nie będzie ową religią przyszłości, więc dlatego lepiej nie zrywać za sobą mostów i z jednej strony zrobić ustępstwo prawowiernym, a z drugiej nie ściągnąć na siebie zarzutu nietolerancyi, zacofania, demonstrowania na rzecz katolicyzmu! Z całego tekstu okólnika widać, że Rada znalazła się w niemałym kłopocie; bo albo artykuł: „Począł się z Ducha Św.“... mówi prawdę, i w tym wypadku powinna była formuły tej bronić pod zagrożeniem wykluczenia z kościoła, albo zawiera fałsz i reminiscencye z pogaństwa i wtedy całe *Apostolicum* nic nie warte i wprost niemoralną było rzeczą zalecać jego używanie przy funkcyach liturgicznych. Ale Radzie nie chodziło o rozstrzygnięcie sprawy, tylko o jej zabagnienie i zatu-

[1] Cyrkularz ten jest przedrukowany w *Deutsche evangelische Kirchenzeitung*, nr. 50. Berlin 10 grudnia 1892, str. 481—482. Kładę tu najciekawszą część dosłownie: „Bei aller evangelischer Weitherzigkeit und weit entfernt davon, aus dem Bekenntniss oder aus jedem Einzelstück desselben ein starres Lehrgesetz zu machen, werden wir doch etwaige agitatorische Versuche, das Apostolicum aus seiner Stellung zu verdrängen, bei unseren Geistlichen nicht dulden“.

szowanie przeciwieństw. Inna rzecz, czy dopięła celu. Polemika, jaką toczą ze sobą prawowierni i liberalni, wskazuje, że rana została otwarta. Dowodem tego także soborczyk zwołany do Bremy przez „stowarzyszenie protestantów“ *(Protestantenverein)*, reprezentujące stronnictwo liberalne, w celu omówienia kwestyi symbolu, gdzie wkońcu powzięto rezolucyę, że zupełnie fałszywem jest zapatrywanie, jakoby symbol w swej całości albo w poszczególnych częściach miał być fundamentem kościoła i chrześcijaństwa. Należy sporządzić formułę krótszą, któraby wszystkich mogła zadowolnić.

Analogiczny wyrok wydał pruski *Oberkirchenrath* już w r. 1873 w sprawie ówczesnego berlińskiego predykanta Sydowa. Zaprzeczył tenże, w pozaurzędowym ale publicznym wykładzie, Bóstwa Chrystusa Pana. Za to złożył go ówczesny konsystorz brandenburski, pod przewodnictwem syna filozofa Hegla, z urzędu, ale Najwyższa Rada znowu go przywróciła dlatego, że nie wystąpił w charakterze urzędowym. Ponieważ jednak wykład był publiczny, więc udzielono mu nagany, lecz równocześnie zauważono w reskrypcie, że bynajmniej władza nie chce obowiązywać predykantów do tłumaczenia Pisma w sposób gruby i prosty *(in grobsinnlicher Weise)*. Ta sama tedy historya, co dziś: po prostacku Pisma św. tłumaczyć nie należy — powiedziano — ale i nie tak, jak je tłumaczył Sydow; — nie potrzebujecie się krępować stężałemi formułami — mówią dzisiaj — ale też i tłumaczenie Harnacka nie jest dobre. Wybornie; jedna tylko wada, że Najwyższe Magisteryum mądrze zamilcza, co właściwie leży w pośrodku, a coby się najwięcej chciało wiedzieć. Zresztą Najwyższa Rada w ostatnich czasach jeszcze bardziej złagodniała, bo kiedy na ostatnim synodzie prowincyonalnym brandenburskim kaznodzieja Stöcker zainterpelował obecnego radcę berlińskiego, czemu — jak niesie pogłoska — wedle nowej, sporządzić się mającej agendy dla duchowieństwa, kandydaci do stanu duchownego już nie będą potrzebowali przy otrzymaniu misyi duszpasterskiej recytować symbolu; — otrzymał następującą odpowiedź: „*Apostolicum* należy odmawiać wyłącznie przy przyjmowaniu osoby do związku kościelnego, tj. przy chrzcie i konfirmacyi,

nie zaś przy wprowadzeniu kandydata w urzędowanie duszpasterskie. Postępować inaczej, znaczyłoby tyle, co kazać A B C recytować duchownemu“ [1]. Dobrą uwagę czyni tu autor artykułu: „O upadku protestantyzmu“ w *Historisch-politische Blätter*, że gdyby predykanci tylko zgodni byli co do tego A B C, to pewnieby im kazano je recytować [2].

Tak tedy trzy wybitne magistratury duchowne: berlińska, stuttgartska i badeńska postawiły zasadę, że pastor, choćby publicznie potępił Skład apostolski, niemniej może dalej piastować swą godność, byle „urzędowo“ nie występował przeciw starej nauce Lutra i nie agitował za obaleniem symbolu.

Przypatrzmy się teraz, jak przedstawiają się protestanckie fakultety teologiczne! Tu z góry przeprosić muszę szanownego czytelnika za cytaty, jakie dla scharakteryzowania nauki teologicznej za profesorami przytaczać będę musiał. Uszy nasze nie przyzwyczajone do takich bluźnierstw — ale z nich dopiero poznać można, ile to już luterstwo wchłonęło w siebie elementów pogańskich. A zaręczam, że wybrałem stosunkowo jeszcze najmniej jaskrawe.

„Kim wy mię być powiadacie?“ — pyta uczniów Chrystus. — Na to pytanie wszyscy, którzy chcieli być uczniami Chrystusa, chrześcijanami, jednę tylko mieli zawsze odpowiedź, powtarzaną przez ciąg wieków za Piotrem: „Tyś jest Chrystus, Syn Boga żywego“ [3]. Zobaczmy, jak profesorowie teologii protestanckiej na to pytanie odpowiadają? Niepodobna nam przejść szczegółowo całej teologii protestanckiej; zwrócę więc tylko uwagę na kilka rzeczy zasadniczych, a przedewszystkiem przedstawię zapatrywania profesorów na osobę naszego Boskiego Mistrza. Kim tedy teologowie mienią być Chrystusa?

Zaczynam od Berlina. Tu najuczeńszym teologiem jest znany nam już profesor historyi kościelnej i niedawno dziekan

[1] Zob. *Germania*, 1893. Nr. 26.
[2] *Historisch-politische Blätter*, 1893, zeszyt 10, str. 725, adnot.
[3] Mat. 16, 15.

fakultetu teologicznego, Adolf Harnack, który przedtem był już profesorem w Lipsku, Giessen i Marburgu. Przekonania swoje naukowe o najważniejszych kwestyach teologicznych złożył on w swej „Historyi dogmatów“ [1], gdzie szczyci się tem, że wniósł darwinizm w ten dział teologiczny. Otóż z tego dzieła takich dowiadujemy się rzeczy: O poczęciu Chrystusa z Ducha Św. nic nie wie św. Paweł; Mateusz i Łukasz wprost tę naukę wykluczają. Spotykamy ją dopiero w II. wieku u chrześcijan, nawróconych z pogan. Zapatrywanie, jakoby Chrystus był się narodził z Dziewicy, jest fantazyą ginekologiczną.

Podobnie powtarza w broszurze o Składzie apostolskim, iż najpewniejszą jest zdobyczą naukową, że artykuł: „Począł się z Ducha Św., narodził się z Maryi Panny“, nie należy do pierwotnej ewangelii [2]. Najstarsze opowiadanie ewangelii — zapewnia nas Harnack — zaczynało się od zstąpienia Ducha Św. na Jezusa; w miejsce tego wsunięto z czasem w symbol narodzenie Jezusa z Ducha Św. i Panny. Gdzie w starych dokumentach Chrystus zwie się Synem jednorodzonym Ojca, tam myślano wyłącznie o Chrystusie historycznym, zwyczajnym człowieku, i dopiero pod koniec III. wieku chrześcijańscy apologeci i teologowie gnostyccy ukuli naukę o Chrystusie istniejącym od wieków, sankcyonowaną później jako dogmat na soborze nicejskim. Odtąd ta nauka stała się powszechną, i nawet Luter nie inaczej wierzył. Wytworem czysto ludzkim jest także nauka o dwóch naturach Chrystusa, boskiej i ludzkiej. Daremno ostrzegał Apollinaris (heretyk) przed ideą centaura, ale przestrogi jego były głosem wołającego na puszczy. Słowa symbolu: „Chrystus zmartwychwstał“, nic innego nie oznaczają, jak że duch Chrystusa żyje u Ojca i wśród swojej gminy, czyli w myśli i sercu wszystkich pokoleń. Nic o wniebowstąpieniu Chrystusa nie wie pierwszy list do Koryntyan, ani też synoptycy. Co teraz u nich czytamy, są to późniejsze dodatki, jak wykazała krytyka tekstu. Nie można też dowieść, jakoby chrześcijanie w połowie II. wieku byli wierzyli

[1] *Lehrbuch der Dogmengeschichte*, 2. Aufl. Freiburg, Mohr 1888—90.
[2] Zob. str. 24.

w Ducha Św. jako w osobę różną od Ojca: pojmowali oni Go raczej jako dar i siłę. Dzisiejszej nauki o Duchu Św. nie znano jeszcze w połowie IV. wieku; jest ona dopiero wyrobem greckiej spekulacyi teologicznej.

Oto kwintesencya nauki Harnacka! Ten sam kierunek, co Harnack, reprezentują na fakultecie teologicznym berlińskim profesorowie Pfleiderer, Weiss i Kaftan.

I dla Pfleiderera jest Chrystus prostym człowiekiem, którego postać dopiero poezya i fantazya ludowa otoczyła wieńcem cudów. Nieprawdą także jest, jakoby Chrystus cieleśnie był zmartwychwstał; on odżył tylko, a raczej nie przestał nigdy żyć w wierze swych uczniów. Że zaś ta pewność uczniów w pośmiertne życie Ukrzyżowanego oblekła się w formę wizyi, że postać jego ukazywała się ich oczom, to jest zjawisko, które zupełnie da się psychologicznie wytłumaczyć.

Kaftan przyznaje, że w teologii kwestyą jest zasadniczą, czy Chrystusowi należy przypisać godność Boską; ale sądzi, że się już to zrobiło, jeśli się Chrystusa uważa za człowieka, w którym Bóg pomieścił pełność swej istoty tak, że Chrystus był dla nas najdoskonalszym obrazem niewidzialnego Boga [1]. Ten sam profesor stawia sobie pytanie, czy protestancki kandydat teologii może się pozwolić zobowiązywać do wyznania wiary zawartego w Składzie apostolskim, jeśli niektórych jego zdań nie uznaje. I odpowiada, że może, bo może sobie powiedzieć: tu nie chodzi właściwie o artykuły wiary, o nich teraz myśleć nie mogę, bo jestem zajęty myślami o wieczności; obojętne mi to, i obojętne też jest kościołowi mojemu, co ja z tych artykułów jeszcze przyjmuję. „Pan wypowiedział biada nad tymi, którzy komara przecedzają, a wielbłądy połykają".

Wedle tego więc, może kandydat teologii, pełen filozofii Hegla lub każdej innej, byle tylko miał w słowniku swoim jeszcze słowa: „Bóg, boski, wieczność" — a te wszędzie się znajdą — do Składu apostolskiego się zobowiązywać [2].

[1] Zob. Kübel, *Apologetik*, str. 315, w *Handbuch der theologischen Wissenschaften*... herausgegeben von Dr. Otto Zöckler. München 1890.

[2] Zob. *Przegląd Kościelny*, 1893, zeszyt czerwcowy, str. 395.

Idźmy do Strassburga. Tu uczy Paweł Lobstein, że każdy, który głosi preegzystencyę Jezusa przed jego poczęciem i narodzeniem z matki, staje w przeciwieństwie do całej nauki Nowego Testamentu i prawdę chrześcijańską przemienia w metafizyczną spekulacyę. Dla dwóch innych profesorów tegoż uniwersytetu, Holzmana i Zöpffla, historya Chrystusa, jak ją przedstawiają Mateusz i Łukasz, późną jest legendą, a jego zmartwychwstanie najciemniejszym faktem w ewangeliach.

W Getyndze także trzech profesorów przeczy Bóstwo Chrystusa Pana. Zdaniem Ritschla, uczniowie Chrystusa w tym samym zostają stosunku do Boga, w jakim jest Chrystus do swojego Ojca. Wierzyć w Bóstwo Chrystusa, znaczy grzeszyć przeciw przykazaniu: „Nie będziesz miał bogów cudzych przede mną!“

Wedle H. Schultza, Chrystusa o tyle można zwać Bogiem, o ile był napełniony boskiemi motywami i cel urzeczywistniał boski. Jeśli jego osobę w połączeniu z nami przeciwstawiamy Bogu, a więc jeśli ją uważamy jako subjekt pobożności i moralności, to nie jest On niczem więcej jak prostym, cnotliwym człowiekiem. Jeśli zaś Chrystusa w połączeniu z Bogiem przeciwstawiamy ludzkości, a więc jeżeli Go bierzemy jako Objawiciela Bożych zamiarów, miłości, wierności i rządów Bożych nad całem stworzeniem, to jest dla nas Bogiem, bo osobą, w której Bóg się nam na zewnątrz objawia. Myśl o naturze jego podwójnej, boskiej i ludzkiej, jest pogańską [1].

W Bonn uczy profesor Bender, że o właściwej adoracyi Chrystusa tak samo mowy być nie może, jak o jego Bóstwie bo i dlań zachował całą moc obowiązującą monoteistyczny kanon: „Nie będziesz miał bogów cudzych przede mną“.

Prof. Usener zapewnia nas, że dla św. Pawła był Chrystus zwyczajnym synem Józefa i Maryi, i że narodzenie z dziewicy, jakoteż pojawienie się gwiazdy nad stajenką, wszystko są rzeczy przejęte z pogańskiej mitologii.

[1] Zob. jego dzieło: *Die Lehre von der Gottheit Christi.* Gotha 1881, str. 384 i nast.

W Halli głosi Beyschlag, że Jezus jest prostym śmiertelnikiem, którego wiedza jest ograniczona. Musi On pytać, jak każdy inny: „Ile chlebów macie?“ Może się także mylić, bo szuka np. fig na drzewie, które ich nie ma. Z jego wniebowstąpieniem ani wiara ani nauka nie wie co począć.

Prof. Thomasius w Erlangen takie swoim słuchaczom prawi rzeczy: „Od chwili zjednoczenia hypostatycznego Logos nie przestał wprawdzie być Bogiem, ale przestał istnieć w sposób boży; jego świadomość boska przeszła w świadomość ludzką, aby się dalej rozwijać jako ludzka. Poza sferą swej natury ludzkiej Logos nie zachował dla siebie ani osobowego bytu, ani wiedzy osobnej. W prawdziwem tedy słowa znaczeniu stał się człowiekiem“.

Podobną naukę głosi profesor Gess w Wrocławiu. Wedle niego, Logos do czasu wyzuł się z aktualnego Bóstwa, schodząc do prostej potencyi i przemieniając się rzeczywiście w ludzką duszę tak, że w stanie wyniszczenia istotnie prawdziwym jest człowiekiem, a Bogiem tylko w potencyi, czyli subjektem zdolnym napowrót przemienić się w prawdziwego Boga.

Pomijam już Weizsäckera w Tybindze, Lipsiusa i Wittichena w Jenie, Keima i Baldenspergera w Giessen, Hausratha i Wendta w Heidelbergu, Kahnisa w Lipsku, Nitzscha w Kolonii i wielu innych, a zwrócę tylko jeszcze uwagę na Karola Hasego, nestora — jak go zwano — protestanckich teologów i wyrocznię dla wielu innych profesorów, który jeszcze przed laty kilku uczył w Jenie. W dziele swem [1] tak się odzywa przy końcu: „Sto semestrów upłynęło, odkąd po raz pierwszy z katedry uniwersyteckiej opowiadałem historyę Jezusa. Nie bez żalu i smutku zamykam te moje prelekcye na zawsze, pełen wdzięczności dla łaski Bożej, że mi tak długo danem było tak wielu młodym i otwartym sercom głosić tę ewangelię naukową“. Jakżeż więc ten „czcigodny teolog“ — jak go prof. Beyschlag nazywa — pojmował osobę Chrystusa? „Każda historya Jezusa — pisze on — wychodzi z przypuszczenia, że ma do czynienia albo z życiem Boga albo prostego człowieka... Tybetańczyk przypuszcza, że Dalailama jest

[1] *Geschichte Jesu. Nach akademischen Vorlesungen.* 2. Aufl. Leipzig 1891.

Bogiem, prawowierny chrześcijanin, że nim jest Chrystus; zachodzi tedy pytanie, czy i kto z nich ma słuszność? Współistnienie absolutnie boskiej i ludzkiej natury w jednem indywiduum nie da się pomyśleć... Przypuśćmy, że jakiś człowiek czyste człowieczeństwo wziął od natury i takowe w najwyższy udoskonalił sposób i przez pobożną miłość moralnie stał się jednem z Bóstwem; taki człowiek *par excellence* reprezentowałby w ludzkości pierwiastek boski. Otóż dla mnie jest punktem wyjścia, że Jezus w tem znaczeniu był Bogiem i człowiekiem. Prawda, że moja nauka nie zgadza się z dogmatem kościelnym. — Lata chłopięce Jezusa uważać należy za świętą legendę. Punktem środkowym legend, które otaczają żłóbek betleemski, jest historya urodzin Chrystusa bez ojca ludzkiego, pochodząca z owych mitów, w których bogowie łączą się z ludźmi... Widzę się też zmuszonym wypowiedzieć twierdzenie, że razem z Jezusem wyrośli w domu rzemieślnika Józefa liczni jego bracia i siostry..." [1]

Ale dość tych cytatów [2]. Wierzyć się nie chce, że takie rzeczy o chrześcijaństwie teologom chrześcijańskim wykładają profesorowie na katedrach chrześcijańskiej teologii. Prócz frazesów o posługiwaniu się metodą naukową w swych badaniach, nic tam niema naukowego i wszystko wysnute z fantazyi i wieszczej intuicyi. Chełpią się, że udało się im uwolnić osobę Chrystusa z powijaków metafizycznej spekulacyi i z więzów dogmatyzmu i odtworzyć czyste i prawdziwe rysy Założyciela naszej religii — a oni stworzyli jego karykaturę. Ich Jezus to przedewszystkiem prototyp Hasego, Kaftana, Harnacka i wszystkich innych miłośników „wolnego badania"; zwolennik i apostoł religii obranej z wszelkich form zewnętrznych, nie lubi on synagogi, nie cierpi świąt i nabożeństwa; kocha się przedewszystkiem w religii bezdogmatycznej. Cuda jego nie mają w sobie nic cudownego, i tylko umysł prostaczy widział w nich rzeczy

[1] Zob. *Geschichte Jesu. Nach akademischen Vorlesungen.* 2. Aufl. Leipzig 1891, str. 481 i nast.

[2] Obszerniejsze wyjątki z dzieł protestanckich teologów, z podaniem najdokładniejszem miejsca i roku wydania, tomu i stronicy, znajdzie czytelnik w Hoensbroecha: *Christ und Widerchrist.*

nadzwyczajne. Wykształcony i postępowy teolog najmniejszych w ich tłumaczeniu nie znajduje trudności. W historyi np. rozmnożenia chleba, powiada znany nam już Hase, nic nie masz cudownego. Jezus rozdał co miał; inni, którzy także coś mieli, za jego przykładem uczynili tak samo; no, i — głodni byli nasyceni. Podobnie nie potrzeba za cud uważać opowiadania ewangelii, że Jezus chodził po jeziorze galilejskiem. Wszak wiadomo, że istnieje sztuka chodzenia po wodzie! I ja sam — zapewnia nas Hase — widziałem raz wędrownego kuglarza, który na taczkach przewiózł swą starą matkę w Altenburgu przez duży staw. Zmartwychwstanie Jezusa, zdaniem profesorów Schenkla, Hasego, Holstena, Langa, Hausratha, Weizsäckera, Pfleiderera i innych, polega na wizyi i hallucynacyi uczniów. Mamy i takich teologów, którzy nie wahają się objawić swych wątpliwości, ażali osoba Chrystusa i jego dzieło wogóle należą do dogmatyki? [1] Dodajmy do tego zdanie Pfau'a, który głosi, że czas najwyższy, aby teologiczne rupiecie rzucić w śmieci i każdą formę religii ogłosić, jako zaprzeczenie rozumu; dodajmy fakt, że Nordaua *Conventionelle Lügen der Kulturmenschheit,* gdzie do tych kłamstw zaliczona jest i religia i małżeństwo, doczekały się w kilku latach dwunastu wydań, i takie okrzyki radości, jak że chrześcijaństwo jest trupem a protestantyzm jego grabarzem [2]; a będziemy mieli słaby wprawdzie, ale prawdziwy obraz tego, co się dziś dzieje w łonie protestantyzmu. To już nie reforma reformowanej religii, ale nowe pogaństwo!

Prawda, że lud wiejski w znacznej części jest jeszcze wierzący. Prawda także, iż nie całe duchowieństwo przytakuje temu burzeniu podstaw luteranizmu. Dowodem, między innemi, ten mężny i bardziej chrześcijański niż z zasadą protestantyzmu zgodny protest, jaki przeciw radykałom ogłosili w *Kreuz-Zeitung* liczni pastorowie. „Żaden człowiek — czytamy tam — nie ma prawa podgryzać prawd Bożych zawartych w *Apostolicum,* ani

[1] Zob. Hase, *Geschichte Jesu,* str. 430—572.

[2] Zob. Robert Kübel, *Apologetik,* w Zöcklera *Handbuch der theologischen Wissenschaften.* München 1890, str. 255.

nawet poddawać ich krytyce. Każdy nauczyciel w kościele i każdy duchowny, który nie może wierzyć w *Apostolicum*, winien dla spokoju swego sumienia złożyć swój urząd. Kto zaś zmienia coś w *Apostolicum*, albo wyrzuca stamtąd na podstawie swego subjektywnego przekonania któryś z artykułów, jest heretykiem i musi być z urzędu wydalonym“ [1]. Prawda i to, że nie wszyscy profesorowie solidaryzują się z działaniem Harnacka i jemu podobnych, i nawet wśród nich znajdujemy sporadycznie wyznania naczelnych artykułów wiary, na któreby mógł i katolik się pisać. Tak np. profesor Kübel w Tybindze broni wiary w cuda ewangeliczne, co wystarcza do ściągnięcia nań zarzutu zacofańca. Przyznaje on nawet, że tę naukę przechowała najlepiej teologia katolicka, i powołuje się w tej materyi aż na orzeczenie soboru watykańskiego. „Przekonanie o istnieniu cudów — pisze on — jest integralną częścią biblijnego poglądu na Boga i świat. Wyrwij z Pisma św. cud, a cała nauka biblijna runie. Dla mnie wiara w cuda należy do samej istoty chrystyanizmu. Bóg, który nie czyni cudów, nie jest Bogiem żyjącym. I życie, które mię wynosi ponad świat grzechu i śmierci, życie, za którem tęskni cała istota moja i które posiąść muszę nietylko dla mego uczucia i fantazyi, ale także dla całego mego bytu cielesnego... nie da się pomyśleć bez cudu, a przedewszystkiem bez tego jednego, który sam jest cudem — bez Jezusa Chrystusa“ [2].

Niemniej jest prawdą, że takich głosów otwartych i szczerych jest niewiele, a i ci zbyt często ulegają terroryzmowi radykałów i za wielkie im czynią ustępstwa. Ten sam Kübel radby jakoś pogodzić zwaśnionych braci i dlatego szuka terenu wspólnego w teologii, na którymby walczący mogli się spotkać i podać sobie ręce. Ale daremna to praca. Czasami zdaje mu się, że odkrył taki punkt wspólny, ale wnet robić musi zastrzeżenia: „Prawda — że i tu nie wszyscy zgadzają się prawowierni“. —

[1] Zob. Blume, *Das Apostolische Glaubensbekenntniss,* Freiburg im Br. 1893, str. 59.

[2] Zob. Kübel, *Apologetik,* str. 285 i nast. Zob. także Cremera, profesora teologii w Greifswald, „Dogmatykę“, gdzie broni Bóstwa Chrystusowego i nauki o podwójnej jego naturze. *Handbuch der theol. Wissensch.* str. 132.

Takim łącznikiem nie są ewangelie, bo w nich, zdaniem liberałów, wiele jest rzeczy podrobionych i wiele faktów zmyślonych. Nie są nim Apostołowie, bo już wśród nich da się potrójne rozróżnić chrześcijaństwo: Piotrowe, Pawłowe i Janowe. Nie jest nim także Skład apostolski, bo są tam rzeczy, które wcale nie należą do pierwotnego chrześcijaństwa. Hermann, profesor marburski, nazywa wprost niewiarą przyjęcie Składu apostolskiego lub jakiegokolwiekbądź innego symbolu. A wszakże bez wyznania żaden kościół istnieć nie może, i bez symbolu religia staje się osobistą opinią, podobnie jak zapatrywanie na kwestyę kuracyi wodnej lub muzyki przyszłości. Wedle Wendta, profesora w Heidelbergu, normą dla wszystkich teologów, a więc ową ostatnią instancyą, rozstrzygającą stanowczo co ostatecznie należy do chrześcijaństwa a co nie, jest jądro nauki samego Chrystusa, wydobyte przez krytykę z ewangelij. Niestety, ani Wendt ani żaden inny teolog, ani konsystorze nie określają bliżej, na czem to jądro Chrystusowej nauki polega?

Rezultat ostateczny jest ten, że tylko dwaj zostali wspólni nieprzyjaciele zewnętrzni, tj.: socyalna demokracya i Rzym. Kübel sam przepowiada, że niemiecki protestantyzm musi się rozpaść na rozmaite sekty, które z chrystyanizmu samą chyba tylko nazwę zachowają. Najciekawsza jednak jest rzecz, jak się ten teolog nad ruinami luteranizmu pociesza. „Ale choćby nasz kościół i rozpadł się w ten sposób, to on — a to powiadamy zupełnie spokojni i pocieszeni naszym wspólnym nieprzyjaciołom a zwłaszcza przyjaciołom Rzymu — to on bynajmniej jeszcze nie zaginął, jak oni tego się spodziewają i pragną. Nasz kościół, dzięki Bogu, może istnieć pod najrozmaitszemi kształtami“. Jeśli ta pociecha Kübelowi wystarcza, to nie chcemy mu jej odbierać; chodzi tylko o to, czy te nowotwory zdolne będą życia? Jak się zdaje, spełnią się raczej słowa biskupa Dupanloup, wypowiedziane z okazyi wrzawy, jaką podniosły nawet prawowierne organa protestanckie przy pojawieniu się Syllabusa: „Jeszcze niewiele lat, a protestantyzm będzie tem, czem jest dziś aryanizm i gnostycyzm“.

* * *

Jak sądzić cały ten obrót rzeczy w protestantyzmie? Przypomnijmy sobie, że taki Hase przez 100 semestrów wykładał teologię, że więc setki a może tysiące młodzieńców urabiało swego ducha i wzorowało się wedle jego przekonań i zapatrywań religijnych. Przychodzili oni wszyscy z chrześcijańskiego domu rodzicielskiego, w sercu mając nieoceniony skarb starej wiary ojców w Bóstwo Chrystusowe. A jakimi odeszli? Jaką wiarę wnieśli w swe działanie publiczne jako nauczyciele i duszpasterze?

Prawda, że część pastorów protest założyła przeciw Hasemu, ale wielka część godzi się na jego przekonania i broni ich publicznie. W Berlinie kaznodzieja Schmeidler drukuje takie rzeczy w *Berliner Sonntagsboten:* „Jeśli duchowny przekonał się raz, że jego gmina przekroczyła już naiwne stadyum ślepej wiary w Symbol apostolski, to może on wprost oświadczyć, iż artykuły tam zawarte są fałszem. Nasz stosunek do gminy nie jest już tego rodzaju, abyśmy prawdę mieli mówić tylko w kołach teologicznych, a wobec parafian udawali, że wierzymy. Nie jesteśmy augurami". — Ze Schmeidlerem głosi większa część predykantów w Berlinie, Wrocławiu, Hamburgu, Bremie, Szczecinie, że symbol wytworem jest czysto ludzkim, starą formułą wymyśloną na oszukanie ludu, a więc precz z nią, bo protestantyzm o to zawsze dbać musi, aby kościół ewangelicki stał na wysokości nauki!

Przy wielu kościołach na prowincyi, gdzie po kilku funguje pastorów, zdarza się nieraz, „że jednej niedzieli głosi się słowo Boże liberalnie, a drugiej konserwatywnie" [1]. Odpowiednio do stanowiska swych duszpasterzy są też w gminie dwie partye, z których każda wtedy tylko idzie na nabożeństwo, jeśli „ich" kaznodzieja głosi „słowo Boże". I nie może być inaczej. Wszak większa część słuchaczów teologii uczęszczała na wykłady profesorów liberalnych! Zgoda między ortodoksami a liberalnymi

[1] *Historisch-politische Blätter,* 1893, 10. Heft, str. 735 i nast.

tylko wtedy mogłaby nastąpić, gdyby młody teolog przy tak zwanej ordynacyi wyrzekł się i wyprzysiągł tej teologii, której się uczył, czyli innemi słowy, gdyby zmienił religię. Harnack uczył go, że idea Boga-Człowieka taką samą ma wartość jak idea centaura albo sfinksa, a prawowierni żądają odeń, by z pełnego przekonania prawił kazania o odkupieniu ludzkości przez Syna Bożego. Uczył się, że Pismo św. bynajmniej nie jest słowem Bożem, ale czysto ludzkiem, a tymczasem parafianie chcą, aby z biblią Lutra w ręce opowiadał „czystą ewangelię".

W Boże Narodzenie musi chyba w własnych oczach wyglądać na kuglarza, kiedy wiernym prawi na podstawie ksiąg świętych o narodzeniu Syna Bożego z Dziewicy, a w duszy jest przekonany, że opowiadanie ewangeliczne o tej tajemnicy jest „plastycznie ukształtowaną legendą" i „wytworem Gnostyków". Każda niedziela doprowadzać go musi do rozpaczy, bo tu w każdem opowiadaniu biblijnem cud obok cudu, a on na kursach teologii uczył się, że cudów niema! I Wielkanoc nie przynosi dlań ulgi i wybawienia. Ma powiedzieć naukę na podstawie słów św. Pawła: „A jeśli Chrystus nie powstał, próżne jest przepowiadanie nasze, próżna jest i wiara nasza", a tu w notatkach teologii wedle Hasego znajduje, że Chrystus nie umarł, albo u Harnacka, że nie zmartwychwstał. W tych warunkach chyba wstrętne kaznodziei być musi urzędowanie!

Więc czy niema sposobu pogodzenia zwaśnionych i sprowadzenia ich nauki do jakiegoś wspólnego mianownika? Przy zaprowadzeniu protestantyzmu była to rzecz prosta. Wtedy kurfürst saski, landgraf heski i hr. Mansfeld oznaczali, kto jest i co znaczy być protestanckim chrześcijaninem? Nawet drugą żonę, którą za życia pierwszej pojął landgraf heski, Luter ogłosić musiał „małżonką chrześcijańską", a własne dzieci Lutra, które sami juryści protestanccy wedle istniejącego prawa traktowali jako nieprawe, specyalnym ukazem kurfürsta zostały legitymowane. Jeszcze w początkach naszego stulecia rząd bez wielkiego wysiłku załatać zdołał niezgodę, która wybuchła była między Luteranami a Kalwinistami niemieckimi. Rozporządzeniem gabineto-

wem z dn. 3 kwietnia 1821 sklejono „krajowy kościół pruski“ i oficyalną ewangelię, zakazano w książkach, gazetach, kazaniach nazwę „protestancki“, a wprowadzono urzędowy tytuł „ewangelicki“, i wydano wreszcie dla wszystkich pastorów wspólną agendę, której każdy z nich powinien się był trzymać przy sprawowaniu czynności duszpasterskich. I tak kościół reformowany wlókł jeszcze czas jakiś życie. Istniała też jeszcze w połowie naszego wieku ze strony państwa jakaś kontrola nad wykładami profesorów uniwersyteckich. Warto tu przypomnieć głośną w swoim czasie sprawę profesury Bauera.

W kilka tygodni po pojawieniu się rozprawy Brunona Bauera, pod tytułem: *Kritik der evangelischen Geschichte der Synoptiker,* teologiczny fakultet w Bonn, przy którym Bauer przez cztery semestry był docentem prywatnym, otrzymał od ówczesnego ministra oświaty Eichhorna wezwanie, aby objawił swą opinię o tej książce, jakoteż o stanowisku jakie autor zajmuje wobec chrześcijaństwa i jego kwalifikacyi na publicznego profesora teologii. Podobne wezwanie wystosował minister i do innych krajowych teologicznych fakultetów. Przytaczam w streszczeniu opinię, jaką w tej sprawie przedłożył fakultet teologiczny berliński:

Wysokie ministerstwo — czytamy tam — przedłożyło nam reskryptem z d. 20 września (1842) pytanie, jakie stanowisko licencyat Bruno Bauer zajmuje wobec chrześcijaństwa w swem ostatniem dziele: Kritik i t. d.? Zanim wypowiemy sąd o książce, musimy wprzód zatwierdzić, co wedle naszego przekonania stanowi niezmienną podstawę chrześcijańskiej wiary. Otóż wiara chrześcijańska bierze za punkt wyjścia fakta historyczne i zależy tem samem od uznania prawdziwości tychże faktów. Polega ona na uznaniu historycznej osoby Chrystusa, skreślonej wedle rysów, jakie nam przekazały ewangelie, Jezusa z Nazaretu w całem jego działaniu cudownem, Ukrzyżowanego, Zmartwychwstałego, wyniesionego do nieba, który nam swem zmartwychwstaniem zagwarantował wieczne osobowe istnienie w niebie... Tę istotną podstawę chrześcijańskiej wiary obala autor rzeczonego pisma. W miejsce historycznego chrześcijaństwa, postawił on chrześcijaństwo jakieś idealne i utopijne, nie będące bynajmniej refleksem Pisma św., ale wytworem jego dzikiej i fantastycznej spekulacyi... Na założeniu, że świadectwo, jakie

nam Pismo św. daje o działaniu i nauce Chrystusa, jest wiarogodne, na czci, z jaką to słowo Boże przyjmujemy, polega teologia.

Przystępujemy do odpowiedzi na drugie pytanie, postawione nam przez Wysokie Ministerstwo, czy mianowicie autorowi może być udzielona *licentia docendi* na teologicznym fakultecie? Odpowiedź na to pytanie wypływa już z tego, co powyżej powiedzieliśmy. Stanowisko, jakie wspomniana książka zajmuje wobec chrześcijaństwa, wręcz sprzeciwia się przeznaczeniu naszych fakultetów teologicznych na uniwersytetach. Byt kościoła ewangelickiego spoczywa na wierze w historyczne chrześcijaństwo. Byłaby wtedy *contradictio in adiecto*, gdyby na fakultecie teologicznym docentami mogli być ludzie, głoszący naukę, która podkopuje powagę słowa Bożego, niszczy fundamenta chrześcijańskiego Kościoła, i nie zgadza się z przeznaczeniem teologicznych fakultetów.

Berlin, d. 23 października 1841.

Fakultet teologiczny tutejszego uniwersytetu Fryderyka-Wilhelma.

(Podpis.) *Dr. Marheineke*, dziekan. *Neander. Twesten. Strauss. Hengstenberg.*

Minister rozstrzygnął sprawę na niekorzyść Bauera. W motywach wyroku, ogłoszonego d. 7 kwietnia 1842 w *Allgemeine preussische Zeitung*, podnosi minister, że chociaż wszystkie przedłożone opinie wysuwają wolność nauczania jako jedno z najistotniejszych znamion ewangelickiego kościoła, to niemniej w większości zgadzają się ze sprawozdaniem fakultetu teologicznego w Bonn: iż nie można powierzać katedr teologii ludziom takich przekonań, jak Bauer. I dlatego nietylko odmawia się Bauerowi profesury, lecz cofa się mu równocześnie udzieloną jako docentowi prywatnemu *licentiam docendi* na fakultecie teologicznym [1].

Nauka Bauera jest znana. „Jezus był synem cieśli Józefa, zrodzony w małżeństwie w ten sam sposób, co reszta rodzeństwa. Opowiadanie o nadprzyrodzonem poczęciu Chrystusa jest bajką, którą w pierwotną ewangelię wnieśli chrześcijanie nawróceni z pogan. Ewangelie są pełne sprzeczności. Chrystus nie zmart-

[1] Zob. Hoensbroech l. c. str. 157—167.

wychwstał“ i t. d. Dla tych przekonań odebrano w swoim czasie Bauerowi profesurę: mimo takich samych przekonań, Hase, Kaftan, Harnack spokojnie zajmują swe katedry. Widać, że te rozkładowe idee grasują już szeroko po ciele luteranizmu, kiedy nikt nie ma odwagi amputować od organizmu kościelnego zgangrenowane członki.

Kiedy przed stu laty importowano do Niemiec niewiarę i sceptycyzm z Anglii, teologia protestancka łudziła się nadzieją, że w filozofii Wolfa znajdzie sojusznika w zwalczaniu wroga. Na swą zgubę popełniła błąd zasadniczy, który wnet począł mścić się na niej, a dzisiaj jak polip ostatnie z niej soki nadprzyrodzone wysysa. Miasto w tym związku być królową, pozwoliła się ona zepchnąć do rzędu sługi — *non domina sed ancilla* — a w następstwie poświęcać musiała dogmata objawione jeden po drugim na rzecz wszechwładnego rozumu. Później znowu spodziewała się zbawienia po filozofii Kanta. On to miał teologii nowe wskazać drogi. Tymczasem i ten związek był dla teologii protestanckiej fatalny. Dzieci z tego małżeństwa, to Schleiermacher, dla którego „w religii wszystko jest prawdą, bo religia jest cierpliwa, a niewyrozumiałe są jedynie systemy religijne i zwolennicy martwej litery“; to dalej Strauss, który głosił kompletne bankructwo chrześcijaństwa; Feuerbach, dla którego religia jest illuzyą i to illuzyą zgubną, — a wreszcie wszyscy wyżej wymienieni profesorowie, co idąc ich śladem, usiłują przemienić chrześcijaństwo w rodzaj religii naturalistycznej, którą każde pokolenie będzie sobie układało odmiennie, stosownie do potrzeb i pojęć chwili.

Jakże inaczej jest u nas — w Kościele katolickim! Tu każdy pewny, że całą posiadł prawdę i drogą nieomylną dąży do ostatecznego swego przeznaczenia. Rośnie dusza na widok, że w tym Kościele tak samo w XIX. wieku, jak w III-cim, prawdziwe są prorocze słowa św. Ireneusza. „Wiarę — powiada on — ma Kościół z podania, i chociaż po całym świecie jest rozproszony, strzeże jej troskliwie, jak gdyby w jednym mieszkał domu; wierzy w nią tak jednomyślnie, jak gdyby jedno miał serce i jednę

duszę; głosi i uczy jej tak zgodnie, jak gdyby jedne miał usta. Prawda, że języki na świecie różnią się między sobą, ale istota nauki, przekazanej nam przez tradycyę, wiecznie jedna jest i ta sama".

I z serca przepełnionego wdzięcznością cisną się na usta zaklęcia psalmu: „Jeśli cię zapomnę Jeruzalem, niech zapomniana będzie prawica moja. Niechaj przyschnie język mój do podniebienia mego, jeślibym na cię nie pomniał; jeślibym nie pokładał Jeruzalem na początku wesela mego".

Ks. Józef Bilczewski.

Z NIEDAWNEJ PRZESZŁOŚCI.

Urywki z pamiętnika.

IV. Życie żołnierskie.

Pierwsze cztery tygodnie byliśmy wolni od wszelkiej służby, a nawet od musztry; czas bowiem ten dawano rekrutowi na oswojenie się z życiem żołnierskiem, poznanie zewnętrznej formy służby, wyrobienie koleżeństwa i t. p.: musieliśmy więc tylko pilnować koszar, nie wychodzić nigdzie bez pozwolenia feldfebla i bez *diad'ki*, lub innego danego nam żołnierza za przewodnika, wracać zawsze o naznaczonej godzinie, stanąć wieczorem do *pierekliczki* (przewołanie podług listy) i spać zawsze na swoich miejscach. Dla nas jednak za mało było tych czterech tygodni na oswojenie się z życiem żołnierskiem; gdybyśmy cały swój wiek przepędzili w koszarach, musielibyśmy się ciągle przyzwyczajać, i nigdy nie byłoby dość tej nauki. Przedewszystkiem trudno się było nam oswoić z tak gromadnem życiem, jakie w koszarach musieliśmy pędzić, cała bowiem szerokość gmachu w fortecy, do której przenieśliśmy się z baraków na zimowe kwatery, stanowiła pomieszczenie dla pół roty żołnierzy, a więc 100 ludzi razem. Jedna to więc była sala, przedzielona tylko filarami, przy których umocowane były nary do spania na dwie strony; na każdych przeto narach miało spać 50-ciu żołnierzy, jeden obok drugiego, a w dzień, pod deskami nar, przechowy-

wała się pościel i cały majątek żołnierza, bądź to w kuferkach, jeżeli kto miał takowe, bądź po prostu na ziemi, lub w zawiniątkach. Jeszcze zatem pół biedy było w nocy, kiedy wszyscy spali, bo tylko powietrze gęstością swoją i wonią niemile oddziaływało na organa powonienia i oddychania; ale dzień, kiedy żołnierze byli wszyscy w domu i w komplecie, był niezmiernie trudny do przebycia. Wówczas bowiem każdy żołnierz otwierał swoje siedlisko pod narami i rozpoczynał jakąś fabrykę: jeden szył buty (a takich było najwięcej), drugi krawcował, trzeci coś rąbał, czwarty czyścił broń, piąty wymiatał pod narami, inny robił papierosy, a wszyscy bez wyjątku gwar podnosili taki, że niekiedy szewckiego młotka, albo stuku siekiery, nie można było dosłyszeć. Jedni śpiewali, każdy na swoją nutę i swoim głosem, drudzy rozmawiali, tak głośno oczywiście, aby przekrzyczeć śpiew, inni kłócili się jeszcze głośniej, aby i śpiew i rozmowę przesilić, znów inni, podchmieleni, zawodzili płacz, tamci wołali na kogoś z daleka — słowem, że jeżeliś chciał powiedzieć co komu w tonie przyzwoitym, musiałeś nie inaczej mówić, jak do ucha, osłoniwszy uszy rękami od dolatującego gwaru. W takim zgiełku i gwarze staraliśmy się o ile możności skupiać w gromadkę, aby przynajmniej tym sposobem chociaż o krok być dalej od wrzasku.— Ze względu na przywyknienie nasze do większych wygód w przeszłości, wolno nam było, o ile miejsce pozwalało, postawić swoje łóżeczka; to też, kto tylko miał jeszcze trochę pieniędzy, jako pierwszy sprawunek kupował łóżko, których w sali mogło stać ośm, po dwa w każdym rogu, a przy tem żołnierską szafeczkę, niezbędną u każdego zasobniejszego żołnierza, w której się mieściły herbaciane *czaszki* (filiżanki) i inne przyrządy. Tym więc sposobem kilku nas mogło w swoich kącikach używać wywczasu na własnych łóżkach i chronić się tam od zgiełku i ciągłego ruchu, jaki w kamerze panował. Niekiedy tylko pijany jaki żołnierz, rozczulony naszą biedą, w objawie szczególnej swojej łaski, przychodził, siadał na łóżku albo na kolanach, pieścił, całował, gładził po twarzy lub głowie i wynurzał serdeczne swoje żale nad niedolą skazanych; potrzeba było z całą sympatyą przyjmować te karesy, aby nie oburzyć na siebie i aby zyskać

takie względy, jakie rzeczywiście później mieliśmy u żołnierzy wogóle. Czasami aż źle się robiło od tych czułości, twarz cała mokra, zaśliniona, oddech zatamowany wybuchem spirytualnego przegaru, jakim na ciebie chuchał, a dymiący się pod nosem bakuń dopełniał uduszliwości powietrza. To wszystko musiało nam być miłe i wdzięczne, bo pochodziło z dobrego serca i świadczyło o współczuciu, którem gardzić nie wolno. — Długie dnie i długie godziny zdawały się nam przy takich warunkach życia, zupełnie dla nas nowego, a bezczynność wzmagała jeszcze nudotę, dając czas na rozmyślanie o nieznośnem położeniu. Ratowaliśmy się w dni pogodne przesiadywaniem na wałach fortecznych, spoglądając tęsknie na zachód i gwarząc to o przeszłości, to o projektach na przyszłość, chociaż tych na żadnem prawdopodobieństwie oprzeć nie było można; bawiliśmy się zresztą czem mogli, byleby dzień zakończyć, byleby prędzej przeżyć rok, dwa lub więcej, a doczekać się zmian jakichś, bez których koniec końcem obejść się nie mogło, a które nas zajmowały bardzo. Ta jedna cieszyła nas myśl, że przecie całe życie w koszarach nie będziemy, że przyjdzie kiedyś czas, w którym nas uwolnią z wojska, pozwolą mieszkać na prywatnych kwaterach, szukać samemu sobie chleba, że wtedy odpoczniemy, zażyjemy ciszy, swobody i lepszych może wygód, jeżeli przetrwamy niewygody obecne. Bo to połowa tylko biedy naszej mieściła się w tych warunkach życia koszarowego, o jakich wspomniałem wyżej, druga połowa pozostaje do opisania.

Najprzód więc kwestya żywności: dopókiśmy mogli własnemi resztkami funduszu dopomagać sobie, było jeszcze jako tako; ze strawy skarbowej wybieraliśmy to, co było mniej obrzydliwe i nie tak szkodliwe dla nas, dodawaliśmy do tego coś ze swego, nareszcie popijaliśmy to wszystko herbatą, i jakoś się żyło. Ale, jak już zabrakło ostatniego grosza, a nawet każdy z nas sfantował ostatnie spodnie z własnego ubrania, wtedy już było nie dobrze; musieliśmy przemagać wstręt do najgorszych obrzydliwości. Czy to kasza, okraszona masłem, od którego zapach gorzkiej zgnilizny dochodził z daleka, czy to mysz, wyciągnięta z zupy, albo kawał szczura, czy robak z chleba, czy nareszcie

zgniła kapusta, wszystko to musiało być dobre, bo nic innego już nie było. Już nie można było wyprosić sobie u kucharza suchych krup, aby samemu zgotować kaszę lub zupę, bo nie było za co kupić okrasy albo kawałka mięsa; na nicby się więc to nie przydało; nie było za co kupić świeżego chleba w żołnierskiej piekarni, więc jadło się z robakami; nie było szczypty herbaty, więc popijało się wodą, a ta nie nazbyt skutecznie dopomagała trawieniu niestrawnych produktów — bieda więc była z tem wielka. A w kwestyi ubrania, nie mówię już o futerkach, paltotach, surdutach, butach i t. d., które, jako przedmioty cenne, przy pierwszym objawie braku gotówki trzeba było zmienić na drobną monetę, ale ratując sprawy żołądkowe, musieliśmy nawet pozbyć się ostatniej całej koszuli, zostawiając sobie tylko szmatki, których niktby już nie kupił; całe więc ubranie stanowił rządowy uniform, składający się z krótkiego białego kożuszka, szynela z siwego samodziału, dwóch par samodziałowych czarnych spodni [1], jednej pary butów, dwóch koszul zgrzebnych, czapki, rękawiczek i *prysiagi* [2]; od parady zaś był garnitur uniformowy, tj. mundur, spodnie, czapka i buty nowe, które się chowały w cechhauzie. Nie było więc w co się bardzo przyodziać, aby się zabezpieczyć od mrozu, którego normalna siła w Omsku przez całą zimę była 20° R., a często i za 30° przechodziło; co zaś do czystości, to także nie mogła być wzorową. Praniu bowiem podlegała tylko jedna koszula, a reszta pozostawała niepraną aż do kompletnego zdarcia i zastąpienia nowem. Ponieważ zaś i praczki nie było czem opłacać, ani mydła za co kupić, więc musieliśmy poprzestawać na własnoręcznem przepłókaniu znoszonej koszuli w Irtyszu.

Wszystko to więc razem wzięte, nie dlatego tylko trudne było do zniesienia, że nie było przyjemne, ale że rujnowało zdrowie, i tym sposobem coraz to bardziej czyniło nas nieodpowiednimi do takiego życia. Brak powietrza i zdrowych pokarmów rozmaite wytwarzał choroby, to też i ja, po niedługiej próbie żołnierskiego życia, dostałem szkorbutu. Dzięki pomocy

[1] Z podszewką płócienną, aby nie używać gaci.

[2] Dosłownie: przysięga — tak się jednak nazywa halsztuk żołnierski.

d-ra Kościałkowskiego, który bezinteresownie leczył mię przez czas długi, broniłem się jak mogłem od zakażenia całego organizmu tą chorobą, ale jednak postępy ona robiła znaczne, bo warunki życia, te najsilniejsze czynniki w walce ze szkorbutem, bardzo temu sprzyjały. Uniknąć koszarowego powietrza nie mogłem, bo na to już żadnego sposobu nie było, chyba szpital, ale tam mi iść nie radzono dla gorszych skutków, z powodu innych sprzyjających powodów. Pozostawało więc tylko radzić sobie z żywnością, ale jak tu radzić?... Wszystko, co było w zapasie, a nie miało cechy świętości, już poszło, został tylko pamiątkowy zegarek, kilka monet, danych z błogosławieństwem przy wyjściu do partyi powstańczej, nareszcie jeden pierścioneczek, najdroższa zdaje się pamiątka pierwszego tętna młodzieńczego serduszka — oto i wszystko; czy i to miałem poświęcić na ocalenie życia? a doktór wciąż woła: „zdrowo jeść i świeżo oddychać, inaczej źle będzie!“ Potrzeba więc było wybierać jedno z dwojga: albo zostać przy pamiątkach do ostatka, i tem może skrócić życie, albo pozbyć się pamiątek, i tem ratować się od śmierci, pozostawiając tylko niezatarte wspomnienie o talizmanach w sercu. Ostatnie przeważyło, więc wszystko poszło na fanty, a za nie znów znalazła się herbata, lepszy kawałek mięsa, i zdrowa kapusta i chrzan i wódki trochę, — wszystko, jak przepisywał doktór; powietrza tylko, powietrza brakowało, i prawa sypiania nie w koszarach, bo to jeszcze było zabójcze.

Służba szła już nam wtedy wraz z innymi żołnierzami w zupełnym porządku; odbywaliśmy więc musztry dwa razy dziennie gdy nie było służby czynnej, a w inne dni szliśmy na wartę, to do szpitala, to do jakichś magazynów, to wewnątrz fortecy na odwachu lub gdzieindziej, strzegliśmy aresztantów w miejskim ostrogu, w dni świąteczne odbywaliśmy parady i t. p. Najgorzej dało się to nam we znaki zimą. Pamiętam razu jednego postawiony byłem przy jakimś magazynku nad rzeką Irtyszem; w dzień jeszcze było pół biedy, ale jak noc nadeszła, to mróz i strach dokuczał okropnie. Mróz, bo siarczyście skrzypiał pod nogami — przeszło 30 stopni go było; a strach, bo magazyn był z dala od miasta, na pustkowiu, u samej rzeki, a rzeka zamarznięta, a za

nią Kirgizi, naród jeszcze nie całkiem podbity, lubiący rabunki i rozboje. Zakutałem się więc w tułub, który mi oddał ustępujący wartownik, włożyłem na nogi *kiengi* (kalosze z drewnianemi podeszwami), będące też przy budce wartniczej, głowę owinąłem *baszłykiem* (kaptur), ręce schowałem do rękawic, i tak dźwigałem mój nabity karabin, drepcząc wciąż po wydeptanej ścieżynce i szepcząc pacierze, aby karabinu używać nie było potrzeba. Jakoż obyło się bez tego, ale namarzłem się i najadłem strachu do woli. Niedługo potem, na temże stanowisku, jednego z rosyjskich żołnierzy znaleziono zmarzniętego bez życia; widać biedaczysko zdrzemnął się trochę i zasnął snem wiecznym, bo też piekielne było tam zimno i wiatr ze stepu szalony! W innych miejscach już warta była nieco znośniejsza: np. w korytarzach więzienia, albo w szpitalach, a nawet i na odwachu, chociaż się chodziło po platformie na dworze, ale jednak ani zimno, ani inne niewygody nie dokuczały tam tak bardzo. Prochownie i magazyny za miastem dały się we znaki najgorzej.

Po roku takiej służby z karabinem, wezwano mię do sztabu i dano coś pisać; ktoś bowiem puścił tam pogłoskę, że jeden z zesłanych żołnierzy pierwszej roty czwartego batalionu, ma *ministierskij pòczerk* (ministeryalne pismo). Myślałem, że jako pisarz sztabowy, któremu dają przepisywać wszystko to, co idzie do ministeryum albo do samego Najjaśniejszego Pana, będę mógł przecie wyjednać sobie jakie łaski, przynajmniej co do polepszenia bytu w koszarach, alem się mocno omylił. Nie nazwali mię nawet pisarzem, bo to podobno nie wolno było, aby zesłany Polak był pisarzem w jakimkolwiek biurze, tylko, jako żołnierz frontowy, zamiast służby we froncie, pełniłem takową w sztabie, bez żadnych zresztą zmian w mojem położeniu.

Wówczas już i pieniądze, otrzymane ze sprzedaży najdroższych pamiątek, wyczerpane były; potrzeba było znów wrócić do życia na równi z każdym innym żołnierzem-Moskalem, chociaż nierówne były nasze siły i zdrowie, chociaż szkorbut nie dał się wypędzić całkowicie, tylko, wobec lapisu d-ra Kościałkowskiego, wódki, chrzanu, kapusty i tym podobnych jego nieprzyjaciół, uśmierzył się nieco. Położenie więc znów stało się groźne, tem

więcej, że już nie miałem tyle ruchu, mniej miałem możności oddychania wolnem powietrzem poza ścianami koszar, bo więcej musiałem siedzieć w biurze, a nocowałem jak dawniej w koszarach; a tu już golizna święta, żadnej pomocy i rady niema! Wtedy stało mi się wyraźnem, jak niewłaściwe i niekompletne dają nam wykształcenie w szkołach rządowych, i jak mało ono jest warte wobec potrzeb, które się mogą człowiekowi w życiu nadarzyć. Gdybym był umiał szyć buty, albo inne jakiekolwiek rzemiosło miał w ręku, a nie znał za to ani jednej literki *ministiérskawo pòczerka* — o ile szczęśliwszy byłbym wówczas! Jak skutecznie walczyłbym z biedą, gdybym zamiast pióra umiał trzymać szydło, młotek, siekierę lub hebel, albo nawet igłę. Dziś jestem kompletnie do niczego! Umiem wprawdzie pisać ozdobnie, i coś jeszczeby się może przypomniało, ale na co mi to wszystko, kiedy nawet pisarzem, tj. przepisującym zostać nie wolno? Fachu więc, fachu jakiegoś na gwałt potrzeba, bo inaczej zginę od nędzy; ale do czegóż się wziąć? Umiałem wprawdzie robić papierosy, ale do tego już inny wziął się i prowadził dobry interes, tak w samych koszarach jak i poza niemi, nie wypadało więc leźć mu w drogę, a nic innego chyba nie potrafię.

Tak zastanawiając się nad potrzebą jakiejkolwiek ręcznej pracy, która jedynie mogła mi przynieść grosz, niezbędny dla ratowania zdrowia, przyszło mi na myśl, że mógłbym robić koperty, bo kiedyś, w szkołach jeszcze, pisując listy do rodziców, robiłem takowe i wypadało mi to dość dobrze; dlaczegóżby nie?— myślałem sobie — wszak z arkusza papieru można zrobić 4 koperty, czyli na paczkę 100 kopert potrzeba 25 arkuszy, które kosztują 25 kopiejek, do tego dodać kleju za 5 kop., razem więc 30 kop. najwięcej, a za 100 kopert można wziąć 50 kopiejek, czyli 20 kop. w zysku; powiększając robotę, można dojść do większych zysków, bo i papier i klej, kupując hurtem, wypadnie taniej, a koperty, o ile więcej się wydoskonalę w robocie, o tyle mogą być chętniej i drożej kupowane. Ułożywszy sobie w ten sposób plan działania, i pewnym już prawie będąc znakomitych korzyści z tego przedsięwzięcia, śmiało udałem się do któregoś z kolegów z prośbą, aby mi pożyczył na bardzo krótki czas

30 kopiejek. Poczciwy kolega nie odmówił. Pobiegłem (a raczej poszedłem, bo biegać już wówczas nie mogłem, trochę za słaby byłem na to) do sklepów, kupiłem papieru i kleju, a w parę godzin potem już miałem 4 paczki kopert, po 25 sztuk w każdej paczce, obwiązane jakimś kolorowym papierkiem, zupełnie jak te, które się sprzedają w sklepach; i zaraz miałem je sprzedać, kupić nową partyę materyałów na podwójną ilość kopert, ze sprzedaży tamtych miałem już zwrócić kapitał nakładowy koledze, i dalej działać już na własną rękę, z własnym kapitałem. Włożyłem więc koperty za mankiet (po żołniersku) i wyszedłem z dobrą miną z koszar w stronę sklepów, pewny, że zaraz wrócę z nowym transportem materyałów.

Z początku, gdym podszedł do takich sklepów, gdzie mogli potrzebować kopert, stali mi na przeszkodzie kupujący, więc nie wszedłem, wolałem poczekać aż wyjdą. Później kupujących nie było, ale nie zdążyłem był jeszcze uformułować sobie gładkiej propozycyi, jaką powinienem zrobić w sklepie, przedstawiając koperty do zbycia. Później propozycya już była gotowa, ale brakło przygotowania się do odpowiedzi: „nie, nam takich nie potrzeba“. Dalej, kiedy już i do tego przygotowałem siebie, potrzeba było zastanowić się chwilkę nad tem, jak to będzie nieprzyjemnie, jeżeli kupiec płacąc pieniądze za koperty, jakimkolwiek sposobem da mi poznać, że robi łaskę; przy tej myśli gorąco mi się zrobiło, czułem już wypieki na twarzy, gniewałem się na kupców, że tacy niedomyślni, nie zatrzymają mię sami chodzącego koło sklepów i nie powiedzą: „pan masz koperty, my takowych potrzebujemy, ile pan żąda?“ Wszak to tak jawne! czyż z oczu, z twarzy, z rumieńców, które mię tak bolą, nie widać, że za mankietem mam koperty? O niedomyślni, o okropni ludzie! wszak im zapytać nie zrobiłoby żadnej przykrości, a ja musiałbym prosić, żeby kupiono u mnie! I dręczony takiemi niedorzecznościami, powróciłem tego dnia do koszar z kopertami za mankietem, pewny, że jutro to jakoś łatwiej pójdzie, bo jutro... o! jutro to zupełnie co innego, dziś było tyle nieprzewidzianych a racyonalnych przeszkód!...

Dwa dni chodziłem jeszcze do miasta, zawsze o tej samej

porze, zaglądałem do sklepów z ukradka, jak zbrodniarz jaki, pasowałem się z sobą z całą energią, i czwartego dnia... rzuciłem koperty do pieca! — Zapomniałem, niestety! że do braku jakichkolwiek fachowych kwalifikacyj, należało dołączyć jeszcze przymiot czy przywarę litewskiego szlachectwa: bo u nas (litewskiej szlachty) wolno było coś zrobić samemu, to prawda, jeżeli umiałeś choćby łatać buty, to mogłeś je załatać sobie pod sekretem, a drugiemu — choćby otwarcie; ale wziąć za to pieniądze — niech cię Bóg broni! a cóż dopiero napraszać się ze zbyciem jakiegokolwiek wyrobu własnej ręki!... to tak niezgodne z charakterem litewskiego szlachcica, że wolałby śmierć głodową, niż podobne poniżenie. I ja więc, pomimo poczucia gwałtownej potrzeby ratowania się własną pracą, nie zważając na rzeczywiście groźne skutki nędzy materyalnej, jakkolwiek rezonować mogłem dość trzeźwo, uchybić jednak tradycyjnej godności litewskiego szlachcica nie potrafiłem.

Przestałem więc już i marzyć o jakimkolwiek zarobku ręcznym, bom się przekonał, że bardziej aniżeli brak wykształcenia rzemieślniczego, przeszkadzała mi moja natura, której zgwałcić nie miałem siły. Dziękowałem tylko Bogu, że na niezbyt kosztowną zdobyłem się próbę, że nie straciłem na nią więcej nad 30 kopiejek, które dobremu koledze oddać musiałem. Wszystko więc dalej poszło dawnym trybem, z dodatkiem tylko frasunku o zapłacenie tej kwoty; wierzyciel na szczęście czekał cierpliwie.

Z upływem roku mojej służby pisarskiej w sztabie, a dwóch lat żołnierki, czwarty batalion, do którego należałem, otrzymał rozkaz wymarszu pod Taszkient, dla nowych terytoryalnych zdobyczy dla Rosyi. Cel tej wyprawy nie bardzo mi leżał na sercu, a więcej jeszcze rzeczywisty brak sił, potrzebnych na przemarsz kilkuset wiorst z karabinem i rańcem na plecach, zmuszały do starań o pozostanie w Omsku.

Przed wyprawieniem batalionu w podróż, utworzona była komisya sanitarna, zadaniem której było przekonać się, o ile żołnierze tego batalionu zdolni są do pochodu i operacyj wojennych. Do tej więc komisyi i ja się podałem, jako niekwalifikujący się do trudów pieszej żołnierskiej podróży. Dowódca

batalionu wprawdzie nie chciał wierzyć memu podaniu się za chorego, ale natarczywie proszony, przedstawił jednak komisyi, pewny, że takowa uzna mię za zdrowego i z batalionu nie wykreśli. I rzeczywiście, trudna była sprawa z komisyą: osłabiony byłem do najwyższego stopnia, szkorbut dziąsła wyjadł zupełnie, ale ponieważ chodziłem, a nie leżałem w szpitalu, nazywałem się zdrowym, przeto żadnej nadziei nie miałem zwolnienia od pochodu; bądź co bądź jednak postanowiłem upierać się przy swojem, i od zamiaru poddania się rewizyi medycznej nie odstąpiłem.

Rozebrali mię do naga, zaczęli oglądać, słuchać, stukać, obracać, ale oprócz przyznania słabej konstrukcyi organizmu, która prawnie nie zwalniała od obowiązków czynnej służby wojskowej, na korzyść moją nic innego wyrzec nie chcieli. Myślałem, żem przepadł, że już nic nie pomoże, będę musiał włożyć raniec i karabin na plecy, i iść walczyć dla zaboru cudzej własności, za ideę — tak zgodną z przekonaniem polskiego powstańca!... Krytyczna jednak chwila dodała mi odwagi, żem głośno zaprotestował orzeczeniu komisyi, wołając:

— Ależ, panowie, ja w żaden sposób podjąć się podróży z karabinem, po piaskach stepów Kirgizkich, nie mogę; ja legnę w pierwszym szpitalu i powiększę tylko wydatki skarbu na siebie, ja ledwie stoję na nogach, chory jestem na wycieńczenie sił, na szkorbut, ja mam złamane piersi!

— Co? złamane piersi? — zawołał któryś z medyków, nie dając mi już więcej rozwodzić się nad moją niemocą.

Pokazałem mu więc ślad przełamania deski piersiowej, kaszlnąłem parę razy na dowód, że mi to dolega, i opowiedziałem, jak całe życie skutkiem tej ułomności mam ciężki oddech, kaszel, kłócie w boku i inne podobne symptomata piersiowej choroby. Obejrzał eskulap powtórnie, pomedytował trochę, zaglądnął do drukowanej instrukcyi, i nareszcie przeczytał komisyi któryś paragraf, gdzie wyraźnie powiedziane było, że przełamanie deski piersiowej zwalnia żołnierza od wszelkich obowiązków czynnej służby, że przeto powinienem być przyłączony do inwalidnej komendy i kategoryi niefrontowych. Tak więc, 21 lat

temu wyrządzona krzywda przez mamkę, teraz stała się jedyną i wyłączną obroną od niechybnej śmierci, jaka mię czekała w pochodzie. — Odetchnąłem swobodniej i wyszedłem z sali komisyjnej, aby się coprędzej pochwalić przed kolegami, że dopiąłem swego.

Batalion wyruszył, a ja i kilku innych jeszcze słabszych oddani byliśmy do inwalidnej komendy, pod zarząd tego samego majora Nagibina, który mię z początku protegował. Majora wówczas nie było w Omsku, wyjechał bowiem na objazd etapnych komend, zostających pod jego zwierzchnictwem; feldfebel zaś, nie wiedząc jakiej kategoryi ja jestem inwalidem, przeznaczył mię wraz z innymi do służby frontowej, więc znów z karabinem na wartę, podobnie jak w pierwszym roku służby w batalionie, chodzić musiałem.

Zdarzyło się pewnego dnia, że, o przeznaczeniu mojem na wartę nic nie wiedząc, wyszedłem z koszar i wróciłem dopiero po południu, kiedy komenda już dawno posterunek zajęła. Coprędzej więc wdziałem amunicyę i pospieszyłem na wskazane miejsce. Podoficer, naczelnik *karaułu* (warty), pijany już natenczas jak bela, korzystając ze stanowiska jakie zajmował, a mając widać szczególne upodobanie w moskiewskiem krasomówstwie, za moje opóźnienie się złajał mię od ostatnich wyrazów, tak, że i *moszennik* i *skotina* i *padlèc* i *drjań palaczyszka*, i wiele innych ładnych rzeczy tam było. Wielką miałem ochotę zetrzeć hundewota na miazgę, ale niestety, najprzód czułem swoją niemoc wobec silnego draba i kilkunastu przy nim na rozkazy jego powolnych żołnierzy, i zresztą poratowała mię roztropność, wiedziałem bowiem, że jakiekolwiek słówko, zdradzające niesubordynacyę w czasie służby, ściąga na mnie karę wojenną, i pozbawia już na zawsze możności doczekania się amnestyi, a więc i powrotu do kraju. Ta ostatnia myśl natchnęła mię taką powściągliwością, że cały czas moralnego znęcania się nade mną tej bestyi, stałem jak głuchoniemy, a dopiero gdy skończył, prosiłem obecnych żołnierzy, aby zatrzymali sobie w pamięci te wyrazy, jakiemi mię pan naczelnik utraktować raczył, i aby w razie potrzeby stanęli na świadków. Tymczasem jednak sta-

nałem w dodatku na 6 godzin warty bez zmiany, bo taki był wyrok pana podoficera.

Komendant Nagibin powrócił zaledwie w kilka tygodni, kiedy już na dobre stałem się inwalidem, już wszystkie miejsca warty, przeznaczone dla tej komendy, były mi dobrze znane, już między żołnierzami byłem jak w domu. Przypomniał mnie sobie zaraz poczciwy majorzysko, a ja zaraz mu opowiedziałem przygodę z pijanym podoficerem, który natychmiast, bez żadnych sprawdzań, dostał się na 2 tygodnie do karceru, na chleb i wodę. Mnie zaś, jako niefrontowego żołnierza, z którym nie było co lepszego zrobić w komendzie, wziął do swojej kancelaryi na pisarza.

Wtedy wszystko już poszło inaczej. Najprzód pan major zbudował dla mnie w koszarach *kojku*, tj. przeforsztował część sali na oddzielny pokoiczek z drzwiami i zameczkiem, wykleił wewnątrz tapetami, do moich mebli, łóżka i szafki żołnierskiej dodał parę krzeseł, stół, kufer i komódkę, pożyczył mi swój własny samowarek i inne drobiazgi, dał nawet herbaty i cukru, słowem tak się mną zaopiekował jak rodzony ojciec; i całą swoją kancelaryę, która się mieściła tuż obok mojej kojki, oddał pod mój zarząd, jako już wyrobionego pisarza sztabu. W kancelaryi miałem stół biurowy obok jego stołu, tak że nie podnosząc się nawet z krzesła mogłem mu podawać i brać od niego papiery, a wszystko, com kiedy zaproponował, poczciwy major podpisywał bez kwestyi, działo się więc wszystko w biurze tak jak ja chciałem. Wskutek tego respekt u żołnierzy, ba, nawet u feldfebla, miałem ogromny, bo p. major często i do kojki mojej zaglądał, pił czasem nawet u mnie herbatę, czego żołnierze przedtem nigdy nie widzieli i wyobrazić sobie nawet nic podobnego nie mogli. Feldfebel musiał mi zatem codziennie raportować o *narjadie*, tj. kogo gdzie przeznacza na wartę, *artielszczyk* (ekonom) meldował o obiedzie, pieczeniu chleba i innych operacyach gospodarczych, *zakrojszczyk* (krawczarz) donosił o stanie szwalni, a oficerowie nawet, których kilku było przy komendzie, mając jakąś ważniejszą kwestyę do przedstawienia majorowi, robili to zwykle przeze mnie, pewni będąc, że jeżeli ja na co przystanę,

to i p. major niezawodnie zaakceptuje. Wielką więc rolę wypadło mi grać w inwalidnej komendzie, a tem większą to mi robiło przyjemność, że żołnierze bez żadnej zawiści lub niechęci do mnie, lecz przeciwnie z pewną sympatyą nazywali mię: *nasz komandìr* (nasz dowódca), a właściwego dowódcę Nagibina przezwali *nasz dièduszka* (nasz dziadunio).

Dièduszka dla podoficera, który mię skrzywdził na warcie, był nieubłagany, i pomimo moich szczerych próśb, ani dnia od dwóch tygodni aresztu nie zwolnił, i najsrożej zakazał dawać mu coś innego jak chleb i wodę; ja jeden tylko odważałem się nosić mu sekretnie mięso, tytoń i inne rzeczy, aby osłodzić jego biedę, i tem nietylko u aresztowanego, ale i u całej komendy, na wielki mir zasłużyłem sobie; już nie *drjań palaczyszka*, ale *czestnyj palàk* (szlachetny Polak) było moim przydomkiem w ustach ukaranego podoficera, a na dowód serdecznej skruchy za wyrządzoną mi krzywdę, poprzysiągł, że wódki pić nie będzie, aby go powtórnie w podobną biedę nie wprowadziła, i rzeczywiście nie pił już więcej.

Jeszcze miałem jedną podobną satysfakcyę za czasu mojej bytności w inwalidnej komendzie. Major Nagibin, w czasie inspekcyi etapnych komend, znalazł jakieś wielkie nieporządki i nadużycia w tiukalińskiej komendzie, za co naczelnika tej komendy przedstawił do usunięcia z posady. Nie wiedziałem nic o tem do czasu, aż porucznik tamtejszy Bakłanów przybył do Omska, jako przykomenderowany do inwalidnej komendy, czyli na rozporządzenie majora Nagibina. O zajściu naszem w Tiukalinie w czasie mojej podróży do Omska jużem był zapomniał, bo tyle było podobnych scen jednej natury w naszej drodze, że zachowywać je w pamięci byłoby niepotrzebną fatygą. Gdy jednak Bakłanów wszedł do kancelaryi, fizyognomia jego zaraz mi uprzytomniła przeszło dwa lata temu otrzymaną połajankę i obietnicę zakucia w kajdany; ale teraz, choć ja żołnierz bez żadnej naszywki, a on pan porucznik, czułem się jednak silniejszym od niego i czekałem tylko na sposobność, aby mu to dać poznać. Sposobność ta zaraz się nastręczyła; Bakłanów bowiem, mając dużo rozmaitych próśb do majora, a nie będąc dość śmiałym

i pewnym łaskawego przyjęcia, już przed przybyciem do biura informował się u swoich kolegów oficerów, jakiemiby drogami łatwiej mógł trafić do względów naczelnika, i ci zaraz mu powiedzieli, że pisarz Polak, który siedzi w kancelaryi obok stołu majora, wszystko mu zrobi, jeżeli się do niego uda. Jeszcze więc w progu będąc, już szukał Bakłanów owego stołu obok stołu majora, i owego pisarza, który przy nim siedział; zaraz więc spojrzeliśmy na siebie i zaraz miałem go już w ręku. Podszedłszy ukłonił się, chociaż to nie było w modzie u panów oficerów względem żołnierza; ja podniosłem się z krzesła, a on zarekomendował się, że jest porucznikiem Bakłanowem. „Przypominam sobie pana porucznika — odezwałem się do niego — z czasu podróży mojej do Omska przed dwoma laty, i zdaje mi się, pan mnie także pamięta; nazywam się Kr., ten sam, którego pan chciał zakuć w kajdany". Poczerwieniał biedaczysko, wyciągnął rękę i wyszeptał: *prastìtie* (przebaczcie).

Tego mi już było dość; przystawiłem mu krzesło, prosiłem siadać i opowiedzieć, czego ode mnie żąda obecnie? Opowiedział mi więc wszystko kategorycznie i otwarcie, a nie licząc nic na majora, który go przyjąć nawet nie raczył, gdy się chciał zameldować u niego w domu, zdał całą sprawę na mnie, niepewny jednak, czy zechcę mu dopomódz, ponieważ słuszne miałem prawo mieć żal za krzywdę, wyrządzoną przed dwoma laty.

W godzinę później, w jego oczach, major przedstawienie moje, poparte gorącem wstawiennictwem, nie bez zżymania się przyjął, i tym sposobem nowego zjednałem sobie stronnika, *zakadyczнawo druha* (najszczerszego przyjaciela), jakim pan Bakłanów odtąd pozostawał.

Bardzo było mi dobrze, pod każdym względem, w inwalidnej komendzie, pod opieką starego majora. Przeciążać się biurową robotą nie potrzebowałem, wolny byłem od wszelkich reguł zwyczajnego żołnierza, żywili mię po oficersku; major, pod pozorem niby korzystnej dla niego służby mojej w kancelaryi, dostarczał wszystkiego, co nie było w karcie żywności żołnierskiej, a co uważał dla mnie za niezbędne, tak że cierpliwiej już mogłem czekać na zmianę losu, która pożądaną jednak była, bądź co

bądź bowiem byłem żołnierzem, w grubym szynelu, bez towarzystwa, mieszkaniec koszar, kolega i przyjaciel ruskiego sołdafona. — Niedługo na tę zmianę czekałem w komendzie. Jeszcze rok mojej inwalidności nie upłynął, kiedy razu pewnego, popijając *czajòk* z kolegami, spostrzegliśmy przejeżdżający pod oknem mojej kojki znany w całym Omsku z elegancyi i przepychu powóz, parą dzielnych gniadych ogierów zaprzężony, a na koźle lokaj w liberyi i białych rękawiczkach dysponował woźnicy, aby się zatrzymał przed gankiem koszar naszej komendy. Za chwilę ten sam lokaj wprowadzony został przez żołnierza do mojej kojki i oznajmił mi, że państwo Krupienikowie (ich to właśnie był powóz) proszą, abym zaraz przysłanym powozem przyjechał do nich. Co to miało znaczyć, zrozumieć nie mogłem. Ja, prosty żołnierz, do tego jeszcze inwalida, więc żołnierz najpośledniejszej kategoryi, mam jechać powozem do pierwszego po jenerał-gubernatorze dygnitarza Syberyi! Po co? Co może być za stosunek pomiędzy nami? Chyba może się p. Krupieników dowiedział skąd o mojem *ministierskom pòczerkie*, i chce mi dać co do przepisania, bo innego już nic przypuścić nie mogłem.

— Ale niech wielmożny pan będzie łaskaw pospieszyć, bo moi państwo czekają na pana z obiadem — odzywa się lokaj, widząc moje zakłopotanie.

Mój Boże, pomyślałem sobie, czego ten człowiek chce ode mnie, po co on wyrywa mię z żołnierskiej skorupy, którą od trzech lat noszę, do której zapewne powrócić mi zaraz wypadnie. Dobrze, że p. Krupieników utrzymuje polską służbę i ty jesteś wytrawnym lokajem, ale ja wielmożnym panem nie jestem wcale, jam prosty żołnierz, gorszy nawet od zwyczajnego sołdata, bo żołnierz skazany, więc bez żadnego prawa do jakiegokolwiek odszczególnienia; a że twemu państwu podobało się kazać mi do siebie przyjechać, to w tem jest coś dla mnie niepojętego; może to jaka omyłka, po co ty drwisz sobie ze mnie — myślałem sobie.

— Ja na wielmożnego pana czekam przy powozie — dodał po chwili nieznośny lokaisko, i wyszedł.

Czy szatan go judzi! czego oni wszyscy razem chcą ode

mnie? sarknąłem raz jeszcze, ale chcąc niechcąc, zbierać się musiałem, bo kto go tam wie, coby się stać mogło, gdybym się poważył odmówić. Włożyłem więc calszy mundur, okryłem się szynelem i wyszedłem z kojki, zostawiając kolegów w niezwykłem zdziwieniu i prawie trwodze o mnie. Lokaj otworzył drzwiczki powozu, uczułem jego rękę pod swoim lewym łokciem gdy mię podsadzał, zatrzasnął drzwiczki, sam wskoczył na kozioł, i ogiery parskając ruszyły jak wicher.

Czułem, jak śmiesznie wyglądam w powozie z wytartemi łokciami sołdackiego szynela; irytowali mię przechodnie, z których każdy widział, że nie jadę, lecz że mię wiozą; a co mię tam czeka, po co wołają, co mam rozumieć pod obiadem, o którym lokaj wspominał, nic nie wiedziałem; wszystko to jednak tak było ciężkie i przykre, że byłbym z pewnością wyskoczył z powozu, gdyby już nie było za późno. Waryaty konie błyskawicą przemknęły znaczną dość przestrzeń i w całym pędzie, zwyczajem tamtejszych wiatrogonów, jak wryte stanęły przed gankiem dużego drewnianego domu przy ulicy Szerokiej. Nadomiar utrapienia mego, lokaj i tu z całą ostentacyą wysadził mię z powozu, krzyknął na stangreta: „do stajni“, a sam, postępując o pół kroku za mną, wyciągniętą z poza ramienia mego prawą swą ręką wskazywał drogę. Przeszliśmy tak długi oszklony korytarz, nareszcie lokaj pociągnął za dzwonek, drzwi się otworzyły i w przedpokoju ujrzałem „jaśnie pana“ z wyciągniętą już do przywitania ręką.

— Serdecznie witam pana, panie Kr., — doskonałą polszczyzną odezwał się p. Krupieników — nic nie wiedziałem o tem, że tak blizki sercu memu człowiek przebywa w Omsku, i już podobno około trzech lat, wszak prawda?

— Tak jest, — odpowiedziałem — około trzech lat temu, dzięki wstawiennictwu pana dobrodzieja do jenerał-gubernatora, jestem nie w Akmołłach, lecz tu; ale, gdyby mię kto zabił, nie mogłem się domyśleć, dlaczego ja miałem być „blizki sercu“ pana Krupienikowa.

— Więc to ja pana wyprotegowałem na żołnierza omskich a nie stepowych batalionów? tem lepiej; chodźże teraz, przed-

stawię pana mojej żonie, a później coś panu pokażę — i wziąwszy pod rękę, pociągnął mię do dalszych pokojów.

Musiałem ładnie wyglądać w sołdackich butach, na jedną nogę zwykle robionych, i samodziałowym mundurze, na froterowanej posadzce salonów państwa Krupieników. Gorąco mi się robiło od tej ślizgawki; już mi się zdało, że niema mieszkań nad żołnierskie koszary, że tam daleko przyjemniej i ładniej; jużbym był się cofnął, bo mi jakoś dziwnie niezręcznie było przeglądać się całą osobą w lustrowych ścianach pańskich apartamentów; ale pan Krupieników, wcale nie rozumiejąc stanu mojego ducha, bez miłosierdzia ciągnął za sobą. Nie było rady, trzeba było iść dalej.

— Oto masz tego „Jurka", o którym przed chwilą rozmawialiśmy tyle, — przedstawiając mię żonie swojej, powiedział p. Krupieników po rosyjsku — przyjm i kochaj go jak syna.

I znów mię tem w nowe wprawił zdumienie; „przyjm i kochaj jak syna" — skąd? za co? — myślę sobie.

Pocałowałem w rączkę panią Krupieników, co mi wcale nieprzyjemnem nie było, bo pani Krupienikowa była młodziutka i bardzo nieszpetna kobietka; ona, zwyczajem swoim, pocałowała mię w głowę, i znajomość już była zaczęta. Usadowiłem się przy niej na aksamitnym fotelu, ale leciutko, aby się aksamit nie bardzo wycierał o moje żołnierskie ubranie, a pan Krupieników wyszedł do dalszych pokojów.

— Przygotuj się pan na przyjemną siurpryzę, która zaraz pana ma spotkać — słodziutkim, iście anielskim głosem odezwała się pani Krupienikowa; — a ja bardzo szczęśliwa jestem, że to w naszym domu panu się przytrafia — dodała.

Jeszcze nie miałem czasu okazać, że się niczego domyśleć nie mogę, gdy z sąsiednich pokojów zaczęło się ku nam zbliżać kilka osób. Obróciłem się ku nim, i o dziwy! ujrzałem rodzonego brata mojej matki, kochanego niegdyś wujaszka Nemezego, jego żonę i dwoje malutkich dzieci. — Skąd? co? jak? rzuciło się naraz tyle pytań, że nawet uściskać się serdecznie nie było czasu. — Wszak nie zesłani, bo wtedy już wygnańcy nasi nie przybywali, i zresztą wujostwo mieszkali przez czas powstania

w Petersburgu, z dala od powodów zaplątania się w polityczną kabałę. I skąd zresztą znajomość z Krupienikowem?

Wyjaśniło się więc pomału, gdyśmy wszyscy przyszli do siebie z chwilowej burzy rozmaitych uczuć, że wuj Nemezy z Arkadjem Pawłowiczem (tak się w potocznej rozmowie nazywało Krupienikowa) kolegowali w czasie służby obu przy gubernatorze grodzieńskim, że byli wtedy w serdecznej przyjaźni, że wuj dostał teraz posadę we wschodniej Syberyi, dokąd właśnie przejeżdża, a wiedząc, że Arkadij Pawłowicz mieszka w Omsku, zajechał do niego; z racyi zaś mego znajdowania się tamże, zamierza w Omsku przebyć dni kilka. — Tym sposobem poznajomiłem się z dygnitarzem zachodniej Syberyi, przed którym wszystko, oprócz jedynie osoby samego jenerał-gubernatora, drżało, bo prawie jedyny uczciwy, a możny przez wpływ na najwyższą władzę urzędnik, srogo karał wszelkie nadużycia innych władz, i wymierzał sprawiedliwość pokrzywdzonym bez względu na stan ich lub pochodzenie. Gubernatorowie bali się go jak ognia, każda bowiem rewizya ich czynności, każde ważniejsze śledztwo, poruczane zwykle Krupienikowi, wykrywało bezprawia, za które p. gubernator karany bywał tak, jak Krupieników zdecydował, a karać wszelkie bezprawia lubił, i umiał dotkliwie. Jedną z cech jego charakteru było, że przyjaźń uważał za stosunek równoprawny z najbliższem pokrewieństwem; nietylko więc z samym przyjacielem lub przyjaciółką bywał zwykle na stopie serdecznego pokrewieństwa, ale i całe rodziny jego przyjaciół, chociażby mu wcale nieznane, uważał już za swoich blizkich, i niejako poczuwał się względem nich do pewnych obowiązków. Dlatego więc i mnie, jako krewnego jego przyjaciela, na wstępie nazwał „blizkim sercu“ i żonie kazał „przyjąć i kochać jak syna“.

Żona dziwnie harmonizowała z nim w tych szlachetnych popędach serca, jakkolwiek była rodowitą Moskiewką, a raczej Sybiraczką. To też w przeciągu kilku dni, stałem się u nich jakby członkiem własnej ich rodziny. Niezależność i mocne stanowisko p. Krupienikowa, pozwalały mu nie zważać na to, że ja byłem nienawistnym dla wszelkich rządowych figur, szcze-

gólnie hierarchii wojskowej, których u niego pełen dom był zawsze, i które bardzo z ukosa patrzały na mnie. Każdemu z tych panów, chociażby najwyższej rangi, chociażby jenerałowi, który pierwszy raz mię tam widział, przedstawiał jako swego przyjaciela, sadzał obok siebie i wszelkie oddawał honory na równi z tym panem, aby żadnej nie pokazać między nami różnicy, jakkolwiek mundur jeneralski od munduru prostego żołnierza, do tego zesłańca, różnił się bardzo. To mu nic nie przeszkadzało, owszem, jeżeli wiedział o którym, że jest zajadlejszym polakożercą, tem więcej okazywał dla mnie przy nim względów, i śmiał się później do rozpuku, że takiemu jegomościowi wypadło być grzecznym dla tego, którego gdziekolwiek w innem miejscu kopnąłby nogą.

Po wyjeździe wuja Nemezego z Omska, opuściłem już moją kojkę w koszarach inwalidzkiej komendy, a przeniosłem się do ślicznej willi Arkadjego Pawłowicza, za Omskiem położonej, nibyto pod pretekstem poratowania zdrowia, ale właściwie dlatego, abym i na zdrowiu korzystając, zajął się uczeniem dzieci jego siostry, pani Ochrymowicz, która tam mieszkała z mężem i rodziną, a których dobry brat Arkadyusz sprowadził z Grodna i dał szwagrowi posadę naczelnika stołu w głównym zarządzie zachodniej Syberyi.

(C. d. n.).

Jerzy Kraskowski.

TRZECI WIECZÓR NAD LEMANEM.

Trzeciego wieczora nikogo nie brakowało na naszem zebraniu. Kółko nasze zaczynało się widocznie konsolidować.

Ale brakowało światła! Cały dzień był dżdżysty; w chwili obiadu już nie padało, ale całe niebo było zaciągnięte; powietrze szare, nieprzeźroczyste; jezioro, z brzegu ciemno-sine, w dali mieszało się chaotycznie z mroczną atmosferą. Zamiast pięknych gór na widnokręgu okazywały się we mgle ich widma — zbliżone a niewyraźne. — Rozumie się, że i humor gości był mniej wesoło nastrojony, według tego ogólnego prawa: że siła wesołości mieszkańców tej planety, jest w stosunku prostym do ilości światła, jaką od słońca otrzymują.

Bielski nawet, obawiając się chłodu, usunął się do pokoju przed końcem obiadu. Deville zaś opowiadał przy stole szczegóły tragicznego wypadku, który się przeszłej nocy zdarzył w Lozannie. Ubogi jakiś chłopak kilkunastoletni zakradał się po gzymzie do cudzego okna; spadł z wysokości kilku piątr i zabił się na miejscu. Miss Wilson bardzo się nad tym okazem materyalnej i moralnej nędzy ludzkiej rozczulała.

Wtem zabrał głos Siemionow.

— P. Hainberg był tak dobry powtórzyć mi szczegółowo wczorajszą dyskusyę państwa. Otóż — przyznam panom otwarcie — nie tak bardzo żałuję, że nie wziąłem w niej udziału. Nie znaczy to, żebym coś miał do zarzucenia roztaczanym wczoraj

poglądom; — broń Boże! Ale nie znajduję w nich interesu. Czy się nauka z religią godzi lub nie godzi — to jest rzecz, w mojem przekonaniu, bardzo podrzędna. Jedna, a może i druga jest jeszcze *im Werden;* zanim dojdą do kresu (jeżeli wogóle dojdą), sto razy mogą się jeszcze pokłócić i pogodzić. Jedna jest tylko głęboka i nieprzemijająca trudność w pogodzeniu rozumu z religią — a tejście państwo nie dotknęli: że Bóg ma być dobry — innego Boga czcić, ani nawet pojąć nie możemy — a tymczasem świat, który z jego ręki wyszedł, jest zły.

KSIĄDZ.

Ta trudność może nietylko w rozumie, ale więcej jeszcze w sercu siedzi.

SIEMIONOW.

Być może. Ale to ją tylko potęguje. Wierzcie mi panowie, że nie w kwestyjkach naukowych, ale w wielkiej kwestyi zła tkwi przyczyna, która najwięcej ludzi, bądź niewierzących, bądź wątpiących, od religii oddala.

Do czegóż, proszę, podobna jest ta najbliższa, najzrozumialsza nam część świata: ta ludzkość pełzająca po tej planecie?— W jej przeszłości, barbarzyństwo graniczące z dzikością; hordy polują jedne na drugie, jak drapieżne zwierzęta; religie srogie jak zmory, ołtarze krwią ludzką zbryzgane. Tu i ówdzie próby cywilizacyi, które wyrafinowują tylko okrucieństwo, mnożą stan niewolniczy, do rozpaczy uciskają zdzierstwami satrapów... Głosy starożytności, które do nas doszły w pomnikach piśmiennictwa i sztuki, to są głosy tej cieniutkiej zwierzchniej warstwy, która mogła się bawić. I te jeszcze głosy, przy amforze falernu, nuciły sobie z szubienicznym humorem:

Eheu fugaces, Posthume, Posthume,
Labuntur anni! Non pietas moram
Rugis et instanti senectae
Afferet indomitaeque morti...
Visendus ater flumine languido
Cocitus errans i t. d.

A pod tą zwierzchnią warstwą, całe życie starożytnej ludzkości, to był jeden przeciągły, straszny jęk.

A dzisiaj, po wprowadzeniu chrystyanizmu, po rozwoju intenzywnym i ekstenzywnym cywilizacyi — czy lepiej na świecie? Ot, w tej wielkiej świętej Rosyi miliony ludzi czysty chleb za rzadki uważają specyał — a i otrębów nie mają do sytości. I na Zachodzie nie muszą być syci, kiedy się o chleb waśnią i mordują. Cywilizacya prędszym tempem mnoży potrzeby, niż je zaspokaja; a odbiera wiarę w niebo, która przygłusza bóle ludu rosyjskiego. Darmo ekonomiści z cyframi na papierze wykazują, że robotnik dziś więcej zarabia niż przed stu laty. W te cyfry zapomnieli wciągnąć napięcie rozbudzonych w nim całym żądz, od żołądka aż do mózgu, i ilości goryczy nagromadzonej w jego sercu. Obrazki z życia robotników i ziemian, rylcem Zoli rytowane, przerzucają myśl do jaskiń przedhistorycznych troglodytów. — A kiedy się tak dzieje w Europie, pomyślcie państwo, co się współcześnie dzieje w innych częściach świata: tyrania władców a miliony śmierci głodowych w Azyi, razzye i pochody skutych niewolników w Afryce, barbarzyńskie okrucieństwa trapperów w Ameryce, po wyspach...

Są to, powiecie mi, bóle, które nie każdego bolą. Istotnie dotykają one, jak wspomniałem, ogromną większość rodu ludzkiego. Ale są i takie, które nikomu nie przepuszczają. Choćby nic innego nie było do ścierpienia, tylko ta nieunikniona, okrutna śmierć; czyhająca dzień i noc na każdego; zapowiadająca się długo naprzód katowniami chorób; ścinająca niemiłosiernie dokoła najdroższe człowiekowi egzystencye; straszącа człowieka nietylko grozą ostatniego spazmu, ale większą jeszcze grozą tajemnicy zagrobowej; a wkońcu pogrążająca wszystko, wszystko co się zrobiło i kochało i marzyło, w nicości; — czyby to jedno nie starczyło, aby zrobić z życia ludzkiego niedorzeczność, okrutny żart?... Dantejski napis z bramy piekła powinien być przeniesiony na same wrota życia, na kolebkę:

Lasciate ogni speranza, voi ch'entrate.

Gdyby jeszcze ta biedna ludzkość była tylko nieszczęśliwą! Ale ona jest złą, brudną, występną, pełną zbrodni bez liczby

i bez nazwy, których ani wspominać nie chcę, pełną, nawet w swych niby oświeceńszych punktach, czarnej obłudy, zazdrości, egoizmu, fałszu — a przeto jest jeszcze stokroć nieszczęśliwszą.

I taką ludzkość mam sobie wystawić jako kreacyę dobrego Boga?! Mam w to wierzyć?!...

LEROY.

Jest to doprawdy zagadka, która dręczy wiele szlachetnych serc. Podobnie ją formułował przed pół wiekiem poeta serca ludzkiego, Musset, w swej wyzywającej modlitwie, którą nazwał *Espoir en Dieu* — a która mi żywo utkwiła w pamięci:

O Ty, którego nikt poznać nie zdołał —
Ani się może bez kłamstwa zapierać —
Powiedz, Ty coś mię do życia powołał
I który jutro każesz mi umierać,
. . . . . .
Powiedz, dlaczego, o najwyższy Panie,
Na świecie, który wszechmoc twoja stwarza,
Taki jest ogrom zła, że patrząc na nie
Rozum się wzdryga i cnota przeraża?

Gdy stworzeń twoich całe krocie kroci
Bóstwu twojemu pieją hymn wesela
I o miłości, potędze, dobroci
Świadczą swojego Ojca-Stworzyciela —

Czemu ohyda na świecie się szerzy
I twej światłości blaski święte brudzi,
Tak, że aż stygnąć musi szept pacierzy
Na zbladłych wargach nieszczęśliwych ludzi?

Czemu żywioły sprzeczne się szamocą?
Skąd zamęt w twoim niebiańskim wszechtworze?
Po co jest zbrodnia, i zaraza po co?
I po co śmierć jest, sprawiedliwy Boże?

Jakże litować musiałeś się wtedy,
Ty niepojęty władco wszego losu,
Gdy ten przedziwny świat a pełen biedy
Płacząc wychodził z odmętów chaosu!

Jeżeli chciałeś, by na losów fali
Ciągle się miotał wśród cierpień i złości,
Czemuś dopuścił mu, żeby z oddali
Nieszczęsny dojrzał Cię w nieskończoności?

Czemuś pozwolił, by nędzne stworzenie
O Bogu śniło, Boga zgadywało?
Ziemię dokoła pustoszy wątpienie.
Widzimy nazbyt wiele — lub za mało.

Jeśliśmy, twory liche i wzgardzone,
Niegodni w twoje spoglądać oblicze,
Trzeba Ci było wziąć na się zasłonę,
Skryć się w przyrody głębie tajemnicze —

Jeśli głos naszych modlitw i męczarni
Nie sięga przed twój Majestat daleki,
To się w swój ogrom samotny ogarnij!
A nieskończoność swą zamknij na wieki.

Ale jeżeli mogą nasze jęki
Wznieść się tam w górę, aż przed tron twój Boży,
Jeżeli naszych dusz zranionych męki
Dochodzą czasem do wiecznych przestworzy,

Skrusz to sklepienie, co Cię kryje w niebie,
Kędy wzrok ziemski dosięgnąć nie może,
Podnieś zasłony — i pokaż nam siebie,
Ty sprawiedliwy i Ty dobry Boże!

Wtedy zobaczysz, jak ogarnie ziemię
Wiara w płomieniach miłości rozgrzana!
Wtedy w zachwycie całe ludzkie plemię
Padnie przed Tobą, Panie, na kolana!

A te gryzące łzy, które potokiem
Nieustającym płyną z ludzkich oczu,
Lotnym natychmiast wzniosą się obłokiem,
By się w niebiańskiem rozpłynąć przeźroczu.

. . . . . .

MISS WILSON.

W bardzo ponurem świetle wystawiacie Boga, panowie. A Bóg nie jest taki... Być może, że ludzkość zrobiła się szpetną — ale przynajmniej natura, którą Pan Bóg zrobił, jest piękna.

SIEMIONOW.

Tak się Pani wydaje; tak się zdaje nam wszystkim, kiedy patrzymy na nią po wierzchu. Widzimy piękny kobierzec zieloności, nacentkowany stubarwnemi kwiatami, poprzerzynany kryształami wód. Dolatują nas niemal wyłącznie wesołe dźwięki

i świergoty. Co nam w oczy wpada ze zwierzęcego życia: i ptaszki co wzlatują ku niebu, i rybki co się pluskają w wodzie, i bydełko co się w dali pasie — to wszystko nam robi wrażenie swobody i pokoju. A na to wszystko spływa jeszcze czar słońca, który nawet kamieniom daje pozór życia i wesela. Ale to wszystko jest kłamstwem, ułudą, szychowym płaszczem, którym ta zwodnicza natura ukrywa swą nędzę. Gdy z pomocą nauki wnikamy w głąb jej ustroju i w tajniki jej życia, spostrzegamy z przerażeniem, że na spodzie nic innego niema — tylko cierpienie. Walka zacięta, pełna zdrad i okrucieństw, toczy się nieustannie między wszystkiemi tworami. Głód i strach, to są dwa główne motory świata zwierzęcego. A nawet rośliny, pozornie tak ciche, walczą między sobą o miejsce, o powietrze i światło; duszą się, żywcem wysysują — i zapewnie głucho to męczenie się odczuwają. I tak, pod powłoką wesela, cała natura jest jedną wielką katożnią.

MISS WILSON.

Nie! tak być nie może. Ten pogląd na naturę musi być przesadzony. Gdyby było w naturze więcej cierpienia niż radości życia, toby świat się niszczył — i dawnoby już był przestał istnieć.

KSIĄDZ.

To powiedzenie panny Wilson jest bardzo filozoficzne. Zło, w świetle metafizyki, niczem innem nie jest, tylko ujmą, uszczerbkiem jakiegoś przymiotu lub stanu dobrego, tj. wymaganego przez pewną istotę; a cierpienie jest tylko uświadomieniem tego uszczerbku czyli braku u istot świadomości zdolnych. Więc ani pomyśleć się nie da, żeby zło wogóle przeważało dobro: bo brak nie może iść dalej jak do wyczerpnięcia tego co jest — dalej byłaby nicość.

LEROY.

Tak może mówi metafizyka, ale doświadczenie mówi inaczej; zupełnie, niestety, w sensie p. Siemionowa przemawia.

MISS WILSON.

Pan Siemionow wybiera z natury jedynie chwile walki, krzyki boleści, i z nich wiąże swój bukiet. Ale przecież więcej, nierównie więcej jest chwil w istnieniu zwierząt, kiedy się cieszą życiem, kiedy jedzą lub są nasycone, kiedy używają słońca, igrają, stroją się, cieszą swem gniazdkiem i pisklętami. A jeśli drzewa i trawki czują gniecenie sąsiadów — o czem pierwszy raz słyszę — to pewnie też mile odczuwają zdrowe soki co w nich nurtują, i karesy światła ku którym tak ładnie się wspinają. — Gdyby nie było więcej w naturze radości życia, niż jest cierpienia, to skądżeby natura powierzchownie wyglądała wesoło? Te objawy na powierzchni muszą przecież z wnętrza pochodzić.

SIEMIONOW.

Nie będę się z Panią o to sprzeczał, czego w naturze więcej: cierpienia czy radości; na każdy ciemny obraz, jakibym skreślił, Pani zawsze potrafi, jak widzę, rzucić dużo wesołych i piękniejszych obrazków; o miarę zaś przedmiotową w tej materyi trudno. Stawiam więc tylko ogólne pytanie: czemu, za co jest w naturze cierpienie?

HAINBERG.

Cierpienie w naturze jest potrzebą i dobrodziejstwem. Istoty obdarzone świadomością, tem samem przeznaczone są do pewnej autonomii i samodzielności; same muszą się starać o swoje życie i o zachowanie gatunku. Inaczej dane im czucie i towarzysząca mu ruchliwość nie miałyby racyi bytu. Otóż czucie ich jest i musiało być tak zorganizowane, żeby przedmioty im pożyteczne, oraz funkcye zdrowe pociągały je wrażeniem przyjemnem, a przeciwnie przedmioty wrogie i uszkodzenia ciała sprawiały wrażenie przykre, naglące do unikania takich rzeczy lub zaradzenia złemu. Proszę pomyśleć zwierzę, któremuby głód nie przypominał organicznej potrzeby karmienia się, ani zmęczenie potrzeby wypoczynku, któregoby nie ostrzegał ból o zranieniu jakiegoś członka. Czyby takie zwierzę nie wyczerpało w najkrótszym czasie zasobu swych sił żywotnych i nie zdarło

po krzakach do ostatniego kawałka swego ciała? Jeżeli zaś zechcemy wyobrazić sobie takie zwierzę, karmione i strzeżone przez matkę-naturę, bez samodzielności własnej, to będziemy mieli jakieś brzydkie i bezcelowe tuczenie, a nie zwierzęce życie. Zdolność więc cierpienia jest dodatnia i niezbędna. Wysoki dar czucia wymaga łącznie dwóch biegunów: przyjemności i cierpienia; — inaczej zrealizować się nie może.

Przyjemności, jak dobrze odgadła miss Wilson, musi być więcej w naturze niż cierpienia, bo funkcye zdrowe są stanem normalnym; przeciwne, wyjątkiem. Życie jest trwaniem mniej lub więcej długiem, śmierć jest chwilą. Trzeba przytem wiedzieć, że zwierzęta pod każdym względem nierównie mniej cierpią niż my ludzie. Nawet fizyczne cierpienie u nich jest głuchsze, bo system nerwowy jest wogóle mniej rozwinięty i wydelikacony. Niższe gatunki tak mało cierpienia są zdolne, że nie rzadko widzieć owada nawpół zgryzionego w żuchwach swego prześladowcy, albo przekłutego szpilką, a mimo to z apetytem spożywającego pokarm, który natrafił. Cierpień zaś moralnych, które są najgorsze, i które u nas potęgują nawet każde cierpienie fizyczne i antycypują je długo naprzód — zwierzęta wcale nie znają; nie przewidują śmierci, ani boją się jej następstw; nie znają długich chorób, zgrzybiałej starości. To są luksusy cierpienia, których tylko my ludzie możemy sobie pozwolić, przedłużając tysiącznemi sztukami podcięte życia. Na łonie wolnej natury, skoro siły zwierzęcia opadają, zaraz dybiące na nie wrogie czynniki życie mu odbierają — aby ta sama materya pod inną formą odmłodniałe wiodła dalej życie. *Corruptio unius est generatio alterius.*

SIEMIONOW.

A czemuż to my ludzie jesteśmy tak wyjątkowo uprzywilejowani w naturze, że walą się na nas wszelkie cierpienia: i moralne i fizyczne zdwojone?

HAINBERG.

Najpierw sądzę, że żałosny obraz ludzkości, któryś pan skreślił, jest czarniejszy od rzeczywistości. Powiedziałbym o nim to

samo co miss Wilson o obrazie natury: wziąłeś pan pewne rysy prawdziwe, ale pominąłeś rysy przeciwne, które przecież istnieją i nadają całości zupełnie inny wygląd. Łatwobym mógł wyliczyć długi szereg tych stron dodatnich: uczciwości, dobrych czynów, cnót i radości rodzinnych i t. p., aby pokryć wrażenie sprawione przez pańskie wyliczenie; ale poprzestaję na skonstatowaniu, że przedmiotowo te strony dodatnie muszą do pewnego stopnia pokrywać ujemne, skoro zaprzeczyć się nie da, że dobro i prawość jest, niemniej jak zdrowie, stanem normalnym, zwyczajnym. Czemu obruszają się ludzie gdy spotykają u drugich złą wiarę — jeżeli nie dlatego, że zwyczajnie dobrą wiarę znajdują? Czemu poszukują pożycia z drugimi ludźmi — jeśli nie znajdują w niem bezpieczeństwa i przyjemności? Śmieją się ludzie niewątpliwie częściej w życiu niż płaczą; a liczba tych, którzy znajdują to życie tak złe, żeby woleli się z niego wynieść, jest pewnie minimalna.

Nie przeczę jednak, że ludzkość wiele cierpi, ale myślę, że co cierpi, temu sobie sama winna. Najprzód p. Siemionow sam przyznał, że występki ludzi i krzywdy, jakie jedni drugim zadają, stanowią lwią część cierpień ludzkości — a te oczywiście są własnowolne. Ale też inne biedy nie są bezwinne. Cierpią ludzie na wiele dokuczliwych chorób; ale proszę pytać lekarzy, skąd te choroby? Z nadużyć, z nieumiarkowania, z narażań się nieroztropnych, bądź samego człowieka, który stąd cierpi, bądź jego przodków, którzy przekazali mu krew niezdrową. Są gdzieniegdzie klimaty zabójcze, zwierzęta niebezpieczne; ale czemuż się ludzie w tych miejscach osiedlili, nie opanowawszy tam wprzódy jak należało natury? Jest, niestety, między nami ubóstwo, zdaje się czasem, że już za ciasno ludziom na tej planecie; ale doprawdy, czy możemy sobie dać świadectwo, żeśmy racyonalnie stosunki społeczne ułożyli, aby ubóstwu zapobiedz? czy mamy prawo skarżyć się na ciasnotę, kiedy jeszcze tak wielka część kuli ziemskiej jest nieuprawiona i prawie wcale nie zużytkowana? Jednostki nieraz w tych warunkach cierpią bez własnej winy, ale ludzkość jako taka jest sobie winna, że złą gospodarkę na swej planecie prowadzi — i skutki swej gospodarki logicznie ponosi.

MISS WILSON.

Jest wiele rozumu w tem, co pan Hainberg mówi o cierpieniach ludzkości — ale zdaje mi się, że niema serca.

SIEMIONOW.

Takie rozumowanie byłoby dobre — gdyby Boga nie było. Wtedyby ludzkość sama za siebie i przed sobą odpowiadała. — Ale kiedy jest Bóg, który jest czystem dobrem, świętością samą, a ta ludzkość nieszczęsna i zła jest jego kreacyą, jego dzieckiem — to wszystkie owe wywody w puch się rozlatują. Czy Bóg nie wiedział może co się stanie z jego tworem? czy nie mógł temu zaradzić, albo przynajmniej wstrzymać się od tworzenia? — Prawda, że ludzkość jest winna, występna, ale to ją czyni w mojem przekonaniu, jak mówiłem, jeszcze nieszczęśliwszą i godniejszą politowania. — Zresztą te występki czyhają na nią z pewnym fatalizmem, któremu się odjąć nie może. Ile razy próbowała w ciągu historyi dźwignąć się, ucywilizować trochę, podnieść ku jakimś ideałom — tyle razy występki, rozpusty, zbrodnie powracały hurmem ze zdwojoną siłą, liczniej niż przedtem zalegały społeczeństwo, i roztaczały je żywcem. Jakżeż mogła oprzeć się ludzkość tej piekielnej potędze?

Darmo! ateuszem być nie mogę; ze wszystkich niedorzecznych poglądów, ten mi się widzi najniedorzeczniejszy; ale chwilami stawiam sobie pytanie: czy nie miał może racyi Zaratustra? Czy oprócz Boga dobrego niema jakiegoś przeciwnego bieguna, jakiegoś wieczystego pierwiastku zła, który walczy z Bogiem, który się tai w głębinie bytu materyi — w przeciwieństwie do Boga mieszkającego na wyżynie ducha; i cała natura, w której mocują się tak dziwnie cierpienie i brzydota z pięknością i radością życia — i cała historya ludzka, w której występek i cnota tak ciężkie wiodą zapasy — są może tylko polem, areną owej boskiej walki?

DEVILLE.

Mój panie! to już muszą być bardzo czarne chwile, w których się pan zapędzać daje myślą aż do Ormuzda i Arymana!

Przecież takie rozwiązanie zagadki niewiele jest lepsze od ateizmu, który pan odpychasz; boć jeśli dobroć należy do pojęcia Boga, to niemniej do niego należy byt absolutny, wykluczający wszelką zależność i wszelki byt współrzędny. I z tego co powiedział Ksiądz o ujemnej naturze zła, wynika, że absolutny pierwiastek zła egzystować nie może. Starożytni mogli w tym pomyśle dwubożności szukać łatwego tłumaczenia przeciwieństw, jakie w naturze i w sobie samych spostrzegali; ale wobec nowożytnych pojęć filozoficznych i religijnych ten pomysł rozwiał się jak dym, i nie pojawia się więcej — chyba jako projekcya na obłoki stanu dusz wewnętrznie rozdartych.

Ażeby zrozumieć wielką kwestyę zła, trzeba najprzód sprowadzić zło do właściwych ile możności rozmiarów — uwolnić się od przesad wyobraźni, która w tym przedmiocie łatwo się gorączkuje; ku czemu uwagi p. Hainberga są bardzo przydatne. A potem trzeba postawić zło w właściwem jego miejscu w wszechświecie, i na tyle się odsadzić, aby módz okiem duszy objąć całość bożego dzieła. To życie ziemskie, uważane jako całość w sobie zamknięta, jest w rzeczy samej zanadto nędzne, wobec dobroci Stwórcy; cierpienia w niem są po części bezcelowe, a śmierć jest okrutna i, jak mówi p. Siemionow, niedorzeczna. Ale jeżeli to życie jest minimalną cząstką egzystencyi naszej, stanem przejściowym, obliczonym nie na to, abyśmy go używali, ale abyśmy się w nim wyrobili — tem dla nas, czem jest pobyt ziarna w ziemi dla późniejszego, w blasku słońca rozkwitającego życia rośliny — jeżeli taka jest kondycya, takie wymaganie natury stworzeń rozumnych i wolnych, że nie mają mieć losu narzuconego, jak istoty bezwolne, lecz same mają się moralnie zdeterminować i swą końcową doskonałość zdobyć — a skutkiem tego muszą mieć dwie fazy, dwie doby w swojem istnieniu: jedną dobę stawania się, oryentowania się ku celowi, pochodu, który nazywamy moralną zasługą; drugą dobę posiadania celu, doskonałości — jeżeli, mówię, tak jest (a jest niezawodnie), w takim razie łatwo rozumiemy, jak się to z dobrocią i mądrością Bożą zgadza, że trzeba w tem życiu trochę przecierpieć. Wystawiam sobie, że jeżeli ziarno czuje, według hi-

potezy p. Siemionowa, to musi się czuć w ziemi bardzo nieszczęśliwem, musi tęsknić za powietrzem i światłem; i zapewnie sobie wystawia, że wilgoć pełna kwasów co je otacza, dręczyć je chce i uśmiercić — a ona je pobudza do kiełkowania.

LEROY.

Jest to bardzo pięknie omówiona, ale stara i dziś na nieszczęście już zblakowana pociecha: cierp człowiecze w tem życiu, na rachunek innego świata! — Nasłuchali się już ludzie dosyć tej piosnki.

SIEMIONOW.

Ja jestem na tym świecie — i tylko według tego świata sądzić mogę. Ten świat mi się powinien przedstawić jako dzieło w sobie mądre i dobre, ażebym mógł uznać Stwórcę mądrym i dobrym. Przecież nietylko tamten, zagadkowy jakiś świat, ale i ten nasz widzialny, ludzki, jest dziełem tego Twórcy!

DEVILLE.

Nie narzucajmy, moi panowie, Bogu naszego widzimisię — ale starajmy się poznać co Bóg zrobił — jak mówiła wczoraj z uznaniem wszystkich miss Wilson.

Wystawmy sobie karzełka, o bardzo krótkim wzroku, którego miłosierny i zamożny jakiś pan każe do swego pałacu przyprowadzić, obiecując go tam po ojcowsku pielęgnować. Prowadzimy go do tego pałacu. Wchodzi się do niego po kilkunastu kamiennych schodach. Otóż karzeł zaraz na drugim czy trzecim schodzie siada, plecami do pałacu, i zaczyna dąsać się i płakać: Co mi to za pałac? — mówi — zamiast dywanów i poduszek twardy kamień, nad głową gołe niebo, dokoła zimno, do jedzenia nic — tu gorzej jak w chałupie! Usiłujemy go prowadzić dalej; mówimy mu, że to tylko zewnętrzna część gmachu, schody po których trzeba wejść; a że w pokojach będzie miał i dywany i poduszki i jedzenia w bród... Wszystko darmo, karzełek siedzi na schodach, plecami do pałacu, i powtarza upornie: Co mi to za pałac? twardo mi tu i zimno i głodno!

Uśmiechacie się, moi panowie; a przecież osądźcie sami, czy to nie jest zupełnie wierny obraz sposobu, jakim wielu dzisiejszych ludzi, myślicieli, filozofów pesymizmu, postępuje z Panem Bogiem. Zakreślają oni sobie mały kawałek Bożego świata — jak daleko sięga ich ręka i krótki wzrok — siłą się wytłumaczyć sobie ten skrawek jako całość w sobie skończoną — i wreszcie orzekają, że taka budowla jest zła, brzydka i bez sensu. — Istotnie, schody wzięte za pałac, sensu nie mają; ale one są schodami, a jako takie mają sens: prowadzą do pałacu.

Biorąc zaś to życie jako przejściowy peryod kształcenia się — tak jak je i rozum i religia brać każe — nietylko pojmujemy od razu, że śmierć ma sens, ale rozumiemy łatwo, że i cierpienie może mieć racyę bytu w tem życiu. Co stanowi wartość i wysokość moralną człowieka? Nie wrodzona dobra skłonność — która jeszcze charakteru etycznego nie ma; nawet nie pojedyncze czyny zacne — po których łatwo mogą nastąpić niecne; ale wyrobiona moralna cnota, która nakłania go do postępowania stale według etycznego ideału. A co wyrabia cnotę? Jak w ciele ludzkiem, wysiłek wzmacnia i kształci muszkuły, któreby bez niego ulegały atrofii, tak i w organizmie ducha, wytężenie, zwyciężające przeciwności i cierpienia, kształci i potęguje cnotę; i wtedy dopiero cnota jest prawdziwą i wyrobioną, kiedy zdolna jest takiego zwycięskiego wysiłku. Stąd to stare *adagium* moralne, całkiem zgodne z nowożytną obserwacyą psychologiczną: że cierpienie jest probierzem cnoty.

Gdyby cierpienia nie było na ziemi, boski kwiat cnoty nie rósłby tak wysoko — a nadto, co jeszcze oczywistsza — nie rozgałęziałby się tak wspaniale. Ile to cnót w szczególności byłoby nieznanych na świecie i niemożliwych, gdyby cierpienia nie było. Cierpliwość, miłosierdzie, męstwo, które gardzi niebezpieczeństwem i śmiercią, ofiarność, która poświęca się bez granic dla wyższej sprawy, prawie wszystkie wspaniałości, które podziwiamy w bohaterach, zwłaszcza chrześcijańskich, zawarunkowane są istnieniem cierpienia. I nawet te skromniejsze cnoty, które z upodobaniem i ze czcią oglądamy naokoło siebie, byłyby w wielkiej części podcięte, gdyby możliwości cierpienia nie było. — Namby

z tem było może wygodniej tutaj; ale jeśli celem tej ziemi nie jest, aby nam wygadzała, lecz aby była areną dla moralnego wyrabiania się ludzkości, w takim razie istnienie cierpienia jest zupełnie uzasadnione.

MISS WILSON.

Prawda; niema co *mówić*; *świat bez cierpienia byłby* bawialnią — teraz jest wysoką szkołą.

Jabym nawet powiedziała, że cierpienie potrzebne jest w pewnej mierze, by zwracało duszę do Boga. Wprawdzie i radość do Boga zwraca. Kiedy się widzi naturę tak uroczą, tyle stworzeń dobrych i pięknych, to dusza dzięki śpiewa Stwórcy. Ale te stworzenia piękne i dobre prędko do siebie przyciągają serce, radość łączy nas ze światem i w nim rozprasza. Przeciwnie, cierpienie zwraca duszę w siebie, spędza czar świata, dając zrozumieć prawdę, która jest w głębi — dając jakoś czuć, że te stworzenia nie są tem szczerem dobrem i pięknem, za którem tęsknimy — skąd naturalnie wynika popęd duszy ku Bogu. Odczułam ja to wszystko, kiedy pierwszy raz zakosztowałam cierpienia, gdy przepędziłam trzy miesiące przy łóżku umierającej mamy. *Od tej doby* zupełnie inaczej przedstawił mi się świat i to życie — nie tak tragicznie jak p. Siemionowowi, ale jakoś uroczyście — jak rola w poważnym dramacie, nie przeze mnie skomponowanym.

KSIĄDZ.

Cierpienie jest pewnie pożyteczne do wyrobienia cnoty i do odczarowania, jak pięknie powiedziała Miss, złudy świata; ale nadto jeśli uwzględnimy istnienie *zła moralnego* w świecie, to cierpienie okaże się niezbędnie potrzebne, jako jego przeciwwaga i lek. Jest to pewnik, może trudny do wytłumaczenia, ale zaprzeczyć się nie dający i głęboko w dusze ludzkie wkorzeniony: że cierpienie ma moc ekspiacyjną. Najbardziej nas oburzający występek, skoro tylko ukarany jest cierpieniem odpowiednio wielkiem, przestaje nas gniewać. Nawet zbrodniarz tracony na rusztowaniu, budzi współczucie z uszanowaniem zmieszane: dlatego że, jak mówimy, zadośćczyni sprawiedliwości

A ileż to razy sumienie pobudza ludzi do zadawania sobie cierpień, niekiedy nawet do oddania się w ręce sądów, by się ukarać za jakiś grzech! Czujemy jakoś, że przez moralne zło człowiek czyni uszczerbek porządkowi etycznemu, a cierpienie, czyniąc temuż człowiekowi uszczerbek jako zło fizyczne, przywraca naruszoną moralną równowagę. Skoro więc jest grzech na świecie, to musi być i cierpienie jako ekspiacya.

A jakże często cierpienie jest lekarstwem! jakże często zatrzymuje ludzi na drodze występku i zawraca na dobrą drogę! Głos sumienia, zwłaszcza u takich ludzi, jest za cichy, by mógł być dosłyszany wśród tego galopu piekielnego, pod chłostą chciwości lub innych złych chuci. Dopiero gdy choroba położy, gdy cios majątkowy pozbawi środków, człowiek przymusowo zatrzymany, wchodzi w siebie — i wtedy dopiero zdolny jest usłyszeć swe sumienie i odnaleść w sobie iskrę religijności, która tlić się nie przestała. — Zdarza się może czasem, że cierpienie odwraca kogoś od Boga i w rozpaczy go pogrąża. Ale na jeden taki wypadek, przynajmniej dziesięć tysięcy razy się zdarzy, że cierpienie od złego odwiedzie i do Boga skieruje.

A przy śmierci, moi panowie, jakie mnóstwo ludzi, którzy żyli bez Boga, do Boga się zwraca — jak wielu, po miernej wartości życiu, w ostatniej chorobie wysoko się podnosi — słowem jak często to oryentowanie się ku celowi, które jest, jak wskazał p. Deville, tego życia zadaniem, najgorzej przez długie lata prowadzone, w ostatnich dniach szczęśliwie się zakończa — o to nas księży pytajcie. To zapowiadanie się śmierci długiemi nieraz chorobami, ta jej groza tajemnicza, to wszystko co się w niej wydaje p. Siemionowowi tak okrutnem i nieracyonalnem — to wszystko jest wielkiem dla ludzkości dobrodziejstwem — od razu zrozumiałem, skoro się wejdzie w myśl zasadniczą chrystyanizmu: że to życie jest wstępną dobą moralnego wyrabiania się.

LEROY.

Z tego wszystkiego widzę, że wy bierzecie, moi panowie, zło moralne jako dany punkt wyjścia, i na tej głównie podsta-

wie usprawiedliwiacie cierpienie, które nazywacie złem fizycznem. Ale skądże, powiedzcie mi, zło moralne bierze początek? Czy się będziemy może w kółko obracać?

KSIĄDZ.

Zło moralne z wolnej woli stworzeń pochodzi. To jest jego absolutny początek.

DEVILLE.

Tak jest; jest to odpowiedź filozofii zarówno jak chrystyanizmu. Inny początek moralnego zła ani pomyśleć się nie da.

LEROY.

Cóż to znaczy: z wolnej woli stworzeń? Czy Bóg, stwarzając te wolne istoty, nie przewidywał, że one na złe użyją swej wolności? Albo, czy nie umiał temu zapobiedz? Jak się to wszystko godzi z tą opatrznością, o którejś nam pan wczoraj wykładał, że w akcie inicyalnego stworzenia wszystko przejrzała i wszystko urządziła? To jest doprawdy nie do pojęcia. Chrystyanizm zaś, na który się pan powołujesz, nietylko nie pomaga do rozwiązania tej zagadki zła, ale ją owszem w najwyższym stopniu utrudnia, bo wprowadzając dogmat o wiecznem potępieniu, podnosi zło do setnej, ba! do nieskończonej potęgi.

DEVILLE.

Chcąc stworzyć istoty rozumne, zdolne go znać i posiadać, Bóg musiał stworzyć je wolne: bo jedno logicznie pociąga drugie. Chcąc zaś stworzyć istoty wolne, musiał z góry przystać na tę ewentualność, że nie wszystkie te wolne istoty obiorą dobro, ale niektóre zwrócą się ku złemu. Gdybyś pan grał z drugim w kostki, a kostki przy tysiącach rzutów padałyby zawsze na te same numera, to powiedziałbyś pan, że kostki są niesprawiedliwe, jakimś ciężarkiem z jednej strony obciążone. Podobnie gdyby wszystkie stworzenia w dobie swego wyboru grawitowały nieodmiennie ku dobru i zwracały się do Boga, powiedziećby trzeba, że ich wybór nie jest wolny, że są zdetermino-

wane, a nie same się determinują. Takie jest prawo wielkich liczb, stosujące się zarówno do wyników wolnego wyboru, jak do przypadków. W jednych i w drugich, gdzie niema determinacyi na jedną stronę, tam wyniki w wielkiej liczbie będą zawsze między jedną a drugą stroną podzielone.

Jeżeli zaś następstwem stworzenia istot wolnych, jest ewentualność zwrócenia się niektórych ku złemu — a zwrot w tem życiu dokonany determinuje, jak widzieliśmy, ostatecznie istotę — w takim razie i wieczne niektórych odpadnięcie od celu, jest nieuchronnem stworzenia następstwem. Jaki będzie stan tych nieszczęśliwie odpadłych? czy ich będzie wielu, czy mało, czy bardzo mało? o tem istotnie nic nie wiemy. Ja skłonny jestem do sądzenia, że nierównie więcej znajdzie się uszczęśliwionych; i myślę, że gdy staniemy u wrót wieczności, więcej zdziwimy się miłosierdziu Bożemu, aniżeli sprawiedliwości.

Mówisz pan, że chrystyanizm podnosi zło do nieskończonej potęgi. Jest to w pewnem znaczeniu prawdą; ale dodaj pan, że jeszcze nieskończenie wyżej podnosi dobro. Jedno i drugie wydaje się nam w tem życiu czemś bardzo względnem; bezwzględna między niemi różnica, jakiej wymaga moralność, bezwzględna wartość, jaką sobie samej moralność przypisuje, są nam — gdy z punktu ziemskiego patrzymy — niezrozumiałe. W świetle chrystyanizmu dopiero to wszystko się tłumaczy: odsłania się moralności wartość absolutna i uroczystość zadania życia.

HAINBERG.

Jest w tem racya, panie Leroy. Jeżeli się chce sądzić Boga chrześcijańskiego, to trzeba go brać takim, jakim go chrystyanizm przedstawia: łącznie z zagrobowem życiem. Jeżeli się zaś tego Boga odrzuca, to niema kogo winować za nędze tego życia. Woli ktoś sobie innego Boga wymyśleć? — to jego rzeczą jest tak go pojąć, aby mu kwestyę zła wraz z innemi zagadkami świata rozwiązywał.

LEROY.

Temu wcale nie przeczę, że to tłumaczenie jest racyonalne. Dałoby się tu jeszcze wiele pytań i zarzutów podnieść; — ja-

bym wogóle wolał Boga, któryby jeszcze poniekąd z wyższa panował nad złem; — może to subjektywne przewidzenie, na jakie w tej kwestyi szczególnie jesteśmy narażeni. Ale co do głównych zarysów, przyznaję szczerze panu Deville, że mamy przed sobą wytłumaczenie wielkiej i trudnej kwestyi zła, głębokie i ze sobą zgodne. Pono też p. Siemionow, milczeniem, w które się jakoś pogrążył, na to przystaje.

KSIĄDZ.

Jeżeli komu wyjaśnienie, jakie dała filozofia przez usta pana Deville, niezupełnie wystarcza, to niech posłucha, jak dogmat objawiony tę samą rzecz na wyższą transponuje skalę.

Bóg, w pierwszym że tak powiem rzucie, stworzył samo czyste dobro i szczęście. Zamiast stworzyć człowieka podległego cierpieniom i śmierci, naturalnym następstwom jego złożonej istoty, wolał wynieść go od razu na wyższy szczebel: postawił go w warunkach nadprzyrodonych, w których miał być szczęśliwy w tem życiu próbnem — i przejść bez śmierci do szczęścia wiecznego.

Człowiek własnowolnie się oparł. Chciał, zamiast czystego dobra, zakosztować owocu dobra i zła. Bóg mu dopuścił: nie dlatego dopuścił, iżby zło było potężniejsze od niego i zniweczyć mogło jego zamiary, ale iż widział w niem tło do jeszcze wspanialszego uiszczenia tych samych miłościwych zamiarów swoich. — Idź, powiedział człowiekowi, drogą, którąś wybrał. Wiele się w niej nacierpisz za karę. Ale ja celu zbawienia twego, dla któregom cię stworzył, nie zmieniam; i tą drogą krzywą, którą obrałeś, jeszcze wznioślej do niego cię naprowadzę.

I człowiek idzie — i ludzkość idzie, już nie prosto z prawdy ku prawdzie, z wesela Edenu do szczęścia niebieskiego, jak jej Bóg najpierw ofiarował, ale z pochyloną głową, między ciernie i głogi, które jej ziemia dziś rodzi. Szukając prawdy, idzie w błąd; brnie coraz dalej z błędów w błędy. Ale na dnie każdego błędu przekonuje się bolesnem doświadczeniem, że zbłądziła — i cofa się, ogląda się w stronę drogi, którą pierwotnie porzuciła. Szukając równocześnie dobra i szczęścia swego,

rzuca się we wszelkie brzydoty; próbuje z wszystkich stworzeń wycisnąć życiodajne *Soma;* próbuje wszelkich uciech dla jednostki, wszelkich instytucyj dla społeczeństw. Wszystko napróżno; wszędzie zawód. Coraz więcej czuje, że straciła jakiś niezbędny do szczęścia pierwiastek — i marzy o nim. Chwilami oczy w niebo podnosi.

A czy Bóg bezlitośnie patrzy na to błądzenie i na ten głód ludzkości?

Już w chwili pierwszego upadku człowieka, Bóg, wypędzając go z Edenu, po ojcowsku obiecuje, że przyjdzie podać mu rękę. Potem, gdy pamięć tej najdroższej obietnicy poczyna się zacierać, Bóg natchnienia daje wybranym organom. Religia od Boga zstępująca, jak jasna struga z nieba, ciągnie się przez ciemne dzieje ludzkości. Słowa prawdy, których ludzkość łaknie, coraz gęściej z nieba padają; obietnica zbawienia od Boga ponawia się coraz wyraźniej. Umysły zmęczone błądzeniem, zwracają już uwagę w stronę tej jasnej smugi; serca stęsknione za Bogiem zaczynają bić prędzej. Chwila spełnienia wielkiej obietnicy nadeszła. Umysły ludzkie już dosyć nabłądziły, serca dosyć się nacierpiały, aby być dowodnie przekonane, że tylko z góry może im przyjść zbawienie.

Obietnica się spełnia po b o ż e m u — milionkroć więcej, niż się ludzkość spodziewała, niż marzyła.

Poeta głęboko ludzki, którego p. Leroy przed chwilą cytował, wyczuwając sercem te wszystkie tęsknoty i błądzenia ludzkości, rozpaczliwie zaklinał Boga, aby się zjawił na ziemi:

> Skrusz to sklepienie, co Cię kryje w niebie
> . . . . . i pokaż nam siebie.

On to mówił wyzywająco, beznadziejnie. A Bóg to przecież dawno uczynił! Stał się sam człowiekiem — i zstąpił mistrzem i zbawcą na tę małą planetę, niosąc światłość i życie.

I cóż się stało? Czy się spełniło co w uniesieniu zaręczał Bogu poeta — co wszyscy czujemy, że się stać było powinno:

> Wtedy w zachwycie całe ludzkie plemię
> Padnie przed tobą, Panie, na kolana.

Rzecz zdumiewająca: po dwudziestu wiekach, liczba tych, którzy są na kolanach przed Bogiem Wcielonym, ledwo małą cząstkę ludzkości stanowi; większa część kuli ziemskiej wygląda podobnie jak przed Wcieleniem. Zdawać się może, że się Bogu nie udało!

Tak się nam zdawać może, bo my jesteśmy jednodniowi, i nie umiemy się wmyśleć w myśli Tego, u którego „tysiąc lat jako dzień jeden". Religia przez Boga Wcielonego przyniesiona opanowuje, przetrawia ludzkość — ale pracuje powoli — jak pracowały te siły kosmiczne, które materyalne światy ukształciły; — pracuje powoli, bo Bogu idzie, nie o materyalne zwycięstwo, ale o zdobywanie przekonań, o podbijanie serc, o to, żeby się ludzkość samochcąc podniosła aż ku Niemu: bo religia jest związkiem, jest pocałunkiem między Bogiem, który się z dobrowolnej miłości ku stworzeniu nachyla, a stworzeniem, które się również wolną miłością ku Niemu podnosi. — A to wymaga czasu. — Bóg Wcielony stoi w pośrodku ludzkości i promienieniem swych bosko-ludzkich piękności pociąga do siebie. I coraz więcej dusz zwraca się do Niego wiarą, miłością, naśladowaniem. I wszystkie zagadki życia stają się dla ich prostej wiary jasnemi. Wszystkie cierpienia przemieniają się im w szczeble cnoty i uświęcenia, daleko wyższym sposobem niż w naturalnym porządku; chrześcijanie czują w cierpieniach swoich tajemniczą solidarność z Chrystusem ukrzyżowanym, nazywają one krzyżami, i tak doznają ich zbawczej siły, że aż do nadludzkiego kochania się w tych krzyżach nierzadko dochodzą. — I mnożą się na ziemi cnoty cudne, bohaterskie. Duch, który debiutował w świecie epopeją męczeństwa, nie znikł — tylko rozlał się na krocie tysięcy ofiar i poświęceń, mniej okazałych, ale zbiorowo wyższą dających sumę doskonałości moralnej.

Wielka jeszcze moc dusz nie spostrzegła Boga Wcielonego, nie zwróciła oczu w stronę gdzie On jest. Ciągle jeszcze szukają prawdy po manowcach błędu, lub szczęścia w występkach. Ale i one są owcami, które Pasterz swego czasu do owczarni sprowadzi. I same te błądzenia napędzają je, jak mówiłem, do zwrotu ku prawdzie. Jeżeli nie prędzej, to przynajmniej kiedy cykl błę-

dów się wyczerpie, dojdzie ludzkość, po obiegu tej ogromnej krzywizny, do Bożej prawdy, od której początkowo odbiegła. Ale o ileż potężniej i serdeczniej będzie ją dzierżyła — znając doświadczalnie jej odległość od fałszu! I wszystkie religie stopią się wobec jednej prawdziwej religii — mamy tę obietnicę z ust Chrystusa. I wszystkie nauki, które dziś obiegają jeszcze orbitę przeczeń, przyjdą uklęknąć przed tą religią i oddadzą jej świadectwo. I wynalazki ludzkie, które dotąd pomnażają nieraz cierpienia ludzkości, zamiast je koić, i zamiast roznosić po kuli ziemskiej światło i pokój, roznoszą często fałsz i nienawiść — kiedy wreszcie przykre doświadczenia, dostatecznie upokorzą pychę wieku, która tę karę sprowadziła — wynalazki te wtedy trafią do swego celu: będą służyły ziemskiemu życiu, a do niebieskiego pomagały. Bo przecież nie napróżno Stwórca natury i wszystkich sił w niej ukrytych, z błogosławieństwem wezwał człowieka do jej opanowania: „Uczyńcie ją sobie poddaną".

I ustroje społeczne i polityczne — które do dziś dnia pełne są jeszcze pierwiastków dzikich i pogańskich — przejmą się wreszcie także duchem ewangelicznym, który powoli świat nurtuje. Ewangelia dotąd zdobyła pewną liczbę jednostek, owładnęła gdzieniegdzie rodzinę; ale w życie publiczne, w politykę, w stosunki międzypaństwowe jeszcze wcale nie wniknęła. A przecież posiada ona nietylko moc uświęcania jednostek, ale także moc socyalną, dążącą do ukształcenia podług myśli bożej społeczeństw. Ta moc z nieba dana zrealizować się musi. Niektórym się zdaje, że już w średnich wiekach uiściła się w rzeczypospolitej chrześcijańskiej; ale to była tylko próbka na małą skalę — w porównaniu z całością ludzkości — i na materyale jeszcze bardzo surowym i barbarzyńskim. W wiekach średnich było zlanie potęg religijnych i świeckich jeszcze poniekąd nierozróżnionych. W nowszych czasach te potęgi, przychodząc do samowiedzy, stają przeciwko sobie; po skończeniu dopiero tego procesu, z całą świadomością i wolą, podadzą sobie ręce i złączą się organicznie w jednem królestwie Bożem na ziemi. Pismo Starego i Nowego Przymierza obiecuje królestwu Chrystusa, nie połowiczne, nie do pewnych narodów ograniczone, ale po-

wszechne na całej ziemi panowanie. Jeden prorok zapowiada: „Dam Ci narody dziedzictwo twoje, a posiadłość twoją krańce ziemi“. Drugi głosi: „Wszystkie narody i pokolenia i języki służyć mu będą... a królestwo jego się nie skazi“. Trzeci widzi to królestwo w postaci „góry wywyższonej nad pagórki — i popłyną do niej, mówi, wszystkie narody — i nauczą się dróg Pańskich i będą chodzić ścieżkami jego — i przekują miecze swe na lemiesze a włócznie swe na sierpy; nie podniesie miecza naród przeciw narodowi, ani się będą więcej ćwiczyć ku bitwie“.

Od tego kresu jesteśmy jeszcze daleko — może dopiero w początkach pochodu. Posuwamy się ku niemu oscylacyami, które w pewnych epokach skrajnych czynią nam wrażenie, jakobyśmy się oddalali. Ale patrząc na całość historyi, spostrzedz możemy, że istotnie, choć wolnym krokiem, królestwo Boże się przybliża. — Nie jest to pewnie dogmatem; ale wynika to z całej ekonomii dzieł bożych w świecie i z rozumienia Pisma. Chrystus sam zatwierdza stare proroctwa własnem proroctwem o jednej owczarni, która wszystkie owce do niego należące zgromadzi. Apostoł zaś dodaje, że „królować ma Chrystus“, tj. rządzić i szerzyć swe królestwo w ludzkości tak długo, „aż wszystkie nieprzyjacielskie potęgi poddane będą pod nogi jego; — wtedy dopiero ostatnia nieprzyjaciółka zniszczona będzie, śmierć“.

Końcową erą tej boskiej ewolucyi nic innego być nie może, tylko palingeneza, nowe życie bez cienia zła i śmierci: bo już wszelkie zło zwalczone — zwalczone nie przez samego Boga, ale przez ludzkość z Bogiem zjednoczoną. I nawet natura — tajemniczo domawia Apostoł — która dziś „wzdycha i jako rodząca boleje, wyzwolona będzie z niewoli skażenia, uczestnicząc swoim sposobem w uwielbieniu synów bożych“.

Taki pochód świata i ludzkości — przez zwyciężenie fałszu do prawdy, przez kosztowanie zła do dobra — jest to właściwie droga, którą człowiek obrał, ale którą Bóg po bożemu przeobraził. Więcej i dłużej ludzkość w tej drodze się natrudzi, więcej może odpadków postrada, aniżeli w pochodzie pierwotnie od Boga wskazanym. Ale taki pochód jest nieporównanie świetniejszy, Boga i doskonałości jego wszechstronniej objawia i wielbi,

a ludzi nierównie cudniej udoskonali i ubłogosławi; tak iż stanąwszy u portu, śpiewać będą o Adamowej przygodzie, która to rozegranie sprowadziła: *O felix culpa* — co już Kościół jakby z przeczucia na święto Zmartwychwstania śpiewa. — I dla tego rozegrania Dobroć wszechwiedząca ową szczęśliwą winę na początku dopuściła.

MISS WILSON.

Z głębi duszy Księdzu za to piękne wytłumaczenie Boga dziękuję.

HAINBERG.

Co się to takiego dzieje? Zaczęliśmy dzisiejszą rozmowę od czarnego pesymizmu; a mielibyśmy skończyć na najjaśniejszym optymizmie!

KSIĄDZ.

Tak jest; pesymizm, to jest mgła, która tylko na nizinie utrzymać się może; wyżej, ponad obłokiem ziemskiego poznania, w świetle boskich objawień, promienieje zawsze optymizm.

SIEMIONOW.

Ha! gdyby można wierzyć!

Te słowa wypowiedział Siemionow dziwnym jakimś, gardlanym głosem — i wpatrzał się w niebo. Myśmy się też popatrzyli. Wypogodziło się było zupełnie w czasie naszej rozmowy. Noc nastała piękna i świeża. Gwiazdy świeciły tajemniczo, nieskończenie daleko. Nie mówiliśmy nic; ale czuliśmy, zdaje mi się, wszyscy, że piękność z góry spływająca nas owłada i wierzyć w siebie każe.

Ks. Maryan Morawski.

KATOLICKI KONGRES W CHICAGO.

We wrześniu 1893 r. miały się zebrać w Chicago kongresy religijne, tj. każdej religii z osobna, a nadto wspólny kongres wszystkich religij. Kongresy te wszystkie razem tworzyły departament religijny owych stu kilkudziesięciu międzynarodowych kongresów, które tego lata odbyły swe posiedzenia w Chicago, a których całość nosiła nazwę: *The World's Congres Auxiliary of the World's Columbian Exposition.* Kongres katolików wedle pierwotnego planu miał być również międzynarodowym, a chociaż takim nie był, to jednak dla Stanów Zjednoczonych bezpośrednio, a względnie i dla całej Ameryki północnej był ogromnej wagi.

By zrozumieć całkowicie jego doniosłość, trzeba mieć na pamięci najpierw pozycyę katolików w Stanach Zjednoczonych wogóle, a nadto ten stosunek, w jakim się oni znaleźli względem wystawy kolumbijskiej i *Auxiliary.* Katolicy stanowią jedną dziesiątą część ludności Stanów Zjednoczonych; pozostałe dziewięć dziesiątych ludności, to zbiór blizko 140 rozmaitych sekt chrześcijańskich i wyznań niechrześcijańskich. Wiemy, iż religii nie wolno być martwem słowem, ona musi być w związku z życiem prywatnem i publicznem; więc każdy to zrozumie, że jeden człowiek, znajdując się wśród dziewięciu innowierców, jeżeli religię swoją uważa za zasadę swojego życia, jeżeli ona dla niego jest świętością — to musi w obcowaniu ze swymi współmieszkańcami być niezwykle oględnym, często bardzo nawet unikać spotkania z nimi, by tej świętości nie podać na urąganie. Nieraz więc przy tej lub innej

sprawie publicznej lub prywatnej, katolicy stronili od dążeń ogółu, zamykali się w sobie, a nawet stawali w opozycyi z rządem (naprzykład w sprawie szkół parafialnych), a przez to ściągnęli na siebie zarzut braku patryotyzmu, obojętności dla spraw narodowych i t. p. Gdy więc poczęły się przygotowania do wystawy i do *Auxiliary,* które to obie instytucye miały się stać (a i stały się, chociaż na mniejszą skalę) chwałą i chlubą narodu: oczy całego kraju zwróciły się na katolików, na tę, aczkolwiek dziesiątą tylko część całej ludności, lecz zorganizowaną w jednolitą i karną armię. Wszyscy zapytywali siebie, jak się katolicy zachowają w tej sprawie? Ze względu na wyżej wspomniane stosunki, prawdopodobnie stało się i to, że kongres katolików, w założeniu międzynarodowy, w rzeczywistości był wyłącznie kongresem Stanów Zjednoczonych.

Zwróćmy teraz uwagę na względy czasu i miejsca. Od dnia 4-go do 9-go września miał trwać kongres katolików, a dnia 11-go września miał się rozpocząć kongres, nazwany parlamentem wszystkich religij.

Cobykolwiek o charakterze i doniosłości tego kongresu naprzód już sądzić było można, katolicy nie myśleli usuwać się, nie mogli, ani też chcieli, chociażby z powodu powyżej wymienionych stosunków krajowych. A nadto był jeszcze o wiele ważniejszy wzgląd. Hasła, pod któremi komitet tego kongresu już od dwóch lat pracował, były: „połączyć usiłowania wszystkich religij w walce przeciwko bezreligijności“ — „niech każde wyznanie okaże światu, jak ono wpływa na uszlachetnienie społeczeństwa swoich wyznawców — co ono dało ludzkości?“ Gdy więc każde wyznanie gotowało odpowiedź na powyższe hasła, czyż się godziło katolikom pozostać w milczeniu? Gdy wszystkie wyznania podniosły chorągiew z szlachetnem godłem: „jesteśmy dzieci jednego Ojca w niebie, więc wszyscy jesteśmy bracia“ — czyż mogli katolicy nie stanąć pod tą chorągwią? Nie! Ani powinni byli, ani mogli, ani też chcieli opuścić tej sposobności, stanąć przed światem całym i głośno wypowiedzieć, czem są i czem być pragną. Na podniesione hasła nie brakło im odpowiedzi, któreby, pewne tej siły, jaką daje prawda, nie mogły

się ozwać stanowczym głosem wśród głosów innych religij. Jakkolwiekby się dla nas Europejczyków wydawały dziwnemi te wspólne zgromadzenia biskupów katolickich z biskupami i kaznodziejami protestanckimi, z rabinami, z arcykapłanami buddystów i t. p. — to jednak nie mamy prawa sądzić tego ruchu religijnego z naszego punktu widzenia. A nadto nie zapominajmy o tem, że to się nie stało z dziś na jutro, że przygotowania do tego trwały blizko dwa lata, że Stolica Apostolska o tem wiedziała, a więc udział katolików w tym ruchu religijnym był z jej wiedzą i wolą. Ojciec św. był pewny, że nie uronią czci, należnej naszemu Kościołowi, jego najwyżsi dostojnicy takiej powagi, jak ks. Gibbons i ks. Feehan, takiej potęgi myśli i słowa, jak ks. Ireland, ks. Keane, ks. Spalding i inni. Lecz stając w zawody, trzeba chcieć być pierwszym, lub może lepiej nie wchodzić w zapaśnicze szranki. Jest w Ameryce przysłowie: „tylko na szczycie jest wolne miejsce“; tam go też szukali katolicy amerykańscy. Nie zaniechali niczego w tej sprawie.

Pierwszym krokiem ku temu było: urządzenie na wszechświatowej wystawie wyłącznego działu szkół i instytucyj humanitarnych katolickich. Galerye tej wystawy tak były przepełnione, że w niektórych miejscach wązkie tylko zostały przejścia, choć obszar zajęty przez katolików przewyższał o wiele takąż wystawę wszystkich innych wyznań razem. Szkołom katolickim nawet niekatolicy musieli przyznać pierwszeństwo. Więc, gdy się zbliżył czas religijnych kongresów, potrzeba było najpierw zwrócić uwagę świata na ten dział wystawy, i dlatego kongres katolików był poprzedzony przez tak zwany „dzień szkół katolickich“.

Muszę to jaśniej określić.

W czasie tych sześciu miesięcy trwania wystawy, rozmaite narodowości, państwa, zgromadzenia, instytucye i t. p., obierały sobie pewien dzień, który obchodziły uroczyście w rozmaity sposób. W program wchodziły pochody tryumfalne po ulicach miasta, produkcye muzyczne, rozmaite widowiska... ostatecznie wszyscy zbierali się na wystawie w olbrzymiej, blizko 10.000 ludzi mieszczącej hali *(Festival-hall)*, i to bywało najważniejszą

i najbardziej uroczystą chwilą takiego dnia. Tam wygłaszano mowy, śpiewano hymny narodowe lub zastosowane do uroczystości, wieczorem bywała iluminacya. Dni uroczyste rozmaitych instytucyj ograniczały się najczęściej na zgromadzeniu w *Festival-hall*. Taki właśnie dzień szkół katolickich urządził ks. Feehan, arcybiskup w Chicago, zapraszając przeszło 8000 katolików i niekatolików na zgromadzenie uroczyste dnia 2-go września.

Pomimo, iż uroczystość miała się rozpocząć o godzinie 9-tej rano, jak na miejscowe stosunki bardzo wcześnie, to jednak w kwadrans później nie było już jednego wolnego miejsca w sali. Estradę zajęli arcybiskupi, biskupi i prałaci, a w sali, wśród tysięcy świeckich i duchownych, widziałeś całe szeregi sióstr rozmaitych zakonów, bo ich to pieczy przeważnie powierzone są szkoły katolickich parafij. Prześliczny hymn, wykonany na organach, rozpoczął uroczystość. Potem powstał ks. Feehan i w przydłuższej mowie te wypowiedział myśli: „Przyszliśmy tutaj jako katolicy i jako wierni obywatele tego kraju w celu pomówienia o najważniejszej sprawie społecznej, sprawie katolickiego wychowania dzieci. Kto choćby pobieżnie przepatrzył wystawę szkół katolickich, ten się przekonać musiał, że one co najmniej nie ustępują żadnym instytucyom krajowym, a mam silną nadzieję, iż w przyszłości na tychże zasadach staną i inne szkoły naszego kraju, i to jest nauka, którą daje obecna wystawa katolickich szkół. Czem jest wychowanie? Jest to podniesienie i rozwój duchowych sił człowieka ku jego ostatecznemu celowi. Człowiek należy do Boga, i na to jest stworzony, by z nim na wieki obcował. Trzeba rozwijać wszystkie strony jego duszy: pamięć, wyobraźnię, rozum, wolę, kierując je ku temu celowi. Oto jest dzieło wychowania. Dążnością ostatnich czasów jest owo wyłączenie z programu szkolnego nauki religii. Lecz dusza ludzka, ten obraz i podobieństwo Boga, stworzona jest do bytu nieśmiertelnego — wychowanie więc powinno się starać, by to podobieństwo było coraz doskonalszem, a więc musi być religijne. Człowiek należy do Boga z ciałem i duszą, on ze swoim Stwórcą winien być w jedności. Tak!... patrzcież! oto ma się zebrać kongres wszech religij... patrzcie! oto dzieci je-

dnego Ojca, a wszyscy z sobą w przeciwieństwie! Słuchajcie, ile sprzeczności w ich tak zwanych doktrynach o Bogu, o człowieku! To wieża Babel języków i pojęć!... Kto religię wyłącza z programu wychowania, ten nie wie, czem jest istota duszy ludzkiej, ten czynem przeczy jej nieśmiertelność, a człowieka traktuje na równi ze zwierzęciem. W wychowaniu są dwie strony: religiina i naukowa — dwie strony, lecz wiążące się w jedność... religia uszlachetnia, podnosi, uświęca i kieruje to, co daje nauka. To dusza w ciele, i jako ciało bez duszy, tak nauka bez religii musi popaść w zgniliznę i rozkład. Dwie te strony połączyć w jedność, oto najwyższe zadanie wychowania. A nadewszystko jest to ukształcenie woli, tej najważniejszej strony istoty człowieka. Z niej płyną cnoty i zbrodnie! Pamiętajmy o tem, że największa siła woli przejawia się nie w uporze, nie w wytrwaniu przy wytkniętym jakimś celu, nie w despotyzmie; lecz w pokorze, w posłuszeństwie, poszanowaniu władzy, w prawych czynach i czystem życiu. Miliony mędrków poszły do piekła, z ludzi dobrej woli — nikt. Lecz wolę wykształcić zdolną jest tylko religia. Powiadają atoli: religii nie w szkole, lecz w rodzinie i kościele uczyć należy. Twierdzenie to jest szyderstwem! Religii mają uczyć ojciec lub matka... lecz kiedy? Czy możemy żądać, by rodzice wieczorem po całodziennej, często wyczerpującej siły pracy, mieli jeszcze swobodę myśli, tak niezbędną przy nauczaniu? Religii ma uczyć proboszcz w kościele! — więc znowu zapytuję: kiedy? W ciągu dnia dzieci zajęte szkołą, toć chyba wieczorem, zmęczone, śpiące, mają się zbierać w kościele na naukę religii? Pozostają jeszcze święta i niedziele, oczywiście tylko pomiędzy sumą i nieszporami. Zapytajcież proboszczów, czy oni mogą w tym czasie zebrać dzieci do nauki? Tylko w dni słotne, bo w pogodny czas każdy, kto może, ucieka za miasto, by odetchnąć świeżem powietrzem. Pomijając zmęczenie, tak zwykłe w dniu świątecznym z powodu większej liczby spowiedzi i innych prac w kościele, katecheta nawet przy najlepszych chęciach nie będzie miał uczniów, chociażby na tę jedyną godzinę, jedyną w tygodniu, poświęconą religii. Na co się zdała taka nauka i jaki może być jej wpływ? A kształcić umysł, nie

kształcąc serca i woli religią, to znaczy zbroić szeregi rabusiów ulicznych... Patrzcie! całe kolumny w dziennikach pełne skandalów i opowieści zbrodniczych, a z jaką żądzą są one czytane! W interesie to rodziny, Kościoła i państwa, podnieść wszędzie należy religijne wychowanie... Nigdzie, nigdzie w nauce szkolnej niema ani nawet wzmianki o Bogu, jako Stwórcy i Władcy świata, jako o źródle wszelkich praw i wszelkiej władzy... i wy chcecie, by następnie w życiu ta młodzież szanowała prawo i władzę!? Dajmyż więc naszym dzieciom wychowanie religijne! Jest to powinnością rodziców, kapłanów i prawodawców względem Boga-Stwórcy. A jeżeliby się znalazł ktoś, coby twierdził, iż nauka religii w szkole staje na drodze postępowi w innych naukach, to niech pójdzie i obaczy wystawę szkół katolickich! Kto wzrasta na łonie Chrystusowego Kościoła, urasta w świetle a nie w ciemności!"

Ks. arcybiskup Feehan miał tę pierwszą mowę jako gospodarz domu; następną winien był wypowiedzieć człowiek nie mający udziału ani w tym Kościele, ani w zarządzie jego szkół. Arcybiskup wprowadził na mównicę profesora Peabody, protestanta a głównego dyrektora wystawy sztuk wyzwolonych, prezesa szkół w państwie Illinois, znanego zaszczytnie pedagoga. Prof. Peabody przyznał publicznie, a czynił to już nie pierwszy raz, że wystawa szkół katolickich jest drogocenną ozdobą *(the gem)* działu sztuk wyzwolonych, i mówił z całem uznaniem dla zarządu i systemu tych szkół. Żywe oklaski przerywały i zakończyły mowę profesora, nawet siostry zakonne klaskały temu zacnemu człowiekowi, okazując mu wdzięczność za stałą dobroć i bezstronne traktowanie nauczycieli szkół katolickich.

Potem wystąpił ks. Ryan, arcyb. Filadelfii. W mowie swej zrobił nacisk na to, że religia, będąc związkiem Stwórcy i stworzenia, nie może być wykreśloną z programu wychowania. „Każdy powinien być — tak mówił dalej — nietylko człowiekiem nauki, ale co więcej, prawym obywatelem, a to można osiągnąć tylko przez ukształcenie serca. Fałszem jest twierdzić, iż ludzie najwyższej nauki byli bez religii. Azali takimi byli Plato i Sokrates i Pytagoras, Cycero i Pliniusz i Seneka, Augustyn i Tomasz

z Akwinu, Bakon i Kopernik i setki, setki innych? Fałszem jest, iż tylko ludzie bez wszelkiej religii zuolni byli do wyższego polotu i głębszych badań! Azali ich nie miał Tomasz z Akwinu, najdzielniejszy obrońca religii?... i któżby śmiał to twierdzić?... Katolicy nie dążą do powstrzymania rozwoju nauk, nie mają żadnej obawy w tym względzie, bo wszelka prawda pochodzi od Boga, a On nie może przecież nauczać czego innego w przejawach natury a czego innego w objawionej przez Siebie religii. Katolicy żądają tylko, by nauka była połączona z religią. Wychowaniem bez religii starać się przeciwdziałać złemu w społeczeństwie, jest to skałę krajać brzytwą. Wychowanie takie może dać wykwintność życiowych form, tak było w Grecyi i Rzymie; przy olśniewającej rzeczywiście wytworności tych form, było najwyższe moralne zepsucie. Przypomnijmy sobie, co Jerzy Washington mówi o konieczności religijnego elementu w wychowaniu — a teraz naukę religii chcą ograniczyć do jednej godziny w tygodniu. Kto w tak skąpo wymierzonym czasie mógłby się nauczyć rachunków lub gramatyki? Azali czystość obyczajów i praw uszanowanie jest mniej ważnem, niż umiejętność władania liczbą i słowem? Szaleńcem jest, kto żąda moralności społecznej bez podstawy religii — jak gdyby chciał kwiatu i owocu odciąwszy roślinę od jej korzenia".

Po kilku innych mowach wystąpił biskup Spalding, prowadząc pod ramię ukrytego dotąd za plecami dostojników skromnego zakonnika, Brata Szkolnego Maureliana, naczelnego organizatora wystawy szkół katolickich. Gdy oklask tysiąca rąk rozgrzmiał po sali, blade lica zakonnika skraśniały rumieńcem. W milczeniu z pochyloną głową stał przez chwilę na estradzie, i znowu wrócił na swoje miejsce w ukryciu. Pieśń: „Święty Boże! wielbimy Imię Twoje!" zakończyła uroczystość, po której liczne grono zebranych udało się do działu sztuk wyzwolonych, by oglądać wystawę, o której tylko co mówiono.

W parę dni potem, w poniedziałek 4 września, rozpoczął się kongres katolicki, jeden z pierwszorzędnych tak co do liczby biorących w nim udział, jakoteż i pod względem swego charakteru i organizacyi. Po tygodniu w tymże samym gmachu miały

się zebrać wszystkie religie świata. Katolicy więc powinni byli, i chcieli godnie na tem zgromadzeniu wystąpić, tj. okazać światu cały obszar i potęgę wyznawanych przez siebie zasad i jedności, karny ustrój swojego Kościoła. — Kongres przeto katolików różnił się od innych najpierw tem, iż nie był tylko zgromadzeniem ludzi jednego zawodu lub pokrewnych sobie instytucyj i zajęć, którzy, znalazłszy się razem, wpisywali imiona swoje na listę członków i tak tworzyli kongres; lecz był to sejm katolicki Stanów Zjednoczonych. Dyecezye i wikaryaty wybierały delegatów i tylko opatrzeni kartą poselską, wydaną w konsystorzu, mieli prawo wejścia do sali Kolumba, podzielonej na grupy krzeseł, odpowiednio do liczby dyecezyj i ich wysłańców. Nadto, tylko zaproszeni, w liczbie których byli i niekatolicy, mieli prawo wstępu na tę salę mieszczącą blizko 4000 osób. Na obszerną, przeszło 2000 osób mieszczącą galeryę, wstęp był wolny. Prócz tego dodać należy, że na innych kongresach były tylko odczyty, w wyjątkowych jedynie razach dyskusye, uchwał nie było żadnych. Kongres katolicki przeciwnie! wyznaczył komisyę, która miała reasumować to wszystko, co było na nim wypowiedziane, i na podstawie tego zakończył swe posiedzenia ogłoszeniem uchwał, obowiązujących wszystkich, bezpośrednio lub pośrednio biorących w nim udział, to jest wszystkich katolików Stanów Zjednoczonych. Te uchwały to pierwsze słowo, z którem katolicy stanęli później wobec kongresu wszystkich wyznań świata.

W sali Kolumba odbywały się główne posiedzenia, w równejże wielkości sali Washingtona odbywał się kilkotysięczny podkongres Stowarzyszenia młodzieży katolickiej; w innych 14-tu salach obradowały rozmaite komisye, komitety i sekcye kongresu, jak np. sekcya katolików innej rasy, tj. Indyan i Murzynów, sekcya Towarzystwa św. Wincentego à Paulo i t. p. Kongres więc katolików musiał poprzedzić kongres wszystkich religij, a przez to odniósł jeszcze jedną bardzo wielką korzyść, mianowicie, że uwaga wszystkich w ciągu tygodnia była nań zwrócona wyłącznie. Wszystkie tu podniesione względy zebrane razem, nadały temu kongresowi wybitną cechę. I formą i treścią kongres

katolików stanął odrębnie, aczkolwiek pośrodku innych kongresów i w związku z niemi.

W dniu 4-go września o rannej porze na *Wabasch-avenue* koło kościoła P. Maryi roiły się tłumy, a każdy pociąg przepełnionych omnibusów, dojechawszy do tego miejsca, wyruszał w dalszą drogę próżny. Gdy otworzono kościół, w jednej chwili się napełnił, a nowoprzybywający musieli już stać pod odkrytem niebem. W presbiteryum widziałeś tylko purpurę i fiolety. Po Mszy świętej wszedł na kazalnicę ks. Muldon, kanclerz dyecezyi. Wzniosłemi a serdecznemi słowy witał wszystkich przybyłych w imieniu dyecezyi i miasta Chicago, w którem aczkolwiek dopiero przed 60 laty stanął pierwszy, ten właśnie N. Panny kościół, dziś już ono zajmuje w świecie katolickim pierwszorzędne miejsce. Dziś do tego miasta po wszystkich drogach i ze wszystkich ludów dążą wędrowce, by podziwiać olbrzymią wystawę, w której nie możesz jednego kroku zrobić, byś nie spotkał świadectwa, w jak wielkiej części do jej utworzenia przyczynili się katolicy. „Przybyliście tutaj — mówił kaznodzieja — by wieść narady nad sprawami najwyższej wagi za dni naszych. Oczy całego świata zwrócone są na was. Wszyscy ludzie dobrej woli a szukający światła i prawdy, oczekują od was jej słowa. Wpływ waszych narad i prac ma objąć nietylko katolików, lecz i tych waszych braci, którzy stoją poza obrębem naszego Kościoła. To zgromadzenie wasze winno mieć doniosłość najwyższej wagi dla świata wszech religij. Materyalizm dławi ludzkość i słychać zewsząd krzyk rozpaczy: światła nam trzeba, pragniemy prawdy! Jeden woła: niemasz Opatrzności! człowiek sam sobie winien nią być!... Inny pyta: co to jest religia, i czy istnieje jaka?... A jeszcze inny woła: precz z dogmatami i wiarą,— rozum i prawość charakteru wystarczy! — Kto zapanuje nad wirem tych mętów?... To zadanie Kościoła, który zbudował Bóg-Człowiek. Kościół ma dosyć środków leczniczych na te cierpienia ludzkości, lecz by tego dokonać, musi mieć wiernych synów, gotowych do poświęceń i pracy bez wytchnienia. Zstąpmy do głębi naszego życia, naszych spraw społecznych, przeistoczmy je wedle dogmatów i zasad naszego Kościoła, a wtedy i ci, którzy poza

nim stoją, klękną przed nim i czcić go będą. Kościół już nieraz okrył się chwałą w tej pracy duchowej, lecz nie żyć nam chwałą przeszłości, gdy trzeba pracy na przyszłość... Oto przed nami stoi praca olbrzymia — zbawienie tylu zbłąkanych dusz... Kto z prawych katolików może pozostać bezczynnym? W imię tej pracy, Bracia najdrożsi! witamy was! Witamy Imieniem Chrystusa, który za każdy najmniejszy czyn dla Niego podjęty garnie nas ku Sercu swemu, błogosławi nas... On was powołał do pracy na dzisiaj!"

Po udzielonem przez ks. Gibbonsa błogosławieństwie, zgromadzenie całe ruszyło procesyą ku „Pałacowi kongresów". Na schodach gmachu oczekiwał gospodarz domu, prezes *Auxiliary*, dr. Bonney, protestant.

Tymczasem w sali Kolumba nie było już jednego wolnego, nietylko krzesła, lecz nawet miejsca, gdzieby stanąć było można, toż samo na galeryi. Zaledwo zdołałem się docisnąć do stołów przeznaczonych dla korespondentów. Na innych kongresach było ich zwykle czterech, pięciu — dziś blizko dwudziestu. Gdy wszedł na salę ks. Gibbons, prowadzony przez d-ra Bonney, a za nim cały orszak w purpurze i fioletach, zabrzmiały tryumfalnie organy na chórze, całe zgromadzenie powstało z miejsc, a okrzykom powitalnym nie było końca. Pośrodku trybuny zasiadł ks. Gibbons, a obok niego po prawej ręce dr. Bonney. Nad nimi, ponad prezydyalnem, pustem krzesłem, za którem stał trójramienny krzyż i chorągiew papieska, wisiał portret Leona XIII., na prawo portret Kolumba, na lewo Washingtona. Ściany były okryte festonami białej i żółtej barwy, a nad niemi krzyżowały się biało-czerwone, gwiaździste chorągwie Stanów Zjednoczonych. Na dwóch krańcach trybuny, wśród zieleni krzewów, stały popiersia kardynałów Newmana i Manninga.

Gdy w sali zapanowała cisza, a sekretarz kongresu p. Onahan ogłosił jego otwarcie, powstał ks. arcyb. Feehan, witając zgromadzenie w imieniu katolików miasta Chicago. Wypowiedziawszy, iż celem tego kongresu nie ma być roztrząsanie dogmatów wiary, lecz tylko spraw stojących z niemi w związku, jakoto: sprawy socyalnej, sprawy szkół katolickich i t. p. — wzywał do

pracy wytrwałej a surowej, do pamiętania, iż cały świat ma na nich zwrócone oczy, że oni są w tej osobie przedstawicielami 10,000.000 obywateli Stanów Zjednoczonych [1], a pod pewnym względem całego Kościoła katolickiego, dla którego z ich narad i prac powinna urość sława i cześć u wszystkich wyznań i wszystkich narodów. — Gdy skończył, podprowadził ku mównicy d-ra Bonney. Staruszek, widocznie wzruszony, opowiedział w krótkiej przemowie, jaką drogą przyszło do obecnej łączności protestantów i katolików, i wskazał Manninga i Gibbonsa, jako ludzi mających największą zasługę w tej sprawie. „Katolicy — mówił — podnieśli zasadę wstrzemięźliwości, następnie sprawę ludu roboczego, wreszcie szkół i wychowania — oto są węzły, które nas połączyły. Zarówno wyznajemy, że r e l i g i a, moralność i nauka winny być zawsze razem — lecz nie n a u k a, moralność i religia. Gdy biskup Spalding mówił: ‚chcemy jedności w narodzie, bo on cały należy do Boga' — tysiące protestantów przyklasnęło mu wtedy. Lecz kto nas najbardziej łączy i sprawę tę popiera, to ten niezwykły człowiek, stojący na czele Kościoła katolików, papież Leon XIII. Jako głos dzwonu zwiastującego nową epokę, były jego poważne słowa do ludu Ameryki: ‚Kocham ten lud i jego ziemię i sercem się kłonię ku wszystkim jej mieszkańcom i protestantom i innym. Pod obroną konstytucyi religia ma wolność i rośnie w potęgę, bo gdzie Kościół wolny, tam on musi wzrastać. Więc błogosławię Amerykanom i kocham ich za prawy, otwarty charakter, za szczerą ich cześć dla chrześcijanizmu i chrześcijańskiej moralności. Mojem jedynem życzeniem jest, abym mógł wszelką moją władzą popierać dobro tego narodu — całego narodu, zarówno protestantów jak katolików. Życzeniem jest mojem, by mię protestanci szanowali tak samo, jako i katolicy'... Czyż dziwnem się wyda, że my, protestanci, szanujemy i kochamy Leona XIII., gdy on do nas w te słowa przemawia?" — Długo musiał czekać staruszek nim w sali znowu zapanowała cisza i mógł zakończyć swą mowę. „Ślepemi za-

[1] Zapewne myślał i o katolikach Kanady, bowiem w Stanach Zjednoczonych jest tylko 6,231.000.

prawdę muszą być oczy, którym nie dano przejrzeć, dokąd dąży ludzkość dzisiejsza i że już idzie i blizki jest wiek, gdy wcieli się w życie przepowiednia Zbawcy naszego o jednym pasterzu i jednej owczarni! W tem uczuciu i w tej myśli pozdrawiam i witam kongres katolików!“ — Wszyscy dostojnicy naszego Kościoła ściskali ręce zacnego mówcy innego wyznania.

Po nim wystąpił komisarz wystawy, Tomasz Bryan, który jeździł do Rzymu, prosząc Papieża o poparcie, naówczas jeszcze organizującej się, wystawy. Do niego to, jak mi powiadano, odezwał się Leon XIII. w te słowa, które cytował Bonney. Poparciu Papieża i gorliwemu współudziałowi katolików przyznał p. Bryan, także protestant, ogromną zasługę w tem, iż zamiar stał się rzeczywistością a chlubą całego narodu.

Potem powstał kardynał Gibbons i po krótkiej przemowie, wśród burzy oklasków, doręczył sekretarzowi list od Papieża z błogosławieństwem dla kongresu. Gdy sekretarz Onahan stanął przy mównicy, całe zgromadzenie powstało. Mianowaniem p. Morgan'a J. O'Brien'a, sędziego z Nowego Jorku, prezesem kongresu, skończyło się wstępne jego posiedzenie, biskupi opuścili zgromadzenie i poczęto odczytywać z kolei rozprawy o przedmiotach wymienionych w programie kongresu.

Rozpraw tych odczytano w ciągu pięciu dni przeszło 40, nie licząc przemówień Arcybiskupów, miewanych wyłącznie na posiedzeniach wieczornych. Szereg rozpraw przerywany był od czasu do czasu podaniem wyników narad w oddzielnych komisyach. Omówione były wszystkie główne sprawy. O kwestyi robotniczej w myśl encykliki Ojca świętego było 15 rozpraw, o wszystkich punktach, poczynając od praw pracy i obowiązków kapitału, a kończąc na wędrówce robotniczych mas. O stanie obecnym i w przyszłości Indyan i Murzynów były trzy odczyty. W sprawie wychowania było pięć odczytów i t. d. Czwartek był wydzielony na odczyty kobiet. W liczbie sześciu prelegentek była wielce zasłużona staruszka, p. Starr; mówiła o wpływie kobiety na sztukę i literaturę. Na to posiedzenie przyszły, aczkolwiek protestantki, panie Potter Palmer prezydentka i Karolina Heurotin wiceprezydentka kongresów *Auxiliary*. Panu d-rowi

Bonney i tym dwom kobietom, a szczególnie ostatniej, trzeba przyznać największą zasługę w zorganizowaniu tych zgromadzeń. Kongres katolików przyjął je z najwyższym szacunkiem i hucznemi oklaskami; proszono, by zechciały zabrać głos, lecz się wymówiły.

Niemożebną jest rzeczą, chociażby w streszczeniu podać cały szereg rozpraw i przemówień, więc tylko niektóre z nich, najgłówniejsze, postaram się scharakteryzować krótkiemi słowami. Jeden z pierwszych odczytów traktował o władzy świeckiej Papieża. Pan F. Morris dowodził, a to z wielką znajomością rzeczy, że pierwsze urzędowe nadanie krajów Stolicy Apostolskiej było tylko zatwierdzeniem faktu istniejącego od wieków; ludność bowiem owych prowincyj widziała zawsze najwyższą władzę jedynie w Papieżu, do niego tylko zwracała się we wszelkich sprawach o pomoc, o radę, obronę i t. p. Odnośnie do dzisiejszej epoki twierdził, iż Rzym powinien się stać miastem zupełnie niezależnem, bo jest on centrem religijnem, należącem do całego świata katolickiego, jako rezydencya Papieża, sędziego i rozjemcy wszystkich sporów międzynarodowych. — Na drugi dzień kongresu rozdano obecnym i przeczytano głośno encyklikę Papieża o sprawie socyalnej, a biskup Watterson miał o temże rozprawę, w której podniósł to, iż Stolica Apostolska była zawsze pierwszą w obronie uciśnionych; położył również nacisk na to, że jeżeli duchowieństwo nie weźmie tej sprawy w swe ręce i nie poprze jej silnie, to wszelkie inne usiłowania nie będą skuteczne. Właśnie biskup kończył swą mowę, gdy wtem — całe zgromadzenie powstało, poczęło wołać i powiewać chustkami. Na estradę wszedł ks. arcyb. Satolli, delegat Ojca świętego, w towarzystwie ks. arcyb. Ireland'a. Gdy się zgromadzenie uciszyło, ks. Satolli miał mowę po włosku, którą następnie w języku angielskim zreasumował arcyb. Ireland. Gdy, omówiwszy swobody Ameryki i wpływ ich na rozwój ducha religijnego, mówca wygłosił słowa: „Niech prawda chrześcijańska i wolność Amerykanów idą zawsze razem... Naprzód! wciąż naprzód! z ewangelią w jednej ręce, a konstytucyą Stanów Zjednoczonych w drugiej“... huknęły takie gromy oklasków, okrzyków i stukania laskami, że, nieprzy-

wykły do tego, zerwałem się od stolika i ze strachem spojrzałem na salę, myśląc, że coś się złego stało.

Wieczorem jeszcze kilka razy byłem świadkiem takichże oklasków i okrzyków zachwytu przy mowie arcyb. Ireland'a, bo też on jest mówcą, któremu równego do dziś nie spotkałem. „Czuję to żywo, — mówił — że od dni tego kongresu pocznie się nowa era, w której o wiele więcej niż wprzódy winniśmy światu pokazać, że jesteśmy zarazem katolikami i Amerykanami, którzy zgodnie ze słowami wysłańca Ojca świętego, niosą w jednej ręce ewangelię, a w drugiej konstytucyę naszego kraju. Oto jest hasło nasze, hasło nam dane od Ojca świętego... W jednej ręce ewangelia — wiara ojców naszych, której my wierni być chcemy w myśli, słowie i czynie — w drugiej ręce konstytucya Stanów Zjednoczonych — i pokażmy światu, iż dlatego właśnie, że jesteśmy katolikami, jesteśmy najlepszymi, najgorliwszymi obywatelami Amerykanami! Są, Bogu dzięki, nieliczni, którzy naszą miłość kraju mają w podejrzeniu, którzy wszelkie jej objawy z naszej strony zwą parodyą rzeczywistego patryotyzmu. Sami, nie mając szczerego uczucia, podejrzewają drugich. Dlaczego nie mamy głosić naszego patryotyzmu? My kochamy wszystko, co wielkie i dobre, kochamy więc naszą republikę, kochamy jej wszystkie instytucye, bo one nam dają wolność i dobrobyt... A że jesteśmy katolikami, więc ta miłość nasza jest dwakroć większa niż innych, bo my w patryotyzmie widzimy nie ziemską jedynie, lecz i nadziemską cnotę. Całą potęgą serca my katolicy lgniemy do tej chorągwi naszego kraju, która całemu światu jest godłem wolności... Kochamy konstytucyę Stanów Zjednoczonych, która Kościołowi naszemu daje taką swobodę działania i pracy, jakiej on nigdzie nie ma. Więc zawsze i wszędzie dawajcie głośny wyraz swojej miłości ojczyzny, niech wszyscy wiedzą, że katolicy mają — jeśli to być może — większą niż inni miłość tego kraju, a to dlatego, że tak nas uczy wiara nasza. Pokażmy światu, że swoboda i prawa republiki w niczyich rękach nie są bezpieczniejsze niż w naszych, katolików... W jednej ręce ewangelia, w drugiej konstytucya Stanów Zjednoczonych! — A teraz jedno słowo o samym

kongresie i o encyklice Papieża. Znacie te słowa naszego Pana: ‚Kochaj Boga z całej duszy twojej i z całego serca twojego, a bliźniego swego jak siebie samego'... Bóg nie żąda od nas miłości tylko dla Siebie wyłącznie. Jeśli kochamy Boga, winniśmy kochać bliźniego, winniśmy go kochać i duszą z ciałem. Ziemia jest dana ludziom na wspólne mieszkanie, więc komu z jej bogactw więcej w udziale przypadło niż innym, ten ma pamiętać, iż dobra te dzielić powinien między uboższych swych braci, bo jesteśmy tu jedną rodziną Boga! W ewangelii spoczywa najwyższe i najświętsze słowo społecznej sprawy, a kto jemu czynem nie przyświadcza, ten kłamie, gdy patrząc w niebo, mówi: ‚Ojcze nasz, któryś jest w niebiesiech'... Oto jest prawda zawarta w ewangelii! oto nauka, którą nasz Kościół katolicki głosi! to powinność wasza, katolicy, wcielić ją w życie... Azali myślicie świat nawrócić słowem?... Nasz wiek już na śmierć znużony czczą walką słów... on woła na nas: ‚pokażcie nam wiarę waszą w życia codziennych czynach... poznamy drzewo po jego owocach'... Krzewmy więc miłość bliźniego wszędzie, we wszystkich kierunkach, nie uznając żadnych granic, ani mowy, ani narodu, ani rasy. Podajmy w tej sprawie rękę każdemu, ktokolwiekby on był, z naszego narodu lub nie; biedny czy bogaty; katolik czy też innego wyznania; krzewmy tę miłość bliźniego w życiu prywatnem i w najszerszych kołach życia publicznego. Katolik, który głosuje za prawem przeciwnem miłości bliźniego, kłamie swej wierze i jest mordercą dusz. Ah! miłość bliźniego z polityki jest wykreślona, jak gdybyśmy Bogu mówili: ‚chwalimy Ciebie codziennie, dajemy jałmużnę, czynimy wszelkie dobre uczynki, lecz się nie mieszaj do naszej polityki'... *(if you please, hands off)*". Tu ściany sali zadrżały od grzmotu przeciągłego oklasków. „Pracujmy z całych sił naszych, — tak kończył — niech człowiek świecki nie czeka w tej rzeczy na zachętę swego kapłana, kapłan na zachętę biskupa, biskup na zachętę Papieża. Pracujmy silni wiarą, a staniem na czele ludzkości; wwiedziemy ją znękaną głodem i pragnieniem do wielkiej świątyni, nad bramą której będzie świecił napis: Kościół katolicki!"

Trzeba jeszcze wspomnieć o mowie biskupa Keane'a, prezydenta katolickiego uniwersytetu. Niezwykle piękna ta mowa była reasumpcyą tych wszystkich poglądów na wychowanie młodzieży, któreśmy szczegółowiej wypowiedzieli przy opisie dnia szkół katolickich; muszę jednakże podać z niej przynajmniej ten ustęp, którego myśl przewodnia bardzo się różni od naszych pojęć europejskich. „Pozwólcie mi tu raz na zawsze zaznaczyć, — tak mówił biskup katolicki, jeden ze świeczników naszego Kościoła w Ameryce — iż, mówiąc o wychowaniu człowieka, nie wyłączam zupełnie kobiety — przeciwnie! twierdzę to stanowczo, iż kobiecie trzeba dać wszelkie wychowanie, jakiego ona tylko pragnie i za korzystne dla siebie uznaje. Wszystko, co będę mówił o wychowaniu, proszę, by rozumianem było zarówno tak o jednej jak i o drugiej płci; słowem ‚człowiek' obejmuję obie bez żadnej różnicy". W mowie swej miał na względzie wyłącznie wyższe zakłady naukowe; podniósł to, iż matką wszystkich uniwersytetów był Kościół katolicki; że i ten uniwersytet, na czele którego sam stoi, jest także tegoż Kościoła dzieckiem; a wkońcu twierdził, że nic bardziej nie przyczyni się do rozwiązania sprawy społecznej, nad rozwój wyższych szkół i uniwersytetów katolickich.

W sobotę rano ogłoszono rezolucye kongresu. Odczytano je wobec świetnego — równie jak przy otwarciu kongresu — zgromadzenia najwyższych dostojników Kościoła — a były następującej treści:

1) Zatwierdzamy rezolucye katolickiego kongresu, odbytego w Baltimore 11-go i 12-go listopada 1889 roku.

2) Oświadczamy największe posłuszeństwo władzy Papieża, najgorętsze uczucie miłości dla naszego Ojca i wdzięczność za to, iż przysłał nam swego delegata, co uważamy za żywy objaw jego ojcowskiej pieczołowitości o Kościół katolicki w Ameryce. Najgorętszem pragnieniem naszem jest, by Stolica Apostolska była najzupełniej niezależną i wolną w sprawowaniu tego najwyższego urzędu, który jej Bóg powierzył dla dobra całej ludzkości.

3-ci punkt wypowiada podobne uczucia względem hierarchii kościelnej w Stanach Zjednoczonych.

4-ty punkt mówi o sprawie socyalnej, o prawach pracy i obowiązkach kapitału; odzywa się do wszystkich ludzi dobrej woli, do katolików i niekatolików, by szli za wskazówką, daną w encyklice papieża Leona XIII.

5-ty mówi o konieczności wprowadzenia w życie rozjemczych sądów między pracodawcą a robotnikiem.

6-ty mówi o przeciwdziałaniu zgubnym wpływom socyalistycznych i anarchistycznych doktryn, a to przez najżywsze popieranie chrześcijańskich stowarzyszeń i rozszerzanie przez nie pism, w którychby wykładane były zgodne z chrześcijańskiemi zasadami poglądy na władzę, wolność i rozmaite ustawy państwowe.

7-my mówi w myśl encykliki papieskiej o koniecznem popieraniu wszelkiemi środkami wysiedlania się ubogiej ludności wielkich miast do okolic rolniczych i pomagania jej w nabywaniu małych własności ziemskich.

8-my zachęca do łączenia się w związki tego rodzaju, jakim jest Towarzystwo św. Wincentego à Paulo.

9-ty mówi o sprawie wstrzemięźliwości i o dotyczącem prawodawstwie.

10-ty podnosi sprawę kształcenia Murzynów i Indyan.

11-ty kładzie nacisk na utrzymanie wszelkich praw katolickich szkół parafialnych i innych zakładów naukowych, a szczególnie katolickiego uniwersytetu, i na staranie o to, by nauki w nich były w takim rozwoju, jakiego wymagają potrzeby kraju i naszego wieku. Tylko w szkołach katolickich jest przyszłość naszego narodu... „tylko dzwonek szkolny i dzwony kościoła mogą podtrzymać dźwięk dzwonu wolności".

12-ty popiera katolickie szkoły letnie[1] i katolickie czytelnie wszelkiego rodzaju, w związku z rozszerzonemi uniwersytetami.

13-ty zaświadcza, iż Towarzystwo Amerykańskie chrześcijańskiej prawdy, powstałe w myśl uchwał kongresu w Balti-

[1] Szkoły letnie, t. zw. *Chautauka,* i w związku z niemi rozszerzone uniwersytety *(university extension),* są to pedagogiczne, wybitnie amerykańskie instytucye, wymagające bardzo obszernych wyjaśnień.

more, niesie ogromne usługi Kościołowi, szerząc prawdziwe zasady wiary katolickiej.

14-ty wzywa katolików i niekatolików, aby się łączyli w gorących usiłowaniach, by wypleniać wszelkie utwory literackie, szerzące niemoralność.

15-ty przeciwi się stanowczo usiłowaniom, aby znieść święto niedzielne, i wzywa również na pomoc wszystkich współobywateli.

16-ty podnosi zasadę sądów polubownych we wszelkich sprawach międzynarodowych, wskazuje Kościół i Stolicę Apostolską jako trybunał tych spraw i wypowiada nadzieję, że tą drogą przyjdą szczęśliwe czasy, gdy klęska ludzkości — wojny narodów ustaną.

„Punkt ostatni. Jako wierni obywatele kraju oświadczamy swoją miłość i cześć dla naszej sławnej Rzeczypospolitej i protestujemy wobec całego świata, jakoby istniał jaki antagonizm między naszemi obowiązkami względem Kościoła i takiemiż względem państwa. Hasłem naszem niech będą słowa wysłańca Stolicy Apostolskiej: ‚Naprzód! Z Ewangelią Chrystusa w jednej, a konstytucyą Stanów Zjednoczonych w drugiej ręce'.— Religia, cnota i nasza wolność narodowa niech nam będą na wieki świętą spuścizną ojców naszych".

Tem się skończyły prace kongresu katolików Stanów Zjednoczonych Ameryki. Oto jak się przygotowali i jak stanęli katolicy Ameryki w przededniu kongresu wszystkich religij, w przededniu wejścia w zapaśnicze szranki z ludami innego wyznania. Stanęli do tych zapasów z otwartą przyłbicą, głosząc najjawniej, iż tylko ich wiara jest jedyną prawdą — lecz zwąc braćmi w Bogu swych przeciwników, nie walkę im niosąc, lecz słowa miłości i pojednania, wołając ich kilkakroć do wspólnej pracy... Była to wielka a szczytna chwila misyi katolików do wszech ludów... Książęta Kościoła katolickiego, naczelni mężowie tego kongresu, Gibbons, Ireland, Keane i inni, weszli do parlamentu wszech religij, jako misyonarze... a podjęli pracę o wiele trudniejszą, niż tychże, bo nie szli do ciemnych, nieokrzesanych a dzikich ludów, lecz stanęli wśród ludzi równych sobie, a nie-

raz może i wyższych nauką, oświatą, ogładą, lecz słabych chwiejnością swych wierzeń, słabych rozterką we własnej duszy...

Pozostaje mi jeszcze wspomnieć przynajmniej o zajściu na sesyi ostatniej, a to ze względu, iż ono stoi w związku z naszym narodem i ostatniemi dziejami jego Kościoła. Muszę to jednak poprzedzić następującemi uwagami. W Stanach Zjednoczonych są trzy wielkie narodowe a katolickie grupy: Irlandczycy, Niemcy i Polacy. W grupie pierwszej mieszczą się także Anglicy i Amerykanie, którzy, chociaż nie pochodzą z krwi Irlandczyków, muszą być do niej zaliczeni, najpierw dla wspólności języka i krwi, a powtóre dlatego, że przywódcy tej grupy jakoteż i całego Kościoła katolików w Stanach Zjednoczonych są przeważnie Irlandczycy. Niktby temu ich przywództwu nie był niechętnym, bo każdy musi im przyznać wyższość inteligencyi i siłę charakteru; gdyby nie ten wzgląd, że Irlandczyk odznacza się egoizmem, tak w życiu prywatnem, jakoteż publicznem. Wszystko, co nie jest irlandzkie, nie ma prawa bytu i powinno utonąć w tym żywiole. Dziwnem jest, że takimi są wychodźcy z narodu, który sam tyle cierpiał za wiarę i narodowość. Oni są największymi przeciwnikami rozwoju właściwości narodowych w łonie Kościoła katolickiego w Ameryce. Niemcy już najotwarciej wypowiadają swą niechęć ku Irlandczykom[1]. Arcybiskup Ireland jest ich zmorą. We wszystkiem, co jest przeciwne ich interesom, dopatrują ukrytej intrygi Irelanda. Polacy również nie mają do tego narodu sympatyi, dotąd jednakże zachowują milczenie. Gdyby Polacy i Niemcy mieli dostateczną liczbę ludzi wykształconych i gdyby wzięli się za ręce, toby na pewno odsunęli Irlandczyków na drugorzędne miejsce, na którem oni liczebnie stoją. Niestety! nie mają Niemcy, a jeszcze mniej Polacy, takich przywódców, Irlandczycy czują swoją potęgę, a zazdrośni o nią, starają się wszelkiemi siłami niedopuszczać żadnej innej narodowości do głosu i wpływu. Kongres katolików w pierwotnem założeniu, jako jeden z kongresów *Auxiliary*, miał być międzynarodowym, lecz wtedy byłoby rzeczą

[1] Patrz ich organ *Kathol. Sonntagsblatt.*

konieczną dać równy głos wszystkim narodom i przyjąć ich przedstawicieli; to się sprzeciwiało egoizmowi Irlandczyka. Wyłączono więc z programu wszystkie sprawy dotyczące polityki narodów, ogłaszając zarazem, iż tylko jako goście będą przyjęci katolicy, nie należący do dyecezyj Stanów Zjednoczonych. Z założonego na wielką skalę, w myśli kardynała Manninga i innych, kongresu katolików całego świata na wolnej ziemi — egoizm Irlandczyka wykroił, brzegami Atlantyku i Oceanu Spokojnego ściśle ograniczony, kongres Stanów Zjednoczonych. Wyłączając z programu swych narad wszelkie sprawy narodowe, określił również i jego duchową doniosłość. Tym razem mogło to mieć bardzo niemiłe wyniki. — Druga rzecz, którą trzeba poprzednio jeszcze opowiedzieć, jest następująca: Polacy, wiedząc iż się formuje międzynarodowy kongres katolików, postanowili należeć do niego i podać memoryał o stanie Kościoła naszego w Rosyi i o męczeństwie Unitów. Staraniom ks. Wincentego Barzyńskiego należy zawdzięczać, iż memoryał taki został przez arcybiskupa Feehana przyjęty przychylnie i polecony komitetowi redagującemu rezolucye kongresu, aby umieścił też ustęp dotyczący tego memoryału, po odczytaniu którego miano rozdać odpowiednią broszurę wszystkim obecnym. Lecz co innego prezes komitetu, arcyb. Feehan, a co innego komitet. Memoryał i polecenie Arcybiskupa schowano pod sukno i w rezolucyach nie było o tem ani słowa. Wszystkie więc usiłowania Polaków miały się skończyć na niczem, gdy wtem zdarzyło się owo zajście, o którem chcę wspomnieć, i które choć trochę nam pomogło:

Gdy rezolucye zostały odczytane, naraz powstaje jeden Irlandczyk i podniesionym tonem woła: „Proszę o głos!“... Nie zważając, że prezes jeszcze mu tego nie udzielił, poczyna wyrzucać kongresowi, że on ani jednem słowem nie wspomniał o prześladowaniu Irlandczyków; woła, iż to nie jest kongres katolicki, a więc nie chce do niego należeć i opuszcza go. I rzeczywiście ruszył już ku drzwiom. Dość liczne oklaski ozwały się po sali, kilkunastu delegatów powstało także z miejsc, zapewne w zamiarze, aby pójść jego śladem... słowem, czuć było burzę w powietrzu. Na trybunie okropne zamieszanie i pospieszne na-

rady, co należy począć, a prezes, uprosiwszy chwilę spokoju, począł poważnie tłumaczyć, że kongres nie wspomniał o sprawie Irlandyi dlatego, iż z programu swego wykreślił wszystkie sprawy polityczne, „gdyby bowiem był podniósł sprawę Irlandyi, musiałby podnieść i inne też sprawy, naprzykład strasznego prześladowania Polaków w Rosyi (oklaski w całej sali [1]) i innych narodów“.. Zażegnało to burzę chwilowo, lecz niezupełnie; sędzia Moran użył środka, w wielu razach bardzo skutecznego w Ameryce, a mianowicie nastroił swą mowę na ton żartobliwy i, podskakując swą okrąglutką figurą na trybunie, woła tonem śmiechu: „Więc dobrze! Niech kongres oświadczy swoje sympatye dla wszystkich ludów uciemiężonych — dla Irlandczyków, Polaków i Żydów w Rosyi“, dodał z naciskiem, i aż przysiadł na swych krótkich nóżkach, taki był zadowolony ze swego konceptu. Środek się nadał, bo i w zgromadzeniu niektórzy parsknęli śmiechem, inni ochłonęli. Prezes wyzyskał tę chwilę, poddał pod głosowanie niefortunny wniosek w powyższej formie; wniosek przyjęty jednogłośnie, skandal zażegnany. W kilka minut potem prezes po raz ostatni uderzył młotkiem w mównicę, kongres się skończył, a dla nas Polaków była na razie ta korzyść, iż mieliśmy podstawę, by nasz memoryał rozdawać wychodzącym z sali kongresu.

Lecz co tu robić z ostatnim, a tak niespodzianym punktem rezolucyi? Dzień cały chodziłem jak struty, nie mogłem tego strawić; ostatecznie napisałem do prezesa i do sekretarza kongresu list temi słowy:

„Szanowny panie Prezesie! Proszę mi darować, że się ośmielam utrudzać go moją korespondencyą, lecz oto już dzień upłynął od chwili zamknięcia kongresu, a jeszcze jestem pod tem bolesnem wrażeniem, którego w owej chwili doznałem.

„Przedewszystkiem muszę zaznaczyć, że nie jestem obywatelem Ameryki, lecz przybyłem tutaj, by opisać wasz prze-

[1] Oklaski, stukanie laskami i t. p., nie oznacza u Amerykanów wyłącznie pochwały, zachwytu i t. p. W tym naprzykład razie znaczyło stwierdzenie faktu i pewnego rodzaju oburzenie i sympatye dla uciśnionych. Witają oklaskami, żegnają oklaskami i t. p.

śliczny ‚biały gród' i dać sprawozdanie z waszego ‚letniego wszechświatowego uniwersytetu'[1], a przedewszystkiem z przebiegu kongresów religijnych. Nie opuściłem żadnego posiedzenia kongresu katolików i byłem nad wszelki wyraz zbudowany. Najpierw olbrzymim udziałem w tem zgromadzeniu, jakiego do dziś jeszcze nie widziałem; następnie tym zapałem religijnym, skierowanym bezpośrednio ku bieżącym sprawom społecznym; tą szczerą a głęboką czcią, jaką otoczeni są wasi dostojnicy Kościoła — a gdy arcybiskup Ireland karcił dzisiejszą politykę, która się bożych zapiera praw, i gdy się sala trzęsła burzą oklasków, wtedy wołałem w zachwycie: ‚oto są prawdziwi katolicy!' Trzebaż mi było po tygodniu takiego podniesienia duchowego być obecnym scenie niezwykle dziwnej... Irlandczycy domagali się, by kongres dał wyrok w ich sprawie politycznej. Odpowiedziałeś WP. Prezesie stanowczo, lecz spokojnie, że kongres wykreślił z programu wszystkie sprawy polityczne. Pomijam to, iż mimowoli nasuwa się pytanie: jeżeli nawet kongres katolików w Stanach Zjednoczonych nie ośmiela się i nie chce powiedzieć słowa sądu przywódcom naszej polityki — to któryż kongres na świecie całym będzie miał tę odwagę i chęć? — Pomijam to! Kongres tego nie chciał, więc zgoda! Lecz oto przychodzi najsmutniejsza chwila. Pan N. (nie wiem jak on się nazywa i nie pragnę tej wiadomości), chcąc uspokoić umysły Irlandczyków, wprowadza dyskusyę na ton żartobliwy i przeprowadza przez głosowanie rezolucyę, że: ‚kongres katolików wyraża swoje sympatye dla wszystkich ludów uciśnionych — dla Irlandczyków, Polaków i Żydów w Rosyi'. Pozwolę sobie na małą uwagę w tem miejscu. Kongres usunął z swych narad sprawy polityczne chrześcijańskich ludów, tymczasem ową rezolucyą wypowiedział sąd w sprawie zarazem politycznej i społecznej między schyzmą a synagogą, między dwoma najzaciętszymi od wieków i wszędzie wrogami Kościoła katolickiego. Przejdźmy teraz do sprawy żydowskiej w Europie. Przedewszystkiem wyznaję, iż jestem katolikiem całą duszą. Żydzi są mymi

[1] Tak nazywali Amerykanie wystawę i *Auxiliary*.

braćmi w Bogu, bo za zbawienie ich dusz Syn Boży przelał swą krew. A więc jestem przeciwny wszelkim gwałtom, bo my katolicy uznajemy tylko walkę duchową przez prawodawstwo i wychowanie. Użycie przemocy przez Rosyę jest krzyczącą niesprawiedliwością — tak! lecz przy każdej sprawie trzeba przedewszystkiem poznać jej źródło. Wszyscy lichwiarze w Polsce i Rosyi są to Żydzi; gdzie w większej liczbie się osiedlą, tam ludność wiejska zrujnowana. Wszelkie sprzedaże trunków, wasze *saloons,* są w ręku Żydów i nikt bardziej nie szerzy ‚niewstrzemięźliwości'. Wszyscy pośrednicy złodziei i zbrodniarzy są to również oni; handlarze ‚dziewcząt', bardzo często całkiem niewinnych istot a uwiedzionych obietnicami dobrze płatnej służby, to również oni. Te wszystkie fakta są po tysiąc razy stwierdzone sądownie. Żydzi, to najgorszego rodzaju kapitaliści w stosunku do naszego proletaryatu — do włościan; sercom ich obce jest uczucie litości. I dla tych ludzi, zbrukanych jawnie lub skrycie tylu zbrodniami, kongres katolików Ameryki wyraził swoje sympatye, z powodu nieobmyślanego wniosku pana N... I to jaki kongres? Na czele jego stoi kardynał Gibbons, obrońca pracy biednych, arcybiskup Ireland, najżarliwszy apostoł ‚wstrzemięźliwości' w waszym kraju... Stańmy na innym punkcie widzenia. Z powodu, iż kongres wykreślił wszelkie sprawy polityczne, dlatego w rezolucyach nie było nawet wzmianki o memoryale, podanym przez Polaków. Proszę mi pozwolić zrobić tu uwagę, że nasz memoryał — o ile to było możebnem — nie mówi ani o naszych walkach, ani o stanie obecnym całego narodu, ale przeważnie mówi o prześladowaniu Kościoła, a najwięcej mówi o kilku powiatach wyłącznie. Ci prześladowani za katolicyzm, to wszystko ludzie biedni — po waszemu p r o l e t a r y a t. Nigdzie towarzystwo wstrzemięźliwości nie miało tylu adeptów, ile w tej okolicy. Oni cierpią prześladowanie jedynie za religię, bo to lud znany ze swoich cnót i uległości prawom. Ja żądam od pana N., by mi pokazał choć jednego Żyda w Rosyi, wysłanego na Sybir za religię; a ja mu pokażę tysiące Unitów, jęczących dzisiaj w niewoli jedynie za to, iż nie chcą przyjąć prawosławia. Oto jakich ludzi postawił kongres katolicki na równi z Żydami, dzięki do-

wcipowi pana delegata N. On wymierzył policzek tysiącom męczenników za wiarę i to przed krzyżem Chrystusa i wizerunkiem Jego Namiestnika, w obliczu zgromadzenia książąt Kościoła i tysięcy wiernych tegoż wyznania.

„Niech mi wolno będzie ostrzedz pana Prezesa, by spiesznie zarządził potrzebne kroki, by ta nieszczęsna rezolucya nie była ogłoszona w oficyalnych organach katolickich, jak np. *The World* i innych; bo jeżeli to dojdzie do Europy, to podniesie się burza radości, sarkazmów i bluźnierstw w prasie żydowskiej i antyżydowskiej, która nie jest wcale chrześcijańską, i niestety! będzie powodem wielkiego zgorszenia i smutku w świecie katolickim. Proszę mi pozwolić dodać jeszcze jedną uwagę. Czemu katolicy Stanów Zjednoczonych opuścili taką świetną sposobność, by stanąć na czele całego świata katolickiego — stać się, że tak powiem, ustami Stolicy Apostolskiej, która tam w Europie nieraz jest zmuszoną pomijać fakta milczeniem, by nie pogorszyć i tak już przykrej pozycyi, lub nie powiększyć prześladowania Kościoła w tym lub innym kraju. Przykładem tego *Kulturkampf* w Niemczech, Unici w Polsce i t. p. Usunąwszy charakter międzynarodowy kongresu, który wchodził w skład *Auxiliary,* określając go terytoryalnie tylko na Stany Zjednoczone, wyłączając z jego programu sprawy narodowe i polityczne, kongres ten, oczekiwany jako jeneralny kongres katolików, coś w rodzaju *concilium,* postawiliście na stopie kongresu jak tyle innych. Mieliście przedstawicieli całego świata; za parę miesięcy już ich tu nie będzie, taka świetna sposobność minęła na zawsze.

„Proszę przyjąć wyrazy“ i t. d.

List ten, Bogu dzięki, odniósł swój skutek — w dzienniku *The World,* organie dyecezyi chicagowskiej, nie było ani jednego słowa o ostatniej rezolucyi. Nie wątpię, że i w sprawozdaniach *in extenso,* które mają wyjść w osobnej książce, nie będzie również wzmianki o tem całem zajściu.

Michał Żmigrodzki.

KSIĄDZ KAROL ANTONIEWICZ.

V.

Misye po rzezi.

(Ciąg dalszy).

„Towarzysz mój, Ignacy Skrocki, pozostał przy wiosce. Stosunki i czas nie był najpomyślniejszy do dawania tych nauk. Rozjątrzenie umysłów było jeszcze wielkie, zbrodnia wydawała owoce swoje. Bo chociaż mieszkańce tego miasta do przelania krwi się nie przyczynili, jednak niemały w rabunku udział mieli, co połączone z zepsuciem zagnieżdżonem, zaciemniało umysły, zatwardzało serca...

„W mieszkańcach tego miasteczka dawał się widzieć z jednej strony wyraz bezczelnego zuchwalstwa, a z drugiej strony ten wstyd, z przekonania o podłości i niesprawiedliwości popełnionej, wynikający. I jeżeli część, dzięki Bogu bardzo mała, ludu chodziła i chodzi jeszcze, niestety, jakby napiętnowana tem piętnem bratobójstwa Kaima; większa część czołga się jakby przywalona brzemieniem wstydu, który to słowo: złodziej i rabuś wzbudza w każdym, kto z tych zbrodni rzemiosła nie czynił. Lecz tym razem wszystkie pojęcia ludu pomieszane były, sami nie wiedzieli, czy to co uczynili było dobrem lub złem, czy na karę czy na nagrodę zasłużyli, i nie mieli nikogo, kogoby się poradzić i komuby zaufać mogli. W takiem położeniu jeden ksiądz mógłby ich oświecić, ale i ta ostatnia pociecha i pomoc

odjętą im została. Jakąż mogli położyć ufność w słowach kapłańskich ci, którzy bezkarnie lżyli, wiązali, więzili i zabijali kapłanów? I ten ostatni promyk światła i rozumu, co jeszcze przyświecał w głowach i sercach ludu, zgasł wpośród krwi potoków, i zostali wpośród ciemnej nocy wyrzutów sumienia, nieufności, nędzy i wątpliwości o przyszłości. Ciężko padła na nich ręka sprawiedliwości Boga, bo oni to prawo natury, w sercu każdego zapisane: nie zabijaj, nie bierz cudzego mienia, zgwałcili.

„Jak wielka ta nieufność ku księżom się okazała, dosyć przykładów zaświadcza. W jednej parafii proboszcz, przed temi rozruchami bardzo lubiony od parafian swoich, gdy zaburzenia ustały, posłał chłopaka do apteki po proszki od kaszlu. Natychmiast gruchnęła pogłoska po całej parafii, iż ksiądz truć będzie przy rozdawaniu Komunii. Zbliżała się wielkanocna spowiedź, ludzie przystępują do spowiedzi, ale żaden do Komunii św. Ksiądz zdziwiony pyta o przyczynę, ale nikt wyznać nie chce; przypadkiem dowiaduje się, przywołuje wybranych z gromady i w przytomności tego, który do apteki chodził, i poznał, iż to te same proszki, które podówczas przyniósł, pożywa takowe i tem dopiero lud uspakaja. Innemu, gdy im miał święcić paschę, przynieśli sami chłopi wodę i sól, którą w ich oczach poświęcić musiał, i pierwej własne, a potem ich święcone pokropić. Mógłbym jeszcze wiele podobnych przytoczyć przykładów do okazania tej smutnej prawdy, która, niestety, gorzkie już wydała i wydawać będzie owoce.

„Lecz wróćmy do Bobowy. Do nieusposobienia ludu, względem słuchania i pożytkowania z nauk dawać się mających, przyczyniło się niemało rozdwojenie umysłów, z okazyi nieporozumienia miejscowych księży. Proboszcz był uwięziony; administrator, od konsystorza nowo naznaczony, przybył, aby zająć miejsce administratora miejscowego. Jedni żądali gwałtem, aby im powrócono dawnego proboszcza, drudzy dawnego, inni nowego administratora stronę trzymali. Do tego ciągłe śledztwa, komisye — jednem słowem zamieszanie było wielkie w tem małem miasteczku.

„Zupełnie ochotę i nadzieję utraciłem, i już myślałem, czyby

nie lepiej było przeczekać. Ale gdzie idzie o chwałę Boską i o dusze ludzkie, tam zbytnia przezorność ustąpić musi. Co mi do tego, powiedziałem sobie, Bóg mnie przysłał, ja swoją powinność wypełnię, i z tego tylko będę zdawał rachunek przed sądem Boskim. Umysły i serca ludzkie są w ręku Boga, On je może nakłonić, jak zechce. Choćby tylko jedna babka przyszła, będę mówił, bo może dla tej jednej babki Bóg mnie przysłał, bo jednej duszy pomódz do nieba przyjść, to więcej, jak cały świat pozyskać. Bo jedna dusza przed Bogiem więcej warta, niźli miliony tych materyalnych światów. Aby ludzką zbawić duszę, musiał Bóg stać się człowiekiem i przelać krew swoją. Aby świat stworzyć, potrzebował tylko chcieć.

„A więc w imię Boże rozpocząłem te nauki w poniedziałek. Trwały przez ośm dni bez przerwy, następującym porządkiem: o godzinie 6-tej odprawiałem Mszę św., od wpół do 7-mej do wpół do 8-mej nauka o prawdach ostatecznych, po której Wotywa śpiewana przez miejscowego księdza, ja zaś słuchałem spowiedzi; od 11-tej do 12-tej nauka katechizmowa i suplikacye. Spowiedzi pokąd można było. Po południu od 3-ciej do 4-tej nauka katechizmowa, od 4-tej do 5-tej nauka o spowiedzi i rachunek sumienia. Suplikacye, pieśni, i jeżeli ludzie byli do spowiedzi, resztę czasu w konfesyonale.

„Nad wszelką nadzieję, lud się liczniej, tak z miasta jak i z okolic zgromadzał, niźlim się spodziewał. Słuchał z uwagą i pilnością, a że nie słuchał napróżno, to się okazało ze spowiedzi; do której się garnęli z prawdziwym żalem i skruchą: tak tu jak i wszędzie, prawie wszystkie spowiedzi były z całego życia, i dlatego, gdy niepodobieństwem było wszystkim zadosyć uczynić, gdyż po godzinie, czasem dwie i trzy godziny jedna spowiedź czasu zabierała, ciągnął lud do Nowego Sącza, w którym to czasie księża nasi sądeccy po całych dniach w konfesyonałach siedzieć musieli. Pożytków takich nauk nie można lepiej osądzić, jak przy słuchaniu spowiedzi. O czem księża świeccy, którzy z okolic na pomoc przybywali, chociaż mało pożytku z tych misyj przepowiadali, i wogóle owym przeciwnymi się okazywali, po kilku godzinach słuchania spowiedzi

sami ten wpływ dobroczynny wyznawali, i wielu z nich, z własnego popędu zapraszało nas najusilniej, aby zjechać do ich parafij. Cośmy też według możności czynili.

„Restytucyj też niemało nastąpiło. Niestety zapóźno przyjechaliśmy, rabowane rzeczy przeszły były w ręce żydowskie. Zboże i owoce zmarnowane; lud jak pierwej tak i teraz w biedzie zostawał, cały jego zysk był: zgryzota sumienia, a niemożność zwrócenia szkód uczynionych (których wynagrodzenie wedle sił i możności na nim tak długo ciężyy, pokąd ci, których skrzywdzili, od tego obowiązku ich nie uwolnią), niepokój w nim utrzymuje i udręczenie nieustanne. A lud ten poczyniwszy milionowe szkody dla zbogacenia żydów, dziś w nędzy zostając, nie waży się prosić o pomoc tych, których sam ogołocił z wszelkich środków dawania pomocy, nie odważa się zbliżyć do tej, którą wdową uczynił. I poznał lud nieszczęśliwy, że lepiej mu było z najgorszym panem, jak teraz nie mając żadnego! Chociaż ta misya bobowska w porównaniu z innemi daleko mniej obfitą zdawała się być w skutkach, jednak i za nią niechaj będą Bogu dzięki. Zemsty, któreby może krwawo były się zakończyły, usunięte, niegodziwe stosunki i związki zerwane, podstępy i zdrady piekielne w ciemnościach knute zniweczone, krzywdy odpuszczone, wiele szkód poczynionych zostało nagrodzonych, i niejednemu pokrzywdzeniu na przyszłość zapobiegło się. Wiara obudzona, sumienie wzruszone, i serca złodowaciałe ożywione zostały. ‚Oj czemuż to księża nie przybyli do nas pierwej, a całe to nieszczęście nie byłoby na nas padło, kiedy to człowiek już sam nie wiedział ani co robić, ani kogo słuchać!‘ — mówili nieraz ludzie.

„W czasie naszego pobytu była dekanalna wizyta, i mieszczanie udali się do dziekana, dziękując mu, że się o to postarał, abyśmy tu przybyli, oraz prosząc, aby mógł to wyjednać, byśmy lub teraz dłużej zabawili, lub później jeszcze raz do nich zjechali, szczególniej dla słuchania spowiedzi. Pomimo najszczerszej chęci, ani jednemu, ani drugiemu żądaniu nie mogliśmy zadość uczynić.

„Jak wszędzie, tak tu niejednej i niemałej doznałem po-

ciechy, nie mówiąc już o tej największej, której człowiek doznaje, pracując na chwałę Bożą i na pożytek dusz ludzkich. Ale są pojedyńcze zdarzenia i wypadki, któremi Bóg jako rosą niebieską znękane nieraz siły duszy i ciała pokrzepia i ożywia, i dodaje większej chęci i ochoty do pracowania i zwyciężania wszelkich przeciwności, skądkolwiekby one pochodzić miały. Takich pociech w czasie pobytu w Bobowie, doznałem kilka razy szczególniejszym sposobem przy słuchaniu spowiedzi, pociech, których nikt, kto takowych nie doznał, wyobrazić sobie nie może. O! ile razy musiałem wzruszony w głębi serca podziwiać, czcić i uwielbiać tajemnicze drogi miłosierdzia Boskiego, które dla niektórych tak cudownie się objawia, i nieraz Pan Bóg najnędzniejszego człowieka, najnędzniejszej nauki, jednego obojętnego użyje słówka, aby okazać, że nawrócenie człowieka jest jedynie dziełem miłosierdzia Jego, że w jednym momencie, jak z twardej skały źródło, tak z najtwardszego serca łez potoki wydobyć może, aby usta, co Go przed chwilą bluźniły, odtąd błogosławiły imię Jego. Takie nawrócenia najzaciętszych od lat wielu i grzechami jak zgniłym mchem obrosłych serc, wszędzie wskutek dawanych nauk następowały, bo miłosierdzie Boskie wszędzie toż samo jest. Takich nawróceń i tutaj było niemało, za co Bogu nieskończone niechaj będą dzięki, cześć i chwała na wieki...

„Bruśnik. W czasie pobytu naszego w Bobowie odebraliśmy list od proboszcza w Bruśniku, zapraszający, abyśmy z dawaniem nauk do jego parafii przybyli, na cośmy chętnie przystali; a ukończywszy nauki w Bobowie, puściliśmy się pod opieką Boską do tego miejsca. Droga prowadziła około tych miejsc, któremi jadąc do Brzan, codziennie przejeżdżałem; wszystkie chaty przy drodze znajome mi były, nie do jednej wstępowałem, powracając wieczorem do Bobowy. Lud po ogrodach i polach pracujący, jako dobrego przyjaciela uprzejmie i serdecznie witał, dziatki zbiegały się do wozu, aby jeszcze jaki obrazeczek dostać. Gdym przejeżdżał koło tej karczmy, gdziem tyle razy słowo Boże opowiadał, gdym posłyszał szmer tego strumyka, po którego przechadzając się brzegach w wolnej połu-

dniowej i wieczornej godzinie odmawiałem brewiarz, gdym oddychał tem powietrzem, napełnionem wonią kwiatu gęstych drzew owocowych, które jakby śniegiem przysypane, odbijały od ciemnej zieloności starych buków; wszystko tak miło i błogo w oko i serce mi wpadało. To było pierwsze miejsce, gdziem z ludem rozpoczął w bliższe wchodzić stosunki, gdziem rozpoczął ten zawód wiejskiego misyonarza, któremu, jeżeli taka wola Boga, o jak chętnie poświęciłbym całe życie i wszystko moje! O! nie jest to praca na niewdzięcznej roli; przekonałem się dostatecznie, ileby z tym ludem uczynić się dało... Ale pracować około niego potrzeba, nie tracąc nadziei, jeżeli poprawa bardzo tępym z początku będzie się zdawała iść krokiem. Łatwiej popsuć niż naprawić, łatwiej dom zrujnować niż wybudować. I chcieć w jednym roku poprawić lud, nad którego zepsuciem wieki pracowały, to zaiste się nie uda. Łatwiej ufność i przywiązanie ludu utracić, jak takowe odzyskać; i najlepsi panowie, którzy prawdziwie poświęcali się dla dobra poddanych, jednak z boleścią widzieli wszędzie przebijającą się nieufność, a to dlatego, że ten lud nie mógł pojąć i wierzyć temu, aby mógł kto dla niego bez własnego interesu się poświęcić, aby mógł kto go kochać. Zresztą lud w grubych ciemnościach pogrążony, miał wiarę, ale nie taką, aby ją do praktycznego zastosować życia, a proboszczowie przy najlepszych chęciach nawet, obarczeni tylu zatrudnieniami rozmaitego rodzaju, czasu nie mieli tak licznymi dostatecznie zajmować się parafianami! Inne wpływy zewnętrzne, złe przykłady, niegodziwe częstokroć obchodzenie się oficyalistów dominialnych, nałóg wkorzeniony pijaństwa, przebiegłość żydów, wszystkie te nieszczęsne stosunki jakby sojusz między sobą zawarły, dla zepsucia i rozbestwienia ludu. Pierwsza wydarzona okazya, a widzieliśmy skutki tego wszystkiego — krew i łzy! O wszystko, wszystko dałoby się poprawić, odmienić, ale trzeba przyłożyć rękę do pługa!

„Przyjechaliśmy pod wieczór do Bruśnika. Zachodzące słońce oświecało napół rozwalone, napół popalone szczątki pięknego przed parą tygodniami dworu. Zgroza i spustoszenie, jakby straże odbywały przed każdą wioską, i wymownem milczeniem

do przyjeżdżającego przemawiały: i tu w przechodzie swoim zbrodnia zagościła, i tu krew przelaną została. Jeżeli dawniej do wioski wjeżdżając tak błogie i miłe uczucia serce wzruszały, to teraz, o jakże się wszystko zmieniło! Patrząc na te dwory, to pierwsze powstaje pytanie: gdzież pan? Zginął pod cepami poddanych swoich. Gdzie żona, gdzie dzieci? Jako biedne ptaszęta, z gniazda wypłoszone, tułają się po świecie. I posłyszy serce te dzwony kościelne i zaraz smutna, jak ciemna chmura, myśl błogie przyćmi wzruszenie: ach! może i ten kościółek był świętokradzko zelżony; i spojrzy oko na te chaty, które niegdyś miłosierdzie i politowanie wzbudzały, i odwróci się: ach! może w tej chacie morderca mieszka. O! w tak krótkim czasie wieleśmy boleści przeżyli! Proboszcz, staruszek, przyjął nas jak najuprzejmiej. Niestety, na pierwszym wstępie bardzo niemiłe wzruszyło mnie uczucie. Zastaliśmy tu komisyę cyrkularną, która zjechała aby roztrząsać i dochodzić na mocy podanych zaskarżeń, czy prawdziwych czy nieprawdziwych, zachowanie się księdza w czasie tych ostatnich zaburzeń. Młody człowiek siedział przy stole, jako sędzia — a przed nim stał proboszcz, staruszek, jako winowajca, wpośród niegodziwych świadków. Takie upodlenie stanu kapłańskiego, jak zgubne musi przynieść owoce! Z tej przyczyny i dla słabości proboszcza, dodany mu był od konsystorza biskupiego administrator, który wraz z nami tu zjechał.

„Bruśnik w tych czasach był widownią krwawych scen: w niedzielę, w czasie nabożeństwa w kościele, chłopi w poblizkiej karczmie wódką rozpojeni, na nieszczęśliwych, tu przywleczonych ofiarach zemstę swoją wywierali; padło pięć ofiar z ich ręki krwawą śmiercią, ale ten, który tym mordom przewodził, parobek miejscowy, odebrał nagrodę zasłużoną. Wsiadając na konia, aby poblizkie do dalszych rabunków i mordów podżegać wioski, padł przy wszczętej kłótni cepem w głowę rażony i krew mordercy z krwią ofiar zmieszaną została.

„W czasie pobytu naszego w Bruśniku bawił tu pan P., który prawie cudownie uszedł śmierci, chociaż cały ranami pokryty. Człowiek, któremu same dobrodziejstwa świadczył, najokrutniejszym i najzaciętszym względem niego się okazał. Gdy

rozruchy ustały, przychodzi do niego, pada do nóg, prosząc o przebaczenie; pyta go p. P.: ‚powiedz mi mój człowieku, cóżem ja tobie kiedy złego uczynił, żeś mnie tak katował?' ‚Nietylko nic złego nie uczyniłeś mi pan, ale wszystko jemu winien jestem'. ‚Czemuś więc tak okrutnie ze mną się obszedł?' ‚Ja nie wiem sam, co się ze mną stało!' — I taką to odpowiedź nie raz jeden na podobne zapytanie odbierałem: ‚Ja nie wiem, ale żeby mi kazano było ojca własnego zabić, byłbym czynił'. To pewna, że niektórzy jakby w obłąkaniu zmysłów dopuszczali się zbrodni, inni, niestety! z największą rozwagą to uczynili. Co do rabunków, to chęć zysku jednych wiodła, drudzy zmuszeni groźbami, inni w mniemaniu, że już panów nie będzie, a więc wszystek onych nabytek do nich przynależy! ‚Nie wezmę ja, to weźmie inny'. Kobiety przy rabunkach najczynniejszemi się okazały, a choć który gospodarz nie chciał tego czynić, to mu żona pokoju nie dawała, dopóki i on swojej ręki nie przyłożył.

„Gdyśmy do Bruśnika przyjechali, lud bardzo jeszcze był niespokojny, tak, że musiano o wojsko prosić, dla zapobieżenia dalszym bezprawiom. Jednak Pan Bóg na tem miejscu dziwnie pobłogosławił pracy naszej. Towarzysz mój, ks. Skrocki, obrał wioskę Siekierczynę do dawania nauk, do której codziennie rano wyjeżdżał i aż pod wieczór powracał. Ja w Bruśniku pozostałem. Nauki dawałem tym porządkiem jak w Bobowie: dwie godziny rano i dwie po południu z katechizmem dla dzieci, reszta czasu na słuchanie spowiedzi. Kościół murowany; na ambonie, z wielką pociechą moją, znalazłem obraz św. Ojca Ignacego, którego opiece i lud i siebie oddałem. Kościółek był codziennie natłoczony, pomimo, że niektórzy, co te bezprawia powtórzyć mieli chętkę, wszelkiemi sposobami usiłowali lud przeciw nam podburzyć, rozsiewając pogłoski, żeśmy nie księżmi, ale szlachtą przebraną; inni, żeśmy z klasztoru uciekli i błąkamy się po świecie i t. p. Chciano jednego z tych, co te pogłoski rozsiewali, ukarać, lecz wyprosiliśmy go.

„Pomimo tego lud wiernie się zbierał i słuchał z uwagą wielką. Osnowę nauk moich wedle okoliczności stosowałem, w każdej o wydarzonych bezprawiach wspominając, uważając

i rozbierając one z rozmaitych stanowisk; powinności poddanych ku panom, wykładając zwięźle i jak najzrozumialej. Do spowiedzi przez cały tydzień przystępowali; wolnego tylko w obiad i wieczorem miałem trochę czasu do odmówienia brewiarza. Zaledwie południe minęło, a gromady dziatek już czekały przed kościołem, a gdy po skończonym katechizmie dzwon na naukę dawał znak, w oka mgnieniu wszystkie ścieżki górzystej okolicy bielić się poczynały sukmanami ludu, który nie dawał czekać na siebie. Porzucali domy i role, pańszczyzna ustawała, i wszyscy z ochotą, i jakby z upragnieniem garnęli się do słuchania słowa Bożego. Po skończonej nauce, która zwykle do wieczora przeciągała się, zapalono wszystkie świece i ksiądz miejscowy rozpoczynał przy wystawieniu Najśw. Sakramentu litanię do Matki Boskiej z całym ludem: była to chwila tak uroczysta, tak święta. A gdy po skończonej litanii cały lud nasz, padłszy na kolana, przy towarzyszeniu organów, począł pieśń: ‚Przed oczy Twoje Panie', wtedy zda mi się, żeby najtwardsze serce zostałoby wzruszone. Te głosy tak bolesne, które czuć było, że z głębi rozdartego wydobywają się serca, które poznawszy zbrodnię swoją, żebrze o zlitowanie i miłosierdzie, ten ponury mrok w kościele, przytomność Boga na ołtarzu wpośród uroczystego blasku świec wkoło Przenajświętszego Sakramentu, i ten głuchy głos organów, tak to wszystko dziwnie duszę wzruszało. Czy podobna — pomimowolnie ta myśl przechodziła — czy podobna, aby ten lud tak skruszony, starty, korzący się przed Bogiem swoim, był tym ludem, co przed paru miesiącami broczył w krwi bratniej, znieważał i bluźnił Boga swego? Cóż go w jednej chwili tak złym uczyniło, cóż go tak prędko do poznania winy swojej i upamiętania przywiodło? Pierwszego złość ludzka, ludu za narzędzie ślepe używając, drugiego miłosierdzie Boskie było przyczyną! Och! Sąd ostateczny okropne światu wykryje tajemnice!

„Po otrzymanem błogosławieństwie lud spokojnie i poważnie wychodził z kościoła, i wracał do domów swoich, i ja podziękowawszy Bogu za błogosławieństwo, przez cały dzień mi użyczone, wracałem na probostwo. Ośm dni trwały te nauki, po któ-

rych, na wezwanie proboszcza w Ciężkowicach, na to miejsce udaliśmy się. Jak wszędzie, tak i tu serdecznie i czule, zebrany lud żegnał nas, skarżąc się na krótki czas pobytu naszego.

„*Ciężkowice.* Po południu, pożegnawszy ludek, opuściłem Bruśnik. O milę od tej wioski leży miasteczko Ciężkowice, bardzo miłe, porządne i zaludnione. Ani jednego żyda tu nie masz, co zaraz przy pierwszym wstępie do miasta poznać się daje. Mieszczanie trudnią się najwięcej wyrobem i handlem płócien, co niegdyś to miasteczko bardzo zamożnem czyniło — dziś bardzo podupadło. W pobliżu tego miasta, dziwacznych kształtów nagromadzone skały na wzgórzu widzieć się dają, o których dawna legenda niesie, że to zaczarowane i przekleństwem przejeżdżającego z Przenajświętszym Sakramentem księdza, którego mieszkańcy nie uczcili, zakamieniałe miasto. Kościół farny bardzo obszerny, w tych czasach znieważony został przez tłuszczę rozbójniczą, która pod pozorem szukania ukrytej broni, na koniach, z nakrytemi głowami, fajkami, bluźniąc i szydząc, plądrowała po wszystkich zakątkach kościelnych. Morderstwa żadne tu nie zostały popełnione, ale w okolicznych wioskach, szczególniej w Jastrzębi, wiele ofiar najokropniejszą i najhaniebniejszą poległo śmiercią. Nie jest tu miejsce, takie bolesne wypadki szczegółowo opisywać, zapisane one są krwawemi łzami w sercach nieszczęśliwych wdów i sierót! Mieszczanie ciężkowiccy z rabunków w poblizkich wioskach dobrze umieli korzystać, lub sami osobiście, lub za pośrednictwem żydów i chłopów, od których nabywali zrabowane rzeczy z niemałym dla siebie zyskiem.

„Przyjechaliśmy pod wieczór do Ciężkowic; mieszczanie, uwiadomieni o naszem przybyciu, z okien i bram domów uprzejmie i z wyrazem zadowolnienia witali nas. Proboszcz przyjął nas jak najuprzejmiej, i powzięliśmy dobrą nadzieję o skutkach prac naszych na tem miejscu, która, dzięki Boskiemu miłosierdziu, nie zawiodła nas. Pozostaliśmy obaj na tem miejscu. Rozdzieliwszy nauki nasze, ksiądz Skrocki codziennie dwie godziny i ja dwie godziny, mówiliśmy z ambony, on o spowiedzi, ja o prawdach wiecznych i powinnościach stanu. Pierwszego zaraz

dnia, gdym się udał przed nauką i Mszą św. raniutko do kościoła, znalazłem już lud zgromadzony około konfesyonału. A oprócz mieszkańców miejscowych, którzy tak wiernie i przykładnie żadnej nauki nie opuścili, lud z poblizkich wiosek tłumnie się zgromadzał i bawił, jakby obozem na cmentarzu rozłożony, aż do późnej nocy, gdyż spowiedzie codziennie aż do nocy się przeciągały i nie było dnia, aby jeszcze o 9-tej i 10-tej w wieczór nie rozdawano Komunii św.! Prawie wszystkie bez wyjątku spowiedzi były z całego życia. Pomimo, że tutejszy miejscowy proboszcz z wikaryuszem i kilku poblizkich księży wiernie nam dopomagali, niepodobieństwem było wszystkim zadosyć uczynić. I po odjeździe naszym całe kompanie z tych, co uczęszczali na nauki, do Sącza do naszego kościoła wędrowały. Oprócz ludu prostego, wiele osób z wyższego stanu z okolicy przyjeżdżało na słuchanie nauk i odprawienie spowiedzi. Mieszkańcy tego miasteczka jak dzieci przylgnęli do nas i starali się to przywiązanie wszelkiemi sposobami wyrazić. Chcieli na znak wdzięczności ofiarować nam podarunek, któregośmy oczywiście nie przyjęli. Ofiarowali złożyć pieniądze na utrzymywanie nasze, obiecali starać się o wszelkie wygody, byleśmy tylko dłużej z nimi pozostali, ‚bo nam jeszcze nigdy tak dobrze nie było, jak teraz, gdy księża są z nami'. A gdy przyszedł czas odjazdu naszego, cały dziedziniec probostwa był ludźmi napełniony, żeśmy się zaledwie gwałtem z rąk ich wydrzeć mogli. Nauki dawane głębokie uczyniły na sercach ludu wrażenie, co się szczególniej przy spowiedziach okazało. Szczególniejsze okazał Bóg zlitowanie nad tem miasteczkiem.

„W czasie pobytu naszego w tem mieście, oprócz zwykłych nauk, miałem mowę pogrzebową na egzekwiach pani Trembeckiej. Była to osoba już wiekowa, w całej okolicy znana, poważana i kochana. Mieszkała we wsi Bogoniewicach, o ćwierć mili od Ciężkowic. Gdy te nieszczęśliwe wszczęły się rozruchy, męża nie było w domu, syn, dr. Trembecki, uwięziony, jedna tylko córka, p. Bzowska, przy niej bawiła; dla słabości staruszka wstać nie mogła z łóżka, aby w ucieczce szukać ratunku. Gdy lud w tej wiosce, idąc za przykładem innych, burzyć się począł,

jeden z poddanych, poczciwy Niepoń, wójt miejscowy, ofiarował się przechować ją bezpiecznie w swej chacie. Zaledwie ją tam przeniesiono, gdy tłuszcza rozjuszona napada dwór, wszystko niszcząc i pustosząc. Pani Trembecka przerażona temi wypadkami, dręczona bolesnym niepokojem o życie męża i syna, uledz musiała tym wzruszeniom. Czując się blizką śmierci, żądała księdza. Z niebezpieczeństwem życia przybył do niej wikary z Ciężkowic, i zaopatrzył św. Sakramentami. Pojednana z Bogiem, spokojnie ducha oddała w ubogiej chacie, na lichej złożona słomie! Za jej duszę mąż i dzieci egzekwie sprawili, na które liczna familia i sąsiedzi się zjechali. W czasie całego nabożeństwa, a szczególniej nauki, w której wyłożyłem te wszystkie w okolicy zaszłe wypadki, nieszczęśliwe położenie i stan osób pozostałych, z których każda bolesne poniosła dla serca straty, a w szczególności opisując w najdrobniejszych szczegółach ostatnie chwile bolesne pani Trembeckiej, wszystkich oczy łzami były zalane. Lud słuchał jakby starty poczuciem swojej winy, ze spuszczonemi w dół oczyma, tylko łkania i westchnienia przerywały grobową ciszę, która otaczała rzęsisto oświetlony katafalk. Jeden człowiek w tym tłumie ludzi, wsparty koło katafalku, przysłuchiwał się z tą uwagą i spokojnością, jaką sprawia przekonanie niewinności. Był to ten sam, który dał w domu swoim przytułek i z niebezpieczeństwem własnego życia pani Trembeckiej ostatnią przysługę wyświadczył. Chciał się tego dnia spowiadać, lecz dla wielkiego natłoku ludzi przecisnąć się nie mógł. Obiecałem pani Bzowskiej, córce pani Trembeckiej, nazajutrz pierwszego go wyspowiadać.

„Napróżno starali się niektórzy i tu lud przeciw nam podburzyć i nieufność ku nam w ich sercach wzbudzić. Wszelkie zabiegi ich były nadaremne. Codziennie liczniej się zgromadzał, nawet i z odległych o parę mil wiosek. Jeden z morderców, w czasie tych nauk, gdy lud z kościoła wychodził, publicznie się na mnie odgrażał, ale tejże samej nocy apopleksyą tknięty, życia dokonał, co niemałe na wszystkich uczyniło wrażenie. Jednej nocy, wszystkie kładki na rzece, które z każdej strony do miasta wchodząc trzeba było przebyć, pozrzucano, ale i to nic nie pomogło, lud w głębokich brnąc wodach, pospieszał do

słuchania słowa Bożego. Z kilku parafij przychodzili ludzie, pytając i żebrząc, abyśmy i do nich przybyli.

„Do pani Dębińskiej, której męża okropnie zamordowano we wsi Gromniki, o milkę od Ciężkowic położonej, przychodzi raz jeden z jej poddanych, pada do nóg i błaga na miłość Boską, aby szkody poczynione mu darowała, obiecując wszystko jej wynagrodzić pracą swoją i powrócić, aby tylko mógł co prędzej spowiedź w Ciężkowicach odprawić. Pani Dębińska, uczyniwszy zadość woli jego i zdziwiona tem oświadczeniem, gdyż lud w Gromniku od czasów krwawych tamże popełnionych mordów ciągle zuchwałym i nieugiętym się okazywał, zapytała o przyczynę tej zmiany. Chłop opisuje jej nauki nasze. Ciekawością zdjęta przyjeżdża sama do Ciężkowic, a wysłuchawszy jednodniowych nauk i poznawszy, jaki wpływ mają na lud zebrany, wieczorem odwiedziła nas, przedkładając prośbę swoją, byśmy do niej dla dawania podobnych nauk zjechać mogli, na co chętnie zezwoliliśmy...

„*Lipnica Niemiecka.* Przy nieznośnym upale, wypocząwszy dni kilka, opuściliśmy Sącz, aby się udać na miejsce przeznaczenia naszego. Już słońce za góry zachodziło, gdyśmy do pięknej, dużej wioski, Lipnicy, wjeżdżali. Gwar i szmer, jako zwykle o tej wieczornej godzinie, powracających trzód i ludzi rozlegał się dokoła, tak różny od tych jęków, krzyków i tej wrzawy morderczej, która przed kilku tygodniami zawichrzyła spokojność tej wioski i sumienie jej mieszkańców, i ten spokój i ta cisza złowróżbna, jaka częstokroć opanowuje serce po popełnionej zbrodni, od czasu gdy sumienie przebudzone rozpaczać poczyna. Taki pokój nieraz nad samą rozpacz straszniejszym się objawia. Widok wiosek naszych tak bolesne w tych czasach wzbudzał w sercu myśli. Zerwane te związki patryarchalne, które łączyły pana z poddanym; między panem a poddanym, między ojcem a dziećmi stanęła zbrodnia. Potok krwawy, jako granica, który tylko miłość Chrystusa przekroczyć może, rozdziela uczucia. Przekonanie zbrodni i krzywdy nie dają się zbliżyć poddanemu do pana, lub raczej do pani, którą wdową uczynił; a ona, gdy

chce podać rękę ludowi, poznaje na niej krew dziecka własnego! i to odwrócenie umysłów, tak bolesne czyni wszelkie stosunki między dziećmi na jednej ziemi zrodzonemi. Lecz w Bogu nadzieja, że gdy te pierwsze bolesne wrażenia i uczucia czas osłabi, wszystko do dawnego powróci porządku — nie — że lepiej daleko będzie. Oby ta krew i te łzy wypłaciły długi grzechów nietylko naszych, ale i przeszłych pokoleń, które ściągnęły gniew Boski na tę ziemię! Oby to odpuszczenie krzywd wyjednało nam odpuszczenie przewinień naszych u Boga, a tem samem ściągnęło na nas miłosierdzie Boskie! Oby wszyscy, lud i panowie, wzajemnie krzywdy i urazy puszczając w zapomnienie, podali sobie dłonie, i jedność, zgoda i miłość, jak kwiat nadziei lepszej przyszłości zakwitł na niwach naszych!...

„Ukryte pomiędzy drzewami u stóp stromej góry leży pomieszkanie proboszcza, którego zastaliśmy w ganeczku siedzącego. Z patryarchalną uprzejmością powitał nas siwy już staruszek, i po pierwszem powitaniu rozpoczął nam opowiadać smutne w ostatnich czasach zdarzenia zaszłe w parafii. ‚Było to w niedzielę: w obieg puszczone wieści o rzezi tarnowskiej od chaty do chaty, od wioski do wioski przechodziły. Parafianie moi jednak zdawali się zupełnie spokojni i licznie na nabożeństwo się zebrali. Jednak gdym do nich przemówił, zachęcając ich do porządku i posłuszeństwa, dał się słyszeć jakiś szmer nieukontentowania między ludem z kościoła wychodzącym. Po nabożeństwie odprawił się chrzest dwojga dzieci p. Kamińskiej, która przed dwoma dopiero laty zamąż poszła i w poblizkiej wiosce, którą w dzierżawie mąż jej trzymał, mieszkała. Na ten chrzest przybyła także p. Zdzieńska, dziedziczka Lipnicy, z synem Stanisławem, około 20 lat mającym. Po odbytym świętym obrzędzie zaprosiłem ich na obiad. Jakaś trwoga i niepokój napełniał serca nasze. Gdyśmy tak w posępnem obiadowali milczeniu, jacyś obcy ludzie z kosami i drągami zaczęli się pojawiać na dziedzińcu. Domyśliłem się łatwo o ich zamiarach, żadnego ratunku nie widząc. W krótkim czasie przyłączyli się parafianie moi, i cały dziedziniec zbrojnym ludem napełnił się. Do domu mego gwałtem wejść jeszcze się nie ważyli. Wyszedłem

na ganek i spokojnie żądałem, aby ustąpili, w jakim celu się tu zgromadzili, pytając. Odpowiedzieli, iż przechowuję powstańców i żądają, aby im takowych wydać. Powstańców żadnych u mnie niemasz, tylko dobrze wam znajomy p. R. i syn tutejszej kolatorki. Lecz oni gwałtem o wydanie tychże domagali się.

— Tego nie uczynię.

— To my i ciebie i ich przemocą dostaniem!

— Cóż chcecie z nimi uczynić?

— Odwieziem ich do Sącza, do cyrkułu.

— Ja sam to uczynię, dajcie waszą wartę, a ja mojemi końmi do cyrkułu ich dostawię. — Nie chcieli na to przystać; wrzawa i zgiełk coraz groźniejszym się stawał. Wróciłem do izby, nie wiedząc sam co tu radzić i czynić. Młody p. Zdzieński porywa krucyfiks ze stołu, przyciska do ust i serca i zwrócony do p. R.: niech się dzieje wola Boża, rzecze, chodźmy! Zaledwie lud ich ujrzał, przypadłszy do nich, krępuje ręce powrozami, a matka i żona nieszczęśliwych stały przy oknie. Posłano po furę i kazano im iść; zaledwie doszli do figury św. Jana (i tu wskazał na kapliczkę o 20 kroków odległą, nad małym strumyczkiem, który dzielił kościół od probostwa), zatrzymała się ta zgraja zbójecka, naradzając się co tu począć. Jeden z motłochu występuje i mówi: Co się mamy z nimi wozić, lepiej zaraz ubić; i to mówiąc, pierwsze cięcie zadaje siekierą. Pada młody p. Zdzieński na ziemię i ginie pod siekierami i cepami oprawców. Krew i mózg zbroczyły mury kapliczki, która dziś jeszcze okazuje ślady tego morderstwa. W czasie mordowania p. Z. udało się p. Kamińskiemu wymknąć z rąk zbójeckich; byłby się może ucieczką wyratował, ale przebywając potoczek, o kamień zawadził i upadł, i dopędzony od tych co za nim w pogoń ruszyli, nożami na żerdziach osadzonemi skłuty został! a matka i żona stały w oknie, widząc i słysząc wszystko, co się działo! Dopełniwszy krwawego dzieła, część tej tłuszczy nie syta krwi, szuka nowych ofiar i, niestety, znajduje. Kilka jeszcze osób z liczby sług dworskich utraca życie; inni zaś napadają i rabują dwór i folwarczne budynki. Część została przy probostwie wali się do izby, przetrząsa sprzęty i trochę pie-

niędzy, com miał, zabiera z sobą, wypróżniwszy do szczętu spiżarnię. Większa zaś część, jako potok wezbrany wali się na wieś, która kilku cząstkowych liczy panów, i najhaniebniejsze popełnia bezprawia, niszcząc, pustosząc całe mienie biednych wdów. W jednym z tych dworów pani O. córka rzuciła się na ojca już na ziemię obalonego, aby własnem życiem ocalić życie ojca. Bóg atoli cudownie i ją i ojca od śmierci ochronił'.

„Obszerne opowiadanie swoje (krótkiemi słowy tu zebrane) dokończył sędziwy proboszcz. Mrok był już ciemny zapadł i mgła dżdżysta osiadła na całej okolicy. Tylko przeraźliwe wycie starego brytana przerywało grobową ciszę na tym dziedzińcu, krwią niewinną zbroczonym.

„I zabłysło światełko w izbie proboszcza, który zaprosiwszy nas na wieczerzę, dalej rozmaite w tych okolicach zaszłe opowiadał nam zdarzenia, nie raz jeden łzy z oczu ocierając. Odprowadził nas do porządnej izdebki, dla nas przygotowanej; smutno i ciężko było mi na sercu. Pod tym dachem, o! ileż to boleści serce matki i żony wytrzymało, ta podłoga od łez ich jeszcze mokrą mi się być zdawała; w szumie wiatru, który nieustannie z rzęsistym deszczem bił o okiennice, przez których szczeliny, przesuwający się przez ciemne chmury księżyc zazierał, zdawało mi się słyszeć i wrzawę oprawców i jęki ich ofiar. Czułem się osłabionym na duszy i na ciele, a dotkliwe w krzyżach boleści nie dały mi usnąć aż nad rankiem.

„Poleciwszy się Bogu, po odprawionej Mszy św. rozpocząłem nauki wspólnie z księdzem Skrockim. Kościół stary, ciemny, wilgotny, był niegdyś bóżnicą aryańską, lecz gorliwy Trzeciecki wypędził Aryanów i tę bóżnicę przemienił na kościół katolicki. Posąg jego, z pięknym napisem, z marmuru wyrobiony, z prawej strony wielkiego ołtarza, przypomina tak błogo starą cnotę i wiarę panów polskich. Po pierwszej nauce lud głośno szemrać począł, mówiąc że my od panów przekupieni. Dowiedziawszy się o tem, i że się na mnie zmawiali i odgrażali, na nieszporach wstąpiwszy na ambonę i widząc lud tłumnie i groźno zgromadzony, po zwykłem pozdrowieniu: ‚Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus', począłem wprost od tego: Wy mówicie, że my przekupieni, od

szlachty tu przysłani jesteśmy; tak jest, przekupieni, przysłani jesteśmy, ale nie od szlachty, nie od cesarza, bo my na tem miejscu ani cesarza, ani pana, ani chłopa nie znamy i nie lękamy się, tylko tego jednego, który nas tu do was przysłał, i przed nim tylko rachunek będziem zdawać ze słowa każdego, co do was mówimy i t. d. Nakoniec dodałem: jeśli wam nie dosyć zbrodni, jeśli jeszcze pragniecie zmazać ręce wasze w krwi niewinnej, chodźcie, nie przelęknę się ani cepów, ani noży waszych, bo mi nie idzie o życie moje, ale o zbawienie wasze, i umierając, jeszcze wołać będę: Bracia, nawróćcie się do Boga waszego! i t. d. W największej cichości i zawstydzeniu słuchali słów tych, które grzmiącym głosem do nich przemówiłem, i odtąd nietylko że w największej pokorze i uszanowaniu tłumnie się zgromadzali, ale za wyrzeczone przepraszali groźby i wymawiali się z nich. Taką ufność w kilku dniach pozyskaliśmy u nich, że, jakem z boku posłyszał, umawiali się pójść do biskupa z prośbą, aby to uczynił, byśmy z nimi pozostali na zawsze. Jeden z morderców, wzruszony tem całem nabożeństwem, takie poczuł zgryzoty sumienia, że nie mogąc ich już znieść, sam się wydał w ręce urzędu prosząc, aby za morderstwo zasłużoną odebrał karę. Wiele osób z pobliża na nauki się zjeżdżało, i przystępowało do św. Sakramentów, który to przykład na lud prosty najzbawienniej działał. Pani R., której męża, jakem wyżej wzmiankował, tak okropnie zamęczono, znalazła pociechę w nieszczęściu swojem, w czasie tej misyi. Chociaż blizko o milę odległości mieszkając, żadnej nie opuściła nauki. Kiedy Bóg wielkiem dotknie nieszczęściem serce czyste i szlachetne, to też i miłosierdzie Jego szczególniejszym objawia się sposobem. W pani R. miałem tego jasny dowód. Młoda, delikatna, traci w jednej chwili męża, i tak okropną śmiercią. Zostaje wdową z dziećmi małemi, bez żadnego prawie utrzymania, bo szczupły jej majątek do szczętu zrujnowany został. A jednak nie traci ufności w Bogu, nie traci tego wewnętrznego pokoju, jakiego tylko dusza Bogu wierna w tak smutnem położeniu doznawać może. Przeszłość Bogu w ofierze złożyła, przyszłość zdała na Jego opatrzność,

cierpi, ale cierpi bez rozpaczy i narzekania, zawsze uśmiech na jej ustach, zawsze łza w jej oku.

„Bawiliśmy w Lipnicy przez ośm dni, z konfesyonału wyjść nie można było. Jednego tylko dnia wyjechać musiałem w pilnym interesie do Ciężkowic. Zaledwiem wjechał do miasta, gruchnęła wieść po wszystkich domach; zajechałem do p. B. Mieszczanie zbiegli się, aby mnie powitać, sądząc że na dłuższy czas przybyłem, ale dowiedziawszy się, że zaraz po południu wyjeżdżam, zaczęli nalegać i prosić, abym przynajmniej na odpust Zielonych Świątek zjechał do nich z księdzem Skrockim, z którą to prośbą już pierwej byli ułożyli udać się do ks. rektora do Sącza; gdy i inni na to nalegali i proboszcz miejscowy usilnie prosił, musiałem zezwolić i przyobiecać. To przywiązanie i zaufanie ludu tak szczerą mi radość sprawiło. Są to pociechy, któremi Pan Bóg w dobroci i miłosierdziu swojem tak hojnie nagradza liche prace dla chwały Jego podjęte. Pożegnawszy proboszcza i lud cały, odjechaliśmy, dzięki Bogu składając za wszystkie łaski Jego na tem miejscu doznane.

„*Gromnik.* Wyjechawszy po południu z Lipnicy, stanęliśmy wieczorem w Ciężkowicach w wigilię Zielonych Świątek. Wysiedliśmy wprost przed kościołem, gdzie już liczne tłumy ludu zgromadzone były. Przy śpiewaniu litanii i pieśni nabożnych, z różnych stron nadciągały liczne oddziały pobożnego ludu. Poszliśmy do konfesyonału, gdzieśmy aż do późnej nocy spowiedzi słuchali. Zaledwie słońce wschodzić poczęło, gwar ludu i odgłos pieśni pobożnych przebudził nas, i pospieszyliśmy słuchać spowiedzi. Kilku księży z okolic pomogło nam. Towarzysz mój ranną miał naukę, ja miałem kazanie na sumie, na które wiele osób z okolicy się zjechało; znajdowała się i załoga wojskowa. Stary wachmistrz, po kazaniu przyszedł dziękować mi w imieniu całej załogi za naukę i do nich zastosowaną, dodając, iż odkąd w wojsku służy, po raz pierwszy zapłakał. Był tu także proboszcz z Gromnika, który usilnie prosił, abyśmy z Ciężkowic do Gromnika zjechali, na cośmy chętnie przystali. Zapowiedziałem więc ludowi przybycie nasze do tego miejsca. Przez cały

ten dzień aż do późnej nocy słuchaliśmy spowiedzi. Nazajutrz toż samo. Wiadomość o naszem przybyciu rozeszła się po całej okolicy. Z dalekich stron, od Tarnowa, Jasła i t. d., niejeden i niejedna z sumieniem ciężkiemi zbrodniami obciążonem od wielu lat, przybyli aby się z Bogiem pojednać. Za odbyte w tych dniach spowiedzi, Bogu nieskończone niechaj będą dzięki! W poniedziałek świąteczny ks. proboszcz z I. zaproszony był z kazaniem, lecz ponieważ nie nadjechał, wywołano mnie z konfesyonału, abym go zastąpił, com chętnie uczynił, a Pan Bóg pobłogosławił. We wtorek po południu słuchaliśmy spowiedzi, po czem w deszcz i burzę, udaliśmy się do Gromnika!

„Pół mili od Gromnika leży wieś Hojnik, gdzie mieszkał brat męża p. Dębińskiej.

„W czasie tych zaburzeń, w pierwszych zaraz dniach, nie obawiając się żadnego napadu, p. D. wyjechał do brata z p. Tetmajerem Antonim i bratem żony p. Łukaszem Dzwonkowskim na partyę wista, zalecając żonie, aby czekała powrotu jego, gdyż niedługo bawić zamyśla. Zaledwie do gry zasiedli, dają znać, iż chłopi zbrojni na dziedzińcu się uszykowali. P. Dzwonkowski wziąwszy pałasz do ręki wychodzi do nich, pytając czegoby żądali. Przyszliśmy rewizyą czynić, czy niema tu broni ukrytej. Chodźcie za mną i szukajcie; — to rzekłszy szedł naprzód, a kilku chłopów za nim. Lecz zaledwie wszedł w ganek domu, siekierą w głowę cięty został. Obrócił się i tak się dzielnie bronił pałaszem, że nikt do niego przystąpić nie śmiał. Ale jeden chłop zaszedłszy mu z tyłu i kosą ciąwszy, obalił go na ziemię. Wtedy dopiero przypadli do niego i okropnie zamordowali. Inni z pokoju to widząc, ucieczką ratować się chcieli. P. Dębiński brat w domu, p. Tetmajer w piwnicy, p. Dzwonkowski Ignacy przez płot ogrodu przełażąc, ubici zostali. Zrabowawszy dom, cała tłuszcza pociągnęła do Gromnika. Noc już była późna i ciemna. P. Dębińska z dziatkami czuwała, oczekując w wielkiej niespokojności powrotu męża, przerażona wyciem psów wiejskich, które poczuły zbliżanie się tej tłuszczy, co pod zasłoną nocy od nikogo z dworskich sług niepostrzeżona, w cichości podstąpiła pod dwór, opodal od wioski położony. W jednym momencie brzękły po-

trzaskane cepami szyby; było to zwykłe hasło przybycia tych hord. Zrywa się p. Dębińska, porywa dzieci, chce uchodzić, ale dom dokoła otoczony; oddaje jednej kobiecie, której zawierzyć mogła, dzieci, aby je ukryła na wsi, sama z izby do izby, z panną M. ucieka, ścigana wrzawą, zgiełkiem i łoskotem siekier i cepów, niszczących wszystkie sprzęty domowe. Kryje się w izbie czeladnej; tu ją rozjuszona tłuszcza szyderczo pyta o męża, o którego strasznej śmierci już ją w czasie tej wrzawy wieść była doszła, a nie widząc dzieci przy niej, szukając onych po wszystkich zakątkach, dowiadują się, że są na wsi, wysyłają kilku z pomiędzy siebie, aby takowe wynaleść i zabić, sami pustoszą dwór do szczętu. Podłogę rąbią, piece rozwalają, obicia ze ścian zdzierają, rozkładają wielki ogień i palą wszystkie książki i papiery, a zabrawszy wszystko co było do wzięcia: suknie, srebro, bieliznę, opuszczają dwór, aby inne tymże sposobem poniszczyć budynki. Wielkie wódki zapasy wypuszczają, zboże częścią zabierają, częścią w wodę i bagniska wysypują. Stadninę, bydło rozdzielają pomiędzy siebie, ale jeszcze krwi im było potrzeba. Sędzia miejscowy i kilka innych osób pada z ich ręki najokrutniejszą śmiercią. Cała wieś w okropnem zamieszaniu. P. Dębińska sama pozostała w domu, wszyscy ludzie dworscy jak mogli ucieczką się ratowali. Ona jedna wpośród tych gruzów spustoszenia, łzami zalana, w rozpaczy nad skonem okropnym męża, pełna trwogi i niepokoju rozdzierającego serce o życie dzieci, straszną tę noc przebywa. Anioł stróż nad dziećmi jej czuwał. Gospodyni proboszcza, wiedząc gdzie dzieci ukryte i przeczuwając jaki koniec ich czeka, gdyby je znaleziono, nieustraszona przybywa do chaty, porywa na ręce najmniejszego, starszym każe iść koło siebie i ścieżką ukrytą wraca na probostwo. Napadnięta w drodze od kilku rozjątrzonych chłopów, którzy te dzieci wydrzeć jej usiłują, gromi ich odważnie słowem od Boga natchnionem i szczęśliwie przyprowadziwszy do domu, od dalszych kryje napaści. I na probostwo napada tłuszcza rozjuszona, szuka za p. Lubieńskim, przetrząsa cały dom, wyrywa podłogę, śmiercią księdzu zagraża, ale jednak nie dokonawszy tej zbrodni, odstępuje i z okrzykami zwycięstwa, jak chmura ciągnie w po-

blizkie wioski, przy gasnących już gwiazdach nocy. Słońce wschodzące oświeciło to miejsce rozpaczy, jęków i boleści, które jeszcze wieczorem tak spokojne, swobodne i szczęśliwe było. P. Dębińska w jednej nocy straciwszy męża, brata i całe mienie, z łzami rozpaczliwej radości przyciska do serca uratowane sieroty!

„Lud rozhukany uspokoić się nie dawał. P. Dębińska ciągle o życie dziatek drżała, lecz dla różnych przyczyn, ani sama się z tego miejsca oddalić, ani dzieci wysłać nie mogła. Lud ciągle zuchwałym się okazywał do tego stopnia, że gdy p. Dębińska z dziećmi do kościoła przychodziła, ławeczka jej babami napełniona była, z których żadna jej miejsca nie ustąpiła, że nawet ledwo mogła znaleść kącik, aby klęcząc z dziećmi Mszy świętej wysłuchać.

„Odradzano nam przez bojaźń chłopów, aby tam nie jechać. Ludzie odradzali, ale Bóg powołał. Nazajutrz po naszym przyjeździe rozpocząłem nauki. Patrząc na p. Dębińską z biednemi sierotami w grubej żałobie, która boleśnie odbijała od tych białych sukman ludu, co ją tak nieszczęśliwą uczynił, uniesiony uczuciem boleści, ze łzami w oczach, przedstawiłem ludowi okropną zbrodnię, której się dopuścił, tak żywo i dobitnie, że zrozumiał po raz pierwszy i poznał niegodziwość swoją, z której dotychczas zdawał się chełpić i wynosić. A gdym im wskazał na p. Dębińską, którą wdową, i na te dzieci, które sierotami uczynili, zlodowaciałe roztajały serca. Łzy i westchnienia posępną przerwały ciszę. Zstąpiłem z ambony, dzieci p. Dębińskiej ze łzami na szyję mi się rzuciły, wołając: oni nam ojca zabili! Widziałem na ten widok łzy w oczach blizko stojących, była to jedna z najpocieszniejszych i najboleśniejszych chwil życia mego.

„Bawiliśmy tu przez dni dziewięć; cała okolica jak w dzień wielkiego odpustu w ruchu była. Ze wszystkich stron, aż od Tarnowa i Zakliczyna, lud gromadnie ciągnął do Gromnika, z konfesyonału ledwo na chwilę wyjść było można. Rano o piątej i pierwej czekali już ludzie przed drzwiami naszej izdebki, aby łatwiej do spowiedzi docisnąć się mogli. W wieczór do dziesiątej i później trzeba było siedzieć w konfesyonale. Obaj

księża i tu wiernie nam dopomagali. Nie trzeba było dzwonem zwoływać ludzi do kościoła, który od świtu do późnej nocy, zostawał jak w oblężeniu. Kompanie z dala przybyłe koczowały przez całą noc pod gęstym cieniem starych lip, na cmentarzu kościoła gromnickiego. Restytucyj niemało nastąpiło, a co więcej dobrego miłosierdzie Boskie tu zrządziło, Bóg jeden wie. Gromada parafii Brzezowa najwierniej uczęszczała na nauki i do spowiedzi, lecz tem niezadowolona, złożyła z własnego popędu kilkadziesiąt florenów w ręce proboszcza swego, na nasze utrzymanie, prosząc, aby się przyczynił i wstawił za nimi, abyśmy i do nich przybyli, a widząc trudności, umyślili z tą prośbą udać się do konsystorza. Lecz pomimo najszczerszej chęci, nie mogliśmy woli ich zadosyć uczynić. Djabeł nie próżnował, gdzie mógł i jak mógł przeszkody stawiał.

„Toż samo i pani Ejsenbach z Pleśni (gdzie proboszcza miejscowego własny lud zamordował), której męża i syna dorosłego zabito, z tąż prośbą umyślnie do nas do Gromnika zjechała, którą kilkakrotnie listownie powtarzała i sama osobiście w tym celu udawała się do konsystorza, ale i to żądanie jej nie z naszej winy uskutecznionem być nie mogło. Dziedzic Gromnika, ojciec p. Dębińskiej, przybył w czasie pobytu naszego, wiele też innych na te nauki zjeżdżało się osób, którzy o ich pożytkach przekonali się naocznie. Pewien urzędnik jadący z Tarnowa, widząc całe gromady ludu idące do Gromnika, dowiedziawszy się o przyczynie, ciekawością zdjęty, sam na to miejsce zjechał. Trafił właśnie na naukę o sądzie ostatecznym; gdy ujrzał, jako lud cały w czasie tej nauki rzucił się na ziemię, jęcząc i płacząc, błagając o przebaczenie, obiecując poprawę, gdy ujrzał ten porządek, spokój wpośród takich mas ludu, bez najmniejszego nadzoru straży, wojska, gdy posłyszał wszystko, co się dotychczas dobrego tu zdziałało, że umysły uspokojone, zuchwałość poskromiona i duch ludu zupełnie zmieniony — rozczulony wyrzekł: iż po tem, co widział i słyszał, powinnością jest jego przyłożyć się ile możności do tego, aby te misye nasze rozciągnęły się po całym obwodzie tarnowskim.

„Trzeciego dnia pobytu naszego w Gromniku pani D. wy-

wołała mnie z konfesyonału, okazując list konnym posłańcem jej nadesłany, aby czemprędzej uciekała, gdyż o dwie mile od Gromnika w kilku wioskach lud na nowo powstał, niszcząc, rabując, co jeszcze w całości zostało. Doradziwszy jej, aby minuty czasu nie tracąc z dziatkami do Tarnowa się udała, sami pomimo próśb jej zostaliśmy na miejscu i z wielką radością przy tejże okazyi doznaliśmy skutku naszej pracy, gdyż te pogłoski, które po części przesadzone były, chociaż niestety prawdziwe, ludu bynajmniej nie zbałamuciły, lecz nabożeństwo z największem zbudowaniem odbywało się. Co też nakłoniło p. Dębińską powrócić do domu, lecz w parę dni nie mogąc tylu boleściom i wzruszeniom oprzeć się, uległa słabości tak, że z łóżka wstawać nie mogła. Gdy razu jednego pogrzebne nabożeństwo w kościele się odprawiało i stosowną do okoliczności miałem naukę, ta myśl okropnej śmierci męża, którego zwłokom w niepoświęconem zakopanym miejscu, ostatniej czci oddać nie mogła, tak boleśnie zraniła serce, iż omdlałą wyprowadzić z kościoła musiano. Odwiedzałem ją, pocieszając jak mogłem, w wolnych chwilach, w tej małej, nędznej chłopskiej izdebce, gdzie ze służącą, dziećmi i siostrą mieszkać musiała. Wspomniałem tu mimochodem o tych osobistych boleściach, aby została pamięć tych cierpień, przez które kto nie przechodził, lub z blizka im się nie przypatrzył, ani wyobrażenia o nich mieć nie może. O! mógłbym całą książkę zapisać cierpień i boleści, na które własnemi patrzałem oczami. Lecz to tajemnice krwawych łez, które powierzone mi były, zapisane są w księdze sprawiedliwości Boskiej! świat szczęśliwy, świat wesoły, tańcząc i śmiejąc się na grobach, aniby pojąć, ani podzielać ich nie umiał! Jedenaście dni bawiliśmy w Gromniku. Wielka była tu praca, ale większa pociecha...

(C. d. n.).

Ks. Jan Badeni.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Prawdy wiary i obyczajów oparte wyłącznie na Piśmie św. *Ks. Piotr Lewandowski.* W Nowym Sączu 1893.

Czy tytuł dzieła odpowiada zupełnie jego treści, nie śmielibyśmy stanowczo orzekać. Sądzimy, że w każdym razie nie usposabia on nieznających tej pracy, dla niej tak korzystnie, jakby treść sama na to zasługiwała. Bo dzieł, które prawdy wiary i obyczajów przedstawiają, opierając się przytem chociażby wyłącznie na Piśmie św., mamy już dość wiele — ale to, o którem sprawę zdajemy, jest w polskim języku, jeżeli się nie mylimy, w tym rodzaju pierwszem i jedynem.

Ks. Lewandowski podaje nam zbiór ważniejszych tekstów z Pisma św., odnośnych do prawd pojedyńczych, wedle porządku alfabetycznego ułożonych. Tak np. zaraz z początku o aniołach, a więc: bytność aniołów, natura aniołów, liczba i stopnie aniołów i t. d. i t. d. Pod każdym nagłówkiem znajdujemy sporą ilość tekstów z Pisma św., a największa tego zbioru zaleta, że teksty wszystkie prawie wybornie się do nauk i kazań nadają. Jaka doniosłość, jaki pożytek tej pracy, ocenią to pewno wszyscy kapłani, którzy często głosić muszą słowo Boże. Nie wahałbym się twierdzić, że dzieło to mogłoby kaznodziejstwo nasze posunąć o krok dalej na drodze szlachetnego postępu w usiłowaniach, by kazanie było zawsze słowem Bożem. Niewątpliwie przyczynia się do tego w pierwszym rzędzie znajomość Pisma św. i odpowiednie użycie go i zastosowanie do potrzeb kaznodziei. Ale brak czasu i rozliczne zajęcia nie dozwalają zwykle kapłanom na dłuższe

szukanie tekstów i wybieranie najodpowiedniejszych. Praca niniejsza usuwa chwalebnie te wszystkie trudności. Każdy kapłan może obecnie mieć zawsze pod ręką wybór dostateczny i przystępować już do gotowego, byle odszukał w alfabetycznym porządku przedmiot, którego treścią i nauką chce się zająć.

Moglibyśmy zarzucić tutaj autorowi, że czasem jeszcze nie jest zbyt dokładnym, że niektóre teksty z Pisma są do przedmiotu nie całkiem stosowne, że zresztą nie spożytkował może dostatecznie wszystkich ksiąg i całego ogromu skarbów w Piśmie św. dla kaznodziei zawartych. Jednak w poczuciu sprawiedliwości nie czynimy tego. Jesteśmy przekonani, że myślą autora przewodnią było prawdziwie przysłużyć się tą pracą wszystkim braciom kapłanom. Można było obszerniej, można było dokładniej, ale wtedy z pewnością trzebaby było drożej. Tak czynili dawniejsi, jak np. Lohner i inni, ale też dzieła ich właśnie dlatego, że miały być zbyt pożyteczne, pożyteczne są mało, bo mało komu przystępne. Tego chciał autor uniknąć, a za to należy mu się w dzisiejszych stosunkach materyalnych duchowieństwa prawdziwe podziękowanie, którebyśmy najlepiej w ten sposób okazać radzili, by każdy z kapłanów zaopatrzył się w niedrogie dzieło, którego pożytkiem sam hojnie zostanie wynagrodzonym.

Ks. S. K.

Wspomnienia z pielgrzymki do Annecy i Paray-le-Monial. Opowiedział *ks. dr. Józef Pelczar.* (Odbitka z *Gazety Kościelnej).* Lwów 1893.

Od lat już kilku korzysta czcigodny autor z letnich, wakacyjnych miesięcy, aby łącząc pożytek z wytchnieniem, zapoznać najprzód siebie, następnie licznych swych czytelników, z cudami rozsypanemi ręką Bożą to w tym, to w tamtym kraju: w ubłogosławionych szczególnemi pięknościami miejscowościach, szczególnemi łaskami świątyniach. Dawniej — dobrze pewnie to pamiętają czytelnicy naszego *Przeglądu* — do Kompostelli nas prowadził, później do Trewiru; dziś darzy wspomnieniami z pobożnej pielgrzymki do dwóch świątyń, ściśle, bardzo ściśle z sobą złączonych, bo w Annecy znajdują się drogie szczątki i pamiątki pozostałe po św. Franciszku Salezym i św. Joannie Franciszce de Chantal; z Paray-le-Monial, za pośrednictwem duchownej ich córki, bł. Maryi Małgorzaty Alacoque, wyszła i rozszerzyła się po świecie całym cześć i miłość Serca Jezusowego. Autor kreśli krótkie życiorysy tych świętych; wylicza pamiątki godniejsze widzenia w zwie-

dzanych przez siebie kościołach. Do opowiadania tego, stanowiącego właściwą treść wymienionej w tytule książeczki, dołączony jest jeszcze trzeci, osobny rozdział p. t: „Kilka słów o wizyach błog. Małgorzaty Maryi i o objawieniach dotyczących nabożeństwa do Najśw. Serca Jezusowego".

L. M.

Ćwiczenia duchowne według normy św. Ignacego Loyoli. Przez *O. S. Petitdidiera T. J.* Z łacińskiego wolno przełożył *ks. J. Tylka.* Tarnów.

Niedawno temu podał nam szanowny tłumacz nieocenione dosyć dzieło „Uwielbienia łaski Bożej", obecnie podaje nam w tłumaczeniu „Ćwiczenia duchowne" O. Petitdidiera. Związek logiczny między tłumaczeniem pierwszego a drugiego widoczny, który tak nam w swej przedmowie sam tłumacz podaje: „Pomiędzy środkami, służącemi do zachowania łaski Bożej, albo do odzyskania jej, gdyśmy ją stracili, jedno z pierwszych miejsc zajmują ‚Ćwiczenia duchowne'"... Stąd widać, że autor w przyswajaniu literaturze naszej obcych dzieł ascetycznych trzyma się planu z góry zakreślonego.

Wydanie tego rodzaju ćwiczeń duchownych, jakie nam ks. Tylka podaje, jak z jednej strony bardzo jest cenne treścią swoją, tak z drugiej z niemałemi złączone trudnościami. Rekolekcye O. Petitdidiera należą bezsprzecznie do lepszych, nie są to jednak medytacye rozwinięte, to w skróceniu tylko zwięźle podane punkta, które medytujący sam rozbierać winien według całej nauki w nich zawartej. Ta ścisłość i zwięzłość do języka łacińskiego zastosowana, w polskim nasuwa pewne trudności. A jednak szanowny tłumacz, choć nieraz opisywać musi krótkie a dosadne wyrażenia łacińskie, podał nam równie zwięźle i wiernie, o ile na to właściwości naszego języka pozwalają, myśli autora.

Druga zaleta oryginału, to nadzwyczajna prostota, którą tłumacz równie uwzględnić się starał. Ponieważ te Ćwiczenia duchowne przeznaczone są dla zakonników, a tłumacz miał przedewszystkiem na oku kapłanów świeckich, przeto zmuszonym był dodać niektóre medytacye, więcej potrzebom kleru świeckiego odpowiadające. Umiał je jednak dostroić do medytacyj O. Petitdidiera tak, że anibyśmy się spostrzegli, że z innego źródła wychodzą, gdyby odnośne przypiski o tem skrupulatnie nie ostrzegały.

Szczera wdzięczność należy się księdzu kanonikowi Tylce za tę

nową jego pracę, która choć treścią szczególniej potrzebom życia zakonnego odpowiada, jednak nadaje się niemniej i dla świeckiego duchowieństwa i dla prowadzenia wybrańszych dusz na drodze doskonałości chrześcijańskiej. Cena bardzo przystępna, bo 1 złr. 30 ct. Dochód przeznaczony na restauracyę katedry tarnowskiej.

Ks. W. D.

Najpiękniejszy dzień życia. Czytania pobożne dla przystępujących do pierwszej Komunii świętej. Przez *O. Jana Nep. Buchmanna* O. S. B. Z 27 drzeworytami i 1 chromolitografią. Tłumaczone przez C. P. z archidyecezyi warszawskiej, z aprobatą Najprzew. ks. Biskupa. Nakładem Benzigera i Sp. Einsiedeln 1893. (W 16-ce, str. 250).

Napisać 33 nauczki w kształcie listów do dzieci o jednym, tak ściśle ograniczonym przedmiocie, jak „Pierwsza Komunia św.“, a przytem nie być nudnym, nużącym lub pedantycznym, to wcale niełatwo. Niełatwo, i nawet niepodobna dla tego, kto nie kocha dzieci i Chrystusa Pana, z którym te dzieci mają się pierwszy raz sakramentalnie połączyć. O. Buchmann jedną i drugą miłość widocznie posiada w wysokim stopniu. To też książeczkę jego, choć cokolwiek w zbyt wiernem tłumaczeniu, czytać może z zajęciem nawet dorosły — tem bardziej dzieci, dla których z takiem ciepłem jest napisana.

Same tytuły rozdziałów czy listów, jakże urozmaicone i zaciekawiające! Tak np. list trzeci: „Wielkie nieszczęście na świecie“, mówi o grzechu śmiertelnym, ale jak zajmująco, z jakiemi porównaniami i przykładami! W „Niewyczerpanym Kielichu“ mówi autor o cudownem rozmnożeniu chleba na puszczy w zastosowaniu do Najśw. Sakramentu, który na niezliczonych miejscach, dla milionów ludzi przebywa. Są jeszcze listy: „Niemy djabeł“, „Morele“, „Doskonałe zwierciadło“, „Najpiękniejszy dzień życia“ (możeby było lepiej: w życiu), „Oko czujnej matki“, „Boska uczta“ i t. d., a w każdym jakaś nauka tycząca się Komunii św., albo przygotowania do niej.

Zdanie: „najpiękniejszy dzień życia waszego się zbliża“, powtarzające się prawie bez zmiany po każdym liście, cokolwiek nuży polskiego czytelnika. Nie wszystkie też wierszyki na zakończenie rozdziałów dość udatne są.

Zarzucićby też można pewną sztywną sentymentalność, właściwą niemczyźnie, którą dobre tłumaczenie powinno było usunąć. Przekład staranny ale nie wprawny, ograniczający się do słów i zdań, a nie sięgający do myśli i stylu.

Nie można też zamilczeć o liście pochwalnym tego dziełka, wydanym z konsystorza metropolitalnego ob. łac. we Lwowie do wydawców, właścicieli księgarni: Benziger i Sp. Życzy w nim ks. Arcybiskup, aby ta książeczka „znajdowała się przedewszystkiem w ręku kapłanów i rodziców, którzy z obowiązku zajmować się powinni przygotowaniem dziatwy do pierwszej Komunii".

Cena nadzwyczaj umiarkowana, 75 ct. za tak ozdobnie wydaną książeczkę, doskonale harmonizuje z katolicką firmą wydawców i pobożną treścią dziełka.

P.

Po Europie. Kartki z podróży. Przez *Czesława Jankowskiego*. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1893.

Nic naturalniejszego, jak w czasie zajmującej podróży notować sobie kilku słowami otrzymane wrażenia; dawniej z notatek tych powstawały obszerne, dla ściślejszego koła krewnych i znajomych przeznaczone listy; dziś, przy łatwości druku, dostają się one niejednokrotnie pod prasę, przedzierzgają się w broszury, czasem i w książki. Taką, z podróżnych, pospiesznych notatek ułożoną książkę, mamy właśnie przed sobą; książkę dość wprawdzie stosunkowo grubą, ale na kraje, na przestrzenie, z któremi ma nas zapoznać, w każdym razie nie za grubą; nie jedno przecież miasto, nie jedna prowincya ma się przed oczami naszemi przesunąć, ale jedna część świata, ale — Europa. Gdybyż to była jeszcze Australia, gdybyż południowa Ameryka, lub tajemnicze wnętrze Azyi, możnaby zapewne podać zajmujący ich opis na trzystu stronicach; gdyby w Europie nawet podróżnik nasz przebiegał nieznane, lub mało znane, dajmy na to: albańskie, siedmiogrodzkie szlaki, mógłby nam bez zbytnich trudności naszkicować interesujący ich obraz; — do obudzenia żywszego interesu przelotnym, wagonowym opisem Niemiec, Pireneów, Atlantyku, Rodanu, potrzeba wybitnego pendzla, łączącego w jedną całość poezyę z dowcipem, głębokość myśli z czarem słowa.

Nie powiemy, aby p. Jankowskiemu tych przymiotów w zupełności brakowało. Umie ciekawe szczegóły podpatrzyć, umie czasem barwnie naturę malować, nie brakuje mu nieraz dowcipnego słowa; nieszczęściem obrał sobie temat za wielki, za trudny, co najważniejsza, niedość określony.

P . . . ski.

Polacy w Brazylii. Przez *Antoniego Hempla*. Z mapą kolonij polskich w Brazylii. Lwów 1894.

Po przerażających czarnemi barwami opisach Dygasińskiego, po, fejletonowem piórem skreślonych wrażeniach ks. Chełmickiego, otrzymaliśmy obecnie mniej może do wyobraźni przemawiający, z mniejszą sztuką literacką ułożony, ale z możliwą dokładnością i starannością zebrany, licznemi cyframi i datami poparty, obraz polskich kolonij w Brazylii. W dwóch, obok stolicy znajdujących się, centralnych domach emigracyjnych, w których wychodźcy zaraz po wylądowaniu znajdują chwilowy przytułek i wypoczynek, zbyt źle się im nie dzieje; gorzej, gdy przychodzi wybierać, w jakiej części Brazylii koczowniczy namiot rozłożyć, do jakiej pracy się zaprządz. Emigrant nie ma wogóle wyobrażenia, czem jest, i w jakich granicach Brazylia się rozciąga, a cóż dopiero, gdzie leżą i jakie mają jasne, jakie ciemne strony pojedyńcze prowincye i kolonie, których nazwy o uszy mu się obijają; nie wie i zoryentować mu się wcale nie łatwo, czy słuchać ma tych, którzy doradzają mu w miastach na kawałek chleba pracować; czy tych, co na opuszczone przez niewolników plantacye go ciągną; czy wreszcie wybrać się w niedostępne góry i lasy, na własne kolonie, które tak cudownemi farbami w Polsce mu malowano, a od których tutaj ajenci plantatorów, potrzebujących na gwałt robotnika, odstraszają go jak mogą i umieją. Ostatecznie wybiera — bo zdecydować się, i to prędko, na coś musi — co mu chwilowa fantazya podsunie, sprytniejszy ajent doradzi; później będzie nieraz żałował, płakał, gniewał się — ale wszystkie gniewy i płacze nie na wiele się zdadzą.

Zdatni i pracowici rzemieślnicy znajdują łatwo zatrudnienie i wcale pokaźny zarobek w samej stolicy. Kiedy prosty wyrobnik liczyć może zaledwie na dwa milreisy dziennie, to szewc, krawiec, mularz, stolarz zarabia od 3—6, bywa czasem, że i do 8 milr., a więc około 12 franków. Nieszczęściem pijaństwo, wesołe kompanijki, próżniactwo, częste choroby wydzierają zapracowany grosz i znaczniejszą część rzemieślników wyrzucają po niedługim już czasie poza mury Rio Janeiro. W San Paulo w czasie, w którym podróżnik nasz miasto to zwiedzał, znajdowało się do 700 polskich rzemieślników i włościan, w Santos koło 100, w Desterro kilkudziesięciu. Najlepsze zyski mają stolarze wyrabiający meble, którzy przy pilności i zręczności dociągnąć mogą do 5 milr. dziennie; nieźle też toczą się interesa przemyślnym Żydom, handlującym jak handlowali w Polsce: daleko już gorzej szewcom, z powodu, że europejskie, fabryczne obuwie zalewa wszystkie targi;

mularze klepią biedę, a prości wyrobnicy żyją po prostu w nędzy, nie dlatego — jak autor broni ich energicznie przeciw zarzutom ks. Chełmickiego — jakoby byli niezdarni i niezaradni, ale ponieważ nie znając miejscowego języka, nie wiedzą gdzie się obrócić i nie mogą się od razu zoryentować w nowych warunkach życia.

Na plantacyach, „na kawie“ — jak polscy wychodźcy się wyrażają — dzienny zarobek wynosi około pół franka; dość to może, żeby nie umrzeć, ale nie dość żeby żyć, nie mówiąc już o uciułaniu jakiegoś grosza na chorobę, na starość, na tak gorąco pożądany powrót do kraju. A dobrze jeszcze, jeśli plantator regularnie i sumiennie lichy ten zarobek wypłaca; byli i tacy, co zapędziwszy emigrantów do koszar budowanych dawniej dla niewolników, traktowali ich zupełnie jak niewolników i przez lata całe za znojną, w tropikalnym upale spełnianą pracę ani grosza do rąk nie dawali. Cóż dziwnego, że wielu uciekało „z kawy“, że dotarłszy z niesłychaną biedą do którego z portów, nie chcieli za żadną cenę wracać, już nietylko na plantacye, ale choćby i na ofiarowywane sobie kolonie?

Kolonie polskie, tak dawniejsze, przed kilkunastu laty założone, jak i nowe, datujące od ostatniej tłumnej emigracyi, znajdują się w trzech stanach: Parana, Santa Catharina i Rio Grande de Sul. Być może, że przy racyonalnem traktowaniu całej, na wielką skalę rozpoczętej polityki kolonizacyjnej, mogłaby i Brazylia się zaludnić i europejscy biedacy, walczący z nędzą w ojczystym kraju, znaleść tu porządny kawałek chleba: nieszczęściem, o jakiemkolwiek racyonalnem traktowaniu, jakimkolwiek porządku, a choćby tylko elementarnej uczciwości, niema tu i mowy. Koloniści zdani są na łaskę i niełaskę niedołężnych i nie wiedzieć bardziej ograniczonych, czy bardziej chciwych i niesumiennych urzędników. Niektórzy z nich oddają chętnie Polakom świadectwo, że są oni najspokojniejsi pomiędzy wszystkimi kolonistami, najpracowitsi, najochędożniejsi (powtarzam: najochędożniejsi) i z pewnością sami jedni znają się na uprawie roli; piękne to słowa, szkoda tylko, że wogóle wszystko na słowach, na przecudownych obietnicach zaczyna się i kończy. Pomimo tego, pomimo czarnej nędzy, zaglądającej w oczy, niema na koloniach tego przygnębienia co w miastach i na plantacyach; chłop, dostawszy się do kawałka ziemi, czuje grunt pod nogami, pracuje co sił i nad siły, i kontent, że choć bardzo jeszcze z daleka, nadzieja lepszej przyszłości mu się zapowiada.

Jaki los czeka te kolonie, jaki los czeka wogóle 70.000 Polaków rozrzuconych po olbrzymich, brazylijskich obszarach? Dotąd przy-

najmniej — zaręcza nam autor — polscy koloniści nie wynaradawiają się, trzymają się między sobą w ścisłej solidarności, potrafili sobie zjednać u Włochów, u Niemców uznanie, zaczynają zwolna myśleć o zaspokojeniu już nietylko materyalnych, ale i moralnych swych potrzeb. Czego gwałtowny brak, to inteligencyi, która jednocząc Polaków między sobą, przedstawiaćby ich zarazem mogła i bronić ich interesów w sejmie Kurytybskim, w parlamencie w Rio Janeiro, w prasie, w rozlicznych stowarzyszeniach. Księży polskich jest już kilku; z innych źródeł wiemy, że o wiele za mało. Niech liczba ich się powiększy, niech przybędzie jeszcze paru energicznych lekarzy, nauczycieli, kupców, a spokojni być możemy o przyszłość polskiej kolonii; a jeśli może proponowane przez autora założenie towarzystwa okrętowego polskiego długo, długo jeszcze z krainy marzeń nie wyjdzie; to natomiast drugi z podsuniętych przezeń projektów: założenie „Domu narodowego polskiego“ w Kurytybie, stać się będzie mógł, i to prędko, rzeczywistością.

Jak ze streszczenia tego widać, p. Hempel, opowiedziawszy w pierwszych rozdziałach spokojnie i trzeźwo dotychczasową nie bardzo wesołą historyę polskich kolonij w Brazylii, bynajmniej o przyszłości ich nie rozpacza; zachęca tylko do wzięcia w ręce przez ludzi rozumnych i kraj miłujących i do spokojnego kierowania polską emigracyą, którą chcieć zupełnie powstrzymać nie jest ani możebnem, ani nawet pożądanem; napomina, aby starać się wszelkiemi siłami o zachowanie jak największej łączności między koloniami a ojczystym krajem. Rozumny to program i dzisiaj niewielu już takich, którzyby się z nim, w ogólnych przynajmniej zarysach, nie solidaryzowali.

B.

Żydowscy radykaliści. Przez *Teofila Merunowicza*. Odbitka z *Gazety Narodowej*. Lwów. Seyfarth i Czajkowski. 1894.

Trzebaby chyba być głuchym i ślepym, aby nie czuć i nie rozumieć, jak w całym świecie niezmiernie ważną, a dla nas jedną z najważniejszych, najżywotniejszych jest kwestya żydowska. To też w zasadzie i w teoryi nikt ważności tej kwestyi nie przeczy; tylko — podobnie jak to ma, a w każdym razie do bardzo niedawna miało miejsce, odnośnie do coraz gwałtowniej rozogniającej się kwestyi socyalnej — zbyt wielu lęka się spotkać z nią oko w oko, a dla uspokojenia sumienia, wymyśla sobie różne „pilniejsze“ sprawy, zmusza się do wiary w przeróżne, arcywygodne formułki, które nietylko uwalniają

od szczerego zajęcia się niemiłą kwestyą, ale wprost zakazują o niej myśleć, najsurowiej wzbraniają w niej się rozpatrzeć. Gdybyż przynajmniej to dobrowolne zamykanie oczu znajdowało uznanie, mniejsza o to, u Żydów czy u socyalistów; ale gdzie tam! — jedni i drudzy szydzą sobie bez ceremonii z bezgranicznej tej apatyi i nie żenują się wcale dawać jej o wiele mniej przyzwoicie brzmiące nazwiska. Dobrze więc z pewnością zasługuje się krajowi swemu i społeczeństwu, kto idąc na przekór prądowi, kto łamiąc odważnie zakorzenione tradycye naszego „jakoś to będzie“, odsłania przepaściste, tajemnicze głębie tak bardzo i z blizka obchodzącego nas, coraz szerzej rozpościerającego swą moralną i materyalną potęgę, żydowskiego królestwa: kto zmusza nas niejako do wycieczki do żydowskiej tej krainy, obok której — powiedziećby czasem można — w której żyjemy, a której dzieje, rządy, aspiracye, nurtujące prądy, tak mało, tak zupełnie nam są nieznane.

Powiedział ktoś, że p. Merunowicz odkrył w Galicyi Żydów; istotnie, czytając „Żydowskich radykalistów“, ma się na każdej stronicy wrażenie, którego musieli doznawać Kolumbowi towarzysze na amerykańskich brzegach. Iluż sądzi dziś jeszcze naiwnie, że wszyscy bardziej wykształceni Żydzi o niczem innem nie myślą, jak o najprędszem zlaniu się z polskim żywiołem! Któż z nas do niedawna wiedział, że oprócz nielicznej garstki „Polaków mojżeszowego wyznania“, oprócz kupiących się po większych miastach „niemieckich Żydów“ i ciemnej zgrai husetów — formuje się, na liczbie i na siłach potężnieje, młoda partya „żydowskich Żydów“, którzy mówią szczerze: „Asymilować się z chrześcijanami nie myślimy; chcemy mieć i zachować nietylko religię, ale i narodowość żydowską“. Radykalnym tym ruchem „narodowo-żydowskim“ kieruje lwowskie stowarzyszenie „Syon“, stojące w ścisłym związku z licznemi „Syonami“ innych krajów, a tworzące po całej Galicyi coraz nowe filialne „Syony“. Stowarzyszenie rozporządza trzema pismami: wydawaną we Lwowie w polskim języku: *Przyszłością*, hebrajskiem *Hamagid Hachadasz* w Krakowie. i pismem żargonowem *Der Carmel*. Syoniści starają się, tak za pośrednictwem tych pism, jak licznych zebrań, odczytów, t. zw. „machabeuszowskich“ wieczorków i t. d., rozszerzać znajomość żydowskiej historyi i hebrajskiego języka, budzić narodową samowiedzę; zamyślają o tworzeniu spółek i instytucyj, któreby skutecznie rywalizować mogły z podobnemi spółkami i instytucyami chrześcijańskiemi. Dalszym „zakrajowym“ punktem programu żydowskich narodowców, jest kolonizacya Palestyny przez

Żydów. Nie wchodzi tu bynajmniej w grę marzycielska jakaś tęsknota do dawnej ojczyzny; nie chodzi nawet o ogólny powrót Żydów do Palestyny; ale o to jedynie — jak trzeźwo i realnie wyraża się urzędowy program — aby „Palestyna, zamieszkana przez inteligentną i ruchliwą ludność, stała się ogniskiem nowego życia kulturnego, pomostem pomiędzy Azyą i Europą“, aby przyjęła masy żydowskie, „przekraczające ów punkt nasycenia, poza którym kraj pewien Żydów znosić już nie może“...

Taki jest, w najogólniejszych zarysach, cel i program żydowskich radykalistów. Asymilatorzy ustąpili z widowni, tem tylko się pocieszając, że właściwa wina przegranej ciąży nie na nich, lecz na Polakach, którzy niedość szeroko ramiona im otworzyli; Żydzi t. zw. „niemieccy“, skupieni w stowarzyszeniu *Szomer Israel* (Ochrona Izraela), utrzymujący we Lwowie własny swój organ: *Der Israelit*, przycichnęli i czasem nawet prawią komplementa Polakom, bo przy dzisiejszym składzie rzeczy w Austryi, komplementa te nic nie zaszkodzą, a pomódz mogą; — tak więc na placu boju pozostali narodowcy, a pozostać na nim mogli tem prędzej i łatwiej, że ciemne tłumy starowierców, stanowiące bądź co bądź właściwy rdzeń i siłę żydowską, lgną do nich, widzą w nich naturalnych swych przywódców, uczęszczają tłumnie na „syońskie“ zebrania, na „machabeuszowskie“ wieczory, a choć z wygłaszanych tamże hebrajskich mów wogóle nic a nic nie rozumieją, nie szczędzą im rzęsistych oklasków.

Ruch to potężny i groźny; dlatego zwłaszcza tak groźny i tak wiele do myślenia daje, że Żydzi faktycznie stanowią zupełnie odrębne państwo w państwie; państwo ściśle w sobie zamknięte, wybornie uorganizowane, osobnemi żydowskiemi prawami rządzone; mające osobne swe kahalne sądy, osobną moralność, bardzo a bardzo różną od chrześcijańskiej; że ich szkoły, rabini i t. d. zaopatrzeni są *de facto*, a często i *de jure* w mnóstwo przywilejów, o których katolickie szkoły, katoliccy księża nawet śnić nie mogą. W krótkiem streszczeniu trudno nam się wdawać w szczegóły, ale ciekawi niech zajrzą do broszury p. Merunowicza, a może z autorem się zgodzą, że czas zacząć wielką kampanię za równouprawnieniem — chrześcijan...

Zresztą, czy się kto zgodzi czy nie zgodzi, czy przyklaśnie czy odmówi swego poparcia przedłożonemu przez p. Merunowicza programowi załatwienia kwestyi żydowskiej, w każdym razie — jeśli wogóle tylko sprawami i losem kraju się interesuje — wymówić się nie może

od zapoznania się z tą kwestyą, a zatem i z „Żydowskimi radykalistami".

Tem bardziej interesująca to i warta przeczytania broszura, że samiż nasi „żydowscy radykaliści" żywo się nią zajęli, i uznali za niezbędne wystąpić przeciw niej z obszerną odpowiedzią [1]. Odpowiedź ta ogranicza się na jednem, jedynem faktycznem sprostowaniu: zaprzecza mianowicie, jakoby p. Izaak Singer miał być duchowym ojcem syonistycznego ruchu — o co niech się kłóci kto chce, i komu na tem zależy — zresztą zaś jest tkaniną złożoną z samych wyłącznie przezwisk i obelg. Pan Merunowicz jest Don Kiszotem; walczy z wiatrakami; elukubracye jego są nonsensem, seryo z nim rozprawiać nie można; co najwięcej odpowiedzieć można litościwym uśmiechem dla mózgu i serca takiego człowieka i t. d., i t. d. Kto tak się gniewa, kto na odparcie w poważnym, bardzo przyzwoitym tonie napisanej krytyki lepszych argumentów nie ma; ten krytyce tej w umyśle każdego nieuprzedzonego, każdego komu wyłącznie o prawdę idzie — nowej siły dodaje.

B.

Z piśmiennictwa zagranicznego.

Die Gabe des heiligen Pfingstfestes. Betrachtungen über den heiligen Geist. Von *M. Meschler*, Priester der Gesellschaft Jesu. Zweite vermehrte Auflage. Freiburg im Breisgau. Herder'sche Verlagshandlung. 1892. (W 8 ce, str. VIII i 518).

Piękne to dziełko w sposób świeży i nowy popularyzuje starą, ale ogółowi mniej znaną naukę katolickiej teologii o Duchu Św. Istota Ducha Św., życie Jego wewnętrzne w tajniach Bóstwa, działanie na zewnątrz, wreszcie cześć i kult Jego — oto główne partye cennego opracowania, rozwinięte w 52 rozdziałach. Działalność Ducha Św. na zewnątrz, jako najbardziej pochwytna i umysłowi naszemu stosunkowo najprzystępniejsza, wypadła najobszerniej i stanowi główną część dzieła. Przez kilkadziesiąt rozdziałów przesuwa się przed oczami czytającego szereg wspaniałych obrazów, określających stosunek Ducha Św. do

[1] *Przyszłość* z 5 grudnia 1893.

Boga-Człowieka, do Najśw. Panny, do całego stworzenia, wreszcie specyalnie do człowieka najpierw w Starym, potem w Nowym Zakonie. W Nowym Zakonie przedstawia autor królestwo Ducha Św. w całej potędze i pełni. W Kościele i wszystkich jego urządzeniach, we władzy jego pasterskiej, w jego kapłańskim i nauczycielskim urzędzie, w Sakramentach, szczególniej w Sakramencie Ołtarza, w łasce poświęcającej i siedmiu darach, w modlitwie i życiu dusz nadprzyrodzonem, w chrześcijańskiej rodzinie, w zakonach jako szkole doskonałości, wreszcie w Świętych i wybranych pańskich. Wszędzie występuje Duch Św. jako Twórca i Sprawca wszystkiego co wielkie, co boże, co nadprzyrodzone, a dziwna i tajemna Jego działalność, pochwycona przez autora zawsze wiernie i pięknie, często nader subtelnie i głęboko, pociąga nowością a siłą swą uderza umysł czytelnika, który jakkolwiek znał te prawdy, przyznać musi, że nie pojmował ich w tem uroczem opromienieniu i w tym majestatycznym blasku. W końcowych rozdziałach przedkłada autor sposoby czczenia Ducha Św., rozwija je, uzasadnia; przedstawia sztukę kościelną w służbie i kulcie Ducha Św., wykłada wreszcie obszernie (jest to rzecz nowa dodana w drugiem wydaniu) hymn kościelny *Veni Creator Spiritus* i sekwencyę *Veni sancte Spiritus*.

Książka ks. Meschlera jest właściwie ascetyczną; nietylko oświeca i poucza, ale także działa na wolę i na uczucie, krzepi i buduje, — co jednak nie zawsze w dziełach ascetycznych ma miejsce — jest ona zarazem gruntowną i ściśle opartą na dogmatyce. W tym lub owym poglądzie, co do którego dyskusya między teologami jest otwartą, może ktoś być innego od ks. Meschlera zdania, w całości jednak nauki, opiera się on jak zwykle na najlepszych mistrzach teologii, zakres widzenia nieraz samodzielnie rozszerza, w trudnych tekstach Pisma św. chwyta niejednokrotnie myśl trafną i piękną, i całą tę rzecz przedstawia w formie nader wdzięcznej i ujmującej, bardzo często z podniosłym nastrojem i polotem prawdziwie poetycznym, które to zalety obok wszechstronności i gruntowności są wybitną cechą wszystkich zresztą prac sympatycznego autora.

Obydwa wydania dziełka o Duchu Św. przyjęła z wielkiem uznaniem katolicka prasa w Niemczech i umieściła je w rzędzie najlepszych publikacyj ascetycznych: nie wahano się nawet twierdzić, że rzadko która z tego rodzaju książek tyle daje światła rozumowi a sercu tyle ciepła, co te głębokie i pełne namaszczenia rozmyślania.

Wydaje nam się, że dokładne zrozumienie niektórych miejsc w książce ks. Meschlera, mogłoby sprawić osobom świeckim, zwłasz-

cza mniej przygotowanym, pewne trudności; natomiast dodawać już nie potrzebujemy, że dla księży i teologów będzie to w wysokim stopniu przyjemna i niezwykle pożyteczna lektura.

Ks. W. P.

ПЈЕСНИК И ВИЛА ОД НИКОЛЕ I. ЦЕТИЊЕ 1893. („Poeta i Wila". Przez Czarnogórskiego księcia Mikołaja I. Cetynia 1893).

Wśród licznych baśni i podań, w których ludy południowo-słowiańskie złożyły myśli swych przędzę, najbardziej może znane i popularne jest podanie o Wili. Wila, to słowiańska muza, mieszkająca w ustroniu dzikiem i samotnem, zdala od ludzkiego gwaru, ale przywiązana do pewnego narodu, z którego losami współczuje serdecznie, otaczając siostrzaną opieką jego bohaterów. Ona to nieraz, podług mniemania ludu, unosi się niewidzialnie na skrzydłach ponad obozem wojowników, ostrzega ich dowódcę o niebezpieczeństwie, stara się go natchnąć męstwem i odwagą, a nawet spełnia chętnie jego polecenia. Ona również przechowuje święcie tradycye i wspomnienia dawnych dziejów, dzieląc się niemi z ukochanym przez siebie narodem w ważnych i doniosłych dlań chwilach, aby z przykładu swych przodków dla siebie czerpał naukę.

To właśnie podanie o gorącej patryotce Wili posłużyło za osnowę do prześlicznego poematu czarnogórskiego księcia Mikołaja I., pod tytułem: *Pjesnik i Vila*. Nie pierwszy to utwór tego znakomitego serbskiego pieśniarza, który po zmarłym swym stryju, księciu Radoszu Piotrze, twórcy „Górskiego Wieńca" [1], odziedziczył nietylko tron przodków, ale też i poetycką lutnię. Utwory obu tych władców tchną równie serdeczną miłością swojego kraju i narodu, ale gdy pierwszemu z nich zewnętrzne okoliczności pozwoliły być tylko poetą i myślicielem, drugi, z powodu uznania niepodległości Czarnogóry, jest nietylko wybrańcem muz, lecz zarazem politykiem i dyplomatą, co każdemu jego słowu, dotyczącemu przyszłych losów narodu serbskiego, tem większą nadaje wagę.

Przedewszystkiem musimy zaznaczyć, że *Pjesnik i Vila* jest to utwór przeznaczony wyłącznie dla nader małego koła czytelników i w handlu księgarskim nigdzie się nie znajduje, tak, że jedynie uprzejmości chorwackiego poety, p. Katalinicza-Jeretowa, zawdzięczamy, że w danej chwili mamy przed sobą piękny ten poemat i możemy zdać z niego sprawę czytelnikom *Przeglądu*.

[1] Por. *Przegląd Powszechny*, t. XL, zeszyt grudniowy r. 1893, str. 438

Na pierwszych kartach swego utworu poeta wzywa do siebie Wilę, „swoją siostrzycę, wiecznie młodą i świeżą, jak liść z rajskiego drzewa, który nigdy nie opada“, i wyrzuca jej, że ukrywszy się zapewne w górach, lub spoglądając z Baru na fale Adryatyku, zupełnie o nim zapomniała. — A może — dodaje żartobliwie — może nie chcesz ze mną się przyjaźnić, dlatego, że na barkach piąty dźwigam już krzyżyk? O, nie troszcz się o to:

. . . . . Młodość ducha	. . . . . Младост духа
Nie starzeje się, niestety,	Нити вене, нити стара;
A na ziemi niema siły,	Нема силе, нема моћи,
Krępującej lot poety!	Што пјесников дух обара!
. . . . .	. . . . .
Otrząśnijmy się więc z prochu,	Ах, остав'мо прах до праха,
I obecną cieszmy chwilą;	Одвежи ми духу крило;
Rozwiń skrzydła mego ducha,	Дуго ћемо млади бити,
Bośmy młodzi, siostro Wilo!...	Је ли, реци, сестро Вило!...

Potem przypomina jej, jak niegdyś przed trzydziestu laty zawarł z nią węzeł braterstwa podług starego narodowego obyczaju. — Świadkiem wzajemnej naszej przysięgi — odzywa się poeta do swej *posiestrimy* czyli siostrzycy nie ze krwi, lecz z ducha — był Łowczen i Sztyrownik, przeglądający się w morskiej toni.

I „Korita Iwanowa“,	И „Корита Иванова“,
I wąwozy i pieczary,	И алуге и омари,
I grób zimny, gdzie spoczywa	И гроб хладни, ђе вјекује
Wielki, dzielny stryj mój stary.	Мој велики стрико стари.

Pamięć zgasłego pieśniarza stanowi jedno z ogniw przyjaźni jego spadkobiercy z uroczą Wilą, „bo jej to właśnie czarodziejska ręka dała mu niegdyś *Gorski Vijenac*“. Główną jednak podstawą braterstwa z opiekuńczą muzą Słowian jest to, że, jak się wyraża poeta:

Wielka łączy nas potęga!	И без тога ми смо близу!
Ogień natchnień i zapału,	Нас братими огањ свети,
Ogień święty, który sięga	Огањ пјесме и заноса,
Na wyżyny ideału!	Пут висинâ који лети!
Ogień Boży, piękny, czysty,	Божанствени огањ они,
Ogień serca i miłości,	Огањ срца и љубави,
Ogień cierpień wiekuisty,	Огањ мукâ, огањ славе,
Ogień sławy i wolności!	И слободе огањ прави!
Ogień walki i zwycięstwa,	Огањ борбе и прегнућа,
Który miłość kraju nieci,	Огањ врући родољубља,
I jak święta iskra Boża,	Што у срца букти наша,
W naszych sercach zawsze świeci!	Као света Бож'ја зубља! —

Dalej zaś nieco kreśli poeta opis przepysznej górskiej przyrody, która była kolebką młodzieńczej jego muzy:

Czy pamiętasz ten poranek,	Сјећаш ли се оног јутра,
I promienne złote słońce,	И зракова сунца млада,
Pieśń słowika i srebrzyste	И славуја, — и прозрачне
Krople rosy tam na łące?	Оне росе по ливадâ?
Czy pamiętasz mgłę powiewną,	Сјећаш ли се оне паре,
Co Łowczenu wieńczy czoło,	Којом Ловћен гром замеће,
I ten laur, który liśćmi	И лахора, који лишћем
Oplótł skałę naokoło?	Његовијех гора шеће?

Na tej skale, gdzie świeży górski wietrzyk chłodził rozpalone jego skronie, a uroczystą ciszę przerywał tylko szelest orlich skrzydeł, samotny młodzian przyglądał się z zachwytem wspaniałej panoramie, „topiąc oczy, serce i myśli w niewysłowionem pięknie natury". I wówczas nagle, jak błyskawica, zleciała doń Wila, niosąc mu w darze wieszcze natchnienie, jako zadatek swej przyjaźni.

Wiesz, co potem było, Wilo,	Већ знаш даље што је било
Jakeś ze mną się bratała:	Како смо се братимили:
Jam dla ciebie uplótł wieniec,	И пјеснику лиру даде,
Tyś poecie lirę dała.	Пјесник в'јенац тебн вили.

„Czyż więc przyjaźń nasza ma zginąć w przepaści zapomnienia, wówczas właśnie gdy troska zachmurza me czoło?" upomina pieśniarz Wilę; ta zaś w odpowiedzi zapewnia go uroczyście, że zawsze pozostała mu wierną i nieraz patrzała nań ze współczuciem, gdy stojąc u steru swej łodzi, kołyszącej się na falach, śledził bystrem okiem, czy z jakiejkolwiek strony nie grozi jej niebezpieczeństwo.

Łatwo się domyśleć, że tą łodzią miotaną falami, to Czarnogóra, która już niejednokrotnie na rozstajnych znajdowała się drogach, i której przyszłość nieprzenikniona osłania tajemnica. Atoli książę-poeta nie wyobraża sobie swego państewka jako odrębną całość, owszem łączy ściśle jego losy z losami całej Serbii. Jest to przewodnia idea, przeświecająca jak nić złota w całej osnowie poematu, główny punkt wyjścia rozmowy pieśniarza z narodową muzą.

A muza ta, chociaż kocha swój naród, nie pochlebia mu wcale, owszem wypowiada o nim sąd nader surowy i bezwzględny. — O poeto! biedny człecze — woła —

. . . . .	. . . . .
Gwary świata ciebie mamią,	У свијета метеж луди:
Chociaż świat cię oszukuje,	Свијета те вара машта,
I częstokroć ludzie kłamią!...	А варају често људи!...
. . . . .	. . . . .

Ty mi przeczysz?... Zobaczymy:
Czy rycerzy macie dzielnych,
Czy dziś macie patryotów
Bohaterskich, nieśmiertelnych?
. . . . . .
A jak u was stoi wiara?
Jaki duch nad wami włada?
Wasza władza i potęga
Wciąż się chwieje i upada...
. . . . . .
I gdzie zgoda święta, złota?
Gdy na wspólne zło, nieszczęście,
Serb na Serba wciąż się miota,
Lub zaciska gniewnie pięście!
. . . . . .
Ej! poeto, nie chcę mówić,
Co w was godne jest nagany,
Tyś sam Serbem, więc wiesz o tem —
To są serca twego rany!!...

Мислиш није?... Да видимо:
Имате ли сад јунака;
Имате ли родољубâ;
Имате ли поштењакâ?
. . . . . .
Па како ви стоји вјера,
Како свете богомоље?
Власт, моћ ваша и управа,
Спуштане су много доље...
. . . . . .
И дух слоге какав вам је?
Какве су ви худе воље?
Манити се Срб са Србом
На несрећу своју гдоље!
. . . . . .
Ej! пјесниче, нећу даље
Набрајати српске мане;
Ти си Србин, ти их знадеш —
То су срца твога ране!!...

Zamiast więc osłody i pociechy, poeta od swej siostry Wili usłyszał wyrzuty; wrażenia zaś, jakie słowa jej wywarły, w następujących maluje zwrotkach:

W chmurne, smutne dni jesieni,
Kiedy liść opada z drzewa,
Kiedy nic się nie zieleni,
Wszędzie chłodny wiatr powiewa;

Kiedy braknie ciepła, słońca,
Schną i więdną wonne kwiaty,
A przyroda się w żałobne
Przyoblekać musi szaty;

Kiedy pszczółka już nie brzęczy,
Śpiewny słowik zaniemieje,
Kiedy w polu wszędzie pusto,
Nikt nie orze, nikt nie sieje:

Jam cię wezwał, biała Wilo,
Wśród posępnej niepogody,
By być z tobą, gdy się zacznie
Letarg całej gór przyrody;

Bom zaczerpnąć chciał natchnienie
Z czarodziejskiej twojej ręki,
Aby ciszę i pustkowie
Ożywiły liry dźwięki.

На мратинске ове дане,
Када с горе лишће пада,
Кад нестаје зеленила,
Студ и вјетар кад завлада;

Када више ружâ нема,
Нити сунца, ни топлоте;
Но природа обуче се
У хаљине од короте;

Када славуј заниjеми;
Када пчеле нигђе није;
Кад у поље све је пусто,
Нит' се оре, нит' се сије:

Призивнух те, б'јела вило,
У час ови непогоде,
Да се мени близу нађеш
При оп'јелу од природе;

И да мало надахнеш ме
Са мирисом твоје душе,
Па да јеком моје лире
Разажденем ове тмуше! —

A ty, Wilo, zamiast cieszyć
Słowem szczerem i wesołem,
Sama do mnie tu przybywasz
Z zachmurzonem groźnie czołem.

O złudzeniach jakichś mówisz,
Obsypujesz mię szyderstwem,
I mych Serbów ganisz drogich,
Czyż to zowie się braterstwem?

Ал' ти ево, као јесен,
Кобно си ме предусрела;
Ил' си луда ил' плашљива,
Нешто си се, сестро, смѣла!

О заблуди некој збориш:
Поуке ми криве дајеш;
А мило ми Србство худиш,
Као да ме не познајеш.

Uznaje on wprawdzie, że nie wszystko w Serbii należytym idzie torem, lecz zarazem twierdzi, że z pomiędzy wszystkich słowiańskich braci, Serb najwięcej doznał klęsk i nieszczęść, a zatem:

Na świat gniewa się i ludzi,
Bo mu los dokuczył srogi;
Więc się nie dziw, że niekiedy
Musi z dobrej zboczyć drogi...

Па је срдит, — криво му је;
Свијет му је крив и људи;
Чуда није, што му дође
Па да кат-кад и полуди..

Ale Wila nie daje za wygranę, owszem coraz cięższe Serbom przypisuje winy, oskarżając ich przedewszystkiem o brak solidarności z resztą pobratymców. — Alboż Serb wie sam, czego żąda i do czego dąży — zapytuje szyderczo — jeżeli

Dziś z Bułgaryą toczy spory;
Jutro zaś na Ruś się dąsa,
A Chorwata, swego brata,
Ciągle drażni, ciągle kąsa.

Час се срчи на Русију;
Час с Бугарском кавгу тражи;
А с Хрватом првим братом
Све зачепак иште вражи.

Nie chce także znać już Czecha,
Jakby plemię jakieś cudze,
Ani oddać czci należnej
Jego pracy i zasłudze.

А Чеха је отуђио,
Тек га једва он познаје:
И мудрост му и вјештину
Он залијек припознаје.

Niema również on współczucia
Dla Słowaka smutnej doli,
A okropny los Polaka
Nie obchodzi go, nie boli!

Пољачка га страшна судба
Нити боли, нит' је чује;
А јаднога што Словака
Ланац стеже — стало му је!

I z Słoweńcem, tym strażnikiem
Słowiańszczyzny na zachodzie,
Żyć nie umie, jak należy,
W szczerej, świętej, bratniej zgodzie.

Словеначке мртве страже,
Спрам запада која бдије,
Љуе се сјећа, жље је цјени,
Као да је збиља није!

Napróżno biedny poeta broni, jak może, swoich rodaków, napróżno zapewnia, że nie zrywają oni bynajmniej węzła jedności z pobratymcami. Wila porównywając sławną przeszłość Serbii z teraźniejszością, boleje nad jej upadkiem i coraz surowiej odzywa się do tego, na którego, jak mówi, oczy wszystkich Serbów są zwrócone, zarzucając

mu, że już od dawna nie daje żadnego znaku życia. — Łatwo, mój przyjacielu, — odzywa się ironicznie — marzyć, dumać i śpiewać, ale grzechem jest drzemać na czarnogórskim tronie!

Bo czy wiesz, na czem on stoi?	Знаш на чем је он уздигнут?
Na marmurze i na kości,	На мраморе и на кости,
I na przekór wzniósł się wrogom	Злотворима у пркосу,
Ceną krwi i waleczności!	Цјеном крви и храбрости!

A więc odrzuć smutne myśli starcom właściwe, odżyj młodzieńczym zapałem i zerwij się raźno do czynu, do walki z odwiecznym wrogiem; jam dla ciebie już zwycięski przygotowała wieniec!

Na to wezwanie poeta odpowiada skromnie, że mu braknie sił do spełnienia tak wielkiego posłannictwa i ze szlachetnem zaparciem się siebie te piękne wygłasza słowa:

Ja nie pragnę wcale tronu,	Ја не тражим, људи, круну,
Lub pierwszeństwa w mym narodzie;	Нит првенства у народу;
Lecz mu życzę zjednoczenia	Ја му желим цјелокупност,
W szczęściu, prawdzie i swobodzie!	Срећу, правду и слободу!

Potem przypomina, że już stryj jego, książę Daniel, oświadczył niegdyś z zapałem, iż służyłby chętnie za giermka przyszłemu serbskiemu królowi, byleby tylko Serbia w silną, jednolitą zespoliła się całość, a złote czasy Duszana znowu dla niej wróciły. Widzi jednak poeta, jak dalekiem to marzenie jest od rzeczywistości i że nad przyszłością jego ojczyzny ciemna roztacza się chmura, dlatego też z głębi jego piersi bolesna wydziera się skarga:

Ach! przypadło nam w udziale	Ах! у дио нама паде
Twardy mur rozbijać głową,	За род р'ват спрам крвника:
I na czole zamiast złotej,	А на чело, мјесто круне
Wciąż koronę mieć cierniową!...	Носит в'јенац мученика!

Ponieważ jednak rzeczywistość jest tak smutna i beznadziejna, przeto pieśniarz, pragnąc choć na chwilę od niej się oderwać, sięga w sfery ducha nie dla wszystkich dostępne, aby tam znaleść ulgę i upragniony spokój. Prosi więc Wilę, by go zawiodła gdzieś daleko, pod obłoki, oraz dała mu poznać tajemnicze siły, przed ludzkim wzrokiem ukryte.

Powiedz, gdzie harmonia leży,	Навјести ме на скровиште
Boska, czarująca dusze,	Божанствене хармоније;
I do wiedzy prowadź źródeł,	Покажи ми врело знања
Z których czerpią geniusze.	С кога рêниј воде пије.
. . . . .	. . . . .

Lub wytłumacz, co to wieczność?	Објасни ми, што је вјечност?
Czy i tam się kiedy płacze?	Плаче ли се кад и тамо?
Czy też tylko tu na ziemi	Ил'су сузе јединствено
Wylewamy łzy tułacze?	Својство земље ове само?

Z tem właśnie pragnieniem oderwania się od rzeczywistego świata i zaczerpnięcia nowych sił duchowych w czarodziejskiej krainie wyobraźni, poeta opisuje utworzenie się skodarskiego jeziora z łez uroczej Wili. Epizod ten należy do najpiękniejszych w całym poemacie, żałujemy więc, że z powodu jego długości nie możemy przytoczyć go dosłownie i musimy poprzestać na zwięzłem streszczeniu.

Po strąceniu z niebios szatana, Stwórca zwraca się do wszystkich duchów, które Mu pozostały wierne, z zapytaniem, kto z nich pragnie otrzymać więcej nad to, czem go już Bóg obdarzył. Wszystkie atoli okazują zupełne zadowolenie ze swego losu, jedna tylko Wila się uskarża, że zamiast czarnych ma jasne włosy i niebieskie oczy, i oświadcza, że jeżeli Stwórca nie zechce zmienić tej barwy, wówczas przez całą wieczność będzie się zalewała łzami. Pan Bóg pozostawia jej to ostatnie i niebawem ciągły płacz przyprawia Wilę o utratę wzroku. Po upływie wielu wieków Stwórca rzuciwszy raz okiem na ziemię, spostrzega na niej jezioro, którego poprzednio tam nie było, przekonawszy się zaś, że się ono utworzyło z łez nieszczęśliwej Wili, przywraca jej wzrok i pokazuje prześliczną niebieską taflę wody, okoloną łanami złocistego zboża. Na widok czarownego tego zakątka Wila woła w zachwycie:

Żaden inny kraj na ziemi	Е, оно је крај најљепши,
Z tym porównać się nie może!	Што га они свијет има;
Duchy mogłyby w nim mieszkać,	За духове би ваљао,
A Tyś ludziom dał go, Boże!...	Но га даде Ти људима!...

Wówczas Stwórca jej tłumaczy, że złocisty łan przedstawia barwę włosów, na którą się uskarżała, niebieskie zaś jezioro, kolor jej oczu, i w nagrodę za poniesione cierpienia obdarza ją piękną tą krainą, która później od ludzi otrzymała nazwę Zety.

Śliczny ten ustęp zamyka pierwszą jesienną rozmowę poety z Wilą, która mu przyrzeka, że na wiosnę znowu go odwiedzi.

Rzeczywiście z pierwszem tchnieniem wiosny Wila, wierna swej obietnicy, przybywa do swego *pobratima*, niosąc dlań wiązkę kwiatów zerwanych na Kosowem polu, i tym razem zamiast go upominać lub ganić, energicznie zachęca do walki:

Na Kosowskim placu boju
Uzbierałam dla cię kwiatki,
Moc mające czarodziejską,
Bo zrodzone z ziemi — matki.

A ta ziemia krwią Turczyna,
I krwią Serbów przesiąknięta,
Narodowi przypomina,
Co powinność każe święta...

. . . . . .

Masz!... powąchaj!... Czy nie prawda?
Co tych kwiatów mówią wonie?
Mówią: przypasz broń do boku
I na wojnę siodłaj konie!

Убрах за те киту ову,
По разбоју, по Косову.
Тога цв'јећа моћ је снажна,
Родила га земља влажна —

Још од крви од јунакâ:
Од Србаљâ и Туракâ
Оно души навјештаје
Чак у ове параштаје.

. . . . . .

На... мириши!... Јели тако?
Прегни само па је лако!
Опремај се, коња јаши,
И оружје св'јетло паши!

Nadaremnie poeta stara się uspokoić swoją przyjaciółkę, mówiąc, że nie nadeszła jeszcze odpowiednia chwila do działania i ciesząc ją nadzieją, że może w niedalekiej przyszłości ukochana jej Skodra zostanie wydarta z rąk nienawistnego wroga, Wila oświadcza mu stanowczo:

O! dopóty dzień radości
Nie zaświta twojej siostrze,
Aż od morza do Dunaju
Dym bojowy się rozpostrze!

Неће твоја друга плава
Имат мира и покоја:
Док од мора до Дунава
Не дигне се дим од боја!

Atoli poeta opiera się niezachwianie tym namowom i na pytanie Wili, dlaczego nie weźmie się do dzieła, kiedy cały naród serbski w nim położył swe nadzieje, odpowiada jej słowami, kryjącemi głęboką prawdę:

Na mej drodze
Są przeszkody,
Bo mej Serbii
Braknie zgody!

A ta zgoda
To potęga,
Co najwyższy
Cel osięga.

Czegobyśmy
Z nią nie starli?
Dokądbyśmy
Nie dotarli?

Coby nam się
Oprzeć śmiało?
Naszej władzy
Nie uznało?

. . . . . .

Ах, фали ми
Вило, много!
Српству нашем
Фали слога...

А њом да се
Опашемо
Па јуначки
Узјашемо:

Ће не бисмо
Ми допрли?
Што не бисмо
Још сатрли?

Што би нам се
Одржало,
Те пред нама
Не би пало?

. . . . . .

A więc, Wilo,	Ах! моли се
Błagaj Boga,	Вило. Богу,
Niech nam wróci	Да нам даде
Jedność droga,	Свету слогу;
To zobaczysz	Па ћеш виђет
Sławne czyny,	Чуда, јада,
I zwycięstwa	И јуначког
I wawrzyny!...	Нашег рада!...
Gdy zaś w swoję	Круну ћемо
Wrócim stronę,	Затим слити:
To odławszy	Ка' брања се
Wnet koronę,	Догôрити:
Najlepszemu	Најбољему
Ją oddamy,	Да је дамо:
Tylko zgody,	Него слогу
Zgody samej!	Слогу, само!...

Wreszcie udaje się poecie ochłodzić nieco wojowniczy zapał Wili, która mu zaczyna o dawnych opowiadać czasach, oraz w sposób nadzwyczaj barwny i pełen życia kreśli kilkoma śmiałemi rzutami całą historyę Rzymu. Piękny zwłaszcza jest ustęp, w którym opisując upadek starożytnej Romy, Wila się odzywa:

Ha! okropnej dożył chwili	И Рим то је дочекива!
Rzym — co światła był pochodnią!	Рим — огњиште од врлинâ!
Rzym — ten dumny władca ziemi!	Рим — носиоц величине!
Rzym — wsławiony złem i zbrodnią!	Рим — гњијездо од злочинâ!
Lecz choć srodze go ukarał	Па ипак се подигнуо
Ten, co strącił złych aniołów,	Из гомиле свог расапа,
Rzym znów powstał z gruzów, ruin,	Иза казни заслужене
Tak jak feniks z swych popiołów.	И праведног Божјег штапа.
Bez oręża go podźwignął,	Подиже се без јунаштва
Nowe dał mu fundamenta	И без бојних каквих справâ
Piotr, ubogi rybak judzki,	Петар, рибар из Јудеје
Chrześcijaństwa głowa święta.	Основа га, света глава.
I założył swe królestwo	У њем заче ново царство
Na podstawie prawdy, wiary,	На темељу од истине,
A niebawem swoim blaskiem	Те ће оно бити трајно,
Nowy Rzym przewyższył stary.	Надврх првог величине.
Dwa stanęły wówczas trony	Два се трона уздигоше
W grodzie wiernym Cezarowi:	У напоред насред Рима:
Jeden wznieśli ateusze,	Један држе незнабошци,
Drugi — słudzy Chrystusowi.	Други сјаје хришћанима.

Lecz jak w ciepłym blasku słońca	Комад леда растопи се,
Musi stopnieć lodu bryła,	Кад га јарко сунце грије;
Tak przed tronem chrześcijańskim	Незнабожном трону мјеста
Moc pogańska ustąpiła!	Спрам хришћанском било није.

Następnie Wila przechodzi do treści, obchodzącej bliżej dostojnego jej słuchacza i opowiada dzieje jego ojczyzny od chwili osiedlenia się Serbów, aż do bitwy na Kosowem polu. Niełatwe tu poeta przed sobą miał zadanie, aby tą bądź co bądź długą, bo większą część jego dzieła zajmującą historyą, nie znużyć czytelnika, ale należy przyznać, że się z tego zadania wywiązał znakomicie. Opowieść Wili przeplatają ciągle uwagi i zarzuty samego poety, a od czasu do czasu pomiędzy obojgiem wywiązuje się ożywiona sprzeczka, nadająca całemu opowiadaniu wiele życia i dramatyczności. Niekiedy nawet Wila zrywa jego wątek i wówczas, jak hamletowskie *To be or not to be*, wraca znowu na jej usta dawne wojownicze hasło.

Nader znaczący i zagadkowy zwłaszcza jest ustęp na stronicy 108—112, gdzie Wila odzywa się do księcia:

O! dla tych, co żyją teraz,	На што Бог дâ, Мирков сине!
Śmierć od życia milsza nieraz,	Од смрти је живот гори,
Więc się zerwij już do czynu,	Ови — којим сад се живи!
I co Bóg da, Mirka synu!	Него устај, па се бори!...

Potem następuje cała strofka, zapełniona kropkami, dalej zaś biała karta, na której obu stronach te tylko skreślone są słowa:

Wówczas ona się zapełni,	Ово ће се попунити,
Kiedy uschnie już ta ręka,	Кад усане ова рука,
Albo gdy się dla narodu	Ил' кад ми се мили народ
Teraźniejsza skończy męka!	Од садањих трси мука!

Jakże głęboką melancholią tchną ostatnie te wyrazy!

Sam nawet poeta, wzburzony namiętnemi namowami i łzami Wili, stara się położyć koniec drażliwej scenie, wołając:

Dość już, dość już, moja droga!	Доста... немој... немој више!
Po co serca krwawić rany?	Сад не јецаш; — ту је доста...
Lepiej mówmy o przeszłości	Него причом од старинâ,
Mej ojczyzny ukochanej...	Бе'но, друго моја, оста!...

Znowu więc rozpoczyna się opowieść Wili, złożona z całego szeregu scen i obrazów, prawdziwie mistrzowską naszkicowanych dłonią. Największy nacisk kładzie poeta na błogie czasy Duszana, którym poświęca kilka kart swego utworu, streszczając następnie cały ten opis w następującej strofce:

Modry Dunaj i dwa morza	Дунав плави и два мора
Oblewają kraj wokoło,	Пространу му земљу квасе!
Duszan serbskim zwie się carem	Царским в'јенцем чело кити,
I koroną zdobi czoło!	И цар српски он назвасе!

W taki sposób na złotą nić dziejów nawleka autor jedną po drugiej prawdziwe perły poezyi, w których głębokie myśli i gorące uczucie wraz z wdzięczną formą w harmonijną zlewają się całość. Do najpiękniejszych ustępów należy obszerny opis bitwy kosowskiej, w której poległ cały kwiat serbskiego rycerstwa. Malując jednak ten tak smutny epizod w ojczystych swych dziejach, w którym owoce bohaterstwa cara Lazara i wzniosłego poświęcenia jego zięcia Miłosza niweczy niecna zdrada Brankowicza, Wila uspokaja poetę mówiąc, że krwawy ten dramat nie hańbę, ale chlubę Serbii przynosi. Każe też nie tracić nadziei w lepsze jutro, bo chociaż

Rzewną skargą serbskiej pieśni	Јек потоње српске пјесме
Dziś Niegusza lira jęczy,	Његошевом лиром јечи!
Dźwiękiem szabli Lazarowej	Звеком сабље Лазареве
Już Daniły szabla dźwięczy!	Данилова сабља звечи! —

Na tem się kończy prześliczny dyalog pomiędzy narodową muzą i narodowym serbskim wieszczem. Przytoczywszy w streszczeniu jego temat, sąd o zewnętrznej formie pozostawiamy czytelnikom, którzy z umieszczonych powyżej wyjątków powzięli już niechybnie należyte pojęcie o jej zaletach i charakterystycznych cechach. Zaznaczyć tylko musimy, że w wielu ustępach *Pjesnika* i *Vili* uderza pewna identyczność nastroju i ducha z utworami Krasińskiego, przedewszystkiem zaś da się to powiedzieć o rozmowie jesiennej poety z muzą na początku tego utworu. Sama wreszcie Wila przypomina niekiedy zupełnie tę siostrę, do której nasz Zygmunt zwraca się w „Przedświcie“. Naturalnie o naśladownictwie nie może tu być mowy, świadczy to więc tylko o pewnem pokrewieństwie duchowem pomiędzy czarnogórskim księciem-poetą i autorem „Trzech Psalmów“.

Tytus Sopodźko.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Odezwy biskupie o kwestyi socyalnej. — Walka przeciw pojedynkom w wojsku. — Magdeburski wiec wychodźców polskich. — Biskup tyraspolski w Rzymie. — Kwestya wydania encykliki o prześladowaniu w Polsce.

ODEZWY BISKUPIE O KWESTYI SOCYALNEJ.

Gdyby była jeszcze wątpliwość, jaka kwestya stoi dziś na pierwszym planie na porządku dziennym, wszystkie inne do pewnego stopnia na bok usuwa, wszystkie poważne umysły niepokoi — to wątpliwość tę rozwiązaćby mogły wydane z okazyi nadchodzącego Wielkiego postu biskupie listy pasterskie. Najbardziej wpływowi, najbardziej znani biskupi niemieccy, francuscy, belgijscy, włoscy, poświęcili tegoroczne swe listy kwestyi socyalnej; przyczynom, które pożar ten wciąż rosnący rozdmuchały, niebezpieczeństwom jakie z sobą niesie, środkom zaradczym podanym w zasadach chrześcijańskich, w naukach papieskich. Oczywiście, biskupi nie zadawalniają się tylko postawieniem ogólnych zasad; nie mówią tylko: trzeba walczyć, trzeba kwestyę socyalną znać i o rozwiązanie się jej starać; — lecz nakreślają w szczegółach plan tej walki, nie wahają się z całym naciskiem przypominać, że na nowym terenie z nowymi wrogami potykając się, należy do nich zastosować i swą broń i taktykę.

„Dziś — pisze biskup strassburski Fritzen, biorąc pochop z ostatnich wyborów do parlamentu, w których socyaliści odnieśli tak świetne zwycięstwo — dziś zwłaszcza, chrześcijanin obowiązków na sobie ciążących nie spełnia, jeśli myśląc tylko o zabezpieczeniu bytu rodzinie, nie bierze czynnego udziału, do którego Bóg go powołał, w życiu publicznem, i nie czuwa nad tem, aby państwo i gmina, wbrew usiłowaniom nowoczesnego liberalizmu, były zorganizowane na podstawach chrześcijańskich. Chrześcijanin zda sprawę przed Bogiem, jak z innych swych uczynków, tak również z odegrania przypadającej sobie politycznej roli, z oddanych przez siebie głosów. Cóż powiedzieć o katolikach, którzy w czasie ostatnich wyborów przyczynili się swemi wotami do tryumfu socyalistów, tych jawnych nieprzyjaciół religii, rodziny, własności i ustanowionego przez Boga porządku społecznego? Wytłumaczyć to może można brakiem organizacyi i pewnem rozgoryczeniem, płynącem z tak smutnego dziś położenia ekonomicznego; ale te i inne przyczyny, choćby winę cokolwiek zmniejszały, nie mogą jej zatrzeć, bo socyalizm stanowi dla wiary tak groźne przynajmniej niebezpieczeństwo, jakie stanowiła wielka rewolucya w wieku przeszłym, a przeto dla żadnych pobocznych względów nie wolno z nim paktować. Wszyscy katolicy muszą łącznie przeciw temu nieprzyjacielowi wystąpić; owszem wystąpić przeciw niemu muszą i powinni nietylko mężczyźni, ale i kobiety, pomne doniosłego swego posłannictwa w rodzinie chrześcijańskiej!“

— „Czy Kościół — pyta kardynał Thomas, arcybiskup z Rouen — czekać może niemy, obojętny, na to, co wypadki nam przyniosą; czy może obojętnym wzrokiem spoglądać na dwa sformowane już obozy, jeden do ataku gotujący się, drugi do obrony? Nie! — nie może, bo zna swój obowiązek. Gdy barbarzyńcy przed bramami, wyjdzie naprzeciw barbarzyńców; dla Attylów znajdzie zawsze Leonów“.

Szczególnie śmiały i praktyczny jest list biskupa z Liège, ks. Doutreloux, do duchowieństwa swej dyecezyi. Belgijscy katolicy podzielili się od pewnego czasu odnośnie do kwestyi socyalnej na dwa obozy. Pierwszy, złożony wogóle z ludzi star-

szych, ściśle — a jak niektórzy mniemają, aż za ściśle — dawnych tradycyj się trzymających, uznaje potrzebę chrześcijańskiego miłosierdzia i gorąco propaguje i proteguje zwłaszcza konferencye św. Wincentego à Paulo, ale wszystko co poza tem się dzieje, uważa za przesiąknięte niezdrowemi, socyalizmem trącącemi ideami, lęka się wszelkiej interwencyi prawodawczej; o robotniczych związkach, choć ściśle na chrześcijańskim gruncie opartych, ani słyszeć nie chce. Drugi obóz, którego uznanym wodzem jest ks. Pottier, ogłosił za swe hasło: Chcemy w życie wprowadzić, a wprowadzić aż do ostatniej kropki, nauki zawarte w encyklice *Rerum Novarum;* dlatego wszelkiemi siłami pragniemy tworzyć, stosownie do potrzeby, nowe chrześcijańskie związki robotnicze, popierać i rozwijać już istniejące; mówiąc robotnikom o ich obowiązkach, nie zaniechamy wyjaśniać, jakie przysługują im prawa i jak ich bronić mają. Walka między oboma temi obozami tak się rozogniła, że biskup Doutreloux uważał za swój obowiązek rzucić na szalę powagę swego słowa; ostrzedz przed sporami, z których tylko wspólny nieprzyjaciel cieszy się i korzysta; zachęcić do otrząśnięcia się z małodusznego strachu, który całą zainicyowaną przez Papieża katolicką akcyę socyalną w zarodku tłumi i paraliżuje.

„Nędza, o której mówi Ojciec św. — zbija żarliwy biskup zarzuty wysuwane zazwyczaj naprzód — to nietylko ta ostateczna nędza, która ofiary swe głodem męczy, chwili wytchnienia im nie daje, ale też ów stan stale do nędzy zbliżony, który zapewnia zaledwie środki do życia najniezbędniejsze i robi człowieka nieszczęśliwym, bo bardzo nawet drobna przyczyna: strejk, zmniejszenie zarobku, choroba, przyjście na świat dziecka, doprowadzić może do konieczności wyciągnięcia ręki po jałmużnę".

Bez wątpienia też, jak sam już Pan Jezus powiedział, będziemy mieli zawsze między sobą ubogich. „Ale, aby w społeczeństwie ucywilizowanem i chrześcijańskiem, w społeczeństwie, które rządzone być ma prawami sprawiedliwości, słuszności i prawdy, kwitnąć miał na tak szeroką skalę pauperyzm; aby wydobyć się z niego nie mogło tylu uczciwych robotników, którzy trawią życie wśród najcięższej pracy i w bardzo znacznej części

przyczyniają się do zapewnienia bogatszej warstwie społecznej rosnącego wciąż od pół wieku dobrobytu, — to jest czemś wprost anormalnem".

Ostać się wreszcie nie może i trzeci zarzut: Mówiąc o słusznych żądaniach robotników, podburzamy ich tem samem przeciw chlebodawcom. „Kto tak myśli, ten nie zdaje sobie dość sprawy z istnienia socyalizmu. Robotnicy żywo zajmują się pytaniami dotyczącemi najżywotniejszych swych interesów: Kwestya robotnicza usunąć się nie da. Czyż wobec tego stanu rzeczy byłoby roztropnem milczeć o żądaniach, które racyonalnie stawiać mogą; czy raczej nie należy gorąco się niemi zainteresować i szukać drogi do ich urzeczywistnienia?"

Śmiałe te, tak na czasie będące nauki przypieczętowuje ks. Doutreloux słowami, które kilka miesięcy temu wyrzekł do niego Ojciec św. w odpowiedzi na przedłożone sobie obawy co do tworzenia zawodowych związków robotników chrześcijańskich: „Jakże więc, czyż chcecie zostawić robotników na łup socyalizmowi i rewolucyi?... Powiedz swym kapłanom, że dzisiaj ich to przedewszystkiem obowiązkiem jest do ludu iść. Dziś ksiądz, ograniczający się na pracy w kościele, zamykający się w swem probostwie, nie odpowiada swemu powołaniu; dziś przejąć się musi duchem apostolskim, duchem który ożywiał takiego np. św. Franciszka Ksawerego".

Socyalna demokracya, obchodząca się wedle przyjętej przez siebie dewizy: „bez Boga i pana", rozumie wybornie, że z chwilą, w której takie nauki odpowiedniemi czynami poparte w życie wejdą i rozpowszechnią się, dni panowania jej będą policzone; dlatego też wszędzie, o logikę nie dbając, prawdziwe dobro klas pracujących lekce sobie ważąc, występuje przeciw nim, jako przeciw najgroźniejszym swym wrogom. Jak polskie *Nowe Robotniki, Naprzody, Gazety Robotnicze* zżymają się z zasady na wszelkie chrześcijańskim duchem owiane usiłowania polepszenia doli robotników, jak pracę w tym kierunku uważają za wyłączny, „partyjny" swój monopol; tak samo francuska, belgijska, czy niemiecka „partya" lęka się panicznie t. zw. „chrześcijańskich socyalistów", nie ma dla nich w bogatym swym arsenale dość

obelg i brzydkich insynuacyj. Świeżo np. — aby na jednym charakterystycznym przykładzie się ograniczyć — pisała *La Petite République*, „organ francuskiej partyi robotniczej“, z okazyi wyboru hr. de Mun do parlamentu:

„Pana de Mun uważamy za naszego wroga i to nietylko z ciasnego punktu widzenia dzisiejszej polityki. Daleko bardziej jeszcze uważamy go za wroga, jako przedstawiciela w parlamencie teoryj socyalizmu chrześcijańskiego. Staną teraz naprzeciw siebie twarzą w twarz jasne zasady socyalistyczne i nędzne wybiegi wynalezione przez klerykalną wiarę, aby zręcznie pod inną formą uwieczniać wieczną swą tyranię. Staną teraz naprzeciw siebie w stanowczych zapasach ci, co z nami bronią prawa ludzkiego opartego i płynącego z samego rozumu, i szermierze prawa bożego, objawiającego się przez miłosierdzie“.

WALKA PRZECIW POJEDYNKOM W WOJSKU.

Nieszczęśliwa manja pojedynków w armii wywołała niemal jednocześnie silne protesty w sejmie przedarulańskim i monachijskim. Komisya wojskowa w pierwszym z tych sejmów uchwaliła projekt do prawa zakazującego oficerom pojedynków pod karą degradacyi; projekt niewątpliwie byłby przeszedł, gdyby niespodziewanie nie nadszedł dekret cesarski, odraczający posiedzenia sejmowe. Odroczenie to nastąpiło prawdopodobnie również dlatego, że wiedeńskie ministeryum obawiało się zbyt żywych interpelacyj i dyskusyj w bregenckim sejmie w sprawie przeniesienia wojskowego kapelana Skacela do Bośni, a to dlatego, że tenże, jak mu obowiązek i prawo kościelne nakazywało, odmówił wbrew nakazom wojskowej komendy uczestniczenia w pogrzebie zamordowanego w pojedynku wojskowego doktora Wagnera. W całym Tyrolu i daleko poza jego granicami panuje z powodu tego, co najmniej oryginalnego rozporządzenia ministra wojny, wielkie rozdrażnienie, wzmagające się raczej, niż uśmierzone odroczeniem sejmu, licznemi konfiskatami omawiających to zajście i katolickich i liberalnych dzienników. *Conserv. Correspondenz* usiłowała uspokoić umysły uwagą, że przecież przeniesienie Skacela nie mogło nastąpić bez wiedzy biskupa polowego, i niekoniecznie ma być jeszcze

uważane za karę. Notatka ta spowodowała wciągniętego w grę biskupa polowego, ks. Belopotoczky'ego, do ogłoszenia w dziennikach listu do ks. Skacela, w którym w zupełności pochwala jego postępowanie i bez ogródek pisze: „Nie mogę się powstrzymać od wyrażenia żalu, że ces. i król. ministerstwo wojny zdecydowało się bez mojej zgody, owszem nie zważając na me sprzeciwienie się, przenieść W. Wielebność do Bośni". Jakie będą następstwa tego męskiego, prawdziwie biskupiego kroku? Liberalne dzienniki wiedeńskie rzucają oczywiście gromy na ks. Belopotoczky'ego; ministerstwo wojny wezwało go podobno do wytłumaczenia się; miejmy nadzieję, że ostatecznie i w Wiedniu zrozumieją, że nikt właśnie lepiej dla austryackiego wojska zasłużyć się nie może, jak ten, kto całą swą powagą broni, aby zasady wiary — źródła rozumnej karności i prawdziwego męstwa — nie były w niem systematycznie lekceważone.

Wątpić nie można, że smutny ten konflikt dostanie się przed forum parlamentu; obyż austryaccy deputowani zdobyli się na tyle cywilnej odwagi, co bawarscy ich koledzy, którzy przed kilku tygodniami energicznie wystąpili przeciw wojskowym pojedynkom, wykazali jawnie, jak jest nielogicznem i oburzającem zmuszać oficerów do popełnienia zbrodni, którą potępia równie wiara jak rozum, równie prawo kościelne jak państwowe. Bawarski minister wojny, br. von Asch, znalazł się w bardzo kłopotliwem położeniu: nie miał tyle czelności, aby pojedynków bronić; nie miał tyle odwagi, aby zerwać stanowczo z pokutującym w armii przesądem; — i ostatecznie ograniczył się na oświadczeniu, że jeśli jenerałowie dywizyjni zmuszają kiedykolwiek oficerów do pojedynku, to czynią to nie z rozporządzenia wyższej władzy, ale z własnej inicyatywy.

„A czemuż — przerwał wywody ministra ks. Ratzinger — nie nakładacie im za to przewidzianych przez prawo kar?"

Poseł Orterer, jeden z najbardziej wpływowych członków *Centrum*, odpowiedział ministrowi w dłuższej mowie, którą zakończył jasnem pytaniem: „Czy jesteś pan zdecydowany zganić publicznie obrzydliwy gwałt, wykluczający z grona oficerów

przeciwników pojedynku, a w szczególności katolickich akademików?“

Wniosek przedłożony przez *Centrum* przeszedł dość znaczną większością, złożoną z katolików, socyalistów i t. zw. „agraryuszów“. Ciekawa rzecz, jakie stanowisko zajmie rząd, i czy wobec tego wotum będzie miał jeszcze czoło zasłaniać się oklepaną wymówką o niemożebności zwalczenia powszechnej opinii, broniącej pojedynku?

MAGDEBURSKI WIEC WYCHODŹCÓW POLSKICH.

Polscy wychodźcy, zarabiający stale na chleb w Saksonii, urządzili w Magdeburgu wiec, na pierwszem miejscu w celu wspólnego ponowienia prośby do władz duchownych o księdza polskiego. Organizatorem wiecu był redaktor wydawanego w Bochum *Wiarusa Polskiego*, p. Jan Brejski, i jego też głównie energii i taktowi zawdzięczyć należy świetny, spokojny przebieg obrad wiecowych. Delegatów towarzystw polskich — jak zaręcza *Wiarus*, z którego obszernej relacyi czerpiemy następujące szczegóły — było około 150; a byli oni przedstawicielami, według ogólnych obliczeń naszych, które potwierdził także obecny reprezentant władzy, umyślnie z Poznania przybyły radca policyjny — pięć do sześciu tysięcy dorosłych Polaków katolików. Nadto przybyło kilkaset osób z różnych stron Saksonii na ochotnika. Wybrany przewodniczącym p. Jan Rogała, prezes Towarzystwa św. Jana Nepomucena w Magdeburgu, zapytał na samym wstępie zgromadzonych wiecowników, dlaczego się zebrali?

Z setek ust wyrwały się słowa: „aby błagać o księdza polskiego!“

— Czy wszyscy obecni pragną księdza polskiego?

— Wszyscy! — brzmiała głośna odpowiedź.

— Niema tu nikogo, coby był przeciwnego zdania?

Nikt się nie odezwał. Odczytano zatem i jednomyślnemi okrzykami przyjęto, a następnie w szczegółach przedyskutowano prośbę do Biskupa padernbornskiego, w której osiedli w Saksonii Polacy błagają „jak najpokorniej o ustanowienie dla Polaków katolików polskiego kapłana, o wyznaczenie mu zakresu

działania i pewnych stałych środków utrzymania, do których powiększenia..." chętnie wedle sił przyczyniać się przyrzekają. Konieczna potrzeba polskiego księdza w Saksonii nie ulega wątpliwości. „Wprawdzie — streszczamy dosadne argumenta w petycyi przytoczone — wiadomości dziennikarskie o szerzącem się zepsuciu między wychodźcami polskimi w Saksonii są często przesadzone; z drugiej jednak strony niejeden staje się tu z uczciwego człowieka gorszycielem, i przynosi hańbę swemu Kościołowi i narodowi; zdarzają się nawet wypadki, że od wiary odpada. Miejscowi duszpasterze nie mogą złemu dostatecznie zaradzić, bo większa ich część nie zna języka polskiego; świeżo znów przybyli Polacy zupełnie po niemiecku nie rozumieją a i tym, którzy dawniej się osiedlili i trochę wyćwiczyli w języku niemieckim, miłej zawsze i pożyteczniej usłyszeć słowo Boże, wyznać swe grzechy przed kapłanem w ojczystej swej mowie. Tymczasem zanim niejeden z naszych braci nauczy się jako tako po niemiecku, to już źli ludzie w głowie mu przewrócą, już unieść się da szkodliwym prądom. Skuteczną zaporę rozlicznym tym zgubnym prądom mógłby stawić tylko kapłan polski, któryby pośród nas zamieszkał, jak to ma już miejsce w dyecezyach kolońskiej i monasterskiej, oraz w westfalskiej części dyecezyi padernbornskiej. Prawda, że i nas odwiedza od czasu do czasu polski kapłan, ale po pierwsze, wiadomość o jego pobycie dochodzi wielu naszych polskich braci dopiero po jego odjeździe; a powtóre, niejeden nie może się właśnie w dzień jego bytności żadnym sposobem uwolnić od pracy i skazany jest na ciężką walkę między sumieniem a troską o chleb. Ustałyby też smutne nieporozumienia między niektórymi polskimi katolikami a czcigodnymi naszymi duszpasterzami, bo polski kapłan, znając dobrze ludzi i stosunki miejscowe, byłby powołanym pośrednikiem, budzącym w obydwóch stronach zaufanie!"

BISKUP TYRASPOLSKI W RZYMIE.

Kiedy biskupi azyatyccy, amerykańscy, afrykańscy przyjeżdżają do Rzymu, nikt się temu nie dziwi, czasami zaledwie rzymska katolicka prasa zamieszcza o ich przybyciu kronikarską notatkę; bytność w Rzymie biskupa

z pod rosyjskiego rządu wywołuje nadzwyczajną sensacyę, komentarze bez liku, staje się przyczyną najdziwniejszych, całą europejską prasę obiegających wieści. Cóż zdawałoby się prostszego, jak że biskup tyraspolski, Zerr, znalazłszy się w zachodniej Europie, zapragnął dotrzeć do Rzymu i złożyć Ojcu św. swe hołdy i sprawozdanie o stanie dalekiej a tak rozległej swej dyecezyi? Cóż naturalniejszego — a jednak wiadomość o przybyciu ks. Zerra do Rzymu przybrała od razu znaczenie doniosłego, powiedzieć można, międzynarodowego wypadku; nikt wierzyć nie chciał, nikomu prawie na myśl nie przyszło, aby rząd petersburski dozwolił biskupowi katolickiemu bawić w Rzymie, gdyby go tam sam i we własnym interesie nie wysłał: więc jedne dzienniki zamianowały biskupa nadzwyczajnym carskim ambasadorem, inne związały z jego przyjazdem długi szereg wrzekomo czy prawdziwie zamierzonych przez rząd rosyjski reform kościelnych; inne zaręczały, że celem tego przyjazdu jest powstrzymać Papieża od wydania przygotowanej już encykliki o prześladowaniu Kościoła w Polsce. Sam ks. Zerr zaprzeczył stanowczo wszelkim tego rodzaju insynuacyom w paru interwiewach z napastującymi go dziennikarzami, a następnie w ogłoszonym w gazetach komunikacie:

„Niektóre dzienniki nie przestają, od chwili przybycia mego do Rzymu, rozsiewać najzupełniej niedokładne pogłoski o wrzekomej misyi, zleconej mi przez rząd rosyjski. Wobec tego uważam za swój obowiązek oświadczyć:

„Nieprawdą jest, jakobym mówił z Ojcem św. o encyklice skierowanej przeciw rządowi rosyjskiemu, a której ogłoszeniu — jak owe szerzące się wieści donoszą — starałbym się zapobiedz. Przybyłem do Rzymu jako pielgrzym *ad limina Apostolorum*, a Ojcu św. i JE. kardynałowi Rampolli przedłożyłem tylko sprawy, odnoszące się do mej dyecezyi".

KWESTYA WYDANIA ENCYKLIKI O PRZEŚLADOWANIU W POLSCE.

W piśmie tem, ściśle osobistem, Biskup tyraspolski nie dotyka wcale i dotknąć nawet nie mógł, żywo omawianego pytania, czy Ojciec św. zamierza lub zamierzał wydać osobną encyklikę o stanie Kościoła w Polsce.

Czy naprawdę nad myślą takiej encykliki w Watykanie się zastanawiano, o tem żadnej pewnej wiadomości nie mamy. Gdyby Ojciec św. widział pożyteczność takiego kroku, nie wątpimy, żeby go zrobił; ale ta pożyteczność jest wielką zagadką i być bardzo może, że wszystkie pogłoski o tej encyklice pochodzą ze źródła, mającego w tem swój interes, aby nas niepokoić co do stosunku między Watykanem a Rosyą.

Ks. Jan Badeni.

Z życia kościelnego w Poznańskiem.

Z dwóch rezydencyj polskiego Prymasa: Gniezna i Poznania, dochodzą nas dwa wielkiej wagi dokumenty, poruszające cały szereg najdonioślejszych, a dziś najbardziej aktualnych kwestyj. Dokumenty te dotyczą i interesują oczywiście w pierwszej linii archidyecezyę gnieźnieńsko-poznańską, ale niemniej, z samej natury traktowanych przedmiotów, o innych względach już nie wspominając, znaleść mogą i powinny żywy oddźwięk we wszystkich, co najmniej, polskich dyecezyach.

Pierwszy z tych dokumentów, datowany w Gnieźnie 15 listopada r. z., zawiera akta odbytej tamże, tego właśnie dnia, ósmej kongregacyi dziekanów obu archidyecezyj. Sam ks. arcybiskup Stablewski zagaił obrady łacińską przemową, w której naszkicował kilku rysami obraz dokonanych w ostatnim roku prac, przedsięwziętych usiłowań i odniesionych zwycięstw; nakreślił plan dalszej działalności, do dalszych prac i walk zachęcił. Wspaniale we wszystkich kościołach, po wsiach i miastach, obchodzony jubileusz papieski; wspaniała pielgrzymka poznańska do Rzymu; mnożące się i rozwijające się misye ludowe; pewne ustępstwa na korzyść duchowieństwa od rządu uzyskane — oto kilka wydatnych, jaśniejszych punktów w dziejach obu archidyecezyj w roku minionym. Wiele, dzięki Bogu, zrobiło się i robi dla chwały Bożej, dla pożytku dusz; ale bardzo też wiele jeszcze do zrobienia pozostaje. Przedewszystkiem powinni się księża poczuwać do obowiązku należytego przygotowywania dzieci do pierwszej spowiedzi i Komunii św.; korzystać powinni z nadanego sobie prawie wszędzie już prawa nadzoru szkolnego; wpajać wszelkiemi siłami w młode serca i umysły prawdy katechizmowe; ostrzegać i bronić przed cisnącą się wszystkiemi

porami falą socyalizmu. Lecz niedość ostrzegać: trzeba, stosownie do rozkazów i wskazówek danych przez Ojca św., pracować nad chrześcijańskiem rozwiązaniem kwestyi społecznej; zakładać i rozszerzać związki robotnicze, rzemieślnicze, kupieckie, i pamiętać, że praca w tym kierunku jest dzisiaj jednym z istotnych i najważniejszych obowiązków duszpasterza. „Szczególnie polecam Wam — zakończył ks. Prymas swą przemowę — pobożne bractwo Matek chrześcijańskich i pożyteczne Stowarzyszenie terminatorów i rzemieślników; pragnąłbym gorąco, aby pierwsze z tych stowarzyszeń zakwitło po wszystkich parafiach, drugie po wszystkich miastach i miasteczkach mej archidyecezyi... Cieszę się też z całego serca, dowiadując się o szczerej zgodzie, jedności, prawdziwej i wzajemnej miłości, łączącej między sobą księży i nauczycieli“...

W myśl programu naszkicowanego w tej przemowie, przedłożył ks. Arcybiskup i ściśle wykonywać zalecił szereg dekretów, „zaradzających najważniejszym potrzebom naszym“. Odnoszą się one głównie do wczesnego sporządzania testamentów, obowiązku ciążącego na proboszczach nie opuszczania parafii bez otrzymania na to pozwolenia od duchownej swej władzy; wspomagania ubogich kościołów, pilnego słuchania spowiedzi, zwłaszcza na odpustach, i wystrzegania się jakichkolwiekbądź krzywdzących cierpkich wyrzutów z ambony.

Ambonie poświęcony jest cały drugi z zacytowanych powyżej dokumentów: po polsku i po niemiecku wydany list okólny do „Wielebnego i kochanego Duchowieństwa obydwóch archidyecezyj“. Poznański Arcypasterz wie dobrze, nietylko z teoryi, ale z praktyki życia, czem jest i jaki wpływ wywiera wymowne słowo, płynące z umysłu użyźnionego gruntowną nauką, z serca przejętego miłością Boga i ludzi; nie dziw, że ze szczególną troską o to się stara, aby takie właśnie słowo rozbrzmiewało we wszystkich kościołach, nad któremi pieczę Bóg mu poruczył. „Ukochany lud nasz słowa Bożego łaknie, gdy ze serc gorących płynie..., ciśnie się z ochotą i rychłym rankiem i późną nocą, aby się niem budować“. Ale jest, niestety! i wielu takich, którzy od ambony stronią; znajdują się tacy, którzy albo stracili cześć należną dla słowa Bożego, albo zobojętnieli dla niego. Jak ich przyciągnąć, jak obudzić w sercach zamiłowanie w rzeczach Bożych, jak pracę i czujność podwajać, aby nie dopuścić do serc grożącego światu zalewu straszliwej fali niewiary i materyalizmu; aby cofnąć ją napowrót tam, gdzie się już przedarła?

W odpowiedzi na te pytania udziela ks. Arcybiskup doświadczonych rad: daje wskazówki, w jaki sposób, najodpowiedniej na na-

sze czasy, obowiązek kaznodziejski spełniać; wylicza szkopuły, których unikać należy.

Warunkiem pierwszym praktycznego i skutecznego głoszenia słowa Bożego, to roztropny wybór przedmiotu. Kaznodzieja, stosownie do danego sobie przez samego Chrystusa posłannictwa, ma opowiadać Ewangelię; zatem dla czysto świeckich spraw, nie mających znikąd żadnej styczności z Bogiem i religią, niema miejsca na ambonie. Przestroga ta dziś zwłaszcza na czasie, gdy powołanie kapłańskie i obowiązek pasterski domaga się zajmowania więcej niż dawniej sprawami także świeckiemi w towarzystwach świeckich, w sprawach społecznych i publicznych, celem szerzenia lub obrony zasad chrześcijańskich, porządku społecznego, podniesienia oświaty, rozwoju i dobrobytu materyalnego. Już sam głos pasterskiej miłości — nie mówiąc o bardzo jasnych napomnieniach Pisma św., papieżów i soborów — chronić powinien przed tego rodzaju zboczeniem. Pasterz musi wszystkich miłością ogarniać, nikogo z niej nie wykluczać; okazywać jak największą miłość nawet dla błądzących, dla grzeszników, nawet dla swoich osobistych nieprzyjaciół. Ilekroć kapłan lekceważy, albo obowiązek miłości dla wszystkich, albo upomnienie Apostoła: „rzeczy świeckich i próżnomówności strzeż się“ — wierni naturalnym instynktem czują, że przekracza granice powołania swego. A cóż dopiero gdyby zaczął bawić ich dowcipami, żartami; gdyby serca, słowa Bożego łaknące, karmić zechciał namiętnościami politycznemi, wchodzić w krytykę pism publicznych dla ich opinij politycznych? Niczem zaś bardziej sobie dusz nie zrazi, jak gdy na ambonie da folgę osobistym niechęciom, gdy żale swoje własne wylewa, lub w uniesieniu gniewu obelżywie się odzywa. Wystrzegać się też musi kapłan obrażania pojedyńczych parafian, lub pewnej ich cząstki, nawet w tych razach, gdy dla dobra swojej parafii, dla przeprowadzenia lub obrony dobrej sprawy w parafii, wystąpić będzie zobowiązanym.

Jedynym środkiem, aby drugich „budować“ słowem Bożem, jest praca nad „budowaniem wewnętrznego człowieka“, nad nabyciem ducha prawdziwie kapłańskiej świątobliwości... Ze serca zimnego i pustego nie może się wydobyć ogień, który serca rozjaśni i rozgrzeje. Będzie brzmiał w uszach może mile dla niejednego czczy frazes, będą się podobały kwiatki; — kto na tem atoli zasadza kazanie, ten szuka w niem siebie, nie dusz; chwały swojej, nie chwały Chrystusa...

Nie poprzestaje Arcypasterz na tych ogólnych radach, ale bar-

dzo mądre i szczegółowe daje przepisy: każe młodym kapłanom wypracowywać kazania na piśmie, i każe mówić kazania dogmatyczne.

„...Wymagam stanowczo — czytamy — od duchowieństwa młodszego, do którego liczę wszystkich kapłanów, którzy nie mają lat dziesięciu kapłaństwa, aby spisywali kazania swoje. Te kazania chronologicznie uporządkowane, okazywać będą zobowiązani przy moich albo XX. Dziekanów wizytacyach...

„Dla wszystkich Was — czytamy dalej — koniecznem poprzednie piśmienne przygotowanie czy całkowitego kazania, czy gruntownej dyspozycyi, gdy gorliwość pasterska zmusza Was zabierać głos z okazyi występujących wrogo błędów przeciwko wierze, przewrotnych prądów, szerzących się *viva voce* lub pismami publicznych zgorszeń, napaści nieprzyjaciół na wiarę i Kościół. W tych razach nie wolno być trzody swojej ‚niemym psem', jak powiada Pismo św., lecz trzeba ze stanowiska czysto religijnego gruntownie, jasno, dla wszystkich zrozumiale wypracować kazanie, by wykazać i potępić błędy i grzechy, by je odsłonić w ich skutkach, ale ściśle tylko te grzechy, błędy i prądy, które chrześcijaństwo i Kościół zwalczają i podkopują — nie zaś polityczne zdania, chwilowe polityczne uniesienia, społeczne teorye, gdy takowe się nie sprzeciwiają wierze, gdy z istoty swojej nie są jej wrogie, choćby nawet nieraz nieprzyjaciele ich hasła nadużywali, jak np. wolności, oświaty, postępu, polepszenia społecznego i t. p....

„Ale i w ‚zabijaniu błędów' trzeba w kazaniach roztropną miarę zachować. Najłatwiejsze są kazania, w których się piorunuje na grzechy i błędy. Najmniej one potrzebują przygotowania. Ale czy najwięcej przynoszą pożytku? Najczęściej też idą w parze z niedość gruntownem dogmatycznem wykształceniem. Dlatego uważam sobie za obowiązek święty, aby wymagać od lewitów opuszczających seminaryum, zasobu jak najbogatszego wiadomości teologicznych, do których uzupełnienia, pogłębienia, rozjaśnienia, dalsze przygotowania do egzaminów już w życiu pasterskiem służą i których wartość i znaczenie najczęściej w późniejszych latach każdy dopiero poznaje z wdzięcznością.

„Pierwsi Mistrze wymowy kościelnej twierdzą, że upadek i brak wpływu kaznodziejstwa na życie religijne w końcu przeszłego wieku we Francyi, w ścisłym stoi związku z tem, że prawdy wiary pomijano, a przeważnie tylko — i to nie zawsze szczęśliwie — obowiązki moralne wykładano. Te obowiązki są atoli dopiero kwiatem, owocem wiary. Tę więc wpierw trzeba utwierdzić w sercach. Z tego powodu gorąco polecaliśmy i dziś ponawiamy to polecenie, aby choć nie wyłącznie,

ale jak najwięcej w katechetycznych kazaniach wiernym, nie w abstrakcyjnych, czysto moralnych kazaniach, prawdy wiary rozjaśniać, ale w Chrystusie, który jest ‚żywotem, drogą i światłością'. Życie cnotliwe chrześcijańskie buduje się nie na systemacie pojęć oderwanych, ale na życiu i przykładzie Pana Jezusa. Z tego życia materyał najlepszy do budowy duszy ludzkiej. ‚Piętnowanie' zaś grzechów i występków, gdy istotna tego w parafii zachodzi potrzeba, nie powinno się powtarzać często, gdyż inaczej traci skutek swój, a kaznodzieja, który wciąż tylko pogromcą jest grzeszników, wciąż choćby nawet w ‚świętym' gniewie się unosi na ambonie, serc do Pana Jezusa nie przyciągnie... Ze życia Pana Jezusa materyał najdoskonalszy do kazań o obowiązkach, które z nauki wiary św. wykazywać kaznodzieja najskuteczniej zdoła. Wśród obowiązków chrześcijańskich żądamy ściśle i stanowczo, aby także wiernym, szczególniej w naszych czasach, przypominać w ciągu roku kilkakroć te, które o przyszłości naszej stanowią, o rodzinie chrześcijańskiej, o lekkomyślnem zawieraniu związków małżeńskich, o świętem Sakramentu tego przeznaczeniu ze względu na wychowanie dzieci i o straszliwej odpowiedzialności rodziców, którzy tego obowiązku zaniedbują...

„Ślizgą bardzo i niebezpieczną rzeczą, rozbieranie szczegółowe na ambonie nurtujących społeczeństwo nasze prądów, zachodzenie w głąb teoryj socyalnych, przedstawienie ich żądań i pragnień. Kazanie *jedno* nie zdoła gruntownie materyj tak trudnych i skomplikowanych wyczerpnąć, na powierzchownem tylko ich przedstawieniu i zbijaniu się ograniczyć musi, stąd łatwo bardzo pozostawić lub zbudzić może wątpliwość i ciekawość niebezpieczną. Gdzie pasterz uznaje potrzebę obrony owieczek przed grożącem takiem niebezpieczeństwem, winien zasadę zagrożoną i zaczepioną stanowczo, jasno i na podstawie wiary św. wytłumaczyć i skutki przedstawić ze względu na wieczność i doczesność dla każdego, który ją chce zburzyć. Wnikać w głąb tych kwestyj można tylko na ambonie miast wielkich, na tak zwanych ‚konferencyjnych kazaniach'. — W zwykłem duszpasterstwie kapłan daleko skuteczniej niebezpieczeństwo zażegna i daleko pewniej obroni owieczki swoje, gdy będzie z niemi poza kościołem stał w najściślejszej spójni, gdy ich tam z oka nie spuści i pouczać będzie, gdy w każdej potrzebie życia prywatnego sercem i ręką otwartą będzie chętny brał udział, gdy w każdej pożytecznej, społecznej i obywatelskiej pracy będzie stał przy ich boku...

„Słowo Boże — tak kończy ks. Prymas — jest rzeczą świętą.

Sancta sancte tractanda. A więc kto do głoszenia słowa Bożego, nie jak do rzeczy świętej, ale jak do świeckiej i pospolitej się zabiera, bez zwrócenia się do Boga w modlitwie, — pozbawia się najwalniejszej pomocy i we wyborze i w przygotowaniu i w przeprowadzeniu przedmiotu swojego kazania. Cały ustrój kazania pozostanie najczęściej sztucznym, bo brak mu tego tajemniczego tonu świętości i prawdy, który z góry płynie przez modlitwę z łaski Bożej, a spada, choćby na najprostsze serca, dźwiękiem przekonania. Jak ucho muzykalne doskonale rozpozna grę uczucia od zimnej technicznej tylko biegłości, tak i ciepłe chrześcijańskie serce, nawet prostaczka, rozezna deklamacyę od głosu przekonania i żarliwości... Od ognia serc naszych mają się zapalić serca nam powierzone w czasach, w których mróz ze świata idący ścina je lodem. A niechaj każdy popatrzy w zakresie swojego obowiązku, ile serc gorejących, a ile ich niestety letnich lub nawet lodowatych? Ileż ich ginie dlatego, że nie znalazło tego ogniska życia w słowie Bożem, które dla nich było tylko — dymem bez światła i ciepła? Niebezpieczeństwa wielkie, które do najodleglejszej już dziś sięgają wioski, wymagają od nas zdwojonej i żarliwości i roztropności w słowie Bożem".

Po konferencyi dziekańskiej dzięki składali obecni przedstawiciele duchowieństwa poznańskiego; — po tym wspaniałym liście o kaznodziejstwie podziękować winno ks. arcybiskupowi Stablewskiemu całe polskie duchowieństwo.

Ks. Jan Badeni.

Najnowsze dążności rusyfikatorów.

Do jakiego stopnia w pewnych warstwach przedstawicieli rosyjskiej inteligencyi dochodzi nienawiść względem wszystkiego, co katolickie i polskie, o tem świadczą między innemi dwa najnowsze projekta wytępienia katolicyzmu w zachodnich guberniach cesarstwa. Projekta te, równie zaciekłym polakożerczym napiętnowane duchem, chociaż znacznie od siebie odrębne, stanowią jakby nową zwrotkę w piosence starej i aż nadto dobrze nam znanej, gdyż od chwili zniesienia Unii dźwięczy ona niemal bez przerwy w rozporządzeniach rządzących sfer caratu.

W roku ubiegłym miesięcznik rosyjski *Russkoje Obozrenije* (Русское Обозрѣніе) umieścił w swych łamach obszerny artykuł A. Władimi-

rowa, pod tytułem: *O położenii prawosławija w siewierozapadnom kraje* (О положеніи православія въ сѣверозападномъ краѣ), gdzie autor, z właściwego sobie punktu widzenia, przedstawia obecną sytuacyę prawosławia w guberniach zachodnich. Oto naprzykład, jak się wyraża o połączeniu Unitów z cerkwią prawosławną w czwartym lat dziesiątku naszego stulecia:

„Przedewszystkiem — twierdzi — powinniśmy uznać fakt, że inicyatywa tego połączenia nie wyszła z łona ludu, który ku niemu najmniejszej nie okazywał chęci. Świadczą o tem wymownie późniejsze nawet wyniki. Jak zjednoczenie zachodnio-rosyjskiego prawosławia z katolicyzmem (Unia) było dziełem polskiej polityki, tak też i połączenie Unii z prawosławiem było dziełem polityki rosyjskiej“ [1].

Dalej nieco, opisując sam proces tego połączenia, Władimirow nadmienia o wynikach „oczyszczenia“ unickiego obrządku. „Najwięcej kłopotu sprawiło usunięcie organów; w niektórych bowiem wsiach parafianie występowali w ich obronie z kijami i drągami, tak, że musiano wzywać pomocy kozaków. Wkrótce jednak zaradzono temu, znalazłszy dość wygodne *modus vivendi:* oto sąsiedni księża (ксендзы) zaproponowali uprzejmie zbuntowanym parafianom ‚połączonych‘ cerkwi unickich organy, dzwonki i t. p. w swoich kościołach. Większa część ‚połączonych‘ cerkwi odznaczała się ubóstwem, gdyż brakło im nawet najniezbędniejszych sprzętów. Atoli, niebawem zaspokojono tę potrzebę, wysyłając ogromne zapasy sprzętów liturgicznych z Wielkorosyi, a zwłaszcza z Moskwy. Ale niestety, większa część ‚zjednoczonych‘ z prawosławiem księży unickich nie umiała prawosławnej liturgii i zamiast *obiedni* (Обѣдни) śpiewała katolickie litanie. Później niektórzy się nauczyli, a zresztą nie było nawet dla kogo odprawiać nabożeństwa, bo od czasu zjednoczenia swoich cerkwi lud przestał do nich uczęszczać. ‚Zjednoczenie‘ więc zdziałało to, czego papieże w przeciągu lat tylu napróżno oczekiwali od Unii: oto znaczna część ludności przeszła na katolicyzm. Ci nawet, których zapisano do ksiąg cerkiewnych jako prawosławnych, byli w istocie katolikami, na nabożeństwo chodzili do kościołów, duchowne ich potrzeby zaopatrywali katoliccy księża, ‚zjednoczone‘ zaś duchowieństwo przez szpary na to patrzało. Zresztą nie było innej rady, w tej mierze bowiem sprawdziło się przysłowie, że chociaż można konia zaprowadzić do wody, ale niepodobna zmusić go do picia i trzeba czekać, aż sam pić zechce“.

[1] Русское Обозрѣніе, zeszyt marcowy, 1893, str. 196.

Następnie A. Władimirow zaznacza, że już w 1864 i 1865 roku Murawiew postanowił oczyścić kraj od katolicyzmu i niebawem zaczęto nawracać przemocą całe parafie. „Wiele kompetentnych w tej mierze osób, spodziewało się wyparcia katolicyzmu aż poza Niemen. Atoli w istocie rzeczy przymusowe nawrócenie katolików okazało się środkiem bardzo nieodpowiednim do utrwalenia prawosławia. Wówczas wileński *jenerał-gubernator* Albedyński, ze względu na wybujałą za czasów Potapowa przewagę katolickiego kleru, który korzystając z poparcia polskiego obywatelstwa odrywał od prawosławia wielu ‚zjednoczonych' w 1839 lub ‚nawróconych' w 1864 i 1865 roku — prosił wileńskiego archijereja Makarego o wynalezienie środków w celu utrwalenia prawosławia. Na to archijerej Makary odpowiedział: ‚Ponieważ na prawosławie nawracali katolików urzędnicy, niechże więc ci sami urzędnicy wynajdą teraz środki utrzymania ich w tej wierze'. Rzeczywiście — dodaje nieco dalej Władimirow — nawracaniem katolików zajmowały się przeważnie sfery urzędnicze, aby jak najrychlej położyć tamę polskim machinacyom za pośrednictwem kościoła".

Odmalowawszy w ten sposób rozmaite fazy antykatolickiej agitacyi w zachodnich prowincyach, A. Władimirow stawia następnie własne swoje wnioski, mające głównie na celu wykluczenie polskiego języka z obrzędów katolickiego Kościoła w tych prowincyach:

1) „Z chwilą ‚odpolszczenia' katolicyzmu — głosi — w sposób zupełnie naturalny, oddzieli się od niego polonizm, który straciwszy do niego wstęp, nie będzie już wcale troszczył się o religię, tak samo nie polską jak i prawosławie. Skutkiem tego katolicyzm będzie musiał już odtąd tylko na własnych opierać się siłach.

2) „Z chwilą odpolszczenia zachodnio-rosyjskiego kościoła, ten ostatni, otrzymawszy odrębną administracyę, musi z natury rzeczy się odosobnić od polskiego kościoła w Polsce etnograficznej [1], sam zaś fakt tego odosobnienia zmniejszy znacznie jego siłę.

3) „Po odpolszczeniu zachodnio-rosyjskiego katolicyzmu, ten ostatni dla swego wówczas podobieństwa do prawosławia i identyczności liturgicznego języka stanie się niebawem pewnym rodzajem u n i i w stosunku do prawosławia. Wówczas też zupełne zidentyfikowanie go z prawo-

[1] Etnograficzną Polską nazywa p. Władimirow Warszawę z całą Kongresówką (Привислянскій край), gdzie — jak mówi — niema żadnej nadziei zrusyfikowania choćby jednego Polaka. Porów. Русское Обозрѣніе, zesz. lutowy, r. 1893, str. 621.

sławiem czyli ‚zjednoczenie świętych kościołów Bożych' będzie już tylko kwestyą czasu i energii prawosławnego duchowieństwa.

4) „Po odpolszczeniu zachodnio-rosyjskiego katolicyzmu nie będzie już on w stanie wywierać najmniejszego wpływu na ludność prawosławną, na którą obecnie jego polonizm tak silnie oddziaływa.

5) „Z chwilą odpolszczenia katolicyzmu ludność prawosławna utwierdzi się w swej wierze i zobojętnieje dla religii katolickiej, która straci wówczas dla niej cały *prestige*, jakiego polonizm jej udzielał.

6) „Odpolszczenie katolicyzmu spotęguje również energię miejscowego prawosławnego duchowieństwa, które nie będzie już mogło usprawiedliwiać swej bezczynności niezwykłą siłą polskiego katolicyzmu.

7) „Skutkiem odpolszczenia zachodnio-rosyjskiego katolicyzmu, zachodnio-rosyjscy katolicy wrócą do rosyjskiej narodowości, a wskutek tego zwrócą się niebawem i do prawosławia, a wreszcie staną się prawdziwymi i wiernymi poddanymi rosyjskiego monarchy.

„Odpolszczenie zachodnio-rosyjskiego kościoła jest jedynym środkiem rozwoju prawosławia w kraju północno-zachodnim. Dopóki zaś tutaj w łonie rosyjskiego prawosławnego ludu *(sic)* będzie istniał polski kościół z polskim księdzem i polskim językiem w modlitwach, hymnach i t. d. dopóty wszelkie nasze usiłowania w celu podtrzymania w tym kraju prawosławia muszą być daremne...

„Wiem, że plan powyższy jest nienawistny dla Polaków, odbiera im bowiem jedyny środek polonizowania zachodnio-rosyjskiej ludności... Za chęć urzeczywistnienia takiego planu ponieśli śmierć wileńscy prałaci Tupalski [1] i Kopciuhowicz [2], okropne zaś prześladowanie innych księży z tego samego powodu pomijam milczeniem...

„Plan odpolszczenia rosyjskiego katolicyzmu, nakreślony w r. 1866, dotychczas jeszcze, dzięki zabiegom Potapowa, w przeciągu przeszło ćwierci wieku nie mógł się urzeczywistnić i ciągle jeszcze w tej mierze toczą się negocyacye z papieżem, którym, jak się zdaje, nigdy nie będzie końca.

„Może zresztą papież posługuje się polską polityczną agitacyą, jako potężnym środkiem zapewnienia katolicyzmowi w zachodniej Rosyi stanowczej nad prawosławiem przewagi. W takim razie ‚Świętemu Ojcu' możnaby zaproponować alternatywę: Albo zachodnio-rosyjski ka-

[1] Zamordował go jego najbliższy krewny z powodów osobistych.

[2] Wyklęty przez Biskupa za zbrodnie nic wspólnego nie mające z polonizmem. *(Przyp. tłum.).*

tolicyzm musi zostać oczyszczony z polonizmu, albo też zachodnia Rosya musi zostać oczyszczona z katolicyzmu".

Oto jak się przedstawiają zapatrywania przeciętnego rosyjskiego *gosudàrstwiennawo czeławieka* na kwestyę katolicyzmu i polskości. Zbytecznem byłoby mówić, jak bardzo drakońskie środki przezeń proponowane pogwałciłyby wszelkie zasady sprawiedliwości Boskiej i ludzkiej, oraz jak wymowną byłyby ilustracyą niejednokrotnie już zresztą względem nas przez Rosyan zastosowywanej tezy: siła przed prawem. Ale przynajmniej nieszlachetne i fanatyczne insynuacye A. Władimirowa noszą na sobie cechę cynicznej szczerości i tygrys w nich otwarcie pokazuje swe pazury. Atoli daleko niebezpieczniejszy od drapieżnego tygrysa jest chytry i zdradziecki wąż, który niepostrzeżenie umie zatruwać swym jadem. Taką iście wężową przebiegłością odznacza się metoda nieubłaganego, chociaż powolnego tępienia katolicyzmu w zachodnich prowincyach, wyłuszczona przez popa Fudela [1]. To, co wystarcza zaciętemu rosyjskiemu świeckiemu polakożercy, *świaszczennikowi* prawosławnemu wystarczyć już nie może. Alternatywę postawioną przez A. Władimirowa uważa on za półśrodek, nie wiodący do zamierzonego celu. „Doświadczenie — jak głosi — dało już poznać owoce tak gwałtownych środków jak przymusowe nawracanie, tam bowiem, gdzie przemocą wyrzucano organy, dzisiaj nikt a nikt nie chodzi do cerkwi". Również niedostatecznem wydaje mu się wprowadzenie języka rosyjskiego do katolickiego nabożeństwa, gdyż będąc nietylko polakożercą, ale także nieubłaganym wrogiem katolicyzmu, twierdzi, że chociaż sprawa narodowa *(sic)* zyskałaby na tem wiele, lecz sprawa prawosławia bardzo mało. Chodzi mu więc już nie o co innego, jak o stanowcze przechylenie całego obszaru prowincyj zachodnich na stronę prawosławia. Jeżeli Władimirow jako *gosudarstwiennyj czeławiek* poczytuje za najodpowiedniejszy ku temu środek despotyczne rusyfikowanie katolicyzmu, to Fudel ze stanowiska prawosławnego duchownego z nieporównanem faryzeuszostwem wymienia jako najskuteczniejszy czynnik „miłość i tylko miłość" (любовь и только любовь) [2]. Miłość ta ma się objawiać przedewszystkiem w zakładaniu prawosławnych parafialnych szkółek i zmuszaniu miejscowej dziatwy, a zwłaszcza dzieci pochodzących z mieszanych małżeństw, aby do nich uczęszczały. Ubolewając nad tem, że matki katoliczki w takich małżeństwach zawsze swoje

[1] I. Fudel, Наше дѣло въ сѣверо-западномъ краѣ. Москва 1893.
[2] Tamże, str. 13.

dzieci, chociaż na pozór prawosławne, po katolicku wychowują, gorliwy *świaszczennik* domaga się stanowczo, aby szkoła podjęła się całkowicie zadania wykształcenia tej młodzieży w duchu prawosławia, a nie katolicyzmu i polonizmu. „Łatwo można zrozumieć, — głosi — że gdyby całe młode pokolenie prowincyj zachodnich, urodzone z mieszanych małżeństw, ulegało bezpośredniemu wpływowi prawosławnej cerkwi za pomocą obowiązkowej nauki w szkołach cerkiewnych, to wówczas niechybnie zdołalibyśmy dopiąć naszego celu zrusyfikowania kraju. Kwestya obowiązkowej nauki szkolnej nie wszędzie w jednakowy sposób rozstrzyganą być winna. To, co byłoby zbyteczne w głębi Rosyi, może być ze względu na warunki polityczne niezbędne na kresach". A zatem nieszczęśliwa Litwa czyli „kraj zachodni" ma być, zdaniem p. Fudela, wyjętą z pod ogólnego prawidła, i rusyfikatorowie mogą tam gwałcić bezkarnie stosunki rodzinne, wydzierać dzieci przemocą z objęć matek i jak najwcześniej rzucać je na pastwę prawosławnych agitatorów. I to ma być tą miłością, wskazaną, jako jedyny motor przyszłego działania?!

Na poparcie swego wniosku p. Fudel wylicza wyniki działalności monasteru żeńskiego w Leśnej, mówiąc że takie monastery, trudniące się przedewszystkiem wychowaniem dziewcząt w obrębie swych murów i zakładaniem w okolicznych wioskach szkółek dla chłopców, mogą oddać olbrzymie usługi sprawie zrusyfikowania „litewskiej eparchii". Tak nawet dalece daje się unieść uwielbieniu dla *monaszek*-misyonarek, że radzi zamienić na monastery żeńskie niektóre monastery męskie na Litwie, nie mające za sobą „sławnej historycznej przeszłości", tem bardziej, że jak sam wyznaje, te ostatnie nie cieszą się wcale sympatyą miejscowej ludności.

Również troskliwym okazuje się p. Fudel o duchowe dobro kobiet, na które każe oddziaływać w duchu prawosławnym za pomocą bractw, zakładanych we wsiach przy każdej cerkwi (Церковно-приходское братство). „Zdaje się nam, — dodaje — że założenie podobnych bractw w zachodnich guberniach byłoby nietylko możliwe, ale nawet bardzo łatwe, a to dla wpływu, jaki wywarł katolicyzm na życie tamtejszego ludu. Od dzieciństwa niemal katolickie kobiety przywykły brać udział w różnorodnych bractwach i stowarzyszeniach jawnych lub tajnych, oraz spełniać rozmaite obowiązki wkładane przez głowę tych bractw — miejscowego proboszcza. Prawosławne nawet kobiety, wychowane w rodzinach mieszanych pod wpływem katolicyzmu, przywy-

kły do podobnych bractw tak, że myśl założenia żeńskich stowarzyszeń nie byłaby tam wcale nową. Należy więc tylko nadać temu upodobaniu ‚właściwy kierunek'".

Łatwo się domyśleć, jakim byłby ten właściwy kierunek i z jaką prawdziwie machiawelską przebiegłością fanatyczny pop pragnie uczynić stopniowo matki mieszanych rodzin ślepem narzędziem prawosławnej propagandy.

Naturalnie nici sekciarskiej tej intrygi spoczywać mają w ręku prawosławnego duchowieństwa. A tu, jak na nieszczęście dla p. Fudela *et consortes*, w danej chwili w zachodnich prowincyach, jak on sam wyznaje, „wszyscy prawie księża katoliccy posiadają akademickie wykształcenie, pastorowie nawet protestanccy są kandydatami teologii, i jedni tylko prawosławni duchowni poprzestają przeważnie na seminaryjnym kursie". Dlatego też p. Fudel kończy swe postulaty, domagając się usilnie podniesienia poziomu dotychczasowego wykształcenia popów za pośrednictwem założenia w Wilnie duchownej prawosławnej akademii. W taki więc sposób stary gród Jagiellonów stałby się głównem ogniskiem agitacyi w duchu prawosławnym, której wpływ na całej nieszczęśliwej Litwie wkrótce boleśnie dałby się uczuć. Miejmy jednak nadzieję, że nierychło to nastąpi, pomimo że, podług wyrażenia gorliwego rzecznika prawosławnego duchowieństwa, rosyjska inteligencya miejscowa oczekuje tego ważnego wypadku jak manny niebieskiej.

Na szczególną tu jednak uwagę zasługuje dziwne zaślepienie obu autorów pod względem ducha i siły Kościoła. Pierwszy, zupełnie na seryo sądzi, że to polonizm stanowi tę niespożytą siłę attrakcyjną katolicyzmu. Nie przychodzi mu na myśl, że jeśli narodowość daje moc religii, to czemuż rosyanizm nie jest zdolny natchnąć nią prawosławia, żeby nie ulegało wpływom polskiego katolicyzmu? Drugi, Fudel, zdaje się spostrzegać błąd swego przeciwnika (z nim to bowiem polemizuje w swej broszurze); w zasadzie staje na stanowisku prawdziwem: że prawdą i miłością tylko skutecznie nawracać można, a nie znajdując w prawosławiu ani jednej ani drugiej, ucieka się do ich surrogatów. Prawdę religijną ma mu zastąpić przywyknienie od dzieciństwa do prawosławnych obrzędów. Za nadprzyrodzoną miłość bliźniego chce podstawić filantropię i naturalną czułość kobiecą.

Pan Władimirow jest mniej obłudny, i gorąco oddany swojej idei. Gdyby rząd rosyjski chciał być szczerym, i pozwolił prawosła-

wnym przechodzić choćby na taki odpolszczony katolicyzm — przekonałby się wkrótce, jak wielki a zbawienny wpływ ten ostatni wywarłby na narodowość rosyjską.

H. Swarth.

Listy australskie polskiego emigranta.

(Ciąg dalszy).

Grodno, 18 maja 1887.

Pod własnym dachem już, przy własnem biurku to piszę. Dom mój skończony! Jeden pokój wyklejony papierem, całkiem jest ładny, w nim sypiam i tu mam swoje biurko, w drugim sypia dwóch moich podwładnych. Jeden z nich, Seg...., Francuz, były kapitan wojskowy na jednym statku francuskim, dezerterował był z powodów sentymentalnych, a dziś u mnie służy. Drugi jest młody, 22-letni chłopak, baron La Soullay, syn jenerała austryackiego, porucznik w pułku dragonów. Miał długi podobno, ojciec mu ich zapłacić nie chciał, wyjechał zatem do Australii i dziś u mnie, właściwie ze mną, las trzebi. Lubię go bardzo, spokojny, cichy i dobrze wychowany młody człowiek, pracuje jak może, niesporo mu idzie, bo jeszcze za miękki, ale energii i dobrej woli ma dużo. Za to Francuz nic nie wart, blagier i próżniak, to też dni jego u mnie są policzone.

Teraz odpowiem na pytanie wasze, skąd ja pieniędzy biorę? Skąd brałem, wiem: trochę zarobiłem swą własną pracą, trochę papierami i innemi spekulacyjkami, ale skąd dalej brać będę? doprawdy nie wiem; na tym punkcie sam dla siebie zagadką jestem; a wziąć skądeś trzeba, gdyż mam coś około 17 funt. szterl. do zapłacenia za zrobienie cząstki płotów, i to nie dalej jak za dni parę. Głowa mię dziś porządnie od tego boli, bo ciągle myślę, nic wymyśleć nie mogąc, jakbym z pustego w próżne przelewał. Jadę jutro do Sydney w myśli zrobienia jakiego interesu z drzewem, które ścinam. Jeżeli mi się uda zrobić ugodę na dostarczanie onego, przez rok lub dwa, jednemu z sydnejskich sprzedawców drzewa opałowego, to jestem *ein gemachter Mann.*

Książkę z Warszawy wysłaną otrzymałem i stokrotnie za nią dziękuję: przy gospodarstwie mojem bardzo mi się przyda. Żyjcie mi jak najdłużej!... Chciałbym, żebyście wino moje pili, nie młode, za lat trzy lub cztery, lecz stare, za lat dwadzieścia i więcej. Nie wiem,

czym pisał, że posiadłość moja „Grodnem“ się nazywa. Za lat kilka będę sprzedawał *Grand vin de Grodno, W... propriétaire.* To będzie szyk!...

Miałem zamiar kątek swój „Zofijówką“ nazwać, ale mi Anglicy wymówić tego nie mogli, tymczasem „Grodno“ wymawiają jak my...

...Zdaje mi się, że słyszę odgłos dzwonka — konie z lasu wracają, trzeba je nakarmić, uwiązać do żłobów, by jeden drugiego nie odjadał. To robię zawsze sam, bo konie są do tej pory jedynym żyjącym dobytkiem moim, to też jako jedynaków je pielęgnuję...

Grodno, 11 lipca 1887.

Les jours se suivent, mais ne se ressemblent pas, nietylko w Europie, ale i tu w spokojnem i cichem mojem Grodnie.

Kilka tygodni temu miałem wypadek, który o mało, że się smutno dla mnie nie zakończył. La Soullay i ja pracowaliśmy pewnej soboty z rana; naraz widzimy policyanta na koniu, podjeżdża do nas i pyta, czy mam wóz i konie? odpowiadam: „mam“. „W takim razie musisz pan mi go dać: służba królowej!“ Na takie *dictum* niema tu odmownej odpowiedzi; konia zaprzągłem i sam powożąc pojechałem z policyantem, posławszy La Soullay'a piechotą do Liwerpolu, by gdy tam przyjadę, konia i wózek do domu zabrał, gdyż ja miałem za interesem do Sydney koleją na dni parę pojechać. Policyant prowadzi mnie w las o cztery mile od mego domu, gdzie poprzedniej nocy znalazł był pokątną gorzelnię. Chodziło o zabranie dystylatorów do Liwerpolu. Ładujemy wszystko na wózek (mój dwukołowy z resorami, na jednego konia; wozy czterokołowe bardzo mało tu używane), jedziemy do Liwerpolu, jeden policyant konny z przodu, drugi z tyłu, a ja w środku piechotą konia prowadziłem, nie mając w wózku miejsca, bo ładunek, lubo nie ciężki, dużo miejsca zajmował. Takeśmy ujechali 9 mil. Czując się zmęczonym, staję na hołoblach i tak dalej jadę bardzo powoli, gdyż z powodu złej drogi, zaledwie ustać mogłem. Tuż przed Liwerpolem koń się przestrasza i zaczyna unosić; o wstrzymaniu go ani myśleć mogłem, bo sam z trudnością tylko się trzymałem. Pędzę więc tak co koń wyskoczy, ze strachem wielkim, myśląc sobie jak ów ułan na mustrze: *Wenn ich schon unten wäre und wenn nichts geschieht!*

Droga przed Liwerpolem schodzi nadzwyczaj stromo, do George's River, na której niema mostu, ale rodzaj tamy, po której się przejeżdża. Woda oczywiście przez tamę zawsze przepływa, a w czasie deszczów nieraz kilka stóp wysoko nad nią płynie. Otóż, koń mój, ja

i wózek z wielkim szykiem pędzimy z góry na tamę, tu jednak szyk się skończył, bo koń potknął się i upadł, hołobla się przez to przechyliła, a ja, do tej pory tak sztucznie zachowaną równowagę tracę, i głową naprzód „hul kasztan do wody!“... Koń się zerwał i dalej chciał uciekać, lecz o słupek zaczepiwszy, siebie, wózek i dystylarnię wywrócił. Ludzi się kilku wnet zebrało, wszystko natychmiast podnieśli; ja z wody też się jakoś wygramoliłem, mokry jak mysz, i już piechotą znowu, tryumfalnym pochodem, dojechaliśmy do miasta. Tu w hotelu dano mi rzeczy na zmianę, wprawdzie wszystko za krótkie, ale suche. La Soullay'a do domu posłałem, sam zaś pojechałem do Sydney, gdzie parę dni zabawiwszy, wróciłem do siebie. Ale co tam zastaję!?... La Soullay w łóżku, ruszyć się nie może, koń pokaleczony; wózka i uprzęży niema!... Koń podobno się zląkł powtórnie, skręcił z drogi w las, wszystko połamał i porwał, a La Soullay jeden bok nadwerężył. Dziś, na szczęście, on wyzdrowiał, koń się wygoił, ale wózek i uprzęż przepadły.

Dla La Soullay'a znalazłem miejsce lepsze, niż to co miał u mnie, i rozstaliśmy się; sam zaś pojechałem znowu do Sydney, gdziem trzy tygodnie siedział, by coś pieniędzy zarobić. Do pomocy wziąłem znowu człowieka; jest to Francuz, nazwiskiem: Baron; dobry z niego robotnik, obecnie kopie, a za tydzień lub dwa będzie sadził winogrona. Sam wracam jeszcze do Sydney, bo bez pieniędzy taki nic zrobić nie można. Staram się o miejsce lub pracę, któraby mi zarabiać dozwoliła, ale także od czasu do czasu Grodno odwiedzać...

Przerwałem był pisanie listu, by narąbać drzewa, ogień rozpalić i nastawić obiad. Będziemy mieli *un ragoût*, składający się z solonego mięsa, cebuli, pieprzu, kartofli i kapusty — wszystko to razem powinno być dobre. Z potraw, o których pisze książka kucharska, mnie przez was przysłana, ani jednej zrobić nie mogłem, bo mi zawsze czegoś brakuje, wolę zatem improwizować.

Dubbo, 4 sierpnia (300 mil od Grodna).

Zaczęty list prawie miesiąc temu, dziś dopiero kończę. Wyjechałem z Grodna od trzech tygodni i jeżdżąc po kraju jako agent firmy Phillips et Comp., sprzedaję ziemię. Jako płacę mam komisowe od interesów zrobionych. Do tej pory dużo nie zarobiłem; może dzień dzisiejszy będzie lepszy!...

Zarabiać muszę koniecznie, by się przy Grodnie utrzymać. Wydatki teraz mam tam ogromne; Grodno samo, bez mego utrzymania, kosztuje mię około 6 ff. tygodniowo. Zostawiłem tam dwóch ludzi, którzy

zasadzają winnicę; jednemu płacę 25 szylingów na tydzień, drugiemu 30 szyling. i życie; prócz tego konie, które też karmić trzeba. Kupiłem 10.000 szczepów winnych, z tych 6000 czerwonego *Hermitage*, a 4000 czerwonego *Malbec*. Jeśli wszystko dobrze się przyjmie, to będę miał w przyszłym roku $7^1/_2$ akrów winnicy, co tu warte 750 ff. Na tem nie poprzestanę, będę coraz więcej sadził. Winnica w tym roku zasadzona da mi już dochód za trzy lata.

Jeżeli mi tu w Dubbo interesa jako tako pójdą, to pojadę dalej do Ningau, stamtąd do Burke, skąd powrócę na dłuższy czas do Grodna; jeśli mi się zaś nie poszczęści, to wracam do Sydney, i będę szukał innego sposobu powiększenia moich dochodów. — Pająków i owadów dla wuja Konstantego mam już sporo; dwie blaszanki tychże już gotowe wyszlę po powrocie do domu.

Po dziewiątej już; lecieć muszę za interesami.

Południe. Chodziłem cały ranek, lecz nic sprzedać nie mogłem; prawdopodobnie więc za dni parę wrócę do Sydney. Ruch i ciągłe gadanie dodają apetytu, idę na obiad, poczem znowu *business*.

6 sierpnia. Wczoraj sprzedałem trzy łany ziemi, razem 12 akrów, za 267 ff.; zarobiłem 6 ff. komisowego; jest mi to za mało, stosunkowo do wydatków, które ponosić muszę, wracam więc do Sydney, gdzie trzeba będzie się z Phillips'em ułożyć, aby mi zwracał choć część wydatków...

Sydney, 14 października 1887.

...Wczoraj przyjechałem z Grodna do Sydney, by się zobaczyć z d-rem Piotrowskim, który po roku niebytności znowu tu przyjechał.

Co o sobie, co o Grodnie powiedzieć? Nie idzie, jakbym chciał; powodem zawsze pieniądze, których nigdy na czas, a przenigdy dosyć nie mam. Pisałem w jednym z poprzednich listów, że zasadziłem 10.000 drzewek winnych. *Hermitage* dobrze rośnie, *Malbec* chorowito wygląda. Koło domu mam trochę dwuletnich szczepów, te są śliczne. Zresztą w Grodnie nic nowego, prócz $^3/_4$ mili płotu, dwóch kotów i jednego ula pszczół. Znalazłem był rój pszczół w lesie, w spróchniałem drzewie, ściąłem je, miód wyjąłem, a złapane pszczoły umieściłem w dużem pudełku, gdzie pracują, a nawet się roiły. Za jaki miesiąc będę podbierał miód, gdyż pudełko już dobrze ciężkie.

Rok zapowiada się bardzo suchy i gorący, stracę więc pewno część winnych macic, które mają dopiero małe korzonki, wątpię zatem, by wielką posuchę przetrzymać mogły. Dom mój wewnątrz jeszcze nie

skończony i bardzo biednie wygląda, za to przed domem ślicznie kwiatów nasadziłem z jednej strony, z drugiej ul i wino dwuletnie, które po ścianie piąć się będzie. O innych dwóch stronach nie piszę, bo te, jak wnętrze, jeszcze niecywilizowanie wyglądają. Dzielny mój Baron zastrzelił tuż koło domu dużego węża, koloru ołowiu.

Często pisywać do was nie mogę, z powodu ciągłego borykania się z losem, czyli inaczej — z finansami; jak jestem w Sydney, biegam za interesami, gdy jestem w Grodnie, to mi już głowa nie po temu: tam się flanelową koszulę wdziewa, bierze siekierę, łopatę lub motykę do ręki — i do roboty. Tyle tam rzeczy jest do zrobienia, tyle zrobionych do poprawienia a nawet do przerobienia.

Wysłałem Wujowi dwie małe blaszanki z pająkami przez p. N., jadącego do Marsylii, skąd je do Krakowa przeszle. Mam też kolekcyę owadów, lecz te na szpilkach przechowywam, więc ich nie posyłam...

Grodno, 9 grudnia 1887.

...Jest obecnie w Sydney pan G. z Warszawy, z zawodu cukrownik: po angielsku mówić nie umiejąc, sam sobie poradzić nie może, ja mu więc pomagam. Jesteśmy w przededniu spisania kontraktu, mocą którego on zostanie dyrektorem cukrowni i plantacyi trzciny, za co pobierać będzie $^1/_4$ dochodów: interes dla niego może być świetny: czy i dla mnie? — nie wiem, bom się przez delikatność nie ułożył ocenę za moją pracę: skończy się zapewne na „fidze“, bo szlachcic skąpy, może mi tylko ładnie podziękuje. I to także, w tych ciężkich czasach, coś znaczy.

Przyjechał tu z Włoch młody Cavalchini, krewny kardynała tegoż nazwiska. Zaproponował dać mi 10.000 franków i być wspólnikiem moim do $^1/_3$ części dochodów z Grodna, na lat pięć. Oczywiście przyjąłem, ale pieniędzy jeszcze nie dostałem, bo Cavalchini musi dopiero o nie do ojca napisać, który jest ogromnie bogaty. Odpowiedzi spodziewać się nie możemy, aż za jakie cztery miesiące.

Dr. Piotrowski z Sydney do Chin na rok pojechał.

Wczoraj jadłem pierwszy owoc grodzieński: dwa ogórki! Były doskonałe, tem lepsze, że własne. Zmówiłem „Zdrowaś Marya“, jak nas tego ś. p. ojciec uczył...

Druk ukończony 26 lutego 1894 r.

SPIS RZECZY.

Artykuły o rzeczach współczesnych.

Stronica.

Dzisiejsze stosunki w Królestwie Polskiem. Przez *** 1

Obecny rozkład protestantyzmu w Niemczech. Przez *ks. Józefa Bilczewskiego* 321

Katolicki kongres w Chicago. Przez *Michała Żmigrodzkiego* 385

Artykuły naukowe i literackie.

Ksiądz Karol Antoniewicz. Przez *ks. Jana Badeniego T. J.*:

III. Pierwsze dni w klasztorze 28

IV. W tarnopolskim i sądeckim klasztorze . . 171

V. Misye po rzezi 181 409

Drugi wieczór nad Lemanem. Przez *ks. Maryana Morawskiego T. J.* 54

Trzeci wieczór nad Lemanem. Przez *ks. Maryana Morawskiego T. J.* 362

Nowy pogląd na estetykę. Przez *Lucyana Rydla* . . 75 218

Z niedawnej przeszłości. Urywki z pamiętnika. Przez *Jerzego Kraskowskiego:*

III. Choroba — podróż do Omska 93

IV. Życie żołnierskie 343

Stronica.

Zjawienie z Kroż. Wiersz. Przez *ks. W. Piątkiewicza T. J.* 110

Wyrok banicyjny na ks. Wojciecha Męcińskiego. Przez *ks. Marcina Czermińskiego T. J.* 161

Z dziejów Białorusi i Litwy. Przez *A. Szarłowskiego* . 196

Fryderyk Ozanam. Przez *M.* 235

Przegląd piśmiennictwa.

Z piśmiennictwa krajowego:

Z najnowszych powieści polskich. *(Ks. Jan Badeni T. J.)*. . . 114

Księga pamiątkowa wiecu katolickiego w Krakowie, odbytego w dniach 4, 5 i 6 lipca 1893 r. Wydał ks. prałat dr. Chotkowski. *(B.)* 247

Zwyczaje towarzyskie dla osób duchownych, podług X. L. Branchereau. Zastosował do potrzeb miejscowych i wydał X. Wł. Szcześniak 250

Записки Тов. ім. Шевченка, впорядковав Олександеръ Барвиньскій. Том II. *(Pl.)*. 252

Żywot Kaspra (Melchiora) Leliwity Miaskowskiego. Napisał Józef Leon Wierzbicki. *(Tytus Sopodźko)*. 254

Opowiadania z dziejów kraju rodzinnego. Czesław Pieniążek. *(L. M. Dziama)* 255

Listy Andrzeja Edwarda Koźmiana. *(N.)*. 256

1. Słownik wyrazów używanych w muzyce. Opracował J. Kleczyński. — 2. Preludya na organy. Utwory oryginalne i na temata pieśni kościelnych dla użytku organistów i zakładów naukowych. Ułożył Stefan Surzyński. *(Max Kohlsdorfer)* 259

O konkordatach Stolicy Apostolskiej z Polską w XVI. w. Józef Brzeziński. *(Ks. Augustyn Arndt T. J.)*. 261

Prawdy wiary i obyczajów oparte wyłącznie na Piśmie św. Ks. Piotr Lewandowski. *(Ks. S. K.)* 432

Wspomnienia z pielgrzymki do Annecy i Paray-le-Monial. Opowiedział ks. dr. Józef Pelczar. *(L. M.)*. 433

Ćwiczenia duchowne według normy św. Ignacego Loyoli. Przez O. S. Petitdidiera T. J. Z łacińskiego wolno przełożył ks. J. Tylka. *(Ks. W. D.)* 434

Najpiękniejszy dzień życia. Czytania pobożne dla przystępujących do pierwszej Komunii świętej. Przez O. Jana Nep. Buchmanna O. S. B. Z 27 drzeworytami i 1 chromolitografią. Tłumaczone przez C. P. z archidyecezyi warszawskiej, z aprobatą Najprzew. ks. Biskupa. *(P.)* 435

Po Europie. Kartki z podróży. Przez Czesława Jankowskiego. *(P...ski)* 436

Polacy w Brazylii. Przez Antoniego Hempla. Z mapą kolonij polskich w Brazylii. *(B.)* 437

Żydowscy radykaliści. Przez Teofila Merunowicza. *(B.)* . . . 439

Strona.

Z piśmiennictwa zagranicznego:

Das Apostolische Glaubensbekenntniss. Seine Geschichte und sein Inhalt. Von Suitbert Bäumer, Benediktiner der Beuroner Congregation. — Das Apostolische Glaubensbekenntniss. Eine apologetisch-geschichtliche Studie, mit Rücksicht auf den „Kampf um das Apostolicum". Von Clemens Blume S. J. *(Ks. J. Bilczewski)*. 131

Besjede o bezsmrtnosti duše i druge neke, koje je u raznih prigodah, rekao J. Rieger, Doktor Bogoslovja. (Konferencye o nieśmiertelności duszy i niektóre inne kazania, wygłoszone w rozmaitych okolicznościach przez księdza J. Riegera, doktora św. Teologii). *(Tytus Sopodźko)*. 133

Slike iz Bosne. Napisao Ivan Lepušić. *(Tytus Sopodźko)*. . . . 136

Les petits martyrs. Par Georges Berry. 262

Metaphysik. Ein Leitfaden für akademische Vorlesungen sowie zum Selbstunterrichte. Von Dr. Georg Hagemann. 5. Aufl. *(J. Nuckowski T. J.)*. 264

Jesuiten-Fabeln. Ein Beitrag zur Culturgeschichte. Bernhard Duhr S. J. 1—8. Lieferung. *(Dr. K. Krotoski)* 266

Die Gabe des heiligen Pfingstfestes. Betrachtungen über den heiligen Geist. Von M. Meschler, Priester der Gesellschaft Jesu. Zweite vermehrte Auflage. *(Ks. W. P.)* . . 442

Пјесник и Вила од Николе I. („Poeta i Wila", przez Czarnogórskiego księcia Mikołaja I. *(Tytus Sopodźko)* 444

Z pism czasowych:

Muzeum, czasopismo Towarzystwa nauczycieli szkółwyższych za rok 1893. *(Ks. A. Boc T. J.)*. 137

Историческое Обозрѣніе. Сборникъ Историческаго Общества при Императорскомъ С.-Петербургскомъ Университетѣ. *(Tytus Sopodźko)* 285

Свѣтъ, мѣсечно списание за наука, литература и домакинство. *(Tytus Sopodźko)* 288

Sprawozdanie z ruchu

religijnego, naukowego i społecznego.

STYCZEŃ.

Sprawy Kościoła: Kwestya powrotu Jezuitów do Niemiec. — Przesilenia ministeryalne we Włoszech i Francyi. — Encyklika o studyum Pisma św. — Rozwój Kościoła na Wschodzie. — Fałszywe pogłoski o rosyjskiej liturgii. — Morderstwa w Krożach. Przez *ks. Jana Badeniego T. J.* . 142

Ze świata nauk odkryć i wynalazków: Czy rośliny czują? Przez *J. Nuckowskiego T. J.* 152

Stronica.

LUTY.

Sprawy Kościoła: Węgierskie reformy kościelne. — Źródło francuskiego anarchizmu. — Polski apostata w Ameryce. — List biskupów galicyjskich przeciw złym pismom. Przez *ks. Jana Badeniego T. J.* 292
Z wystawy w Chicago. III. Przez *Michała Żmigrodzkiego* . . . 307

MARZEC.

Sprawy Kościoła: Odezwy biskupie o kwestyi socyalnej. — Walka przeciw pojedynkom w wojsku. — Magdeburski wiec wychodźców polskich. — Biskup tyraspolski w Rzymie. — Kwestya wydania encykliki o prześladowaniu w Polsce. Przez *ks. Jana Badeniego T. J.* 455
Z życia kościelnego w Poznańskiem. Przez *ks. Jana Badeniego T. J.* 464
Najnowsze dążności rusyfikatorów. Podał *H. Swarth* 469
Listy australskie polskiego emigranta. (Ciąg dalszy) . . . 476

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Ks. M. Morawski T. J.